

Arcymistrz fantasy i SF

Siergiej  
Łukjanienko

# TANŃCE NA ŚNIEGU

Requiem i następny



**SIERGIEJ ŁUKJANIENKO**

**TAŃCE NA ŚNIEGU**

# **Spis treści**

[STRONA TYTUŁOWA](#)

[PROLOG](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Część druga](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Część trzecia](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Część czwarta](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[EPILOG](#)

# PROLOG

Tego dnia moi rodzice skorzystali ze swojego konstytucyjnego prawa do śmierci.

Niczego nie podejrzewałem. Rozumiem, że trudno w to uwierzyć, ale aż do samego końca nie pomyślałem, że rodzice mogliby się poddać. Ojca zwolniono z pracy ponad rok temu, ale mama nadal pracowała w Kopalniach Państwowych nr 3. Nie wiedziałem tylko, że Trzecie Państwowe stoją na granicy bankructwa, a wynagrodzenie wypłacane jest w ryżu, którego nienawidziłem, i opłacie czynszu, o którym w ogóle nie myślałem. Ale tak żyło wiele osób i w mojej szkole trudno było znaleźć dzieci, których oboje rodzice mieli pracę.

Wróciłem ze szkoły. Rzuciłem teczkę na łóżko i po cichutku zajrzałem do salonu, skąd dobiegała muzyka.

Ojciec znalazł wreszcie pracę, to pierwsze, co przyszło mi do głowy. Rodzice siedzieli przy stole nakrytym białym obrusem, na środku paliły się świece w starodawnym, kryształowym świeczniku, który mama wyjmowała tylko na wyjątkowe okazje. Na talerzach rodziców były resztki jedzenia – prawdziwe ziemniaki, prawdziwe mięso! – nigdy nie uwierzę, że tata nie zjadł dwóch pełnych talerzy, skoro nie dojadł trzeciego. Stała opróżniona do połowy butelka wódki – prawdziwej! – i prawie pusta butelka wina.

– Tikki! – zawołał ojciec. – Szybciotko do stołu!

Nazywam się Tikkirey. To sympatyczne imię, ale strasznie długie i niewygodne. Mama czasem mówi na mnie Tik, a ojciec Tikki, chociaż moim zdaniem znacznie prościej byłoby przemyśleć sprawę dwanaście lat temu i wybrać mi inne imię.

Usiadłem o nic nie pytając. Ojciec bardzo nie lubi wypytywania, woli sam przekazywać nowiny, nawet jeśli chodzi o zakup nowej koszuli. Mama w milczeniu nałożyła mi na talerz górę mięsa i ziemniaków, a obok talerza postawiła butelkę mojego ulubionego keczupu. Zjadłem wszystko z apetytem i dopiero wtedy ojciec wyprowadził mnie z błędu.

Nie znalazł żadnej pracy.

Dla ludzi bez gniazd nie ma już pracy.

Można wstawić gniazdo, ale u dorosłych to bardzo droga i niebezpieczna operacja. Mamie nie płacą, co znaczy, że rodziców nie stać na opłatę bytową, a przecież wszyscy wiedzą, że na naszej planecie można żyć wyłącznie pod kopułami.

A teraz chcieli nas wyrzucić z mieszkania i przenieść do zewnętrznego osiedla, gdzie można przeżyć rok albo dwa – jeśli ma się szczęście.

Dlatego rodzice postanowili skorzystać ze swego konstytucyjnego prawa...

Siedziałem jak skamieniały. Nie mogłem wykrztusić ani słowa. Patrzyłem na rodziców, grzebałem widelcem w ziemniakach, które przed chwilą wymieszałem z keczupem, zamieniając je w brunatną breję. Lubię dodawać keczup do wszystkiego, choć czasem mama na mnie krzyczy...

Teraz nikt na mnie nie krzyczał.

Być może powinienem powiedzieć, że lepiej będzie, jak zamieszkamy na osiedlu. Wracając z kopalni będziemy poddawać się dezaktywacji, będziemy żyć bardzo długo i odłożymy tyle pieniędzy, żeby znowu wykupić mieszkanie pod kopułą. Ale nie mogłem tego powiedzieć. Przypominałem sobie wycieczkę do kopalni. Przypominałem sobie ludzi o szarej, pokrytej wrzodami skórze, którzy siedzieli w starodawnych buldożerach i koparkach. Przypominałem sobie, jak jedna koparka

wymachując łyżką zawróciła i ruszyła w stronę szkolnego autobusu. A z kabiny uśmiechał się do nas operator koparki, uśmiechał się swoją „krokodylą paszczą”, która prędzej czy później pojawia się u wszystkich napromieniowanych... Oczywiście chciał nas tylko nastraszyć, ale dziewczynki zaczęły piszczeć i nawet chłopcy poczuli się nieswojo.

Nie powiedziałem nic, ani słowa. Mama na przemian śmiała się i całowała mnie w głowę, bardzo poważnie tłumacząc, że teraz moja opłata bytowa została przedłużona na siedem lat, że zdążę dorosnąć i zdobyć zawód, że moje gniazdo jest bardzo dobre (kiedyś rodzice nieźle zarabiali), więc nie będę miał problemów z pracą. Najważniejsze, żebym nie wpadł w złe towarzystwo, nie brał narkotyków, był grzeczny dla nauczycieli i sąsiadów, pamiętał o praniu ubrań i w porę składał zamówienie na municypalne kartki żywnościowe.

Płakać zaczęła dopiero wtedy, gdy tata, jakby wyczuwając moje wahanie, powiedział, że nic się już nie da zmienić. Złożyli podanie o śmierć, wypili specjalny preparat i tylko dlatego otrzymali „pożegnalne” pieniądze. Jeśli teraz się rozmyślą, umrą tak czy inaczej, a za to mnie nie przedłużą opłaty bytowej.

Straciłem apetyt. Nie miałem ochoty ani na lody, ani na tort, ani na cukierki. Mama szepnęła mi na ucho, że za „pożegnalne” pieniądze opłacili mi urodziny na siedem lat naprzód i teraz urzędnik ze służby socjalnej będzie przychodził, dowiadywał się, jaki chciałbym dostać prezent, potem go kupi i przyniesie mi w dniu urodzin oraz przygotowuje uroczyste przyjęcie. Nasza planeta jest biedna i surowa, ale służby socjalne mamy rozwinięte nie gorzej niż na Ziemi czy Avalonie.

Lody mimo wszystko zjadłem. Mama patrzyła tak błagalnie, że chociaż się dławilem, to przełykałem słodkie, pachnące truskawkami i jabłkami zimne grudki. Potem jak zwykle zmówiliśmy modlitwę i poszliśmy spać.

Do Domu Pożegnań rodzice mieli iść następnego dnia rano. Jeśliby tego nie zrobili, umarliby i tak, ale wtedy cierpieliby bardziej.

Leżałem do trzeciej w nocy patrząc na zegarek w kształcie robota-transformera. Robot łyskał groźnie oczami, wymachiwał rękami i przestępował z nogi na nogę, a czasem omiatał pokój cienką igłą promienia laserowego. Mama zawsze powtarzała, że nie rozumie, jak można spać w pokoju z czymś takim, ale nigdy nie kazała mi wyłączyć robota. Pamiętała moją radość, gdy dostałem go na ósme urodziny.

I wtedy uświadomiłem sobie, że myślę o rodzicach w czasie przeszłym, jakby już nie żyli. Zerwałem się, otworzyłem drzwi na oścież i pobiegłem do ich sypialni. Nie jestem małym dzieckiem i wszystko rozumiem. Wiem, co dorośli mogą robić w sypialni, nawet jeśli są rodzicami.

Ale nie mogłem już dłużej być sam.

Wskoczyłem na łóżko pomiędzy rodziców, wtuliłem się w ramię mamy i rozpłakałem.

Nic nie mówili. Ani mama, ani tata. Po prostu przytulili mnie i zaczęli głaskać. Wtedy zrozumiałem, że żyją. I że będą żyć tylko do rana. Postanowiłem, że tej nocy w ogóle nie będę spał, ale mimo wszystko zasnąłem.

Rano mama wyprawiła mnie do szkoły i powiedziała, że koniecznie muszę pójść na lekcje. Że nie powinienem ich odprowadzać. Długie pożegnania to tylko niepotrzebne łyzy.

Tata odezwał się dopiero wtedy, gdy wychodziłem z domu:

– Tikki... – powiedział i zamilkł. Pewnie chciał mi powiedzieć tak wiele, a miał tak mało czasu. Czekałem.

– Tikki, kiedyś zrozumiesz, że tak było trzeba.

– Nie, tato.

Powinienem być powiedzieć „tak”, ale nie mogłem. Ojciec uśmiechnął się smutno, wziął mamę za rękę i wyszli.

Odprowadziłem ich – ale z daleka, żeby mnie nie widzieli. Mama oglądała się co jakiś czas i wiedziałem, że czuje moją obecność. Nie pokazywałem się. Przecież obiecałem, że ich nie odprowadzę.

Gdy weszli do Domu Pożegnań,ostałem chwilę, kopiąc ścianę Zarządu Miejskiego. Nie na znak protestu, po prostu Zarząd stoi po przeciwnej stronie, przy ulicy Odkrywców.

Potem odwróciłem się i poszedłem do szkoły. Przecież obiecałem.

# Rozdział 1

Jesień zawsze jest piękna.

Leżałem na gładkiej, kamiennej płycie, która tylko przypadkiem nie trafiła na budowę, lecz znalazła się na brzegu rzeki, i patrzyłem na niebo. Nad kopułą szalała burza. Słońce było małe i purpurowe, kłęby piasku zasłaniały je niemal zupełnie. Pewnie mieszkańcom osiedla jest teraz bardzo ciężko, podniósł się poziom promieniowania, a drobny piaskowy pył wciska się w każdą szczelinę.

– Tiki-Tiki!

Odwróciłem głowę, chociaż wiedziałem, kto mnie woła. Tylko Dajka wołała na mnie „Tiki-Tiki”. Od pierwszej klasy. Najpierw to było takie niby przydomkowe, teraz już chyba nie.

– Na co tak patrzysz?

– Na statek – skłamałem. Statek rzeczywiście wisiał na niebie. Pewnie transportowiec rudy z drugiego portu. Leciał przez burzę, na razie na silnikach plazmowych, a za nim ciągnął się pomarańczowy tren – rozbłyśki wtórnych ładunków. Żadna rewelacja. Burza była znacznie ciekawsza.

– Piękny – powiedziała Dajka i położyła się obok mnie, tak że musiałem się przesunąć. Miała na sobie nowy kostium kąpielowy, dorosły, zakryty. No, no, ale dama.

– Chciałabym zostać pilotem.

– Akurat. Możesz zostać najwyżej sopolkiem. Dajka odpowiedziała po dłuższej chwili:

– Ty też nie zostaniesz pilotem.

– Jak zechcę, to zostanę – odparłem.

Dajka mi przeszkadzała – wierciła się natarczywie, nie rozumiejąc, że teraz nikogo nie potrzebuję. Absolutnie nikogo.

– Wiesz, ile kosztuje kurs pilotażu?

– Dużo.

– Nigdy tyle nie zarobisz.

– Jak będę miał szczęście, to zarobię – nie wytrzymałem. – A ty na pewno nie będziesz pilotem. Nie masz chromosomu Y. W hiperze można cię wieźć wyłącznie jako ładunek. Zamrożoną, z lodem na oczach.

Dajka zerwała się na równe nogi i odeszła. Niepotrzebnie to powiedziałem. Przecież ona marzy o kosmosie bardziej niż jakikolwiek chłopak. Ale nie ma chromosomu Y, a to znaczy, że umrze w momencie wejścia w hiperprzestrzeń – jeśli nie będzie leżeć w anabiozie. Z lodem na oczach...

Po co chlapałem o tym lodzie? Przecież uczyli nas, że nie ma tam żadnego lodu... Usuwają całą wodę z ciała, a raczej wiążą ją z gliceryną i jakimś polimerem...

– Dajka! – krzyknąłem, opierając się na łokciach. – Dajka! Nawet się nie odwróciła.

Znowu wyciągnąłem się na kamiennej płycie i patrzyłem na znikający ślad statku. W pobliżu naszej planety przebiega kanał hiperprzestrzenny, przez który statki latają między gwiazdami. Za godzinę statek znajdzie się w nim i zawiezie rudę na planetę przemysłową. A potem poleci w inne interesujące miejsca.

Pewnie, że nigdy nie zarobię tyle, by zostać pilotem.

Jeśli nawet zdołam polecieć w kosmos, to wyłącznie jako część komputera. Jako „mózg w butelce”, jak to pogardliwie nazywają.

Ale przecież niektórzy tak latają. I czasem udaje im się zarobić tyle, żeby opłacić kosmoszkolę. Odwróciłem się i rzuciłem kamyczkiem w ramię Gleba, który opalał się w pobliżu. To on zaciągnął mnie nad rzekę – jego zdaniem jesienna opalenizna jest najzdrowsza i najlepsza. Gleb podniósł głowę z ręcznika i popatrzył na mnie pytająco. Albo w ogóle nie słyszał mojej rozmowy z Dajką, albo nie zwrócił na nią uwagi.

Powiedziałem mu, co mam zamiar zrobić.

Gleb stwierdził, że jestem kretyńcem. Że podłączenie do komputera w charakterze modułu sterującego wypala neurony, tłumi wolę i otepia. Że już lepiej pójść do Domu Pożegnań, z tego przynajmniej jest jakiś pożytek dla państwa...

I wtedy się zamknął – przypomniał sobie o moich rodzicach. Ale ja się nie obraziłem. Powiedziałem tylko, że wielu słynnych pilotów zaczynało w charakterze modułów. Wystarczy w porę się zwolnić, to wszystko. I jeśli już ryzykować, to tylko w naszym wieku, póki mózg jest plastyczny i jeszcze się rozwija. Potem wszystko się nadrobi.

Gleb powiedział, że jestem kompletnym kretyńcem, i wyciągnął się pod mętnym, pomarańczowym słońcem. Umilkłem i leżałem, patrząc w niebo. Niebo jest u nas pomarańczowe, nawet gdy nie szaleje burza. Na Ziemi i Avalonie jest błękitne. Może być jeszcze zielone, granatowe albo żółte. A chmury wcale nie muszą składać się z piasku, tylko na przykład z pary wodnej. Ale jak zostanę na Kopalni, nigdy tego nie zobaczę.

Nagle zrozumiałem, jakie to proste. Nie mam innego wyjścia. Nie mogę tu żyć, nie chcę i nie będę.

Urzędniczką socjalną w naszej dzielnicy była kobieta. Może dlatego tak na mnie popatrzyła, gdy wyjaśniłem, że chcę się zatrudnić na statku kosmicznym jako moduł sterujący. Patrzyła na mnie bardzo długo, jakby czekała, aż się zaczerwienię, odwrócę wzrok i zabiorę swoje dokumenty. Ale ja siedziałem i czekałem. W końcu otworzyła teczkę.

Dokumenty były w porządku. Wykup dający mi prawo pracy w kosmosie mogłem opłacić swoją opłatą bytową oraz mieszkaniem, które rodzice przepisali na mnie. Trzy pokoje, osiem metrów kwadratowych każdy, kuchnia i blok sanitarny... Moi rodzice rzeczywiście dobrze zarabiali. Obowiązkowe minimum wykształcenia już otrzymałem. Sąsiedzi napisali mi bardzo dobre rekomendacje – pewnie liczyli, że podzielą się naszym mieszkaniem.

– Tikkireyu – powiedziała półgłosem kobieta. – Praca w charakterze modułu sterującego to samobójstwo. Rozumiesz?

– Tak. – Z góry sobie założyłem, że nie będę się kłócił ani nic tłumaczył.

– Będziesz leżał w stanie komy, a przez twój mózg będą przechodzić strumienie informacji! – Podniosła oczy do sufitu, jakby to jej wcisnęli do gniazda kabel ze strumieniem informacji. – Będziesz tak żyć, budząc się na kilka dni w miesiącu, a twoje ciało się zestarzeje. Rozumiesz? Nie przeżyjesz stu lat, jak wszyscy ludzie, lecz dwadzieścia razy mniej. Wyobrażasz to sobie, Tikkireyu? Zostało ci pięć lat życia!

– Przepracuję pięć albo dziesięć lat, a potem się zwolnię i zostanę pilotem – wyjaśniłem.

– Nie zwolnisz się! – Urzędniczka ze złością walnęła teczką w biurko.

– Nie zechcesz! Twój mózg nie będzie już niczego pragnął!



– Zobaczymy.

– Niczego nie podpiszę, Tikkireyu – oznajmiła urzędniczka. – Zabieraj swoje dokumenty i wracaj do szkoły. Twoi rodzice tak się o ciebie zatroszczyli, a ty...

– Nie ma pani prawa nie podpisać – powiedziałem. – I doskonale pani o tym wie. Jeśli wyjdę stąd bez podpisu, pójdę do socjalnej służby miejskiej i złożę na panią skargę. Za nieuzasadnioną odmowę wydania zezwolenia zostanie pani pozbawiona opłaty bytowej na pół roku lub rok. Nie wolno łamać prawa!

Twarz kobiety pokryła się czerwonymi plamami. Ona naprawdę myślała, że wie, co jest dla mnie najlepsze.

– Dobrze się przygotowałeś, co? – zapytała.

– Oczywiście. Zawsze jestem przygotowany.

Urzędniczka znowu otworzyła teczkę i zaczęła podpisywać papiery. Jeden podpis, drugi, trzeci...

– Idź do gabinetu numer osiem, tam zrobią kopię i przystawią pieczęć – powiedziała oschle, oddając mi dokumenty.

– Dziękuję.

– Życzę ci szczęśliwych pięciu lat, mózgu w butelce... – wysyczała zjadliwie.

Nie obraziłem się. Może tak samo jak Dajka marzyła, żeby polecieć w kosmos?

Na naszą planetę nie przylatują ciekawe statki kosmiczne. Co mieliby tu robić bogaci turyści albo wojskowi? Raz na pół roku ląduje liniowiec pasażerski, zmierzający na Ziemię, ale taki na pewno ma pełną załogę. Za to transportery kursują codziennie. I każdy z nich, nawet najmniejszy, musi mieć, prócz podstawowej załogi, dziesięć albo dwanaście modułów.

Wziąłem trochę pieniędzy – resztę pożegnalnych pieniędzy rodziców, swoje oszczędności i nawet kolekcję starych monet, które zostały po dziadku (sama kolekcja jest niewiele warta, ale na monety był popyt) i ruszyłem na kosmodrom. Z kopuły mieszkalnej do technicznej jechałem transportem podziemnym, a stamtąd już autobusem przez otwartą przestrzeń. Nikt nie zwracał na mnie uwagi – pewnie wszyscy myśleli, że jadę do rodziców pracujących gdzieś w porcie.

Kopalnia nie ma własnej floty kosmicznej ani agencji najmu. Gdy kapitanowie statków potrzebują modułów sterujących, to po prostu idą do baru obok kosmodromu i tam czekają przy kuflu piwa. Słyszałem o tym od dorosłych, widziałem w wiadomościach i teraz sam postanowiłem spróbować szczęścia.

Bar wcale nie był taki ekskluzywny, na jaki wyglądał w telewizji. Owszem, była ściana z autografami słynnych pilotów, fragment kadłuba bojowego statku Imperium i bar z napojami z innych planet, które kosztowały jakieś nieprawdopodobne pieniądze. Ale wszystko było jakieś takie małe... W barze siedziało najwyżej dziesięć osób. A ja myślałem, że lokal jest ogromny jak sala gimnastyczna w naszej szkole...

W półmroku, przez który płynęły hologramy, podszedłem do baru, popatrzyłem na ceny i osłupiałem. Szklanka lemoniady kosztowała więcej niż dwulitrowa butelka w sklepie. Ale co miałem robić, wyjąłem z kieszeni największy banknot i kupiłem kufel piwa imbirowego. Wziąłem resztę i usiadłem na wysokim, obrotowym stołku.

Barman – młody chłopak z modułem radiowym w gnieździe – popatrzył na mnie z zaciekawieniem. Potem zerknął na ekspres do kawy, który właśnie zasyczał i wydał filiżankę oszałamiająco pachnącego napoju.

– Przepraszam, czy są tu kapitanowie statków? – zapytałem.

– Aha – powiedział barman. – Że też od razu nie zrozumiałem... Nie, mały. W porcie są tylko dwa transportery rudy, a jeden właśnie odlatuje.

– Kiedy? – zapytałem rzeczowo i napiłem się piwa. Smaczne...

– Usłyszysz za kilka minut. Jeśli chcesz, wywołam obraz.

– Co to ja, startu nie widziałem? A gdzie mogę znaleźć drugiego kapitana?

– Chcesz się nająć jako moduł sterujący?

Nie wspomniał o „mózgu w butelce” i od razu wydał mi się sympatyczniejszy.

– Skąd pan wie? Barman uśmiechnął się.

– Co innego może robić nastolatek w tym barze? Pić piwo imbirowe, które kosztuje więcej niż obiad w miejskiej kawiarni? To nie kapitan jest ci potrzebny, przyjacielu. Kapitanowie najmują prawdziwych kosmonautów, modułami zajmuje się pierwszy oficer.

– Moduły to też członkowie załogi.

– Mniej więcej w takim stopniu, w jakim mój ekspres jest pracownikiem baru. Przy okazji, napijesz się kawy? Ja stawiam.

Napiłbym się przyjemnością, ale tylko pokręciłem głową. Chłopak popatrzył na mnie i wzruszył ramionami:

– Nie będę ci robił wody z mózgu, jeszcze ci się przyda. Jakie masz gniazdo?

– Creative gigabyte. Chyba się zdziwił.

– Nieźle... Masz wszystkie dokumenty? Rodzice podpisali zgodę?

– Rodzice skorzystali z konstytucyjnego prawa. Tydzień temu.

– Wszystko jasne. – Barman odstawił filiżankę. – Tam, w kącie, pod tym żelastwem...

Co za lekceważenie wobec fragmentu pancerza słynnego imperatorskiego krążownika...

– No?

– Facet, który wali wodę – to pierwszy oficer drugiego transportera. Postaw mu drinka, taki jest zwyczaj, i zaproponuj swoje usługi.

Zerknąłem na cennik, ale barman zasłonił go dłonią.

– Nie chciałeś kawy, więc... po prostu skiń ręką i ja podam.

– Dziękuję – wymamrotałem. Na ceny alkoholu zdążyłem spojrzeć wcześniej, gdybym musiał zapłacić, nie wystarczyłoby mi na drogę powrotną.

– Za takie rzeczy się nie dziękuje. Ale jeśli jesteś pewien, że dobrze robisz, to idź.

– Dziękuję – powtórzyłem z uporem.

Barem lekko wstrząsnęło. Przez przyciemnione okna przebiło się czerwone lśnienie. Pierwszy oficer przy stoliku w rogu podniósł kieliszek, jakby stukał się z kimś niewidocznym i jednym haustem wypił.

– Poszedł z przeciążeniem, na silnikach marszowych – zauważył barman. – Decyduj się, mały.

Zeskoczyłem ze stołka i podszedłem do oficera. Nie żebym się bał, w końcu zdecydowałem, że w razie czego będę tu przyjeżdżał codziennie... Ale trochę się denerwowałem. Sympatyczny barman nie będzie mi pomagał za każdym razem. Nie chciałem stracić takiej okazji.

Pierwszy oficer podniósł głowę i spojrzał na mnie uważnie. Przed nim stała niemal pusta butelka,

tata nigdy by tyle nie wypił. A kosmonauta nawet nie wyglądał na pijanego. Mógł mieć ze czterdzieści lat. W jego wyglądzie nie było nic szczególnego – ani szram, ani kosmicznej opalenizny, ani sztucznych organów.

– Dobry wieczór – powiedziałem. – Pozwoli pan, że postawię panu drinka?

Przez jakiś czas oficer milczał, w końcu wzruszył ramionami.

– Czemu nie.

Skinąłem barmanowi ręką i on z poważną i nieprzeniknioną twarzą postawił na cybertacy dwa pełne kieliszki i posłał ją przez salę. Mały grawitator tacy mrugał pomarańczowym światłem, widocznie się rozładowywał. Ale mimo to taca doleciała szczęśliwie do stolika, po drodze usuwając się spod ręki jakiegoś typka, który ze śmiechem sięgnął po kieliszek. Zdjąłem kieliszki i uświadomiłem sobie, że też będę musiał wypić. Do tej pory zdarzyło mi się próbować jedynie piwa i szampana. Szampana tak dawno, że już nie pamiętam, a piwo mi nie smakowało.

– Mocno wstrząsnęło przy starcie, co? – odezwał się oficer. Przypomniałem sobie słowa barmana.

– Poszedł na marszowych. Z przeciążeniem.

– Nie jesteś głupi – zauważył z zadowoleniem pierwszy oficer. – Dobrze, wypijmy za pomyślny hiper...

Wypił jednym haustem, nawet się nie krzywiąc. Przypomniałem sobie, jak tata pił wódkę, wstrzymałem oddech i wlałem w siebie zawartość kieliszka...

...I pospiesznie popiłem piwem imbirowym. Wyszło całkiem niezłe. W nos uderzył ostry zapach, w gardle poczułem ogień. Poza tym w porządku.

– Ho, ho – skomentował oficer. – Dobra, a teraz mów, czego chcesz?

– Chciałem zaproponować panu swoje usługi w charakterze modułu sterującego – wypaliłem.

– Jaki masz gniazdo?

– Creative gigabyte.

– Trenowałaś tryb strumieniowy?

– Osiemdziesiąt cztery i pół.

Oficer podrapał się w podbródek. Nalał sobie wódki, zerknął na mnie. Skinąłem głową, nalał mi pół kieliszka.

– Masz zezwolenie?

– Tak – sięgnąłem do kieszeni, ale kosmonauta pokręcił głową.

– Nie teraz... Wszystko masz przemyślane, załatwione i zrobione. Wierzę. Po co ci to?

– Nie chcę tu żyć – odpowiedziałem uczciwie.

– Gdybyś powiedział, że nie możesz żyć bez kosmosu, dostałbyś na goły tyłek – powiedział oficer niezrozumiale. – Ale żyć tutaj... Ja też bym nie chciał. Masz przynajmniej pojęcie, czym jest moduł sterujący?

– Podłączenie mózgu w trybie strumieniowego opracowywania danych, pozwalające na nawigację w hiperprzestrzeni – wyskandowałem. – Ponieważ szybkość pracy elektronicznych systemów obliczeniowych spada wprost proporcjonalnie do prędkości statku przy przekroczeniu stałej C, jedyną metodą nawigacji w hiperkanale jest wykorzystanie możliwości ludzkiego mózgu.

– Nie będziesz mógł przy tym myśleć – wyjaśnił pierwszy oficer. – Nie będziesz nic pamiętał. Wetkną ci kabel do gniazda i wyłączysz się. Budzisz się dopiero po lądowaniu. Trochę boli głowa i

masz wrażenie, że upłynęła minuta, tylko broda ci urosła... Zresztą, tobie nie urosnie. No? Co w tym takiego kuszącego?

– Nie chcę tu żyć – powtórzyłem. Skoro ten argument tak mu się spodobał...

– Pensja modułów sterujących jest progresywna i w ciągu pięciu lat czasu rzeczywistego zdołasz uzbierać sumę, pozwalającą ci na wstąpienie do kosmoszkoły – ciągnął pierwszy oficer. – Tym bardziej, że ze względu na wiek będziesz odpowiednim kandydatem. Jest tylko jeden problem – praca w trybie strumieniowym niszczy procesy motywacji i dążenia do celu. Nie zechcesz nigdzie odchodzić. Rozumiesz?

– Zechcę.

– Zaledwie dwa procent osób pracujących jako moduły sterujące odchodzi po zakończeniu standardowego pięcioletniego kontraktu. Około procenta odchodzi przed wygaśnięciem umowy. Pozostali pracują aż... aż do końca.

– Zaryzykuję.

– Ryzykant z ciebie. – Pierwszy oficer podniósł kieliszek i wypił. Zrobiłem to samo. Za drugim razem poszło mi gorzej, zacząłem kasłać i pierwszy oficer poklepał mnie po plecach.

– Proszę... niech mnie pan weźmie – wymamrotałem, gdy już przestałem kasłać. – Przecież i tak się zaciągnę. Jak nie do pana, to do kogoś innego.

Pierwszy oficer wstał. W butelce zostało trochę wódki, ale on nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy kosmonauci są cholernie bogaci.

– Chodźmy.

Wychodząc, mrugnąłem do barmana. Uśmiechnął się i rozłożył ręce. Że niby nie do końca mnie popiera, ale uznaje moje prawo do decydowania o własnym losie. Fajny facet, pewnie dlatego, że pracuje na kosmodromie.

Przez westybul hotelu poszliśmy w stronę wind. Oficer okazał wartownikowi swój galaktyczny paszport i ten przepuścił nas bez słowa. Obok wind był jeszcze jeden mały bar, nawet nie oddzielony ścianą. Siedziało tam pięć dziewcząt, wszystkie ładne i każda inna – Azjatka, Murzynka i białe. Bardzo powoli sączyły kawę. Azjatka powiedziała coś przyjaciółkom, a one zachichotały. – Cicho, ładunku – powiedział oficer, purpurowiejąc. Dziewczyny zachichotały jeszcze głośniej. Patrzyłem na nie, gdy wjeżdżaliśmy szklanym szybem windy na górne piętra.

– Zobaczmy, co powie lekarz – oznajmił pierwszy oficer. – Nie ufam tutejszej medycynie.

– Aha. Medycynę mamy dobrą, tylko zacofaną.

Wszedłem za nim do jakiegoś pomieszczenia. Był to luksusowy pokój hotelowy, mieli tu nawet ścianę wideo, szedł jakiś film historyczny. W fotelu naprzeciwko ściany siedział wysoki, chudy mężczyzna z wąskim kieliszkiem w ręku. Kieliszek był do niego bardzo podobny. Uśmiechnąłem się. Wszystko szło idealnie!

– Anton – pierwszy oficer popchnął mnie do przodu – obejrzyj chłopca. Chce lecieć z nami jako moduł.

Mężczyzna odwrócił się i odstawił kieliszek.

– Widzę, że idioci są coraz młodszy. Wyjaśniłeś mi przynajmniej, co to znaczy być w trybie strumieniowym?

– Wyjaśniłem. Zresztą, sam wszystko świetnie rozumie. – Oficer uśmiechnął się krzywo. – Zauważył nawet, że „Arizona” startowała na marszowych.

Antoni spojrział na ekran. Ekran zgasł, za to światło w pokoju zrobiło się jaśniejsze. Zauważyłem, że okna w pokoju są tak samo nieprzezroczyste jak w barze. Widocznie kosmonautom nasza planeta nie podoba się do tego stopnia, że zaciemniają wszystkie okna.

– Rozbieraj się – polecił.

– Całkiem? – zapytałem.

– Nie. Buty możesz zostawić.

Oczywiście kpił – w kopule nikt nie nosi butów. Rozebrałem się do naga i położyłem ubranie na krześle, które podsunął mi pierwszy oficer.

– Jakie masz gniazdo? – zapytał Anton. – Neuron? Pomyślałem, że moi rodzice byli bardzo przewidującymi ludźmi. Niemal wszyscy w mojej klasie mają neurony. Dziadostwo.

Powiedziałem, że mam creative'a.

– Poważny chłopak – przyznał Anton, wyjmując małą walizeczkę. – Stań tutaj. – Posłusznie zmieniłem miejsce i rozłożyłem ręce, tak jak mi kazał. Antoni wyjął z walizeczki kabel i uprzedził:

– Za chwilę zakręci ci się w głowie.

I tak kręciło mi się w głowie, ale o tym mu nie powiedziałem. Lekarz pokładowy – bo Anton musiał być lekarzem pokładowym – podłączył kabel do gniazda, a potem rozłożył skaner i ustawił go na trójnogu.

– Nerwy masz mocne? – zapytał.

– Aha.

– To dobrze.

Ekran włączył się – teraz było na nim widać mnie. Skaner zabrzęczał cichutko, poruszając główką detektora. Obraz na ekranie zaczął się zmniejszać.

Poczułem się tak, jakby obdarli mnie ze skóry. Nawet zacząłem zezować, żeby się upewnić, czy skóra jest na swoim miejscu. Wokół obrazu na ścianie pojawiły się jakieś napisy i cyfry w nieznanym języku.

– Dobrze się odżywasz? – zapytał Anton.

– Tak...

– Akurat ci wierzę... Zresztą, to bez znaczenia, nie będziesz nosił worków.

Teraz z mojego ciała zdarto wszystkie mięśnie. Zostały tylko kości i narządy wewnętrzne. Zamknąłem oczy, czując napływającą falę mdłości.

– Często miewasz bóle żołądka?

– Nie. Nigdy.

– Po co kłamiesz? Przecież i tak wszystko widać. Paweł! Poileś go wódką?

– No wiesz... taka tradycja. Wypiliśmy po kieliszku.

– Załoga kretynów... Miałeś pozytywne mutacje, mały?

– Tak. Zestaw „inferno”.

Nadal nie otwierałem oczu, słyszałem tylko, jak Anton wyjaśnia pierwszemu oficerowi:

– Widzisz? Ma powiększone narządy układu immunologicznego. Nerki zmodyfikowane w celu wydalania nuklidów, tarczyca i jądra specjalnie chronione. Chłopiec może wytrzymać spore promieniowanie. No i zwykłe drobiazgi – wyrostek wypełniony tkanką limfatyczną, wzmocnione

serce...

– Słuchaj, Anton, jeszcze chwila i zwymiotuję. Wybaw mnie od widoku oprawionego dzieciaka!

– Jak chcesz...

Otworzyłem oczy i zobaczyłem własny szkielet. Nawet sympatyczny, tylko trochę smutny.

– Miałeś złamaną rękę? – zapytał lekarz.

– Prawą – przyznałem się. W mojej karcie medycznej nie było o tym wzmianki i miałem nadzieję, że nikt się nie dowie.

– To nic, nieźle się zrosło – przyznał łaskawie Anton. Wyjął ręczny detektor i już nie patrząc na ekran zaczął przesuwać po mnie czujnikiem.

– Nada się? – zapytał oficer. Siedział w fotelu Antona, flegmatycznie dopijał napój z jego kieliszka i palił papierosa.

– Funkcje organizmu w porządku – rzekł Anton. – Zaraz przetestujemy gniazdo na strumień... Kiedy byłeś ostatnio w toalecie, mały?

– Co? – nie rozumiałem. Anton skrzywił się.

– Dobrze, może się uda.

– Już to widzę! – roześmiał się oficer.

Anton wziął mnie mocno pod pachy, podniósł i powiedział:

– Trzymaj się.

Pewnie wydawał polecenia ze swojego gniazda, bo wyłączyłem się błyskawicznie. Gdy doszedłem do siebie, bolała mnie głowa i drżała ręka. Anton nadal trzymał mnie w powietrzu. Nogi miałem mokre. Po podłodze sunął żółwik cybersprzątacza, od czasu do czasu wpadając na moje stopy.

Posikałem się!

– Idź pod prysznic. Tamte drzwi – polecił Anton. – Umyj się, ubierz i wracaj.

Krzywił się, ale chyba nie był zły. Wziąłem ubranie i wskoczyłem do łazienki. Płonęły mi policzki. Wszystko przepadło! Ładny ze mnie moduł z niesprawnymi zwieraczami... Polewając się wodą, myślałem ponuro, że najlepiej od razu pójdę do domu, w ogóle nie zaglądając do pokoju.

Ale jednak wróciłem.

Anton znowu siedział w swoim fotelu. Walizka leżała spakowana, a na ekranie pojawiły się wymyślne, kolorowe wzory. Oficer palił kolejnego papierosa. Podłoga była sucha i czysta.

– Przepraszam... – wybąkałem.

– To moja wina – odparł nieoczekiwanie Anton. – Zbyt długo trzymałem cię w strumieniu.

– Długo? – nie rozumiałem.

– Kwadrans. Nie mogłem się oprzeć, wskaźniki były bardzo ciekawe. To nie jest osiemdziesiąt cztery i pół jak napisano ci w atestacie, mały. Masz dziewięćdziesiąt i siedem dziesiątych. To doskonały wskaźnik. Z takim biorą do marynarki wojennej na kurs pilotażowo-kapitański.

Oficer chyba wyczuł mój strach, bo rzucił szybko:

– Przyjęliśmy cię, przyjęliśmy. Jeśli naprawdę chcesz, to cię weźmiemy.

– Chociaż osobiście radziłbym ci chronić mózg – zauważył Anton. – Widzisz, przyjacielu, płyty czołowe bardzo nie lubią trybu strumieniowego. One... jakby ci to powiedzieć... zasypiają.

Rozleniwiają się. Ze wszystkimi wynikającymi z tego...

Zachichotał nagle. Zrozumiałem powód i znowu się zaczerwieniłem.

– Krótko mówiąc, odradzam – kontynuował już poważnie Anton. – Szczerze. Ale jeśli nalegasz, weźmiemy cię z przyjemnością. I tak brakuje nam modułów.

– Ja... ja jestem gotów.

– Masz tu jeszcze coś do załatwienia?

– Chyba tak...

Nie wiedziałem, że wszystko stanie się tak szybko!

– Wobec tego przyjdź jutro rano. Startujemy wieczorem... Zresztą dla ciebie to bez różnicy.

Kiwnąłem głową i ruszyłem do drzwi.

– Poczekaj – dogonił mnie głos Antona. – Chcę ci jeszcze wyjaśnić jedną rzecz. Teraz sobie rozmawiamy i jest bardzo sympatycznie. Jesteś inteligentnym, fajnym chłopcem, i bardzo możliwe, że mógłbyś zostać naszym kolegą po fachu. Ale gdy zostaniesz modulem sterującym, wszystko się zmieni. Przede wszystkim zmieni się nasz stosunek do ciebie. Gdy po pierwszym locie wyjdiesz popatrzeć na kosmodrom obcej planety – jeszcze wesoły, ciekawy świata, jeszcze będąc sobą – nie będziemy już z tobą gawędzić, żartować i uśmiechać się. Widzieliśmy dziesiątki i setki takich jak ty – mądrych, fajnych i sympatycznych – na początku. Gdyby człowiek traktował was jak ludzi po tym, jak wejdziecie w strumień, wylądowałby w wariatkowie.

To było niczym cios w twarz. Przełknąłem kulę w gardle. Zdążyłem polubić zarówno pierwszego oficera, jak i tego złośliwego lekarza. A teraz oni patrzyli na mnie z powagą. Jak ja na rodziców, gdy powiedzieli o Domu Pożegnań. – Jako członek załogi i współwłaściciel statku bardzo chciałbym mieć cię w załodze – odezwał się pierwszy oficer. – Ale jako ojciec dorastających dzieciaków, nie radzę ci tu więcej przychodzić.

– Przyjdę – wyszeptałem.

– Weź – oficer podszedł do mnie, podał mi kilka spiętych kartek. – To umowa o pracę w charakterze modułu sterującego. Kontrakt jest standardowy, zgodny z zaleceniami Gildii. Ale mimo wszystko przejrzyj go porządnie, zapoznaj się z treścią. Dopiero wtedy zdecydujesz.

Wziąłem kartki i wybiegłem z pokoju. W głowie mi huczało, trochę swędziała skóra za uchem, wokół gniazda. Ze zdenerwowania.

Czułem się nieswojo, bo wiedziałem, że oficer i lekarz mają rację. Było mi głupio, bo oni byli porządnymi ludźmi. A ja chciałem ich oszukać.

## Rozdział 2

Gleb jako jedyny zdecydował się mnie odprowadzić. Olał lekcje i pojechał ze mną.

Nie wierzył mi aż do końca, chociaż widział puste mieszkanie, z którego wyniesiono municypalne meble. Wszystkie rzeczy osobiste rodziców zostały umieszczone w niewielkim kontenerze i zmagazynowane w piwnicy.

– Jesteś świrem – powiedział Gleb, gdy autobus dojechał do kosmodromu. Wreszcie zaczynał wierzyć. – Staniesz się debilem! Kompletnie ci odbiło, nie widziałeś nigdy starych modułów?

– Nie zdążyli się w porę wycofać – powiedziałem. Walizkę z rzeczami trzymałem na kolanach. Jak wynikało z umowy, mogłem zabrać dwanaście kilogramów rzeczy osobistych.

– Ty też nie zdołasz. Po pięciu latach rozwali ci mózg. – Gleb nagle oblizał wargi i wykrztusił:

– Mam los loterii imperatorskiej, wiesz?

Wiedziałem. Gleb miał szansę – jedną na dwadzieścia – wygrać bezpłatne kształcenie w dowolnie wybranej specjalizacji. Oczywiście chciał zostać pilotem.

– Chcesz, to ci go oddam?

– Rodzice cię zabiją...

– Nie zabiją. Już z nimi rozmawiałem, mogę przepisać los na ciebie. Chcesz?

Los imperatorskiej loterii to było coś... Nawet o tym nie marzyłem... Ale ja mam gniazdo creative, a Gleb tylko neuron.

– Dzięki, Gleb. Nie trzeba.

Stropiony zamrugał rzadkimi rzęsami. Gleb ma bardzo jasne włosy i bladą cerę. To nie mutacja – takie geny.

– Tikkireyu, ja naprawdę...

– Gleb, wieczorem już będę w kosmosie.

– To nie będziesz ty – wyszeptał Gleb.

Gdy autobus zatrzymał się przed hotelem, podał mi rękę. Uścisnąłem ją i zapytałem:

– Wejdiesz?

Gleb tylko pokręcił głową. Nie nalegałem. Długie pożegnania to niepotrzebne łyzy.

Na mnie czekał kosmos.

Nie wiedziałem, w którym pokoju mieszka pierwszy oficer i pozostali członkowie załogi, dlatego poszedłem do pokoju lekarza.

Drzwi zewnętrzne znowu nie były zamknięte, a te od łazienki otwarte na oścież. Anton stał przed lustrem w samych slipkach i golił się starą golarką mechaniczną. Nie mógł raz na zawsze zamrozić wszystkich mieszków włosowych?

– A, to ty – powiedział, nie odwracając się. Widziałem odbicie jego twarzy w lustrze. Miałem wrażenie, że zmienił mu się wyraz oczu. – Wszystko jasne. Pokój numer siedemdziesiąt trzy. Tam znajdziesz kapitana.

– Kto to? – zapytał z pokoju wysoki, dziewczęcy głos.

– Nie do nas – odparł Anton, ale zza drzwi i tak wyjrzała smagła, zawinięta w prześcieradło dziewczyna. To była jedna z tych, które wczoraj chichotały na dole. Na mój widok najpierw się



uśmiechnęła, potem sposepniała.

– Dzień dobry – przywitałem się.

– Co za głuptas – powiedziała dziewczyna. – Mój Boże, skąd się tacy biorą...

– Spokój, ładunku! – wycedziłem. Wyszło mi niemal tak dobrze, jak pierwszemu oficerowi. Dziewczyna zamilkła, mrugając powiekami. Anton na chwilę przestał się golić, ale już po chwili golarka kontynuowała swoją wędrówkę – w górę i w dół.

A ja odwróciłem się i poszedłem szukać pokoju numer siedemdziesiąt trzy.

Kapitan był młodszy zarówno od pierwszego oficera, jak i od lekarza. Pewnie ukończył jakąś słynną uczelnię kosmiczną, skoro powierzono mu dowodzenie statkiem. Był wysoki i dobrze zbudowany, nosił biały mundur.

– Tikkirey – stwierdził, gdy wszedłem. Od razu zrozumiałem, że widział nagranie mojego wczorajszego badania i zawstydziałem się. Przed Antonem i oficerem nie było mi wstyd, ale przed prawdziwym kapitanem, który nawet siedząc sam w pokoju nie zdjął munduru galowego, i owszem.

– Tak, panie kapitanie.

– To znaczy, że się nie rozmyśliłeś?

– Nie, panie kapitanie.

Umowę studiowałem do trzeciej rano. Rzeczywiście była standardowa, ale wolałem wszystko sprawdzić.

– Tikkireyu... Tak mi teraz przyszło do głowy... Czy ty czasem nie próbujesz nas oszukać? – zastanowił się kapitan. – Zrobić dwa, trzy loty, wybrać jakąś sympatyczną planetkę i wysiąść na niej?

– Czy mam do tego prawo? – zdumiałem się. Wypadło to bardzo naturalnie.

– Masz... Tylko co ci to da? – Kapitan przyglądał mi się uważnie przez kilka sekund. – No dobrze, dajmy temu spokój.

Usiadł przy biurku, przejrzał szybko moje dokumenty, sprawdził autentyczność pieczęci ręcznym skanerem, podpisał umowę i podał mi jeden egzemplarz. Następnie wyciągnął do mnie rękę:

– Gratuluję, Tikkireyu. Od dziś jesteś członkiem grupy obliczeniowej statku kosmicznego „Klazma”.

Nie spodobało mi się to, że nie nazwał mnie członkiem załogi, lecz członkiem „grupy obliczeniowej”. A jeszcze bardziej nie spodobało mi się zdanie: „Tylko co ci to da?”, ale uśmiechnąłem się i uściśnąłem mu dłoń.

– Proszę – kapitan wyjął z kieszeni kilka banknotów. – Nie są przewidziane umową, ale to stara, dobra tradycja – przed pierwszym startem. Tylko postaraj się nie...

Zamilkł na chwilę, po czym roześmiał się:

– Nie... nie sądzę, żebyś się upił.

– Nie upiję się – obiecałem. Po tamtej wódce zemdlilo mnie w autobusie. A może to nie tylko przez wódkę, ale również przez test mojej „zdolności do pracy”...

– Zbiórka o piątej, w westybulu na dole – powiedział kapitan. – Aha i... tego również nie ma w umowie, ale jeśli nie przyjdiesz, nie podam cię do sądu. Po prostu uznam umowę za niebyłą.

– Przyjdę.

– Dobrze, Tikkireyu.

Zrozumiałem, że rozmowa dobiegła końca i wyszedłem na korytarz. Na dole w barze było również

pusto jak wczoraj, a za barem stał ten sam chłopak. Uśmiechnął się do mnie. Podszedłem i położyłem na kontuarze jeden banknot.

– To za wczoraj. I... ma pan koktajle mleczne?

– Oczywiście. – Barman wydał mi resztę. – Przyjęli?

– Przyjęli. Okazało się, że mam bardzo dobre wskaźniki. Naprawdę.

– To super. Najważniejsze, żebyś w porę skończył z tą robotą... Z czym chcesz koktajl?

– Z pomarańczami – rzuciłem na chybił trafił.

Barman skrzywił się, pochylił do mnie i powiedział konspiracyjnym szeptem:

– Zdradzę ci pewien sekret: najsmaczniejsze koktajle mleczne to te najprostsze. Na przykład z czekoladą i szczyptą wanilii.

– Dobrze – odpowiedziałem, również szeptem.

Napój rzeczywiście był smaczny. Siedziałem w barze do piątej, walizka stała bezpieczna za barem. Kilka razy byłem w toalecie, nie chciałem, żeby powtórzyła się wczorajsza wpadka. Chociaż z drugiej strony, na statku musi to być jakoś rozwiązane...

Ostatni koktajl wypilem niemal duszkiem, spoglądając nerwowo na zegarek. Ucisnąłem dłoń barmanowi i pobiegłem do westybulu.

Cała załoga już tam była. Kapitan, pierwszy oficer, lekarz i jeszcze dwóch mężczyzn, których wcześniej nie widziałem – pewnie nawigator i cargo master.

– Spóźniasz się, module – rzucił chłodno lekarz. Dotrzymał słowa – już nie byłem dla niego fajnym chłopakiem.

– Przepraszam, to się więcej nie powtórzy – wykrztusiłem. Oficer wziął ode mnie walizkę, ocenił wagę i oddał.

– Idziemy – powiedział kapitan. Wszyscy odwrócili się i ruszyli w stronę śluzy, do której już podstawiono autobus.

Nie zwracali na mnie uwagi. Drzwi autobusu zamknęły się, ledwie zdążyłem przekroczyć próg. Oficer i lekarz usiedli razem, cargo i nawigator również. Na wolnym miejscu obok siebie kapitan demonstracyjnie położył czapkę.

Poszedłem na koniec autobusu i usiadłem.

Kapitan spokojnie założył czapkę na głowę.

Autobus zaczął jechać po pomarańczowej, wypalonej słońcem glinie.

„Klazma” była standardowym masowcem, takie statki przylatywały do nas bez przerwy. Ceramiczne cielsko dwustumetrowej długości przypominało wydłużone jajo. Podczas lądowania „jajo” wysuwało opory, które teraz były niewidoczne. Wydawało się, że „Klazma” leży wprost na stopionym piasku. Właz do ładowni był zamknięty, ale w oddali kłębił się kurz wzbijany przez wielkie ciężarówki, dostarczające na statek wzbogaconą rudę.

– Ostatni rejs do tego chlewu – powiedział oficer. – Dzięki ci, Boże...

– Za to forsa nieźła – zaprotestował półgłosem ten, którego w myślach nazwałem nawigatorem. Był to starszawy Murzyn, dość tęgi, o dobrotliwej twarzy.

– Faktycznie, forsa owszem – przyznał doktor. – No i najeliśmy porządny moduł...

– To się jeszcze okaże – skrzywił się oficer.

– Porządny, porządny – powtórzył lekarz. – Co ty sobie myślisz, że nie umiem przeprowadzać testów?

Rozmawiali o mnie tak, jakbym był udanym zakupem, leżącym na tylnym siedzeniu. Zaciśnąłem zęby. Pewnie to tak specjalnie, pewnie mnie sprawdzają... Próbują się przekonać, czy naprawdę chcę z nimi pracować, czy zacznę płakać i protestować.

Autobus podjechał do śluzy i połączył się z nią. W szóstkę ledwie zmieściliśmy się w małej kabince windy. Przycisnęło mnie do kapitana.

– Przepraszam, panie kapitanie... – powiedziałem.

Milczał. Oficer dotknął mojego ramienia i podpowiedział chłodno:

– Panie kapitanie, proszę o pozwolenie zwrócenia się...

– Panie kapitanie, proszę o pozwolenie zwrócenia się...

– Pozwalam.

– Gdzie są pozostali członkowie grupy obliczeniowej? Wrócili na statek wcześniej?

Nagle poczułem strach. Pomyślałem, że w ogóle nie mają modułów, a to znaczy, że mój mózg będzie musiał pracować bez przerwy.

– Nie schodzili ze statku – odparł kapitan. O nic więcej nie pytałem.

Ze śluzy – dość dużej, ze skafandrami w oszklonych niszach, jakimiś przyrządami na ścianach i przynitowanym do podłogi flauerem – wszyscy powoli zaczęli rozchodzić się na swoje miejsca. Kapitan rzucił w przestrzeń:

– Start za pięćdziesiąt minut, za czterdzieści wszyscy mają być w sieci. Stałem z otwartymi ustami, nie wiedząc, co mam ze sobą zrobić. Dokąd powinienem iść?

Palce lekarza mocno ścisnęły moje ramię.

– Chodź ze mną.

Jechaliśmy windą, potem szliśmy korytarzem. Lekarz był poważny i skupiony.

– Przepraszam, co właściwie powinienem robić? – zacząłem.

– Do wykonywania twojej pracy nie potrzebna jest żadna wiedza – odparł lekarz. – Jesteś mózgiem w butelce, jasne? Włącz.

Pchnął mnie do przodu i znalazłem się w niewielkim pomieszczeniu. Stał tutaj stół, duży wideoekran i głębokie fotele, w których siedzieli ludzie – pozostałe moduły obliczeniowe. Było ich pięciu – trzech niemłodych, jeden w średnim wieku i siedemnastoletni chłopak.

– Dzień dobry, grupo obliczeniowa – powiedział doktor.

Cała piątka poruszyła się. Najstarsi skinęli głowami, mężczyzna w średnim wieku coś mruknął, a chłopak powiedział:

– Cześć, doktorku.

Wcale nie wyglądali na debilów, już raczej na ludzi pochłoniętych oglądanym filmem. Leciało coś przygodowego, właśnie młoda piękna kobieta udawała komuś, że potrafi wytrzymać wejście w hiper, ponieważ przeszczepiono jej chromosom Y. Ale bzdura! Jak można przeszczepić chromosom do wszystkich komórek na raz?

– To wasz nowy przyjaciel – powiedział doktor. – Nazywa się Tikkirey... jeśli kogoś to interesuje...

– Cześć, Tikkirey – powiedział chłopak. – Mam na imię Keol. Nawet się uśmiechał.

– Schodziłeś ze statku? – zapytał doktor. Keol skrzywił się.

– Nie. Nie lubię tej planety.

– Przecież ty chyba... – lekarz machnął ręką. – Dobra. Wszyscy na miejsca! Start za czterdzieści minut.

Od razu wstali. Ekran zgasł, ze szczelin wysunęło się kilka żółwików-sprzątaczy, zaczęły jeździć po podłodze. Zauważyłem, że na dywanie leżała rozsypana prażona kukurydza, papierki od czekoladek i jakieś śmieci.

– Pomóc nowemu? – zapytał Keol.

– Sam mu wszystko wyjaśnię. Przypilnuj staruszków.

– OK, doktoru – powiedział Keol.

– Trzyma się najlepiej ze wszystkich – powiedział doktor, nawet nie zniżając głosu. Keol nie drgnął, ale popatrzył na mnie.

Milczałem. Czuję dreszcz.

– Autobus jeszcze nie odjechał – powiedział lekarz. – Poprosiłem kierowcę, żeby zaczekał dwadzieścia minut. Jeśli chcesz, zaprowadzę cię do śluzy.

W gardle mi zaschło, ale jednak udało mi się poruszyć językiem:

– Nie – powiedziałem.

– To była ostatnia szansa – rzekł Anton. – Chodźmy.

W pomieszczeniu znajdowało się dziesięcioro drzwi, siedem wyróżniało się od razu – były szersze i bardziej masywne. Przez te drzwi przechodziły moduły. Doktor zaprowadził mnie do ostatnich i polecił, żebym przyłożył dłoń do płytki sensorycznej.

– Teraz to twoja „butelka”.

Pomieszczenie faktycznie przypominało leżącą butelkę, ściany i sufit wyginały się łukowato. Mieścił się tu tylko dziwny sprzęt, przypominający łóżko dla obłożnie chorego. Łóżko miało połyskliwą, sprężystą powierzchnię i otwór na środku.

– Rozbieraj się – zakomenderował lekarz. – Wszystkie rzeczy i ubranie połóż tutaj.

Rozebrałem się i włożyłem rzeczy do szafki w ścianie, również zamykanej na zamek sensoryczny. Bez słowa położyłem się na łóżku – miękkim i wygodnym.

– A więc tak – zaczął lekarz. – Najbardziej skomplikowane procesy dla modułu... Wiesz, które to?

– Wiem.

– Załatwiasz się na miejscu – wyjaśniał doktor. – Bidet jest wmontowany w łóżko i włącza się automatycznie. Jeśli zostanie zakłócona praca jelit, gniazdo samodzielnie wyda polecenie obwodowemu układowi nerwowemu. Co godzinę łóżko cię masuje. Raz na dobę gniazdo wydaje komendy skurczu mięśni, w celu uniknięcia atrofii. Stan zdrowia kontrolowany jest bez przerwy, w razie czego przychodzę i udzielam pomocy. Co jeszcze... Pokarm...

Wsunął rękę pod łóżko i wyciągnął z jakiegoś gniazda szlauch z rozszerzoną końcówką.

To nie pokarm – wyjaśnił lekarz, widząc moja minę. – To cewnik.

Przymocuj sam.

Przymocowałem.

Najbardziej ponizające było to, że lekarz stał obok, dawał rady i sypał komentarzami. Wyglądał

tak, jakby się na mnie złościł – że nie posłuchałem ich rad i przyszedłem na statek.

Drugi szlauch był „pokarmem”. Doktor dobrał mi ustnik, wziąłem go do ust.

– Pokarm jest płynny, podawany małymi porcjami. Jednocześnie następuje stymulacja odruchu ssania – wyjaśnił lekarz. – Chcesz spróbować?

Pokręciłem głową.

– Słusznie, to nic specjalnego. Odżywcze, łatwo przyswajalne, daje minimum odchodów. Nic poza tym.

Przypiął mnie do łóżka czterema szerokimi pasami i mówił:

– Zapamiętaj kolejność, później będziesz to robił sam. To bardzo proste, ręce masz wolne do końca. Potem wsuwasz je w te pętle – zamkną się automatycznie. System jest nieskomplikowany i wygodny, nie zmieniano go od pół wieku. Chcesz coś powiedzieć?

Skinąłem głową i doktor wyjął mi ustnik.

– Czy jak dolecimy, będę mógł wyjść na kosmodrom? Żeby się rozejrzeć...

– Oczywiście. – Doktor popatrzył na mnie zdumiony. – Czy wyglądamy na bandę łajdaków, więzących moduły? Tikkireyu, Tikkireyu... Najsmutniejsze jest właśnie to, że nie ma takiej potrzeby. Zapewniam cię, Tikkireyu, że gdyby podbój kosmosu wymagał wyjmowania ludziom mózgow i trzymania ich w prawdziwych butelkach, tak byśmy robili. Ludzka moralność jest nieprawdopodobnie elastyczna. Ale nie ma takiej potrzeby. Najlepsza „butelka” to twoje własne ciało. Przyjmuje się pokarm, usuwa odchody, do gniazda wtyka się kabel. To wszystko, Tikkireyu. A fakt, że niektóre moduły rzeczywiście odchodzą po wygaśnięciu kontraktu, pozwala ludziom uspokoić sumienie. Rozumiesz?

– Tak. Dziękuję... – Uśmiechnąłem się, ale wypadło to żałośnie. – Trochę... trochę się przestraszyłem. Że będziecie mnie trzymać na statku, dopóki nie zacznę wyglądać jak tamci...

Doktor Anton też się uśmiechnął. Przykucnął obok łóżka i poklepał mnie po głowie.

– No coś ty? W naszym idiotycznym, naszpikowanym prawami i regułami świecie praktycznie nie ma potrzeby stosowania przemocy. Może szkoda, że nie jest na odwrót?

Wstał, wyjął kolejny kabel. Zerknąłem w bok – to był kabel do gniazda. Zapytałem:

– Wyłączę się od razu?

– Tak, Tikkireyu. Weź ustnik.

Posłusznie wetknąłem szlauch do ust. Nie czułem żadnego smaku, wszystko zostało wielokrotnie wysterylizowane. Może trzeba było poprosić, żeby dał mi spróbować...

– Pomyślnego hipera, module – powiedział doktor. I świat znikł.

Jak strasznie bolała mnie głowa!

Jęknąłem, gdy tylko mogłem cokolwiek poczuć. W ustach miałem wstrętny posmak – jakbym żuł słodko-słoną glinę.

Pękała mi głowa i swędziało kolano. Zdrętwiała prawa ręka, jakbym próbował ją wyrwać ze ściślej pętli.

Leżałem na miejscu modułu obliczeniowego. Kabel nadal tkwił w gnieździe, teraz już wyłączony. Wyciągnąłem lewą rękę i wyszarpnąłem go. Wyplułem ustnik.

No, no!

To nie to samo, co podłączenie do szkolnego komputera!

Pasy nadal przyciskały mnie do łóżka, udało mi się je odpiąć. Wstałem. Bałem się, że będą się pode mną ugiwały nogi, ale wszystko było w porządku.

Ostrożnie dotknąłem drzwi i zajrzałem do sali ogólnej.

Stał tam Keol – nagi i blady. Drapał się po brzuchu, a na mój widok uśmiechnął się:

– A, Tikkirey! Cześć. Jak wrażenia?

– Nic szczególnego – wymamrotałem. Chyba rzeczywiście nic mi się nie stało.

– Na początku to rzeczywiście nic takiego – powiedział poważnie Keol. – Dopiero potem wszystko przestaje cię interesować. Nudzić. Należy z tym intensywnie walczyć!

Uroczyście pogroził mi palcem i powtórzył:

– Intensywnie! Wysterylizowałeś łóżko?

– Nie... jak to się robi?

– Popatrz...

Keol wcisnął się do mojej „butelki”. Pokazał – wszystko rzeczywiście było proste i niemal całkowicie zautomatyzowane. Jakby naprawdę dla obłożnie chorych.

– Ustnik też trzeba myć – wyjaśniał poważnie. – Zawsze zostają tam resztki jedzenia. I sam też się umyj! Łóżko wchłania wszystkie odchody i wydzieliny, ale umyć się trzeba. Otwórz szufladę...

Nawet prysznic tu był – giętki wąż z lejkiem na końcu i butelka żelu bakteriobójczego, zwykłego taniego żelu, jaki często kupowaliśmy w sklepie.

– W podłodze są otwory, wszystko spłynie tutaj – powiedział Keol. – Polej łóżko. Jak wyjdiesz, suszarka i ultrafiolet włączą się automatycznie.

– Dolecieliśmy, Keol? – zapytałem.

– My? – Zamrugnął oczami. – Chyba tak... Nie pytałem. Ale skoro nas wyłączyli, to pewnie wylądowaliśmy, nie?

Keol wyszedł, a ja zacząłem pospiesznie doprowadzać się do porządku. Umyłem się kilkakrotnie, wytarłem ręcznikiem wyjętym z tej samej szuflady. Wszystko zostało dokładnie przemyślane. Wszystko było proste i celowe. Co za koszmar!

Dobrze, że nie miałem zamiaru kłaść się więcej do tej trumny, ani podłączać do wyliczenia strumieniowego. Bo przecież nie miałem zamiaru? Wsłuchałem się w swoje myśli, bojąc się, że zdecydowanie osłabło.

Ale wszystko było w porządku.

Włożyłem swoje ubranie, nie dali mi przecież żadnego uniformu czy kombinezonu. No i bez łaski. Spojrzałem na datę na zegarku – oho, przeleżałem w strumieniu prawie dwa tygodnie!

Wziąłem walizeczkę i wyszedłem z butelki.

– Boli cię głowa, Tikkireyu? – zapytał mnie Keol.

– Tak – przyznałem się.

– Wypij. – Podał mi naczynie z jakimś napojem. – Specjalny środek. Uśmierza ból i tonizuje.

Keol rzeczywiście był najnormalniejszy z nich wszystkich. Nadal próbował troszczyć się o innych ludzi, a do tego potrzebna jest wola.

– Powodzenia – powiedziałem i wyszedłem na korytarz.

Drogę do służby pamiętałem, przecież niedawno szliśmy tędy z doktorem. No, dobrze, nie tak do końca „niedawno”, ale ja przecież nie pamiętałem tych dni lotu...

Zresztą i tak nie chciałem iść do służby. Nie miałem zamiaru oszukiwać kapitana i załogi. Musiałem kogoś znaleźć – i znalazłem. Wpadłem na pierwszego oficera, który szedł w stronę służby. Przyjrzał mi się uważnie, zatrzymał wzrok na walizce i powiedział:

– Jasne. Do służby?

– Nie. Szukam kapitana, chciałbym zerwać umowę. Chyba mam do tego prawo? – zapytałem.

Oficer skinął głową.

– Chodźmy...

Ale nie zaprowadził mnie do kapitana, tylko do jakiegoś pustego pomieszczenia. Usiadł przed monitorem, włączył komputer i zażądał:

– Dane kontraktu modułu obliczeniowego Tikkireya. Na ekranie pojawił się mój kontrakt.

– Masz prawo zerwać umowę i wyjść na dowolnej planecie – rzekł oficer. – Takie jest prawo. Jesteśmy zobowiązani do zapłacenia ci za lot. To wynosi... – przybliżył się do ekranu – tysiąc trzydzieści osiem kredytów.

Oho!

– Odżywianie i działanie systemu twojego łóżka liczy się oddzielnie, ponieważ zrywasz umowę przed terminem – dodał sucho oficer. – Odejmij sześćset cztery kredyty.

– Tak dużo? – zdumiałem się.

– Tak dużo. Twoje pożywienie i twoje łóżko trzeba ciągnąć w przestrzeni razem z tobą i nawet według minimalnych wewnętrznych wycen Floty daje to sporą sumę. Masz jakieś pretensje?

– Nie – powiedziałem. Wszystko było uczciwie.

– Zostaje nam czterysta trzydzieści cztery kredyty – powiedział oficer. – A teraz ubezpieczenie.

– Ależ nie trzeba. – Czułem się nie w porządku, że wykorzystałem „Klasmę” jako środek transportu i jeszcze zdzieram z nich forszę.

– Niestety, trzeba – powiedział oficer. – Zostałeś ubezpieczony na trzysta pięćdziesiąt tysięcy kredytów – takie są zasady. Składka ubezpieczeniowa wyniosła sto siedemnaście tysięcy. Teraz, jak sam rozumiesz, ubezpieczenie zostało zerwane. Składka jest bezzwrotna. Sto siedemnaście tysięcy minus czterysta trzydzieści cztery kredyty...

Odwrócił się w fotelu i spojrzał mi w oczy.

Zrobiło mi się zimno.

– Zrywając umowę, Tikkireyu, najpierw musisz uregulować kwestie finansowe. Jak myślę, jeszcze jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lotów i wyjdiesz na czysto. Za dwa lata będziesz mógł opuścić statek.

– To jest w umowie? – spytałem cicho.

– Oczywiście. Pokazać?

– Nie trzeba. Ja pamiętam... tylko nie sądziłem, że ubezpieczenie jest takie drogie...

Oficer oparł ręce o kolana, pochylił się do przodu i powiedział:

– Tikkireyu, sądzisz, że tylko ty jesteś taki mądry i tylko tobie przyszło do głowy, żeby zaciągnąć się na statek i zejść na pierwszej lepszej planecie? Nawet gdyby nasz statek leciał do rajy i miał przystanek w piekle, to i tak znalazłby się chętny, żeby z niego skorzystać! Właśnie dlatego suma

ubezpieczenia jest tak wysoka. Żeby załoga nie musiała na każdym kosmodromie szukać nowych modułów. Zatrudniłeś się, to pracuj!

Sam nie zauważyłem, kiedy zacząłem płakać.

– Więc co wybierasz? Wolisz zerwać umowę i odejść po dwóch latach jako nędzarz, czy odpracować pięć lat i zarobić swoje ćwierć miliona?

Był wyraźnie zły, że przez takiego zarozumiałego głupka jak ja nie może zejść ze statku i pójść do baru na kosmodromie, gdzie mógłby wydać swoje uczciwie zarobione pieniądze.

Ale przecież czytałem umowę! Faktycznie, niektóre rzeczy były niejasno sformułowane, o innych wspomniano przelotnie, ale...

Usiadłem na podłodze i wcisnąłem twarz w kolana. Dwa lata to dla mnie koniec. Nie wytrzymam. A pięciu to już na pewno. Nie zostanę idiotą, ale będzie mi wszystko jedno. Karmią, poją, pozwalają robić pod siebie... czego chcieć więcej...

– Uprzedzaliśmy cię, czy nie? – warknął oficer.

– Uprzedzaliście... – wyszeptałem.

Podniósł mnie z podłogi, posadził sobie na kolanach, otworzył mi usta i wsunął w nie szyjkę metalowej piersiówki:

– Pij! Histeryzujesz jak stara baba... Przełknąłem palący płyn, zakasłałem.

– To koniak – wyjaśnił oficer. – I co masz zamiar robić na tej planecie, Tikkireyu?

– Życ – wyszeptałem.

– Życ? Jak?

– Mam imperialne obywatelstwo...

– I co z tego? Myślisz, że tak łatwo jest przeżyć na obcej planecie? Tym bardziej dzieciakowi, i to w dodatku bez pieniędzy? Dostałbyś swoje żalosne cztery steki i co dalej? Tylko na waszej planecie sto kredytów to kupa forsy! Na normalnej, wysoko rozwiniętej planecie nie przeżyjesz za to nawet tygodnia!

Pchnął mnie gwałtownie:

– Idź... umyj się.

Odwrócił się do monitora i wycedził ze złością:

– Służbowy dostęp. Anulować kontrakt modułu obliczeniowego Tikkireya. Nie ubezpieczać.

Patrzyłem na niego, rozmazując łzy rękę.

– Nie ubezpieczyliśmy cię – oficer nadal był odwrócony do mnie plecami i tylko purpurowy kark zdradzał jego emocje. – I tak było jasne, po co się zatrudniłeś. Tylko Anton na ciebie stawiał, był pewien, że odpracujesz pięć lat i zachowasz wolę...

– Złamaliście prawo! – wykrzyknąłem.

– Co cię to obchodzi? Czego stoisz? Idź się myć i wynocha!

– Dokąd?

– Dokąd?! – Dopiero teraz oficer rozzłościł się naprawdę: – A dokąd chciałeś? Na planetę! Nowy Kuwejt, kolonia imperialna, standardowy rząd prawny, przyspieszona procedura uzyskania zezwolenia na pobyt stały, poziom komfortu środowiska – sto cztery procent! Odłączyliśmy cię dopiero po dwóch skokach, a wiesz, dlaczego? Bo byliśmy pewni: będziesz chciał zejść na pierwszej planecie! Nawet nie pytając, co to za planeta! A tam, dokąd zawozimy rudę, jest katorga



jeszcze gorsza od twojej!

– Dlaczego katorga... – wyszeptałem osłupiały.

– Dlatego, że twoja Kopalnia była planetą dla katorżników! Mieszkańcy kopuła są potomkami strażników. Myj się i zjeżdżaj!

Umyłem się. Długo ochlapywałem twarz zimną wodą, starając się nie trzeć czerwonych oczu. Wytarłem się ręcznikiem i wyszedłem. Oficer siedział przy monitorze i grał w szachy. Bardzo szybko, przez gniazdo, figury migwały na ekranie.

– Bierz swoje pieniądze – powiedział. – Czterysta trzydzieści cztery kredyty.

Na stole leżało siedem banknotów i cztery monety.

– Czy... czy mógłbym wytrzymać pięć lat?

– Nikt nie może wytrzymać pięciu lat bez strat, Anton jest naiwnym optymistą! Przez następnych dziesięć uczyłbyś się podejmowania decyzji. Nawet wybór jednego z trzech rodzajów... lemoniady... byłby dla ciebie ogromnym problemem. Bierz pieniądze, wstąp do Antona i spadaj! Sektor medyczny jest dwa poziomy niżej, znaki standardowe.

Nie odwrócił się.

Chciałem mu podziękować. Albo może podejść, przytulić się i znowu rozplakać. Nikt nigdy nie dał mi tak pożytecznej lekcji.

Ale czułem wstyd. Nie mogłem nawet powiedzieć „dziękuję”. Wziąłem pieniądze ze stołu, podniosłem walizeczkę, podszedłem do drzwi i już wychodząc na korytarz szepnąłem:

– Przepraszam...

Nie wiem, czy w ogóle mnie usłyszał.

Na korytarzu było cicho i pusto. Nie miałem pojęcia, jak wyglądają „znaki standardowe”, oficer przecenił moją wiedzę o kosmosie, może z powodu tamtego zdania o silnikach marszowych. No bo co, na przykład, znaczy niebieska strzałka przekreślona czerwonym zygzakiem? Albo postać człowieka z rozrzuconymi rękami na żółtym kręgu?

Oczywiście mogłem wejść do windy, zjechać dwa poziomy niżej i poszukać sektora medycznego. Ale nie potrafiłem spojrzeć w oczy Antonowi, jedynemu człowiekowi, który uznał mnie za szczerego poczciwca, a nie głupiego oszusta.

Ruszyłem do śluzy. Jeśli poziom komfortu na powierzchni planety przekracza pięćdziesiąt procent, to znaczy, że można na niej żyć bez specjalnych środków ochronnych, pamiętam to z lekcji przyrodoznawstwa. A tutaj było sto cztery procent! To znaczy, że na Nowym Kuwejcie jest lepiej niż na Ziemi. Znalazłem windę. Wszedłem, dotknąłem sensora ze strzałką w dół i winda zaczęła zjeżdżać.

To była moja trzecia planeta – ta, na której mnie nie obudzili też się liczy, chociaż nie wychodziłem ze statku, tylko leżałem w trybie strumieniowym.

Moja trzecia planeta czekała na mnie.

## Rozdział 3

Przez kilka minut stałem pod kadłubem statku – tak, żeby trochę mnie osłaniał – i patrzyłem na niebo.

Czułem się nieswojo.

Nie miałem kopuły nad głową ani maski na twarzy. Mogłem patrzeć na niebo i oddychać.

Niebo było ciemnoniebieskie, słońce żółte. Pewnie w nocy na niebie świecą tysiące gwiazd, tak jak na filmach o Ziemi. Powietrze pachniało jak w oranżerii – a przecież w okolicy nie było żadnych drzew, tylko betonowe płyty i statki. Duże kontenerowce i mniejsze transportowce, wojskowe i cywilne. Wydawało mi się nawet, że widzę kilka statków Obcych, ale stały tak daleko, że nie miałem pewności.

Trzy kilometry dalej błyszczały budynki kosmodromu. Kopuły i wieże ze złocistego metalu, przezroczystego szkła i białego kamienia. Nie tak jak u nas, gdzie wszystkie budynki są do siebie podobne, zbudowane ze standardowych bloków.

Patrzyłem na kosmodrom, powoli zapominając o wstydzie.

Miałem szczęście. Ludzie są jednak dobrzy – i u nas, i na innych planetach. Poza tym, mam w kieszeni pieniądze, kartę paszportu imperialnego, a na Nowym Kuwejcie jest uproszczona procedura otrzymania pozwolenie na pobyt stały.

Wziąłem walizkę i ruszyłem w stronę budynków.

Szło mi się lekko, miałem wrażenie, że ziemia sprężynuje, uderza mnie w podeszwy, podrzucając w górę. Pewnie mieli tu grawitację ziemską albo nawet niższą. U nas, na Kopalni, jest jedna i dwie dziesiąte standardowej jednostki.

Momentami nawet biegłem – z radości i zachwytu. W pewnej chwili obok mnie przejechał ogromny, większy od wywrotki kontenerowóz. Smagły, długowłosy chłopak wysunął się z kabiny kierowcy i coś krzyknął.

Pomachałem mu ręką.

Na kosmodrom dotarłem w momencie, gdy do ogromnych, rozsuwanych drzwi podjechało kilka autobusów z pasażerami. Z pojazdów wysypał się hałaśliwy tłum – niemal wszyscy rozmawiali w jakimś okaleczonym wariancie angielskiego. Kilku pasażerów ciągnęło za sobą sympatyczne, cylindryczne kontenery na grawipodnośniku – żony, córki albo sekretarki, które jeszcze nie wyszły z anabiozy. Kilka razy potrącano mnie i przepaszano, ja też uderzyłem kogoś walizką i przeprosiłem.

Tłum rozdzielił się na kilkanaście krótkich kolejek, szybko przesuwających się przez bramkę kontroli. Stałem w jednej z nich, podobnie jak wszyscy wyjmując kartę paszportu. Skaner mrugnął zielonym okiem, wszedłem do sali odprawy celnej. W ogromnym pomieszczeniu (jakby z zasady nie uznawano tu małych sal) z kryształowymi żyrandolami spacerowało kilkudziesięciu celników w ciemnozielonych mundurach. Znowu utworzyły się krótkie kolejki.

– Broń, narkotyki, implanty bojowe, potencjalnie niebezpieczne oprogramowanie, przedmioty o podwójnym przeznaczeniu? – zapytała mnie z uśmiechem młoda celniczka.

– Nie, nie mam nic takiego.

– Serdecznie witamy na Nowym Kuwejcie!

Przeszedłem do sali kosmodromu i z wrażenia zakręciło mi się w głowie. Tysiące ludzi,.. W mundurach (pewnie pracownicy) i bez uniformów – pasażerowie. Kolorowo ubrani,

podekscytowani, niecierpliwi ludzie...

Musiałem się trochę uspokoić, a przede wszystkim chciałem coś zjeść. Oczywiście, nie w restauracji, liczyłem, że znajdę jakiś tańszy lokal.

Krażyłem po budynku, aż wreszcie na piętrze znalazłem małą kawiarenkę, której cenniki nie wywoływały szoku. Zauważyłem, że przychodzi tu głównie obsługa – bywalcy patrzyli na mnie ze zdumieniem, ale nic nie mówili. Wziąłem befszytk z jajkiem, szklanę soku, który nazywał się jabłkowy, ale miał niebieski kolor, i poszedłem do jednego ze stolików. Stało tam dwóch strażników – z bronią przy pasie i włączonymi komunikatorami, z których dobiegały urywki zdań. Pochłonięci rozmową, nawet nie zwrócili na mnie uwagi.

– Mówię ci, że tam nikogo nie było. Niech zrobią kierowcy test na narkotyki.

– A bo to mało idiotów?

– Kto laźby trzy kilometry po lądowisku? A potem co, wyparował? Radiostacje strażników pstryknęły, ktoś powiedział coś w nieznanym gardłowym języku. Mężczyźni zostawili niedojedzone hamburgery i wyszli z kawiarni. A ja siedziałem nieruchomo ze szklanką w ręku.

Mówili o mnie. Widocznie nie wolno łązić po lądowisku... Gdybym się chwilę zastanowił, zrozumiałbym to od razu... Tam, gdzie szedłem, wymachując walizeczką, w każdej chwili mógł wylądować statek.

Przecież żaden pilot nie ryzykowałby manewrowania tuż nad powierzchnią. Rozmazałoby mnie na betonie.

Ale ze mnie kretyn!

Straciłem apetyt, ale mimo wszystko dokończyłem obiad, wypilem kwaśny sok i pospiesznie wyszedłem z kawiarni. Może ochrona trochę poszuka, a potem da sobie spokój? Może strażnicy dojdą do wniosku, że kierowcy coś się przyśniło? A jeśli się domyśla, że dołączyłem do turystów z innego statku?

Muszę się wynieść z kosmodromu, i to jak najszybciej!

Na pewno były tu jakieś miejskie środki transportu, autobusy albo kolejka. Ale tak spanikowałem, że bez zastanowienia poszedłem na postój taksówek. Setka pomarańczowych taksówek kołowych stała wzdłuż pochylni, ludzie niespiesznie wsiadali do kolejnych samochodów. Nieopodal był również postój flaków, ale wyobraziłem sobie, ile to musi kosztować, i wolałem się tam nie pchać. Stałem w ogonku i kilka minut później zajrzałem przez okienko do środka samochodu.

Kierowca był jasnoskórym, uśmiechniętym mężczyzną.

– Chciałbym pojechać do miasta, do hotelu... – wymamrotałem.

– Siadaj – mówił w lingwie. Wprawdzie z akcentem, ale niezbyt silnym.

– Ile to będzie kosztować?

– Siadaj, siadaj!

Zrozumiałem, że blokuję innych turystów i szybko wskoczyłem na tylne siedzenie. Samochód zaczął wyjeżdżać na trasę. Odwróciłem się, popatrzyłem na kopuły kosmodromu. Udało się! Wyrwałem się...

– Dokąd, mały?

– Potrzebny mi hotel – powiedziałem szybko. – Dobry, ale tani.

– Co ważniejsze? – zapytał poważnie kierowca.

– Cena.

– Rozumiem. W takim razie lepiej nie pchaj się do Agrabadu, Nowy Kuwejt to droga planeta, zwłaszcza stolica. Jest kilka moteli wokół kosmodromu, tam są umiarkowane ceny. W nich zatrzymują się ci, którzy czekają na pozwolenie na pobyt stały. To zazwyczaj spokojni ludzie, niepotrzebne im konflikty z władzami.

– To byłoby coś w sam raz dla mnie. Kierowca przyjrzał mi się uważnie.

– Skąd jesteś, mały?

– Z Kopalni.

– To planeta?

– Aha.

– Ale nazwa...

Samochód jechał szeroką, ośmiopasmową szosą. Po obu jej stronach ciągnęły się zielone łąki, chyba nawet nie obsiane niczym pożytecznym, rośliny po prostu sobie rosły. Jak na filmach!

– Masz zamiar starać się o obywatelstwo? – zapytał kierowca.

– Tak.

– Niezły pomysł – przyznał. – Ja też nie jestem stąd. El-Guess... Może słyszałeś?

– Nie – przyznałem się.

– Też dziura, pewnie taka sama jak twoja Kopalnia. Sprawa wygląda tak. Teraz masz zwykłą wizę turystyczną o nieograniczonym terminie, prawda?

– Tak... chyba.

– Żeby otrzymać prawo do pracy, potrzebujesz zezwolenia na pobyt stały. Jak już zatrzymasz się w motelu, ściągnij sobie prawo o emigracji. W zasadzie, jeśli nie wszedłeś w konflikt z prawem, jesteś młody, masz dobre gniazdo i zgadzasz się na obrzezanie...

– Na co?

– Nie wiesz, co to takiego?

– Wiem... Ale po co?

– Ja też się nad tym zastanawiałem – zaśmiał się kierowca. – A potem machnąłem ręką i zgodziłem się. Wierz mi, to wcale nie przeszkadza w życiu osobistym.

Uśmiechnąłem się, ale poczułem się jakoś nieswojo. Co za głupota!

– Niech mi pan powie, ile wynosi opłata bytowa?

– Co takiego? – zdziwił się z kolei kierowca.

– Opłata za warunki życia. Za powietrze... Pokręcił głową.

– Oddychaj, ile chcesz. Tutaj czegoś takiego nie ma. Kiepską masz ojczyznę, co?

Wzruszyłem ramionami.

– No i tak, przeczytaj sobie ustawę, zorientuj się w sytuacji, rozejrzyj, jak ludzie żyją. Jeśli ci się spodoba, złóż podanie o przyznanie obywatelstwa. Za jakieś pół roku, może rok dostaniesz pozwolenie na pobyt stały.

Całkowite prawa obywatelskie otrzymasz po zawarciu małżeństwa, urodzeniu dziecka, adoptowaniu obywatela planety, jeśli któryś z obywateli zaadoptuje ciebie. – Zaśmiał się znowu. – To ostatnie jest chyba najbardziej prawdopodobne, co?

– A ile trzeba mieć pieniędzy, żeby przeżyć pół roku? – zapytałem.

– Masz na myśli niezbędne minimum? Dach nad głową... w motelu to dwadzieścia kredytów dziennie. Wyżywienie tyle samo. Sam policz. Policzyłem. Wynik mi się nie spodobał.

– A praca? Łatwo znaleźć pracę?

– Da się żyć – pocieszył mnie kierowca. – Planeta jest bogata i nie do końca skolonizowana. Jak już dostaniesz pozwolenie na pobyt – cała naprzód!

– A bez pozwolenia?

– Zapomnij! Jak cię przyłapią, że pracujesz – choćby za jedzenie czy mieszkanie – zostaniesz wydalony.

Chyba wszystkie uczucia miałem wypisane na twarzy, bo kierowca zapytał:

– Nie jest dobrze, co?

Skinąłem głową.

– Może masz jakiś talent, wspaniały głos albo paranormalne zdolności? Wtedy przyspieszą procedurę.

Nie drwił ze mnie – naprawdę próbował mi pomóc.

– Nie...

Kierowca westchnął ciężko.

– To faktycznie niewesoło. A nie możesz wrócić na swoją planetę i zarobić tam wystarczającej sumy?

– Na mojej planecie jest bardzo kiepsko z pieniędzmi – powiedziałem. – Dwadzieścia kredytów na tydzień uważa się za niezłe zarobki.

– Uuu... – kierowca pokręcił głową i zamilkł.

– Za to mamy bardzo dobrze rozwinięty system pomocy socjalnej – próbowałem tłumaczyć. – Pensje są nieduże, ale wyżywienie, ubranie i inne rzeczy dostaje się bezpłatnie...

– Wspaniała wersja ustroju niewolniczego – powiedział kierowca. – Sprytnie wymyślone. Że też udało ci się zbierać pieniądze na bilet...

– Leciałem jako moduł sterujący.

– Ale numer! Nie bujasz?

– Niedługo, tylko dwa skoki. Mózg mam w porządku.

– I co? Uciekłeś?

– Nie, pozwolili mi zerwać kontrakt. Kierowca gwizdnął:

– Trafieś na bardzo dobrych ludzi. To tak, jakbyś wygrał w imperialnej loterii. Jedna szansa na tysiąc.

– Na dwadzieścia... – poprawiłem odruchowo.

– Pod warunkiem, że jesteś nieśmiertelny. Wygrywa co dwudziesty los loterii imperialnej, ale każdy los jest ważny przez pięć tysięcy lat. Policz sam, jakie masz szansę w ciągu stu lat.

Nic nie powiedziałem.

– O, tu jest niezły motel – stwierdził kierowca, skręcając i zatrzymując się. – To, czego potrzebujesz. Należy się dwadzieścia cztery kredyty.

Nie targowałem się, odliczyłem równą sumę.

– W zasadzie należy się też napiwek, dziesięć procent sumy – wyjaśnił kierowca. – Ale z uwagi na twoją trudną sytuację nie wezmę. Trzeba być człowiekiem...

– Wpadłem, co?

– Chyba tak, przyjacielu. Powodzenia!

Wysiadłem z taksówki i postąłem chwilę, próbując zebrać myśli. Może w ogóle nie iść do motelu? Zamieszkać w lesie, tak jak bohaterowie książek przygodowych? Kupować tylko najtańsze jedzenie...

Ale nie miałem pojęcia, jak przeżyć w lesie. Na Kopalni w ogóle nie ma lasów.

Poszedłem do motelu.

Przypominał nasz park publiczny, tylko pośród drzew ustawiono małe domki, a gdzieś tam stały samochody z przyczepami mieszkalnymi albo furgonetki. Zauważyłem kilka większych i ładniejszych budynków, to pewnie kawiarnia i pomieszczenia administracyjne.

Pierwszą osobą, jaką spotkałem w motelu, był Obcy.

Początkowo wydawało mi się, że z naprzeciwka idzie chłopak w moim wieku. Potem pomyślałem, że to bardzo niski dorosły. Uprzejmie spytałem:

– Przepraszam, gdzie mógłbym wynająć pokój?

Zapytany zatrzymał się. Dopiero teraz zobaczyłem, że miał na sobie tylko szorty, odsłaniające włochate, jakby pokryte futrem nogi. Miał małe uszy i bardzo duże oczy.

O rany, niziołek!

– Dzień dobry, ludzkie dziecko – powiedział czysto i melodyjnie. – Jeśli chcesz wynająć tu pokój, musisz cofnąć się o czterdzieści metrów i wejść do budynku z napisem „Wynajem”. Znajdujący się tam personel odpowie na wszystkie twoje pytania.

Przełknąłem ślinę i skinąłem głową.

– Czekam – rzekł zdumiony niziołek.

– Dziękuję... dziękuję – wyjąkałem.

– Cieszę się, że mogłem być pomocny – odpowiedział niziołek i ruszył dalej. Wydawało mi się, że poczułem jego zapach – delikatny i przyjemny, jakby kwiatowy.

A może po prostu używał wody kolońskiej. Albo to pachniały prawdziwe kwiaty – było ich tu tak dużo, że od różnorodnych zapachów kręciło się w głowie.

Poczekalem, aż niziołek się oddali i szybko wróciłem.

Domki wynajmowała tak fajna i miła dziewczyna, że na chwilę zapomniałem o wszystkich problemach.

Od razu domyśliła się, że jestem z innej planety. Porozmawialiśmy chwilę, opowiedziałem jej o Kopalni, o tym, że chcę dostać pozwolenie na pobyt stały, ale może mi nie starczyć pieniędzy. W efekcie dostałem pokój za dziesięć kredytów na dobę. Wprawdzie domek był w najodleglejszym końcu motelu i daleko od drogi, ale co to za różnica? Dziewczyna ściągnęła z sieci i wręczyła mi kopię ustawy o emigracji, żebym nie musiał wydawać niepotrzebnie pieniędzy na płatny terminal w pokoju. I jeszcze poczęstowała mnie filiżanką herbaty!

Ona była z Nowego Kuwejtu, ale jej ojciec też kiedyś wyemigrował – w dodatku z Ziemi! I chociaż miała dopiero dwadzieścia dwa lata, już odwiedziła Ziemię – ostatnie klasy college’u obowiązkowo jeździły na wycieczkę na Ziemię, Eden lub Avalon – do wyboru. I wcale nie martwiło

jej to, że musiała lecieć w anabiozie. W końcu, cóż jest takiego interesującego w dwutygodniowym locie przez hiperprzestrzeń? Nawet niektórzy chłopcy zgodzili się na anabiozę, żeby nie tracić czasu i szybciej zobaczyć Ziemię. Moja nowa znajoma była w Londynie, w Jerozolimie, w Żytomierzu i we wszystkich słynnych miejscach. A potem z babcią jeździły po odeskich sawannach i polowały na lwy. Sawanny nie lubią obcych, więc przygód miały co niemiara.

Tak nam się ciekawie rozmawiało, że posiedziałbym z nią nawet kilka godzin, ale przyszedł jakiś długowłose typ, który chciał wynająć pokój i musiałem iść. Dostałem klucz i prospekt motelu ze szczegółową mapą, więc bez trudu znalazłem swój domek.

Wnętrze było bardzo sympatyczne.

Drewniane łóżko z czystą pościelą, stół, dwa krzesła i dwa fotele, niewielki wideoekran. Był bezpłatny, więc od razu go włączyłem, ustawiając na miejscowy kanał wiadomości. Przez wielkie okno miałem widok na prawie cały motel – mój domek stał na wzgórzu. Tuż za nim zaczynało się ogrodzenie, dalej były pola, a jeszcze dalej wznosiły się wieżowce stolicy. Otworzyłem okno na oścież i stałem, uśmiechając się i oddychając głęboko. Powietrze pachniało czymś słodkim.

Musiało mi się tu udać!

Przecież zdołałem dolecieć na inną planetę jako moduł i nie zmienić się w zombi. Mam dach nad głową i trochę pieniędzy.

Przejrzałem ustawę, wydała mi się logiczna i rozsądna. Byłem wymarzoną kandydatem – młody, płeć męska, nie łamiący prawa... Raz tylko przeszedłem przez lądowisko, ale przecież mnie nie złapali. Czuję się trochę nieswojo na myśl, że będę musiał się obrzezać na znak szacunku dla kulturowych i historycznych tradycji narodu, ale skoro trzeba... Poza tym tutaj można mieć trzy żony. Już wcześniej słyszałem, że na wielu planetach jest taki zwyczaj, ale do tej pory był to problem wyłącznie abstrakcyjny. A teraz wychodziło na to, że jak dorosnę, będę miał trzy żony. A gdyby tata miał trzy żony? Jakbym się do nich zwracał? Ciociu? Zresztą tata by pewnie osiwiął. Dasz prezent jednej żonie, inne się obrażą...

Potem doczytałem się, że tylko czterdzieści procent mężczyzn ma więcej niż jedną żonę, i uspokoilem się.

Godzinę później skończyłem wypełnianie dokumentów, włączyłem terminal i przesłałem podanie o przyznanie obywatelstwa na adres ministerstwa do spraw emigracji Nowego Kuwejtu. W miejscu, które zostawiono na uwagi specjalne, napisałem, że mam bardzo mało pieniędzy i „proszę o jak najszybsze rozpatrzenie mojej prośby”. Wypadło to szczerze i godnie. Nie skarżę się, tylko wyjaśniam swoją sytuację.

Terminal wydał mi pokwitowanie, że prośba została przyjęta i będzie rozpatrzona w odpowiednim terminie. Napisano również, że do czasu rozpatrzenia podania mogę korzystać z praw turysty, ale nie wolno mi pracować „ani w legalnym, ani w nielegalnym biznesie Nowego Kuwejtu”.

Położyłem się na łóżku i zacząłem oglądać wiadomości. Sporo się dowiedziałem o życiu mieszkańców Nowego Kuwejtu. Pokazywano na przykład wizytę sułtana na jakimś Północnym Archipelagu, gdzie powstanie ogromny kompleks energetyczny. Zobaczyłem zaśniewane wyspy, zimne, ciemne morze, a nawet sułtana – wcale nie był stary i miał mądrą, uczciwą twarz. Oglądałem wiadomości przez pół godziny i ostatecznie przekonałem się, że Nowy Kuwejt to naprawdę fajna planeta. Była tu dżungla, w dodatku bezpieczna, były morza, oceany, pustynie i lasy. Nie to, co u nas, gdzie poziom komfortu życia wynosił pięćdziesiąt jeden procent. Potem pokazywano uroczyste zamknięcie festiwalu hip-hopu, który odbył się w Agrabadzie: na otwartej scenie przed wspaniałym

pałacem skakały jakieś dziewczyny i coś śpiewały. Płonęła kolorowa holograficzna iluminacja, widzowie klaskali i też śpiewali.

Obejrzałem również wiadomości galaktyczne. Wojenna flota planety o nazwie Szron przekroczyła wszelkie dopuszczane przez Imperium granice i nadszedł czas, by sprawą zainteresowała się Ziemia i sam Imperator. Wspomniano o wyścigach galaktycznych, w których rzecz jasna prowadzi załoga niziołków, a o drugie miejsce walczy najlepszy jacht Avalonu, „Camelot”, i kilka statków Obcych. Dowiedziałem się o epidemii dżumy dymienicznej, jaka wybuchła w jakiejś małej kolonii. Zobaczyłem statki kordonu sanitarnego Imperium, które zablokowały planetę, nie pozwalając mieszkańcom odlecieć. Ciągłe nie ma lekarstwa na tę chorobę, jest śmiertelna i zakaźna, więc uchodźcy z zadżumionej planety mogliby zarazić wszystkich ludzi i prawie wszystkie rasy Obcych. Pokazywano zdjęcia z planety – przepełnione szpitale, przerażeni lekarze w hermetycznych skafandrach, pokryci wrzodami chorzy... Choroba zaczynała się zwykłą czerwoną wysypką, przechodzącą potem w pęcherze, a na końcu ciało rozpadało się... Wyłączyłem ekran. Co za koszmar... Jak byłem mały, zawsze bałem się, że zachoruję na coś strasznego i nieuleczalnego. Wiedziałem, że można wynaleźć lekarstwo na każdą chorobę, ale niekiedy potrzeba na to kilku lat, a w tym czasie wymierają całe planety... Nie chciałem o tym myśleć, a w dodatku poczułem, że swędzi mnie skóra – pierwszy objaw dżumy.

Zamknąłem domek i wyszedłem się przejść. I tak nie miałem nic do roboty, a bardzo chciałem popatrzeć na Obcych. Skoro są tu niziołki, mogą być również inni kosmici...

Ale spotykałem jedynie ludzi. Powoli zapadał zmierzch i camping zaczął się ożywiać. Przed domkami i samochodami goście rozpalali ogniska albo przenośne kuchenki gazowe, przygotowywali kolację. Mogli wstąpić do restauracji, ale widocznie stwierdzili, że fajniej przygotować jedzenie samodzielnie. Ja nie miałem żadnych produktów, więc poszedłem do restauracyjki, zamówiłem zupę mięsną, ragout z jarzyn i sok pomarańczowy. W rogu grał na gitarze młody chłopak. Od czasu do czasu kelnerka przynosiła mu kieliszek wina, on pił, a potem znowu śpiewał. Czułem się wspaniale, zupełnie jakby było jakieś święto.

Humor psuło mi tylko coraz silniejsze swędzenie pleców. Co za głupie przywidzenia – przecież nie mogłem zarazić się dżumą! Nie miałem gdzie!

Wypiłem sok i wróciłem do domku.

Na niebie płonęły gwiazdy – jasne i piękne, nie zasłonięte żadną kopułą. Szedłem z zadartą głową i próbowałem odnaleźć znajome gwiazdozbiory, ale jakoś nie mogłem się w tym wszystkim połąpać.

Tak się cieszyłem, że tu przyleciałem!

Jacy mili ludzie ta załoga „Klazmy”...

Jak już się wzbogacę, to ich odszukam. Latają na różne planety, więc na pewno przylecą kiedyś na Nowy Kuwejt. Zaproszę ich do najlepszej restauracji i podziękuję za to, co dla mnie zrobili.

Obudziłem się wcześniej rano.

Strasznie swędziały mnie plecy i ręce, a z nosa mi ciekło, jakbym miał katar. Przez minutę leżałem pod kołdrą, próbując wmówić sobie, że to złudzenie, ale z każdą chwilą bałem się coraz bardziej.

W końcu wstałem i pobiegłem do łazienki – wisiało tam duże lustro.

Ręce i brzuch pokrywała drobna, czerwona wysypka.

Gdy sztywny z przerażenia odwróciłem się, zobaczyłem, że na plecach wysypka tworzy wielkie, czerwone plamy.



Dokładnie takie same jak w reportażu z zarażonej planety.

– Nie! – krzyknąłem. Chciałem się uszczypnąć – może to tylko zły sen?

Ale wiedziałem, że nie śpię.

Dżuma...

Nieuleczalna choroba!

Przez dwa dni będę miał plamy, katar, będę czuł nieznośne swędzenie, będą mnie bolały oczy. Zresztą oczy już mnie piekły, jakby ktoś sypnął w nie piaskiem. A potem wysypka przemieni się w pęcherze i zaczęną zarażać. Trzy dni później umrę.

Ale przecież nie mogłem zarazić się dżumą! Nie mogłem!

Planeta, na której była epidemia, znajduje się bardzo daleko od Kopalni!

A może...

Pomyślałem, że „Klazma” mogła zawozić naszą rudę na tę planetę. No to co, że leżałem w „butelce”, czy to ma być przeszkoda dla zarazy? A tamten chłopak, Keol, drapał się po brzuchu! Może zaraziłem się do niego? Albo od pierwszego oficera? U każdego człowieka choroba przebiega w nieco inny sposób, u mnie mogła rozwinąć się szybciej...

To znaczy, że moi znajomi z „Klazmy” już nie żyją. Dobrze, że zdążyli odlecieć z Nowego Kuwejtu, dzięki temu miejscowe władze nie dowiedzą się o mnie, nie zaczną mnie szukać...

A może lepiej, żeby mnie znaleźli?

Wtedy na pewno zawiozą mnie do szpitala, umieszczą w hermetycznym pomieszczeniu, będą mnie leczyć... Ale dżuma nie można wyleczyć i dlatego umrę w tej izolatce.

Wiedziałem teraz, co czuli moi rodzice, gdy korzystali ze swojego prawa do śmierci. Niby jeszcze żyjesz, ale już wiesz, jak i kiedy umrzesz.

To było straszne. Spociałem się, może to była gorączka, a może strach? Bose stopy zaczęły ślizgać się po gładkich płytkach podłogi. Wszedłem do kabiny prysznic, puściłem wodę i usiadłem w kucki. Zimne strugi chłostały mnie w plecy, swędzenie słabło...

Nie chcę umierać!

Tym bardziej teraz, gdy wszystko zaczęło się tak fantastycznie układać, gdy trafiłem na taką ekstra planetę, najfajniejszą w całym Wszechświecie! Gdy poznałem taką świetną dziewczynę w administracji! Gdy moje podanie o przyznanie obywatelstwa przyjęto do rozpatrzenia!

Dlaczego tak się stało? Dlaczego?

Co ja takiego zrobiłem? Gdyby rodzice mieli pracę, żyliby nadal. Gdyby żyli, nie nająłbym się jako moduł. Przecież nigdy nikomu nie zrobiłem żadnej krzywdy! W każdym razie żadnej poważnej krzywdy, rozbity nos albo wpuszczony do cudzego komputera wirus się nie liczy...

Siedziałem tak, aż w końcu zmarłem. Wszedłem spod prysznic i znowu przejrzałem się w lustrze, jakbym miał nadzieję, że woda zmyje wysypkę.

Wysypka była na swoim miejscu. Na zbielełej z zimna skórze zrobiła się nawet wyraźniejsza.

Umrę. I nie dość, że umrę, to jeszcze zarażę wszystkich dookoła. Ale ja nie chcę wzywać lekarzy, nie chcę, żeby zamknęli mnie w izolatce! Całe życie przeżyłem pod kopułą, przez dwa tygodnie leżałem w „butelce”! Nie chcę!

...A jeśli na Nowym Kuwejcie ktoś przeżyje, będzie przeklinał mnie przez tysiące lat. Będzie o mnie myślał jak o tchórzliwym, głupim dzieciaku, który zaraził się sam i jeszcze zaraził innych.

Umrze zarozumiały niziołek i kierowca, który nie chciał ode mnie napiwku, i ochroniarze na kosmodromie, którzy mnie nie znaleźli, i dziewczyna, której ojciec pochodził z Ziemi, i tamten chłopak, który tak fajnie grał na gitarze...

Wszyscy umrą. Przeze mnie.

Moi rodzice też chcieli żyć. Mogli wyjść z kopuły razem ze mną i wtedy żyliby jeszcze rok albo dwa. Ale dla nich najważniejsze było to, żebym ja żył długo i szczęśliwie. Dlatego poświęcili siebie.

A teraz z powodu ich ofiary umrze cała planeta.

Bo jestem tchórzem i egoistą. Bo nie chcę wezwać lekarza, nie chcę umierać w klatce...

Wytarłem się ostrożnie, skóra strasznie swędziała. Włożyłem dzinsy i usiadłem przed terminalem. Zacząłem szukać w spisie usług motelu lekarza.

Lekarza nie było. Mogłem się najwyżej skontaktować ze służbą miejską, ale tego akurat bardzo się bałem.

Przejrzałem listę mieszkańców motelu – tych, którzy udostępnili swoje dane. Był tutaj niziołek, o długim i skomplikowanym imieniu, i jakaś rodzina książąt Piętrowych, byli turyści i komiwojażerowie, a nawet sportowcy, którzy przyjechali na jakieś zawody, ale lekarza nie było.

Znalazłem za to jakiegoś mężczyznę. Nazywał się „Staś”, a w rubryce „zawód” miał wpisane „kapitan”.

Taki kapitan powinien zrozumieć całą powagę sytuacji...

Wybrałem jego numer. Była piąta rano, za oknem zupełnie ciemno, ale jakie to ma teraz znaczenie...

Kapitan odebrał natychmiast i na ekranie pojawił się ciemny pokój, podobny do mojego, i jasnowłosey, chyba czterdziestoletni mężczyzna, który w jakiś sposób przypominał mi ojca Gleba. Na mój widok sposepniał i rzucił gniewnie:

– Co to za wygłupy?

– Kapitan Staś?

– Tak.

Jego twarz od razu spoważniała, widocznie zrozumiał, że nie zadzwoniłem przypadkiem i że nie był to głupi żart.

– Nazywam się Tikkirey. Mieszkam w tym samym motelu, co pan. W domku numer sto czternaście.

– Widzę – rzekł kapitan. – Co dalej?

– Czy... czy mógłby mi pan pomóc?

– Mógłbym. Co się stało?

Zdawało mi się, że on nadal nie rozumie, dlaczego budzę go o świcie, i od zrobienia mi awantury powstrzymuje go tylko grzeczność. Może dlatego wypaliłem od razu:

– Kapitanie Staś, mam dżumę. Wie pan, co należy robić.

– Co to za bzdury, Tikkireyu? – zapytał ostro kapitan.

– To nie są bzdury! – krzyknąłem i podszedłem, żeby mógł zobaczyć czerwone plamy na moim ciele. – Jestem chory na dżumę! To bardzo niebezpieczne!

– Skąd pochodzisz? – spytał kapitan po chwili milczenia.

– Z Kopalni. To taka planeta, na której wydobywa się rudę... Wyleciałem z niej jako moduł sterujący na statku „Klazma”, potem robiliśmy gdzieś przystanek, ale ja tam nie wychodziłem,

wysiadłem dopiero tutaj, bo pozwolili mi zerwać umowę, ale pewnie wstąpiliśmy na tę planetę, na której jest epidemia...

– Ucisz się na chwilę – powiedział bardzo spokojnie Staś. – Podejdź do monitora i popatrz prosto w kamerę. Przysuń do niej twarz.

Spełniłem polecenie.

– Siedź w swoim domku i nigdzie nie wychodź – polecił Staś. – Zaraz do ciebie przyjdę. Zrozumiałeś?

– To bardzo zaraźliwe – ostrzegłem go.

– Domyślam się. Nie ruszaj się z miejsca.

## Rozdział 4

Kapitan był u mnie pięć minut później. Drzwi otworzyłem już wcześniej i teraz, gdy pisnął brzęczyk, krzyknąłem:

– Niech pan wejdzie!

Myślałem, że włoży skafander hermetyczny, ale kapitan Staś był w zwykłym ubraniu – w dzinsach i koszuli – tylko przy pasie miał kaburę z pistoletem.

– Wstań, Tikkireyu – powiedział Staś, nie ruszając się od drzwi. Wstałem.

– Odwróć się do mnie plecami. Dobrze. Siadaj...

Z całkowitym spokojem podszedł do mnie, ujął za podbródek, odchylił moją głowę i uważnie popatrzył w oczy.

– Masz silny katar?

– Tak...

– Powiedz mi jedną rzecz, Tikkireyu... Byłeś u waszego lekarza, zanim zszedłeś ze statku?

– Nie.

– Co za głupi chłopiec... – powiedział Staś i roześmiał się. Nigdy bym nie przypuścił, że wśród kapitanów zdarzają się tacy sadyści! Chichotał mi prosto w twarz, w twarz człowieka umierającego na dżumę! – Nieprawdopodobne... Marsz do łóżka!

Nic nie rozumiałem. Staś wyciągnął z kieszeni małe pudełeczko, wyjął jednorazową strzykawkę wypełnioną jakimś roztworem i polecił:

– Kładź się i ściągnij spodnie.

– Dżuma jest nieuleczalna... – wyszeptałem.

– Nie masz żadnej dżumy! – Podniósł mnie i popchnął w stronę łóżka. – No, już! Jak się wstydzisz, to daj rękę, ale będzie bardziej bolało.

– Co chce mi pan wstrzyknąć?

– Modulator immunologiczny.

Chyba nie miał zamiaru ze mną dyskutować. Kazał mi się położyć, opuścił mi spodnie i z rozmachu wbił strzykawkę w pośladek. Krzyknąłem cicho.

– Teraz trochę zapieczę, ale na to już nic nie poradzę – powiedział Staś, naciskając tłok. – Potraktuj to jako zapłatę za własną głupotę.

– A co mi jest?

– Masz alergię. Najzwyklejszą w świecie alergię na nową planetę. Co z tobą, chłopie, nie czytałeś książek, nie oglądałeś filmów, nie chodziłeś do szkoły? Przed wyjściem ze statku na jakąkolwiek planetę, choćby to był raj... a zwłaszcza, jeśli to jest raj – raj zazwyczaj obfituje w roślinność... należy przyjąć immunomodulator. Przecież tu są pyłki, kurz, nasiona, drobinki obcej biosfery... Twój system immunologiczny dostaje kręcka, rozumiesz?

Ale ze mnie kretyn!

Wcisnąłem twarz w poduszkę, podciągnąłem dzinsy i leżałem nieruchomo. Najbardziej na świecie chciałem, żeby kapitan Staś teraz wyszedł. Nawet, gdybym miał umrzeć od tej głupiej alergii.

Ale kapitan nie wychodził.

– Wstyd ci? – zapytał.

Odruchowo skinąłem głową, chociaż trudno to zrobić z twarzą wciśniętą w poduszkę.

– Nie przejmuj się, każdemu mogło się zdarzyć – pocieszył mnie kapitan. – W jednej książce historycznej czytałem o bardzo podobnym wypadku, tylko tam dorosły człowiek najadł się truskawek i wysypkę alergiczną wziął za spontaniczną pozytywną mutację... Poza tym, od alergii też mógłbyś umrzeć. Gdybyś dłużej zwlekał z powiadomieniem kogokolwiek, mogłoby dojść do obrzęku płuc albo szoku anafilaktycznego. Nieprzyjemna sprawa, co? A wszystko z powodu jakichś tam pyłków!

– Przepraszam... – wyszeptałem.

– Opowiedz lepiej, jak się tu znalazłeś, Tikkireyu ze statku „Klazma”.

– Nie należę do załogi „Klazmy”, leciałem z nimi tylko dwa tygodnie.

– Pamiętam, jako moduł sterujący. Opowiedz, jak się w to wpakowałeś i jak zdołałeś się wykaraskać.

Usiadłem na łóżku. Pośladek bolał po zastrzyku, ale nic nie mówiłem. Kapitan Staś patrzył na mnie z uśmiechem.

Może wszyscy ludzie to czują, a może tylko niektórzy – ale ja zawsze wiem, kiedy ktoś rozmawia ze mną z grzeczności, a kiedy ze szczerego zainteresowania. Nasza nauczycielka psychologii (zawsze prowadziła ciekawe zajęcia) mówiła, że wyczuwanie nastroju rozmówcy to naturalna, obronna zdolność psychiki dziecka, która zazwyczaj mija z wiekiem.

Kapitan Staś naprawdę był ciekaw i chciał ze mną rozmawiać. Kapitan „Klazmy” (nawet nie znałem jego imienia!) też pewnie zrobiłby mi zastrzyk, ale zaraz potem by wyszedł. Pierwszy oficer dodatkowo wyjaśniłby, na czym polegał mój błąd. Lekarz Anton wysłuchałby mnie z grzeczności.

A Staś, mimo że trochę się złościł o tę poranną pobudkę, naprawdę chciał ze mną porozmawiać.

Zacząłem opowiadać. Od samego początku – od momentu, gdy tata stracił pracę.

Kiedy wyjaśniałem mu zagwarantowane konstytucją prawo do śmierci, Staś zaklął, wyjął papierosy i zapalił. Na Kopalni niewiele osób paliło – za taki luksus wносиło się dodatkowe opłaty.

Nim skończyłem opowiadać, kapitan zdążył wypalić trzy papierosy. Chyba moja historia bardzo go zdenerwowała.

– Wiesz, Tikkireyu, początkowo myślałem, że to pułapka – powiedział w końcu.

– Co?

– Twój telefon. O dzumie. Od razu wiedziałem, że nie masz żadnej dzumy – źrenice nie są rozszerzone, nie ma wysypki nad brwiami... Nie obawiałem się zarażenia. Ale po co miałbyś dzwonić po nocy do obcego człowieka?

– Pomyślałem, że skoro jest pan kapitanem... Staś skinął głową.

– Rozumiem. Ale wyglądało mi to na pułapkę albo prowokację. Dobrze, Tikkireyu, dajmy temu spokój. Ostatnie dni bardzo dały mi w kość i teraz zaczynam się bać własnego cienia. Powiedz, co planujesz?

Ciekawe, kto i w jakim celu miałby zastawiać pułapkę na kapitana statku kosmicznego? Nigdy o czymś takim nie słyszałem, ale nie odważyłem się zapytać.

– Będę czekał, aż dostanę zezwolenie na stały pobyt. Skinął głową.

– Rozumie pan – wyjaśniłem szybko – skoro władzom Nowego Kuwejtu rzeczywiście zależy na nowych imigrantach, to powinny przecież różnicować swoje podejście do petentów, prawda? A ja

jestem młody, zdrowy, mam dobre gniazdo...

– Jakie?

– Creative gigabyte.

– Wersja chipu?

– Jeden zero jeden.

– Chłopcze... – Staś uśmiechnął się dobrodusznie. – To tylko w waszym chlewie... wybacz, przyjacielu... można je uznać za dobre. A to jest bogata planeta, tutaj już dawno przeszli na poważniejsze modele. Zresztą, to kwestia przyzwyczajenia. Ja też mam creative'a, tylko jeden zero cztery.

– Poważnie?

– Absolutnie. Nie lubię zmieniać sprzętu co rok. Na twoim miejscu nie liczyłbym na rozpatrzenie sprawy w trybie pilnym.

– To co mam zrobić, kapitanie Stasiu?

Czułem, że mogę być z nim szczery i bez skrępowania pytać o radę.

– Właśnie się zastanawiam, Tikkireyu. Chciałbym ci pomóc, ale na razie nie wiem, jak ułożą się moje własne sprawy. – Uśmiechnął się krzepiąco. – Przestało swędzić?

Ze zdumieniem zauważyłem, że faktycznie już mnie nie swędzi.

– Aha!

– To dobrze. Niedługo muszę wyjechać, Tikkireyu. Jeśli dotrzymasz mi towarzystwa, zjemy razem śniadanie. – Znowu się uśmiechnął. – Ja stawiam.

Oczywiście nie odmówiłem. Musiałem przecież oszczędzać pieniądze.

Godzinę później, gdy kapitan Staś wyjechał już z motelu w swoich sprawach, siedziałem na tarasie restauracji z filiżanką kawy i patrzyłem na wschód słońca. Kapitan poradził mi, żebym przez kilka dni nie pił soków i nie jadł surowych owoców. Posłuchałem go. Tym bardziej, że zarówno kawa, jak i herbata były tu bardzo smaczne.

A co najważniejsze – żadnej kopuły nad głową...

Samego wschodu słońca nie widziałem, przeszkadzał mi las. Ale i tak miałem fantastyczny widok – patrzyłem jak niebo staje się coraz jaśniejsze i z czerni przechodzi w ciemny granat, jak gasną gwiazdy, wszystkie, prócz dwóch najjaśniejszych, które widać nawet w dzień, jeśli się dobrze przyjrzeć.

Od czasu do czasu bardzo wysoko przelatywały samoloty albo małe iskielki flajerów. Statki kosmiczne startowały raz na pół godziny. Jeszcze nigdy nie czułem się tak fajnie... Teraz ostatecznie uwierzyłem w to, że już zawsze i wszędzie będę spotykał dobrych ludzi, takich jak załoga „Klazmy” czy kapitan Staś, i na pewno poradzę sobie ze swoimi problemami!

– Hej, mogę się przysiąść?

Odwróciłem się i zobaczyłem chłopca w moim wieku, może trochę starszego. Stał ze szklanką jakiegoś napoju i patrzył na mnie nieprzyjaźnie.

– Jasne, siadaj. – Przesunąłem trochę swoje krzesło, robiąc mu miejsce przy stoliku.

– To najlepsze miejsce do oglądania wschodu słońca – wyjaśnił chłopak, siadając obok. – Dlatego tu usiadłeś?

– Tak. Więc to twoje miejsce?

– Moje... Dobra, siedź sobie, przecież go nie kupiłem... Patrzyliśmy na siebie czujnie. To tylko z dorosłymi łatwo wyczuć, czy są dobrzy czy źli. A on nie dość, że był moim rówieśnikiem, to jeszcze nie przypominał żadnego z moich kolegów. Smagły, chudy, pewnie z dużą domieszką krwi azjatyckiej. Miał dziwną fryzurę, włosy zaczesane na bok, tak żeby odsłaniały gniazdo nad prawym uchem. Na Kopalni było odwrotnie, wszyscy starannie zasłaniaли gniazdo włosami. Ubrany był w biały garnitur, jakby za chwilę wybierał się do teatru albo na jakieś zebranie.

– Jak masz na imię? – zapytał chłopiec.

– Tikkirey, albo Tik, albo Kir. Ale to dla przyjaciół. Zamyślił się na chwilę i powiedział:

– A ja nazywam się Lion. Nie Leon, tylko Lion. Rozumiesz?

– Jasne.

Zamilkliśmy. Przyjmująca zamówienia dziewczyna zrozumiała, że nie poprosimy o nic więcej i znikła w głębi restauracji.

– Jesteś stąd? – zapytał Lion.

– Nie, wczoraj przyleciałem. Jestem z Kopalni. To taka planeta, wydobywa się tam rudę.

Lion uśmiechnął się od razu.

– Ja jestem tu od tygodnia. Jesteśmy z Obsługi-7, to nie planeta, tylko stacja kosmiczna w wolnej przestrzeni międzygwiazdnej. Jest tam wygodny węzeł hiperkanałów i postanowiono zbudować stację. Najbliższa kolonia, oddalona o osiem lat świetlnych, to Dżabber.

– O rany!

– Moi rodzice ostatnio doszli do wniosku, że dosyć już życia z „kosmikami” i najwyższa pora osiąść na jakiejś planecie. Mam jeszcze młodszą siostrę i brata. Jak będziesz ich zaczepiał, to oberwiesz.

– Nie mam zamiaru ich zaczepiać!

– Ja tylko tak, na wszelki wypadek – pospieszył z wyjaśnieniem Lion. – Żeby nie było, że nie wiedziałeś. A ty masz rodzeństwo?

– Nie.

– A kim są twoi rodzice? Bo mój tata jest inżynierem, a mama programistką.

– Moi rodzice umarli. – Nie opowiedziałem mu, jak i dlaczego.

– O jejku, przepraszam – Lion od razu zmienił ton. – To z kim tu jesteś?

– Sam.

– Masz obywatelstwo?!

– Tak. Imperialne.

Chyba trochę mi zazdrościł. Chociaż, czego tu zazdrościć, na Kopalni obywatelstwo otrzymuje się wtedy, gdy zużycie tlenu i produktów żywnościowych zacznie wynosić połowę dorosłej racji.

– I teraz chcesz się przenieść na Nowy Kuwejt?

– Tak.

– Super. – Lion podał mi rękę. – Wiesz co, Tikkireyu, nie bijmy się, dobra?

– Dobra – stropiłem się. – A powinniśmy?

– Bo widzisz... u nas jest taki... był taki zwyczaj, że jak się zawiera z kimś znajomość, to trzeba. Ale przecież jesteśmy teraz na nowej planecie!

Uśmiechnęliśmy się obaj. Widocznie Lion nie lubił bójek i konieczność bicia się w celu zawarcia znajomości trochę go peszyła.

– Ładnie tu, prawda? – zapytał.

– Aha. U nas wszyscy mieszkają pod kopułami, a atmosfera jest bardzo pylista. Nie ma takiego świtu.

– A u nas w ogóle nie było słońca – wyznał Lion. – Nad stacją wisiała taka wielka kula plazmowa i ona zapewniała oświetlenie. Ale to nie to samo. Nigdy jej nie gasili, nawet w nocy, tylko trochę zmieniali spektrum.

– Nasze słońce jest bardzo aktywne – powiedziałem. – Dlatego wszyscy przechodziliśmy pozytywne mutacje, żeby wytrzymać radiację. Znoszę strumień promieniowania sto razy lepiej niż zwykły człowiek.

– A ja mam tylko zwykłą mutację, ogólnozdrowotną. – Lion trochę stracił humor. – I moje kości są dostosowane do niskiej grawitacji. Tikkireyu, umiesz pływać?

– Umiem.

– To chodźmy! – Lion jednym haustem dopił swój napój i zerwał się z miejsca. – Tu jest jezioro, dwadzieścia minut drogi stąd! Prawdziwe! Ma naturalne brzegi, rośnie tam trzcina i nawet są ryby! Nauczysz mnie pływać?

– Mogę spróbować...

Lion ciągnął mnie za rękę, trajkocząc bez przerwy:

– Ciągłe proszę ojca, żeby mnie nauczył, ale on zawsze mówi, że nie ma czasu. Ale myślę, że on sam nie umie. U nas na stacji były dwa baseny, ale bardzo płytkie. Ja cię też czegoś nauczę, chcesz? Jak się bić przy niskiej grawitacji. Jest taka specjalna metoda walki. A dlaczego masz całą twarz w plamach, to też mutacja, czy choroba?

– To alergia.

– Miałem kiedyś alergię na czekoladę i pomarańcze. Ale draństwo, nie? Dlaczego akurat na czekoladę i pomarańcze? Już bym wolał na kalafiora i mleko...

Wieczorem wiedziałem już, że mam nowego przyjaciela.

Oczywiście, w ciągu jednego dnia nie udało mi się nauczyć Liona pływać, ale umiał już utrzymać się na wodzie przy brzegu. Opalaliśmy się trochę i postanowiliśmy, że to miejsce będzie naszą kwaterą główną, dopóki będziemy mieszkać w motelu. Lion powiedział, że w motelu zatrzymały się trzy rodziny, czekające na pozwolenie na pobyt stały, ale w jednej są bardzo małe dzieci, w drugiej niemowlak, a w trzeciej – grubas i mazgaj, który nie chce z nikim rozmawiać i wszędzie chodzi z mamą.

Chwaliliśmy się swoimi gniazdami – Lion miał znacznie lepsze, z wbudowanym modułem radiowym, dzięki czemu nie musiał ciągle używać kabla. Za to ja opowiedziałem mu, że leciałem statkiem jako moduł i Lion trochę przygasł. To już była prawdziwa przygoda, to nie to samo, co lecieć z rodzicami statkiem pasażerskim.

Jego rodziców też poznałem. Chyba się ucieszyli, że ja i Lion zaprzyjaźniliśmy się, i bardzo mi współczuli, że mam takie problemy z otrzymaniem obywatelstwa. Zaprosili mnie na ognisko, poczęstowali prawdziwym mięsem, smażonym na ogniu, i jeszcze obiecali, że za kilka dni zabiorą mnie i Liona na wycieczkę do stolicy. Jego braciszek i siostra byli małymi głuptasami, ale szybko poszli spać i prawie nam nie przeszkadzali.



Do swojego domku wróciłem bardzo późno. Chciałem poprosić rodziców Liona, żeby pozwolili mu zanoćować u mnie – moglibyśmy poopowiadać sobie różne rzeczy, ale krępowałem się.

Całe szczęście, że tego nie zrobiłem.

Gdy wróciłem do domku, na wideoekranie płonął sygnał wezwania. Moja pierwsza myśl – wiem, że idiotyczna – ministerstwo do spraw migracji rozpatrzyło moje podanie przed terminem i pragnie się ze mną skontaktować.

Ale to był kapitan Staś. Gdy nacisnąłem przycisk, pojawił się na ekranie niemal od razu. Wyglądał na zmartwionego i zajętego, a mój widok chyba go zaskoczył.

– Jak się czujesz, Tikkireyu? – zapytał roztargnionym głosem.

– Dziękuję, już lepiej...

Czy aż tak się o mnie niepokoił?

– Możesz teraz przyjść do mojego domku? Skinąłem głową.

– Czekam.

Senność minęła jak ręką odjął.

Mieszkał w identycznym domku jak mój, tylko miał więcej rzeczy. Do terminalu podłączył dodatkowe bloki, które teraz opracowywały jakieś dane.

– Cieszę się, że ci lepiej... – powiedział tym samym nieobecny tonem. – Słuchaj, Tikkireyu, chciałbyś trochę zarobić?

Uśmiechnąłem się.

– Chciałbym, ale nie mogę.

– Jeśli ja ci zapłacę, to możesz. Nie jestem obywatelem Nowego Kuwejtu, więc nasze układy finansowe nie podlegają tutejszemu prawu.

– Naprawdę?

– Konsultowałem się z prawnikiem.

– Jestem gotów! – wykrzyknąłem. Staś pogroził mi palcem.

– Nigdy nie zgadzaj się na żadną, najbardziej nawet kuszącą propozycję, jeśli nie znasz szczegółów. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

– A więc chciałbym, żebyś jutro od rana do wieczora kręcił się w pobliżu mojego domku. W pewnej odległości, ale tak, żebyś widział, kto do niego podchodzi.

– Coś się stało?

– Tak... Podejrzewam, że jakiś złodziejasek próbował się włamać – albo włamał się – do mojego domku.

Staś zamilkł, w zadumie patrząc na terminal. Po ekranie biegły linijki cyfr i drobnego tekstu.

– Nie ma pan elektronicznego systemu ochrony? – spytałem zdumiony.

– Tikkireyu... Każdy przyrząd elektroniczny można zablokować. Znacznie pewniejszym zabezpieczeniem będzie bawiący się nieopodal chłopiec.

– A co mam zrobić, jeśli ktoś...

– Nic! Absolutnie nic! Nie próbuj nikogo alarmować ani podchodzić bliżej. Po prostu stój i przyglądaj się. Wieczorem mi wszystko opowiesz.

– Dobrze – zgodziłem się. Wprawdzie jutro ja i Lion chcieliśmy znowu pójść nad jezioro... Ale tamto jest zabawą, a ja bardzo potrzebuję pieniędzy.

Chyba Lion mnie zrozumie...

– Ile mi pan zapłaci? – spytałem na wszelki wypadek.

– Co ile? A... – Staś machnął ręką. – Dobrze ci zapłacę, nie bój się. To jak, mogę na ciebie liczyć?

– No jasne! – wykrzyknąłem. Pomyślałem, że kapitan Staś ma jakąś fobię i wymyśla sobie różnych wrogów. Ale skoro mi płaci...

– Od dziewiątej rano do wieczora... Powinienem wrócić między ósmą i dziewiątą. Zjedz porządne śniadanie, weź ze sobą hamburgery... Trzymaj. Nie jest tego dużo, ale...

Podał mi pieniądze.

– Nie masz karty kredytowej? – zapytał. – Nie noszę przy sobie gotówki...

– Nie mam. Nie boi się pan, że kartę kredytową mogą wyśledzić? Staś uśmiechnął się.

– Tikkireyu... Nie myśl, że jestem paranoikiem. Obecna moda na papierowe pieniądze to przejściowe szaleństwo. Łatwiej założyć anonimowe konto w banku niż zmieniać odciski palców. Poza tym, dowolne gniazdo może zostać sczytane na odległość, a gniazda nie podrobisz na pewno. Nie boję się korzystać z karty. I radzę ci, załóż sobie z czasem konto.

Trochę zawstydzony skinąłem głową.

– Idź już, Tikkireyu – polecił Staś. – Wyśpij się... Już przy drzwiach dogonił mnie jego głos:

– Tikkireyu, powiedz mi jeszcze... Odwróciłem się.

– Naprawdę postanowiłeś zostać na Nowym Kuwejcie? Nie chcesz spróbować szczęścia gdzie indziej? – zapytał Staś.

Zdziwiłem się.

– Podoba mi się tu, a na nowy przelot nie mam pieniędzy. Czy Nowy Kuwejt to zła planeta?

– Dobra – skinął głową Staś. – Trochę przeżarta, ale... Dobrze, nie myśl o tym. Dobranoc.

Gdy wychodziłem, usiadł przed terminalem. Chyba zupełnie o mnie zapomniał.

Lion wcale się nie obraził, przeciwnie, ucieszył się z nowej przygody.

– Ale z nim na pewno wszystko w porządku? – spytał rzeczowo. – Są tacy wariaci, którym się wiecznie zdaje, że ktoś ich śledzi. Nie korzystają z kart kredytowych, a w terminalach wyłączają wszystkie dodatkowe duperele...

– On korzysta z karty – burknąłem. – Jest trochę dziwny, ale nie stuknięty. Może naprawdę ma jakichś wrogów?

– W takim razie to niebezpieczne – zdecydował Lion. – Ale ciekawe. Wiesz co, wejdziemy na dach twojego domku i będziemy się opalać. Stamtąd powinien być dobry widok. Potem pójdziemy do kawiarni przy bramie motelu, tam też możemy prowadzić obserwacje. Później znów się przeniesiemy. Nie możemy przez cały dzień sterczeć w jednym miejscu, bo od razu będzie wiadomo, że czegoś pilnujemy.

– Podzielę się z tobą pieniędzmi, które da mi Staś – obiecałem.

– Nie, nie musisz. Teraz pieniądze są ci bardzo potrzebne. Oddasz mi, jak się dorobisz...

Nie pytałem Stasia o pozwolenie, opowiedziałem wszystko Lionowi z własnej inicjatywy. Ale wiedziałem, że mogę mu zaufać i że on nic nikomu nie powie.

Kupiliśmy colę i popcorn, wnieśliśmy wideoekran na płaski dach mojego domu – żeby było weselej – i zaczęliśmy się opalać. Obaj mamy ciemną karnację, więc nie baliśmy się poparzenia, ale mama Liona i tak dała nam jakiś specjalny krem.

– Masz szczęście do przygód – powiedział Lion, siedząc w kucki i nacierając nogi kremem. – Po pierwsze, dostałeś prawdziwe imperialne obywatelstwo, a ja jeszcze przez dwa lata muszę chodzić jak głupi z dziecięcą kartą. Po drugie, leciałeś statkiem jako moduł sterujący. Omal nie umarłeś na alergię i zaprzyjaźniłeś się z prawdziwym kapitanem – to po trzecie i czwarte! A teraz jeszcze pomagasz mu śledzić złodzieja. To już po piąte!

– Ty też bierzesz udział w śledzeniu złodzieja – pocieszyłem go.

– Tylko dzięki tobie – wyznał uczciwie Lion. – Super, że się poznaliśmy, prawda?

– Pewnie, że tak!

Znaleźliśmy w telewizji interesujący kanał o innych planetach i oglądaliśmy, popijając colę. Lion z ożywieniem komentował program. Wprawdzie nie był na tych wszystkich planetach, ale mieszkał na stacji kosmicznej, a tam przylatywały najróżniejsze statki. Widział wszystkich Obcych, rozmawiał z nimi, a w dodatku przyjaźnił się z jednym facetem, który miał wujka na Edenie i służył w armii imperialnej.

– Tam też jest fajnie, wujek przysłał mu film na wideo – wyjaśnił Lion. – Ale bardzo trudno tam wyemigrować, mają wysoki poziom urodzeń. Wujek ma sześcioro dzieci, a potrzebuje jeszcze trójki. To się nazywa intensywne zasiedlanie planety...

Już go nie słuchałem. Patrzyłem teraz na domek Stasia. Do drzwi podszedł młody chłopak, przez chwilę majstrował przy zamku, a potem wszedł...

– Jest... – wyszeptałem. – Widziałeś?

– Co? – Lion aż podskoczył.

– Jakiś facet wszedł do domu! Otworzył drzwi jakby miał klucz i wszedł do środka!

– O rany, nie zauważyłem... A przecież patrzyłem! – Lion posmutniał. – Zawsze to samo, jak się rozgamam, to nie zauważam najciekawszych rzeczy!

A ja pomyślałem nagle, że znam tego chłopaka – on wynajmował domek zaraz po mnie.

– Zostańmy tutaj – powiedziałem. – Pewnie zaraz wyjdzie... Chłopak siedział w domu bardzo długo. Minęło pół godziny, potem godzina... Lion zaczął zerkać na mnie podejrzliwie, w końcu zapytał:

– Nie zdawało ci się?

Pokręciłem głową. Lion westchnął i położył się na plecach. Znudziło mu się leżenie na dachu, zwłaszcza, że nawet nie widział przestępcy.

– Będę spał i opalał brzuch – zdecydował. – Jak będzie się coś działo, to daj znać.

Dokładnie w tym samym momencie drzwi domu otworzyły się, nieproszony gość wyszedł i ruszył w stronę gęstych krzewów rosnących wzdłuż głównej alei.

– Właśnie wyszedł – powiedziałem z dumą. Lion odwrócił się szybko i pokręcił głową:

– Gdzie?

– Tam! Wchodzi w krzaki! – Pokazałem ręką.

– Gdzie? Nie widzę!

– No tam! – wrzasnąłem. – Ślepy jesteś?

Bandyta ukrył się za gałęziami, zręcznie przedzierając się przez krzaki.

– Chyba ci głowę przypiekło – powiedział Lion.

– Coś ty, nie widziałeś?

– Nie. Nikogo tam nie było.

Patrzyliśmy na siebie. Lion podejrzliwie i drwiąco, a ja... Ja chyba też podejrzliwie.

– Słowo honoru, że wyszedł z domku! – zawołałem. – Po prostu za późno się odwróciłeś i zdążył wejść w krzaki.

– Przecież patrzyłem na te krzaki! Nikogo tam nie było.

– Nie wierzysz mi?

Lion zawahał się i powiedział niechętnie:

– Wierzę. Tylko ja też mam dobry wzrok. Gdyby ktoś tam był, na pewno bym go zobaczył. Ty, a może to jedi?

– Kto?

– No, kosmiczny rycerz. Jedi. Nie widziałeś filmu?

– A... – przypomniało mi się. – To ci, którzy walczyli mieczami świetlnymi i umieli odwracać uwagę? Przecież to bajka!

Lion zmachał rękami.

– Coś ty, jaka bajka! Oni naprawdę istnieją! Mieszkają na Avalonie, nazywają się kosmicznymi rycerzami, latają po całym Imperium i walczą o sprawiedliwość. Przygłupy.

– Skoro walczą o sprawiedliwość, to dlaczego przygłupy?

– Dlatego, że nie są nikomu potrzebni. To taka jakby sekta, rozumiesz? Przecież od pilnowania porządku jest flota imperialna, policja, służba sanitarna i dużo różnych organizacji. A oni uważają, że powinni być tacy rycerze, którzy pracują nie z obowiązku, lecz dla idei.

– I to oni są jedi?

– No. Tak się ich nazywa dla zgrywu – wyznał Lion. – To tak, jak się mówi na człowieka homo, albo na niziołka – hobbit, albo na Czygu – pszczołka, albo na tych, którzy mieszkają na stacji – kosmik, albo...

– Już skapowałem, przestań! I oni naprawdę umieją odwracać uwagę i walczą na miecze?

– Z uwagą to podobno umieją... a co do mieczy, to nie wiem – odpowiedział uczciwie Lion.

– To dlaczego ja go widziałem?

– Może mnie zdołał odwrócić wzrok, a tobie nie. Może dlatego, że jesteś mutantem i dobrze znosisz promieniowanie?

– A co tu ma do rzeczy promieniowanie?

– A skąd ja mogę wiedzieć?

Już zrozumiałem, że jak Lion sobie coś wymyślił, to nic go nie przekona, a jeśli pociągniemy dalej tę rozmowę, w końcu się pobijemy.

– Może i tak – powiedziałem. – A może po prostu go nie zauważyłeś. Leżałeś i patrzyłeś na niebo, a słońce świeciło ci w oczy przez powieki. Dlatego nie od razu dobrze widziałeś.

Po zastanowieniu Lion przyznał, że mogło tak być, ale nie można odrzucić wersji z jedi. Tyle że wtedy wychodziłoby na to, że mój przyjaciel kapitan Staś jest bandytą. Nawet jeśli jedi są

przygłupami, to na pewno nie robią krzywdy uczciwym ludziom.

Żeby się nie pokłócić, ubraliśmy się, zeszliśmy z dachu i poszliśmy na kawę ze śmietanką. Podrapałem się po karku. Nie z powodu alergii, chyba za mocno przypiekło mnie słońce.

## Rozdział 5

Kapitan Staś słuchał mnie bardzo uważnie. I wcale się nie gniewał, gdy wyznałem, że czatowałem nie sam, lecz z nowym przyjacielem. Ale gdy usłyszał, że Lion nie zauważył złodzieja, sposepniał i pograżył się w swoich myślach.

– Może to jedi? – zapytam ostrożnie. – No, ten chłopak...

– Jaki znowu jedi? – wymamrotał Staś, pograżony w rozmyślaniach.

– No, jest taka sekta na Avalonie... Kapitan Staś skrzywił się.

– Posłuchaj, Tikkireyu. Po pierwsze, nie należy nazywać ich jedi. Jedi to baśniowe postacie z mitologii wczesnego etapu podboju kosmosu. Niektóre terminy z tamtego okresu przyjęły się – na przykład Obcy. Ale rycerze Avalonu, fagowie, nie mają z nimi nic wspólnego. Jesteś pewien, że rozpoznałeś tego chłopaka? Że to właśnie on wynajmował pokój zaraz po tobie?

– Tak. Ma bardzo charakterystyczną twarz, wąską, długą, no i jeszcze te długie włosy. A co po drugie?

– Po drugie?... – Staś podniósł się z fotela, wybrał kilka komend na terminalu. – Po drugie, mój młody przyjacielu, fagowie nie umieją odwracać uwagi innych ludzi. To typowa pomyłka. W skład przygotowania faga wchodzi: opanowanie techniki maskowania, hipnozy oraz werbalnego i niewerbalnego oddziaływania na psychikę. Wszystko to jest bardzo dalekie od niewidzialności, zwłaszcza na dużą odległość. Nie mówiąc już o tym, że to raczej ty nie zauważyłbyś faga, skoro tak uważnie na niego patrzyłeś, a nie Lion, który spojrzał szybko i przelotnie. Trochę trudno to wyjaśnić, ale uwierz mi na słowo.

– A po trzeciej?

– Po trzeciej, ten człowiek nie jest rycerzem Avalonu. I jeśli pomyślałeś, że to ja jestem bandytą, mylisz się.

Zamilkłem zawstydzony.

– Tikkireyu, wiesz dlaczego w średniowieczu na Ziemi, w erze przedkosmicznej, rycerstwo zanikło jako zjawisko? – zapytał Staś, zerkając na terminal. Chyba umiał robić kilka rzeczy jednocześnie. Na przykład pracować na komputerze i to nie przez gniazdo, lecz ręcznie, i jeszcze wygłaszać wykład...

– No... jakoś nie bardzo pamiętam... – przyznałem się.

– Opowiem ci w skrócie... Pojedynczy człowiek przestał stanowić znaczącą siłą bojową. Przygotowanie, szkolenie, umiejętności, wszystko straciło znaczenie w obliczu prymitywnej broni palnej, czy choćby strzały z kuszy. Co wart był rycerz, mój przyjacielu Tikkireyu, jeśli tępy najemnik mógł zabić go z zasadzki, nawet się nie zbliżając? Istnienie rycerstwa możliwe jest tylko wtedy, gdy doskonale przygotowany pojedynczy człowiek rzeczywiście stanowi potężną siłą bojową.

– W takim razie...

– Historia rozwija się po spirali, Tikkireyu. Obecnie rozwój nauki i biotechnologii doprowadził do tego, że pojedynczy człowiek znowu staje się istotnym czynnikiem. Niepotrzebne są ogromne załogi i drogie statki kosmiczne – niewielki, tani stateczek z jednym pilotem na pokładzie może zniszczyć całą planetę. Wyszkolony w odpowiednim kierunku człowiek, który przeszedł stosowny trening i określone mutacje pozytywne, może stawić czoła tysiącom przeciwników. Rozumiesz?

– Rozumiem. Staś uśmiechnął się.

– Po kolonizacji Avalonu na planecie powstała grupa ludzi, którzy zaczęli nazywać siebie „rycerzami Avalonu”. Albo fagami. Przewidzieli dzisiejszą sytuację i postanowili odrodzić rycerstwo jako zjawisko społecznie pożyteczne. Stworzyli dość złożoną strukturę, aby nie dopuścić do popełnienia aspołecznych czy wyrachowanych czynów przez poszczególnych fagów, zawarli porozumienie z rządzącym domem imperatorskim... Od ponad dwustu lat rycerze Avalonu służą Imperium.

– Ale jest przecież Flota, policja... – przypomniałem sobie słowa Liona.

– Nikt tego nie kwestionuje. Ale chodzi właśnie o to, że rycerze Avalonu nie są ograniczeni swoją oficjalną pozycją, biurokracją, czy instrukcjami służbowymi. Nie są ograniczeni niczym prócz zasad etycznych, których wypracowanie pozwoliło na odrodzenie rycerstwa. Dzięki temu fagowie mają znacznie większą swobodę manewru i czasem zapobiegają poważnym kryzysom rozwoju ludzkości. Masz jeszcze jakieś pytania?

Milczałem. Chciałem zadać jedno pytanie, ale trochę się krępowałem. Staś popatrzył na mnie uważnie, wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu.

– Dobra. Pytaj.

– Dlaczego nie lubicie, gdy mówią o was jedi? – zapytałem i popatrzyłem Stasiowi w oczy.

– Ponieważ nie jesteśmy jedi – odpowiedział po prostu Staś. – Nie wymachujemy mieczami świetlnymi, nie uchylamy się przed promieniami laserów i nie umiemy być niewidzialni.

– Nie powiem nikomu, kim pan jest – obiecałem.

– To już bez znaczenia, Tikkireyu. Już i tak zostałem zdemaskowany. Zostały mi dwie doby. Nawet jeśli się mylę i jesteś agentem przeciwnika, nie dowiedziałeś się niczego nowego.

– A kim jest pana przeciwnik? – spytałem cicho.

– Ta informacja nie jest ci do niczego potrzebna. Staś wstał i wyjął z kieszeni zwitek banknotów:

– Weź. Mam nadzieję, że wystarczy, by spokojnie poczekać na otrzymanie obywatelstwa.

Popatrzyłem tępo na pieniądze. Było ich bardzo dużo i chyba rzeczywiście mógłbym spokojnie poczekać, aż dostanę pozwolenie na stały pobyt.

– Tak bardzo panu pomogłem? – wykrzyknąłem.

– Tikkireyu, Tikkireyu... – westchnął Staś. – Wiesz, na czym polega największy problem naszej cywilizacji?

– Na czym? – Ciągle nie mogłem się zdecydować, żeby wziąć pieniądze, więc Staś wcisnął mi je do kieszeni i wyjaśnił:

– Jesteśmy męską cywilizacją. Stało się tak dlatego, że kobiety nie wytrzymują hiperprzejścia. Niby drobiazg, przypadek, żart natury, ale tym niemniej nasza cywilizacja rozwija się zgodnie z typem męskim. Jesteśmy bardzo logiczni, poważni, przeciętnie agresywni i skłonni do przygód. Jesteśmy dobrzy i sprawiedliwi... w ramach swojej logiki. Na tym polega problem. Właśnie dlatego może istnieć twoja nieszczęsna Kopalnia, gdzie konstytucja gwarantuje ludziom prawo do śmierci. Właśnie dlatego twój taksówkarz, wiedząc, że nie masz pieniędzy ani żadnych szans na ich zdobycie, wielkodusznie nie wziął napiwku, ale nie pomyślał o tym, żeby zrezygnować z zarobku. Właśnie dlatego, mój mały Tikkireyu, rodzice twojego przyjaciela Liona zabiorą cię na wycieczkę, zaproszą na ognisko, ale nie wpadną na to, żeby załatwić formalności związane z tymczasową opieką i pomóc ci przetrwać te pół roku. Jesteśmy logiczni, Tikkireyu.

– Ale to przecież słuszne! – wykrzyknąłem. – Kapitanie Stasiu... Przecież na Kopalni naprawdę

życie jest ciężkie! A taksówkarz musi zarobić! A rodzice Liona mają własne problemy i trójkę dzieci! Z jakiej racji mieliby coś dla mnie robić?

Staś skinął głową i uśmiechnął się niewesoło.

– O tym właśnie mówię. Wielkie bunty feministek, epoka ciemnego matriarchatu, wszystko to skończyło się wraz z początkiem podróży międzygwiazdnych. Przeszliśmy z jednej skrajności w drugą, od cywilizacji stabilno-emocjonalnej do ekspansywno-logicznej. I dlatego... Dlatego, Tikkireyu, uznajmy, że naprawdę bardzo mi pomogłeś i te pieniądze słusznie ci się należą.

Próbowałem coś powiedzieć, ale Staś delikatnie pchnął mnie w kierunku drzwi.

– Powodzenia, Tikkireyu. Jutro odlatuję z planety. Niestety nie udało mi się...

– A może mógłbym panu jeszcze pomóc? – wymamrotałem. To było niesprawiedliwie! Wszystko było nie tak! Dlaczego dał mi tyle pieniędzy? Dlaczego odlatuje?

– Nie, Tikkireyu. Dziękuję, ale niczego więcej nie potrzebuję. Tylko... – Staś spochmurniał. – Naprawdę radzę ci poszukać innej planety. Nie wiem, dlaczego. Złóżmy to na karb intuicji... jedi. – Uśmiechnął się. – Powodzenia.

Wyszedłem, a Staś zamknął za mną drzwi.

Ale numer...

Przez minutę stałem na progu, patrząc na gwiazdy i próbując zrozumieć, dlaczego w życiu wszystko się tak głupio układa? Jeśli wierzyć Stasiowi, cały nasz świat jest nieprawidłowy i to tylko dlatego, że kobiety nie mogą znieść hiperprzejścia. Wielka mi rzecz, przecież jest anabioza... Może ci rycerze Avalonu rzeczywiście mają coś nie w porządku z głową?

Zwitek banknotów palił mnie w kieszeni. Może wziąć jeden banknot, a resztę zostawić pod drzwiami?

Nie potrafiłem tego zrobić. Pod jednym względem kapitan Staś na pewno miał rację – nikt inny nie pomoże mi w taki sposób. Tak jak astronauta z „Klazmy” – owszem. Ale żeby ni z tego, ni z owego podarować komuś plik pieniędzy – na pewno nie...

W gardle miałem kłującą kulę. Pociągnąłem nosem, zapiąłem kieszeń i ruszyłem w stronę swojego domku.

I wtedy zobaczyłem stojącego w półmroku człowieka. To był ten sam chłopak, który dzisiaj zakradł się do domku Stasia i którego nie widział Lion.

Chyba był pewien, że ja też go nie zobaczę, bo gdy przystanąłem wstrząśnięty, na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

Trwające mgnienie oka.

I to mgnienie uratowało mi życie – ponieważ w ręku bandyty błysnął metal i zrozumiałem, że zaraz mnie zbije.

Krzyknąłem.

Ten krzyk uratował mi życie – ponieważ noc stała się dniem i nad moim ramieniem rozbłysła oślepiająco biały sznur.

Człowiek, który chciał mnie zastrzelić, też krzyknął. Płonący sznur smagnał go po rękę, dłoń razem z pistoletem upadła na mokrą trawę. Ognisty sznur tańczył i wił się, jakby oplatał go, zamykał w klatce, nie pozwalając się ruszyć.

Nogi ugięły się pode mną, usiadłem na ciepłych kamieniach ścieżki. Od strony swojego domku



szedł Staś – sznur, który wił się wokół bandyty, wysuwał się z jego rękawa.

– A mówił pan, że nie machacie ognistymi mieczami – powiedziałem głośno.

Potem zapadła ciemność.

Gdy się ocknąłem, bandyta stał w rogu pokoju jakby przyklejony do ściany. Był zupełnie nagi – jego ubranie i zagadkowo wyglądająca aparatura leżały w kącie. Nie sądziłem, że istnieje klej, który tak szybko zastyga i tak mocno trzyma. Kilka razy bandyta tracił przytomność, ale przyklejone włosy i skóra utrzymywały go w pionie.

Staś poklepał mnie po policzku i zapytał:

– Przeszło?

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie wiem, czemu tak się stało. Nigdy nie mdlałem.

– Wyłączyłem cię. – Staś rozłożył ręce. – Chodziło o to, żebyś poleżał chwilę na trawie.

– Nic nie zauważyłem – powiedziałem z powątpiewaniem.

– Nie powinieneś zauważyć.

Bandyta po raz kolejny obwisł, skrzywił się z bólu i wyprostował. Nic nie mówił, chociaż na pewno bardzo go bolało, z prawej ręki został tylko kikut. Nie było krwotoku, pewnie płomień opalił wszystkie naczynia. Strzępy kolorowego rękawa stopiły się, otulając kikut czarnym wałkiem i mocując go do ciała. Odwróciłem wzrok.

– Idź do siebie, Tikkireyu – powiedział łagodnie Staś. – Teraz już na pewno zapracowałeś na swoje pieniądze.

– To on wchodził do pana domku – wyszeptałem.

– Domyśliłem się. Idź, mały.

– Co pan z nim zrobi?

– Porozmawiam z nim – odparł Staś.

– Trzeba zawiadomić policję... i wezwać lekarza.

– Oczywiście. To też zrobię. Idź już. Popatrzyłem mu w oczy i powiedziałem:

– Kapitanie, oszukuje mnie pan. Staś westchnął i potarł dłonią policzek.

– Tikkireyu, jestem bardzo zmęczony, mam coraz mniej czasu i wciąż nie rozumiem, co się dzieje. Ten człowiek jest zawodowym szpiegiem. Nie jest zabójcą, bo już byś nie żył, ale zdarzało mu się zabijać. Tikkireyu, pozwól mi zrobić to, co muszę zrobić. Dobrze?

Odwróciłem się. Może miał rację. Może ci rycerze-fagowie są dziwni, ale w końcu Imperium nie stawia ich poza prawem. Pewnie kapitan Staś miał więcej pełnomocnictw niż jakikolwiek policjant na tej planecie.

– Miałeś szczęście, fagu... – odezwał się niespodziewanie bandyta.

– Przypadkiem. – Głos miał prawie normalny, jak zdrowy, pewny siebie człowiek. Już szedłem do drzwi, ale zmieniłem zdanie i stanąłem. Staś rzucił mi krótkie spojrzenie, ale nic nie powiedział.

– Moja praca polega na wykorzystywaniu szczęścia – rzekł Staś. – Twoja odwrotnie. Będiesz mówił?

– Może ci jeszcze zatańczyć? – Bandyta wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie warto, masz kiepskie poczucie rytmu. – Staś podsunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko jeńca. – Czemu chciałeś zabić chłopca? Znalazł się tu przypadkiem i nie jest przeciwnikiem.

– Chłopiec nie ma żadnego znaczenia – powiedział obojętnie bandyta.

– Ty jesteś wrogiem, on jest nikim.

– Jakże znajoma logika – pokiwał głową Staś. – Ale zwykle twierdziliście, że nikim są starcy, dzieciom darowywaliście życie.

– Zdarzają się wyjątki. Może rzeczywiście wezwiesz lekarza, co, jedi?

– Po co ci lekarz? – uniósł brwi Staś. – Krwawienia nie ma, a endorfinami zdążyłeś się sam naszpikować.

Bandyta znowu się uśmiechnął.

– Nie mam zamiaru cię zabijać – rzekł fag. – Jesteś tylko pionkiem, postawionym w odpowiednim miejscu. Ale chciałbym się czegoś dowiedzieć. Tikkireyu!

– Tak, kapitanie? – powiedziałem szybko.

– Dobrze, że nie wyszedłeś. Zaczekaj jeszcze chwilę.

Wstał, podszedł do szpiega i położył mu rękę na czole. W oczach bandyty pojawił się strach – albo tak mi się zdawało.

– Jesteś zablokowany – stwierdził fag. – Mam rację?

Bandyta bez słowa szarpnął się, jakby próbował oderwać się od ściany.

– Ale jeśli zadam ci pewne konkretne pytania, zapragniesz na nie odpowiedzieć – ciągnął łagodnie Staś. – Zapragniesz bardzo mocno... i zaczniesz mówić... i umrzesz. Mam rację?

– Tak – bandyta oblizał wargi.

– Powtarzam – masz szansę zostać przy życiu. Mogę zadać ci kilka bezpiecznych pytań... Odpowiedzi nie doprowadzą do twojej śmierci. Wybieraj. Taki układ odpowiada mnie – bo otrzymam część informacji, i tobie – bo zostaniesz przy życiu. Jeśli jesteś agentem wysokiej klasy, a takie odnoszę wrażenie, to nie powinni wykasować ci instynktu samozachowawczego. Decyduj.

– Jakie pytania? – rzucił czujnie bandyta.

– Twoja ranga?

– Porucznik bezpieczeństwa zewnętrznego Szronu.

– Imię?

– Karl.

Staś skinął głową:

– Nie mógłbyś poradzić czegoś temu chłopcu, poruczniku Karl? Planuje przyjąć obywatelstwo Nowego Kuwejt. Jak myślisz, warto?

– Pytanie na granicy blokady! – zawołał szybko Karl.

– Ale nie poza granicą, prawda? Wyobraź sobie, że ten dzieciak jest twoim synem, albo że bardzo ci pomógł. Co mu poradzisz?

– Kupić bilet i wynosić się na Avalon – odpowiedział gwałtownie Karl. – To wszystko, jedi?

– Czy może spokojnie pójść spać, czy powinien natychmiast wezwać taksówkę i jechać na kosmodrom?

– Tego nie wiem. – Karl pochylił się do przodu. – I całe szczęście, bo w przeciwnym razie już bym nie żył! To nie fair, jedi!

– Dobrze, dobrze, już kończymy! – powiedział uspokajająco Staś. I nagle jego głos zmienił się,

zawibrował jakby przepuszczony przez program komputerowy:

– A tak przy okazji, dlaczego ten chłopiec jest nikim dla Szronu?

– On ma... – tak samo szybko odpowiedział Karl i urwał. – Jego oczy zaszklily się, szczęka opadła i szpieg obwisł na ścianie.

– Przykro mi – powiedział Staś, patrząc na martwego porucznika z planety Szron. – Jakże mi przykro.

– Pan wiedział, że on umrze od tego pytania! – krzyknąłem. – Pan go zabił, kapitanie!

– Owszem. – Fag skinął głową. – Miałem nadzieję, że zdąży odpowiedzieć, jego organizm jest teraz naszpikowany hormonami... Niestety, blokada była zbyt dobra.

– Zabił go pan – powtórzyłem.

– Tak jest, Tikkireyu. – Staś popatrzył na mnie. – On miał na swoim sumieniu dziesiątki istnień. I kilka innych rzeczy, znacznie gorszych od zwykłych zabójstw.

Odwróciłem się. Martwy mężczyzna ze spalonym kikutom zamiast ręki wisiał na ścianie, niczym motyl w gablocie kolekcjonera. Może Staś miał rację i ten człowiek był bandytą, ale przecież nie wolno zabijać bandytów bez sądu! Co z niego za rycerz!

– Tikkireyu... – „niesłuszny” rycerz podszedł i objął mnie. Zrozumiał, o czym myślę. – Być może będziesz miał okazję przekonać się, że miałem rację... A teraz wezwę ci taksówkę, zbierzesz swoje rzeczy i odlecis.

– Dokąd? – wyszeptalem.

– Zaraz coś wymyślę. Potrzebujesz młodej, gościnnej planety, gdzie są lasy, góry i morza, gdzie można pracować, uczyć się i nie zawracać sobie głowy problemami, które nie są potrzebne do szczęścia.

– Ale dlaczego muszę odlecieć?! Mnie się tu podoba! Mam tu przyjaciół!

– Słyszałeś, co radził Karl?

– Tak...

– Odlatujesz i koniec rozmowy. Nowy Kuwejt niedługo zostanie zajęty przez Szron.

Prychnąłem.

– Przecież to bogata planeta, mają na orbicie Flotę Imperialną! Żadna kolonia nie będzie się buntować przeciwko Imperatorowi!

– Zgadza się. Ale w ciągu ostatnich sześciu miesięcy do Federacji Szronu przyłączyły się cztery planety. Duże, bogate, doskonale prosperujące kolonie... Posłuchasz mojej rady, Tikkireyu?

Jak ja się parszywie czułem...

– Tak, kapitanie Stasiu.

– Idź i spakuj swoje rzeczy. Szybko, dobrze? Wezwę samochód i przejrzę rozkład lotów.

Nie miałem zbyt wiele do pakowania. Zdjęcie, które zdążyłem postawić na stole – ja z rodzicami dwa lata temu, w miejskiej oranżerii, przed klombem róż. Ręcznik, który powiesiłem nad wanną – żeby odrobinę przypominał mi dom. Płytką, którą podłączyłem do terminalu... i mój stary, dziecinny zegarek w kształcie robota.

Ale i tak przez kilka minut kręciłem się po pokoju, zaglądałem do szafek i na półki. Spostrzegłem, że pociągam nosem. Nie płakałem, łzy nie płynęły, ale było mi smutno. Zdążyłem przywyknąć do swojego domku...

O rany, a Lion?

Zamknąłem walizkę, zatrzasnąłem drzwi i szybko poszedłem do domku, w którym mieszkała rodzina Liona. Było cicho, nawet z restauracji nie dobiegał żaden dźwięk, chociaż paliło się tam światło. Wszyscy dawno spali. Ale ja muszę pożegnać się z Lionem... Muszę go ostrzec. Muszę ostrzec jego rodziców.

Nikt nie reagował na dzwonek. Początkowo zadzwoniłem delikatnie, jakby dając do zrozumienia, że pora jest późna i ja o tym wiem. Potem nie odrywałem już palca od sensora, słuchając świergotu sygnału.

Nikt nie otwierał. Czyżby gdzieś pojechali?

A Lion nic nie powiedział?

Zostawiłem swoją walizeczkę przed drzwiami i obszedłem domek dookoła. Znalazłem okno pokoju, który zajmował Lion i jego rodzeństwo. Okno było uchylone.

Podsłuchałem, złapałem się parapetu, podciągnąłem się i po cichu wszedłem do pokoju. Zaraz obudzi się braciszek Liona i pewnie zacznie krzyczeć ...

W pokoju panował półmrok – na ścianie świeciła się mała lampka nocna w kształcie mordy dinozaura.

Co za pomysł! Przy takiej lampce nie usnąłbym ze strachu...

Lion i jego młodsze rodzeństwo spali. Przysiadłem na łóżku Liona, potrząsnąłem go za ramię i wyszeptalem:

– To ja, Tikkirey! Obudź się! Ale z niego śpioch!

– Lion!

Jego głowa latała po poduszce, gdy go szarpałem. Z uchylonych ust zwisała niteczka śliny. Lion spał dalej.

Spanikowany podbiegłem do łóżeczka jego brata. Ściągnąłem kołdrę, podniosłem dziecko, potrząsnąłem nim. Każdy inny maluch obudziłby się od razu i zaczął płakać!

A brat Liona wisiał mi na rękach jak szmaciana lalka. Spodenki od piżamy miał mokre, na czole błyszczały kropelki potu.

– Panie Edgarze! Pani Annabel! – krzyknąłem, kładąc dziecko na łóżku i nie wiadomo po co przykrywając kołdrą. – Proszę tu przyjść!

No, teraz się dopiero zacznie...

Nic się nie zaczęło. Nadal było cicho.

Podbiegłem do włącznika, zapaliłem światło, zajrzałem do salonu, tam też zapaliłem, a potem nie wytrzymałem i pobiegłem do sypialni i otworzyłem drzwi na oścież, świadom tego, że wykazuję się całkowitym brakiem wychowania.

Rodzice Liona leżeli na szerokim, małżeńskim łóżku, oczy mieli uchylone, widać było białka.

Coś im się stało!

– Ja zaraz... ja szybko... – szeptałem, cofając się. – Słowo daję, zaraz ktoś wam pomoże...

Może się czymś zatruli?

Ale już wiedziałem, że takie proste wyjaśnienia przestały wystarczać. To tak jak z pewnością Liona, że przywidział mi się agent z planety Szron... Wygląda na prawdę, ale nią nie jest.

Odblokowałem drzwi, wyskoczyłem z domku i pobiegłem do kapitana Stasia. Pobiegłem

absolutnie pewien, że rycerz Avalonu leży na podłodze, tępo wpatrzony w sufit, z niteczką śliny zwisającą z ust.

Kapitan Staś palił swoje rzeczy. Z wyciągniętej ręki bił płonący sznur, tańcząc po pokoju niczym ognisty wąż, oplatając bloki komputerowe, torby i walizki. Nie było widać płomienia – wszystko od razu rozsypywało się w popiół. Widocznie Staś wyłączył sygnalizację pożarową, bo syrena milczała.

– Kapitanie! – zawołałem. Rycerz odwrócił się i płomień zgasł. Zdążyłem zauważyć, że do rękawa jego kurtki wsunęło się coś zwinnego, pokrytego srebrzystą łuską, ale teraz nie miałem do tego głowy. – Tam... tam się coś stało! Lion śpi i cała jego rodzina śpi, nie chcą się obudzić, i...

– Wiem. – Staś podniósł z podłogi jedyną torbę, której nie spalił. – Służba przewozowa nie odpowiada. Zaczęła się inwazja Szronu, Tikkireyu.

– Kapitanie...

– Idziemy, Tikkireyu. Spróbujemy przedrzeć się na kosmodrom.

Pokręciłem głową. Martwy szpieg nadal wisiał na ścianie, ale już się go nie bałem.

– Kapitanie, przecież tam jest Lion i jego rodzice! Proszę, niech im pan pomoże!

– Tikkireyu! – powiedział ostro Staś. – Pomogę wydostać się stąd tobie, skoro tak głęboko w tym siedzisz, ale nie mam zamiaru nikogo ratować. Ani dzieci, ani kobiet, ani starców. Na tej planecie żyje siedemset milionów ludzi i każdy potrzebuje pomocy. Należałoby pomóc wszystkim, nie tylko twojemu przyjacielowi.

– Ale, kapitanie...

– Bez dyskusji! Idziesz ze mną?

Cofnąłem się do drzwi. Bałem się. Strasznie się bałem. I kapitan Staś, fag z Avalonu, był moją jedyną nadzieją na rajskiej planecie Nowy Kuwejt, która w jednej chwili zapadła w koszmarny sen.

– Tak ładnie pan mówił, kapitanie – wyszeptałem. – O tym, że wszyscy jesteśmy tacy logiczni... i że to źle. Widocznie panu uwierzyłem.

Kapitan Staś milczał.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Gdzie mieszka twój przyjaciel? – zapytał Staś.

– Tuż obok, blisko! Chodźmy! To kawałeczek, minuta drogi!

W rzeczywistości droga zajmowała pięć minut, a teraz wydawało mi się, że idziemy pół godziny. Staś szedł szybko, a ja biegłem obok niego, ledwie nadążając. Fag trzymał prawą rękę lekko odsuniętą od ciała i rozumiałem, że ognisty sznur może zapłonąć w każdej chwili.

– To jednak miecz... – powiedziałem sapiąc.

– Ile razy mam ci powtarzać, że to nie miecz – odpowiedział ostro Staś. – Plazmowy bicz jest znacznie bardziej uniwersalny.

Drzwi do domku nadal były otwarte. Staś szybko wszedł do pokoju rodziców Liona. Wymacał puls, przesunął dłonią po ich twarzach, sposępniał. Bez słowa poszedł do sypialni dzieci.

– To twój przyjaciel?

– Tak!

– Nigdy jeszcze nie obserwowaliśmy ludzi w fazie przemiany – powiedział Staś. – Wolałbym wziąć młodszego chłopca, byłoby lżej nieść. Ale skoro nalegasz, weźmiemy twojego przyjaciela i... spróbujemy mu pomóc. Ale nie daję żadnych gwarancji, sam rozumiesz.

Wiedziałem, że nie ma sensu pytać o rodziców Liona. Ani o jego cichą, milczącą siostrzyczkę, ani o braciszka wiercipiętę. Ale mimo wszystko spróbowałem:

– A gdyby jeszcze...

– Na tej planecie – powtórzył ze zmęczeniem Staś – są miliony dzieci, którym przydarzyło się to samo nieszczęście. Należałoby pomóc wszystkim albo nikomu. I tak już zgodziłem się wziąć twojego przyjaciela, Tikkireyu.

– Sam go będę niósł – powiedziałem mężnie.

– Jasne – burknął Staś, stawiając torbę. – Udźwigniesz? Podniosłem – była ciężka. Ale lżejsza niż Lion.

– No pewnie!

Staś zawinął Liona w kołdrę, zarzucił go sobie na ramię i w milczeniu wyszedł.

– Przepraszam – powiedziałem do małego chłopca i małej dziewczynki, którzy spali w swoich łóżeczkach dziwnym, nieludzkim snem. – Wybaczcie nam...

Podniosłem moją walizkę, która ciągle stała na progu i przygarbiony pobiegłem za Stasiem.

Ominęliśmy kilka samochodów, nim Staś mruknął coś usatysfakcjonowany i podszedł do skromnego dżipa. Otworzył drzwi – zamek nawet nie pisnął, przez chwilę robił coś przy panelu kontroli i odblokował go. Liona ułożył na tylnym siedzeniu, a mnie skinął głową:

– Wsiadaj.

Usiadłem obok Liona i położyłem jego głowę na swoich kolanach, żeby mu było wygodniej. Lion był pogrążony w swoim ciężkim śnie.

– Co z nim, kapitanie?

Samochód szarpnął ostro, wjeżdżając na drogę, która biegła przez cały motel.

– Jest w fazie przemiany, Tikkireyu – odpowiedział niechętnie Staś. – Według naszych danych, podobny sen trwający pięć godzin, ogarnia całą... niemal całą ludność zaatakowanej przez Szron planety. Następnie planeta dobrowolnie przyłącza się do Federacji Szronu.

– Można mu pomóc?

– Nie wiem.

Samochód wyjechał na drogę, ale ku mojemu zdumieniu Staś nie pojechał w stronę kosmodromu, lecz do stolicy.

– Po co tam jedziemy? – spytałem przestraszony. Chciałem wynieść się stąd jak najszybciej, gdziekolwiek, nawet z powrotem na Kopalnię, byle jak najdalej od Nowego Kuwejtu.

– Chcę zerknąć na pałac sułtana. Wczoraj, zgodnie z moją radą, włączono kopułę pola siłowego. Może władze planety ocalały... wtedy mielibyśmy szansę wezwać na pomoc Flotę.

– Zna pan samego sułtana? – byłem w szoku.

– Tak.

– Kapitanie... To znaczy, że mógł pan go zwyczajnie poprosić, żeby dali mi obywatelstwo? Tak?

– Nie zajmuję się rozwiązywaniem drobnych problemów małych chłopców – powiedział ze zmęczeniem Staś. – Jeśli sądzisz, że podczas rozmowy z sułtanem pamiętałem o tobie, to sobie schlebiasz.

Zamilkłem. Objąłem Liona i trzymałem go mocniej. Droga była bardzo dobra, Staś świetnie prowadził, ale jechaliśmy z taką szybkością, że i tak mnie i Liona rzucało na boki.

– Jest taka stara książka „Don Kichot” – powiedział nieoczekiwanie Staś. – Jej bohater uważał za swój obowiązek naprawianie wszystkich krzywd, z jakimi się zetknął podczas swojej wędrówki. Na przykład zły gospodarz bije małego chłopca-posługacza. Naiwny rycerz karze gospodarza i rusza dalej w swoją stronę. I nawet przez chwilę nie pomyśli o tym, co się stanie, gdy poniżony gospodarz znajdzie się sam na sam z dzieckiem. Czy analogia jest czytelna?

– To sułtan jest taki zły?

– Nie. Ale po pierwsze, wkrótce po moim wyjeździe jego służby specjalne, zdumione takim czynem, zaczęłyby się tobą bardzo interesować. Ręczę ci, że już wkrótce dostałbyś obłądu. Po drugie, nie zajmuję się...

– Rozwiązywaniem drobnych problemów – dokończyłem. – Dziękuję, kapitanie.

Wjechaliśmy do miasta i znaleźliśmy się na osiedlach wieżowców. Tutaj chyba wszystko było w porządku. Paliły się latarnie, reklamy pulsowały światłami, światło świeciło się w niemal wszystkich oknach.

– Niech pan patrzy, tutaj wszystko porządku! – krzyknąłem radośnie. Rzeczywiście, niemal w każdym oknie widać było ludzi. Odświętnie ubrani, siedzący przy stołach, rozmawiający przy kominkach, tańczący... ubierający choinki... sklejający modele na Dzień Kosmosu...

Potrząsałem głową, nic nie rozumiejąc.

– Dorastałeś na bardzo zacofanej planecie, Tikkireyu – powiedział łagodnie Staś. – To okna projekcyjne, weszły do użytku dziesięć lat temu... Na Nowym Kuwejcie są na wyposażeniu każdego domu. Nagrywasz jakieś święto... wesele, Nowy Rok, urodziny... a potem, wieczorami, twoje okno transmituje ten obraz na zewnątrz. Ludzie usiłują pokazać innym, jak wspaniale umieją się bawić, jak dobrze im się żyje. Jeśli brakuje ci własnej fantazji albo nie umiesz stworzyć odświętnego nastroju – zamawiasz „obraz” u projektantów.

– Uhu – powiedziałem. – Czytałem o tym. Już rozumiem. Na ulicach nie ma ludzi ani samochodów. A przecież wszyscy nie mogą spać, prawda?

W jakimś oknie akurat trwało wesele. Młodziutka panna młoda, chyba siedemnastoletnia, całowała się z równie młodym chłopcem. Dziwne... Teraz są już dorosłymi ludźmi, może nawet mają dzieci w moim wieku... A ich wesele ciągle trwa. Wesele trwa... A oni leżą w łóżkach i ślinią się...

– Podoba ci się ta moda? – zapytał Staś.

– Nie – wyszeptałem.

– Mnie też nie. Ja nie lubię nawet zwykłego wideo, nawet zwyczajnych zdjęć. Pamięć jest tym, co nosisz w sobie.

Samochód wjechał na szeroką ulicę, kilka minut później podjechaliśmy do pałacu sułtana. Była to ogromna, piękna budowla, może tylko Imperator na Ziemi miał większy pałac.

Staś jęknął, a potem mówił coś długo i zapewne brzydko w obcym języku – nie rozumiałem ani słowa, ale nie miałem wątpliwości, że przeklinał.

– Nad wszystkimi tymi wieżami i kopułami – powiedział fag – powinno migotać pole siłowe. To nawet ładny widok, no i zapewnia absolutną ochronę. Nie doceniłem wywiadu Szronu.

Samochód zawrócił na środku pustej ulicy.

– A jeśli na kosmodromie też wszyscy śpią? – spytałem cicho.

– No to co?

– Przecież nie można startować bez zezwolenia służby kosmodromu! Staś zaśmiał się niewesoło.

– Znaczenie słów „można” i „nie wolno” w sytuacji krytycznej zmienia się diametralnie.

– Kapitanie, a dlaczego nam się nic nie stało? – odważyłem się zadać pytanie, które dręczyło mnie od pół godziny.

– Nie wiem, Tikkireyu. Ja mam pewne szczególne umiejętności... ale ty jesteś zwyczajnym chłopcem. A z drugiej strony, agent Szronu nie mógł stać się dla ciebie niewidzialny, a broń, którą podbijają całe planety, na ciebie nie podziałała.

Poczułem się tak, jakby oblał mnie zimną wodą.

I mocno ścisnąłem dłoń Liona – słabą i bezwolną.

A ja myślałem... już prawie myślałem, że kapitan Staś to mój przyjaciel.

A on tylko wykonywał swoje zadanie. Nie zdołał przeszkodzić agentom Szronu, za to zdobył dwa ciekawe okazy – dwóch chłopców, jeden w fazie przemiany, drugi odporny na broń wroga.

– Jak tam twój przyjaciel? – zapytał Staś.

– Bez zmian – powiedziałem oschle. – Śpi.

– Zaraz przyspieszę – oznajmił Staś, jakbyśmy nie lecieli już dwieście na godzinę. – Trzymaj go mocno, dobrze?

Nie odpowiedziałem, tylko objąłem Liona jeszcze mocniej. Domy przemykały, odlatując do tyłu, w oknach tańczyli, jedli, rozmawiali ludzie, którzy już niedługo staną się bezwolnymi marionetkami.

I nawet nie rozumieją, co się stało.



## Rozdział 6

Kosmodrom był równie cichy jak miasto, ale tu wszędzie widzieliśmy śpiących ludzi – w taksówkach na postoju, przede wejściami i wyjściami, a nawet w budkach ochrony za ciemnym, matowym szkłem.

– Nie zasnęli od razu – rzekł Staś, rozglądając się. – Widzisz? Nie ma rozbitych samochodów, nikt nie zranił się w czasie upadku. To tak, jakby wszystkim nagle bardzo zachciało się spać i dlatego szybko położyli się, gdzie mogli.

Miał rację. Zauważyłem kilka osób leżących na chodnikach – z teczkami, torbami, dyplomatkami pod głową. Jeden starszy pan rozłożył sobie płaszcz na trawie i wyjął z walizki szlafmycę – tylko nie zdążył jej włożyć.

Wyglądałoby to nawet zabawnie – gdyby nie było takie straszne.

Biegając za kapitanem Stasiem rozglądałem się, próbując jak najwięcej zapamiętać. Dlatego jedynego człowieka, który nie spał, zobaczyłem w tej samej chwili, co fąg.

Od strony budynku kosmodromu jechał powoli staruszek na wózku inwalidzkim. Rozglądał się uważnie i na nasz widok krzyknął przenikliwie:

– Stójcie! Stójcie!

Zatrzymaliśmy się. Zauważyłem, że Staś jest bardzo spokojny, jakby nie spodziewał się żadnej pułapki.

– Dokąd niesiecie to biedne dziecko?

– Proszę zgadnąć. Dokąd mógłbym teraz kogokolwiek nieść? – odpowiedział pytaniem Staś. – Do przytułku dla dzieci niedorozwiniętych? Na targ niewolników? A może wszystko jedno gdzie, byle jak najdalej stąd?

Staruszek skinął głową. Był bardzo stary, kaleki, ale nie zniedołężniały. Miał na sobie bardzo elegancki garnitur z zapinkami z klejnotów, połyskujący krawat i buty ze świecącej w ciemności skóry awalońskiej jaszczurki. Jego wózek pewnie kosztował więcej niż samochód. Tylko gniazdo miał starodawne, o średnicy pięciu centymetrów i z różnymi typami wtyków, które dawno już wyszły z użycia. Nawet na Kopalni rzadko się takie widywało.

– Nazywam się Jurij – powiedział staruszek. – Jurij Siemiecki\* [\* Kolejne spotkanie czytelników prozy S. Łukjanienki z Jurijem Siemieckim – najbardziej znanym fanem rosyjskiej SF, żarliwym członkiem rosyjskiego Fandomu. Zabijanie go na kartach powieści stało się punktem honoru rosyjskich twórców fantastyki. Przyznawana jest nawet nagroda za „najlepsze literackie zabójstwo Siemieckiego” (wszystkie przypisy tłumaczki).] junior, do usług.

– Staś – odpowiedział fąg. – To jest Tikkirey, a ten chłopiec nazywa się Lion. Potrzebuje pan pomocy?

Staruszek pokręcił głową.

– Dziękuję, na kosmodromie jest nas dwieście osób. Wszyscy, którzy nie zasnęli. Zbieramy się na liniowcu „Astrachań”, jest najbardziej pojemny. Jak widzicie, nie mogę dźwigać ciężarów ładunków, więc objeżdżam teren w poszukiwaniu normalnych ludzi. Pozostali ładują śpiących na statek. Tyłu, ilu zdążymy... Za dwie godziny startujemy.

– No, no – Staś był wyraźnie zdumiony. – Dobrze. Powodzenia.

– Nie chcecie się do nas przyłączyć? – zdumiał się z kolei staruszek.

– Nie, dziękuję. Mam własny statek, bardzo mały, niepotrzebna mi załoga. Chłopców zabiorę ze sobą.

– Czy nie rozsądniej byłoby przyłączyć się do nas? – zapytał Jurij. – Mamy pilotów, nawigatorów...

– Dziękuję – uciął Staś. – Wolę liczyć na siebie. A wam radziłbym startować jak najszybciej, zamiast zajmować się niebezpieczną działalnością charytatywną.

– Bardzo proszę, tylko bez grubiaństwa... – zamachał rękami staruszek. – Być może w skali globalnej to tylko mrówcza krzątanina, ale robimy, co możemy.

– Macie przynajmniej broń? – zapytał Staś. Staruszek uśmiechnął się tylko.

– Bądźcie ostrożni – powiedział Staś. – Bądźcie bardzo ostrożni... Wymawiając ostatnie słowo, Staś zmienił nieuchwytnie ton i z twarzy staruszka spelzł uśmiech. Speszony poprawił kabel gniazda i krzyknął:

– Psiakrew, jesteś avalońskim fagiem! Co tu się dzieje? Epidemia? Inwazja Obcych?

Biegłem za Stasiem, zastanawiając się nad tym, co mi przed chwilą przyszło do głowy. To było głupie, ale...

– Jak najszybciej powiadomcie o tym Imperatora! – krzyknął za nami staruszek. – Od siedemdziesięciu lat wpłacam pieniądze na konto waszego idiotycznego zakonu! Chyba się do czegoś nadajecie?

Weszliśmy do budynku – automatyka drzwi działała bez zarzutu. Staruszek kontynuował swoje poszukiwania.

– Widziałem go kilka razy na Avalonie – powiedział nagle Staś. – Hodowca świń, handlarz bydlęm. Że też go tu przyniosło w złą godzinę...

– Zdążą?

– Nie wiem.

Przez wypełnione śpiącymi ludźmi sale przeszliśmy do terminalu kontroli lotów. Spali tam ochroniarze, dyspozytorka i kelner z tacą, zastawioną filiżankami kawy. Pewnie personel poczuł straszną senność i chciał ją odpędzić kawą...

– A oto i jego towarzysze... – wymruczał Staś. W oddali kilkanaście osób, przeważnie w podeszłym wieku, oglądało śpiących i niektórych, głównie dzieci, kładło na nosze.

– Chyba wiem, o co tu chodzi! – zawołałem. – Kapitanie! Wiem, dlaczego jedni zasnęli, a inni nie!

Staś westchnął i odblokował drzwi, prowadzące do poczekalni. Tam też spali ludzie.

– Chcesz powiedzieć, że chodzi o stare gniazdo? Bez modułu radiowego?

– Taak... – cały mój entuzjazm ulotnił się bez śladu.

Staś odwrócił się, zobaczył moją kwaśną minę i poklepał mnie po głowie.

– Nie przejmuj się. Twój domysł był prawidłowy, ale... Moduł radiowy to dwukierunkowy środek sterowania czynnikami mechanicznymi. Maszynami, komputerami, wózkami inwalidzkimi... Odbiera również informacje, ale przepustowość kanału jest tak wąska, że oddziaływanie za jego pomocą na psychikę jest niemożliwe.

– Naprawdę? – spytałem głupio. Staś wzruszył ramionami.

– Według naszych danych – naprawdę. Potrzeba kilku miesięcy nieprzerwanego, powtarzam, nieprzerwanego transferu danych do gniazda, żeby choć odrobinę wpłynąć na psychikę danego

człowieka. Taki strumień informacji płynący na planetę musiałby zostać zauważony. Gdy tworzono gniazda ze zdalnym podłączeniem, kwestia bezpieczeństwa stała na pierwszym miejscu. Właśnie dlatego kanał odbioru jest tak nieprawdopodobnie wąski. Chodźmy, Tikkireyu.

– A jednak chodzi o gniazdo... – wymamrotałem. – Przecież oni wszyscy...

– Ja też mam gniazdo z modułem radiowym – oznajmił Staś. – Poczynając od trzeciej wersji, creative został wyposażony w blok radiowy. Co ty na to?

Straciłem ochotę na dyskusje.

Zewnętrzne drzwi poczekalni nie poddały się od razu i Staś wyciął z nich kawałek szkła swoim biczem. Ja w tym czasie stałem z boku, patrząc na niewiele starszego ode mnie chłopca, śpiącego z droгим syntezatorem muzycznym w objęciach. Ciekawe, po co wyjął go z futerału? Chłopak wyglądał na typowego geniusza, którego koncerty nadawane są w całym Imperium i którym zachwycają się gospodynie domowe. Pewnie na rachunku ma kilka milionów kredytów, do dyspozycji osobistego ochroniarza, drogą willę, a jego uszy, palce i gniazdo ubezpieczono na niewiarygodne pieniądze. A teraz leży tu zaśliniony, w mokrych spodniach, a jestem cały i zdrowy. Nie wiadomo dlaczego.

– Tikkirey!

Pobiegłem za Stasiem. Lion bezwładnie kołysał się na jego ramieniu. Może dojdzie do siebie jak wystartujemy z planety?

Przed wejściem stał mały autobus. Staś wyciągnął z niego śpiącego kierowcę, Liona położył na fotelach z tyłu, ja usiadłem obok niego. Ruszyliśmy.

– Statystyka nam nie sprzyja – powiedział nieoczekiwanie Staś. – Wiesz, mały? Jeszcze z żadnej planety nie wy dostało się więcej niż pięciu czy sześciu ludzi. Kompletnie różnych ludzi. Żadnego związku, chociaż faktycznie, większość z nich nie miała modułu radiowego. Ale byli też tacy z najnowszymi chipami.

– Wiedział pan, że to się stanie? – zapytałem, oglądając się na jasno oświetlony budynek.

– Domyślałem się... Powiedz mi, mój młody, dociekliwy przyjacielu, patrzący na świat oczami bez kłapek – co łączy młodego geniusza komputerowego posiadającego najnowszy model gniazda i starca, który w ogóle nie miał gniazda? Kwakra, poważnego biznesmena, bogatego próżniaka i matkę wielodzietną?... Oni mieli zwykłe gniazda średniej klasy.

Milczałem – bo co mogłem powiedzieć? Lion oddychał normalnie, kołdra, w którą był zawinięty, zsunęła się. Zauważyłem, że on też się zsiakał.

– Kapitanie Stasiu... Widzi pan... Bo Lion... Bo on...

– Wiem, zauważyłem, jak go niosłem – odparł z uśmiechem Staś.

– Nie zrozumiał mnie pan! To przecież jak w trybie strumieniowym! Rozumie pan? Gdy podłączyli mnie po raz pierwszy, na próbę, to ja też... Jak się leży w butelce, tam się człowiek nie kontroluje, tam jest wszystko tak specjalnie urządzone...

Staś rzucił mi przelotne spojrzenie i znowu skoncentrował się na kierowaniu.

– Założmy... – powiedział powoli. – Ale skąd tu podłączenie strumieniowe?

– Nie wiem. Ale to strumień, na pewno! – gorączkowałem się. – Wiem, byłem w nim!

– Podoba mi się twój upór – rzekł w zadumie Staś. – A z drugiej strony, czego innego można oczekiwać po chłopcu, który uciekł z katorgi, a potem wzruszył nieczułych biznesmenów-astronautów?

Komplement był wątpliwy, ale mimo wszystko zrobiło mi się przyjemnie.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział fag, zatrzymując bus przed małym stateczkiem.

– Myślałem, że ma pan duży statek – nie wytrzymałem.

– Supermałe statki pozwalają na samodzielne pilotowanie – wyjaśnił Staś, patrząc na mnie uważnie. – Nie wymagają modułów sterujących, rozumiesz?

Drgnąłem. O rany! Nie pomyślałem, że skoro Staś ma własny statek, muszą na nim być „mózgi w butelkach”!

– Nie mam modułów – powiedział łagodnie fag. – Wyluzuj się... W razie konieczności można podłączyć kilku ludzi do strumienia, ale zazwyczaj nie ma takiej potrzeby. Im mniejszy statek, tym prostszy matematyczny aparat nawigacji w hiperkanale.

Luk statku otworzył się i przeszliśmy przez maleńką śluzę. Staś natychmiast zamknął właz i pokręcił głową – na ścianach zaczęły ożywać jakieś przyrządy. Rzeczywiście miał moduł radiowy.

– Nie obiecuję luksusów, ale zdołamy odlecieć – rzekł Staś. – Zastanawiam się, co zrobić z twoim przyjacielem...

– Ma pan przyrządy, żeby sprawdzić jego mózg? – zapytałem.

– Pod kątem pracy w strumieniu? – zapytał Staś. Skinąłem głową.

– Tikkireyu, nasz czas jest bardzo ograniczony... – zaczął kapitan, ale potem machnął ręką i zniósł Liona do innego pomieszczenia.

To był mostek – też malutki – z trzema fotelami przed pulpitem. Z tyłu, za fotelami, było niewielkie pomieszczenie, nawet nie oddzielone ścianą, a w nim dwa półprzezroczyste cylindry z ciemnego szkła ze znajomymi łóżkami w środku. Poczulem dreszcz.

– Wybacz, ale to najprostszy sposób diagnostyki – mruknął Staś, otwierając jeden cylinder i kładąc tam Liona. Wziął kabel i włożył Lionowi do gniazda.

Czekałem w milczeniu, patrząc na przyjaciela i zagryzając wargę. A on mi zazdrościł, że byłem w strumieniu! Głupek!

– Chodź tutaj, Tikkireyu! – zawołał mnie Staś. – Patrz...

U wezłowania łóżka świecił się mały ekran. Wyświetlane na nim symbole nic mi nie mówiły, więc Staś wyjaśnił:

– Jego mózg pracuje. Nie nazwałbym tego strumieniem, jest przecież odizolowany, ale struktura bardzo przypomina wyliczenia strumieniowe. – A co on liczy?

Staś wzruszył ramionami:

– Żebym to ja wiedział... zaraz sprawdzimy obciążenie... Jego palce przesunęły się po sensorach.

– Dobrze liczy – powiedział ze zdumieniem Staś. – Oho, ale mu spadł poziom glukozy... twój przyjaciel jest teraz bardzo zajęty... Widzisz, Tikkireyu, ludzki mózg bardzo lubi pracować, uwielbia myśleć, dlatego podczas pracy w strumieniu mózg oddaje wszystkie rezerwy na opracowanie danych. Cały problem polega na tym, że w tym czasie nie podejmuje żadnych decyzji i obszary odpowiedzialne za procesy decydowania i abstrakcyjnego myślenia stają się zbędne i zaczynają obumierać. O, do licha!

Zamilkł, patrząc na cyfry.

– Co się stało? – spytałem żałośnie.

– Tikkireyu, to już nie strumień, to jakiś wodospad...

– Tak z nim źle?

– Beznadziejnie. – Staś wziął mnie za rękę. – Pracuje teraz trzy razy intensywniej niż w strumieniu... No tak, przecież nie musi wymieniać informacji ze światem zewnętrznym... Tikkireyu, za kilkanaście godzin twój przyjaciel będzie w takim stanie, jak człowiek po dwóch, trzech latach w strumieniu.

– Stasiu...

– Od czterdziestu lat jestem Stasiu. Nie wiem, co moglibyśmy zrobić.

– Można go jakoś zatrzymać? Uśpić?

– On już śpi, Tikkireyu. Żeby przerwać pracę mózgu, musiałbym go zabić.

– Anabioza! – krzyknąłem. – Ma pan pomieszczenie?

– Mam. Ale przygotowania do anabiozy trwają kilkanaście godzin. Przecież go nie zamrozimy.

Sam wiedziałem, że palnąłem głupstwo. Żeby człowiek przeżył w anabiozie, żeby nie leżał „z lodem na oczach”, należy związać całą wodę w organizmie, złączyć ją ze specjalnymi dodatkami. Przygotowanie człowieka do anabiozy to co najmniej dziesięć godzin.

– Więc zostanie debilem? – zapytałem.

– Będzie taki, jak chce tego Szron. – Staś wyprostował się i rozłożył ręce. – To co innego. Zmiana świadomości bliska strumieniowej, ale inna.

Pogładziłem Liona po rękę. Popatrzyłem Stasiowi w oczy i powiedziałem twardo:

– Niech go pan podłączy do strumienia. I obciąży wyliczeniami. Jakimikolwiek.

– Co takiego? – Staś zmarszczył brwi.

– Może jedno zadanie wyprze drugie?

Staś zmrużył oczy i zerknął na Liona z lekkim powątpiewaniem.

– A jeśli to go zabije? Jesteś gotów podjąć decyzję za swojego przyjaciela?

– Jestem – powiedziałem i to było najtrudniejsze słowo, jakie kiedykolwiek wymówiłem.

– Tikkireyu, ja jeszcze nigdy nie używałem modułów... – zaczął Staś i machnął ręką. – Umiesz go zamocować?

– Chyba tak. Sam tak leżałem.

Kilka minut później nad Lionem zamknęła się przezroczysta pokrywa. Staś usiadł przy pulpicie, niedbale podłączył sobie kabel. Statek drgnął, zawibrowały uśpione dotąd przyrządy. Oczy Stasia zasnuły się mgiełką – teraz on był statkiem i czuł każdy jego blok, każdy kabel i procesor.

– Usiądź... przypnij się... podłącz... kabel... – powiedział z wysiłkiem Staś. – Szykujemy się do startu... Tikkireyu.

Klapanąłem w fotelu obok – od razu przystosował się do mojego ciała – i zwolniłem pasy bezpieczeństwa, które szybko mnie przypięły. O tym, jak należy się zachowywać w prawdziwym fotelu pilota, wiedziałem tylko z filmów, ale na razie wszystko szło dobrze.

– Wejść do sieci... – odezwał się znowu Staś. – Dam ci zewnętrzny obraz... spróbuj się przyzwyczaić.

Odgarnąłem włosy, podłączyłem wtyczkę i odetchnąłem głęboko – przede mną otworzył się zupełnie inny świat.

Mostek statku zgasł, zniknął. Teraz patrzyłem we wszystkie strony jednocześnie, unosząc się dziesięć metrów nad ziemią. Widziałem miasto w oddali, widziałem ludzi, dźwigających nosze do liniowca, widziałem inne statki – martwe i ciche.

Wyczuwałem czyjaś obecność obok siebie. Ktoś duży, przyjazny i bardzo zajęty... niczym niebieski płomyk na peryferiach widzenia – chociaż teraz mogłem patrzeć we wszystkie strony.

– Kapitanie? – wyszeptałem i zrozumiałem, że mówię w myślach.

– Tak, Tikkireyu – płomyk stał się wyraźniejszy. – Jestem bardzo zajęty, po prostu rozglądaj się, dobrze?

Rozglądałem się. Upajałem się tym wrażeniem. To wcale nie przypominało podłączenia do szkolnego komputera z jego żalosznymi kamerami wideo. Tam świat przypominał układankę, tutaj był jedną całością...

– Ale super... – wyszeptałem. I spłoszyłem się:

– Kapitanie, a co z Lionem?

– Zaraz go obciążę wyliczeniami.

Uspokojony rozglądałem się dalej. Spojrzałem w górę – i zobaczyłem wysoko na niebie ślad kanału hiperprzestrzennego – niczym kawałek absolutnej pustki wśród próżni.

Superowo...

– Jeśli ten liniowiec wyrwie się z planety, to będzie ogromny sukces – rzekł Staś. – Nowa statystyka.

– Wówczas stanę się niepotrzebny – powiedziałem. Staś odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

– Więc o to ci chodzi...

– Przecież to prawda? Ja i Lion jesteśmy panu potrzebni tylko jako okazy do badań.

– Gdyby tak było, czy podłączałbym twojego przyjaciela?

– To również eksperyment...

Tylko tutaj, w przestrzeni wirtualnej, mogłem powiedzieć coś takiego. Gdybyśmy stali twarzą w twarz, nie odważyłbym się. Nie dlatego, że się bałem – po prostu nie mógłbym i już.

– Tikkireyu – powiedział po długiej przerwie Staś – zapewne z twojego punktu widzenia to wszystko układa się w logiczną i przekonującą całość. Ale to nie jest tak. My, rycerze Avalonu, uważamy, że w niepewnej sytuacji najlepiej postąpić zgodnie z własnym sumieniem. Później okazuje się, że była to najlepsza decyzja. Chcę, żebyś wiedział, że nikt nie ma zamiaru poddawać badaniom ani ciebie, ani twojego przyjaciela. Jeśli odpowiesz na kilka pytań, bardzo nam to pomoże. Jeśli nie zechcesz – twoje prawo. Dostarczę was na Avalon i pomogę zdobyć obywatelstwo. To wszystko.

I znikł z mojego pola widzenia. Zablokował się.

Nawet kosmiczni rycerze czasem się obrażają.

Z trudem wyczułem własne ciało. Znalazłem ręką gniazdo i wyjąłem kabel. Bolała mnie głowa. Rzuciłem spojrzenie na Stasia – patrzył w pustkę, jego twarz drgała. Pewnie przygotowuje statek do startu. Sam jeden.

Nawet, jeśli korzystał – po raz pierwszy w życiu – z modułu sterującego. A tu jeszcze musi wysłuchiwać zarzutów głupiego dzieciaka.

Czy to możliwe, że Staś chce mi pomóc tak po prostu, bezinteresownie? Nie tak jak pomagają sobie nawzajem uczciwi obywatele Imperium, tylko znacznie bardziej? To nierozsądne i nielogiczne! To nie przyniesie mu żadnej korzyści!

I to by znaczyło, że cały nasz świat jest nieprawidłowy. Wszystko w nim jest niesłuszne. Moi rodzice w ogóle nie powinni umrzeć. A nieprzyjemna kobieta ze służby socjalnej naprawdę chciała

dla mnie dobrze.

To znaczy, że ja też będę musiał zacząć żyć inaczej. Żyć w świecie, w którym najważniejszą rzeczą nie jest prawo i porządek. W którym będę musiał zastanawiać się nad każdym swoim czynem.

– Kapitanie... – powiedziałem. – Przepraszam. Pewnie jestem głupi. Ale uczę się i bardzo się staram.

Staś odwrócił głowę i powiedział:

– Sprawdź pasy, Tikki. Startujemy.

Szybko sprawdziłem pasy, chociaż wiedziałem, że wszystko jest w porządku. Od dawna nikt nie mówił do mnie „Tikki”. Od czasu, gdy zamknęły się drzwi za moimi rodzicami.

Pierwszy raz w życiu leciałem statkiem kosmicznym mając świadomość lotu. Ciekawe wrażenie, ale mimo wszystko spodziewałem się czegoś więcej. A może po prostu za bardzo się martwiłem o Liona, za bardzo martwiłem się o planetę, która jednak nie stała się moją nową ojczyzną, za bardzo denerwowałem się niewiadomą?

Staś doprowadził statek do hiperkanału i zatrzymał się. Do kanału można wejść jedynie pod określonym kątem i z określoną prędkością, w przeciwnym razie można dolecieć zupełnie gdzie indziej, niż się planowało.

– Wyliczamy kurs? – zapytałem.

Staś pokręcił głową. Już wyszedł z trybu nawigacyjnego i zachowywał się normalnie.

– Czekamy na „Astrachań”. Może uda im się wyrwać z planety...

– Jeszcze nie wystartowali?

– Nie.

Czekaliśmy chyba ze dwie godziny, ale żaden statek nie wszedł do kanału i żaden się z niego nie wyłonił.

Liniowiec nie wystartował. Dziarski staruszek na wózku i jego towarzysze zostali na dole.

Staś posepniał coraz bardziej. A potem skrzywił się jakby pod wpływem bólu i wyłączył jeden z wideoe ekranów.

W sieci informacyjnej Nowego Kuwejtenu nadawano specjalne wydanie wiadomości. Sułtan omawiał kwestię przyłączenia planety do Federacji Szronu.

Wyglądał zupełnie normalnie i nigdy bym nie przypuścił, że ten człowiek znajduje się pod jakimkolwiek wpływem. Mówił bardzo mądre rzeczy – że Federacja, składająca się z sześciu planet („i na tym wcale nie koniec”), pozwoli Nowemu Kuwejtowi zająć należną mu pozycję w Imperium. Że pomiędzy Szronem i Kuwejtem od dawna istniała więź przyjaźni oraz bardzo dobre kontakty kulturalne i handlowe. Mówił też o tym, jak długo naród Nowego Kuwejtenu czekał na tę decyzję.

– Przeszli niezłe pranie mózgu – stwierdził Staś. – To dlatego „Astrachań” nie wystartował. Śpiący ludzie, których ładowano na statek, obudzili się i... – nie dokończył.

– Trudno „zainstalować” człowiekowi program zmieniający psychikę?

– Trudno, Tikkireyu. W tym właśnie rzecz. To musi być potwornie duży program, bo przecież nie chodzi o zabicie człowieka, czy pozbawienie go woli, lecz o całkowite przeprogramowanie jego psychiki. Nawet przy dobrym gnieździe mówimy o kilkudziesięciu godzinach podłączenia. Przez moduł radiowy w ogóle nie da się załadować takiego programu...

Myślałem w napięciu. Kilkadziesiąt godzin... Cała ludność planety... Przy takim zadaniu

wymiękliby nawet najsprytniejsi agenci Szronu. Przecież nie da się podłączyć człowiekowi kabla na siłę!

Pewnie, że czasami siedziałem z kablem godzinami, chociaż wcale nie miałem na to ochoty, ale to było przed egzaminami... I sam, własnoręcznie, podłączałem się do szkolnego komputera.

– Kapitanie, a co to za planeta, ten Szron? – spytałem. Wstyd się przyznać, ale niewiele wiedziałem o naszym wrogu.

– Absolutnie zwyczajna – Staś pokręcił głową. – Przeciętna. Słabsza od Avalonu czy Edenu, mniej więcej na poziomie Nowego Kuwejtu. Nie tak rajski klimat, ale w granicach normy. Budują statki, coś tam wydobywają... Dobrze rozwinięty przemysł rozrywkowy, produkują seriale wirtualne, opery mydlane... Na pewno widziałeś, no, na przykład „Drogami widm”.

– Nie widziałem – przyznałem się. – U nas rzadko kupowali programy rozrywkowe. Ciekawy?

– Ja też nie widziałem – uspokoił mnie Staś. – Taka praca, Tikki, człowiek nie ma czasu na rozrywki...

Zamilkł i utkwiał we mnie wzrok – po raz pierwszy zobaczyłem faga stropionego. Ja też już zrozumiałem i wypaliłem szybko, żeby zdążyć pierwszy:

– Seriale! Przecież one idą przez gniazdo! Człowiek wtyka kabel i siedzi, godzina za godziną, codziennie, przepływ masy informacji...

– Tikki... – Staś uderzył się pięścią w kolano. – Odgadliśmy! Moduł radiowy to tylko spust, sygnał uruchamiający program! Program, który został umieszczony w człowieku znacznie wcześniej, na miesiące, na lata przed inwazją. Potem wystarczy jeden potężny impuls i program startuje!

Odwróciłem się i popatrzyłem na Liona.

– Teraz zdołamy mu pomóc?

– Jeszcze nie wiem. Że też nikt wcześniej... – Staś zaśmiał się z goryczą. – Ludzkość robiła sobie pranie mózgu przez całe stulecia. Gdy nie było gniazd, za pomocą zwykłej telewizji, radia i drukowanych książek. Przez tysiąclecia próbowano zmusić ludzi, by robili to, czego nie chcą. A Szron... Szron poszedł tylko krok dalej.

Gdyby nie myśl o Lionie, o otumanionej planecie, o tym, że wszystko się dopiero zaczyna – byłbym najszcześliwszym człowiekiem na świecie. – Dziękuję, Tikkireyu – powiedział Staś. – Być może zaoszczędziłeś nam dzień, być może tydzień. Możliwe też, że kilka godzin. Ale dzięki temu uratowałeś jakąś planetę. Tylko nie wbij się w dumę!

– Dlaczego? – spytałem bezczelnie. – Przecież ja... to znaczy my... rzeczywiście zrozumieliśmy...

– Tikki, nikt nigdy nie dowie się o twojej roli. Tak samo, jak nikt nie zna przyczyn zawarcia pokoju z rasą Czygu i nie wie, w jaki sposób został przerwany katolicki dżihad na Ziemi.

– To wy... to wy to zrobiliście? – wykrzyknąłem zdumiony. Staś mówił o wydarzeniach, które zna uczeń pierwszej klasy. – A miczman Charitonow, który uratował matkę Czygu ze statku niziołków i stał się jej symbolicznym mężem? A imam Joann, który dokonał całopalenia na placu, gdy buntownicy... Kapitanie Stasiu!

– Tikkireyu, w twoim ciele są miliony komórek-fagów. Czy wiesz, która z nich uratowała cię przed infekcją?

– Ale was jest mniej niż milion!

– Oczywiście, że mniej. Jest nas mniej niż tysiąc i to też tajemnica. Ale jesteśmy fagami lecącymi przez galaktykę i szukającymi zagrożeń. To swego rodzaju pycha i wada – być niewidocznym



bohaterem, być powodem kpin i dowcipów. Może kiedyś nas to zgubi. Ale nasi wrogowie się z nas nie śmieją. Nigdy. A teraz pytaj.

Podniosłem na niego wzrok. Głupio zadawać pytanie, które twój rozmówca już zna.

– Czy ja mógłbym zostać fagiem, kapitanie?

– Prawie na pewno nie. Bardzo mi przykro, Tikkireyu, ale przygotowanie faga zaczyna się w chwili jego poczęcia. Nigdy nie zdołasz poruszać się z szybkością, która jest nam potrzebna w walce. Twoje narządy zmysłów są zbyt słabe. Już teraz jesteś za stary – bo już się urodziłeś.

Mimo woli roześmiałem się, ale Staś pozostał poważny.

– Nie wystarczy być uczciwym, mądrym i zdrowym człowiekiem. Masz wolę, upór i intuicję, ale potrzebne są również najbardziej prymitywne umiejętności fizyczne. Umiejętność prowadzenia walki z dwudziestoma uzbrojonymi przeciwnikami. Wytrzymywanie obciążeń, z którymi nie poradzi sobie żaden normalny człowiek. Na przykład takich...

Wyjął z kieszeni monetę półkredytową i dwoma palcami zwinął ją w rulonik. A potem spłaszczył na cienki metalowy pasek.

– Trzymaj.

Chwyciłem monetkę. Metal był gorący, prawie parzył.

– W naszej pracy takich sytuacji jest znacznie mniej, niż się ludziom wydaje – powiedział łagodnie Staś. – Ale jednak się pojawiają. Możesz trenować, możesz się uczyć, możesz stać się silniejszy i zręczniejszy od każdego człowieka, nawet od imperialnego komandosa. Możesz dorównać agentowi Szronu, który został w motelu. A fag musi być najlepszy, żeby nigdy tam nie zostać.

– Już rozumiem. Przepraszam. Staś skinął głową.

– Nie będziesz jednym z nas, ale możesz być z nami. Aby jeden rycerz Avalonu leciał od planety do planety, szastając pieniędzmi albo po prostu składając wizyty władcom, potrzebna jest setka ludzi przygotowujących każdą operację. Będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli gdzieś na cichym, spokojnym Avalonie będziesz sobie łamał głowę nad dziwnymi i zastanawiającymi faktami, wyłapanymi w tajnych szyfrogramach Imperium, czy prowincjonalnych wiadomościach na wpół zapomnianych planet. Będziesz analizował, porównywał, pytał, a potem wydasz mi rozkaz i niepokonany superbohater wyruszy na akcję. W dziewięciu przypadkach na dziesięć – zupełnie niepotrzebnie.

Uśmiechnąłem się. Było mi przykro i jednocześnie przyjemnie.

Staś spoważniał.

– A teraz musimy już lecieć, Tikki. Musimy przekazać innym to, co zrozumieliśmy. Masz okazję zobaczyć, czym jest lot w hiperkanale... Za pierwszym razem to nawet dość ciekawe...

– Niech pan poczeka, kapitanie – powiedziałem i zacząłem szybko odpinać pasy. – Dwie minuty, dobrze?

Skinął głową z uśmiechem.

– Nie rozumiał mnie pan – powiedziałem. – Wchodzę w strumień. Chyba udało mi się go zaskoczyć.

– Dlaczego, Tikkireyu?

– Ponieważ tam jest mój przyjaciel. Jest sam. Jest mu źle. Może, jeśli będę obok niego w strumieniu... Ja wiem, że tam nic nie ma, ale może on poczuje? Może mu to pomoże?

Już stałem obok drugiego miejsca dla modułu sterującego i rozbierałem się.

– Niszczysz własny mózg – powiedział Staś po chwili. Nawet się nie odwrócił, nadal siedział spięty i stropiony.

– W ciągu jednego skoku niewiele się zniszczy, prawda? Sam pan mówił, że nie można zawsze postępować rozsądnie... – położyłem się na idiotycznym łóżku dla obłożnie chorych i zacząłem zapinać pasy.

– Jest mi bardzo przykro, że już się urodziłeś – powiedział cicho Staś. – Mógłbyś zostać prawdziwym rycerzem Avalonu. Powodzenia, Tikki. Postaram się dotrzeć do Avalonu jak najszybciej. Nie tylko z powodu Szronu i Nowego Kuwejtu.

Skinąłem głową, chociaż on nie mógł tego widzieć. Ale mógł poczuć, no nie? Wziąłem kabel, wetknąłem do gniazda i popatrzyłem na Liona – przez ciemne szkło jego twarz wydawała się smutna.

Już wiedziałem, że zastanawianie się nad każdym czynem wcale nie jest takie trudne. Trochę nowe, trochę straszne – ale nie trudne.

– Powodzenia, kapitanie – powiedziałem i zamknąłem oczy.

# **Część druga**

## ZABAWY ZIMOWE

# Rozdział 1

Gdy dochodziłem do przystanku, poczułem na karku pecynę śniegu.

Ciągle nie mogę do tego przywyknąć! Nie dość, że zimno jak nie wiem, nie dość, że trzeba nosić specjalne zimowe ubrania, to jeszcze wszędzie leży śnieg! Wiedziałem oczywiście, że śnieg istnieje, ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć go, dotykać, czy po nim chodzić.

Albo dostać śniegową kulką w kark... Odwróciłem się, wsunąłem rękę za kołnierz i wyciągnąłem nadtopiony śnieżek. Rossi i Rosi, bliźnięta (też nie mieli szczęścia do imion), już do mnie podbiegli, roześmiani i bynajmniej nie zakłopotani swoim wyglądem.

– Cześć, Tikkirey – powiedziała Rossi. – Dobry strzał?

– Aha – przyznałem. Po śniegu za kołnierzem została mokra plama, która powoli zaczynała się nagrzewać.

– Mówiłem jej, żeby tego nie robiła – włączył się Rosi. – Ale sam wiesz, że jest stuknięta.

Nie wiem dlaczego, ale byłem pewien, że na pomysł obrzucenia mnie śnieżkami wpadł właśnie Rosi. Wprawdzie był cichszy i spokojniejszy od siostry, ale inicjatywa zawsze wychodziła od niego.

– Nic się nie stało – powiedziałem pojednawczo. – Po prostu nie jestem przyzwyczajony, u nas nigdy nie padał śnieg.

– Nudno tak bez zimy – wypaliła Rossi. Nie mogła ustać spokojnie nawet przez sekundę – wciąż wymachiwała rękami w kolorowych rękawiczkach, wsuwała je do kieszeni kurtki, poprawiała zsunięty na kark берет.

Wszyscy mówili, że w tym roku zima była wyjątkowo ciepła, temperatura rzadko spadała poniżej zera. Ale ja i tak marzłem.

– Pójdiesz z nami? – zapytał Rosi. – Chcemy pograć w karty, potrzebujemy czwartego. Będzie Iwan.

– Nie mogę.

– Dlaczego? – Rossi złapała mnie za rękaw, zajrzała w oczy. – Gniewasz się? Przepraszam, już nie będę w ciebie rzucać.

– Za dwie godziny idę do pracy – wyjaśniłem. – Dzisiaj mam nocną zmianę.

Rossi skrzywiła się.

– No tak, jesteś człowiekiem zajęтым, dorosłym...

– Nie jestem dorosły – sprzeciwiłem się. – Ale mam prawa obywatelskie i muszę zarabiać na życie.

Dziwna sprawa... Byliśmy przecież rówieśnikami, ale gdy patrzyłem na Rossi, Rosiego i resztę mojej klasy, wydawało mi się, że to same głuptasy, i tylko ja jeden jestem dorosły i mądry. Może dlatego, że byłem na Nowym Kuwejcie, a może dlatego, że dorastałem na Kopalni. Oni nigdy nie musieli myśleć o służbach socjalnych, o pieniądzach na opłatę bytową, nie śledzili szpiegów Szronu i nie pomagali prawdziwemu rycerzowi Avalonu. Ich rodzice żyli, troszczyli się o nich, kochali ich i w razie potrzeby pomagali. I żadne z nich nie musiało pracować, co najwyżej w czasie wakacji dorabiali sobie za ladą u McRobbinsa.

– Szkoda – powiedział Rosi. W sumie fajny chłopak, tylko czasem przesadza z żartami. – No to może jutro? Jutro mamy wolne, możemy robić, co chcemy.

– Nie ma sprawy – zgodziłem się. – Pogadamy rano, dobra? Podjechał mój autobus, pożegnałem się z bliźniakami i wskoczyłem do środka. Mogłem poczekać godzinę i pojechać za darmo autobusem szkolnym. Ale spieszyło mi się.

Tak jak obiecał Staś, pracowałem teraz dla avalońskich fagów, czy raczej dla jednej z ich służb, posiadającej małe biuro w centrum Port Lanc, gdzie mieszkałem. Port Lanc to małe miasto, znacznie mniejsze od stolicy Avalonu, Camelotu, ale mnie się podobało.

Nawet mimo zimy.

Siedziałem przy oknie obok jakiejś pulchnej kobiety w szarym, sztucznym futrze. Kobieta na przemian zaglądała do torby z zakupami albo zaczynała coś liczyć na swojej karcie kredytowej. Pewnie wydatki jej się nie zgadzały, bo coraz bardziej marszczyła brwi. W końcu wyjęła z kieszeni małe pudełeczko z wideodyskami i od razu się rozjaśniła. Schowała kartę, złożyła ręce na kolanach i uspokoiła się.

Ja też powinienem policzyć wydatki. Zostało mi jeszcze trochę z tych pieniędzy, które Staś dał mi na Nowym Kuwejcie, a za trzy dni miałem otrzymać swoją pierwszą pensję, ale... Okazało się, że samodzielne prowadzenie gospodarstwa jest bardzo trudne. Płacenie rachunków, kupowanie jedzenia i innych potrzebnych rzeczy... Nie mam pojęcia, jak radzili sobie rodzice!

Odwróciłem się do okna i patrzyłem na ulice Port Lanc. Mamie by się tu spodobało. Zawsze mówiła, że zmiana pór roku jest rzeczą konieczną. Tata pewnie też polubiłby to miejsce.

Jak ja nienawidzę Kopalni!

A przecież mogłem tam przeżyć całe życie, nie podejrzewając nawet, że gdzie indziej świat wygląda inaczej. Na Kopalni nadal mieszkają moi przyjaciele, Gleb i Dajka, i wszyscy inni... U nich nadejście zimy oznacza tylko tyle, że słońce świeci trochę słabiej. Oni nadal płacą za powietrze, którym oddychają, opowiadają sobie bajki o mutantach i oglądają stare programy rozrywkowe, bo na nowe administracja nie ma pieniędzy.

Ja wszystko rozumiem. Wiem, że w Imperium jest ponad dwieście planet i na każdej ludzie żyją inaczej. Są bogate, jak Ziemia, Eden i Avalon... Są takie jak Nowy Kuwejt, gdzie mają fajny klimat, ale planecie przydarzyło się nieszczęście. A są takie jak moja ojczyzna. Skolonizowano ją, bo coś trzeba było zrobić z katorżnikami i ktoś musiał wydobywać radioaktywną rudę. Potem ruda przestała być towarem pierwszej potrzeby, katorżników zrobiło się mniej i o Kopalni wszyscy zapomnieli. Żyćcie sobie, jak chcecie. Wszystko rozumiem. Ale jest mi smutno.

– Ulica Tęczowa – pisnął głośnik w zagłówek mojego fotela. – Jeśli chce pan jechać dalej, proszę uiścić dodatkową opłatę.

Nie miałem zamiaru jechać dalej, tutaj mieszkałem. Precisnąłem się obok mojej sąsiadki i wyszedłem z autobusu.

W Port Lanc wszystkie nazwy są bardzo ładne. Ulica Tęczowa, Słoneczny Prospekt, Cienisty Bulwar, Wieczorny Skwer, Nabrzeże Mgieł. Wystarczy, że człowiek usłyszy taką nazwę i od razu wie, że w tym mieście żyją dobrzy ludzie. Podobno jest tu bardzo ładnie latem, gdy kwitną ziemskie kasztany i miejscowe drzewa o śmiesznej nazwie gapa. To drzewo rodzi małe, lekkie owoce, które reagują na ciepło, i gdy ktoś przechodzi obok, odrywają się od gałęzi i spadają na ziemię. Nasiona rozsypują się na wszystkie strony i na kilka minut przywierają do człowieka albo zwierzęcia. Nie są lepkie, elektryzują się.

Ale to będzie potem. Teraz jest zima, a później nadejdzie wiosna. Wiosną będzie tu bardzo ładnie. Tak mi mówili.

Po drodze wstąpiłem do niewielkiego sklepu spożywczego, kupiłem opakowanie gotowych obiadów – niedrogich i smaczych, bułkę i dwie butelki lemoniady. Sprzedawczyni już mnie znała, skinęła serdecznie głową i spytała:

– Nie marzniesz, Tikkireyu?

– Nie-e – pokręciłem głową. – Nie jest aż tak zimno.

– Ale nie chodź bez czapki.

– Czapkę mam w torbie – przyznałem się. – Nie mogę się przyzwyczaić do noszenia czegoś na głowie.

– Przyzwyczajaj się, Tikkireyu – kobieta uśmiechnęła się i zmierzwiła mi włosy. – Jesteś przecież poważnym i samodzielny człowiekiem.

Wiedziałem, że trochę sobie ze mnie żartuje, ale nie czułem się urażony.

– Dobrze, postaram się – powiedziałem, chowając zakupy do torby. – Do widzenia.

Mieszkanie udostępniła mi rada miejska na czas nieokreślony, jako przymusowemu emigrantowi z planety, którą ogłoszono „strefą katastrofy”. Być może mieszkańcy Avalonu uznaliby moje mieszkanie za małe i ubogie, ale mnie się podobało. Były tu cztery pokoje, kuchnia i duża, oszklona loggia z widokiem na las i jezioro... Podobno latem mieszkańcy Port Lanc lubią urządzać tam pikniki. Teraz jezioro pokrywał cienki, srebrzysty lód. Nocą odbija się w nim światło księżyca.

Na siódme piętro wjechałem windą, choć zazwyczaj wbiegałem po schodach w ramach gimnastyki. Otworzyłem drzwi i cichutko wszedłem do przedpokoju.

W salonie mamrotał telewizor. Wsłuchałem się.

– Tu strażnik-cyborg Daimor!

– Osłaniaj mnie!

Odezwał się blaster plazmowy, sądząc po charakterystycznych odgłosach mechanizmu chłodzącego była to „puma”, niemal zupełnie rozładowana. Oczekałem trzy sekundy, ale amunicja „pumy” nie miała zamiaru się skończyć. Oczekałem kolejne pięć sekund, ale mechanizm chłodzący nadal działał i lufa blastera jeszcze się nie stopiła. W naszym laboratorium na stanowisku badawczym żadna lufa nie wytrzymała więcej niż dziesięć sekund.

Zrzuciłem buty, zdjąłem kurtkę i wszedłem do holu.

Lion siedział w fotelu i patrzył na ekran.

– Cześć, Lion – powiedziałem.

– Cześć, Tikkirey – odezwał się mój przyjaciel, nie odrywając wzroku od ekranu. Na ekranie skakały postacie w masywnych pancerzach, w którym ciężko jest skakać, i ostrzeliwały ogromnego pająka. Z pająka na wszystkie strony leciały kawałki mięsa, ale stwór nie miał najmniejszego zamiaru umrzeć.

Usiadłem na poręczy fotela i popatrzyłem na Liona. Lion patrzył na ekran.

– Chcesz pójść do toalety? – zapytałem.

– Tak – odparł po zastanowieniu.

– Idź, Lion. Wstań, idź do toalety i zrób wszystko, co trzeba.

– Dziękuję, Tikkireyu.

Lion wstał i wyszedł jak normalny człowiek.

Nie zdołaliśmy go uratować – naprawdę uratować. Podłączenie do trybu strumieniowego przebiło

program uruchomiony przez Szron, ale Lion stracił wolę. Zachowywał się teraz gorzej niż Keol z załogi „Klazmy”. O wszystkim trzeba mu przypominać – nie dlatego, że zapomina, żeby się umyć albo coś zjeść, tylko dlatego, że nie widzi sensu takich działań. Nie ma na nic ochoty.

Najgorsze jest to, że on wszystko rozumie i gdzieś w głębi duszy męczy go jego własny stan.

Lion wrócił i znowu usiadł w fotelu, jakby w ogóle nie było mnie w pokoju. Jedyne, co nadal lubił robić i co ciągnęło go niczym magnes, to oglądanie telewizji. Z modułami sterującymi też tak bywa.

– Jadłeś obiad, Lion? – zapytałem nie wiadomo po co.

– Tak.

Zeskoczyłem z parapetu, zajrzałem mu w oczy. Przecież nie mógł kłamać...

– Naprawdę? Naprawdę zjadłeś obiad? Miałeś ochotę? Byłeś głodny?

– Naprawdę – odpowiedział Lion. – Byłem. Czyżby tak szybko?

Wszyscy mówili, że wcześniej czy później Lion się zregeneruje i będzie taki jak kiedyś. Że mózg, zwłaszcza mózg dziecka, to elastyczny system i że wola powróci. Na początek w najprostszych potrzebach fizjologicznych, jak wyraził się lekarz, potem całkowicie. Ale kto by się spodziewał, że stanie się to tak szybko!

– Lion... – wyszeptałem. – Lion, nie masz pojęcia jak się cieszę! Brawo, Lion!

Nie odpowiedział – nie zadałem żadnego pytania.

– Może jeszcze umyłeś naczynia? – spytałem, żeby zmusić go do mówienia.

– Nadia umyła – odpowiedział obojętnie Lion. Cała moja radość ulotniła się.

– Więc to Nadia cię nakarmiła!

– Tak. Przyszła, zapytała, czy nie jestem głodny – odpowiedział spokojnie mój przyjaciel. – A ja powiedziałem, że jestem. Zjadłem obiad. Potem ona umyła naczynia. Porozmawialiśmy. Potem zacząłem oglądać wideo.

– Brawo – powiedziałem znowu, choć nie czułem już radości. – Idę do pracy, Lion. Wrócę bardzo późno. Gdy wideo się wyłączy – podniosłem z podłogi pilota i szybko ustawiłem timer – pójdziesz spać. Rozbierzesz się, położysz, przykryjesz kołdrą i zaśniesz.

– Dobrze, Tikkireyu. Wszystko zrozumiałem.

Niemal wybiegłem z mieszkania. Miałem jeszcze trochę czasu, ale wyskoczyłem za drzwi i stanąłem na klatce, gryząc wargę. Było mi tak źle...

– Tikkireyu...

Odwróciłem się i zobaczyłem Nadieżdę. Nadieżda jest pielęgniarką i mieszka po sąsiedzku. Umówiliśmy się, że będzie czasem zaglądać do Liona. Pewnie jej wizjer był zaprogramowany na moje pojawienie się.

– Dzień dobry. – Nadieżda ma mniej więcej trzydzieści lat, surowy głos i poważny wygląd, ale jest dobrym człowiekiem. Zawsze czuję się przy niej zakłopotany.

– Byłam i nakarmiłam Liona.

– Domyśliłam się.

Nadieżda podeszła i spojrzała mi w oczy:

– Coś się stało, Tikkireyu?

! – Myślałem... myślałem, że on sam zjadł...

Westchnęła, wyjęła papierosa, pstryknęła zapalniczką i powiedziała przepraszająco:

– Mój Boże, do głowy mi nie przyszło...

– On i tak będzie normalny – powiedziałem z uporem.

– Oczywiście, Tikkireyu – Nadieżda zaciągnęła się papierosem, patrząc na mnie. – Ale może lepiej odesłać Liona do państwowego szpitala? Skoro zgadzają się leczyć go za darmo... Tam naprawdę są świetni specjaliści!

– Nie kwestionuję tego. Ale ze mną jest mu lepiej.

– Boisz się terapii wstrząsowej?

Skinałem głową. Bałem się. Ponieważ zostałem oficjalnym opiekunem Liona, lekarze wyjaśnili mi szczegółowo, co robiliby z moim przyjacielem.

– Wiem, że niektóre metody mogą się wydawać okrutne – przyznała Nadieżda. – Te wszystkie testy na głódówkę i badanie reakcji na ból... Ale zrozum, Tikkireyu, oni mają duże doświadczenie w rehabilitacji byłych modułów. Twój przyjaciel zyska rok albo dwa lata pełnowartościowego życia – za cenę kilku nieprzyjemnych zabiegów.

– Będzie siedział głodny nad talerzem z jedzeniem – wymruczałem.

– Prawda? Dopiero gdy zaczniesz mdleć z głodu, każą mu coś zjeść!

– Nie każą, tylko nakarmią siłą. Ale za to będą od niego wymagać podejmowania samodzielnych decyzji i Lion zacznie je podejmować.

– Aha, i fotel będzie go raził prądem, i będzie spał przy wyciu syren, i... – zamilkłem. Już samo wymienianie tych wszystkich zabiegów było nieprzyjemne.

Nadieżda zgasła papierosa o ścianę – farba przeciwpożarowa pisnęła i spieniła się, gasząc żar. To dlatego ściany na klatce pokryte są popękаныmi pęcherzykami! A dyżurny klatki tak podejrzliwie mi się przyglądał, gdy o nie pytał.

– Tikkireyu, jako pracownik służby medycznej nie zgadzam się z tobą – oznajmiła. – Ale jesteś mądrym chłopcem i dobrym przyjacielem. Jak Lenoczka podrośnie, będę się starała, żebyś się z nią ożenił.

Uśmiechnąłem się głupawo. Lenoczka, córka Nadieżdy, ma pięć lat. Sam nie wiem, co mam robić, gdy zaczyna mnie obejmować i całować. Od razu ogłosiła, że jestem jej starszym bratem, za którego wyjdzie za mąż po skończeniu szkoły. Dlaczego nie zakochała się w Lionie? Jemu i tak jest wszystko jedno!

– Nie przejmuj się, już niedługo mała przestanie karmić cię oblizanymi cukierkami i zamęczać żądaniami opowiadania bajek o dzielnych fagach – pocieszyła mnie Nadieżda. – Podwieźć cię do pracy?

– Dziękuję, pojedę autobusem-powiedziałem szybko. – I mam prośbę... Niech pani zajrzy wieczorem do Liona, bo znowu nie pójdzie spać i będzie całą noc oglądał telewizję.

– Zajrzę na pewno – obiecała Nadieżda. – Dopilnuję, żeby się położył. Nie martw się.

W małym przedsionku przed wejściem do biura pośliniłem palec i wsunąłem w otwór detektora. Jednocześnie popatrzyłem w okular kamery skanującej rogówkę oka, ale to już było mniej ważne. Najważniejszy jest test genetyczny. Odciski palców można podrobić, rogówkę przeszczepić, hasło wydobyć z człowieka siłą. Znacznie bezpieczniejsze jest sprawdzenie zawartych w ślinie erytrocytów.

Za każdym razem, gdy przykładalem palec do poduszki detektora, trochę się denerwowałem. Pod



poduszczyką jest igła ze specjalnym środkiem, który może wyłączyć człowieka w ciągu dwóch sekund. Jeśli analiza genetyczna wykaże, że do przedsionka wszedł obcy, igła się wysunie.

Rzecz jasna, wszystko było w porządku. Drzwi otworzyły się, nad nimi zapłonęło zielone światelko. Wszedłem i przywitałem się z ochroniarzem.

– Cześć, Tikkireyu – powiedział. – Wcześniej dzisiaj przyszedłeś.

– Nie miałem nic do roboty – przyznałem się.

Podoba mi się sposób, w jaki traktują mnie tu dorośli. Nikt nie żartuje sobie z mojego wieku czy pochodzenia, nikt nie stosuje wobec mnie taryf ulgowych.

Gdy przylecieliśmy na Avalon i Staś rozmawiał o mnie z innymi fagami, zaproponował, żebym wybrał sobie pracę. Pierwsza propozycja: centrum analityczne, zbierające informacje ze wszystkich planet Imperium. Druga – w charakterze technika na kosmodromie fagów, zapewniająca łatwiejszy start w szkole dla pilotów. I trzecia – właśnie tutaj, w firmie testującej i opracowującej broń.

Firmę zbrojeniową wybrałem przede wszystkim dlatego, że mogłem tu mniej pracować, dzięki czemu nie musiałem oddawać Liona do szpitala. Nie żałowałem swojego wyboru. Zajmowałem stanowisko młodszego technika i miałem gabinet, który dzieliłem z Borysem Tarasowem, starszym technikiem i moim przełożonym.

Tarasów już był. Chudy, wysoki, z czaszką ogoloną do gołej skóry i kosmykiem włosów na czubku głowy. Początkowo jego wygląd trochę mnie peszył, ale szybko przekonałem się, że Tarasów to fajny facet. Widocznie na świecie więcej jest dobrych ludzi niż złych.

– Witam, witam – wymamrotał Tarasów, gdy stanąłem w progu. Wpatrywał się w monitor skanera genetycznego, na którym wirował łańcuch peptydowy. Skąd wiedział, że przyszedłem? Zauważył mnie w odbiciu na monitorze, czy co?

– Dzień dobry, Borysie Pietrowiczu – powiedziałem głośno. – Nie przeszkadza panu, że przyszedłem wcześniej?

Tarasów podskoczył na fotelu, odwrócił się i wytrzeszczył na mnie oczy.

– Tikkirey? Stary, co się tak skradasz, omal zawału nie dostałem...

– Przecież powiedział pan „witam” – stropiłem się. Tarasów uniósł brwi:

– Powiedziałem?... Ja? Aa... Podejdź do monitora, Tikkireyu. Podeszedłem, spoglądając na płytkę analizatora. Leżał tam – cicho i spokojnie – bicz plazmowy. Więc to nim zajmował się Borys Pietrowicz...

– Witałem się z tym oto operonem – wyjaśnił Tarasów, wskazując palcem monitor. – Widzisz?

– Widzę, ale nie rozumiem – przyznałem się.

– Wybrakowany bicz – wyjaśnił Tarasów. – Posłuchaj tylko, jaki numer! Prawdopodobnie wiesz, że bicz przywiązuje się do swojego właściciela i współpracuje tylko z nim?

– Tak.

– Ten egzemplarz nie zaakceptował żadnego z fagów, którzy próbowali z nim pracować. Zdarza się oczywiście coś na kształt antypatii do konkretnego człowieka, quasi-żywe mechanizmy to skomplikowana sprawa. Ale ten tutaj nie chce uznać nikogo. Defekt genetyczny. Zakłócenia podczas produkcji.

– Można go wyleczyć? – zapytałem, zerkając na broń. Bicz przypominał węża – metr długości, srebrna łuska, płaska głowa. Głowa od czasu do czasu unosiła się, ale zasadniczo bicz leżał spokojnie.

– Naprawić, Tikkireyu, naprawić. Bicz to maszyna, a nie żywa istota... Nie można. Teoretycznie... – Tarasów zastanowił się. – Nie, teoretycznie też nie można. Poza tym, to się nie opłaca. Wiesz, dlaczego biczów plazmowych używają jedynie fagowie?

– Bo to tajemnica wojskowa.

– Owszem, szereg opracowań faktycznie jest tajemnicą, ale przekazywaliśmy wzorce służbom imperialnym, poza tym zdarza się, że fagowie giną i broń trafia w ręce wrogów. Rzecz w tym, Tikkireyu, że po pierwsze, sterowanie biczem jest bardzo trudne, a po drugie, jego produkcja jest niezwykle kosztowna. Każdy terrorysta wybierze prostszą, tańszą, a jednocześnie potężniejszą broń.

– To dlaczego fagowie korzystają z biczów?

– Widziałeś kiedyś bicz w akcji? – zapytał ironicznie Borys Pietrowicz. – Nie na stanowisku badawczym, lecz w prawdziwej akcji, w ręku doświadczonego faga?

– Widziałem.

Tarasów przestał się uśmiechać i skinął głową:

– Przepraszam, Tikkireyu, nie pomyślałem... No i co, robił wrażenie?

– Jeszcze jakie!

– O to właśnie chodzi. Fag musi być otoczony legendami, szacunkiem, strachem, zdumieniem. Dlatego bicz plazmowy jest znacznie skuteczniejszy od najlepszego blastera. I właśnie z tego względu fagowie uzbroili się w bicze... z których każdy wart jest tyle, co dobry czołg imperialny.

– O rany!

– Zaś naprawa bicza – ciągnął Tarasów – kosztowałaby tyle, co naprawa dziesięciu czołgów. To przecież chirurgia genetyczna na najwyższym poziomie! A więc... – położył ręce na klawiaturze, z drukarki wyskoczyła kartka papieru i ekran zgasł. – Napiszemy protokół brakowania.

Niewiele tu było do pisania. Na wydruku widniały już wszelkie informacje o uszkodzeniu bicza, wszystkie możliwe przyczyny pojawienia się owego uszkodzenia oraz zalecenie – utylizować. Do wpisania pozostało jedynie kilka punktów (Tarasów pisał, a ja posłusznie kiwałem głową), podpisaliśmy się i umieściliśmy w odpowiednich miejscach odciski palców. Następnie Tarasów włożył kartkę do skanera i poszedł do bufetu po kawę.

Podszedłem do analizatora i zerknąłem na bicz przez supermocne szkło. Wielu ludzi nie lubi węży, ja zresztą też, ale przecież bicz nie jest tak do końca wężem i nie jest tak do końca żywy. To połączenie biopolimerów, mechaniki i tkanki nerwowej, wziętej nie od węża, lecz od szczura. Podobno pod względem inteligencji bicze plazmowe przypominają szczury.

– Biedaku... – westchnąłem. – Nie miałeś szczęścia.

Bicz zwinął się w kłębek, wsuwając trójkątną główkę w środek – -jakby rozumiał moje słowa. Malutkie punkciki czujników wzrokowych połyskiwały w świetle lamp.

Zaszumiała drukarka, wypluwając nową kopię aktu brakowania, już z decyzją księgowości.

– Napijesz się kawy, Tikkireyu? – zapytał Tarasów, który właśnie wrócił. Pokręciłem głową.

– No to wypiję obie... – ucieszył się mój zwierzchnik. – Źle dzisiaj spałem... Albo skoki ciśnienia albo...

– Ma pan hipertonię?

– Jaką znowu hipertonię, bój się Boga! Mówiłem o ciśnieniu atmosferycznym...

Zaczerwieniłem się i wyjaśniłem:

– Na naszej planecie mieszkaliśmy pod kopułą, tam jest stałe ciśnienie... Nie pomyślałem.

Tarasów uśmiechnął się. Napił się kawy, odstawił filiżankę i otworzył skrzynkę analizatora. Wziął bicz za ogon i podał mi:

– Trzymaj. Nie bój się, wyjęto mu główny akumulator, nie będzie pluł plazmą.

Ostrożnie wziąłem bicz dwoma rękami. Był ciepły i miękki w dotyku.

– Wiesz, gdzie jest utylizator? – zapytał Tarasów. – W takim razie śmiało. Destrukcja absolutna. I przynieś potwierdzenie.

Skinąłem głową i trzymając bicz w wyciągniętych rękach, wyszedłem z gabinetu. Utylizator znajdował się na końcu korytarza, w małym pomieszczeniu obok toalety.

Dlaczego Tarasów nie zutylizował bicza sam? Czułem się nieswojo... przecież bicz jest tak jakby żywy... Ale z drugiej strony, jeśli chcę tu pracować, muszę nauczyć się wszystko robić sam. Nawet nieprzyjemne rzeczy...

W pomieszczeniu z utylizatorem nie było nikogo. Wielki metalowy agregat mruczał zadowolony, mieląc jakieś śmieci. Nacisnąłem przycisk i wysunął się potężny ceramiczny podajnik.

– Nie moja wina, że naprawa kosztowałoby tyle, co wyprodukowanie dziesięciu czołgów! – powiedziałem do bicza i położyłem go na podajniku.

Na wyświetlaczu pojawiły się cyfry – waga i zawartość metalu w obiekcie. Wybrałem metodę – „destrukcja całkowita”. To znaczyło, że najpierw przemielią go żarna, potem zostanie stopiony, a następnie ponownie zmielony na pył. Starając się nie patrzeć na poruszający się słabo bicz, potwierdziłem wybór programu i odwróciłem się, żeby stąd wyjść i niczego nie słyszeć.

I w tym momencie coś mocno chwyciło mnie za nadgarstek!

Krzyknąłem i odwróciłem się. Podajnik już zaczynał się wsuwać, ale bicz wysliznął się i mocno owinał wokół mojej ręki. Przez jedną straszną sekundę, nieprzytomny z przerażenia pomyślałem, że utylizator wciągnie mnie razem z biczem albo oderwie mi rękę!

Ale utylizator wyprodukowali ludzie inteligentni. Gdy podajnik przytrzasnął ciało bicza, od razu zatrzymał się i cofnął. Na wyświetlaczu pojawił się napis – „Proszę sprawdzić położenie obiektu w podajniku, hermetyzacja niemożliwa”.

A bicz już wysliznął się z podajnika i wciskał w rękaw mojego swetra!

Najpierw pomyślałem – zacznę krzyczeć. Albo bicz oszalał, albo zrozumiał, naprawdę zrozumiał, że chcą go zabić. Ale przecież nie jest aż tak inteligentny!

Nie krzyknąłem – i dobrze zrobiłem – bicz już się spłaszczył i miękkimi, prawie niewyczuwalnymi pierścieniami owinał się wokół mojej ręki. Na chwilę z rękawa wysunęła się główka. Lufa działka plazmowego otworzyła się i zamknęła – jakby wąż rozwarł paszczę i zasyczał na utylizator...

Bicz się do mnie przywiązał!

Doszło do akceptacji!

Stałem oszołomiony, próbując zrozumieć, co tu się dzieje i co powinienem teraz zrobić. Biec do Tarasowa? Wtedy bicz skończy w utylizatorze. Ale przecież to nie jest żywa istota, to maszyna, mechanizm... I skoro się do kogoś przywiązał, nikomu innemu nie będzie służył. A ja nie jestem i nigdy nie będę fagiem... A bicz mogą nosić tylko fagowie...

Aż mi kolana drżały.

Potrząsnąłem ręką, jakbym miał nadzieję, że bicz spadnie. Ale gdzie tam! Łatwiej byłoby mi

strząsnąć z ręki własne palce!

– Wynoś się! Złaź! – krzyknąłem.

Miękkie pierścienie zsunęły się z mojej ręki. Bicz powoli wypełził z rękawa i posłusznie ułożył się na podajniku. Nie zachowywał się jak maszyna, lecz jak posłuszny szczeniak...

– Stój... – wyszeptałem. – Stój!

Bicz wsunął się do rękawa. Zaczynał rozumieć moje polecenia!

Na ekranie nadal wyświetlała się waga bicza. Pospieszenie wyjąłem kartę kredytową, włączyłem kalkulator i wprowadziłem do pamięci „607; 9%” – waga w gramach i procent metalu.

Obok utylizatora stał kosz, do którego wrzucano nieutajnione śmieci – żeby wieczorem zniszczyć wszystko razem i nie uruchamiać agregatu z powodu byle drobiazgu. Zacząłem wyjmować stamtąd porwane kartki papieru, kubeczki po kawie, papierki od cukierków, jakieś śrubki i połamane płytki. Co ja robię? Postawią mnie przed sądem! Wyrzucą z planety!

Ale przecież nie mogłem wrzucić bicza do utylizatora!

Nigdy nie miałem żadnego zwierzątka. Na psa albo kota potrzebna była oddzielna, w dodatku spora, opłata bytowa, na którą rodzice nie mogli sobie pozwolić. Obiecali mi, że jak skończę czternaście lat, подарują mi żywą myszkę, opłata za nią była niewielka. Ale nic z tego nie wyszło...

Ładowałem podajnik do chwili, gdy waga wyniosła sześćset siedem gram. Trudniej było z zawartością metalu. Nie wiem, czy poradziłbym sobie, ale gdy próbowałem przełamać stalowy drut (prawdziwy fąg złamałby go z łatwością, pewnie zwykły dorosły też by sobie poradził), z rękawa wysunął się bicz, dotknął drutu i ten rozpadł się na dwie połówki.

„Dziewięć procent” – potwierdził wyświetlacz.

Stałem tak z palcem na przycisku i próbowałem zapanować nad chaosem w głowie. Wtedy na korytarzu dały się słyszeć kroki i odruchowo nacisnąłem przycisk.

Podajnik wsunął się i utylizator radośnie zahuczał żarnami.

Po chwili wypadło potwierdzenie utylizacji.

Wróciłem do gabinetu na sztywnych nogach. Bicz drzemał na mojej prawej ręce – zupełnie jak u faga – płaski i niewidoczny. Zwykłe detektory nie są w stanie go zarejestrować, jest bardzo sprytnie skonstruowany. Elementy metalowe rozdzielone są tak, że gdy bicz zwinie się wokół ręki, wygląda jak bransoleta zegarka i zegarek. Mój prawdziwy zegarek, tania plastikowa naklejka, w ogóle nie zawiera metalu...

– Proszę, Borysie Pietrowiczu... – podałem Tarasowowi potwierdzenie. Mój zwierzchnik w milczeniu spojrział na papier, niespiesznie przypiął go do protokołu i zapytał:

– I co, bardzo to przeżyłeś, Tikkireyu? Było ci szkoda bicza?

– To przecież tylko zepsuty mechanizm... – wymamrotałem. Tarasów pokiwał głową:

– Masz rację. Dobra, siadaj, trzeba opracować dane przed jutrzejszym eksperymentem. Wiesz jak?

– Tak.

– To nic pilnego, ale byłoby dobrze, gdybyś dzisiaj skończył. Ja na chwilę wyjdę.

Tarasów wziął akt i wyszedł, a ja usiadłem przy komputerze i podłączyłem kabel do gniazda. Nadal się trząsnę. Co ja narobiłem?

## Rozdział 2

Do domu wróciłem późnym wieczorem. W mieszkaniu było cicho, czyli Nadieżda przyszła, nakarmiła Liona i położyła go spać.

Bicz nadal spoczywał owinięty na mojej ręce.

Detektory kontroli nie zauważyły go i wyszedłem spokojnie, zabierając ze sobą drogą i tajną broń. Ukradłem bicz! Ukradłem go swoim przyjaciółom, avalońskim fagom, którzy wyciągnęli mnie z Nowego Kuwejtu i pozwolili żyć na takiej fajnej planecie!

Gdybym mógł cofnąć czas, pewnie nie wziąłbym bicza. Ale było już za późno i nie można było nic zrobić. Mógłbym próbować zniszczyć bicz, ale przecież nie po to go kradłem!

Jestem przestępcą, któremu nie wolno skorzystać ze zdobyczy. Jeśli ktoś zauważy, że mam bicz, zaczną krążyć plotki. Na takiej planecie jak Avalon dzieci nie paradują z bronią.

Krażyłem po mieszkaniu jak zwierzę w klatce. Próbowałem oglądać telewizję, leciały różne programy rozrywkowe, ale nie poprawiły mi humoru. Zrobiłem sobie kanapki i zagotowałem wodę na herbatę, ale zupełnie nie miałem apetytu. W końcu poszedłem do sypialni.

Lion spał w swoim łóżku. Pościeliłem, rozebrałem się i położyłem. Prawie nie czułem bicza na ręku. Pewnie fagowie też przyzwyczajają się do swojej broni i przestają ją czuć...

– Dobrej nocy, Lion! – powiedziałem w ciemność. Ciemność nie odpowiedziała.

Wtedy wcisnąłem twarz w poduszkę i rozpłakałem się. Po cichu, żeby Lion nie usłyszał. Ile dałbym za to, żeby byli tu moi rodzice! Żebym mógł im o wszystkim opowiedzieć, żeby wymyślili jakieś rozwiązanie! Dorosłym jest łatwiej, oni zawsze wiedzą, co robić.

Ale czasem nawet oni się mylą. Albo nie umieją znaleźć wyjścia i udają, że popełniony przez nich błąd był celowym działaniem.

Nie pomodliłem się przed snem. W ogóle modliłem się coraz rzadziej. Może dlatego, że rozumiałem – modlitwa nie ochroni mnie przed niczym.

Rano obudził mnie szept. Otworzyłem oczy i popatrzyłem na łóżko Liona. Lion mówił coś (często mówi przez sen, zwykle niezrozumiale), usłyszałem słowa:

– Zaraz... zaraz... zaraz...

Poczułem dreszcz. Przypomniałem sobie, że ja też czasem opędzałem się tak od budzącej mnie mamy. „Zaraz... zaraz wstanę... jeszcze chwilkę...”

– Lion! – zawołałem głośno.

– No już, zaraz... – mamrotał niezadowolony.

Przez chwilę pomyślałem, że znowu jest zupełnie normalny. Że potrząsnę nim a on się obudzi i zawoła: „Przez ciebie nie zobaczyłem snu do końca!” – i walnie mnie poduszką.

– Lion! – krzyknąłem i jednym susem znalazłem się przy jego łóżku. – Obudź się! Wstawaj!

Otworzył oczy.

– Lion, wstawaj... – poprosiłem. Zabrzmiało to żałościwie. Posłusznie wstał. Ziewając i dygocząc z zimna – wieczorem ustawiłem zbyt niską temperaturę, a ogrzewanie jeszcze się nie włączyło.

– Lion... Stał cierpliwie.

Usiadłem na jego łóżku i powiedziałem:

– Przepraszam, miałem wrażenie, że lepiej się czujesz. Rozumiesz? Lion milczał.

– Wiem, że ty wszystko rozumiesz – powiedziałem, patrząc w okno, w którym rozpalał się świt. – Wszystko rozumiesz i męczysz się... Lion, proszę cię, walcz ze sobą. Zmuszaj się, Lion! Na pewno wrócisz do zdrowia, wszyscy tak mówią. Ale zanim to się stanie może minąć jeszcze kilka lat. Dorośniemy i będziemy zupełnie inni. A przecież niedawno zdążyliśmy się zaprzyjaźnić... Prawda? Milczał.

– Siadaj – poprosiłem i Lion usiadł. Narzuciłem mu kołdrę na ramiona i powiedziałem: – Sam wiesz, że ja nikogo nie mam. Są tylko Gleb i Dajka... moi przyjaciele z Kopalni. Ale oni są daleko i to jest tak, jakby wcale ich nie było. Zostają mi tylko wspomnienia. Moi rodzice nie żyją. Umarli, żebym mógł żyć. Jest jeszcze Staś, ale on ma swoje życie i swoje sprawy, no i nie widziałem go już dwa tygodnie. Jest też Tarasów, opowiadałem ci, ale to tylko kolega z pracy. Są Rossi i Rosi, ale to straszne dzieciaki, nic nie rozumieją... Mieszkają na zbyt dobrej planecie. Chciałbym być taki jak oni, ale nie potrafię... bo już się urodziłem. A ty jesteś inny, ty mnie rozumiesz, czuję to...

Lion nie powiedział ani słowa.

– Poza tym, zrobiłem straszną głupotę – wyszeptałem. – Okropną głupotę...

Podniosłem prawą rękę i pokazałem mu zawinięty na niej bicz. Jakbym czekał, że Lion coś powie.

– Dowiedzą się – dokładnie w tym momencie zrozumiałem, że fagowie dowiedzą się o tym na pewno. – Prędzej czy później dowiedzą się o wszystkim. I wtedy nie będę miał już nikogo, bo Staś nie zechce ze mną rozmawiać. I w dodatku zwolnią mnie z pracy. Lion, postaraj się, proszę cię. Postaraj się szybko wyzdrowieć. Może razem coś wymyślimy...

Lion milczał.

– Kładź się – poprosiłem. – Połóż się, prześpij jeszcze. Dzisiaj pójdziemy do Rossi i Rosiego w odwiedzin. Zagramy sobie w coś. Nie masz chyba nic przeciwko temu, są dla ciebie mili, prawda?

– Są dla mnie mili – powiedział Lion, który potraktował moje słowa jak pytanie.

Poprawiłem na nim kołdrę i wybiegłem do salonu. Włączyłem telewizor, usiadłem na fotelu. W salonie było cieplej.

Co ja mam robić?

Bicz na mojej ręce uniósł głowę, jakby wypatrując, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo.

– Chociaż ty mnie nie denerwuj! – powiedziałem przez łyzy.

Jednak nie poszliśmy w odwiedzin.

Rosi zadzwonił o ósmej. Gdyby wiedział, że obudziłem się o piątej, zadzwoniłby o piątej.

– Tikkirey, mamy pomysł! – wypalił, pomijając powitanie.

– Zgadzam się z góry – powiedziałem. Miałem dość siedzenia przed telewizorem.

Rosi zachichotał:

– Tata pożyczą nam samochód! Pojedziemy do lasu na piknik?

– A co, umiesz prowadzić? – zdumiałem się.

– Ja nie – Rosi trochę spuścił z tonu. – Ale Rossi umie, ma prawko. Ograniczone, „w towarzystwie osoby dorosłej”.

– To kto z nami pojedzie? – nie rozumiałem.

– Kretynie, mówię o tobie! Z punktu widzenia prawa jesteś dorosły, nikt się nie przyczepi!

– Rodzice wam pozwolili? Rosi znowu się zaśmiał.

– No pewnie! Masz pojęcie, jak oni ci ufają? „To bardzo poważny młodzieniec, mimo że niewiele

od was starszy” – wygłosił, genialnie naśladowując głos swojego ojca.

– Rzeczywiście jestem poważny – powiedziałem, zastanawiając się szybko. – Dobrze, zgoda.

– Przyjedziemy po ciebie za kwadrans – poinformował mnie Rosi. – Ojciec pojedzie z nami, żeby się ktoś nie czepnął. O, słuchaj, nie za kwadrans, tylko za pół godziny, stary krzyczy, że jeszcze musi się ogolić.

– Dobra, akurat zdążę wyszykować Liona – powiedziałem.

Rosi chyba nie był zachwycony perspektywą zabrania Liona na piknik, ale odpowiedział z powagą:

– Słusznie, świeże powietrze dobrze mu robi. Tylko ubierzcie się ciepło! I... tego...

Zniżył głos do szeptu:

– I weź coś do picia!

– Co?

– No, piwo... Zresztą, nie wiem co. Piwo albo wino, sam zdecyduj. Tobie sprzedadzą! To na razie, czekaj na nas!

Wyłączyłem się i uśmiechnąłem. Ale dzieciaki... Wydaje im się, że picie alkoholu to ekstra przygoda...

– Jak dzieci, jak dzieci... – powiedziałem do siebie i poszedłem obudzić Liona. W lodówce miałem całą zgrzewkę piwa, na wypadek, gdyby na Avalon przyleciał Staś i postanowił do mnie zajrzeć.

Lion wyglądał normalnie. Jak grzeczny chłopiec, który ciepło ubrany stoi przed klatką i cierpliwie na kogoś czeka.

Na ramieniu miałem torbę, a w torbie piwo, kanapki i opakowanie samopodgrzewających się pieczonych kurcząt.

Bliźniaki przyjechały punktualnie. Z przodu za kierownicą siedziała Rossi, bardzo z siebie dumna, w wełnianej czapeczce i kolorowej kurtce. Wyglądała, jakby wybierała się na koncert, a nie na piknik do lasu. Rosi ubrał się wygodniej – w syntetyczny kombinezon, w którym można było nawet spać na śniegu albo wejść do lodowatej wody.

Ojciec bliźniąt – duży, barczysty mężczyzna z grzywą wspaniałych włosów – siedział z przodu obok córki. Gdy go pierwszy raz zobaczyłem, zdziwiłem się, że ma taką spokojną pracę – krytyk teatralny. Tak się właśnie przedstawił: „krytyk teatralny o bardzo szerokich poglądach”.

Wysiadł z samochodu pierwszy. Rossi majstrowała coś przy pasach, Rosi zaplątał się we własne ręce i nogi, a ich ojciec już ścisnął mi rękę i mówił basem:

– Dzień dobry, młody człowieku.

– Dzień dobry, Williamie – odpowiedziałem. Prosił, żeby zwracać się do niego wyłącznie po imieniu, nie przejmując się różnicą wieku. Dzięki temu miałem czuć się swobodnie. Ale Staś nie ignorował różnicy wieku, a jednak kontakt z nim był znacznie łatwiejszy...

William odchrząknął i zaszepotał jak spiskowiec:

– Piękny ranek, w sam raz, żeby moje urwipołcie dostały małą lekcję dorosłości. Nie sądzisz, Tikkireyu?

– Sądzę, Williamie – powiedziałem pokornie.

Zerkając na swoich „urwipołciów”, William mrugnął do mnie i powiedział cicho:

– Nie wątpię, że wzięliście ze sobą piwo albo wino. Doskonale to rozumiem, w końcu też byłem nastolatkiem. Ale zwracam się do ciebie z prośbą, jako najbardziej samodzielnego i odpowiedzialnego, żeby Rossi usiadła za kierownicą nie wcześniej niż po trzech godzinach od spożycia alkoholu.

– Ja... ja dopilnuję tego – powiedziałem. Usatysfakcjonowany William odwrócił się do Liona i powiedział głośno:

– Dzień dobry, chłopcze!

„Młodym człowiekiem” byłem dla niego tylko ja.

– Dzień dobry – odparł posłusznie Lion.

– Ehem... Dobrze, nie będę wam dłużej przeszkadzał swoimi starczymi morałami. – William objął bliźniaki, które wreszcie podeszły. Miał przy tym tak chytry wyraz twarzy, że było jasne – nawet za dwadzieścia lat nie ma zamiaru uważać się za starca.

– Tato, jedź już – powiedziała szybko Rossi.

– Blok bezpieczeństwa jest włączony – wyliczał tymczasem William – apteczka na swoim miejscu... Wzięliście telefony? Nie zapomnijcie się przypiąć!

– Dobrze, dobrze! – zniecierpliwiony Rosi podskakiwał w miejscu. – Tato, spóźnisz się!

– Spektakl zaczyna się za półtorej godziny – skrzywił się William.

– Ale kawiarnia obok teatru już jest otwarta – przypomniała niewinnie Rossi, patrząc w niebo.

Jej ojciec roześmiał się z przymusem:

– Cóż począć, skoro własna córka mnie wygania... Miłego weekendu, młodzi ludzie!

Poklepał Rossi i Rosiego po policzkach, mnie podał rękę, Liona lekko poklepał po głowie i ruszył ulicą.

– Ale nudziarz! – mruknęła Rossi, gdy jej ojciec zdążył odejść na dziesięć metrów. – Dobra, do wozu!

Też kiedyś mówiłem, że mój ojciec to nudziarz...

Nie powiedziałem jednak nic. Rossi i tak by nie zrozumiała.

– Chodź, Lion – powiedziała, biorąc mnie za rękę.

Samochód był dobry. Kołowy dzip, niezbyt duży, za to naszpikowany automatyką. Już rozumiałem, dlaczego rodzice nie bali się wysłać moich przyjaciół na piknik – w samochodzie zamontowano blok autokierowcy, w razie potrzeby przejmujący sterowanie, na przykład, gdyby Rossi zrobiła coś nie tak. Taki samochód można prowadzić nawet po alkoholu... Może właśnie dlatego William go kupił.

Ja i Lion siedliśmy na tylnym siedzeniu, Rossi i Rosi z przodu. Gdy Rossi uruchamiała silnik – po co go wyłączała? – Rosi odwrócił się do ninie i zjadliwie powiedział:

– Masz pojęcie, na jaki spektakl poszedł dzisiaj ojciec? Bożonarodzeniowy poranek: „Gwiazdeczka jasna, gwiazdeczka dobra”. Dla maluchów!

O tym, jak pierwszy statek z kolonistami leciał na Avalon i podczas lądowania omal się nie rozbił, ale Bozia go uratowała i szczęśliwie wylądował!

Zachichotał.

– Niu, niu, niu – mruknęła pogardliwie Rossi. – A kto w zeszłym roku pisał z zachwytem na tym



poranku?

– Nieprawda! – wrzasnął Rosi. – Piszczalem ze śmiechu!

– Statek rzeczywiście cudem wylądował – ciągnęła Rossi. – To była prymitywna maszyna, jeszcze z silnikami jądrowymi... Przez hiperkanał włókł się cztery miesiące i źle wyliczyli rezerwę mocy.

Rosi nie odezwał się. On i siostra prowadzili nieustanne spory na tle religijnym. Rossi uważała, że Bóg istnieje, a Rosi, że raczej nie, ewentualnie, że kiedyś był, ale dawno przestał się nami interesować.

Wyjechaliśmy na autostradę. Rossi niedbale pstryknęła jakimiś przyciskami i górna część karoserii stała się jednostronnie przezroczysta. Z zewnątrz dżip był jednolicie czarny, za to my wszystko widzieliśmy i jechaliśmy jak na otwartej ciężarówce.

– No i co, wzięłeś piwo? – zapytał Rosi. Jego siostra wytracała nadmiar energii prowadząc samochód, jemu wyraźnie brakowało ujścia dla emocji.

– Wzięłem – powiedziałem spokojnie.

– To dawaj!

Po zastanowieniu zdecydowałem, że nie ma w tym nic złego. Dałem butelkę Rosiemu, drugą Lionowi – pewnie też chciałby spróbować, jedną wzięłem sobie.

Rossi wyciągnęła rękę.

– Tobie nie dam – oznajmiłem. – Prowadzisz.

– Głupi, przecież tu jest automatyka! – zdumiała się Rossi.

– I tak ci nie dam. Obiecałem twojemu tacie, że za kierownicą nie będziesz piła.

– A nie mówiłam, że ojciec cię słyszał! – Rossi naskoczyła na brata. – Darłeś się na cały dom!

Rosi otworzył butelkę, napił się i błogim uśmiechem powiedział:

– Prowadzisz i nie możesz pić. Tikkirey ma rację. On jest dorosły i musimy go słuchać.

– Ha! – powiedziała groźnie Rossi, wsunęła rękę pod kurtkę i wyjęła małą, płaską piersiówkę. Rosi wytrzeszczył oczy.

– Przecież to mamy!

– Wcale nie mamy, tylko moja. Mama zgubiła swoją w zeszłym tygodniu. – Rossi odwróciła się do mnie i mrugnęła. – W dodatku zgubiona piersiówka była pełna koniaku, wyobrażasz sobie?

– Rossi, daj spokój – powiedziałem.

Być może posłuchałaby mnie. Widziałem po jej oczach, że się waha i wcale nie ma ochoty na mocny alkohol. Ale wtedy Rosi powiedział złośliwie:

– Słuchaj, małolacie, co starsi mówią!

Rossi natychmiast odkręciła zakrętkę, upiła łyk i wytrzeszczyła oczy. Pomyślałem, że zaraz puści kierownicę i zadziała automatyka.

Ale ona spokojnie zakręciła piersiówkę, schowała ją do kieszeni i znów patrzyła na drogę. Gdyby nie autokierowca, zdążylibyśmy z dziesięć razy wpaść do rowu albo wjechać na przeciwny pas.

– Ale gościowa, co? – zachwycił się Rosi. – Tikkirey, widziałeś? I to bez zagrychy!

– Duży luz – powiedziała ochryple Rossi.

Wiedziałem, że bez względu na całą automatykę, nie powinna pić. Nawet jeśli nie spowodujemy wypadku, Rossi będzie się źle czuła.

– Rossi, proszę cię, nie pij więcej – powiedziałem. – Wiem, że tu jest automatyka, ale i tak się boję.

– Dobrze, już nie będę – zgodziła się ochotczo Rossi.

Dziesięć minut później było nam już bardzo wesoło, pewnie z powodu alkoholu. Rosi otworzył okno od swojej strony i zaczął machać ręką samochodom, które wymijaliśmy. Lion siedział cicho, od czasu do czasu pijąc piwo, ale czułem, że jemu też się podoba ta wyprawa.

– Pojedziemy nad jezioro – zdecydowała Rossi. – Można tam rozpałcić ognisko i są ławki. Znajdziemy takie miejsce, żeby nikogo nie było i urządzimy piknik.

Mówiła trochę głośniej niż zazwyczaj, ale nie wyglądała na pijaną. Zacząłem podejrzewać, że nie po raz pierwszy spróbowała koniaku.

– Dobra! – skinął głową Rosi. – Będzie super. Upieczemy kielbaski! Nie miałem nic przeciwko ich planom. Nigdy w życiu nie byłem na żadnym pikniku i nie miałem pojęcia, jak się go spędza.

Wkrótce zjechaliśmy na wąską drogę, przy której nie było latarni. Potem zaczęła się droga gruntowa. Rosi wyjaśnił, że w lesie nie wolno układać normalnych dróg, żeby nie niszczyć środowiska.

Dżipowi było wszystko jedno, czy ma pod kołami beton, ziemię czy śnieg. Parliśmy do przodu, Rossi prowadziła zawadiacko i chyba nieźle jej to wychodziło, bo autokierowca się nie wtrącał.

Wkrótce ujrzelśmy przed sobą jezioro – tak piękne, że aż gwizdnąłem z zachwytem.

U nas pod kopułą mieliśmy rzekę – płynęła w kółko, na pewnym odcinku kryjąc się pod ziemią. Było też malutkie jezioro.

Ale tam to wszystko było sztuczne, zrobione przez ludzi. Rzeka miała wprawdzie zwyczajne brzegi, a jezioro nieregularny kształt – ale i tak czuło się, że nie jest to naturalne.

To jezioro było prawie okrągłe, a jednak prawdziwe! Stare drzewa wokół jeziora rosły same z siebie – zarówno ziemskie, jak i miejscowe. I na pewno żyły tu zwierzęta: myszy, lisy i zające. I śnieg na gałęziach leżał nie dlatego, że administracja kopuły przed wyborami postanowiła urządzić ludziom prawdziwy Nowy Rok, obniżyła temperaturę i ustawiła rozpylacze wodne na całą moc...

To było prawdziwe jezioro, śnieg i las. Można było się tu bawić, a nawet mieszkać – w małym domku, który trzeba ogrzewać, paląc kawałki drewna, na obiad szykując te zwierzęta, które udało się upolować w lesie...

Wszystko prawdziwe!

– Ale super – powiedziałem.

Samochód jechał brzegiem jeziora. Z prawej strony widziałem zaśnieżony lód, z lewej las.

– Aha, ładnie – zgodził się Rosi.

Nie rozumieli. Byli bogaci, tak nieprawdopodobnie bogaci, że aż dech w piersiach zapierało. Tuż obok nich żył swoim własnym życiem cały świat. A oni tylko czasami wybierali się nad jezioro na piknik. Popatrzyłem na Liona. Wziąłem go za rękę i szepnąłem:

– Wiem, że ty mnie rozumiesz. Że właśnie ty mnie rozumiesz... Jaka szkoda, że nie może mi odpowiedzieć... bez polecenia. Że nie może zacząć krzyczeć z radości i podskakiwać na siedzeniu, rozglądając się dokoła. Przecież on na tej swojej stacji miał jeszcze gorzej, nie było tam ani nieba, ani słońca...

Minęliśmy dwa albo trzy samochody, które zatrzymały się na brzegu jeziora, też na piknik. Przy samochodach kręcili się ludzie, rozstawili już wielkie, ogrzewane namioty i stół do barbecue.

Czterech chłopaków w samych kąpielówkach grało na śniegu w piłkę nożną. O rany! Jak rano patrzyłem na termometr było minus trzy stopnie!

– To morsy – wyjaśnił Rosi. – Przyjeżdżają tu co sobota. Potem jeszcze będą się kąpać, zobaczysz!

Minęliśmy morsów, przejechaliśmy jeszcze z kilometr i zatrzymaliśmy się przed zasypaną śniegiem altanką, w której stał stół i ławki z prawdziwego drewna. Nieco bliżej lasu postawiono budkę biotoalety. Nie było tu nikogo – tylko my i dzika natura!

– Zostajemy – postanowiła Rossi, podjeżdżając do altanki. – Byliśmy tu w zeszłym roku, na wiosnę, akurat była burza. Pamiętasz, sieroto, jak zgubiłeś wędkę?

Tym razem Rosi nie pozostał jej dłużny:

– Aha, pamiętam! To wtedy, jak jedną bekse użądliła pszczoła i wrzasku było na całe jezioro!

Rossi umilkła.

Wysiedliśmy z dżipa i zanieśliśmy pod daszek nasze torby. Strzasnęliśmy śnieg ze stołu i ławek, wymietliśmy go na zewnątrz – przed drzwiami stało kilka mioteł. Rossi zręcznie rozkręciła i opuściła matowe, plastikowe rolety, osłaniając altankę przed wiatrem, potem wrzuciła do małego piecyka brykiety i rozpałała ogień specjalnymi zapałkami turystycznymi.

– Rossi to specjalistka od przetrwania – powiedział Rosi. Tym razem nie kpił, chyba naprawdę był dumny. – Z nią w lesie nie zginiesz.

– Za pół godziny będzie można zdjąć kurtki! – obwieściła zadowolona Rossi. – A teraz, chłopcy, zostawię was na chwilkę.

Poszła do biotoalety, a ja i Rosi rozstawiliśmy na stole wszystkie produkty, dostroiliśmy przenośny telewizor i rozpakowaliśmy naczynia. Trzeba przyznać, że Rosi i Rossi byli świetnie przygotowani i o niczym nie zapomnieli. Mógłbym zaangażować w rozpakowywanie Liona, ale za każdym razem musiałbym mu wyznaczać konkretne zadanie.

– Jesteśmy jak tamci pionierzy – powiedział nagle Rosi. – Jak zdobywcy Avalonu! Z bronią laserową w ręku i zestawem kultur biologicznych w probówce – przeciwko dzikiej i okrutnej planecie!

Zdanie było napuszone i pompatyczne, jakby żywcem wyjęte z podręcznika. Rosi od razu o nim zapomniał i komenderował:

– Zaczynj podgrzewać kanapki, a ja skoczę do samochodu po telefon, zadzwonię do mamy. Muszę powiedzieć, że dojechaliśmy.

Włożyłem kanapki do mikrofalówki, włączyłem podgrzewanie i obserwowałem, jak Rosi biegnie do swojego samochodu, śmiesznie podskakując. Mimo całej zjadliwości to był bardzo fajny chłopak.

Było mi tak dobrze, że zapomniałem o biczu, który prędzej czy później miał ściągnąć na mnie poważne nieprzyjemności.

– Lion, chcesz coś zjeść? – zapytałem.

– Tak. Kanapkę.

To było coś nowego. Do niedawna musiałem zadać jeszcze jedno pytanie – na co konkretnie ma ochotę.

– Bierz – powiedziałem, podając mu kanapkę z szynką. Wziął, ale nie spieszył się zjedzeniem.

– Chcesz inną? – domyśliłem się.

– Tak. Z serem.

Rzuciłem się do mikrofalówki z takim zapałem, że omal się nie przewróciłem. Wyjąłem kanapkę z serem – ciepłą, syczącą, pokrytą roztopioną serową skorupką, a tę z szynką zjadłem sam.

– Lion, lepiej się czujesz! Naprawdę! To widać! – zawołałem.

Ale Lion znów sprawiał wrażenie nieobecnego. Jadł spokojnie kanapkę, a w tym czasie wrócili Rosi i Rossi.

– Ha, jedzenie gotowe! Podano do stołu! – krzyknął Rosi, chowając telefon do kieszeni. – Ekstra. Tikkirey, daj piwo.

– Nie za wcześnie? – zdziwiłem się. Rossi prychnęła:

– Chyba nie chcesz, żebym prowadziła samochód po pijaku?

Nie spierałem się dłużej i wyjąłem po jednej butelce dla każdego. W altance zrobiło się cieplej, rozpięliśmy kurtki, Rosi rozsunął kombinezon.

– Tikkireyu, to prawda, że chcesz kończyć szkołę eksternistycznie? – spytała Rossi.

– Prawda – odparłem. – Obliczyłem, że w ciągu trzech lat zrobię pełny minimalny kurs.

– Nie lepiej uczyć się normalnie? – zasugerował Rosi. – Razem z nami? Gdzie się tak spieszysz?

Wzruszyłem ramionami. Jak miałem im wyjaśnić? Że śmieszy mnie siedzenie razem z nimi na lekcjach i słuchanie nauczyciela, zwłaszcza, że potem idę do pracy do laboratorium broni albo zajmuję się domem? Już nigdy nie będę taki jak oni.

– Ciężko się uczyć i pracować jednocześnie – wyjaśniłem. – Co w tym dziwnego? Wy też możecie skończyć szkołę eksternistycznie.

– Ale w szkole jest ciekawie – zaprotestował Rosi. – Jest fajnie i nie ma niepotrzebnej odpowiedzialności.

– Zgadza się – przyznałem.

Trochę pogadaliśmy na ten temat, ale bez szczególnego zapału. Rozumieli mnie, po prostu nie chcieli, żebym odchodził.

– Powinieneś pójść do szkoły pilotażu – powiedziała Rossi. – Tata mówił niedawno, że byłbyś dobrym pilotem, bo leciałeś jako moduł sterujący. To znaczy, że będziesz traktował moduły po ludzku, a to sprzyja harmonijnemu rozwojowi społeczeństwa.

Poczułem znużenie. Gdy Staś namawiał mnie, żebym zaczął pracować i jednocześnie uczył się w zwykłej szkole, twierdził, że kontakt z rówieśnikami będzie miał dobry wpływ na mój harmonijny rozwój.

Posłuchałem go, ale w głębi duszy wiedziałem, że nie ma racji. Teraz czułem to samo: niby wszystko się zgadza, ale...

Nie chcę być pilotem i traktować moduły po ludzku. Przecież to podłość – pozwalać ludziom, by stawali się milczącymi zombi. Chyba że latałbym na bardzo małych statkach, takich, jakie mają fagowie. Ale takich statków jest niewiele...

– Chodźcie na lód – zaproponował Rosi.

– Coś ty, przecież samochód się zapadnie! – wykrzyknęła Rossi. – Lód jest za cienki!

– No przecież nie mówię, że samochodem! Chodźmy się poślizgać! Rossi wzruszyła ramionami.

– Idziemy, Tikkireyu?

– Idziemy – zdecydowałem. Jeszcze nigdy się nie ślizgałem. To musi być ciekawe.

Wyszliśmy z altanki, zasunąłem za sobą roletę i wziąłem Liona za rękę, żeby nie wdawać się w

przydługie wyjaśnienia.

– O ho ho! – krzyknął Rosi, robiąc zamach i rzucając daleko pustą butelkę po piwie. Potem wziął rozpęd, wskoczył na przyprószone śniegiem lód i zaczął jechać. Patrzyłem uważnie, żeby zapamiętać, jak to się robi.

Chyba nic trudnego. Najpierw bierze się rozpęd i wskakuje na lód, potem już nie rusza się nogami, tylko utrzymuje równowagę... Pewnie najtrudniej później wziąć rozbieg na lodzie... Aha, Rosi właśnie to robił: najpierw stawiasz drobne kroczki, potem suniesz do przodu.

Rossi pobiegła za bratem. Nie utrzymała równowagi, klapnęła na pupę i przejechała kilka metrów, śmiejąc się i kręcąc w kółko.

– Lion, poczekaj tu! – poprosiłem. Wziąłem rozbieg i też skoczyłem na lód.

Ale zabawa...

Ślizganie się wcale nie było trudne i naprawdę fajne. Pomyślałem, że w mieście jest park ze ślizgawką i tam ludzie jeżdżą na takich specjalnych przyrządach – łyżwach. Będę musiał zacząć tam chodzić, skoro mi tak dobrze idzie...

W tej samej chwili też klapnąłem na lód i zacząłem sunąć nogami do przodu. Potrąciłem i przewróciłem śmiejącego się Rosiego. Rossi, która zdążyła już wstać, teraz śmiała się z nas.

– O rany, przepraszam! – powiedziałem.

– Nic nie szkodzi – Rosi stanął na czworakach. Gdy upadał, plecami zmiotł śnieg z lodu i zobaczyłem, że lód jest przezroczysty. Widać nawet dno!

– O kurcze, patrz! – wykrzyknąłem.

Rosi spojrzał pod nogi i od razu przestał się śmiać. Ostrożnie wycofał się na zaśnieżony odcinek.

– Coś ty? – zapytałem, rozciągnięty na lodzie. Zafascynowany obserwowałem podlodowy świat. Może uda mi się zobaczyć ryby?

– Lód jest bardzo cienki – powiedział Rosi drżącym głosem. – Wiesz co... lepiej się nie ślizgajmy... To niebezpieczne...

Rossi podjechała do nas i krzyknęła:

– Co tak stoicie?

– Rossi, zobacz, lód jest za cienki! – Rosi czubkiem buta pokazał odsnieżony kawałek i krzyknął, odskakując na bok: – Jak stałem na jednej nodze, to lód zatrzęszczał! Chodźcie stąd!

– Daj spokój – powiedziała niepewnie Rossi. – Tikkirey, ty się chyba nie boisz?

– Nie boję – powiedziałem. Nie mogłem zrozumieć, czego oni się boją. Skoro chodzimy po lodzie i on nie pęka, dlaczego nagle miałoby się coś zmienić?

– Widzisz? Tikkirey się nie boi! – oznajmiła Rossi.

– Bo nie rozumie. – Rosi panikował coraz bardziej. – A pamiętasz, jak mama opowiadała nam, że jak była mała, to utonął jej kolega z klasy? Wpadł pod lód i utonął!

Właśnie zacząłem wstawać, gdy Rossi z rozdrażnieniem krzyknęła:

– Przecież lód jest mocny!

I podskoczyła kilka razy w miejscu. Rosi umilkł, schował głowę w ramionach. A ja zastygłem na kolanach – wydawało mi się, że słyszę cichy trzask. Rossi chyba nic nie usłyszała.

– Widzisz? – zapytała i podskoczyła jeszcze raz.

I wtedy, dokładnie pod jej nogami przebiegła szczelina, cienka i rozgałęziona. Rossi z piskiem

odskoczyła na bok i pobiegła do brzegu. A ja klęczałam, jak zahipnotyzowany wpatrując się w sunący w moją stronę zygzak. Pęknięcie rozszerzało się coraz bardziej, widać już było, że lód ma najwyżej cztery centymetry grubości, a pod nim jest czarna woda.

– Tikkirey, uciekaj! – krzyknął Rosi i też pomknął do brzegu.

Nie miałem jak uciec. Pęknięcie biegło dokładnie pode mną. Moje ręce zostały po jednej stronie, nogi po drugiej. Szczelina rozszerzała się powoli.

– Tikkireyu, gazu! – Rossi już stała na brzegu dwadzieścia metrów ode mnie. – Wstawaj!

– Jak? – krzyknąłem. W ogóle się nie bałem, tylko wiedziałem, że nie zdołam wstać – teraz wyginałem się nad pęknięciem niczym most. Szczelina miała już prawie pół metra szerokości. I ciągle rosła.

– Rosi! Rosi, wymyśl coś! – krzyknęła Rossi.

Zobaczyłem, jak Rosi ostrożnie wszedł na lód, zrobił krok w moją stronę i szybko się wycofał, gdy lód zaczął trzeszczeć pod jego nogami.

– Tikkirey! – krzyknęła Rossi.

Już wiedziałem, że będę musiał skoczyć do wody. Cholerny pech! Ale jak wskoczę, to potem łatwiej będzie wdrapać się na lód i wydostać na brzeg. Będę cały mokry, zmarznę i rozchoruję się, ale innego wyjścia nie ma.

– Słuchajcie, skaczę do wody! – krzyknąłem. – Potem się wydostanę!

– Nie! – wrzasnął Rosi. Ale ja już skoczyłem.

O rany...

Woda była jak wrzątek. Jak morsy mogą się w niej kąpać? Zatomowało mi oddech, zanurzyłem się w wodzie, wypłynąłem i boleśnie uderzyłem się ramieniem o lód.

– Tikkirey!

– Już... zaraz – wymamrotałem, łapiąc oddech. Woda nie wydawała się już gorąca, teraz była parząco zimna. Przeziębnię jak nic...

Złapałem się krawędzi lodu i podciągnąłem, wyciągając ciało z wody. Początkowo wszystko szło dobrze, nawet wysunąłem się z wody do pasa, i poczułem, jak wiatr chłodzi mokre włosy.

A potem lód zatrzeszczał pod moimi rękami, załamał się i znowu poszedłem pod wodę!

Dopiero teraz zacząłem się bać. Zrozumiałem, co się dzieje: gdy wysuwam się z wody, ciężar ciała zwiększa się i lód nie może mnie utrzymać.

No dobrze, tylko co ja mam teraz zrobić? Jak się wydostać?

– Hej, pomóżcie! – krzyknąłem.

Rossi stała na brzegu, trzymając się rękami za głowę i patrząc z niemym przerażeniem. Rosi biegał do dżipa i z powrotem, krzycząc coś opętańczo. Lion w milczeniu zrobił krok do przodu.

– Stój! – wrzasnąłem. – Lion, stój, nie ruszaj się!

Zatrzymał się. Jeszcze mi tylko brakowało, żeby i on zapadł się pod lód...

Spróbowałem ostrożnie, boki wysuwać się na lód, tak, żeby płaszczyzna nacisku była jak największa. Prawie mi się udało! Już niemal zupełnie wyszedłem...

.. .gdy lód załamał się razem ze mną.

I znowu zanurzyłem się w wodzie. Wypłynąłem... i uświadomiłem sobie, że zaczyna mi drętwieć ciało.

Pewnie z zimna. Albo ze strachu.

– Nie chcę – wyszeptałem. – Ja nie chcę...

Coś poruszyło się na mojej prawej ręce... Rozsunęło mokry sweter i niczym srebrzysta taśma wystrzeliło do przodu, wbijając się w lód metr od krawędzi.

Nie miałem pojęcia, jakie zaprogramowano mu odruchy. Może wcale nie umiał ratować tonących, tylko chciał wydostać się z lodowatej wody? W każdym razie nie puszczał mnie, a ja trzymałem się go ze wszystkich sił.

„Przecież muszą tylko przynieść sznur – pomyślałem nagle. – Zwyczajny, długi sznur, który na pewno jest gdzieś w dziupie. Rzucą, ja go złapię i oni wyciągną mnie z wody. Muszę im powiedzieć...”

Nie udało mi się. Język mi skolowaciał i jedyne, co mogłem zrobić, to trzymać się lodu i patrzeć na tak bliski brzeg.

I na Liona, który położył się na lodzie i zaczął czołgać w moją stronę. Pewnie któreś mu kazało... Rossi albo Rosi... Co za tchórze... Przecież on nie umie pływać!

Lion czołgał się bardzo szybko. Gdy był metr ode mnie i jego ręka spoczęła na główce bicia, zebrałem wszystkie siły i rozkazałem:

– Spadaj stąd...

Lion przez chwilę patrzył na mnie bez słowa, a potem bardzo poważnie powiedział:

– Zamknij się.

Gdyby nie bicz, wpadłbym do wody – tak mnie zaskoczył.

– Złap mnie za rękę – polecił Lion. – I kładź się płasko na lód.

Jak we śnie podałem mu rękę i Lion wyciągał mnie powoli. Zesztywniały z zimna ledwie mogłem się ruszać, w końcu jednak znalazłem się na lodzie.

Wtedy pomógł mi bicz. Nie wiem, jakim cudem trzymał się lodu, jak się w niego wkręcił, ale ciągnął mnie tak, jak trzeba – płynnie i mocno.

Minutę później już leżałem na lodzie, który, o dziwo, nie pękł. Czubki butów nadal miałem w wodzie.

– Czołgaj się – polecił Lion. – Szybciej.

Szybciej już nie mogłem. Coraz bardziej oddalaliśmy się od wyrwy w lodzie. Bicz pomagał mi przez pierwsze kilka metrów, potem wsunął się w rękaw.

Czołgaliśmy się, póki nie dotarliśmy do nóg Rossi i Rosiego. Bliźnięta nadal stały nieruchomo, bojąc się zrobić choćby krok w kierunku jeziora, chociaż przy brzegu lód sięgał aż do dna.

– Tikkirey! – zawołała radośnie Rossi, rozmazując po twarzy łzy i smarki. W rękach trzymała telefon – widocznie wezwała pomoc. Przynajmniej o tym pomyślała...

A Rosi nadal biegał przy brzegu – na przemian próbując do mnie podejść i cofając się o krok.

Odwróciłem głowę i popatrzyłem na Liona. Oddychał szybko, oblizując wargi.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Aha...

– Lion... Z tobą już wszystko w porządku!

– Aha – uśmiechnął się nagle. – A co, tylko po to wskoczyłeś do wody? Specjalnie?

Leżałem na mrozie w mokrym ubraniu i nawet nie czułem zimna.

– Nie. Ale skoczyłbym... gdybym wiedział, że ci to pomoże... Podniosłem się i pomogłem wstać Lionowi. I wtedy wreszcie podbiegł do nas Rosi. Chwycił mnie za rękę i wypalił:

– Udało ci się! Powiemy wszystkim, że jesteś prawdziwym bohaterem!

– A ty jesteś tchórzem – wypaliłem i na zdrętwiałych nogach poszedłem do pawilonu. W dziupie byłoby cieplej, ale nie miałem ochoty wsiadać do ich samochodu.

– Tikkirey... – krzyknął żałośnie Rosi. – Przecież to twoja wina, że wpadłeś!

Nie odpowiedziałem. Wszedłem do altanki i zacząłem ściągać mokre ubranie. Za mną wbiegł Lion.

– Masz coś suchego? – zapytał. Pokręciłem głową.

– Poczekaj...

Już miał wybiec z altanki, gdy do środka wpadł Rosi. Pełen skruchy, z mokrymi, czerwonymi oczami i wciśniętą w ramiona głową.

– Tikkirey, flær leci!

– Zdejmuj kombinezon, kretynie! – krzyknął na niego Lion.

Rosi osłupiał i zamrugał oczami. Dopiero teraz dotarło do niego, że Lion zaczął normalnie rozmawiać.

– Ee?

– Zaraz cię strzelę – obiecał wojowniczo Lion. – Ściągaj kombinezon!

Rosi zaczął się szybko rozbierać, pod kombinezonem miał ciepłe, wełniane ubranie. Rozebrałem się do naga, wskoczyłem w kombinezon Rosiego... Było mi nieprzyjemnie, że pomaga mi tchórz, ale przecież nie będę marzył! W końcu nie jestem morsem!

– Weź od siostry koniak i przynieś – komenderował Lion. Rosi posłusznie wybiegł altanki.

Usiadłem na ławce, objąłem się rękami. Trzęsło mnie, miałem dreszcze, ciepło nie chciało wrócić do ciała. Bicz niespokojnie ruszał się na moim ręku. Czy bliźnięta go zauważyły? A jeśli zauważyły, czy rozumiały, co to takiego?

– Tikkireyu, chodź, naleję ci herbaty. – Lion wziął termos. Ciekawe, skąd wiedział, że trzeba się położyć i człogać? A przecież rzeczywiście tak należy robić! Widziałem na filmie, jak ratowali człowieka który zapadł się pod lód. A potem poili go gorącą herbatą i koniakiem.

Nieopodal altanki wylądował flær – po matowych roletach sunął wielki cień, osłony zadrżały od podmuchu wiatru. Po kilku sekundach nieco dalej wylądowała jeszcze jedna maszyna.

– Jest pogotowie ratunkowe – wymamrotałem. Co ja zrobię z biczem? Zaraz zawiozą mnie do szpitala, zaczną badać, wsadzą do wanny z gorącą wodą... Wszystko bardzo pięknie, ale zobaczą bicz! Oddać go Lionowi? To by znaczyło wplątać go w moje przestępstwo... Nie mogę...

Na chwilę do altanki zajrzał Rosi, podał Lionowi piersiówkę. Ten w milczeniu wziął ją, nalał koniaku do herbaty i wręczył mi. Wypiłem jednym haustem.

Nie przypuszczałem, że alkohol może dawać tyle przyjemności!

– Ale się zaraz zacnie... – wyszeptałem. Popatrzyłem na Lion i powiedziałem:

– Za to ty dobrze się czujesz! Jak to się stało, Lion?

– To tak jakby... – zaczął Lion i w tym momencie zasłona altanki odsunęła się i wszedł Staś. Z tyłu, za jego plecami, stały bliźniaki i jacyś ludzie.

– Stasiu – powiedziałem. Nie wiedziałem, że jest na Avalonie!



– A kogo się spodziewałeś? Imperatora? – prychnął fag. Podszedł do mnie, pomacał kombinezon, z zadowoleniem skinął głową. Powąchał filiżankę po herbacie i też skinął.

– Stasiu... – wyszeptałem.

– Macie jeszcze koniak? – zainteresował się Staś. – Przypuszczam, że lekarze nie są nam potrzebni... Ale trzeba cię natrzeć.

– Mamy. – Lion podsunął mu piersiówkę. – Chyba dobry.

– Ho, ho... – Staś zerknął czujnie na Liona, potem pokręcił głową: – Dobrze, potem pogadamy. Ściągaj kombinezon. Zregenerowanie odmrozo – nych palców to mało przyjemne i drogie zajęcie.

– Stasiu – powiedziałem po raz trzeci i poczułem, że płaczę. – Stasiu, jak ja tu narozrabiałem... Nie potrzebuję żadnego nacierania...

– Mówisz o skradzionym biczu? – zapytał Staś. – Właśnie dlatego prosiłem lekarzy, żeby nie wchodzili. Tylko nam plotek brakowało...

Napił się koniaku i potrząsnął piersiówką.

– Lion, przyjacielu, skocz no do lekarzy i weź od nich butelkę spirytusu. Nacieranie ciała takim koniakiem to zbrodnia przeciwko gorzelnictwu.

– Już leczę! – krzyknął Lion, wybiegając. Popatrzyłem Stasiowi w oczy i zapytałem:

– Wsadzą mnie za ten bicz? Rycerz Avalonu westchnął:

– Komu chciałeś go przekazać, Tikkireyu? Czy może zwyczajnie sprzedać?

– Sprzedać? – stropiłem się. – Stasiu, on się do mnie przywiązał! Nie mogłem go wrzucić do utylizatora... To byłoby zabójstwo!

– Tikkireyu, ten bicz jest od czterech lat wykorzystywany do testowania nowych pracowników – Staś dopił koniak, starannie odstawił piersiówkę na stół. – Ma kompletnie rozwalony blok akceptacji, nie mógł się do nikogo przywiązać!

Zamiast odpowiedzi wyciągnąłem rękę – i bicz strzelił z rękawa, wysuwając przed siebie małe działko plazmowe.

Co to był za efekt! Staś drgnął i jego własny bicz wyskoczył, gotów do walki.

– To niemożliwe! – powiedział z uczuciem fag, patrząc na broń, która się do mnie przywiązała.

Wrócił Lion z przezroczystą butelką.

– Wsadzą mnie? – powtórzyłem pytanie. – Usuną z planety?

– Teraz to już nie wiem – odpowiedział Staś. – Lion, to czysty spirytus? Czy mieszanina do nacierania?

– Chcieli dać roztwór, ale powiedziałem, że potrzebny jest właśnie czysty – odparł Lion.

– Zawsze jesteś taki bystry? – zapytał Staś, odkręcając butelkę. – Tikkireyu, teraz napijesz się najbardziej niesmacznego alkoholu. Mam nadzieję, że to na jakiś czas wyleczy cię z ochoty na trunki.

Skinąłem głową. Byłem gotów na wszystko.

## Rozdział 3

Staś włączył ogrzewanie na pełną moc i teraz było mi prawie gorąco. Zawinięty w kołdrę leżałem na kanapie i słuchałem faga. W głowie mi się kręciło, w ustach miałem wstrętny posmak. Wszystko mnie śmieszyło, miałem ochotę zamknąć oczy i zdrzemnąć się. Wpływ alkoholu. We flaerze zasnąłem.

– Nasza organizacja jest otwartym systemem – mówił półgłosem Staś. – Przyjmujemy do siebie ludzi z najróżniejszych planet Imperium. Ale każdy, nawet zwykły stróż czy ładowacz w magazynie, poddawany jest przeróżnym testom. Nie da się inaczej, Tikkireyu!

Skinąłem głową.

– Nikt nie miał nic przeciwko tobie – ciągnął Staś. – Twoja opowieść została dokładnie sprawdzona. Okazało się, że naprawdę jesteś trzynastoletnim Tikkireyem z planety Kopalnia, który na statku „Klazma” odpracował dwa loty w charakterze modułu sterującego. Twoja historia jest nieprawdopodobna, ale my przywykliśmy do nieprawdopodobnych historii, zaś portret psychologiczny każdego faga zawiera sporą dawkę sentymentalizmu – uśmiechnął się. – W przeciwnym razie stalibyśmy się bezwzględnyimi zabójcami.

– Nie zdarzają się sentymentalni zabójcy? – zapytał cicho Lion, który siedział obok Stasia, na sąsiednim fotelu.

– Tylko w filmach – uciał Staś. – Tikkireyu, nikt w ciebie nie wątpił. .. w zasadzie. Ale istnieją standardowe metody sprawdzania danego człowieka. Przeszedłeś sześć testów i wpadłeś na siódmym. Ponieważ jestem twoim opiekunem, powiadomiono mnie natychmiast.

– Stasiu, a co ja miałem zrobić? – zapytałem. – Skąd mogłem wiedzieć, że ten bicz to test? Pomyślałem, że on naprawdę się do mnie przywiązał, a teraz go zabijają... Przecież nie jestem rycerzem i nie mam prawa nosić broni!

– Bicz się faktycznie przywiązał – przyznał Staś. – Tego nikt nie przewidział, Tikkireyu... Sam nie wiem, co teraz zrobić. To absolutnie wyjątkowy przypadek, nie było precedensu.

Milczałem.

– Dobrze, wrócimy do tego później – powiedział Staś. – Lionie, teraz chciałbym porozmawiać z tobą.

– Tak? – Lion podniósł głowę.

– Opowiedz mi wszystko, od samego początku – poprosił Staś. – Od momentu, gdy ty... gdy ciebie... – zmieszał się. – Od tego momentu, gdy wpadłeś pod cios Szronu...

Lion zamyślił się.

– Chciało mi się spać. Bardzo zachciało mi się spać.

– Tak, tak? – zachęcił go Staś. – Pamiętaj, że to oficjalna rozmowa i wszystko jest nagrywane.

Lion skinął głową.

– Dobrze... Już i mieliśmy się kłaść, gdy poczułem się senny. Moja siostrzyczka od razu się uspokoiła... A ja normalnie leciałem z nóg. Rozebrałem się szybko i zasnąłem.

Staś czekał.

– A potem śniły mi się sny – powiedział cicho Lion.

– Jakie sny? Pamiętasz?

– Dziwne. Ale przyjemne – zaczerwienił się.

– Opowiedz, nie wstydź się – poprosił łagodnie Staś. – Co ci się śniło?

– Różne głupstwa – Lion potrząsnął głową. – Naprawdę, same bzdury!

– Lion, to bardzo ważne. Rozumiem, że chłopcy w twoim wieku mogą mieć podniecające sny...

Lion roześmiał się.

– Nie rozumiał mnie pan! Śniło mi się... – zastanowił się. – No, na przykład, że jestem bohaterem. Rozumie pan? Prawdziwym bohaterem, zbawcą wszechświata. Że walczę z jakimiś łajdakami. Biegnę ulicą – taką długą, posępną, a tam są na wpół zburzone domy i zewsząd strzelają. A ja strzelam do nich i wcale się nie boję, przeciwnie, to taka jakby gra... Nie, nie tak, bo w grze byłoby na niby, a w tym śnie wszystko działało się naprawdę!

– Tak... – powiedział ze zdumieniem Staś.

– A potem śniło mi się, że pracuję w jakimś zakładzie – mówił dalej Lion. – Coś tam budowaliśmy. We śnie wszystko rozumiałem, a teraz już nie. Długo tam pracowaliśmy.

– My?

– Ja i jeszcze jacyś ludzie. – Lion wzruszył ramionami. – Chyba był też Tikkirey. I jeszcze chłopaki z naszej stacji. Coś budowaliśmy... – zamyślił się. – Byłem inżynierem... Albo technikiem, nie pamiętam. Albo jednym i drugim.

Staś milczał. A Lion rozkręcał się coraz bardziej:

– A potem śniło mi się, że jestem dorosły...

– W poprzednich snach byłeś dzieckiem? – zapytał szybko Staś.

– Nie... nie pamiętam. Być może też dorosłym, nie wiem. Ale tutaj na pewno byłem dorosły. Miałem żonę i pięcioro dzieci.

Zachichotałem. Wydało mi się to bardzo zabawne.

– Śmieszne, co? – uśmiechnął się Lion. – Miałem żonę i dyskutowałem z nią, jak należy prowadzić dom i dokąd pojedziemy latem na urlop. A dzieciom pomagałem odrabiać lekcje i grałem z nimi w baseball. A potem moja córka... – zmarszczył brwi – nie pamiętam, jak miała na imię, wyszła z mężem. I też miała dużo dzieci. Inne moje dzieci również. A potem... potem się zestarzałem i umarłem. Wszyscy zebrali się na moim pogrzebie i mówili, jakim byłem wspaniałym człowiekiem i jakie piękne życie przeżyłem.

– Umarłeś? Umarłeś we śnie? – powiedział Staś, starannie oddzielając każde słowo.

– Tak.

– Nie umierałeś, tylko właśnie umarłeś?

– Tak! Nawet pamiętam własny pogrzeb! – odpowiedział Lion, zdumiony dociekliwością Stasia.

– Nie bałeś się?

– Ani przez chwilę. Wiedziałem, że to tylko sen!

– Przez cały czas?

– Tak. Przez cały czas. I nawet wiedziałem, co się dzieje wokół mnie. Jak mnie pan podniósł, zawinął w kołdrę i zaczął nieść. Jak jechaliśmy przez miasto, a w oknach były ekrany, na których świętowali ludzie... a potem podłączył mnie pan do komputera i sny zniknęły.

– Sny minęły tak szybko? Wszystko wydarzyło się do momentu podłączenia na statku?

– Tak.

– Nic dziwnego, że twój mózg pracował tak intensywnie. Lion, wiesz, że to było działanie broni psychotropowej?

– Wiem – powiedział Lion. – Tylko po co? Przecież nic mi się nie stało.

– Co było dalej? – zapytał Staś.

– Dalej nie było już snów – oznajmił Lion. – Wszystko zaczęło gasnąć i znikło. A potem otworzyłem oczy i byłem w statku. Pytaliście mnie o różne rzeczy, a ja odpowiadałem. I było mi bardzo nudno.

– Ile lat przeżyłeś w swoich snach?

– Pewnie z siedemdziesiąt – odpowiedział spokojnie Lion. – Najpierw walczyłem, to było pięć lat... Potem, gdy pracowałem w zakładzie... pewnie kolejne pięć. Znowu walczyłem, to następne pięć, a potem żyłem.

– Pamiętasz całe swoje życie?

– Prawie całe... Trochę niedokładnie, ale pamiętam.

Staś skinął głową. Wyciągnął rękę i poklepał Liona po głowie.

– Rozumiem. Zuch z ciebie.

– Dlaczego zuch?

– Że z tego wyszedłeś. Powiedziałeś, że potem czułeś znudzenie, tak?

– Aha – Lion zastanowił się. – Nie... to nie tak. Nie było mi zwyczajnie nudno, tylko tak, jakby wszystko zaczynało się do nowa. Jakbym teraz spał i wszystko mi się śniło. A to, co było wcześniej – to właśnie było prawdziwe życie. Nic mi się nie chciało. A potem pojechaliliśmy nad jezioro i wtedy...

Zamilkł.

– Spróbuj przypomnieć sobie tę chwilę – poprosił Staś. – To bardzo ważne, rozumiesz?

– Gdy Tikkirey zaczął tonąć, to było niesprawiedliwe... – powiedział cicho Lion. – Absolutnie niesprawiedliwe. Nie powinno tak być, rozumie pan?

Staś skinął głową, przyglądając się Lionowi w napięciu.

– A ja stałem i patrzyłem – teraz Lion mówił bardzo powoli. – Coś takiego nie powinno się zdarzyć. Nie wiem, jak mi się udało... ale położyłem się i zacząłem czołgać. I nagle wszystko było na odwrót. Wszystko stało się prawdziwe, a to, co było do tej pory, okazało się snem!

– Do tej chwili nie rozumiałeś różnicy? – sprecyzował Staś.

– Rozumiałem! – wykrzyknął Lion. Zauważyłem, że ma w oczach łzy. – Rozumiałem, ale to było nieważne. To tak, jak czasem we śnie – wiesz, że to sen, no i co z tego? Wtedy rozumiałem, że wszystko jest prawdziwe, ale to nie miało żadnego znaczenia. I nagle wszystko się zmieniło! Zupełnie, jakbym się obudził.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział łagodnie Staś, kładąc rękę na ramieniu Liona. – Jeśli sprawa ci to przykrość, nic nie mów.

– Ale ja już wszystko powiedziałem – wymamrotał Lion. – Absolutnie wszystko.

– Będziesz musiał opowiedzieć to jeszcze raz. Ze szczegółami. Nie dzisiaj, ale wkrótce.

Lion skinął głową.

– No dobrze, chłopcy. – Staś wstał. – Przyjadę do was jutro rano.

Teraz muszę porozmawiać z pewnymi ludźmi...

– Co się ze mną stanie, Stasiu? – spytałem znowu.

– Nic złego – powiedział twardo fag. – Na pewno nic złego.

– Słowo rycerza Avalonu? Staś popatrzył na mnie dziwnie.

– Tak. Słowo rycerza Avalonu. Daję ci słowo, że wszystko będzie w porządku. Odpocznijcie, chłopcy. I spróbujcie nie wpaść już dzisiaj w żadne tarapaty.

Lion poszedł go odprowadzić. Gdy wrócił, już zasypiałem – oczy same mi się zamykały.

– Oczy ci się kleją – powiedział Lion.

– Aha... – przyznałem. – Zaraz zasnę... I zasnąłem.

Nie udało mi się zbyt długo pospać. Obudziło mnie piszczenie stojącego na stole telefonu. Widocznie Lion poszedł do sypialni, a ja zostałem na kanapie. W głowie nadal miałem ołów, ale nie chciało mi się już śmiać i alkohol wywietrzał.

Nie włączając światła, wstałem, chwyciłem mrugającą światełkami słuchawkę i powiedziałem:

– Halo!

– Tikkirey?

Zrobiło mi się nieswojo. To był Rosi. Zerknąłem na zegarek – druga w nocy.

– Tak.

– Tikkireyu – mówił bardzo cicho, pewnie nie chciał, żeby rodzice usłyszeli, że dzwoni – jak się czujesz?

– W porządku – odpowiedziałem, bo rzeczywiście wszystko było w porządku.

– Nie przeziębilesz się?

– Nie. – Wszedłem pod kołdrę, nie wypuszczając słuchawki z ręki. – Staś zmusił mnie, żebym napił się spirytusu, a potem natarł mnie nim od stóp do głów. W domu przez pół godziny siedziałem w wannie z gorącą wodą, a potem wszedłem pod kołdrę. Teraz od dawna śpię.

Rosi nie przeproszał, że mnie obudził. Odezwał się po chwili milczenia:

– Tikkireyu... Co teraz?

Wiedziałem, co ma na myśli, a jednak zapytałem:

– Z czym?

– Co ja mam teraz zrobić?

– Słuchaj, przecież nic strasznego się nie stało – powiedziałem. – Już wszystko dobrze! Może nawet nie będę chory!

– Co ja mam teraz zrobić? – powtórzył Rosi. Przez kilka sekund milczeliśmy.

– Tikkireyu, nie myśl, że jestem tchórzem. Nie jestem. Naprawdę. Nic nie mów, posłuchaj mnie...

Milczałem. Słuchałem go.

– Nie wiem, co mi się stało – mówił szybko Rosi. – Przecież wiedziałem, co trzeba zrobić, jak ktoś wpadnie pod lód. Rozumiesz? Ratownictwa uczyli nas już w drugiej klasie. I gdy zacząłeś tonąć, wiedziałem, co powinienem zrobić. Od razu pomyślałem, że trzeba się położyć i podczołgać do ciebie, i rzucić ci pasek albo sznur, albo podać długą tyczkę...

Zamilkł.

– Rosi... No coś ty... – Gdy Lion mnie uratował, pomyślałem, że strasznie nienawidzę Rosiego. Jak nie cierpię jego i Rossi, i że wszystkim opowiem, jacy z nich tchórze i zdrajcy.

Teraz wiedziałem, że tego nie zrobię.

– Wszystko wiedziałem – powtórzył Rosi. Mówił tak, jakby od wieków z nikim nie rozmawiał, a teraz zaczął na nowo i nie potrafił prawidłowo wymawiać słów. – Rozumiesz, Tikkireyu? Wszystko wiedziałem i nie mogłem nic zrobić. Biegałem po brzegu i chciałem, żeby to się wreszcie skończyło. Wszystko jedno jak. Żeby tylko nie trzeba już było nic robić. Rozumiesz? Nawet, jeśli utoniesz! Nie rozumiem tego, Tikkireyu!

Rozpłakał się.

– Rosi... – wymamrotałem – No co ty... Po prostu straciłeś głowę. Każdemu może się zdarzyć...

– Nie może! – wykrzyknął Rosi. – Ty nie porzuciłeś Liona na Nowym Kuwejcie!

– Ale Lion to mój przyjaciel – powiedziałem i już wiedziałem, że niechcący zrobiłem Rosiemu przykrość.

– Rozumiem – powiedział cicho. – A mnie tak zależało, żebyśmy się zaprzyjaźnili. Naprawdę. Bo ty jesteś taki... wyjątkowy. W naszej szkole nie ma nikogo takiego. A teraz już nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi.

Milczałem.

– Nie zostaniemy – powtórzył gorzko Rosi. – Bo już zawsze będziesz pamiętał, że cię zdradziłem. A ja nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Myślałem o tym, że dla mnie ta przykra historia już się skończyła, więcej nawet, obróciła się w radość. Lion był znowu normalny, przyjechał Staś i może nawet wybaczą mi kradzież bicia. A dla Rosiego wszystko się zmieniło. Na zawsze. Przecież oni wszyscy żyją tu sobie spokojnie, nie mają żadnych problemów i rzadko zdarza im się okazja dokonana jakiegoś wielkiego czynu. Być może cała szkoła biegałaby po brzegu, nie potrafiąc mi pomóc, ale teraz wszyscy będą mówili, że oni pomogli mi na pewno i wcale by się nie bali. A Rosi musi żyć ze świadomością, że okazał się tchórzem i zdrajcą. Jego siostra wpadła przynajmniej na to, żeby wezwać ratowników...

– Wiesz, Tikkireyu – mówił dalej Rosi – było mi dzisiaj bardzo źle w domu. I mnie, i Rossi... Nie myśl sobie, że mój tata to tylko ochlapus i gaduła... Wszystko, co mi dzisiaj powiedział, było bardzo słuszne. Tylko... tylko, że ja i tak to wiedziałem, nie trzeba mi niczego tłumaczyć. Wiesz, ile dałbym za to, żebyś znowu wpadł pod lód i żebym mógł cię uratować?...

Pomyślałem, że wcale nie chcę więcej wpadać pod lód, ale powiedziałem co innego:

– Rosi, jeśli kiedyś jeszcze znajdziesz się w takiej sytuacji, na pewno zrobisz wszystko tak jak trzeba. Na pewno!

– Co z tego, skoro teraz jestem dla ciebie wrogiem – powiedział z goryczą Rosi.

– Nieprawda!

– Ale nie jestem przyjacielem. Nie odezwałem się.

– Przeniesiemy się do innej szkoły – wyszeptał Rosi. – Poprosiłem rodziców i oni się zgodzili.

– Rosi, daj spokój. Nie powiem nikomu, co się stało!

– Potrzebuję tego – rzekł twardo Rosi i zrozumiałem, że ma rację. Ale mimo wszystko powiedziałem:

– Rosi, ja się wcale nie gniewam. I chcę się uczyć razem z wami.

– Nie, Tikkireyu. Daj spokój. Tylko mi wybac, dobrze? Przepraszam, że cię obudziłem. Dobranoc.

Rozłączył się.

Położyłem słuchawkę na podłodze obok kanapy. Wcisnąłem twarz w poduszkę i pomyślałem, jakby to było dobrze móc się teraz rozplakać.

Gdyby gdzieś niedaleko, w drugim pokoju, spali moi rodzice, którzy usłyszeli by mój płacz i mogli przyjść, rozplakałbym się. Ale ja już nie miałem rodziców. Od dwóch miesięcy.

I dlatego po prostu zamknąłem oczy i spróbowałem zasnąć.

Nie zachorowałem. I gdy obudziłem się rano, nic mnie już nie bolało, tylko strasznie chciało mi się pić. I czułem wielki smutek. Liona znalazłem w kuchni. Siedział przy oknie i pił herbatę z konfiturami.

– Cześć – powiedziałem. Czułem się tak, jakbym poprzedniego dnia zdał bardzo trudny egzamin, albo... albo jakbym znowu żegnał się z rodzicami. Zbyt wiele się wczoraj wydarzyło.

– Hej – Lion odwrócił się na chwilę. – Ładnie tu, prawda? Skinąłem głową, nalałem sobie herbaty i usiadłem obok niego. Wcale się nie zdziwiłem, gdy Lion zapytał:

– Jak myślisz, co się stało z moimi rodzicami?

– Żyją... – wymamrotałem.

– To wiem – skinął głową Lion. – Czy są teraz tacy, jak ja jeszcze wczoraj? Czy stali się... zombi?

– Staś mówił, że to nie do końca jest tak. Wszyscy na Nowym Kuwejcie wyglądają normalnie, tylko przyłączyli się do Szronu i uważają, że to najlepsza planeta w Imperium.

Staś rzeczywiście opowiadał, że na Nowym Kuwejcie panuje spokój i nic szczególnego się nie dzieje. Ludzie zachowują się tak, jakby nic się nie stało. O tamtej nocy, kiedy wszyscy zasnęli, nawet nie wspominają. Gdy na Nowym Kuwejcie wylądował osobisty wysłannik Imperatora, powitał go sułtan, który oznajmił, że wszystko jest w porządku, nie doszło do agresji i planeta przyłączyła się do Szronu dobrowolnie... Tamtej nocy doszło jedynie do niewielkich zamieszek, wywołanych przez kibiców „Ifrytu”, drużyny baseballowej. Młodzi ludzie, zdenerwowani klęską swojej drużyny, upili się i nawet udało im się zająć kosmodrom oraz centrum łączności kosmicznej.

Były ofiary. Ale do rana przywrócono porządek i teraz na Nowym Kuwejcie nie ma już żadnych problemów.

Zdaniem Stasia najgorsze było to, że Imperator nie miał żadnych podstaw do ingerencji. Dowolna planeta może wejść w związek z inną planetą pod warunkiem, że jest to związek dobrowolny. Ponieważ nie udało się udowodnić, że Nowy Kuwejt został podbity, a wszyscy jego mieszkańcy zostali zaprogramowani, nie ogłoszono wojny, Flota Imperialna nie zaatakowała Szronu, a uczeni nadal próbowali zrozumieć, co się stało.

Można było jedynie sprawdzić wszystkie filmy i programy edukacyjne wyprodukowane na Szronie. Jeśli odkrywano występowanie nierozpoznawalnych informacji, programu nie dopuszczano do emisji. Takich programów znaleziono bardzo dużo. Wprawdzie na Ziemi, Edenie, Avalonie i innych rozwiniętych planetach Imperium filmy ze Szronu nie były zbyt popularne, ale nawet tam dwadzieścia procent ludności mogło w jednej chwili zostać zombi.

– Imperator na pewno dowie się, o co tam chodzi – powiedziałem. – Nowy Kuwejt zostanie uratowany. Przecież Imperator nie może pozwolić na coś takiego!

– Aha – skinął głową Lion. – Dowie się... Przywiążą mnie do łóżka i będą badać przez okrągły rok...

– Nikt tego nie zrobi...

Lion wzruszył ramionami i powiedział poważnie:

– Wiesz, że nawet nie będę się sprzeciwiał? Jeśli miałoby to ich uratować – zgodzę się. To będzie uczciwe.

– Przestań!

– Przecież nic takiego nie mówię... – Lion mieszał łyżeczką zimną herbatę. – Tikkireyu, wiesz, jakie to straszne... przeżyć całe życie?

– Naprawdę myślałeś, że to wszystko dzieje się naprawdę?

– Tak.

Teraz patrzył na mnie obcym wzrokiem i miał zmęczone, stare oczy.

– Walczyłem, Tikkireyu – powiedział Lion. – I miałem przyjaciela... – zająknął się – takiego jak ty. Zabili go, gdy wpadliśmy w zasadzkę. Ale pomściłem go. Miałem na ręku, o tutaj, – pewnym gestem wskazał swój nadgarstek – mały laser w bransolecie. Podniosłem ręce, że niby się poddaję. I włączyłem laser. Wszystkich zabiłem. Potem znowu walczyliśmy...

Zadrżały mu wargi.

– Wiesz, ilu ludzi zabiłem? – krzyknął cienkim głosem. – Siedemdziesiąt osób!

Gdyby powiedział sto czy tysiąc, może bym to przełknął, ale te „siedemdziesiąt”, ta precyzja mnie dobiła. Poczulem, że ręce drżą i postawiłem filiżankę na stół, żeby nie wylać herbaty.

– A potem znalazłem sobie dziewczynę – mówił Lion. – Z piątej kompanii... Po wojnie wzięliśmy ślub. Nawet dzieci umiem wychować! Wszystko umiem jak dorosły facet, dosłownie wszystko! Gasić pożary, ratować tonących, sterować flakerem! Przeżyłem całe swoje życie i umarłem! Ja... ja się nudzę, Tikkireyu! Niczego się nie boję, absolutnie niczego!

– To minie... – szepnąłem.

– Co minie? Wszystko pamiętam, jakby to było wczoraj! Wiesz, jak płonie niebo, Tikkireyu? Gdy oddział szturmowców orbitalnych rusza do ataku, a obsługa dział przeciwlotniczych ustawia nad pozycją tarczę plazmową? Nie wiesz... Zaczyna wiać wiatr, Tikkireyu. Niebo jest pomarańczowe, wiatr wyje i wieje prosto w górę, tak, że ściskasz rękami ziemię, a powietrze staje się coraz suchsze. Skończyły mi się kapsułki w respiratorze i oparzyłem sobie gardło, ale nie martwiłem się, bo szturmowce nie zdążyły zawrócić, weszły w tarczę i rozpląnęły się... Jak białe komety na pomarańczowym niebie... Potem weszliśmy do wsi, ale imperialna piechota już stamtąd wyszła... Zabili wszystkich mieszkańców, bo oni nas wspierali... Mężczyzn rozstrzelali... a kobiety i dzieci zagonili do meczetu, zamknęli drzwi i podpalili... Gdy przyszedliśmy, nadal rozlegał się krzyk, ale nie dało się już gasić...

– Jaka imperialna piechota... – wyszeptałem. Lion mówił strasznym głosem. Nie zmyślał i nie opowiadał książki czy filmu. Wspominał.

– Szósta avalońska brygada kosmopiechoty, formacja Camelot, dowódca – generał Otto Hammer, godło – srebrny młot spadający na płonącą planetę – wyskandował Lion. – Walczyliśmy z Imperium, rozumiesz? Ja walczyłem z Imperium!

– Nie powiedziałeś o tym wczoraj...

– Dzisiaj powiem. – Lion odwrócił wzrok. – Bałem... bałem się, że zabiorą mnie od razu.

– Ale przecież to nieprawda! To tylko sen!

– Dla mnie to nie był sen, Tikkireyu – powiedział Lion. Odniosłem wrażenie, że rozmawia ze mną nie rówieśnik ze stacji kosmicznej, ale dorosły człowiek, który niejedno w życiu widział.



Ale to trwało tylko chwilę. Spojrzenie Liona zmieniło się, jakby zobaczył coś za moimi plecami. Opuścił wzrok.

Odwróciłem się. Na progu kuchni stał Staś. Patrzył na Liona, a z jego oczu nie można było nic wyczytać.

– Po prostu nie chciałem wczoraj o tym mówić – mruknął Lion. Staś podszedł do niego, zmierzwił mu włosy i powiedział:

– Rozumiem. Ktoś za to odpowie, mały. Odpowie za wszystko. Nie bój się, Lionie.

– Najlepiej niech mnie pan zabierze i od razu zaczniacie badania – wymruczał Lion. – Ja tak nie mogę. To wszystko przypomina mi się coraz wyraźniej... Głowa mi pęka... i wcale nie z bólu. Jeszcze coś sobie zrobię...

– Zaraz pojedziemy – powiedział Staś, zastanawiając się nad czymś gorączkowo. – Albo wiesz co? Wytrzymaj trochę. Choćby kilka godzin.

– A potem?

– Potem wszystko będzie dobrze. Lion, Tikkirey, ubierzcie się. Śniadanie zjecie w samochodzie. Obaj macie przed sobą ciężki dzień.

Samochód Stasia nie robił specjalnego wrażenia. Nie był to potężny džip czy szybka sportowa „pirania”, lecz potężny, mało zwrotny „dunaj”. U nas w pracy czymś takim jeździ tylko jedna kobieta z działu technicznego, gruba i powolna.

Ale Stasiowi było chyba wszystko jedno, czym jeździ.

Ja i Lion siedzieliśmy z tyłu i milczeliśmy. Staś mówił bez przerwy, o przeróżnych rzeczach. O eksperymentach w dziedzinie energetyki gluonowej, które pozwolą na budowanie nowych statków kosmicznych. O tym, że teoretycznie udowodniono istnienie hiperkanałów prowadzących do innych galaktyk, i że są już plany ich poszukiwania. O tym, że Imperator podpisał ustawę o zniesieniu trzyprocentowej granicy, i że teraz uczeni mogą zacząć poprawiać ludzki genom na całego, nie tylko w drobiazgach. O tym, że dobiega końca kręcenie zdjęć do filmu akcji w stylu retro „Mędrzec z Nazaretu”, traktującego o chrześcijaństwie. Podobno w tym filmie wszystko będzie naprawdę – żywi aktorzy, prawdziwe dekoracje, nawet efekty specjalne. Żadnych komputerowych animacji, wszystko autentyczne! Aktorów nawet wprowadzono w trans, nie wiedzieli, że grają w filmie – myśleli, że wszystko dzieje się naprawdę.

Staś umie bardzo ciekawie opowiadać, oczywiście, jeśli chce. Ale ja i tak wiedziałem, że on jedynie próbuje zająć czymś naszą uwagę i wcale mnie te opowieści nie interesowały. Ani gluonowe reaktory, ani nowe galaktyki czy ulepszony genom niczego nie zmieniają. Teraz najbardziej interesowało mnie to, co zrobi z nami rada fagów.

Widocznie Staś domyślił się, co się z nami dzieje, bo zamilkł. A my bez słowa skończyliśmy kanapki i dopiliśmy kawę.

Port Lanc to miasto-satelita stolicy Avalonu, Camelotu. Gdyby Staś chciał, mógłby dojechać do Camelotu w pół godziny, ale fag nie spieszył się. Być może intensywnie się nad czymś zastanawiał, a może po prostu miał dokładnie wyznaczony termin spotkania, w każdym razie jechaliśmy ponad godzinę. Potem jeszcze kręciliśmy się po mieście, przeskakując z wewnętrznych skrzyżowań na zewnętrzne obwodnice, postaliśmy w kilku korkach – wszyscy jechali do pracy i ulice były zapchane.

W końcu Staś zaparkował samochód przed ładnym budynkiem w starym stylu – z wielkimi lustrzanymi oknami i lądowiskiem dla flauerów na dachu. Byłem tu tylko raz. Właśnie tutaj mieściło się główne biuro fagów, noszące nazwę Instytut Socjologii Eksperymentalnej.

– Co mam powiedzieć radzie? – spytałem, gdy wysiedliśmy z samochodu.

– Jeśli już rzeczywiście będziesz musiał coś mówić, mów prawdę – wzruszył ramionami Staś. –

Nie wiem, czy w ogóle zostaniesz wezwany.

– A ja? – zapytał Lion.

– Ciebie wezwą na pewno – rzekł Staś. – I rada brzmi tak samo – mów prawdę.

Zastanowił się przez chwilę, a potem objął nas i powiedział:

– Chodzi nie tylko o to, że mówienie nieprawdy jest niewłaściwe. Po prostu nigdy nie należy kłamać fagom – już lepiej coś przemilczeć.

– Wyczuwacie kłamstwo – oznajmił Lion. Głos mu stwardniał. Staś popatrzył na niego uważnie.

– Tak, mały. Wyczuwamy.

Nic więcej nie mówiliśmy. Weszliśmy do budynku – przy wejściu stała ochrona, ale Staś okazał jakąś przepustkę i nawet nas nie sprawdzano. Za drzwiami był wielki westybul. Pomyślałem, że tak jak poprzednim razem, Staś poprowadzi nas w prawo. Tam jest mnóstwo najróżniejszych gabinetów i biur, jest też fantastyczny zimowy ogród z kawiarenką. Gdy Staś załatwiał moje sprawy, przesiadzałem tam wtedy trzy godziny i wcale mi się nie nudziło.

Ale Staś poprowadził nas do windy. I to wcale nie do jednej z tych publicznych, przez cały czas jeżdżących w górę i w dół, lecz do służbowej kabinki, do której nikt nie podchodził.

Budynek był ogromny, miał około pięćdziesięciu pięter, ale gdy wsiedliśmy do windy i ruszyliśmy w górę, zdawało mi się, że jedziemy zbyt długo. Jakbyśmy pokonywali kolejne pięćdziesiąt pięter, niewidocznych z zewnątrz. Spojrzałem na odbicie Stasia w lustrzanej ścianie. Fag bacznie nas obserwował.

– Jedziemy w dół, prawda? – stwierdziłem. – Ale wydaje się, że w górę. W windzie jest grawitator. Tak?

Staś uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Zresztą, jego uśmiech szybko znikł. Wyglądało na to, że odtwarza w myślach czekającą nas rozmowę, stara się przewidzieć każde słowo i coś mu nie pasuje, jakby pojawiało się pytanie, na które on nie znał odpowiedzi i zaczynał myśleć od nowa...

– Stasiu – powiedziałem. – Jeśli rzeczywiście jestem winny, to niech mnie ukarzą. Tylko niech nie wysyłają mnie z powrotem na Kopalnię, dobrze?

– Dałem ci słowo – przypomniał Staś. Popatrzył na mnie uważnie i dodał: – Bystry z ciebie chłopiec. Gdybym ci nie wierzył, pomyślałbym, że jesteś świetnie przygotowanym agentem.

– Zdarzają się dzieci-agenci? – zdziwiłem się.

– No pewnie – mruknął Staś. – Ja na przykład pracuję odkąd skończyłem dziesięć lat.

– Nie jestem agentem – powiedziałem na wszelki wypadek. – Jestem Tikkirey z Kopalni...

– Przecież już powiedziałem, że ci wierzę – przerwał mi łagodnie Staś.

Winda zatrzymała się wreszcie i wysiedliśmy. Znaleźliśmy się w dużym, pustym holu z basenem i fontanną po środku. Fontannę tworzył posąg dziewczynki, trzymającej w ręku dzban, z którego lała się woda. Posąg był stary, z brązu, teraz pozieleniały, pokryty mchem i pomarańczowym pnączem. Przysiadłem na krawędzi basenu, dotknąłem ręką wody. Nie było tu rybek, a jak tak bardzo chciałem, żeby w basenie pływały rybki. Woda zmętniała, jakby szwankowały filtry. Staś gestem wskazał nam wyściełane fotele, stojące pod ścianą z fałszywymi oknami. W oknach był widok na miasto, jakby z dachu wieżowca, ale ja nie wątpiłem, że jesteśmy pod ziemią.

– Zaczekajcie tu, chłopcy.

– Długo? – spytałem.

– Gdybym wiedział, powiedziałbym – uśmiechnął się Staś. – Nie ruszajcie się stąd.

W przeciwległej ścianie były kolejne drzwi do windy. Staś ściągnął windę i odjechał.

– Szkoda, że nie ma tu baru – powiedział Lion z pretensją. – Wypilibyśmy jednego highballa na odwagę.

– Co takiego? – nie zrozumiałem.

– Higball. To taki drink. Jak gin z tonikiem albo wódka z martini.

– Ho, ho! Ale masz wymagania!

– Bardzo lubię wódkę z martini – rzekł Lion.

Rozsiadł się w fotelu, założył nogę na poręcz fotela, zerknął na fałszywe okno, prychnął, wymacał przełącznik i wyłączył obraz.

– To... ze snów? – domyśliłem się.

– Tak. W wojsku dawali nam wódkę. A z okazji świąt – whisky.

– No to we śnie zamówisz sobie swojego highballa. Na Avalonie dzieciom nie wolno pić napojów alkoholowych.

– Nic nie szkodzi. Jeśli nie złączą mnie od razu preparować, wstąpię do baru na jednego – oznajmił Lion.

Wreszcie do mnie dotarło, że on się zwyczajnie zgrywa – ze strachu. On się boi znacznie bardziej niż ja.

– Dlaczego walczyłeś z Imperium? – zapytałem. – No, w tym śnie? Lion, jakby tylko czekając na to pytanie, wyskandował ochoczo:

– Ponieważ Imperium to przeżytek dawnych epok. Skupienie władzy w rękach jednego człowieka doprowadza do zastoju i stagnacji, nadużyć oraz niestabilności społecznej.

– To w końcu do zastoju czy niestabilności?

– Do zastoju w rozwoju ludzkości i niestabilności w życiu społecznym – sparował Lion. – Podam ci przykład. Gdy ludzie spotkali Obcych, którzy zdążyli zagarnąć najlepsze planety dla siebie, rozwój Imperium został zahamowany. Zaczęto kolonizować i adaptować dla potrzeb ludzi nieodpowiednie planety w rodzaju twojej Kopalni. Nikt nawet nie próbował usunąć Obcych z zajętych przez nich planet.

– To oznaczałoby wojnę, Lionie!

– Niekoniecznie. Wojna to skrajny przypadek rozwiązywania konfliktów. Zawsze można ograniczyć się do środków ekonomicznych, politycznych i innych.

– Naprawdę tak myślisz? – usiadłem w sąsiednim fotelu. Lion patrzył na mnie drwiąco, potem spoważniał:

– Nic nie myślę. Tak nam tłumaczono. We śnie w to wierzyłem.

– A teraz?

– No... Coś w tym jest, prawda? Przecież ty naprawdę żyłeś na Kopalni, a mogłeś mieszkać na fajnej planecie, zajmowanej przez niziołki albo Czygu.

– To w końcu w tym śnie walczyłeś z Obcymi czy z Imperium?

– Z Imperium – przyznał Lion. – Żeby w galaktyce zapanował nowy, sprawiedliwy ustrój.

– Jaki?

Lion zastanowił się.

– Po pierwsze, demokratyczny. U nas każde stanowisko obsadzone jest w drodze wyborów. Raz na cztery lata głosuje się na prezydenta.

– I co to za człowiek, ten prezydent?

– To była kobieta – rzekł Lion. – Ona... jakby ci to powiedzieć... Jego twarz przybrała wyraz rozmarzenia. Czekałem, czując, jak narasta mi chłód w piersi.

– Ona... jest bardzo sprawiedliwa – wypalił wreszcie Lion. – Zawsze gotowa każdego wysłuchać, z każdym serdecznie porozmawiać. Jest mądra, bo niemal zawsze podejmuje mądre decyzje. Czasem się myli, ale nie bardzo.

– Lionie, przecież to tylko sen! – nie wytrzymałem. – Rozumiesz? Ktoś na Szronie postanowił podbić Imperium i wymyślił taki film do prania mózgu. Nie ma ludzi nieomylnych!

– Nie twierdę, że nigdy się nie myliła – odparł szybko Lion. – Ale zazwyczaj nie.

– Nie może też każdego wysłuchać. Imperator nie może i prezydent też nie zdoła. Nawet u nas, na Kopalni, zwykły urzędnik socjalny nie mógł się z każdym skontaktować, a mamy niecały milion mieszkańców!

– Normalnie nie może – przyznał Lion. – Ale u nas wszystko było inaczej. Mogłeś się podłączyć do sieci i porozmawiać z prezydentem.

– Bzdura.

– Dlaczego? To bardzo proste. Wiesz, że można zeskanować mózg do komputera?

– Tak, ale to zabronione, istnieją tylko dwie czy trzy osoby... I wszyscy tracą rozum.

– A ona nie – powiedział cicho. – Na każdej planecie ma swoją kopię. Kopie porozumiewają się ze sobą, dyskutują i podejmują decyzje. Są gotowe każdego wysłuchać i każdemu pomóc. Rozmawiałem z nią co roku, tak było przyjęte. A czasem, gdy zdarzyło się coś ważnego, prosiłem o rozmowę poza kolejnością.

– Lion, aleś ty głupi! – zawołałem. – Przecież to wszystko bajki, którymi robili wam wodę z mózgu! Żeby wszyscy zaczęli służyć Szronowi!

– Rozumiem – powiedział poważnie Lion. – Zapewne tak właśnie było. Ale może to jednak prawda? Przecież w Imperium nie wszystko jest w porządku. Gdyby było, po co istniałoby wojsko, policja, służba kwarantanna, fagowie?

– To niemożliwe. To wszystko kłamstwo – powiedziałem z uporem.

– Jeśli kłamstwo – nie poddawał się Lion – to dlaczego wszyscy w nie wierzą? Tikkireyu, przecież ja jestem normalny! Przecież nie oszalałem, prawda? Oni pokazali mi tylko, jak mógłbym żyć, gdybym służył Szronowi. To wszystko. I mnie się to spodobało.

– Przerwaliśmy ci sen – powiedziałem. – Gdy podłączyliśmy cię do strumienia.

– No to co? Daję ci słowo honoru, że nikt mnie do niczego nie zmuszał. To... to... – Lion rozłożył ręce. – To jakby dobry film w wirtualnej rzeczywistości, kiedy prawie nie czujesz różnicy. Pokazali mi, jak może wyglądać życie i mnie się to spodobało.

– Ale to nieprawda!

– A czy ja mówię, że prawda? – Lion podniósł głos. – Czy ja coś takiego powiedziałem?

Opowiadam tylko, jak było w moim śnie! To wszystko! Być może jest w tym trochę nieprawdy!

Zamilkłem. Rzeczywiście, naskoczyłem na niego jak głupi...

– Przepraszam.

Lion patrzył bok, potem wymruczał:

– Dobra, nie ma sprawy. Wiesz co, już mi lżej. Teraz to jest jakby sen, a przedtem działało się naprawdę...

Spostrzegłem, że zaczął obgryzać paznokieć jak małe dziecko. Zauważył, co robi, i szybko wyjął palec z ust.

– Głupi sen.

– Pamiętam swój dom, Tikkireyu. Wiesz, jaki miałem dom? Stał w ogrodzie i prowadziła do niego ścieżka z czerwonego tłucznia. Samochód zostawiało się przed bramą. Dom był dwupiętrowy, na wysokim fundamencie, ściany miał ze starego kamienia, drewniane futryny i drzwi. Na werandę prowadziły szerokie stopnie. Wieczorami piliśmy tam herbatę, piwo albo wino. Ściany oplatała winorośl – zapuszczona, prawie dzika, ale miała smaczne winogrona. Podłogi też były drewniane, stare, ale nie skrzypiały. Na frontonie wisiała kuta żelazna latarnia, gdy włączałem ją wieczorem, wokół zaczynały krążyć komary i ćmy...

– Co to jest fronton? – spytałem.

Lion skrzywił się. Niepewnie złożył ręce, tworząc trójkąt.

– Takie coś pod dachem, między spadami dachu i gzymsem, gdy patrzysz od frontu. A co?

– Nie znałem tego słowa – wyjaśniłem.

– Ja też nie – przyznał się Lion. – Przecież ci mówię, że we śnie nauczyłem się wielu rzeczy. Odbierałem poród, pilotowałem statek kosmiczny... Walczyłem...

Znowu zamilkł.

– Lionie, przecież nikt ci nie broni dorosnąć, zbudować taki dom i w nim zamieszkać – powiedziałem.

– W tamtym mieszkalem nie sam.

– W tym też nie byłbyś sam.

Lion skinął głową i powiedział półgłosem:

– Katerina pracowała w służbie medycznej. Uratowała mnie, gdy wszyscy myśleli, że ze mną koniec. To po tej zasadzce, w której cię zabili...

Ugryzł się w język.

– Mnie? Więc to o mnie mówiłeś, że w zasadzce... A potem ty wszystkich...?

Lion skinął głową.

– To byłeś ty. Mieliśmy już pewnie ze dwadzieścia lat. Wezwali nas z Nowego Kuwejtu... Zaproponowali, żebyśmy wstąpili do wojska. Poszliśmy do oddziałów desantowych.

Znowu zaczął gryźć paznokieć.

– Lionie, to był sen – powtórzyłem.

– A może to, co dzieje się teraz, jest snem? – odciął się. – Wiesz, jak nazwałem swojego syna? Tikkirey!

Przez jakiś czas milczałem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. A potem w środku zaczął się rodzić

cichy chichot. Tłumiłem go jak mogłem. Przysięgam, że walczyłem ze sobą ze wszystkich sił!

Ale śmiech narastał. Zacząłem kasłać, żeby go stłumić, w końcu nie wytrzymałem i zachichotałem.

A potem sturlałem się na podłogę, rechocząc na cały głos.

Lion zerwał się z fotela i utkwiał we mnie urażony wzrok.

– Dzię... dzię... dziękuję... – wyjąkałem przez śmiech. – Lion... dzię...kuję...

– Draniu! – krzyknął Lion. – Wiesz, jak to przeżyłem?! Potem niosłem twoje zwłoki...

Nie mogłem się uspokoić. Gdy Lion mówił o wojnach, o swojej wymyślonej żonie i nieistniejącym domu – bałem się, jakby to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Ale gdy powiedział, że mnie zabili – strach się rozwiął.

I pozostał tylko głupi sen.

– Stłukę cię! – Lion rzucił się na mnie, ale zdążyłem się odturlać i krzyknąłem:

– A potem będziesz niósł... zwłoki?

Lion chybił i wylądował na podłodze, a po chwili znowu do mnie skoczył. Ale już nie chciał mnie bić – objął mnie. To też było śmieszne, bo zachowywał się jak dorosły, który pociesza dziecko.

Po chwili mnie puścił i też zaczął się śmiać.

– Trele morele! – krzyknąłem. – To był sen, sen, sen! Głupi, zły sen! Ja żyję, i ty żyjesz, i ze Szronem sobie poradzą bez nas, a dom zbudujesz z takim frontonem, jaki ci się tylko zamarzy, i może nawet z fontanną!

Trzymając się za ręce, chichotaliśmy tak jeszcze z minutę, aż popłakaliśmy się ze śmiechu. W końcu Lion otarł twarz i powiedział:

– Dobra, nie kłóćmy się. Bo rzeczywiście zacznę się z tobą bić, a przecież mnie szkolili...

– Mnie nie szkolili, a ja i tak umiem – zagroziłem. – Nie kłóćmy się. Zachowujemy się jak idioci... a tu pewnie mają kamery...

Lion od razu sposepniał.

Jakby na potwierdzenie moich słów, drzwi, których przedtem nie zauważyłem, otworzyły się na oścież. Za nimi ciągnął się korytarz.

– Chłopcy, gdzie jesteście? – zapytał przyjemny, kobiecy głos. Zerwaliśmy się na równe nogi.

Do holu weszła młoda, sympatyczna dziewczyna w eleganckim kostiumie.

– Który z was to Lion? – zapytała z uśmiechem. Pomyślałem, że ona i tak wie.

– Ja – powiedział Lion.

Niepotrzebnie! Szkoda, że to nie ja się odezwałem, wtedy musiałaby się przyznać, że pytała tylko tak, pro forma...

– Jestem doktor Anna Goltz – powiedziała dziewczyna – Mów do mnie Anna, dobrze?

Lion skinął głową.

– Chodźmy, musimy porozmawiać. Opowiesz mi o swoich snach, dobrze?

– Dobrze. – Lion popatrzył na mnie, wcisnął ręce w kieszenie i poszedł za dziewczyną.

– Nie pojedę bez ciebie! – powiedziałem szybko. – Doktor Goltz, powie mi pani, jak skończycie?

– Powiem, oczywiście – skinęła głową dziewczyna.

– „Powiem, oczywiście” – przedrzeźniłem ją, gdy drzwi się zamknęły. Usiadłem na fotelu i zarzuciłem nogi na poręcz jak przedtem Lion.

Staś mógł mnie uprzedzić, że najpierw wezwą Liona...

## Rozdział 4

Zostałem sam i od razu zacząłem się nudzić.

Posiedziałem w fotelu, przespacerowałem się po hollu i znalazłem jeszcze dwoje niepozornych drzwi. Niby nie zamaskowane, ale wyglądały, jakby stanowiły część ściany. Posiedziałem nad basenem. Pomacałem posąg dziewczyny – brąz był zimny i chropawy. Oberwałem kawałek mchu i zacząłem mu się przyglądać. Chyba nie jest syntetyczny...

Żeby przynajmniej w wodzie pływały rybki!

Wróciłem na fotel i próbowałem wyobrazić sobie, co się teraz dzieje z Lionem. Chyba go tam nie kroją na kawałki... Może założyli mu na głowę hełm i robią różne encefalogramy... A co porabia Staś? Opowiada radzie fagów, co o mnie myśli?

Zamyśliłem się tak głęboko, że nawet nie zauważyłem, jak bicz popęził w górę mojej ręki, wysunął główkę nad kołnierzem koszuli i zaczął wkręcać się do gniazda.

Może powinienem był odsunąć głowę. Kto wie, co wymyśli taki zwariowany bicz? Ale ja siedziałem nieruchomo, pocąc się ze strachu.

Bicz drgał lekko, jakby dostrajając się do mojego gniazda. A po chwili poczułem nadciągające obrazy – jak na wirtualnym filmie albo na lekcji. Można się temu oprzeć, tylko nie wolno zamykać oczu i trzeba skoncentrować się na czymś innym.

A ja zamknąłem oczy i rozluźniłem się.

Najpierw usłyszałem głos – gdzieś wewnątrz mojej głowy. To był głos Stasia.

– Dlatego jestem przekonany, że mamy do czynienia z licznymi zbiegami okoliczności. Prawdopodobieństwo przywiązania się bicza było wprawdzie bardzo nikłe, ale jednak wcześniej czy później do tego dojść musiało.

– Dobrze – powiedział nieznajomy głos. – Załóżmy. Cała historia Tikkireya jest fantastyczna, dlaczego nie mielibyśmy uwierzyć w kolejny zbieg okoliczności?

Wyraźnie ironizował.

– Cóż w niej fantastycznego? Sprawdziliśmy Kopalnię. Tikkirey opuścił planetę na pokładzie kontenerowca „Klazma”. Sprawdziliśmy „Klazmę”. Załoga rzeczywiście zlitowała się nad chłopcem i wysadziła go na Nowym Kuwejcie. Kierowcę taksówki też sprawdziłem, odpowiedź znacie. Na camping chłopiec trafił przypadkiem.

Pojawił się mętny i drżący obraz. Bardzo długi pokój z bardzo długim stołem. Ludzie w fotelach. A raczej – fagowie w fotelach, siedzą i słuchają Stasia. Czy patrzyłem na to wszystko jego oczami?

Nie! Widziałem i słyszałem to, co rejestrował jego bicz!

Nie zdumiało mnie to. Wiedziałem, że taki bicz ma mnóstwo możliwości. Zdziwiło mnie tylko to, że mój bicz i bicz Stasia nawiązały ze sobą kontakt.

– W końcu, co daje mu kradzież bicza? – zapytał ktoś. – Jestem skłonny przyznać Stasiowi rację... w tej kwestii. Utraciliśmy osiemnaście biczów tego typu, w trzech przypadkach jesteśmy pewni, że trafiły w ręce elementów społecznych. Jeśli nawet komuś uda się skopiować mechanizm... Mówiący niedbale machnął ręką. Jeden z tych, którzy siedzieli u szczytu stołu naprzeciwko Stasia, powiedział władczo:

– W takim razie proponuję zamknąć tę kwestię. Pytanie brzmi: co zrobimy z chłopcem?



Zapadła cisza. Ktoś wstał i wyszedł zza stołu. Znowu odezwał się Staś:

– Dlaczego nie mielibyśmy zostawić wszystkiego bez zmian?

– Bicz.

– W tym przypadku bicz nie jest bronią.

– Stasiu, sam pan wie najlepiej, jak łatwo można przywrócić mu możliwości bojowe.

– Tikkirey tego nie robi. Mimo swojego młodego wieku rozumie, czym jest odpowiedzialność.

Życie na Kopalni...

– W tym wypadku nie mamy prawa dawać broni człowiekowi, który nie jest ani dzieckiem, ani dorosłym.

– Odebranie bicza, który się przywiązał, oznaczałoby zniszczenie broni. Bez swojego właściciela bicz nie przeżyje. Chłopiec o tym wie.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Patrzyłem na mętny obraz, a gdy Staś przesunął rękę, widziałem już tylko stół. Rozległ się zmęczony i smutny głos rozmówcy Stasia:

– Bicz daje chłopcu zbyt duże możliwości, których nie powinien posiadać przeciętny obywatel. Na przykład, już od czterech minut Tikkirey podsłuchuje naszą rozmowę.

Oślupiałem. Otworzyłem oczy, wynurzając się z rzeczywistości wirtualnej, jakby mogło to coś zmienić. Poczulem, jak bicz wykręca się z gniazda i wsuwa pod ubranie.

I wtedy zobaczyłem siedzącego przede mną w kucki ciężkiego, niemłodego już mężczyznę. Był Mulatem, miał krótko ostrzyżone włosy. Nigdy wcześniej go nie widziałem, ale w jakiś sposób przypominał Stasia. Pewnie był fagiem.

– Nie musisz się mnie bać – powiedział Mulat śpiewnie. Skinąłem głową.

– Wiedziałaś, że bicz może nawiązywać łączność? – zapytał mężczyzna.

– Nie – pokręciłem głową.

– Masz nieprawdopodobną zdolność wplątywania się w różne historie, Tikkireyu – Mulat położył dłoń na moim ramieniu. – Chodź, mały. Po co miałbyś tu teraz siedzieć?

Bez słowa powlokłem się za nim jak na ścięcie.

Ale nie czułem lęku.

Jechaliśmy z pół minuty windą, a potem znaleźliśmy się w sali, którą oglądałem za pomocą bicza. Odszukałem wzrokiem Stasia i podbiegłem do niego. Staś z wyrzutem pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

Patrzyłem na fagów.

Trochę się tu zmieniło. W powietrzu zawisła drżąca mgiełka, jak nad szosą w upalny dzień. Stół i pokój widać było wyraźnie, siedzących przy stole tylko w ogólnych zarysach. Głosy też wydawały się zmienione. Tylko Staś i mulat wyglądali normalnie.

– Nie bój się, Tikkireyu – powiedział człowiek, z którym rozmawiał Staś. Pewnie był jednym z najważniejszych fagów. – Chodzi o to, żebyś nie zobaczył naszych twarzy.

– Rozumiem i nie boję się. To złudzenie?

– Tak. Rzeczywiście nie masz się czego bać. Wiesz, co się teraz dzieje?

– Wiem. Decydujecie, co ze mną zrobić.

– Chcesz nam coś powiedzieć?

Milczałem, próbując znaleźć właściwe słowa. Nie znalazłem.

– Przykro mi, że tak się stało – powiedziałem w końcu. – Ale ja naprawdę nie jestem szpiegiem. Bicz wzięłem tylko dlatego, że się do mnie przywiązał. Zrobiło mi się go żal... przecież jest żywy.

– Tikkireyu, znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji. Nie chodzi o to, że poznałeś pewną tajemnicę. Na szczęście nie. Ale tak czy inaczej nie możemy zostawić ci bicza. To tak, jakby dać niemowlęciu bombę atomową.

– Nie jestem niemowlakiem – obraziłem się.

– Nie rozumiesz – wyjaśnił cierpliwie zasłonięty mgiełką fag. – Zdolność władania biczem to nie tylko trudna sztuka. Bicz reaguje na twoje pragnienia, nawet te podświadome. Jeśli zechcesz podслуchać czyjąś rozmowę, bicz przechwyci sygnał. I nawet bez głównego źródła zasilania jest bronią... straszną bronią w walce wręcz. Potrąca cię twoi rozbawieni rówieśnicy, a bicz potraktuje sytuację jako bezpośrednie zagrożenie i odrąbie im rękę. Rozumiesz?

Przygryzłem wargę i skinąłem głową.

– Tikkireyu, zgodzisz się oddać bicz?

– On umrze – powiedziałem i poczułem, jak coś poruszyło się na mojej ręce.

– Tak. Bicz nie przywiązuje się powtórnie. To jedna z cech obronnych. Chwyciłem lewą ręką za prawą i przytuliłem bicz przez ubranie.

– Nie można czegoś zrobić? – zapytałem. – Może mógłbym zamieszkać sam... Gdzieś, gdzie nie zrobię nikomu krzywdy przez przypadek. Przecież są tacy ludzie, którzy pracują sami, na stacjach kosmicznych, albo jeszcze gdzie indziej...

Fagowie milczeli. Odezwał się Staś:

– Tikkireyu, żeby posiadać taką broń, musiałbyś być fagiem. Żeby zostać fagiem, musiałbyś zostać poddany modyfikacjom genetycznym przed swoimi narodzinami. Błędne koło.

– Ale przecież można zrobić wyjątek! – nie wytrzymałem.

– Nie – odparł Staś. – Problem polega na tym, że niektórych zasad nie możemy łamać. Mamy genetyczny przymus przestrzegania ich. Fag nie może złamać danego słowa. Fag nie może wykorzystać swoich zdolności w celu zdobycia władzy. Fag nie może złamać przysięgi wierności, złożonej władzy ludzkości, sprawującej legalne rządy. Fag nie może przekazać osobie postronnej szczególnie niebezpiecznych urządzeń... w tym bicza plazmowego.

Omal się nie roześmiałem:

– Przecież to głupie! W wojsku mają znacznie groźniejszą broń! I jakiś tam oficer, który wcale nie jest fagiem, może nacisnąć przycisk i zniszczyć całą planetę! Czym w porównaniu z tym jest bicz?

– Masz rację – przyznał Staś. – Ale my nie możemy łamać swoich zasad.

Obrzuciłem wzrokiem stół i wydawało mi się, że za mętnymi ekranami dostrzegam twarze. Oni mi współczuli. Wcale nie cieszyła ich perspektywa rozprawy z chłopcem, który – z ich winy – dostał w swoje ręce broń.

– Przecież jesteście dorośli – powiedziałem. – Jesteście mądrzy i dobrzy. Naprawdę nie możecie nic wymyślić? Przecież chcecie mi pomóc! To pomóżcie!

Na twarzy Stasia pojawił się wyraz udręki. Ktoś wymamrotał: „Gdybyśmy tylko mogli...”

– Tikkireyu, podoba ci się na Avalonie? – zapytał nagle Mulat. Skinąłem głową.

– Istnieje przepis o instytucji tymczasowych pełnomocników – rzucił Mulat w przestrzeń.

– „Powierzyć część informacji i sprzętu w warunkach kontroli i ograniczonych możliwościach ich zastosowania”? – powiedział szybko Staś.

– „W sytuacji kryzysowej” – dodał Mulat, również cytując nieznany mi dokument. – Właściwie już raz to zrobiłeś, prawda? Gdy poprosiłeś Tikkireya, by pomógł ci na Nowym Kuwejcie.

– Dziękuję, Ramonie. To jest możliwe...

Fag, który siedział u szczytu stołu, odkaszlnął i uzupełnił:

– „Jeśli wymaga tego wykonanie zadania szczególnej wagi”. Wszyscy zamilkli. Zastanawiali się teraz nad czymś... to ich skupienie wcale mi się nie podobało.

– Tikkireyu – zwrócił się do mnie Ramon. – Jest pewna możliwość, ale niezbyt przyjemna.

– Niech pan powie – zerknąłem na Stasia. Wyglądał na wściekłego.

– Wiesz, co się teraz dzieje na Nowym Kuwejcie? Pokręciłem głową.

– My też nie wiemy, mały. I właśnie szykujemy misję na tę planetę. Trzech fagów spróbuje sprawdzić, co dzieje się z ludnością, którą Szron poddał atakowi psychicznemu. Jeśli wyruszysz na Nowy Kuwejt, będziemy mogli nadać ci status tymczasowego pełnomocnika i będziesz mógł zatrzymać bicz. Oczywiście, pozbawiony głównego akumulatora.

Myślałem. Nie bałem się, dziwiło mnie tylko, jak to wszystko idealnie się składa.

– Na długo? – spytałem.

– Na jakieś dwa, trzy miesiące, potem cię zabierzemy. Twój dom, twoja praca – wszystko będzie na ciebie czekać.

– Jak sądzę, kwestię szkoły załatwimy również – dodał ktoś i zaśmiał się dobrodusznie.

– Co będę musiał robić? – spytałem.

– Nic szczególnego. Obserwować i wyciągać wnioski. Każda informacja może mieć duże znaczenie dla nas... dla was... Dla Imperium.

– A bicz? Co się z nim stanie, gdy już wrócę? Ramon wzruszył ramionami.

– Prawo nic nie mówi na temat terminu zwrotu udostępnionej tymczasowo broni. Będziesz mógł go zatrzymać.

Popatrzyłem na Stasia. Nie podobał mi się wyraz jego twarzy.

– A Lion? – spytałem jeszcze.

– Co – Lion? – ściągnął brwi Ramon.

– Co z nim?

– Nasi uczeni spróbują zrozumieć, jak wpłynął na niego program, który tak szczęśliwie przerwałeś. Potem pomożemy mu zdobyć obywatelstwo.

– Lion wyruszy ze mną – powiedziałem i usłyszałem, jak po sali przepłynął lekki szum.

– Dlaczego? – spytał zdumiony Ramon.

– Dlatego, że są przyjaciółmi – odpowiedział za mnie Staś. – Dlatego, że na Nowym Kuwejcie została rodzina Liona.

– Czy Lion zechce tam wrócić? – Ramon zmrużył oczy. Wydawało mi się, że między Stasiem i Ramonem zawisła jakaś nieprzyjemna i niedokończona rozmowa.

– Zapytajmy go – odparł Staś. Znowu odezwał się fag u szczytu stołu.

– Panowie, nie wydaje się wam, że nazbyt się spieszymy? Dajmy Tikkireyowi czas na

zastanowienie przed podjęciem decyzji. Mimo wszystko mam nadzieję, że zdecyduje się oddać bicz i pozostać na Avalonie. Jego przyjaciel również musi podjąć decyzję. Jeśli chłopcy jednak postanowią wyruszyć na Nowy Kuwejt, proponuję, by Ramon zajął się przygotowaniem operacji.

Odezwało się kilka głosów. Wszystkie opinie sprowadzały się do jednego: „Nie ma sensu wybiegać naprzód, trzeba dać chłopakowi czas na zastanowienie”.

– Odwiozę chłopców do domu – powiedział Staś, dotykając mojego ramienia. – Dziękuję... wszystkim.

Popatrzył na Ramona i przez kilka sekund dwóch fągów mierzyło się wzrokiem. W końcu Ramon niezręcznie wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

Na Liona czekaliśmy jeszcze dwie godziny. Ale już nie w holu, lecz na dole, w sympatycznym barze. Staś chyba poweselał, w każdym razie nie wspominał o czekającej mnie wyprawie. Stwierdził, że nie musi już dziś wracać na naradę i zaczął zamawiać drinki.

Piłem sok, do którego wesóły barman wlał „dla zapachu” łyżkę likieru pomarańczowego, i rozmawiałem sobie ze Stasiem. Potem fąg zaczął mnie uczyć, jak po wyglądzie zewnętrznym określić nastrój i charakter człowieka, ale chyba sobie żartował. W barze siedziało niewielu ludzi, żaden z nich nie był fągiem i o każdym Staś opowiadał coś zabawnego. I wcale nie obraźliwego.

Lion zjechał do nas (albo wjechał, jeśli wtedy znajdowaliśmy się pod ziemią) razem z Anną Gołtz. Już się nie bał i nie był ponury. Przeciwnie, śmiał się, i gdy Anna objęła go na pożegnanie, zaczerwienił się.

– I co z nim? – zapytał Staś, kiwając Annie głową jak starej znajomej.

– Myślę – Anna od razu spoważniała – że młody człowiek zdążył w samą porę.

Zrozumiałem, że mowa o mnie.

– Coś się wyjaśniło? – zainteresował się Staś. Anna pokręciła głową.

Chyba fąg nie spodziewał się innej odpowiedzi. Poszliśmy na parking.

– Bardzo cię męczyła? – spytałem Liona szeptem.

– Tylko rozmawialiśmy – odparł poważnie Lion. – O moim śnie.

– No i co?

– Anna mówi, że nie ma w nim żadnej cennej informacji. To program propagandowy, który został przerwany, nim zdążył zadziałać. Teraz powoli mija, ulega zapomnieniu jak zwykły sen. W dalszej części snu powinno być coś ważnego... coś takiego, że ludzie zaczynają wierzyć w Szron, ale u mnie ta część nie zadziałała.

– To co w końcu, jesteś normalny? – zapytałem i szybko sprecyzowałem:

– Nie uważają cię za wroga?

– Nie – Lion energicznie pokręcił głową. – Muszę jeszcze napisać szczegółowe opowiadanie o swoim śnie, wypełnić jakieś ankiety i przejść kilka testów. To wszystko, nic więcej ode mnie nie chcą...

Staś leciutko popchnął go w stronę „dunaja”. Klapnąłem na tylnym siedzeniu obok Liona, Staś usiadł na miejscu kierowcy, włączył automatykę i zapytał:

– Masz zamiar się zgodzić na propozycję rady, Tikkireyu?

– Jaką propozycję? – zaszeptał Lion.

– Tak, Stasiu.

. – Nie sądzę, żeby gra była warta świeczki – Staś pokręcił głową. – Bicz nie jest żywą istotą. To mechanizm.

– Nie całkiem – powiedziałem uparcie. Staś westchnął, potarł czoło.

– Dobrze, może nie do końca. Może to mieszanka mechaniki, elektroniki i żywych tkanek... Nieważne. Jak sądzisz, Tikkireyu, czy to rozsądne: ryzykować życie dla uratowania... powiedzmy – ukochanego psa?

– Nierozsądne.

– To dlaczego zgodziłeś się wyruszyć na Nowy Kuwejt? Lion drgnął i popatrzył na mnie.

– Szczerze? Żeby Lion mógł się tam dostać.

– A po co to Lionowi?

– Przecież tam są moi rodzice! – rzucił się Lion. – Jak to? Więc można dostać się na Nowy Kuwejt? Przecież jest odizolowany, prawda?

Staś odpowiedział, starannie dobierając słowa:

– Lionie, rozumiem twój niepokój i tęsknotę za rodzicami. Ale wierz mi – na podbitych przez Szron planetach nie dochodzi do masowych aresztowań, likwidacji ludności, czy choćby represji...

– To czego mamy się bać? – odpowiedział pytaniem Lion. A ja dodałem:

– Stasiu, wyobraź sobie, że masz trzynaście lat. A twoi rodzice są na innej planecie... i nagle masz możliwość dostać się na nią...

„Dunaj” niespiesznie krążył po ulicach, automatyka prowadziła go po tych najmniej zakorkowanych. Za przednią szybą przepływały zalane światłem budynki, eleganckie biura, estakady... Na tym tle twarz Stasia była dziwnie łagodna.

– Większość fągów w ogóle nie ma rodziców, Tikkireyu, ale ja miałem ojca. Zaginął w trakcie wykonywania misji na... na pewnej małej planecie. Miałem wówczas jedenaście lat, ale już wtedy mogłbym porwać statek i spróbować uratować ojca. Ponieważ jednak doskonale wiedziałem, że nie mam żadnych szans, pozostałem na Avalonie i kontynuowałem naukę.

Zamilkł na chwilę i dodał:

– Być może pomyślisz, że go nie kochałem. Ale to nieprawda.

– Nie pomyślałem tak – nagle poczułem ucisk w gardle. – Ale przecież sam mówiłeś, że nasza cywilizacja jest zbyt logiczna i rozsądna, i że to niedobrze. Moi rodzice... zrobili wszystko logicznie i rozsądnie. Ich zdaniem nie było innej możliwości. A teraz już nigdy ich nie zobaczę... już ich nie ma. Nie ma. I jeśli teraz zaczniemy kierować się logiką, Lion nie zobaczy rodziców. A potem być może wybuchnie wojna i on będzie strzelał do swojego brata...

– Nie będę! – zaprotestował Lion.

– Ale twój brat robi to bez wahania! – krzyknąłem i odwróciłem się do okna.

Staś odezwał się nie od razu.

– Tikki, ja cię rozumiem i nie mam nic przeciwko temu, żeby Lion wrócił do swoich rodziców. I byłoby wspaniale, gdybyś zdołał pomóc nam na Nowym Kuwejcie...

Zamilkł.

– Więc o co chodzi? – spytałem, nie odwracając głowy.

– Nie wiem. Coś mi się tu nie podoba – odparł krótko Staś. Nacisnął jakiś guzik i szyba, do której przyciskałem nos, zjechała w dół.

Wiatr był chłodny, suchy i pachniał miastem.

– Rozruszam trochę tę kobyłę – powiedział Staś. – Nie przewieje cię?

– Nie – powiedziałem. Wiatr uderzył mnie w twarz.

Staś wysadził nas przed domem, ale nie wszedł na górę. Ucisnął nam ręce i odjechał swoim śmiesznym, niebohaterskim samochodem. Ja i Lion staliśmy przed klatką. Nie mieliśmy najmniejszej ochoty wracać do mieszkania.

– Chodź, pójdziemy do Rosiego – zaproponowałem.

– Co? – zapytał Lion i zrozumiałem, że myślami jest daleko stąd. Z mamą, tatą, bratem i siostrzyczką. Na to właśnie liczyłem. Sen, w którym przeżył całe swoje życie, będzie go jeszcze długo męczył. Ale im szybciej odzyska swoją rodzinę, tym szybciej rozwieje się jak dym.

– Muszę porozmawiać z Rosim – powiedziałem.

– Po co? – skrzywił się Lion. – Zostaw w spokoju tego zasmarkanego tchórza.

– Nic mu nie zrobię. Muszę z nim tylko porozmawiać.

Lion popatrzył na mnie nieufnie, wzruszył ramionami. Zapiął kurtkę, którą zdjął w samochodzie.

– To chodźmy...

Nie czekaliśmy na autobus, poszliśmy ulicą Tęczową w stronę centrum. Lion wsunął ręce do kieszeni i zaczął coś pogwizdywać. Doktor Goltz musi być specjalistką wysokiej klasy, skoro udało jej się tak szybko pomóc Lionowi. Sprawiał wrażenie normalnego chłopca.

Tęczowa to ulica-sypialnia, są tu jedynie domy mieszkalne i kilka małych sklepików, dla tych, którzy zapomnieli wstąpić po pracy do supermarketu. Nie zdziwiłbym się, gdyby mi ktoś powiedział, że na całej ulicy były teraz tylko dwie osoby – Lion i ja. Wkrótce jednak z naprzeciwka podjechał staruszek na wózku inwalidzkim, rzucił mi ponure spojrzenie i pokręcił głową. Pewnie uważał, że dzieci o tej porze powinny siedzieć w szkole, zajmować się czymś pożytecznym, a nie szwendać po ulicach. Przypomniałem sobie staruszkę Siemieckiego i posmutniałem.

Gdy przybyłem na Avalon, najbardziej zdumiały mnie domy. U nas, na Kopalni, domy są większe, a ściany tak cienkie jak szyby w oknach. Na Nowym Kuwejcie, gdzie niemal zawsze jest ciepło, domki też są lekkie, jednorodzinne. A tutaj te ogromne, wielomieszkaniowe budynki, z grubymi ścianami z betonu lub cegły, wyglądały pięknie i niesamowicie, jakby żywcem przeniesione ze starego filmu. Teraz już się przyzwyczaiłem i wydaje mi się, że tak właśnie powinno być: grube ściany, mocne drzwi i okna z podwójnymi szybami.

Jest tu jeszcze jedna zdumiewająca rzecz – podwórka. Na Kopalni domy stały w rzędach, jeden przy drugim, a do zabawy i wypoczynku wyznaczono specjalne place – pod kopułami jest niewiele miejsca. Na Nowym Kuwejcie przeciwnie, między domami jest bardzo dużo przestrzeni. Na Avalonie zaś każdy dom ma swój plac z drzewami, zjeżdżalnią i karuzelami dla maluchów, altankami i ozdobnymi oczkami wodnymi. Przeszliśmy przez kolejne podwórko i wyszliśmy na aleję wysadzoną kasztanami. Szkoda, że była zima. Szkoda, że wiosną będę na Nowym Kuwejcie i nie zobaczę jak kwitną...

Szkoda.

– Kupimy coś do picia? – zapytał Lion, gdy mijaliśmy mały sklepik.

– Dobra. Czekał na coś.

– A... – zrozumiałem i wygarnąłem z kieszeni drobniaki. – Trzymaj. Szliśmy, pijąc gorącą kawę z kubeczków. Minęliśmy centrum rozrywki ze zwykłymi kinami, z wirtualną rzeczywistością, parkiem

wodnym i salami sportowymi... Byłem tutaj raz i bardzo mi się podobało.

– Tutaj jest nie gorzej niż na Nowym Kuwejcie – powiedział Lion i szybko się poprawił:

– Co ja mówię, tu jest znacznie ładniej... Tikkireyu, chcesz tam pojechać tylko z mojego powodu?

– Nie.

– A dlaczego?

Zawahałem się. Przecież idziemy ulicą i nikt nas tu nie usłyszy... Akurat. Skąd ta pewność? Jeśli zechcą nas podsłuchać, to przykleją do mojego ubrania niewidoczny mikrofon-pyłek, wyłapią rozmowę zwykłym mikrofonem kierunkowym z przejeżdżającego samochodu, odczytają słowa z ruchu warg za pomocą nisko lecącego satelity...

– Widzisz, Lion, nudzi mi się tutaj. Co ja mam tu robić? Będę jak głupi pracował w laboratorium albo kończył studia? A na Nowym Kuwejcie można pomóc fagom. Może zdołam ich przekonać, że nadają się na faga?

Lion popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Chcesz zostać fagiem?

– No pewnie!

Zamyślił się – na ułamek sekundy obudził się w nim dorosły facet, który zdążył walczyć, ożenić się i umrzeć. W końcu westchnął ciężko:

– Nie wezmą cię. Wszyscy fagowie przeszli modyfikacje genetyczne. Zwykły człowiek nie może być fagiem.

– To wszystko bzdury – powiedziałem z przekonaniem. – No to co, że nie zostałem przez nich zmodyfikowany? Założymy się, że radiację wytrzymuję lepiej od faga? I jeszcze inne rzeczy... Może będzie im potrzebny agent pracujący na radioaktywnych planetach.

Lion przyznał, że faktycznie taki agent mógłby być przydatny. Podobnie jak specjalny agent działający w warunkach niskiej grawitacji.

– Musimy zrobić coś naprawdę ważnego – powiedział. – Nie możemy się tylko rozglądać, musimy jeszcze... – zawahał się, ale mimo wszystko dodał – dowiedzieć się, jak rozkodować ludzi.

Szliśmy do Rosiego, marząc o różnych głupstwach. Skończyły się osiedla wieżowców, zaczęły się domki jednorodzinne. Na Avalonie wszyscy zamożni obywatele mieszkali w domkach.

– Nie wejść do środka – powiedział Lion, gdy podeszliśmy do otaczającego mały ogród żywopłotu. Wszystkie drzewa były tu wiecznie zielone i nawet teraz, przyprószone śniegiem, wyglądały pięknie i odświeżająco.

– Dobra, zaraz wracam.

Furtka nie była zamknięta, wszedłem do ogrodu i zacząłem iść po zamrożonym piasku ścieżki w stronę domu. Obok ciągnął się wysadzany krzewami wybetonowany wjazd do garażu. Jeden krzak był lekko przygięty, otrząśnięty ze śniegu – ktoś zahaczył go samochodem.

Nie miałem pojęcia, dlaczego chcę zobaczyć Rosiego, i co mam zamiar mu powiedzieć. Po prostu czułem, że muszę z nim porozmawiać.

Każdy błąd trzeba wybaczyć. Być może nie należy wybaczać, gdy zdarzyło się coś nieodwracalnego. Gdybym utonął... albo gdyby Lion zginął, ratując mnie.

Muszę wybaczyć. Fagowie wybaczyli mi mój błąd.

Podszedłem do domu i stanąłem jak wryty – zobaczyłem Rosiego i jego ojca.

Odsnieżali wejście do domu wielkimi, pomarańczowymi łopatami, a teraz widocznie właśnie przerwali pracę i zaczęli się wygłupiać, obrzucając się śniegiem. Rosi, sapiąc i machając łopatą jak koparka łyżką, sypał na ojca śnieżnym pyłem. William, sapiąc dokładnie tak samo, uchylał się ze śmiechem, od czasu do czasu rzucając śniegiem w Rosiego. Gdy rozochocony Rosi zaczął sypać śniegiem na wszystkie strony, William podszedł do niego z boku, złapał pod pachy i wrzucił w zaspę. Śmiejąc się i próbując wydostać z zasy, Rosi krzyczał”.

– To nieuczciwe! Cofnąłem się o krok.

– Jeden – zero – ogłosił wesoło William.

Okazało się, że nie tylko lubił sobie wypić i przesiadywać całymi dniami na różnych spektaklach czy w salonach literackich. Okazało się, że lubił się bawić ze swoimi dziećmi...

Rosi z bojowym okrzykiem rzucił się na ojca i przewrócił go w zaspę – chyba William specjalnie się poddał – i zaczął obsypywać go śniegiem, wołając:

– Poddajesz się? Poddajesz się? Cofnąłem się jeszcze bardziej.

Czego chciałem? Żeby Rosi zadreślał się i gryzł, siedząc zamknięty w swoim pokoju? Żeby rodzice przestali z nim rozmawiać, pozbawili go deserów i nie wypuszczali na dwór? Tego chciałem? Żebym mógł przyjść i powiedzieć: „Wszystko w porządku, wcale się nie gniewam, różnie w życiu bywa...”

Nie.

A może jednak tego?

– Poddaję się! – wykrzyknął William. Uniósł głowę i zamarł – zobaczył mnie. Ja też znieruchomiałem. Uciekać? Za późno... Po chwili William odwrócił wzrok i jakby nigdy nie powiedział:

– Rosi, przypominam ci, że obiecałeś pomóc mamie.

– Ale... – Rosi wstał, rozcierając czerwone dłonie. – Jeszcze nie sprzątnęliśmy wszystkiego...

– Rosi – William też się podniósł, otrzepał syna ze śniegu. – Po pierwsze, obiecałeś. Po drugie, zaraz zamarzniesz. Sam posprzątam resztę.

Rosi nie spierał się dłużej i niechętnie poszedł w stronę domu. Nie obejrzał się i nie zauważył mnie. Stałem i czekałem. William podszedł do mnie:

– Dzień dobry, Tikkireyu.

– Dzień dobry, Williamie.

William skinął głową, w zadumie pocierając policzek.

– Tak... oczywiście. Dobry... Odesłałem na razie Rosiego... nie masz nic przeciwko?

Wzruszyłem ramionami.

– Chodźmy – położył na moim ramieniu ciężką rękę. Doszliśmy do małej altanki i usiedliśmy w środku. Ławki były ciepłe, siedziało się przyjemnie.

– Tak nieładnie... tak niedobrze to wszystko wyszło... – William pokręcił głową. W zadumie wyciągnął z kieszeni papierośnicę, wyjął cienką cygaretkę, zapalił. – Wiesz, Tikkireyu, byłem przekonany, że poświęcam wychowaniu dzieci wystarczająco dużo czasu...

– Niech się pan nie martwi – powiedziałem, – Rosi się po prostu przestraszył. To się zdarza. To naprawdę straszne uczucie, gdy lód nagle pęka.

William pokręcił głową.



– Nie, Tikkireyu, nie pocieszaj mnie. To wyłącznie moja wina. Za bardzo odsunąłem się od dzieci. Za bardzo pochłonęła mnie praca, życie bohemy... Brak odpowiedzialności społecznej – oto bolączka naszej planety. Zbyt dobrze nam się żyje!

Własna przemowa wciągała go coraz bardziej, jakby pisał artykuł, który właśnie zaczynał mu się podobać.

– Nie chodzi nawet o to, że Rossi i Rosi są źle wychowani. Przyznaję, że częściowo przerzuciłem wychowanie na szkołę. Sądziłem, że literatura, teatr, telewizja, zaszczepią im właściwą postawę życiową. Ale przegapiłem rzecz najważniejszą. Brak im emocjonalnego ciepła, poczucia miłości i ochrony. Stąd ten wstydlivy przejaw tchórzostwa, ta duchowa czerstwość...

William zirytowany machnął ręką i słupek popiołu spadł na przyprószoną śniegiem podłogę altanki.

– Ależ nic się nie stało – zaprotestowałem niezręcznie. – Rosi popełnił błąd... ale on wszystko rozumie...

– Dziękuję – powiedział William, mocno, po męsku ściskając moją dłoń. – Jesteś odpowiedzialnym i dobrym młodzieńcem. Długo zastanawiałem się nad tym, co się wydarzyło nad jeziorem. Rosi też bardzo to przeżywał... dosłownie kilka minut temu trochę mu odpuściło, rozweselił się...

Skinąłem głową.

– Teraz mam przed sobą ważne zadanie – ciągnął William. – Dokonać korekty zachowania dzieci, pokonać tendencje negatywne... Nie wywołując przy tym traum, nie budząc reakcji nastoletniego protestu... Dlatego chciałbym prosić cię o pomoc.

– Właśnie po to przyszedłem...

– Tikkireyu, chcę zaproponować ci pewną rzecz, być może dziwną i zaskakującą. – William nabrał powietrza. – Proszę, wysłuchaj mnie i nie przerywaj.

Znowu skinąłem głową. William objął mnie ramieniem.

– Będąc rówieśnikiem moich dzieci, jesteś od nich znacznie doroślejszy – powiedział William. – To, co się stało... tragedia twoich rodziców, ta straszna historia na Nowym Kuwejcie... Ewakuowano cię w ostatniej chwili, prawda? Nie musisz nic mówić, dzieci mi opowiadały. I twój stosunek do przyjaciela, troska o niego... podobno wrócił do zdrowia?

Tym razem czekał na odpowiedź i ja skinąłem głową. Szary słupek popiołu na śniegu rozpadł się szybko.

– To dobrze – pokiwał William. – Tikkireyu, myślę, że pewnie jest ci ciężko tak żyć samemu.

– Nie jestem sam – przerwałem mu. – Mieszkam z Lionem. Fagowie nam pomagają...

William z szacunkiem pokiwał głową. Na Avalonie nikt nie drwił z fagów – szczególnie w Port Lanc, gdzie cały system ekonomiczny był nastawiony na ich obsługę.

– Rozumiem. Ale to niedobrze, by dwoje dzieci mieszkało bez dorosłych. Mimo wszystko nie jesteś jeszcze ukształtowaną osobowością i takie życie może się na was źle odbić. Dlatego chciałbym zaproponować... żebyście ty i Lion przenieśli się do nas.

Tego się nie spodziewałem. Podniosłem głowę i popatrzyłem na Williama. Był bardzo poważny.

– Oczywiście, nie mówię tu o adopcji, jesteście dużymi chłopcami – kontynuował William – ale chcemy załatwić oficjalną opiekę, pomóc wam w zdobyciu wykształcenia, w zajęciu odpowiedniego miejsca w społeczeństwie. No i będziecie mieli więcej czasu na dziecięce psoty, prawda? –

uśmiechnął się.

– Po co to panu?

– Będę szczery – powiedział William. Wypuścił kłęb dymu, rzucił cygaretkę. – Po pierwsze, z powodu poczucia winy. Uważam, że muszę odkupić winę, w tym również swoją. Po drugie, to będzie dobry uczynek. A na czym opiera się nasz świat, jeśli nie na dobroci i zrozumieniu? Po trzecie, i być może najważniejsze, wasz przykład pomoże Rosiemu i Rossi stać się prawdziwymi ludźmi. Rozmawiałem już z dziećmi i żoną, bardzo się cieszą. Co ty na to?

Czekał. Pachniało od niego tytoniem i jakąś drogą wodą kolońską.

– O tym, co dzięki temu zyskacie ty i Lion, chyba nie muszę wspominać, prawda?

Tata nigdy nie palił. To droga przyjemność, potrzebne jest... było... specjalne pozwolenie...

– Dziękuję – powiedziałem. – Ale...

– Wiem, Tikkireyu, że przywykłeś traktować mnie z przymrużeniem oka – przerwał mi William. – Moja maniera prowadzenia rozmowy, sposób wysławiania się i zachowania... mam rację? Ale wierz mi, to tylko konsekwencja specyficznej pracy. Nie jestem aż takim złym człowiekiem, jak można by pomyśleć.

– Nie uważam, że jest pan zły – powiedziałem szybko. – Czasem to zabawne... to znaczy...

Zaplątałem się i zamilkłem. William czekał cierpliwie.

– Widzi pan... Dziękuję, ale nie – pokręciłem głową. – Chodzi o to... Spytałem, po co chce pan nas wziąć do siebie... A pan odpowiedział.

– Nie spodobało ci się coś w tej odpowiedzi? – zdumiał się William.

– Wszystko, co pan powiedział, było słuszne. Rzecz w tym, że nie powinien był pan odpowiadać.

– Wyjaśnij mi, Tikkireyu – poprosił William, marszcząc brwi.

– Gdy ludzie chcą sobie pomóc, albo gdy się przyjaźnią... to wychodzi samo z siebie. Nie robią tego dlatego, że muszą odkupić winę, czy chcą zrobić dobry uczynek. Nie potrzebują wyjaśnień. To jak moralność i prawo, rozumie pan? Prawa się tworzy, żeby zmusić ludzi, by coś robili lub czegoś nie robili. Nawet, jeśli prawa są dobre, oznaczają, że ludzie sami z siebie nie chcą żyć zgodnie z nimi. A pan szuka wyjaśnień, zastanawia się, czemu przyjmuje nas do rodziny. I twierdzi pan, że nasz przykład nauczy Rosiego i Rossi dobroci i odwagi.

– Sam to wymyśliłeś?

– Nie – przyznałem się. – Pewien mój przyjaciel powiedział, że prawo to proteza dla moralności i że odczyliśmy się myśleć sercem i myślimy wyłącznie głową. I jeszcze próbujemy to usprawiedliwić, mówimy, że serce nie umie myśleć, tylko czuć. Ale to nie tak. Serce też myśli, tylko inaczej.

– Wiele osób jest zdania, że serce umie jedynie pompować krew... – mruknął William. Zgarbił się, uszła z niego cała pompatyczność. – Zapewne twój przyjaciel ma rację, Tikkireyu... Ma rację. Wiesz, my przez cały czas próbujemy doszukać się nowego sensu w starych sztukach? Nowa interpretacja „Romea i Julii”... reinterpretacja „Otella”... Wszystko powinno być w nich logiczne. Każdy czyn. I samobójstwo Romea, i wściekłość Otella...

Sięgnął po papierośnicę, ale szybko ją schował.

– Tikkireyu, czy nie sądzisz, że ja po prostu szukam usprawiedliwienia? Usprawiedliwienia dla pragnienia pomocy tobie i Lionowi?

Pokręciłem głową.

– Nie. Przepraszam, ale tak nie sędę.

William siedział, wpatrzony w jakiś punkt przed sobą.

– Na pewno wam się uda – odezwałem się. – Świetnie się pan dzisiaj bawił z Rosim.

Wzruszył ramionami i burknął:

– Taak... Najpierw przemyślałem, jak to należy zrobić, a potem odegrałem wygłupy z własnym synem. Widocznie moje serce też jest tylko pompą...

– Proszę nie mieć do mnie żalu... Poza tym, chodzi też o to, że wylatujemy z Avalonu... – powiedziałem.

William skinął głową.

– No i czemu ze mnie taki niezgraba? Wszystko zepsułem...

– Przykro mi. Pójdę już, dobrze?

– Oczywiście, Tikkireyu.

– Jeśli... Jak wrócę... Zajrzę do was, dobrze? William skinął głową.

Wyszedłem z ogrodu i zobaczyłem znudzonego Liona, rzucającego śnieżkami w furtkę. Nieźle mu szło – cała furtka oblepiona była śniegiem.

– Pogadaliście sobie?

– Tak.

– No i co?

– No i nic – wzruszyłem ramionami. – Słuchaj, czemu zawsze wszystko tak źle wychodzi?

– Jak wychodzi dobrze, nie zauważamy tego – odparł Lion. Poszliśmy do domu.

## Rozdział 5

W promieniach zachodzącego słońca Agrabad, stolica Nowego Kuwejtu, były ciche i spokojny. Po niebie sunęły flaery, połyskiwała biało-niebieska mozaika wież. Leżałem wsparty na łokciach i patrzyłem na stolicę Nowego Kuwejtu przez elektroniczną lornetkę. Widziałem nawet figurki ludzi i samochody na ulicach.

– Wygląda na to, że panuje spokój – powiedziałem. Odwróciłem czapkę daszkiem do tyłu, żeby nie spiekło mi karku. – Idziemy?

Lion siedział w kucki obok mnie i żuł źdźbło trawy. Wzruszył ramionami i powiedział:

– Spróbujmy.

Wstałem, otrzepałem ubrudzone ziemią rękawy koszuli. Zaczęliśmy schodzić w stronę drogi. Łagodne zbocze opadało od lasu (gdzie wczoraj wieczorem wysadził nas statek fagów) do jednej z biegnących od kosmodromu szos.

Teraz szosa była pusta – na Nowy Kuwejt nie przylatywały statki. Blokada...

– Moi rodzice chcieli się przenieść do stolicy – powiedział Lion. – Jeśli im się nie udało, poszukamy gdzie indziej.

– Oczywiście – obiecałem.

Dwóch starannie ubranych nastolatków idzie sobie poboczem. Nic niezwykłego, prawda? Przecież mogą iść na piechotę, nie?

Pierwszy samochód, jadący w stronę miasta, na nasz widok zwolnił, ale nie zatrzymał się. Dwóch mężczyzn patrzyło na nas obojętnie z tylnego siedzenia, kierowca wpatrywał się w drogę. Potem samochód przyspieszył i pomknął przed siebie.

– Wiesz co? Zaczniemy łapać okazję – zaproponował Lion. – Coś mi się tu nie podoba.

– Mnie też.

Od czasu, gdy zaleźliśmy się na Nowym Kuwejcie, zgadzaliśmy się we wszystkim, jakbyśmy się bali samej możliwości kłótni.

Jakby nie patrzeć, byliśmy wśród wrogów – na terytorium Szronu.

Przejechały jeszcze trzy samochody, ale żaden się nie zatrzymał, chociaż machaliśmy ze wszystkich sił. Nikt nawet nie próbował się nam przyjrzeć.

– Jakby o nas wiedzieli – zasugerował Lion.

– Pomyślałem to samo. Może zejdziemy z drogi?

– Dobry pomysł. Nie zdążyliśmy.

Flaer leciał na takiej wysokości, że nie zwracaliśmy na niego uwagi aż do chwili, gdy zaczął lądować – dziesięć metrów przed nami. Podczas lądowania, pilot włączył dopalanie i uderzyła nas fala powietrza.

– Po prostu idziemy do miasta – wyszeptałem. – Na luzie...

Z flaera wyskoczyły cztery osoby, trzech mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy młodzi i bardzo poważni.

– Cześć, chłopcy – odezwała się kobieta, obrzucając nas czujnym spojrzeniem.

– Dzień dobry – powiedziałem. Lion też burknął coś w tym rodzaju.

– Czemu nie jesteście w szkole? – spytała kobieta.

Cała czwórka podeszła bliżej. Niby się nie bali, ale jednocześnie trzymali się jakby z boku. Podejrzewają nas o coś?

– No... – zerknąłem na Liona. – Puścili nas już, bo lekcje się skończyły...

Popatrzyli na siebie z takim zdumieniem, jakbym powiedział jakąś niewiarygodną bzdurę.

– Coś mi tu nie gra – zastanawiała się na głos kobieta. – Dziwne... Dobrze, wsiadajcie do flaera.

Jeden z jej towarzyszy zrobił krok do przodu i podniósł rękę z zaciśniętym w niej przyrządem. Skierował go najpierw na mnie, a potem na Liona. Przyrząd wydał świszczący dźwięk.

– Na ziemię, ręce za głowę! – krzyknęła kobieta.

Mężczyźni wyjęli broń – małe pistoleciki, które chowali w kieszeniach.

– Stać! – Lion przyklęknął na jedno kolano, celując do nich ze swojego pistoletu. Był szybszy.

Kobieta skoczyła na niego, próbując go przewrócić. W ostatniej chwili zdążyłem wyrzucić do przodu rękę – i bicz, który wyskoczył niczym giętka, srebrzysta taśma, smagnął kobietę. Upadła.

Któryś z mężczyzn wyjął jednak pistolet. Lion zaczął strzelać – niegłośne trzaski zlały się w jedną serię i cała trójka przewróciła się na drogę. Kobieta leżała bez ruchu, tylko patrzyła na nas z nienawiścią.

I wtedy zobaczyłem, że pikuje jeszcze jeden flaer!

– Lion, uciekamy! – krzyknąłem, łapiąc go za ramię. – Chodu! Lion kilka razy strzelił w powietrze – jakby miał nadzieję, że uda mu się zestrzelić flaer z pistoletu szokowego – i zaczęliśmy biec. Najszybciej jak mogliśmy.

I nagle coś ciężkiego i gorącego uderzyło mnie w plecy. W brzuchu mi zabulgotało, do gardła podeszła słona gula. Nogi mi się rozjechały, upadłem na kolana i wyciągnąłem się na gorącym betonie. Policzek przejechał po chropowatej powierzchni i eksplodował bólem. Serce waliło coraz mocniej i szybciej, koszula nasiąkała krwią. Ostatkiem sił odwróciłem głowę i zobaczyłem w rękach kobiety blaster.

Potem zapadła ciemność.

– No i jak? – zapytał Ramon.

Przede wszystkim popatrzyłem na swój brzuch. Dotknąłem policzka. Potem wyjąłem kabel z gniazda i wstałem z fotela.

W sąsiednim fotelu kręcił się Lion. Popatrzył na mnie posepnie i powiedział:

– A mnie rozwalilo nogi...

Niewielki, ciemny pokój (zasłonięte okna, łagodne światło lamp), w którym siedzieliśmy, nazywano wirtualną klasą. Pewnie fagowie też mieli tu zajęcia – stało tu jeszcze pięć foteli z terminalami wirtualnymi, teraz pustymi. Byłem tylko ja, Lion i Ramon w fotelu wykładowcy. Nie wiedziałem, czy kierował którymś z naszych wrogów, czy walczyliśmy z programem, i wołałem nie pytać.

– Jaki błąd popełniliście? – zapytał Ramon.

– Niepotrzebnie poszliśmy drogą – rzekł Lion. Ramon wzruszył ramionami.

– Co za różnica, gdzie by was złapali?

– Niepotrzebnie braliśmy broń – domyśliłem się. – Nie można walczyć we dwójkę przeciwko całej armii.

Ramon skinął głową:

– Ciepłej, ciepłej... Chcę, żebyście zrozumieli jedno – wariant kontroli totalitarnej jest wprawdzie najmniej prawdopodobny, ale za to najbardziej niebezpieczny.

– Mnie się bardziej nie podobała anarchia – nie zgodził się Lion.

– Też nieprzyjemne – przyznał Ramon. – Ale wniosek pozostaje bez zmian – żadnych działań siłowych. Broń wam nie pomoże. Nie jesteście fagami ani komandosami imperialnymi. Jesteście obserwatorami. Dwójką dzieci, na które nie podziałał program kodujący. Przestraszyliście się, ukryliście w lesie i tam przesiedzieliście ponad miesiąc. Zabłądziliście, chodziliście w kółko, w końcu wyszliście do miasta. Nie możecie bać się policji! Przeciwnie, powinniście podbiec do policjantów z okrzykiem radości, rzucić się na szyję pierwszemu napotkanemu człowiekowi, szlochać i prosić o jedzenie!

Lion nadał się. Ta opcja wcale mu się nie podobała.

– Gdybyśmy choć w przybliżeniu orientowali się, co się dzieje na Nowym Kuwejcie... – Ramon mówił spokojnie, niczym nauczyciel, który nagle zdecydował się opowiedzieć uczniom o nieodgadnionych zagadkach wszechświata. – Ale nie wiemy. Wiemy tylko, czego być nie powinno: obozów koncentracyjnych, masowych zabójstw... Chociaż pięć, dziesięć czy dwadzieścia procent ludności nie stało się zombi. Nic takiego tam nie ma, ale i tak nie możemy tracić czujności. Nie możemy też wykluczyć, że na planetach Federacji Szronu wprowadzono stan wojenny, albo coś w tym stylu; że dorośli pracują po osiem czy nawet dwanaście godzin, a dzieci równie długo się uczą, szykując się do nieuchronnej wojny. Dlatego nie możecie udawać, że jesteście zwykłymi dziećmi Nowego Kuwejtu! Jesteście dokładnie tym, kim jesteście! Lion z wolnej stacji Obsługa-7 i Tikkirey z Kopalni. Tylko nikt nie zabierał was z planety. Chowaliście się w lesie, przerażeni tym powszechnym snem. Jasne?

Lion sapnął i powiedział niechętnie:

– Jasne. A jak będziemy wyglądać po miesiącu życia w lesie? Ramon uśmiechnął się:

– Zaraz zobaczycie.

Wydał polecenie przez gniazdo i nad jego stołem pojawił się ekran, a na nim ja i Lion – tacy, jak w wirtualnej rzeczywistości. Lion w nowiutkim džinsowym komplecie i adidasach, ja w jasnych spodniach, koszuli i czapce z daszkiem.

– Nie przypominacie skautów mimo woli – przyznał Ramon. – Ale jeśli zrobimy tak...

Sekundę później obraz uległ zmianie.

To musiały być te same jasne spodnie, tylko teraz postrzępione, szare z brudu i oberwane pod kolanami. Czapki nie miałem, zamiast koszuli – rozdarty podkoszulek. Lion miał džinsową kurtkę, też postrzępioną i porwaną na rękawach, koszula znikła zupełnie, džinsy były poplamione i przetarte. Mnie zostały na nogach rozdeptane sandały, Lion był na bosaka. Obaj byliśmy mocno opaleni, podrapani i wychudzeni. Szczególnie było to widać po mnie – Lion i tak był szczupły i smagły.

– Cudownie – skomentował Ramon. – Prawda, jak ładnie? Nasze podobizny powoli wirowały w powietrzu. Lion miał jeszcze dziurę w spodniach, a ja ślad spalenizny na koszulce.

– Muszę schudnąć – zauważyłem.

– Niewiele – uspokoił mnie Ramon. – Najwyżej dwa kilogramy... Sauna i głodówka w czasie lotu załatwią sprawę... Myślę, że łowiliście ryby i zrywaliście orzechy. Lasy na Nowym Kuwejcie o tej porze roku obfitują w orzechy.

– A bicz? – spytałem.

Moja podobizna powiększyła się. Ramon wskazał palcem pasek w spodniach.

– Oto on. Jeden z wariantów tajnego noszenia. Ty, Lionie, będziesz miał scyzoryk...

Lion wydał wargi.

– I wędkę – pocieszył go Ramon. – Spinning z ultradźwiękową błyską. Tym właśnie łowiliście ryby.

– Nie będziemy już testować innych wariantów? – spytałem.

– Nie. Żadnych dodatkowych prób. Wieczorem przygotujemy program dla symulatora i noc spędzicie w wirtualnej rzeczywistości.

Ja i Lion popatrzyliśmy na siebie.

– Musimy się śpieszyć – wyjaśnił spokojnie Ramon. – Jutro wyślą was na Nowy Kuwejt. Najdogodniejszy moment – na planetę przybywa osobisty inspektor Imperatora, uwaga wszystkich służb będzie skupiona na nim. Umieszczą was w niewykrywalnej kapsule i zrzucą z niewielkiego statku, lecącego w eskorcie inspektora. To absolutnie bezpieczne, nie ma się czego bać.

– Nie zauważą nas? – zdumiał się Lion. – To przecież tuż obok kosmodromu, tam jest pełno stacji obserwacyjnych!

– Niewykrywalna kapsuła nie może zostać namierzona przez żaden ze znanych lokatorów.

– Ramonie – włączyłem się do rozmowy – czy Obcy opuścili Nowy Kuwejt?

Przez te dwa dni, gdy Ramon przygotowywał nas do desantu, trochę się zaprzyjaźniliśmy – ale tylko trochę. I ciągle czułem się niezręcznie, zadając ważne pytania.

– Część wyleciała – Ramon skinął głową. – Pytaliśmy ich... bo o to chciałeś zapytać, tak?

– Tak.

– Ich zdaniem na planecie nic się nie stało. Absolutnie nic. Rzecz w tym, Tikkireyu, że ustrój społeczny Czygu, niziołków, Brownie, czy Tajnów bardzo różni się od naszego. Przebywając na planecie Czygu, jedynie dziesięciu naszych specjalistów mogłoby dostrzec, że następuje zmiana dynastii genetycznej. Podobnie ma się rzecz z przeciętnymi Obcymi. Dyplomaci, handlowcy, turyści... a nawet szpiedzy nie dostrzegą od razu takich subtelności, jak powstawanie aliansów wewnątrz Imperium.

Ramon popatrzył na zegarek – nie wiem po co, skoro fagowie mają doskonałe wyczucie czasu.

– Przerwa aż do wieczora, chłopaki – oznajmił. – Do... do dwunastej zero zero. O dwunastej czekam na was tutaj. Zjedzcie coś, odprężcie się... Po prostu miło spędźcie czas.

– Tak jest – burknąłem, wstając i przeciągając się. Wprawdzie fotel był miękki, nawet z wibromasażem, ale przez te pięć godzin nieco zdrętwiałem. Dzisiaj przerobiliśmy siedem wariantów przeniknięcia na Nowy Kuwejt i za każdym razem nasza wyprawa kończyła się fiaskiem. Trzy razy nas zabili, cztery razy schwytali i wsadzili do więzienia.

Wyszliśmy na korytarz. Ramon został w klasie, miał tam coś jeszcze do zrobienia.

– To nieuczciwe – palnął Lion, gdy zamknęły się za nami drzwi. – Po prostu chcą nas przekonać, że nie warto się ciskać. Gdyby nam tylko pozwolili, dalibyśmy tamtym popalić! Raz, dwa, seria plazmowa! I po zawodach!

– Chciałbyś? – spytałem. – Chciałbyś dać „tamtym” popalić? Lion zamyślił się i pokręcił głową. Przestał się stawiać.

– Nie. To byłaby głupota.

– No to co się rzucasz? Niech będzie tak, jak postanowili. Przecież fagowie chcą dla nas jak najlepiej.

Wirtualna klasa mieściła się na zwykłym piętrze, nie takim zakamufLOWANYM jak sala rady fagów. Na korytarzu były nawet okna z widokiem na miasto. Przed windą, gdzie w przezroczystej kabince nudził się ochroniarz, na parapecie siedział chłopiec, trochę od nas młodszy. Żuł gumę i gapił się w okno, jakby zobaczył tam coś interesującego.

Gdy wezwaliśmy windę, chłopiec od razu zeskoczył, podszedł i wsiadł do windy razem nami. Nie umawiając się, Ja i Lion odsunęliśmy się trochę i staliśmy teraz naprzeciwko chłopaka.

Wyglądał dziwnie. Po pierwsze, był bardzo chudy; nawet szczupły Lion wydawał się przy nim napakowany. Po drugie, chociaż jego jasne włosy były bardzo krótko obcięte, twarz miał ładną i delikatną jak dziewczyna. Ale balony z gumy robił jak chłopak.

– Jesteś chłopakiem czy dziewczyną? – walnął prosto z mostu Lion. Szturchnąłem Liona i syknąłem:

– Głupi! To fag!

– No to co, że fag – uparł się Lion. – Ciekaw jestem czy chłopak, czy dziewczyna.

Wyglądało na to, że Lion dąży do konfrontacji z małoletnim fagiem. Nie wiem po co, skoro i tak wiadomo, że fag jest silniejszy. Ale do bójki nie doszło.

– Kobiety nie mogą być fagami – rzekł mały fag, wyjmując gumę. Głos też miał cienki, dziewczęcy. – Fag nie może leżeć w anabiozie w czasie lotu. Jasne?

– Jasne – nadął się Lion.

– Mamy półtorej minuty – zauważył spokojnie fag. – Zamroziliśmy detektory tej kabiny i obniżyliśmy jej prędkość do minimum.

– Jacy „my”? – odezwał się znowu Lion. Szturchnąłem go, żeby się wreszcie przymknął.

– Przyszli fagowie – wyjaśnił uprzejmie chłopiec.

– Dużo was tu jest?

– To nieważne. Chłopcy, kiedy wysyłają was na Nowy Kuwejt?

– To też nieważne – odparłem, kopiąc Liona w kostkę. – Skąd mamy wiedzieć, kim jesteś i czego chcesz?

– Chcę dać wam radę – rzekł fag. – Nie zgadzajcie się na wylot.

– Dlaczego?

– Bo to niebezpieczne. Nie jesteście przygotowani do takiego zadania.

– Jeśli zrezygnujemy, wtedy wyślą kogoś z was? – chyba trafiłem w sedno, bo mały fag zamrugał oczami i zastygł. – A tak w ogóle, to nigdzie nie lecimy, nic nie wiemy, a Nowy Kuwejt znamy tylko ze słyszenia – podsumowałem w natchnieniu. – Jeśli chcesz się pobawić w szpiegów, idź do Ramona.

– Głupole – wzruszył ramionami fag. – Jak sobie chcecie.

– Śmiało, śmiało! Idź, pobaw się lalkami! – poradził mu złośliwie Lion.

Ja bym nie wytrzymał i rzucił się na Liona, ale fag tylko się skrzywił. Winda stanęła i chłopiec bez słowa wyszedł w absolutną ciemność – kabina zatrzymała się nie na parterze, tylko – jeśli wierzyć napisowi nad drzwiami – między pierwszym a drugim piętrem. Wydawało mi się, że w ciemności był ktoś jeszcze.



– Ale cwaniaki – powiedział z zachwytem Lion, gdy drzwi windy zasunęły się i znowu ruszyliśmy w dół. – Zrozumiałeś?

– Nic nie rozumiałem.

– Daj spokój, przecież to jasne!

Wreszcie zjechaliśmy na parter i wysiedliśmy. W westybulu było sporo ludzi, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Lion wziął mnie za ramię i szepnął na ucho:

– Przecież tu jest całe mnóstwo chłopaków, których szkolą na fagów. Pewnie też chcieliby przeżyć jakąś przygodę... A tu coś takiego! Nas wysyłają na wrogą planetę, a oni siedzą przy wirtualnych symulatorach, uczą się i trenują mięśnie. Pewnie nam zazdroszczą...

– Niepotrzebnie go zaczepiałeś – mruknąłem. – Rozmazałby cię po ścianie cienką warstwą, musiałbym cię potem zeskrobywać żyłką.

– Przecież to kompletny zdechlak!

– No to co? Ale fag. Może uczą go walki od dnia narodzin.

– Jasne, walki na pieluchy – burknął Lion, ale umilkł.

– Dalej coś mi się tu nie podoba – przyznałem się.

– Może powiem Ramonowi? Pokręciłem głową.

– To już lepiej Stasiowi. A może w ogóle nie warto o tym mówić?

Mogliśmy zjeść obiad w kawiarni fagów (zwłaszcza, że tam wszystko jest za darmo), ale postanowiliśmy pójść do miejskiej restauracji. Tak było ciekawiej – nawet na bogatym Avalonie dzieci rzadko zaglądają do restauracji.

Kilka ulic od biura fagów mieścił się supermarket „Marks&Spencer” z ogromną restauracją na górze. Niemal wszystkie stoliki były zajęte, ale jednak udało nam się znaleźć mały stoliczek przy szklanej ścianie. Ściana była przezroczysta, o nieregularnym kształcie, niczym kopuła nakrywająca dach, z licznymi występami, na których stały stoliki. Podłoga też była przezroczysta. Daleko w dole, na ulicy Pionierów, jeździły samochody, zapalały się latarnie, po chodnikach wędrowały małe figurki ludzi. Było późne popołudnie, sypał śnieg i szybko zapadał zmierzch.

– Podoba mi się tu – odezwał się Lion.

– Mnie też.

– Nie mówię o restauracji – wyjaśnił Lion. – Tylko generalnie o planecie. Jak myślisz, pozwolą moim rodzicom tutaj przyjechać?

– Jeśli wszystko nam się uda, to pozwolą – zdecydowałem. – Przecież pomożemy fagom i w ogóle całemu Imperium. Co to dla faga załatwić dla kogoś wizę czy obywatelstwo? Bułka z masłem.

Lion skinął głową, patrząc w dół.

– To pewnie przez ten śnieg. Zawsze lubiłem czytać o zimie. Nie będziesz się śmiał?

– Z czego? Nie będę.

– Kiedyś złożyłem u nas podanie do administracji. Żeby urządzili zimę.

– I co?

– I nic. Dostałem oficjalną odpowiedź, że to niemożliwe. Że klimatyzatory nie są przystosowane, że budynki nieocieplane... Nasza stacja to był taki jakby wielki dysk. Wewnątrz dysku są różne magazyny, mechanizmy, biura, a domy mieszkalne i cała reszta stoją na górze, na powierzchni. Dysk z góry przykryty jest kopułą i dodatkowo osłonięty polem siłowym.

Zamilkł. Przypomniałem sobie nasze kopuły i też zrobiło mi się smutno.

– To tak jak za dawnych czasów – powiedziałem. – Gdy ludzie myśleli, że planeta jest płaska i przypomina dysk.

– Jak mogli tak myśleć? – zdumiał się Lion.

– Wtedy jeszcze nie latali w kosmos, a z powierzchni ciężko stwierdzić, że planeta jest kulą, no nie?

Lion pomyślał i przyznał, że faktycznie ciężko.

Przyniesiono nam jedzenie. Lion zamówił krokiety z mięsem i ostrymi przyprawami. Ja nie miałem ochoty najedzenia i wziąłem tylko sałatkę i tost. Sałatka z kurczakiem i warzywami, podana w wysokim szklanym kielichu, bardzo mi smakowała, kanapka też była dobra.

– Już jutro będziemy lecieć w hiperkanale – wyszeptał Lion. – Wyobrażasz sobie? I nikt się nawet nie domyśla, że ratujemy całe Imperium.

– Lion...

– Przecież jestem cicho...

Nad przezroczystym dachem przeleciał flaer. Wylądował na placu i od razu osłoniło go pole siłowe – przed śniegiem. Z flaera wyszła kobieta z małą dziewczynką i wsiadły do windy. Pewnie przyleciały na zakupy. Wcale ich nie interesowało, że dwóch chłopców szykuje się do lotu na Nowy Kuwejt. Nie interesowało to nikogo w całej restauracji. Ludzie przyszli tu, żeby pochodzić po sklepach, posiedzieć przy kuflu piwa, zjeść smaczną kolację, a potem spokojnie wrócić do domu. A w domu będą oglądać telewizję, bawić się z dziećmi, pływać w basenach, spędzać czas z przyjaciółmi. Komu było potrzebne to ukrywanie się przed wrogami, potajemny desant na obcych planetach, całe to nadstawianie karku? Przecież tym ludziom nic nie grozi. Jest Imperator, są fagowie, wojsko. I wiele słabo rozwiniętych planet, na których nie można swobodnie oddychać...

– Tikkireyu... – powiedział cicho Lion. – Co się stało? Milczałem. Odwróciłem się od sali i otarłem rękawem głupie łzy.

– Tikkireyu, już nie będę się popisywał – obiecał przepaszająco Lion. – Ja tylko tak... pewnie dlatego, że się boję... pewnie dlatego zacząłem małego faga i w ogóle...

– To nie przez ciebie... – wyszeptałem. – Po prostu jest mi przykro...

Chyba zrozumiał.

– Mnie też, Tikkireyu.

– Jak sobie o tym myślę... Wydaje mi się, że nie mogę się przyzwyczaić. Wszystko jest tutaj obce. Jakby fagowie pomogli mi z litości. Dlatego chciałem lecieć, Lion. Nie tylko z powodu twoich rodziców, czy głupiego bicza. Nie chcę, żeby pozwolili mi tu żyć z litości.

– No wiesz! – prychnął Lion. – To mnie pozwolili z litości! A ty pomogłeś Stasiowi! Gdyby nie ty, zabiliby go na Nowym Kuwejcie. I fagowie nie dowiedzieliby się niczego o Szronie.

Mia ację, ale mimo wszystko...

– Chcę im udowodnić – powiedziałem. – Chcę czegoś dokonać.

– Nie musisz nikomu nic udowadniać! – zawołał Lion. – Przecież to głupie. To dziecinada... O!

Uśmiechnął się i pokazał mi język.

– Dlaczego nie możesz zrozumieć... – wymamrotałem. – A moi... moi rodzice...

Zamilkłem i Lion przyszedł mi z pomocą:

– Umarli, mówiłeś. Jest mi bardzo przykro, ale czy z tego powodu masz ryzykować życiem?

– Nie wiesz wszystkiego. Oni nie umarli zwyczajnie, Lion. U nas jest tak urządzone... Każdy człowiek musi płacić za zapewnienie warunków życiowych. Taka opłata zapewnia filtrowane powietrze, wodę, ochronę przed promieniowaniem i tak dalej. Opłatę uiszcza się raz na całe życie, ale ona pokrywa tylko część wydatków. Na całą resztę trzeba zarobić. Rodzice stracili pracę i gdy zrozumieli, że nie zdołają znaleźć innej, odsprzedali swoją opłatę bytową...

– Zabili ich? – oczy Liona rozszerzyły się.

– Nie. Po prostu wyrzuciliby nas z kopuły. A na zewnątrz nie da się długo żyć. Dlatego rodzice poszli do centrum eutanazji, do Domu Pożegnań. Resztę swojej opłaty przepisali na mnie, żebym mógł dorosnąć i zdobyć pracę.

Lion zbladł.

– Tak bywa – powiedziałem. – Taką mamy planetę. Nie jest przystosowana dla ludzi, rozumiesz?

– Tikkireyu...

– Nic nie mów – znowu spojrzałem w okno. – Na ich miejscu zrobiłbym to samo. A teraz sobie myślę, że nie zdarzyło się to przypadkiem. Nie tylko po to, żebym przeżył. Muszę zrobić coś więcej. Czegoś dokonać. Na przykład pomóc fagom zwyciężyć jakąś niesprawiedliwość.

– A nie chcesz wrócić na swoją planetę i wszystkim pomóc? – zapytał Lion.

– Jak mam im pomóc? Mamy demokrację. Każdy może odlecieć z planety, jeśli mu się tam nie podoba. Sami wybieramy służbę socjalną, a urzędnicy wcale nie są złodziejami i łajdakami. Podobno warunki stale się poprawiają i może za jakieś sto lat woda i powietrze staną się bezpłatne...

Lion pokręcił głową:

– Usprawiedliwiasz ich?

– Nie. Tak po prostu wyszło. Weźmy taki Avalon. Bogata planeta, na której jest mnóstwo miejsca. Można by tu przenieść wszystkich mieszkańców Kopalni, ale nikt tego nie robi. No to co, mam się na wszystkich obrazić? Na fagów, na Imperatora, na Avalończyków?

– To po co w takim razie walczyć? Czemu fagowie uwzięli się na ten Szron? Szron przynajmniej nie robi nikomu krzywdy!

– Szron nie pozwala wybrać. Odbiera wolność.

– Myślałby kto, że na Kopalni macie wolność!

– Mamy.

– Co to za wolność!

– Głupia. Ale jednak wolność.

Poczułem jak drga mi powieka. Nie wiem dlaczego, pewnie ze zdenerwowania. Nie łatwo bronić mojej ojczyzny. Głupiej ojczyzny, która odebrała mi rodziców.

– Tikkireyu... nie gniewaj się – wymamrotał Lion. – Może nie mam racji, ale trudno mi rozumieć...

– Żeby zrozumieć, musiałbyś u nas mieszkać – powiedziałem. – Ty prosiłeś, żeby na waszej stacji urządzili prawdziwą zimę. Wyjaśnili ci, dlaczego nie można tego zrobić. Kiedyś rozmawiałem o tych sprawach ze Stasiem. Przegadaliśmy pięć godzin. Widzisz... Nie jest trudno pomóc jednemu człowiekowi, tak jak Staś pomógł mi czy tobie. Ale gdy w potrzebie znalazła się cała planeta, nawet taka mała jak Kopalnia, pojedynczy człowiek nie daje rady. Może wszystko zniszczyć,

rozwalić, urządzić rewolucję, ale to do niczego nie prowadzi. Nie da się narzucić dobra. Chodzi o to, żeby ludzie zmienili się sami i chcieli zmienić swoje życie. Chyba uczyłeś się historii? W epoce ciemnego matriarchatu ja i ty chodzilibyśmy w obrożach i kłanialibyśmy się każdej dziewczynce. I jeszcze byśmy się martwili, że jesteśmy mężczyznami. A przecież już wtedy istnieli fagowie, i też chodzili w obrożach, wyobrażasz sobie? I bronili cywilizacji. A przecież mogli urządzić rewolucję.

– Ciemny matriarchat był potrzebny – powiedział Lion. – Wszyscy tak twierdzą. Wcześniej trwały wojny i gdyby nie kobiety, ludzkość dokonałaby samozagłady. I gdy Liga Feministek przejęła władzę w Imperium Arabskim...

– Prymus – skomentowałem.

– Początkowo matriarchat był postępowy – kontynuował Lion. – Ale co to ma wspólnego z Kopalnią i waszymi porządkami? Po co one są potrzebne?

– Może się tak zdarzyć, że ludzkość będzie musiała zacisnąć pasa. Na przykład dlatego, że Obcy odbiorą nam część planet, ludzie będą musieli żyć na kiepskich planetach i zabraknie zasobów naturalnych i rezerw. Wtedy stanie się potrzebny sprawdzony socjalny mechanizm przetrwania, taki jak na Kopalni. Staś mówi, że cała historia ludzkości to „tańce na śniegu”.

– Co takiego?

– Tańce na śniegu. Ludzkość próbuje być piękna i dobra, choć nie ma ku temu żadnych podstaw. To tak, jakby baletnica próbowała tańczyć na śniegu. Śnieg jest zimny, gdzieś tam twardy i zmrożony, gdzie indziej miękki, a w niektórych miejscach można się zapaść i pokaleczyć nogi. Ale i tak trzeba się starać, próbować stać się lepszym. Na przekór naturze, na przekór wszystkiemu... W przeciwnym razie pozostanie tylko położyć się na śniegu i zamarznąć.

– No dobrze... Ja wiem, że nie wszystko na świecie jest doskonałe, ale nie wolno tworzyć eksperymentalnych planet, na których ludzie będą cierpieć!

– Nikt ich specjalnie nie tworzy – wyjaśniłem. – Pojawiają się same. To historia, Lionie. Ludzie zawsze wymyślali sobie dziwne podziały na społeczeństwa, nawet gdy żyli na jednej planecie. Zazwyczaj te społeczeństwa ginęły, ale czasem okazywały się potrzebne.

– No dobrze, ale kiedyś ludzie byli zacofani! – Lion machnął ręką. – A teraz są prawidłowe społeczeństwa. Takie jak tutaj!

– Aha. Ale na Nowym Kuwejcie jest trochę inaczej. Na Ziemi i Edenie również. Każdy mieszka tam, gdzie mu się podoba, i nie ma w tym nic złego. Ale gdyby utworzyć jedno wielkie, międzyplanetarne społeczeństwo, które rządziłoby się jednolitymi prawami, wielu ludziom by się to nie spodobało. No bo zobacz. Skoro na Avalonie wielożeństwo jest zabronione, to co ma zrobić człowiek, który jednocześnie równie mocno kocha dwie kobiety? Cierpieć przez resztę życia?

Lion zachichotał:

– Też mi problem...

– Dlatego fagów tak zaniepokoi Szron – wyjaśniłem. – Być może Federacja Szronu rzeczywiście nie chce nikomu zrobić nic złego i na ich planetach wcale nie żyje się gorzej. Ale jeśli zostanie ujednoczone całe Imperium, wcześniej czy później ono zginie.

– Oho, nasłuchałeś się Stasia...

– Oczywiście. A co, myślisz, że Staś jest głupi? Gdyby Szron nie programował ludziom mózgow, tylko zwyczajnie namawiał, żeby się do niego przyłączyć, nikt nie miałby nic przeciwko niemu.

Lion pokręcił głową, ale z mniejszą pewnością. Pewnie przypomniał sobie sny, w których walczył

o Szron.

– Chodźmy, już czas – powiedziałem. – Jedz szybko.

– Jakoś mi się odechciało. – Lion wstał, rozłożył ręce i przywarł do szklanej ściany, patrząc na sypiący śnieg. – A ja i tak chciałbym, żeby wszystkim było równie dobrze.

## Rozdział 6

Pół nocy spędziliśmy w wirtualnym symulatorze. Nie wiem, czy fagowie zastosowali taryfę ulgową i podgrywali nam, czy nie, ale tym razem wszystko skończyło się szczęśliwie. Uwierzono nam – brudnym i głodnym oberwańcom. Początkowo nas przesłuchiowano, potem zesłano do obozu koncentracyjnego, gdzie pracowaliśmy w fabryce syntezy chemicznej. Po dwóch tygodniach udało nam się dowiedzieć, że władzę na planecie przejęli Obcy – Czygu albo Brównie, którzy zaplanowali zniewolenie ludzkości. Potem połączył się z nami agent fagów. O wszystkim mu opowiedzieliśmy. Dwa dni później przyleciały statki imperialne, wysadzono desant i uwolniono nas. Nawet udało nam się trochę powalczyć – zabarykadowaliśmy się w wydziale wysokotemperaturowego prasowania i odpieraliśmy żołnierzy Szronu, polewając ich płynnym teflonem z działek ciśnieniowych.

W sumie było całkiem wesoło.

Gdy Ramon wiozł nas już do domu swoim sportowym wózkiem, po raz kolejny przypomniał nam, że nie mamy żadnych informacji o Nowym Kuwejcie i nie należy nastawiać się na jakieś koszmary. Przeciwnie, wszystko powinno być w porządku. Ale na wszelki wypadek...

Patrzyłem w okno i sennie kiwałem głową. Myślałem sobie, że to moja czwarta planeta, a drugiej nawet nie widziałem. Jak się to wszystko dziwnie składa... Może powinienem napisać list do kapitana „Klazmy” i zapytać, gdzie byliśmy? Szkoda, że nie mogę zostać prawdziwym rycerzem Avalonu. Pomaganie fagom też jest ciekawe, ale to nie to samo.

– Wyśpijcie się – poradził Ramon. – Przynajmniej spróbujcie. O dziesiątej wpadnie po was Staś i zawiezie na kosmodrom.

– A kto będzie pilotował statek? – spytałem.

– Nie Staś, on ma inne zadanie – odpowiedział Ramon po chwili milczenia. – I nie ja. To nieistotne, chłopcy. Każdy fag wykona swoją misję równie dobrze.

– Wiem o tym. Ale zawsze to fajniej, gdy obok ciebie jest przyjaciel, prawda?

Ramon wzruszył ramionami.

– Poznaję teorię Stasia. Widzisz, Tikkireyu, stosunki osobiste i emocje, to kij, który ma dwa końce. Oczywiście, że ludzie nie są robotami i wszyscy odczuwamy emocje, nawiązujemy przyjaźnie, kochamy... albo przeciwnie. Gdybyś jednak wiedział, ile nieszczęść ludzkości wiązało się z takimi właśnie „stosunkami osobistymi”!

– Jak to? Przecież pierwszy astronauta, Son Chay, na przekór wszystkiemu powrócił na Ziemię i to właśnie dlatego, że tęsknił za swoją ukochaną! A pilot „Magellana” zdołał wylądować statkiem awaryjnym, ponieważ miał rodzinę, a...

– Podajesz wyłącznie pozytywne przykłady, Tikkireyu. Z podręcznika etyki klasy piątej, prawda?

– Chyba tak... – zawahałem się.

– Oczywiście, masz rację – powiedział Ramon powoli. – W zwykłym, codziennym życiu przyjaźń, miłość i czułość, to wszystko, co rozumiemy pod pojęciem pozytywnych stosunków międzyludzkich, jest bardzo ważne. Ale wszystko ma dwie strony. Prosty przykład. Gdyby twój kolega Rosi był odważniejszy i bardziej cię lubił, rzuciłby się, żeby ci pomóc.

– Przecież nie wiedział, jak ratować tonących – próbowałem bronić Rosiego.

– Właśnie. I moglibyście obaj zginąć. W zwykłym życiu, bezpiecznym i dobrze urządzonej, im lepiej ludzie się traktują, tym lepiej im się żyje. Nawet jeśli człowiek ryzykuje własnym życiem i

skacze do wody, by uratować tonące dziecko, albo zadrećza się problemami swojego przyjaciela. To nie jest straszne. To przynosi korzyść społeczeństwu. Ale w niektórych zawodach... – Ramon nie dokończył. – Wyobraź sobie taką sytuację. Na Nowym Kuwejcie zdarzyło się coś nieprzewidzianego i grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo. Rozpoznano w tobie naszego agenta i skazano na publiczną kaźń. W tłumie stoi Staś i chciałby cię uratować. Ale nawet mimo umiejętności faga nie ma prawie żadnych szans, za to posiada bardzo ważne informacje, które musi przekazać Imperatorowi. Co się stanie?

– Staś nie zdradzi Imperium – powiedziałem. – Nie wtrąci się. Po – tem będzie mu trochę przykro i to wszystko.

Dziwnie się poczułem na myśl o takiej sytuacji... Jakbym naprawdę stał na wielkim placu w Agrabadzie, na drewnianym pomoście, jak w starych filmach. Ręce mam związane z tyłu, jestem nagi do pasa, a potężny kat z toporem w ręku kiwa na mnie zasłoniętą kapturem głową i wskazuje ciemny, pocięty pień – klęknij, nadstaw szyję... Wokół podekscytowany tłum, wszyscy stoją na palcach i gapią się na mnie. I tylko jeden człowiek, Staś, stoi bez uśmiechu, pośępnie wpatrzony w kata.

– Załóżmy, że tak by się stało – rzekł Ramon. – Staś to dobry i doświadczony fag, który wie, że całość jest ważniejsza od poszczególnych elementów. Wróci na Avalon. Jak myślisz, co stanie się z nim później? Jak długo będzie cierpiał? Jaki będzie z niego pracownik po czymś takim?

Milczałem. Naprawdę nie miałem pojęcia, co czułby Staś, gdyby zabili mnie na jego oczach, a on nie mógłby mi pomóc. A może wcale by tego nie przeżywał? Nasza sąsiadka, ciocia Nadia, w ciągu jednego wieczoru potrafiła powiedzieć mi więcej miłych rzeczy niż Staś w ciągu miesiąca... Ramon zrozumiał moje milczenie po swoim.

– Na tym właśnie polega problem naszej pracy, Tikkireyu. To, co jest ci drogie, to, co kochasz, powinno zostać bezpieczne gdzieś daleko, albo być głęboko ukryte w twojej duszy. To dawna zasada wywiadowców. A my pod wieloma względami jesteśmy teraz wywiadowcami...

– Stasiowi dostało się z naszego powodu? – zapytałem. – Za to, że wywiózł nas z Nowego Kuwejtu?

– Dostało się? – prychnął Ramon. – Skąd. Wszystko, co zrobił, zrobił poprawnie, wszystko było w pełni uzasadnione.

– To po co pan mi to mówi? Na wszelki wypadek? Na przyszłość? Ramon przyjrzał mi się uważnie.

– Po to, Tikkireyu, żebyś nie spodziewał się tego, co niemożliwe. Nie liczył na asekurację w postaci Stasia albo mnie.

– Nie liczę.

Ramon trochę się speszył.

– Nie myśl, że jesteśmy bez serca. My naprawdę nie możemy ryzykować losami milionów w imię jednego człowieka. Właśnie dlatego proponuję wam, żebyście zrezygnowali z misji.

Poruszyłem dłonią – bicz wysunął się z rękawa, rozejrzał się i zanurkował z powrotem.

– Nie wyrosłeś jeszcze z zabawek? Przecież bicz to tylko śmiercionośna zabawka.

– Jako dziecko miałem niewiele zabawek – powiedziałem. – Minimum socjalne ich nie przewiduje.

– Tak naprawdę nic wam nie grozi – Ramon odwrócił wzrok. – Nawet jeśli złapią was agenci Szronu... Mogą być okrutni, ale nie są zabójcami.

Nie odezwałem się. Przypomniałem sobie agenta, którego zabił Staś. I jego słowa: „Ten chłopiec nie jest ważny dla Szronu”.

Nie rozmawialiśmy więcej. Lion przez całą drogę spał, nie słyszał naszej rozmowy.

Przed domem Ramon zatrzymał się, wysiadł razem z nami z samochodu i odprowadził do mieszkania, jakby spodziewał się zasadzki przed klatką. Potem objął nas i wyszedł bez pożegnania.

A my położyliśmy się spać.

Staś przyjechał trochę wcześniej, wpół do dziesiątej. Ja byłem już gotowy: przestawiłem automatykę mieszkania na tryb konserwacji, sprawdziłem, czy wszystkie okna są zamknięte, przebrałem się. Nie braliśmy ze sobą żadnych rzeczy, na statku i tak dadzą nam nowe ubrania, pasujące do naszej legendy. Lion ciągle siedział w łazience. Zrobił się z niego taki czyścioch, że aż się słabo robiło: zęby mył trzy razy dziennie, nie mógł sobie znaleźć miejsca, jeśli rano i wieczorem nie wziął prysznicza, paznokcie obcinał aż do skóry, strzygł się bardzo krótko. Miałem wrażenie, że ta obsesja zaczęła się po pracy w strumieniu, ale nic nie mówiłem.

– Gotowi? – zapytał Staś, stając w drzwiach.

– Oczywiście – wskazałem na drzwi łazienki. – Lion zaraz wyjdzie... Staś kiwnął głową. Z łazienki dobiegał szum wody i bulgoczące mamrotanie. Widocznie Lion próbował śpiewać, nie przerywając mycia zębów.

– Nie boicie się?

– Nigdy nie bałem się latania – obruszyłem się. – A Lion dorastał w kosmosie, na stacji...

– Wiem i nie o tym mówię. Nie boicie się Nowego Kuwejtu? Zastanowiłem się i odpowiedziałem uczciwie:

– Trochę... W końcu tam wszyscy przeszli pranie mózgu. Ale przecież przygotowaliśmy się i w ogóle... Ramon mówi, że wszystko będzie dobrze.

– Być może ja również będę na Nowym Kuwejcie – powiedział Staś. – Jeśli nagle... – zawahał się. – Jeśli spotkamy się przypadkiem, udawajcie, że mnie nie znacie.

– Cześć, Stasiu – powiedział Lionie, wychodząc z łazienki.

– Cześć – fąg skinął mu głową. – Lion, jeśli przypadkiem spotkamy się na Nowym Kuwejcie, pamiętaj – nie znamy się.

– Przecież nie jestem głupi – oburzył się Lion. – Pewnie, że się nie znamy.

– Chłopcy, chcę, żebyście potraktowali to zadanie poważnie – powiedział Staś. – Szron to największe wewnętrzne zagrożenie dla ludzkości od czasu rozpoczęcia ekspansji galaktycznej. W porównaniu ze Szronem nawet katolicki dżihad i Liga Degeneracji to tylko drobne odchylenia społeczne. Nie bójcie się – strach prowadzi do paniki – lecz strzeżcie się. Uważajcie. Zawsze i przez cały czas. Siadając na krześle, bądźcie przygotowani, że się pod wami złamie. Witając się z jakimś człowiekiem, nie dziwcie się, że jego dłoń przemieni się w zębatą paszczę. Zapamiętajcie – na Nowym Kuwejcie możecie ufać tylko sobie. Skinąłem głową.

– Dotyczy to zwłaszcza ciebie, Lionie – dodał Staś z przeproszącą nutką.

Twarz Liona spoważniała.

– Ja... ja rozumiem. Ja nic nie powiem. Nawet mamie. Staś przyglądał mu się przez chwilę, w końcu skinął głową:

– Dobrze. Ubieraj się.



Lion pobiegł do sypialni, a Staś odwrócił się do mnie.

– Jak bicz?

Zamiast odpowiedzi podważyłem palcami pasek w dzinsach. Pasek jak pasek, srebrzysty, metalizowany, z klamrą w kształcie głowy węża.

– Może być – przyznał Staś. – Sam zamocowałeś?

– Tak. To proste, trzeba sobie tylko wyobrazić, czego się chce... Staś pokiwał głową, a ja się stropiłem. Komu ja opowiadam, jak się steruje biczem? Prawdziwemu fagowi?

– Mam nadzieję, że nie robiłeś głupstw?

– Ja... jakich? – wyjąkałem. Poprzedniego dnia poeksperymentowałem trochę, sprawdzałem, co bicz może zniszczyć, a czego nie. Okazało się, że drewniane pałki rozwała na drzazgi, stalowy pręt grubości centymetra zgina bez problemu, z łatwością wywierca dziurki w szkłe.

– Największą głupotą byłaby próba włożenia do bicza głównej baterii – wyjaśnił Staś. – Wtedy każdy detektor stwierdzi, co to za broń.

– Nic nie wkładałem. Skąd miałbym ją wziąć?

– Bicz to uniwersalna broń i dostosowuje się do różnych źródeł zasilania. W ostateczności można włożyć dowolną silną baterię, na przykład taką od odkurzacza czy wiertarki. Nie wystarczy na długo, na jakieś dwa, trzy ładunki, ale zawsze...

Staś uśmiechnął się i mrugnął do mnie.

Omiałem nie zawyłem ze złości! To znaczy, że mogłem pobawić się biczem naprawdę!

– Zdarzało się, że takie zaimprovizowane baterie ratowały fagom życie – wyjaśnił Staś. – Ale w twoim przypadku byłyby śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Kiwnąłem.

– Mogę liczyć na twój zdrowy rozsądek?

– Może pan...

– To świetnie.

Pojawił się Lion, zerknął pytająco na Stasia – fag skinął głową.

– Już czas. Chodźmy.

Na kosmodrom fagów jechaliśmy ponad godzinę, ale nie rozmawialiśmy już ani o Szronie, ani o Nowym Kuwejcie. Staś opowiadał nam o Avalonie, o jego kolonizacji, czasach Pierwszego Imperium i Bezkrólewia, o historii podboju kontynentu północnego, o endemicznej przyrodzie Avaionu, która zachowała się jedynie w rezerwatach.

– Teraz nie przeprowadza się już kolonizacji w taki sposób – tłumaczył Staś. – Stawia się stację, garnizon, buduje kosmodrom i rozpoczyna punktowe oczyszczanie biologiczne. Mija co najmniej pięćdziesiąt lat, nim planeta ulegnie terraformacji, za to nie ma żadnych niespodzianek, żadnych potworów, które najpierw cię pożrą, a potem umrą od zatrucia obcym białkiem. Avalon kolonizowano w biegu – wokół Camelotu już kwitły sady jabłoni, a pierścień biooczyszczania jeszcze się rozszerzał. Nawet, gdy oczyszczono już znaczną część lądu, w oceanach nadal występowała fauna endemiczna. Teraz pozostała już tylko w Morzu Historycznym, odgradzonym od oceanu tamą. Oczywiście, nie spotyka się w nim już płaszczyk dywanowych ani wielorybów-trawlerów, ale może to i lepiej...

– Kiedyś chciałem zostać biologiem i terraformować planety – powiedział Lion.

– Dobry zawód – przyznał Staś. – Już nie chcesz? Lion pokręcił głową.

– Nie. Ciekawiej jest być pilotem. Tylko nie chcę latać na statkach z modułami sterującymi.

– Miejmy nadzieję, że gdy dorośniesz, już ich nie będzie – pocieszył go Staś. – Jeśli procesory żelowo-krystaliczne okażą się trafionym pomysłem, będą mogły zastąpić ludzi.

Zaczął mówić o technice. Może rzeczywiście interesował go ten temat, a nioże w ten sposób próbował nas uspokoić...

Dlaczego dorośli boją się o dzieci bardziej niż o siebie?

Przy wjeździe Staś okazał przepustkę i wpuszczono nas na pole startowe. Stało tam z dziesięć statków, głównie małych, ale był też prawdziwy wojskowy krążownik i wielki statek desantowy. Te z pewnością nie mogą latać kanałami bez modułów, pomyślałem, ale o nic nie pytałem Stasia. Nie jestem małym dzieckiem, sam potrafię pewne rzeczy zrozumieć.

Samochód podjechał do niedużego statku, który wyglądał jak spodek pokryty szarą ceramiczną łuską, jak statek Stasia. Widocznie był to najbardziej rozpowszechniony model.

Pilot stał przed otwartym włazem. Był starszy od Stasia, ale przywitał się pierwszy – pomyślałem, że Staś stoi wyżej w hierarchii fagów.

– Oto twoi podopieczni.

– Dzień dobry, Tikkireyu. Dzień dobry, Lionie. – Pilot uściśnił nam dłonie. – Nazywam się Sian Tien.

Zapadła niezręczna cisza. Do startu mieliśmy jeszcze trochę czasu i Staś chyba nie chciał odjeżdżać, ale z drugiej strony wszystko już sobie powiedzieliśmy.

– Kapsuła w porządku? – zapytał Staś.

– Bez obaw, wszystko sprawdziłem – odparł Tien. – Wylądują tak, że mucha nie siada. Braliście już kiedyś udział w desancie, chłopcy?

– Nie – odparłem.

– Tak – oznajmił Lion i poprawił się szybko:

– To znaczy nie.

Tien ze zdumieniem uniósł brew. Potem wydał rozkaz przez gniazdo i w brzuchu statku otworzył się właz.

Kapsuła przypominała całkowicie przezroczystą soczewkę o średnicy dwóch metrów.

– Jest ze szkła? – zdumiałem się. Lion roześmiał się:

– Głupku, przecież to stabilizowany lód!

– Zgadza się – potwierdził Tien, patrząc z szacunkiem na Liona. – To lód-23, bardzo stabilna forma. Przed desantem do kapsuły wstrzykiwany jest katalizator rozpadu, godzinę później lód przemienia się w kałużę wody. Do tego czasu spokojnie zdaszycie wylądować.

– A gdzie są silniki? – spytałem zdumiony. Staś i Tien popatrzyli na siebie.

– Nie ma żadnych silników, Tikkireyu – wyjaśnił łagodnie Staś. – Ani jakichkolwiek przyrządów. Nie ma nic, prócz lodu. Przy wyrzucie na niskiej orbicie kapsuła zostaje poddana aerodynamicznemu hamowaniu. Przeciężenia mogą dochodzić do trzech g, ludzie o standardowej modyfikacji genotypu znoszą je normalnie.

– Ja normalnie znoszę sześć g – oznajmił z dumą Lion.

– Boisz się, mały? – zapytał mnie Tien. – Nie musisz. Kapsuła jest bezpieczniejsza od każdego

statku. Nie ma w niej nic, co mogłoby się zepsuć i nie zdołają jej zarejestrować żadne systemy obrony kosmicznej. To tylko zwykły lód.

Widziałem, że mają rację, ale i tak czułem się nieswojo.

– Sześć razy lądowałem w czymś takim – powiedział Staś. – Dwa razy na treningach, cztery podczas misji. Raz na walczącą planetę.

– Nie zamarzniemy? – zapytałem jeszcze. Fagowie roześmiali się.

– Dam wam kołdrę – obiecał żartobliwie Tien. – Nie zamarzniecie. Najwyżej dostaniecie kataru.

– W takim razie poproszę jeszcze o chusteczki do nosa – powiedziałem.

Pożegnaliśmy się ze Stasiem. Objął nas, poklepał po głowie Liona, mrugnął do mnie, spojrzeniem wskazując bicz, i wszedł do swojego niebohaterskiego samochodu.

– Chodźcie, chłopcy – rzekł Tien. – Mamy przed sobą pięć dni lotu, jeszcze zdążymy się bliżej poznać. Ale nie odkładajmy startu.

# **Część trzecia**

## **POWTÓRKA Z ŻYCIA**

# Rozdział 1

Na godzinę przed wejściem w atmosferę Nowego Kuwejtu wsiedliśmy do niewykrywalnej kapsuły. Zimna, połyskliwa bryła lodu zajmowała niemal całą śluzę.

Tien podniósł luk, też z lodu, który można było odkręcić od wewnątrz i od zewnątrz, i wręczył nam płócienny worek z odczynnikami chemicznymi, które miały odświeżać powietrze. Odczynników wystarczy na trzy godziny – aż nadto.

Kołdry nam oczywiście nie dał – to by już był dowód rzeczowy. Zamiast tego podłożyliśmy sobie maty z trawy. Funkcję pasów spełniały splecione z trawy powróśla.

Trawa, podobnie jak nasze ubrania, pochodziła z Nowego Kuwejtu. Scyzoryk i wędka również. Fagowie wszystko robili bardzo solidnie.

– No i jak, wygodnie? – zapytał Tien.

W kapsule można było tylko leżeć, więc nie tracąc czasu, Lion zaczął mocować nogi i przywiązywać trawiaste sznury do zrobionych w lodzie uchwytów.

– W porządku – powiedziałem, chociaż serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. – Możesz spokojnie zamknąć luk.

Tien okazał się całkiem sympatyczny. Może nie tak jak Staś, ale był miły. W czasie lotu nawet się zaprzyjaźniliśmy. Pozwolił nam sterować statkiem w hiperkanale (przez cały czas był gotów się włączyć), potem uczył nas walczyć – niektóre ciosy fagów nie wymagały siły dorosłego człowieka. Trochę rozmawialiśmy o Szronie, chociaż Tien niewiele mógł nam powiedzieć.

– Będę was obserwował, chłopaki – Tien wskazał oko kamery w suficie przedziału śluzowego. – Łączności nie będzie, ale jeśli rozmyślicie się i nie będziecie chcieli lądować – zwróćcie jakoś moją uwagę. Machajcie rękami, walcie w korpus... tylko nie otwierajcie włazu od wewnątrz!

– Nie rozmyślimy się! – burknął Lion. – Idź już, musisz sięść przy pulpicie.

Tien skinął głową i zaczął mocować ciężki, lodowy właz. Pomagaliśmy mu od wewnątrz. W końcu trafił na właściwe miejsce i fag zaczął zakręcać. Zrobiło się bardzo cicho. Słyszałem, jak Lion sapie, pomagając Tienowi. A ja opuściłem ręce i patrzyłem na faga przez grubą, przezroczystą korpus. Lód deformował rysy twarzy i Tien wyglądał jak odbicie w krzywym zwierciadle. Za duży nos, zbyt małe oczy, przekrzywiony podbródek... Ale śmiesznie... Pewnie my też wyglądamy jak potworki...

Pomachałem Tienowi ręką.

Gdy luk został zamknięty do końca, Tien wyjął z kieszeni na piersi próbkę, odłamał końcówkę i niedbałym ruchem wylał jakąś ciecz na powierzchnię kapsuły. Nic się nie stało, ale fag wyglądał na usatysfakcjonowanego. Poklepał kapsułę ręką – lód wydał niski, głęboki dźwięk – i po drabince wyszedł z przedziału śluzy. Zatrzasnął się wewnętrzny luk. Dobrze chociaż, że światło w śluzie nie zgasło.

– Jeśli katalizator zadziała nieprawidłowo, kapsuła rozpadnie się w atmosferze – powiedział Lion grobowym głosem. – Wyobrażasz sobie? Jedna chwila i już po nas!

Wzdrygnąłem się.

– Czy ty się zupełnie nie boisz? – zapytałem.

– Nie. Już takimi lądowałem. Oczywiście nie naprawdę, tylko w snach... Zrozumiałem, w jakich snach, i nie pytałem o nic więcej. – Nie denerwuj się – Lion popatrzył na mnie zakłopotany. – Superstabilny lód to trwała rzecz. Zacznie wyparowywać, gdy wejdziemy w atmosferę. Przed nami

będzie obłok plazmowy, ale topniejący lód stworzy jakby poduszkę pary... Wszystko jest dokładnie przemyślane. Potem wytopią się łopaty i wylądujemy na autorotacji..

– A jak spadniemy na skały?

– To będziemy mieli problem – przyznał Lion. – Możemy się nieźle poobijać. A jak wylądujemy na środku morza, to możemy nie dopłynąć...

Wiedziałem, że Lion tak się tylko drażni. Tien powiedział, że punkt lądowania jest wyliczony z dokładnością do dziesięciu kilometrów i na pewno wylądujemy w lesie, więc nie ma się czego bać. A Lion chyba przejął się swoimi wizjami, bo zamilkł. Przecież był z niego kiepski pływak. Lądowania w niewykrywalnej kapsule się nie bał, ale wody – owszem.

– W razie czego cię wyciągnę – obiecałem. – Dam ci w łeb i wyciągnę za włosy.

– Tylko żeby nie bolało – poprosił poważnie Lion. Zamilkliśmy. Obaj mieliśmy zegarki, ale woleliśmy nie patrzeć. Cyfry zmieniały się tak niechętnie, jakby zamierały.

– Znasz jakieś straszne historie? – zapytał rzeczowo Lion.

– Znam.

– Opowiedz!

Jak na złość, nie mogłem sobie przypomnieć żadnej strasznej opowieści, pamiętałem tylko jedną, zupełnie idiotyczną, którą straszą się maluchy.

– Pewien chłopiec przyszedł ze szkoły do domu – zacząłem – i widzi, że rodzice zostawili na stole swoją kartę bytową. Nie z głupoty, po prostu bardzo się spieszyli.

– Co to jest karta bytowa?

– No... coś w rodzaju karty kredytowej, tylko są tam jeszcze umieszczone wszystkie normy warunków bytowych... Przecież mieszkaliście na stacji, nie mieliście czegoś takiego?

– Nie, u nas powietrze i ciepło były za darmo – odpowiedział Lion. – Dobra, mów dalej.

– No i ten chłopiec schował kartę do szafy, a sam wszedł do Sieci. Wchodzi na pewien serwer, a tam od razu mówią: „Jeśli jesteś dorosły – zapraszamy, jeśli jesteś dzieckiem – nie wejdiesz”. No i on oczywiście mówi, że jest dorosły. A oni na to: „Proszę podać numer karty bytowej”. Chłopiec pomyślał: „Co może być straszego w podaniu numeru karty?” I podał. I wpuścili go, żeby sobie oglądał różne głupoty. Chłopak siedzi, ogląda, zapomniał o całym świecie... Aż tu nagle dzwonek do drzwi. Chłopiec wstał, otwiera drzwi, a na progu stoi urzędniczka ze służby socjalnej i mówi: „Chłopcze, zbyt szybko oddychasz!” Chłopiec przestraszył się, obiecał, że będzie oddychał znacznie wolniej, a wtedy ona wyjęła plaster i... Lion roześmiał się:

– Ale bzdury! Przecież jak będzie wolniej oddychał, to ilość zużywanego tlenu się nie zmniejszy!

Zamilkłem. Pewnie dla niego ta historia nie była wcale straszna.

– Nie gniewaj się. – Lion szturchnął mnie łokciem w bok. – Posłuchaj mojej! To podobna historia, tylko lepsza. Pewien chłopiec miał starszą siostrę, której rodzice pozwalali spacerować po spodzie i nawet podarowali jej nowy, czerwony skafander, a chłopca jeszcze nie puszczali, i on miał zupełnie zwyczajny, dziecienny skafander.

– Gdzie jej pozwalali spacerować?

– Na spo... Na zewnętrznym korpusie stacji, od spodniej strony, gdzie nie ma grawitacji ani powietrza.

– Aha – powiedziałem, próbując wyobrazić sobie taką przechadzkę. Co w niej takiego ciekawego?

– Chłopiec ciągle prosił siostrę, żeby go wzięła ze sobą, ale dziewczyna zawsze mówiła: nie wezmę cię, jesteś za mały i jeszcze zapomnisz sprawdzić ładunek. Ładunek to taki regenerator w skafandrze, do oddychania.

Lion energicznie potrząsnął płóciennym workiem – naszym własnym regeneratorem – i mruknął:

– Jakoś tu duszno, czy co... No to chłopiec obraził się i kiedyś zamiast pełnego ładunku włożył do czerwonego skafandra prawie pusty. Myślał, że jeśli siostrze skończy się powietrze, to zdąży wrócić na rezerwie. A dziewczyna poszła ze swoim przyjacielem na spacer po spodzie. W pewnym momencie jej przyjaciel mówi: „Powietrze mi się kończy, wracajmy!” A ona nie chciała wracać i oddała mu swój zapasowy ładunek. Spacerowali i spacerowali, aż dziewczynie skończyło się powietrze. Przestraszyła się i poprosiła, żeby przyjaciel oddał jej ładunek. A on też się przestraszył i dziewczyna umarła. Następnego wieczora jej brat leży w łóżku i płacze, bo szkoda mu siostry. Ale nic, popłakał, popłakał i zasnął. I nagle słyszy przez sen: „Oddaj mi moją rezerwę!” Otwiera oczy, a w kącie stoi skafander siostry, cały nadęty, a szyba jest od środka zalana krwią. Chłopiec przestraszył się, pobiegł do rodziców i wszystko im opowiedział. Rodzice dali mu pełny ładunek i mówią: „Jak twoja siostra znowu przyjdzie, daj jej i powiedz, że to rezerwa”.

– A lania przypadkiem nie dostał? – zapytałem zjadliwie. – Za siostrę?

– Pewnie dostał – zgodził się Lion. – Ale skoro siostra już nie żyła, to i tak by to nie pomogło. No i następnej nocy siostra znowu przychodzi i mówi: „Oddaj mi moją rezerwę!” Chłopiec dał jej ładunek, ale zamiast w skafander, wstawił go sobie, zaśmiał się i mówi: „A teraz nabiorę sił i uduszę cię!” I otworzył klapkę w ładunku, żeby nabrać sił. Ale rodzice podejrzewali, że tak się stanie, i zamiast ładunku z powietrzem dali butlę z tlenkiem węgla. Skafander nadał się, posiniał i pękł, ale chłopiec i tak umarł – ze strachu.

– Cos ty, kompletnie ci odbiło? Przecież to jakieś straszne głupoty!

– Dlaczego?

– Jak można umieścić tlenek węgla w butli? Uczyłeś się w szkole chemii? Pewnie mimo wszystko to skafander go udusił.

Lion zastanowił się:

– Jeśli go udusił, to szkoda rodziców. Ale z drugiej strony, gdyby chłopcu nic się nie stało, to tak jakby w ogóle nie został ukarany.

– No to co?

– Wiesz co, tak mi się coś wydaje, że te wszystkie historie wymyślają dorośli – zasugerował Lion. – Żeby dzieci nie robiły głupstw. Nie podawały byle komu numeru karty kredytowej, nie bawiły się powietrzem... Słuchaj, na pewno nie zrobiło się duszno?

Spojrzałem na woreczek:

– Nie, chyba wszystko w porządku.

– Na stacji od małego nam tłumaczą, dlaczego nie wolno bawić się powietrzem – powiedział Lion przeprasząc. – Są nawet specjalne rymowanki:

Jeśli słyhać syren wycie, wiatr rozrywa ściany  
Dobrze wiesz, że musisz w domu schować się,  
kochany. Już szczelina naprawiona, umilkła syrena,  
Możesz walnąć się na koję i spokojnie drzemać.

– Nas na Kopalni też uczyli! – ucieszyłem się. – Gdy zobaczysz w ścianie otwór albo rozszczelnienie, sam już wiesz, rzecz jasna, że to zagrożenie. A o chłopcu, który zobaczył dziurę i zatkał ją ręką?

– Aha! – potwierdził Lion. Światło zgasło i zapaliło się znowu.

– Co to? – przestraszył się Lion i zerknął na zegarek. – Tikkireyu, zostały trzy minuty!

Wyciągnęliśmy się na matach i zamilkliśmy. Teraz, gdy nie byliśmy zajęci rozmową, od razu zauważyłem lekkie kołysanie statku. Grawikompen – sator nie zdołał go do końca wytłumić.

– Już idziemy przez atmosferę – powiedział Lion, jakbym tego nie wiedział. – Oho, zaraz się zacznie...

Miałem wrażenie, że kapsuła jakby stanęła dęba – to Tien przesunął wektor grawitacji.

W chwilę później pod nami otworzyły się pancerne „płatki” luku i kapsuła wypadła w przestrzeń.

Cisza. Absolutna cisza.

Dopiero teraz zrozumiałem, że ciągle otaczał nas hałas. Szum mechanizmów przenikał nawet przez lód.

Teraz słyszeliśmy tylko nasze oddechy.

Pod nami leżała planeta.

To już nie była kula, przysypana strużynami chmur, lecz żółto-zielona równina, z zaokrąglonym horyzontem. Pod naszymi nogami wstawało zza horyzontu słońce Nowego Kuwejtu i lodowy korpus skrzył się niczym kryształ. Gwiazdy nadal były jasne i kłujące.

– O kurcze... – wyszeptał Lion.

Kapsuła szła równo, nie trzęsło, ale coś mi mówiło, że nie jesteśmy już na orbicie, lecz na kursie lądowania.

– Nieważkość jest super, co? – zapytał Lion.

Nie odpowiedziałem. Dopiero teraz zauważyłem, że wisimy w małej, lodowej jaskini, przypięci śmiesznymi powróżkami. Patrzyłem na statek fagów, taki trwały i bezpieczny...

– Tikkireyu!

– Co?

– Zasnąłeś? – Lion zakręcił się, zaglądając mi w oczy. – Zobacz, jaki widok! Tam jest Słońce!

– Jakie słońce?

– Ziemskie, z którego pochodzą wszyscy ludzie... Patrz! Patrzyłem. Gwiazda jak gwiazda, nic szczególnego.

– Chciałbym zobaczyć Ziemię – mówił dalej Lion. – Pojechać do Australii, do Londynu, do Żytomierza. A później polecieć na Eden. Zobacz, to tam... nie, nie widać, za horyzontem... Widzisz Avalon?

Lion paplał bez przerwy, pewnie się bał. Nie przerywałem mu. Przez kilka minut oglądaliśmy gwiazdozbiory, wyliczając, które planety są nasze, a które należą do Obcych. Słońce Nowego Kuwejtu wznosiło się coraz wyżej, teraz musieliśmy już zamknąć oczy – oślepiający blask zalewał całą kapsułę. Pomyślałem, że przydałyby się ciemne okulary. Nawet fagowie nie są w stanie przewidzieć wszystkiego.

– Widziałeś, jaki manewr? – podniecał się Lion. – Atmosfera hamuje. .. Jeszcze chyba z pięćdziesiąt kilometrów... nie, więcej...

– Zdamy wylądować?

– Zdamy!

Teraz kapsuła leciała odwrócona dnem do przodu. Lód na dolnej stronie kapsuły topił się,



mętniejąc. Nieżnośne światło zostało przefiltrowane przez matowy lód.

Jednak fagowie przewidzieli wszystko.

Nieważkość znikła równie nieoczekiwanie jak się pojawiła. Przycisnęło nas do mat. Najpierw słabo, a potem jak na zwykłej planecie...

– Dojdzie do czterech g – poinformował mnie Lion nie wiadomo po co. Ja też dokładnie wiedziałem, co nas czeka – przechodziliśmy testy.

– Żeby już wreszcie...

– Przeciężenia?

– Lądowanie!

Przyciskało nas coraz mocniej. Poczułem lekką wibrację i światło stało się jaśniejsze, z jakimś nieprzyjemnym czerwonym poblaskiem.

– Weszliśmy w atmosferę – wyszeptał Lion.

Odwróciłem głowę i zerknąłem na dno kapsuły. Przez zmętniały lód widać było tańczący płomień. Ogień mienił się, opływał kapsułę, trzepotał... Z tyłu dostrzegłem krótki rozbłysk.

– Nie... nie zarejestrują nas? – spytałem drżącym głosem. Bałem się. Od obłoku plazmy oddzielało nas pół metra topniejącego lodu!

– Nie powinni, specjalnie lądujemy w strefie wschodu słońca – odparł Lion. – Tutaj jest aktywne słońce, zakłócenia na radarze gwarantowane... Gołym okiem też trudno zobaczyć...

Światło zaczęło gasnąć, wróciła nieważkość. Pierwszy rykoszet – najpierw sunęliśmy przez atmosferę, wytracając prędkość, a teraz odskoczyliśmy, niczym płaski kamyczek od powierzchni wody, i zaczęliśmy nowe zejście.

– Strasznie to wygląda – wyznałem, sam się dziwiąc swojej szczerości. – -| Czy ty się w ogóle nie boisz?

Po dłuższej chwili Lion odpowiedział niechętnie:

– Trochę...

Wokół kapsuły znowu rozkwitł płomień, ale tym razem wstrząsy były znacznie silniejsze i kapsuła wibrowała jak stary samochód na kiepskiej drodze. Przeciężenie wzrosło.

I znowu na kilka minut kapsuła wyśliznęła się z atmosfery, szykując się do ostatniego „nura”.

– Tikkireyu... – Lion odwrócił się do mnie. – Wiesz, o czym teraz pomyślałem? Że znajdę rodziców, pójdę do nich, a oni mnie nie poznają.

– Niby dlaczego? Zaśmiał się nerwowo.

– Miałem sen i wiem, że to był tylko sen. A oni? Może nadal wierzą, że ten sen to prawda? I myślą, że ich syn Lion dorósł dawno temu, a mnie powiedzą: chłopcze, czy ty masz gorączkę?

– Rodzice nigdy by tak nie powiedzieli.

– Tak myślisz? – zapytał pozornie niedbale Lion.

– Tak.

– Ale skoro zrobili im pranie mózgu...

– To bez znaczenia – starałem się mówić przekonująco. – Twój braciszek albo twoja siostra mogą cię nie poznać, ale rodzice poznają na pewno.

Lion uspokoił się. Położył się wygodnie – znowu pojawiły się przeciężenia – i powiedział:

– Przecież dzieciom nie mogło śnić się to samo, bo jakby to wszystko rozumiały? Czyli każde z nich miało swój sen, dziecinny. Takie z różnymi zwierzątkami, przygodami... pewnie w kreskówkach też umieścili odpowiedni program...

– Chciałbym znaleźć tego, kto to zrobił – wymamrotałem.

– I urwać mu głowę. Na pewno go znajdziemy – obiecał krwiożerczo Lion. – Żebyśmy tylko dobrze wylądowali.

On też się bał...

Nastąpiło trzecie i ostatnie wejście w atmosferę. Teraz przeciążenie przygniotło nas z taką siłą, że nawet nie mogliśmy pisnąć. Powietrze wokół kapsuły zamieniło się w ognisty szkwał. Kapsuła trzęsła się i trzeszczała, lód pokrył się szczelinami i pęknięciami. Wiedziałem, że odpowiednie odcinki muszą się stopić, żeby uformowały się łopaty, ale i tak się bałem.

A potem ogień zgasł, przeciążenie znikło i zobaczyliśmy pod sobą planetę. Wyglądała, jakbyśmy patrzyli na nią z samolotu. Kapsuła płynęła w powietrzu, schodząc w dół, póki co nie mając zamiaru wirować.

– Jesteśmy jeszcze za wysoko – pocieszył mnie Lion, domyślając się, o czym myślę. – Albo...

Na szczęście nie dowiedziałem się, co kryło się pod tym „albo”. Gdy Lion wstał, żeby wyrzucić przez boczne ścianki, a nie przez matowe dno, kapsuła zachwiała się i zaczęła się powoli kręcić.

– Hura! – wrzasnął Lion. – Zadziałało!

Teraz nasza kapsuła nie była już soczewką. Na dole i na górze część lodu stopiła się, wyparowała i teraz kapsuła przypominała „noski” klonu. A my, zamknięci wewnątrz lodowego „ziarenka”, kręciliśmy się coraz szybciej...

Początkowo mnie to bawiło. Świat wirował dokoła, słońce wznosiło się na niebie, a świst przecinanego powietrza zagłuszał nasze krzyki radości.

Potem zrobiło mi się niedobrze. Rzuciło nas na dwa końce kabiny i przy – cisnęło do ścianek.

– Zamknij oczy! – krzyknął Lion.

Zamknąłem, ale i tak czułem mdłości. Siła odśrodkowa cisnęła mocniej niż w czasie lądowania. Było mi niedobrze... Trzymałem się jak długo mogłem, ale gdy usłyszałem, że Lion wymiotuje, nie wytrzymałem. Od wczoraj prawie nic nie jedliśmy i teraz miałem w ustach obrzydliwy, kwaśny posmak.

Czułem się jakbym siedział na pędzącej szaleńczo karuzeli... Dwa lata temu na Kopalni byliśmy w parku z takimi karuzelami. Nasza klasa zdobyła wyróżnienie w miejskiej olimpiadzie matematycznej i wszyscy dostali bezpłatne bilety na dowolną karuzelę. W parku było niewielu ludzi i od razu podeszliśmy do najbardziej interesującego nas obiektu, „łodzi podniebnej”, która leci w górę, spada i kreci się wokół własnej osi. Najpierw wzlatusz się w górę na dwadzieścia metrów, a potem ze straszną szybkością spadasz, w dodatku do góry nogami i masz wrażenie, że zaraz wyrzujesz głowę w beton.

I ktoś, może nawet ja, wpadł na pomysł i poprosił nadzorcę, żeby pozwolił nam pohuścić się dłużej niż normalnie. Nadzorca uśmiechnął się i kazał nam się przypiąć.

Zamiast trzech minut lataliśmy całe dziesięć, sprawdziłem potem na zegarku. Przez pierwsze pięć świetnie się bawiliśmy, a potem wszyscy zaczęli wrzeszczeć i prosić nadzorcę, żeby zatrzymał. A on udawał, że nic nie słyszy, machał nam ręką i uśmiechał się. Gdy w końcu zatrzymał „podniebną łódź”, dwóch chłopców miało mokre spodnie i nikt nie był w stanie chodzić. Musieli nas odpinać i

wyciągać na zewnątrz.

Ktoś nawet płakał i grozi, że złoży skargę w merostwie.

Ale nadzorca powiedział, że sami jesteśmy sobie winni. Chcieliśmy więcej, niż nam przysługiwało, i dostaliśmy nauczkę – nigdy nie żądaj za dużo. W końcu nikt się nie poskarżył.

Teraz nie mieliśmy się nawet na kogo skarżyć – mimo że trzęsło, kręciło i rzucało. Miałem ogromną ochotę otworzyć oczy, żeby sprawdzić, jak daleko jesteśmy od ziemi i co jest pod nami – las, jezioro czy skały, ale wiedziałem, że jak otworzę oczy, to dopiero się zacznie...

Mimo wszystko czułem, że ziemia się zbliża. Coś zmieniło się w ruchu kapsuły, jakby mocniej trzęsło albo słabiej kręciło.

Rozległ się trzask – to kapsuła łamała gałęzie. Przez kilka chwil lecieliśmy nad lasem, ścinając wierzchołki drzew niczym nóż gigantycznej kosiarki. Potem kapsuła przechyliła się na bok i łamiąc pnie, (każde uderzenie oznaczało dla nas tępy ból), przeszła przez las. W końcu otworzyłem oczy i zobaczyłem grube pnie, trawę, gęste krzewy, bezkresne, niebieskie niebo (nie do wiary, że właśnie stamtąd spadliśmy!), lecące nad lasem ptaki... Kapsuła przetoczyła się, ścinając jeszcze kilka drzew, zastygła i powoli przewróciła się do góry dnem.

Zawiśliśmy na trawiastych powrósłach. Przed oczami wszystko nam wirowało, latały kolorowe punkty.

– Żyjesz? – zapytał cicho Lion.

– Aha... – odpowiedziałem i znowu zwymiotowałem.

Wisieliliśmy tak kilka minut, zbyt słabi, żeby się poruszyć. Potem zaczęliśmy odwiązywać powrósła. Było ciężko, ale udało się. Nie mogliśmy za to odkręcić luku – stopił się od zewnątrz, tworząc jedną całość z korpusem.

– A już myślałem, że zetrze nas na proszek – powiedział Lion. – Widziałeś góry? Zabrakło nam dziesięciu kilometrów.

– Jakie góry?

– Pewnie Pasma Charitonowa – wyjaśnił Lion. – To znaczy, że jesteśmy na północnej granicy strefy lądowania. To dobrze... nie będziemy musieli długo iść.

– Jeśli stopnieje – zauważyłem, stukając w lodową skorupę.

– Poczekamy. – Lion z trudem usiadł w kucki, pochylając głowę, żeby nie uderzyć się w luk. – Rany, ale mnie bolą plecy... Uderzyłem się przy lądowaniu...

– Mnie też wszystko boli...

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie. Ciągłe kręciło mi się w głowie i strasznie chciałem wydostać się na zewnątrz.

Po dziesięciu minutach na moją szyję spadła pierwsza zimna kropla. Lód zaczął topnieć.

– Ha! Zamarzniemy! – zawołał wesoło Lion.

Krople przemieniły się w ulewę, potem w strumienie. Superstabilny lód topniał jak śnieg w ciepłym pokoju. Po dwóch minutach staliśmy już po kolana w lodowatej wodzie i wtedy kapsuła z trzaskiem rozpadła się na dwie części. Byliśmy wolni!

Lód chrzęścił pod nogami, na niebie krzyczały ptaki, a woda wsiąkała w miękką darń. Między drzewami ciągnęła się długa koleina, jakby ktoś przeszedł tędy z pługiem. Świat wokół nas przesycał smolisty, leśny zapach, od którego robiło się lekko i wesoło na duszy. Skakaliśmy wokół

zamieniającej się w kałużę kapsuły, machaliśmy rękami i hałasowaliśmy bardziej niż ptaki.

Wylądowaliśmy!

– Lato! – krzyczał radośnie Lion. – Lato, lato, lato!

Już po wszystkim! Wylądowaliśmy! To nic, że ciągle kręciło mi się w głowie, to nic, że byliśmy brudni i przemoczeni, a od lodowatej wody bolały nas nogi! Wszystko, co najgorsze, mieliśmy już za sobą. Jeśli nawet Nowy Kuwejt został podbity przez strasznego wroga – nie myśleliśmy o tym teraz. Znajdowaliśmy się w prawdziwym lesie, daleko od miasta i mieliśmy przed sobą kilka dni najprawdziwszych leśnych przygód – noclegi przy ognisku, łowienie ryb, a nawet, jeśli będziemy mieli szczęście, ulewy, huragany i dzikie zwierzęta! Niech się schowają pikniki na Avalonie!

– Zobacz, tam jest jezioro! – Lion pokazał mi przez drzewa. – Dobrze, że do niego nie wpadliśmy...

Rzeczywiście, przez gałęzie widać było błękitną wodę. I to nie tylko tam, gdzie pokazywał Lion, ale również z drugiej strony. Przypomniałem sobie mapę, którą pokazywali nam fagowie – znaleźliśmy się w „krajnie jezior”, na północnym zboczu Pasma Charitonowa. Było tu dużo małych jezior, gdzieś w okolicy wypływała rzeczka Siemionowka, w jej delcie leży Agrabad. Od stolicy dzieliło nas sto pięćdziesiąt kilometrów... I bardzo dobrze. Może droga przez las zajmie nam cały tydzień? Tydzień w lesie, to byłoby coś!

– Idziemy się wykapać? – spytałem i Lion po chwili wahania skinął głową.

Pobiegliśmy do jeziora, zostawiając kapsułę, żeby sobie w spokoju topniała.

Las kończył się tuż przy wodzie, nie było żadnej plaży, ale nam to nie przeszkadzało. Jezioro było małe, okrągłe, mogło mieć ze trzydzieści metrów średnicy, a woda ciemnoniebieska, jakby ktoś ją zabarwił. Rozebraliśmy się szybko i wskoczyliśmy do wody – przyjemnie chłodnej, która przez pierwsze kilka sekund, po lodowatym prysznicu w kapsule, wydawała się gorąca. Lion chlapał się przy samym brzegu, nie wchodząc głębiej niż po szyję, a ja dopłynąłem na środek i wróciłem.

Potem wyszliśmy na brzeg i próbowaliśmy wyschnąć na słońcu, ale jak na złość zasłoniła je chmura. Od razu zrobiło się chłodno.

– Wiesz co, rozpalimy ognisko! – zaproponował Lion, demonstracyjnie szczękając zębami.

– Dobra! – Zacząłem wycierać się koszulką.

– No i musimy zbudować szałas – podsunął Lion. – Prawda? Popatrzyliśmy na siebie.

– Nigdzie już dziś nie pójdziemy. I jutro też mamy wolne – zadysponowałem.

– Dobra. Tylko jestem strasznie głodny.

Zdobyciem jedzenia postanowiliśmy zająć się później. Najpierw zebraliśmy suche gałęzie – przydały się ścięte przez kapsułę drzewa – i rozpaliliśmy ognisko na brzegu. Ja miałem pół pudełka zapalek, a Lion zapalniczkę. Ognisko paliło się wspaniale, ale siedzenie przy ogniu szybko nam się znudziło.

– Pójdę łowić ryby – powiedział Lion. – A ty natnij gałęzi na szałas.

– Dlaczego ty masz wędkować, a ja ciąć gałęzie? – obraziłem się. – Umiesz łowić ryby?

– Tylko teoretycznie. Najpierw należy wykopać nieduży dołek w miękkim i wilgotnym gruncie, a następnie starannie rozdrobić grudki ziemi w poszukiwaniu dżdżownic i stonóg. Schwytane robaki należy nadziać na ostry haczyk, nie zabijając ich przy tym, popluć i wrzucić do wody około trzydziestu metrów od brzegu...

Wyobraziłem sobie całe to zawracanie głowy z robakami i powiedziałem szybko:

– Dobra, idę po gałęzie.

Przygotowanie gałęzi na szałas nie było trudne. Znowu pomógł mi ślad lądowania kapsuły, która od dawna była już tylko mokrą plamą. Naznosiłem gałęzi i zacząłem budować szałas w pobliżu ogniska. Wyszło całkiem niezłe. Na razie postanowiłem nie wołać Liona, niech się sam przekona, że wędkowanie wcale nie jest takie proste. Jednocześnie miałem wrażenie, że mnie łowienie ryb poszłoby znacznie lepiej.

Lion zjawił się pół godziny później z dwoma potężnymi rybami w rękach – po półtora kilograma każda.

– Nieźle! – pochwaliłem.

Ryby szamotały się i tłukły ogonami. Lion spoglądał podejrzliwie na swoje trofea i trzymał je mocno.

– Wystarczy na razie?

– Chyba tak. Łapałeś na robaki?

– Na początek postanowiłem spróbować na ultradźwięk. I wiesz co? Udało się!

– Sprytnie... – powiedziałem, patrząc na jego zadowolony uśmiešek. – To teraz je opraw.

– Jak?

– Najpierw odcinasz głowy, potem rozcinasz brzuch, patroszysz, smarujesz mokrą gliną i pieczesz na węglach.

Lion wzdrygnął się.

– Pomożesz mi?

Pokręciłem głową. Patrzyliśmy smętnie na nieszczęsne ryby, bezgłośnie otwierające pyszczki. Łuska jakby zmętniała, oczy zasnuły się mgiełką.

– Tam rosną orzechy – oznajmił Lion. – Wystarczy przejść się kawałek brzegiem. Orzechy są bardzo pożywne, prawda?

Skinąłem głową. Nie byliśmy jeszcze tak głodni, żeby zdobywać jedzenie jak ludzie pierwotni.

– Chodźmy. Przy okazji wypuścimy ryby. W wodzie ożyją.

– I opowiedzą wszystkim, że nie warto rzucać się na błysk – prychnął Lion. – Dobra. A szałas całkiem niezły...

Odwróciłem się i popatrzyłem krytycznie na szałas. Wcale nie wydawał mi się „niezły”, był za mały i krzywy. Przewróci go pierwszy poryw silniejszego wiatru, a deszcz przemoczy na wylot.

– Dzięki – powiedziałem. – Potem zrobimy lepszy, musimy się jeszcze wielu rzeczy nauczyć.

Ryby wypuściliśmy przy brzegu, jedna od razu uciekła w głąb, druga została w tym samym miejscu, ale poruszała skrzelami, widocznie dochodziła do siebie. Poszliśmy nazrywać orzechów. Rzeczywiście okazały się dojrzałe i smaczne. Siedzieliśmy w zagajniku z godzinę, najedliśmy się do syta i jeszcze wzięliśmy na zapas. Przecież nie będziemy ich potem zrywać po ciemku!

– W końcu i tak będziemy musieli się nauczyć zabijać i oprawiać ryby – rozmyślał na głos Lion. – I jeszcze polować na króliki i jelenie.

– Są tu jelenie?

– Nie wiem. Powinny być bliżej gór. Nie masz pojęcia, jakie rzeczy jadłem w tym moim śnie! Kiedyś nawet zdechłego konia. I w ogóle się nie przejmowałem. A w rzeczywistości... – skrzywił się.

– To nic, nauczymy się – pocieszyłem go. – Wykąpiemy się jeszcze raz?

Teraz woda wydawała się cieplejsza. Może zdążyła się nagrzać? Najpierw wygłupialiśmy się przy brzegu, potem Lion próbował pływać i nawet trochę mu wychodziło. Przysięgał, że raz natrafił w wodzie na rybę i mógł ją schwytać bez wędki.

– To pewnie ta, którą wypuściłeś – powiedziałem, stojąc w wodzie po szyję. – Przypląnęła, żeby ci podziękować.

– Nie wiesz, czy nie ma tu jakichś drapieżników albo innego draństwa?

– zapytał Lion.

– Chyba nie. Najwyżej po dwa rekiny w każdym jeziorze.

– Żywiące się wyłącznie małymi chłopcami.

– Dlaczego wyłącznie? Dziewczynkami też nie pogardzą!

Lion wyszczerzył zęby i zaczął machać chudymi rękami, rozbryzgując wodę.

– Czy są tu jakieś smaczne dziewczynki? Jestem bardzo groźnym i głodnym rekinem! Nie jem chłopców, bo to brudasy!

Na brzegu w krzakach coś się poruszyło i drwiący głos powiedział:

– Pewnie, że brudasy. W dodatku kościste.

Lion aż przysiadł z zaskoczenia, prawie znikając pod wodą. Ja zamarłem.

Krzaki poruszyły się i na brzegu pojawiła się mniej więcej trzynastoletnia dziewczynka. – Była chuda, a twarz i ręce miała nie tylko brudne, ale w dodatku pomalowane na zielono. Nosila w spodenki i koszulkę w kolorze khaki, w rękach trzymała kuszę.

– No i co, rekinie, dograłeś się? – zapytała, mierząc z kuszy do Liona. Niby żartobliwie, ale oczy miała czujne i broń trzymała umiejętnie.

– Jeszcze się przekonamy, kto jest większym brudasem – powiedziałem. – Kim jesteś?

– To ty będziesz odpowiadał na pytania. I nie rzucaj się, bo ja nie chybiam.

Ja i Lion popatrzyliśmy na siebie. Ładna mi leśna głusza!

– Jesteś pewnie córką leśniczego? – zapytał Lion. – A może skautem? Przysięgam, że tu nie polujemy i nic złego nikomu nie zrobiliśmy...

– Nie ruszaj się! – krzyknęła dziewczynka. Potrząsnęła głową, jakby chciała odrzucić włosy do tyłu, a przecież włosy miała krótkie, obcięte na chłopaka. Pewnie niedawno się ostrzygła i jeszcze się nie przyzwyczała. – Jak się nazywacie? Skąd się tu wzięliście? Co tu robicie?

– Nie będziemy odpowiadać na żadne pytania! – wrzasnął Lion. – I lepiej schowaj tę swoją zabawkę!

Krótką strzałą z kuszy świsnęła tuż obok jego ucha. Nim zdążyliśmy zareagować, dziewczyna już włożyła do kuszy nową strzałę i krótką dźwignią naciągnęła sprężynę.

– Nie drzyj się. To jak się nazywacie?

– On ma na imię Lion, a ja Tikkirey – powiedziałem szybko. Lion przycichł i przestał się popisywać. – Możemy wyjść z wody? Trochę zimno.

– Wyjdźcie – zezwoliła dziewczynka, cofając się o krok.

– Odwróć się – poprosiłem. – Wstydzimy się. Dziewczyna tylko się uśmiechnęła.

– Nie udawaj, wiem, że nie kapaliście się nago. Wychodźcie – powiedziała i kopnęła w naszą

stronę ubranie.

Wyszliśmy na brzeg, czując się jak kompletni kretyni. Czy może być coś bardziej upokarzającego niż stanie w samych slipach przed dziewczyną, która cię przesłuchuje, trzymając w ręku kuszę? W dodatku celnie strzela...

– Jeszcze zobaczymy... – niewyraźnie, acz groźnie wymamrotał Lion, biorąc dzinsy.

Popatrzyłem zakłopotany na naszą dręczycielkę.

– Mamy chodzić w mokrych slipkach? Odwróć się, bądź człowiekiem...

– Ja się mogę odwrócić – dziewczynka uśmiechnęła się nieprzyjemnie. – Innych się nie wstydzisz?

– Jakich innych? – Lion rozejrzał się.

Dziewczynka gwizdnęła na palcach i z krzaków zaczęli wyłaniać się „inni”. A raczej „inne”.

Tam było z dziesięć dziewczyn! Więcej! Ze dwadzieścia! Najmłodsza mogła mieć dziesięć lat, najstarsza czternaście. Wszystkie w ubraniach w kolorze khaki, wszystkie wymalowane na zielono i z kuszami w ręku. I wszystkie patrzyły na nas drwiąco, bez cienia pobłażliwości.

Lion w milczeniu wciągnął dzinsy na mokre kąpielówki i włożył kurtkę.

## Rozdział 2

Szliśmy we trójkę – dziewczynka z przodu, my za nią. Jej koleżanki rozproszyły się wśród drzew, tylko czasami dostrzegałem lekki ruch.

– Jak się nazywasz? – spytałem pięć minut później, gdy zrozumiałem, że nie odezwie się do nas pierwsza. – Jakoś tak niezręcznie, że nie znamy twojego imienia!

– Natasza.

– Dokąd idziemy?

– Zobaczysz.

Ja i Lion popatrzyliśmy na siebie i wzruszyliśmy ramionami. Co z taką robić?

Przesunąłem dłonią po pasku spodni. Żeby zerwać bicz wystarczy dwie sekundy... Dobrze, ale co potem? Nawet jeśli obezwładnię dziewczynę, to przecież jakoś głupio ją bić. Apozostałe? Co zrobimy, jeśli zasypią nas strzałami z kusz? Przecież nie jestem fagiem, żeby odbijać strzały w locie!

– Słuchaj, czemu nas zaatakowałyście? – zapytałem. – Czy kogoś skrzywdziliśmy? A może nie wolno się tu kąpać? Może to teren prywatny? Nie wiedzieliśmy o tym, po prostu zabłądziliśmy!

– Jakiś czas temu – burknął Lion.

– Kiedy dokładnie? – zainteresowała się nagle Natasza.

– Z miesiąc temu.

– Kłamiecie. W waszym szałasie nikt nigdy nie spał. Zrobiliście go niedawno i to byle jak.

Obraziłem się za to „byle jak”, ale nie dałem tego po sobie poznać.

– Przedtem mieszkaliśmy nad innym jeziorem. Ale jak skończyły się ryby i pozrywaliśmy wszystkie orzechy, postanowiliśmy się przenieść.

– Tak? I przez miesiąc nie udało wam się znaleźć ludzi? Przecież to trzeba być kompletnym tępakiem!

– Baliśmy się... – mruknąłem.

– Czego? – Natasza przystanęła i popatrzyła na nas.

– Nie wiecie? – zapytał agresywnie Lion. – Też jesteście kompletnie tępe? Tam się coś stało z ludźmi! Wszyscy zasnęli! Ktoś zaatakował planetę! Od razu uciekliśmy, bo tylko my nie usnęliśmy...

– I tak się przestraszyliście, że przez cały miesiąc nie próbowaliście sprawdzić, co się stało? – wykrzyknęła Natasza. – Mieszkaliście w lesie?

Nie zareagowaliśmy. Zrobiło nam się wstyd.

– Chłopaki... – powiedziała wzgardliwie Natasza. – Słusznie mówią, że z jednej dziewczynki jest więcej pożytku niż z dziesięciu chłopców.

– Niby kto tak mówi? – obruszył się Lion. Natasza prychnęła.

– Kto chce, to mówi.

– Myślałby kto, że wy się nie przestraszyliście! – wykrzyknął Lion. – Nie chowacie się? Nie uprawiacie partyzantki, nie walczycie ze Szronem?

Oczy Nataszy zrobiły się złe i podejrzliwe.

– Ze Szronem? Skąd wiesz o Szronie, skoro od razu uciekliście? Ledwie się powstrzymałem, żeby nie zdzielić Liona w kark, ale on szybko się poprawił:



– Jak uciekaliśmy, to najpierw jechaliśmy kawałek samochodem. Tam był telewizor i widzieliśmy wystąpienie sultana o tym, że przyłączamy się do Szronu. To pewnie jakaś broń, która na nas nie podziałała. Zrobili wszystkim pranie mózgu i teraz oni są jak zombi.

– To się jeszcze zobaczy, czy jesteście zombi, czy nie... – Natasza machnęła ręką. – Idźcie przodem.

Szliśmy tak ze dwie godziny. Ominęliśmy kilkanaście małych jezior, przeszliśmy przez bagno (pozostałe dziewczynki podeszły bliżej i starały się trzymać razem), w końcu wyszliśmy na przedgórze. Na szczycie wzgórza rosły wspaniałe zagajniki, ale zbocza były nagie, nie rosła tam nawet trawa. Natasza rozglądała się czujnie, jakby oczekując zasadzki. Ale nikogo nie było, tylko ptaki śpiewały na drzewach. Wieczorami sikorki zawsze przylatują z lasu do Pasma Charitonowa.

– Boicie się? – spytałem zjadliwie. Natasza popatrzyła na mnie z pogardą i wycedziła:

– Jesteśmy ostrożne. Maria! Podeszła jedna z dziewczynek.

– Kiedy będzie okno? – spytała Natasza.

Maria, zerkając na nas, wyjęła z kieszonki kurtki komputer i spojrzała na monitor.

– Za siedemnaście minut jest czterominutowe.

– Za mało.

– Za czterdzieści dwie minuty jest okno na dziewięć minut.

– Pasuje – Natasza popatrzyła na nas. – Umiecie biegać?

– No pewnie.

– Za czterdzieści minut nad nami nie będzie satelity zwiadu wizualnego – wyjaśniła Natasza. – Satelity kontroli energetycznej nie musimy się bać.

Zrozumiałem teraz, skąd ta prymitywna broń i skinałem głową.

– W ciągu dziewięciu minut będziemy musieli wejść o, tam... – Natasza pokazała zagajnik, wieńczący najbliższe wzgórze. – Jak zostaniecie z tyłu – zastrzelę was. Słowo honoru.

Uwierzyliśmy jej.

Okazało się, że wspinaczka wcale nie jest taka prosta.

Wydawało mi się, że do zagajnika dobiegniemy bez trudu. Zawsze dobrze biegałem, a przez dziewięć minut można dolecieć w dowolne miejsce. Nie wziąłem pod uwagę, że trzeba będzie biec pod górę.

Kamienie, niewidzialne krzaczki, ukryte dołki – wszystko specjalnie pchało się nam pod nogi. Niemal od razu ja i Lion zostaliśmy w tyle. A dziewczyny szły jak burza! Skąd one mają tyle siły?

Tylko Natasza i jeszcze jedna dziewczynka trzymały się za naszymi plecami z przygotowanymi do strzału kuszami. I klęły tak, że na każdej porządnej planecie odesłano by je do specjalnego zakładu na leczenie i resocjalizację. Ja i Lion dawaliśmy z siebie wszystko, bo było nam wstyd, że jesteśmy słabsi od nich. Nie mówiąc już o tym, jak dopingowały nas groźby wsadzenia strzały w tyłek przy najbliższym potknięciu.

Jednak zdążyliśmy. Gdy dobiegliśmy, wszystkie dziewczynki prócz naszych konwojek były już w zagajniku i celowały do nas z kusz. Bez tchu, ledwie powłócząc nogami, padliśmy pod drzewami. Nasze bezlitosne strażniczki stały nad nami nawet nie zasapane. Wszystkie dziewczynki przyglądały się nam z ciekawością.

– Jak tam, Masza? W porządku? – spytała Natasza.

– Aha – pisnęła Maria. – Dwadzieścia sekund zapasu.

Leżałem na plecach, dyszałem ciężko i myślałem o tym, że nigdy się nie ożenię. A jeśli już, to z muzułmanką, bo one wychowane są w posłuszeństwie wobec męża.

Ale o Rosjanach też się mówi, że mają ciche i posłuszne żony. A te tutaj prawie wszystkie były Rosjankami. Czyli kłamstwo jak nie wiem.

– Wstawać, cieniasy – zakomenderowała Natasza. – A może mamy was zanieść na rączkach, jak dzidziusiów?

Dziewczynki zaśmiały się drwiąco.

Wstałem i pośliniłem zadrapania na rękach. Lion ponuro obmacał nogi – był na bosaka, a biegliśmy po kamieniach.

– Dajcie mu bandaż – rzuciła Natasza.

Któraś z dziewczynek podała Lionowi butelkę z bandażem w sprayu, ale on odsunął rękę z flakonem i wstał. Stopy miał obite o kamienie i zakrwawione.

– Ale dumny – prychnęła Natasza.

Tym razem żadna dziewczynka się nie roześmiała. Weszliśmy na szczyt wzgórza. Ciekawe, czemu drzewa rosły tu tak dziwnie...

– Boli? – spytała Natasza. Nie wiadomo, czy odnosiło się to do mnie, czy do Liona, i żaden z nas nie odpowiedział.

Po kilku minutach dotarliśmy do obozu – identycznego jak na filmach o skautach. Szczyt wzgórza był płaski, ścięty, drzewa rosły tu gęsto, a między nimi, niemal niewidoczne wśród zieleni, stały szałas z gałęzi. Miejsce na ognisko przykrywała od góry spleciona z gałęzi krata – pewnie miała rozpraszać dym i osłaniać płomień. Nie było tu źródełek, ale na kilku drzewach wisiały wielkie, przezroczyste baniaki z wodą. Wszystko zostało bardzo rozsądnie urządzone.

– Stać – zakomenderowała Natasza i podeszła do największego i najmocniejszego szałasu. Ziemia przed nim było wydeptana i pokryta spiralnymi wzorami, jakby ktoś całymi godzinami jeździł tu na rowerze.

Na wszelki wypadek dotknąłem bicia. Na pozór zwyczajnie wsunąłem ręce za pasek, a w rzeczywistości szykowałem się do walki.

Natasza tymczasem zastukała do szałasu jak do drzwi – wyglądało to strasznie śmiesznie.

– Proszę! – odpowiedział ze środka nieprzyjemny, starczy głos. Natasza odsunęła zasłaniającą wejście zasłonę i weszła do szałasu. Od razu zaczęła coś szybko mówić szeptem, dolatywały tylko urywki zdań: „...szpiegów... głośny gwizd i hałas... pobiegłyśmy w tamtym kierunku... ślad lądowania na pięćdziesiąt metrów... mówią, że zabłądzili... kłamią... szpiegdy...”

Więc o to chodziło! Usłyszały odgłosy lądowania i oczywiście nie uwierzyły w ani jedno nasze słowo.

Rozmówca Nataszy z rozdrażnieniem wyrzucał jej, że nie należało ciągnąć tu szpiegów, tylko przesłuchać ich na miejscu i „po co ten brud”...

I wtedy sobie przypomniałem!

– Jurij Siemiecki junior! – wrzasnąłem. – Hodowca świń z Avalonu! W szałasie coś upadło i rozbiło się, cicho zabuczał silnik. Wszystkie dziewczynki wymierzyły do mnie z kusz, a ja krzychałem dalej:

– Jurij! Tu Tikkirey i Lion! Pamiętać nas pan? Proszę sobie przypomnieć! Jestem tamtym chłopcem z kosmodromu!

Z szałasu wyjechał wózek inwalidzki, robiąc zawadiacki wiraż, i łysy staruszek w garniturze i krawacie utkwiał we mnie wzrok. Z lewej dłoni sterczał kołyszący się mały śrubokręt. Jak się okazało, Siemiecki miał protezę dłoni i mój wrzask odciągnął go od jakiejś naprawy czy regulacji. Natasza, która też wyskoczyła z szałasu, stanęła za wózkiem i wycelowała do mnie z kuszy.

– Chłopiec z kosmodromu? – wykrzyknął zdumiony Siemiecki. – Ten, który był z... – urwał.

Jego młody, żywy wzrok badał mnie uważnie, potem Siemiecki popatrzył na Liona.

– „Dokąd pan niesie tego chłopca?” – krzyknąłem, przypominając mu. – No? Pamięta pan?

– Święty Boże i wszyscy męczennicy! – wykrzyknął hodowca świń. – Dziewczęta, zabierzcie broń! To przyjaciele!

Nie wiem, dlaczego, może z ulgi, a może z zaskoczenia, ale nagle poczułem, że płaczę. Podbiegłem do Siemieckiego, przytuliłem twarz do jego zapadniętej piersi i rozplakałem się na całego. Brylantowa zapinka jego krawata boleśnie kłuła mnie w policzek, ale nie odwracałem głowy. Sucha, starcza dłoń delikatnie głaskała mnie po włosach.

– No co wy, dziewczynki... – powiedział z wyrzutem Siemiecki, jakby sam przed chwilą nie żądał doraźnego przesłuchania. – Czego tak stoicie?

– Dziadku... my... – ledwie poznałem teraz głos Nataszy, był taki przepraszający.

– Ajajaj... – narzekał dalej Siemiecki. – Ja też jestem nie lepszy, ależ was wychowałem, wy moje małe Amazonki... Popłacz sobie... – to już było do mnie. – Ja przez tych postrzeleńców sam nie raz płaczę...

Teraz, gdy dostałem pozwolenie na płacz, od razu mi się odechciało. Zawstydzony odsunąłem się od Siemieckiego i rozejrzałem. Dziewczyny wyglądały na speszone i żadna się nie śmiała.

Szczególnie stropiona była Natasza.

A Siemiecki już wydawał polecenia:

– Pierwszy zastęp, ognisko i kolacja. Drugi, obserwacja i nasłuch radiowy. Trzeci zastęp – odpoczynek. Sanitariuszki – opatrzyć chłopcom rany. Nataszo, czekam na pełny raport.

Skinął nam serdecznie głową i wjechał do swojego szałasu. Nie zdążyliśmy się nawet obejrzeć, jak zajęły się nami dwie dziewczynki. Teraz już nie odrzuciliśmy pomocy. Syczał bandaż, krzepnąc na zadrapaniach i sińcach, dziewczęta robiły nam zastrzyki przeciw tężcowi, a Lionowi przyniosły niemal nowe adidas i skarpety. Wszystko było bardzo kolorowe, dziewczyńskie, ale on i tak założył.

Natasza stała z boku, czerwona i nabzdyczona. Pewnie myślała o czekającej ją naganie.

– Nataszo, my się wcale nie gniewamy – powiedziałem. Teraz, gdy wszystko się wyjaśniło, chciałem być szlachetny jak bohater filmu gangsterskiego. – Rozumiemy, że wyglądaliśmy podejrzanie...

Dziewczyna skinęła głową, zerkając na szałas Siemieckiego.

– I tak jej się oberwie od dziadka – wyjaśniała z żalem dziewczynka-sanitariuszka, przecierając mi zadrapanie tamponem bakteriobójczym. – Jest dla niej bardzo surowy.

– Dlaczego?

– Żeby nikt nie pomyślał, że wyróżnia i rozpieszcza własną wnuczkę. Tak naprawdę to jego prawnuczka, ale on mówi na nią „wnuczka”.

Pomyślałem, że Nataszy będzie niewesoło. Ale pewnie nie należało się wtrącać, Siemiecki mógłby się rozgniewać.

– A ja się cieszę, że nie jesteście szpiegami – podsumowała sanitariuszka, sympatyczna dziewczyna, tylko chuda, jak one wszystkie. – Kiedyś złapaliśmy prawdziwych szpiegów.

– I co?

– Przesłuchaliśmy, a potem rozstrzelaliśmy – odparła surowo dziewczynka. – Przecież nie mogliśmy ich wypuścić.

Nie miałem ochoty oszukiwać Siemieckiego, na szczęście okazało się, że nie muszę. Gdy weszliśmy do jego szalasu i usiedliśmy na matach przed fotelem, staruszek od razu wziął byka za rogi.

– Po pierwsze, nie musicie nam nic opowiadać. Jasne? – popatrzył na nas srogo. – Wszystko rozumiem... I w ogóle...

Mrugnął do nas nieoczekiwanie.

– Już na kosmodromie wszystko zrozumiałem. Przecież fąg nie ratowałby zwykłych chłopców! A o tym, że fągowie pracują właściwie od dzieciństwa, na Avalonie wie każdy głupi. Moja brygada jest do waszej dyspozycji! Ale numer! Siemiecki wziął nas za młodych fągów! A z drugiej strony, co miał pomyśleć?

– Musimy dostać się do stolicy – powiedziałem. – Pomożecie nam?

– Pomożemy – skinął głową Siemiecki. – Natasza, skuter na chodzie?

– Tankujemy – odpowiedziała krótko jego wnuczka. Stała za plecami staruszka i w skupieniu grzebała testerem w otwartym panelu sterowniczym wózka. – Dziadku, czy znowu liczyłeś w strumieniu?

– Cicho! – Siemiecki znowu mrugnął. – Nie bójcie się, nie jestem wariatem. Ale pewne wyliczenia łatwiej zrobić w ciągu dziesięciu minut bezpośredniego podłączenia do komputera. To na kiedy skuter będzie goto – wy, Nataszko?

– Na rano. – Natasza potrząsnęła głową, znowu odrzucając z twarzy wyimaginowane włosy. Popatrzyła na mnie spođe łba.

– Czy to was urządza? – zapytał Siemiecki.

– Urządza... – wymamrotałem. Przepadał nam tydzień leśnych przygód...

– Macie dla nas jakieś zadania? – zapytał rzeczowo Siemiecki, bynajmniej nie speszony, że miałby przyjąć polecenia od nastolatków.

– Opowie nam pan, co to za brygada? – zainteresował się Lion.

– Brygada jak się patrzy – Siemiecki uśmiechnął się czule. – Zespół pieśni i tańca hip-hopowego „Wesołe jaskry”.

– Dziadku! – zawołała z wyrzutem Natasza.

– Ci chłopcy mają prawo wiedzieć wszystko – uciął Siemiecki. – Przybyłem na Nowy Kuwejt, żeby dopingować moją wnuczkę, która jest... była... solistką zespołu. Odbywał się tu międzynarodowy festiwal... a ja jestem sponsorem „Wesołych jaskrów” – chrząknął – a jeśli mam być szczerzy, dyrektorem handlowym i właścicielem. Właśnie mieliśmy odlecieć, gdy się to wszystko zaczęło. Chwała Bogu, żadnej dziewczynce nic się nie stało, zaraza nie podziałała. Po spotkaniu z wami przemyślałem sprawę... i gdy zrozumiałem, że nie zdążymy wystartować, zabrałem swoje

dziewczeta. Trzeba było do razu startować, a nie ładować statek! – Siemiecki uderzył pięścią w poręcz fotela.

– Od razu mówiłam – wtrąciła szybko Natasza.

– Ja i moje dziewczynki wyruszyliśmy do miasta...

– Dziadku!

– Dobrze, dobrze. Teraz to specjalna brygada imperialna – „Jaskrawi”. Zgodnie z prawem o stanie nadzwyczajnym, jako były kapitan służb bezpieczeństwa mam prawo zmobilizować każdego obywatela Imperium do udziału w operacji specjalnej.

– Służył pan w SB? – zachwycił się Lion.

– Dawno temu – skinął głową Siemiecki. – Ale stary wół bruzdy nie psuje... W naszym fachu, przyjacielu, nie odchodzi się na emeryturę.

– Więc wcześniej tańczyliście hip-hop? – wykrzyknąłem, zwracając się do Nataszy. – A teraz zajmujecie się partyzantką?

– Cóż w tym takiego dziwnego? – odpowiedział za dziewczynkę Siemiecki. – Wiesz, jak dziewczynki z zespołu ciężko pracowały? To gorsze od przygotowania wojskowego.

– Spróbuj zrobić potrójny przewrót na jednej ręce – burknęła Natasza, lekko się czerwieniąc.

Przypomniałem sobie, jak radziły sobie z kuszami i biegly przez las. Faktycznie, nieźle przygotowane!

– Poza tym, dziewczeta uczyły się sztuki walk – ciągnął Siemiecki. – Wspaniale rozwija umiejętność regulowania oddechu oraz zręczność. Nie skłamię, jeśli powiem, że w pojedynku jeden na jednego Natasza jest w stanie pokonać każdego dorosłego mężczyznę. Jeśli, rzecz jasna, nie przeszedł on specjalnego szkolenia.

– No i co potem zrobiliście? – dopytywałem się.

Siemiecki i Natasza popatrzyli na siebie. Hodowca świń skinął głową i Natasza zaczęła „raport”:

– Zniszczonych zostało około siedemdziesięciu jednostek żywej siły przeciwnika, trzy samochody piechoty, ciężki czołg, dwa skutery zwiadowcze i cztery sondy automatyczne. Wysadzono w powietrze dwa magazyny wojskowe, siedem kilometrów kolejki linowej, dwa górskie tunele o łącznej długości sześćdziesięciu dziewięciu metrów i trójprzęsłowy most długości stu osiemdziesięciu metrów. Rozpowszechniono około czterdziestu tysięcy ulotek, trzy razy umieszczono w ogólnoplanetarnych sieciach informacyjnych wydanie wiadomości ruchu oporu. Rozesłano ponad trzysta milionów listów elektronicznych, wzywających ludność do czynnego sprzeciwu, wymyślono i rozpowszechniono około czterdziestu dowcipów ośmieszających armię i władze Szronu.

Ja i Lion zachichotaliśmy, Siemiecki popatrzył na nas surowo.

– Nie ma się z czego śmiać, chłopcy! Dziesięć żartów opowiedzianych we właściwym momencie może spowodować większe straty niż pocisk atomowy! Jak to się mówi – kropla draży skałę...

– Zebrano ogromną ilość informacji – kontynuowała Natasza – prowadzona jest praca z ludnością. Planujemy... – zawahała się – akcję eliminacji na wyjątkową skalę. To wszystko. Wszystko, dziadku?

– Jeszcze o ciosie raketowym – przypomniał Siemiecki. – I o samym oddziale.

– Stolicy zadano cios raketowy, skutków nie znamy – powiedziała z żalem Natasza. – W zdobytym magazynie wojskowym były zestawy raketowe „Samum”... W oddziale nie ma strat w ludziach, są jedynie chorzy i lekko ranni. Nastrój dobry, skład osobowy gotów nadal służyć Imperium.

– Takie właśnie są moje dziewczynki – powiedział z dumą Siemiecki. 1 – Przedtem miałem jedną wnuczkę, teraz trzydzieści pięć.

– Niech pan nam powie, co się właściwie dzieje na planecie? – zapytałem. – W Imperium niewiele wiedzą...

Siemiecki westchnął.

– Mamy pewne informacje. Na planecie jest nienajlepiej, chłopcy. O ile zrozumieliśmy, ludności Nowego Kuwejtu zrobiono pranie mózgu przez gniazda, tak?

Skinąłem głową.

– Informacje szły w wyprodukowanych na Szronie programach, a gniazdo posłużyło jako detonator?

Znowu skinąłem.

– Kiepska sprawa – Siemiecki znowu westchnął. – Otóż sytuacja wygląda tak. Około dziewięćdziesięciu procent dorosłej ludności poddano praniu mózgu – mam tu na myśli ludzi powyżej dziesiątego roku życia. Dzieci również zostały częściowo zindoktrynowane. Te łajdaki umieściły swoje programy nawet w kreskówkach! Uratowali się jedynie ci, którzy rzadko oglądali programy rozrywkowe czy przyrodnicze – ludzie pochłonięci swoją pracą albo jakąś pasją... Zagorzali turyści, sekciarze, pracoholicy, naturyści z ligi „Ku naturze”... Ale nawet oni długo nie wytrzymają. Po pierwsze, jak można oprzeć się ogólnonarodowej miłości do Szronu? Jak długo można żyć w opozycji do rodziców, współmałżonków, dzieci i przyjaciół... Wszystkim tym, którzy zapewniają cię, że posłuszeństwo i służenie Szronowi to sens istnienia? Po drugie, istnieje coś takiego jak indukcja psychiczna. Rozumiecie? Jeśli zdrowego człowieka umieści się wśród chorych psychicznie, prędzej czy później zdrowy uwierzy w ich racje. Najważniejsze, żeby brednie były konsekwentne i żeby opowiadali je ludzie, których szanujemy. Jeszcze ze dwa miesiące i cały naród Nowego Kuwejtu będzie bezgranicznie oddany Szronowi i pani prezydent.

– Prezydent jest kobietą? – stwierdziłem. Siemiecki skinął głową.

– Tak. Nazywa się Inna Snów. Uśmiechnąłem się mimo woli.

– Tak, nazwisko znaczące – przyznał Siemiecki. – Ale owa pani... O, z nią nie będzie łatwo... Siemiecki wyjął z kieszeni kawałek kartki, najwidoczniej wyrwany z jakiegoś czasopisma. Fotografia była nawet trójwymiarowa...

Na zdjęciu niewysoka kobieta w luźnym, białym stroju stała pośród uśmiechniętych radośnie ludzi: żołnierzy w mundurach, cywilów w garniturach, kosmonautów w skafandrach... Jedną ręką trzymała łapkę chłopca w kolorowym ubranku, drugą położyła na ramieniu inwalidy na wózku... Zerknąłem na wózek Siemieckiego – stanowczo był lepszy. Twarz kobiety zasłaniał szczelny, biały woal.

– Nikt nie widział jej twarzy? – zdumiałem się. Staruszek skinął głową.

– Przecież to może być Obcy! – krzyknąłem. – Śmierdząca Czygu w skafandrze albo Bóg jeden wie kto!

– To bez znaczenia – odparł Siemiecki. – Wszyscy, którym zrobiono wodę z mózgu, wierzą, że jest to miła, dobra i mądra kobieta w średnim wieku. Sam widzisz, że gapią się na nią jak wół na malowane wrota...

– Głupcy – powiedziałem i cos mnie podkusiło, żeby spojrzeć na Liona. Lion patrzył na zdjęcie z rozanielonym uśmiechem – takim samym, jaki mieli na twarzach ludzie z otoczenia Inny Snów.

Zgniotłem kartkę i oddałem Siemieckiemu. Lion drgnął i przestał się uśmiechać.

– Tak to właśnie wygląda – westchnął staruszek. – Czemu zwlekacie?

– My nie podejmujemy żadnych decyzji – odparłem szybko. – Mamy swoje zadanie...

– Rozumiem – westchnął znowu Siemiecki. – Każda sroka swój ogonek... Dobrze, chłopcy.

Dodaliście nam otuchy samym faktem zjawienia się tutaj. Odpocznijcie, rano dziewczynki podrzucą was do stolicy.

– Ja poprowadzę skuter – powiedziała twardo Natasza. Siemiecki mruknął coś, ale nie spierał się.

Wieczorem wszyscy siedzieli przy ognisku – wszyscy, prócz Siemieckiego, który pozostał w szałasie przed przenośnym telewizorem. Albo chciał wyłowić jakąś ważną informację w strumieniu propagandy Szronu, albo nie chciał peszyć dziewczynek.

Dzielne bojowniczkim imperialnej brygady specjalnej „Jaskrawi” słuchały z zapartym tchem opowieści Liona o Avalonie. Wszystko je interesowało, żadna z nich nigdy nie opuszczała Nowego Kuwejtu. Oczy niektórych dziewczynek zwilgotniały, ale żadna nie płakała.

– Wymyślono nowe ozdoby choinkowe – opowiadał Lion, żywo gestykulując. – Polimorficzne, zmieniają nie tylko kolor, ale również kształt.

Choinka jest na przemian cała w bombkach, dzwoneczkach albo latarenkach... Na Nowy Rok nad Camelotem urządza się całonocną iluminację laserową...

No proszę. A przecież w Nowy Rok Lion był jeszcze „nienormalny”... To znaczy, że wszystko zapamiętał... jak najpierw siedzieliśmy we dwóch, potem przyszedł Staś, a potem jeszcze Rosi i Rossi... A później pojechaliśmy do Camelotu...

Przypomniałem sobie swoich przyjaciół z Avalonu i zrobiło mi się smutno.

Nad ogniskiem podwieszono kratę z gałęzi, dym opływał ją i pierścieniem płynął ku niebu. Płasały czerwone języki ognia, rzucając jasne błyski na twarze dziewcząt. Jakaś mała partyzantka, wpatrująca się w Liona z zachwytem, położyła głowę na kolanach koleżanki i przysnęła.

Wstałem i po cichu odszedłem od ogniska. Zajrzałem do szałasu Siemieckiego, ale inwalida nasunął na oczy płytkę telewizora i oglądał coś w skupieniu, od czasu do czasu cmokając.

Zacząłem spacerować po zagajniku, na wszelki wypadek nie wychodząc spod koron drzew. Zatrzymałem się na skraju i zobaczyłem w oddali ciemną sylwetkę Pasma Charitonowa. Na najwyższym szczycie połyskiwało czerwone światełko.

– To stacja meteorologiczna i rezerwowe centrum telewizyjne Agrabadu – powiedział ktoś obok mnie.

Drgnąłem i odwróciłem się. Z trudem dojrzałem w ciemnościach Nataszę. Siedziała z kolanami pod brodą i patrzyła na góry.

– Co tu robisz? – przestraszyłem się i próbowałem zatrzeć strach wrogością. Natasza odpowiedziała spokojnie:

– Patrzę na góry. Są takie piękne. Tylko tam jest bardzo ciężko... zimno i łatwo spaść.

Usiadłem obok niej i zapytałem:

– Nie boisz się walczyć?

– Boję – odparła szczerze Natasza. – Prawie wszystkie się boimy. Dianka się nie boi, ale ona jest niewrażliwa. Kira i Mirta też mówią, że się niczego nie boją, ale myślę, że kłamią.

– Masz bardzo dzielnego dziadka.

– Aha, i mądrego. Długo z nami rozmawiał, zanim zdecydowaliśmy się zostać partyzantami. O

Szronie... i w ogóle.

– I przekonał was?

– Tak. Wyjaśnił, że najważniejsza wolność jest zawsze wewnątrz człowieka. W duszy. Nawet najstraszniejsi tyrani w historii ludzkości nie zdołali odebrać człowiekowi prawa do myślenia po swojemu, a Szron właśnie to chce zrobić. To nieistotne, czy nas zabiją, czy zaprogramują. I tak to już nie będziemy my.

– Aha – powiedziałem. Ale w głębi duszy pomyślałem, że zamknięcie człowieka w więzieniu jest mimo wszystko gorsze. Przecież zombi nie rozumieją, że odebrano im wolność.

– Trudno być fagiem? – spytała nagle Natasza.

– Co? A... Zależy.

– To prawda, że niczego się nie boicie? Absolutnie niczego? Bardzo chciałem się przyznać, że nie jestem fagiem, ale wiedziałem, że nie mogę.

– Nawet fagowie się boją – powiedziałem. – Zwłaszcza, gdy niebezpieczeństwo grozi nie im.

Natasza skinęła głową w ciemnościach.

– Tikkireyu...

– Co?

– Wiesz, ja sobie tak myślę, że wszystkie zginiemy – powiedziała. – Nie możemy ukrywać się w nieskończoność... Wystarczy, że wystrzelą w naszą stronę jedną raketę i już po nas.

– Przecież się ukrywacie.

– I tak nas złapią. Jesteśmy bardzo ostrożni... Ognisko palimy tylko dlatego, że jesteśmy na szczycie wzgórza – a to wzgórza wulkaniczne, często biją tu gorące źródła. Ale wcześniej czy później i tak nas odkryją – jeśli do tego czasu Imperium nie przybędzie z pomocą.

Milczałem – co mogłem powiedzieć? Nie miałem pojęcia, kiedy zacznie się wojna ze Szronem.

– Tikkireyu... Pocałuj mnie – poprosiła nieoczekiwanie Natasza. Aż mi dech w piersiach zaparło.

– Jeszcze nigdy się nie całowałam – wyznała Natasza. – Jak nas złapią, będzie mi żal, że ani razu się nie całowałam. Pocałujesz mnie?

– Ee...

– Nie podobam ci się?

– Podobasz... – powiedziałem, chociaż w Nataszy nie było nic szczególnego.

– Pocałuj mnie. Tylko raz – poprosiła Natasza i odwróciła się do mnie. Być może całowanie wchodzi w skład umiejętności fagów, ale ja nie byłem fagiem i nigdy tego nie robiłem. Miałem ochotę zerwać się i uciec, ale głupio byłoby tak stchórzyć. Zobaczyłem, że Natasza zamknęła oczy i trochę mnie to ośmieliło.

Przecież nie muszę się z nią żenić!

Ostrożnie dotknąłem wargami jej ust. Nic szczególnego, tylko serce zaczęło mi bić jak szalone.

– To już koniec? – spytała cicho Natasza.

– Tak...

– Dziękuję – powiedziała niepewnie.

I wtedy nachyliłem się i znowu pocałowałem ją w usta. Dokładnie tak samo, jak poprzednio, ale teraz miałem wrażenie, że przeszył mnie prąd. Natasza chyba poczuła to samo, bo cicho krzyknęła.



Zerwałem się na równe nogi, ruszyłem w stronę ogniska i zatrzymałem się poza kręgiem światła. Dziewczynki nadal siedziały, słuchając opowieści Liona. Za moimi plecami zaszeleściły gałęzie – to Natasza pobiegła do szałasów dziadka.

Z głośno bijącym sercem usiadłem przy ognisku. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, moje nagłe zniknięcie i pojawienie nikogo nie zainteresowało. Pewnie pomyślały, że wstałem od ogniska, żeby się wysikać.

## Rozdział 3

Na Kopalni pod kopułami też płynie rzeczka. Ale po pierwsze jest sztuczna, z filtrowaną wodą, a po drugie płynie w kółko, tworząc pętlę. Prawdziwe rzeki na Avalonie i Nowym Kuwejcie podobały mi się znacznie bardziej i już zdążyłem się do nich przyzwyczaić.

Ale ta góraska rzeka, wzdłuż której schodziliśmy, była zupełnie inna.

Wyszliśmy z obozu po ciemku, o czwartej rano – ja, Lion i Natasza z dwiema koleżankami. Siemiecki pożegnał się z nami w obozie, objął nas i powiedział: „Ptaka poznaje się po locie, konia po chodzie, a człowieka po czynach. Powodzenia!”

Czterdzieści minut później stanęliśmy nad rzeką, wijącą się między wzgórzami. Prąd nie był tu tak silny, jak w wysokich górach, ale rzeka huczała i pieniła się. Widać było głazy, progi, a przez krystalicznie czystą wodę prześwitywało nawet kamieniste dno. Zwykłą łódką nie dalibyśmy rady przepłynąć, ale na brzegu, między skałami, stał niewielki skuter, na którym mieściła się jedna dorosła osoba.

– Włazić na siedzenie – zakomenderowała Natasza, gdy spuściliśmy skuter na wodę. Lion usiadł za mną, a ona stanęła przy drążkach sterowniczych. Pomachała ręką dziewczętom, które nas odprowadzały. Dziewczyny wyglądały na zaniepokojone, widocznie spływ po tej rzece nie należał do najłatwiejszych. – Trzymajcie się mocno – poradziła nam Natasza. – Jak spadniecie, będzie po was.

– Nie ma tu jakichś pasów? – zapytał Lion.

– Coś ty, że sputnika się urwał? Gdyby skuter się przewrócił, a ty byłbyś przypięty, rozwałkowałoby cię po dnie.

– Kamizelki ratunkowe? – nie poddawał się Lion.

– Nie mamy... Zresztą, woda jest lodowata, od razu złapałby cię skurcz... Trzymaj się po prostu i już...

Skupiona Natasza zaciskała i rozluźniała dłonie na drążkach. Szykowała się.

Poczułem strach.

– Jazda! – wykrzyknęła dźwięcznie Natasza i zauważyłem, jak napięły się jej plecy, jak pod cienkim sweterkiem zarysowały się łopatki. Dziewczyna pochyliła się do przodu, dysza silnika zanurzyła się w wodzie i skuter ruszył.

To dopiero była jazda! Coś takiego widziałem tylko na filmach!

Skuter mknął w dół rzeki, czasem dysza wyskakiwała z wody i wtedy huk wodnych pędników strumieniowych stawał się nie do zniesienia. Natasza pochyliła się to w lewo, to w prawo, reagując na przechyły skutera. Wiedzieliśmy, że musimy robić to samo, ale strasznie trudno było stłumić pragnienie odsunięcia się od wody! Wokół nas ryczały fale, pod nimi kryły się ostre kamienie, a wszystko wyglądało tak groźnie w zdradliwym półmroku przedświt!

– Skok! – krzyczała Natasza i wzbijaliśmy się w powietrze z ogłuszającym rykiem forsowanych silników i pokonywaliśmy kolejny próg. – Spocznij !

Miałem ochotę odwrócić się i sprawdzić, czy widać dziewczynki na brzegu rzeki, czy nadal machają nam rękami, ale bałem się odwrócić głowę.

Wpatrywałem się w plecy Nataszy, czułem, jaki spięty jest siedzący za mną Lion, a twarz siekały mi bryzgi lodowatej wody i potężne uderzenia wiatru. Nie wiem, jak długo trwała ta szaleńcza jazda,

ale po pewnym czasie zaczął się zmieniać krajobraz. Skały i wzgórza zastąpiła równina, znikły sterczące z wody głazy, progi były coraz rzadsze. Rzeka stała się szersza, prąd spokojniejszy.

– No to żyjemy! – wrzasnęła Natasza. Była cała mokra. Nas też zmoczyło, ale mniej.

– Nie przeziębisz się? – krzyknąłem.

– Co? – zmniejszyła moc silnika, ryk przeszedł w świst i łatwiej było rozmawiać.

– Nie przeziębisz się?

– Przeziębę! – kiwnęła Natasza. – Ale co tam, dziadek mnie wyleczy. Tikkireyu, nie gniewasz się?

– Za co? – zapytałem, domyślając się tego, co powie.

– Za to, że was na początku aresztowałyśmy – powiedziała Natasza i roześmiała się. Odwróciła się na chwilę i mrugnęła.

Jak ja nie znoszę dziewczyn! Dlaczego są takie wredne?

– Co tam, każdemu się może zdarzyć. Koń ma cztery nogi i też się potknie – odparłem.

– Ojejku! – wykrzyknęła Natasza. – Przecież to powiedzonko dziadka! Skierowała skuter bliżej brzegu i zmniejszyła prędkość.

– Długo jeszcze będziemy płynąć?

– Idzie się ponad godzinę – odparła Natasza. – Tikkireyu, zsuń kolana, dobrze?

Nie wiedziałem, po co, ale zsunąłem. Od razu usiadła mi na kolanach i złośliwie powiedziała:

– Tylko nie wyobrażaj sobie, że aż tak mi się podobasz. Po prostu ciężko mi stać.

– Lepiej uważaj, jak sterujesz! – odezwał się zza moich pleców zaniepokojony Lion.

– Już ty mnie nie ucz!

Świtało. Słońce jeszcze nie wyłoniło się zza horyzontu, ale niebo na wschodzie poróżowiało, a delikatne piórka chmurek stały się białe. Niebo przecięło jasne światło – jakaś duża, przelatująca nisko stacja weszła w promienie wschodzącego słońca.

– Zauważyli nas? – spytałem.

– Najgroźniejszy odcinek już za nami – wyjaśniła Natasza. – Tutaj normalnie pływają łódki, nie sądzę, żeby zaczęli nas podejrzywać...

– Będziesz wracała skuterem? Natasza pokręciła głową:

– Nie starczy paliwa, zresztą w dzień zauważyliby mnie na pewno. Zatrzymam się na kilka dni... w pewnym miejscu. Mamy tu tajne kryjówki.

Nie powiedziała, gdzie i u kogo się zatrzyma, a ja nie pytałem. Gdyby mnie złapali, to i tak nic nie powiem, bo nie będę wiedział.

Mijaliśmy pola. Powoli wirowały agregaty zraszające, obsypując niskie krzewy tęczowymi bryzgami. Ludzi nie zauważyłem, wszystko było zautomatyzowane.

– Co tu się uprawia? – wysunął się zza mojego ramienia Lion.

– Pomidory – padła krótka odpowiedź.

– Lubię pomidory – oznajmił Lion.

– To masz fajnie. Ostatnio ukrywałam się tu dwa dni i najadłam się pomidorów na całe życie. Wiesz, jak te krzaki śmierdzą w czasie upału? Przypomniałem sobie, jak w pierwszej klasie rozśmieszyłem nauczycielkę. Opowiadałem o fabryce paszy i palnąłem, że produkuje się w niej

mleko, pomidory i jajka... Ale się ze mnie wszyscy śmiali! Nie produkuje się pomidorów w fabrykach, łatwiej je normalnie uprawiać.

Gdy przepływaliśmy obok małego osiedla, było już zupełnie jasno. Na ulicach zauważyliśmy kilku przechodniów, ale nikt nie zwracał na nas uwagi.

– Zaraz staniemy – oznajmiła Natasza. – Wysadzę was, droga jest blisko rzeki, złapiecie okazję. Droga biegnie obok kosmodromu, a potem prosto do stolicy.

Ja i Lion popatrzyliśmy na siebie. To znaczy, że będziemy przejeżdżać obok campingu... Lion nie odezwał się, ale i tak wiedziałem, o czym pomyślał. Może jego rodzice nadal tam są?

– Kierowca nie będzie niczego podejrzewał? – zapytałem.

– Nie powinien – zastanowiła się Natasza. – Powiecie, że idziecie z Mendela, tak się nazywa to osiedle, obok którego przepływaliśmy, jest tam fabryka konserw. Powiecie, że wasi rodzice pracują w fabryce, a wy... No nie wiem... wymyślicie coś. Że jedziecie do rodziny, do Agrabadu.

Skuter podpłynął do brzegu. Natasza wjechała na piaszczystą mieliznę i wstała z moich kolan. Popatrzyliśmy na siebie.

– Daj rękę... – powiedziałem.

Miała lodowatą dłoń. Na pewno się przeziębi.

– Przekaż podziękowania dziadkowi! – krzyknął Lion, zeskakując na brzeg. – Bardzo fajny staruszek! Tikirey, złaż wreszcie!

– Na razie – powiedziałem do Nataszy. – Nie daj się złapać...

– Nie dam się złapać – obiecała Natasza.

Zeskakując ze skutera, nie dosięgłem brzegu i zamoczyłem nogi. Lion parsknął śmiechem, a Natasza odwróciła ciąg i skuter wycofał się z mielizny. Popatrzyła na nas i pochyliła się na wirażu. Skuter dotarł na środek rzeki.

– Ale zasuwa – zachwycił się Lion. – Pewnie się w niej zakochałeś, co? Już się miałem obrazić, ale zmieniłem zdanie i powiedziałem:

– Głupku, przecież ona naraziła życie, żeby nas tu przywieźć. Myśli, że jesteśmy fagami.

– W pewnym sensie jesteśmy – powiedział w zadumie Lion. – Może nie prawdziwymi fagami, ale zawsze... Dobra, nie gniewaj się.

Nie gniewałem się. Myślałem, czy się nie pomodlić w intencji Nataszy. A potem przypomniałem sobie, jak prosiłem Boga, żeby rodzice nie odeszli. I nie pomodliłem się.

W kabinie ciężarówki unosił się apetyczny zapach świeżego pieczywa. Ciężarówka wiozła deski, a chleb leżał w kabinie kierowcy na długim jak ławka siedzeniu. Dwa wielkie bochny chleba, z chrupiącą, rumianą skórką i miękkim środkiem.

– Jedzcie, jedzcie, chłopaki – mówił dobrodusznie kierowca. – A bo to w mieście umieją chleb piec? Jak sto lat temu ustawili program, tak karmią naród... A chleb lubi, żeby go robić z duszą...

Okazję złapaliśmy bez większych problemów. Pierwsza ciężarówka, wielkości statku fagów, zatrzymała się obok nas na poboczu. Kierowca – czarnowłosy, smagły, uśmiechnięty – wychylił się i machnął nam ręką – „wskakujcie”.

– Wujku Dimo, a nie da się upiec chleba w domowym piecu mikrofalowym? – zapytał Lion, podłapując styl mówienia kierowcy.

– Coś ty, mały! – kierowca roześmiał się. – Chleb rodzi się tylko w piecu. Trzeba go zagnieść

rękami, napalić w piecu drewnem... A my... mikrofałe, ultradźwięki, elektrony-pozytrony... Mleczka się napijcie...

Lion ochoczo złapał podejrzaną wyglądającą plastikową butelkę po lemoniadzie. W butelce było mleko.

– Prawdziwe – powiedział z przyjemnością kierowca. – Wprawdzie nie prosto od krowy, tylko z lodówki, ale i nie sztuczne. Jak się napiję sztucznego, niechby było najdroższe, to aż skurczów dostaję... – zachichotał.

Napiłem się mleka, na wszelki wypadek najpierw wycierając swetrem szyjkę butelki. Nie dlatego, że brzydziłem się pić po Lionie, tylko butelka ogólnie sprawiała wrażenie brudnej.

O rany, jakie pyszne mleko! Smaczne, aksamitne i jakiś taki smak... jakby zapomniany, ale powracający w snach...

– Oho! – wykrzyknął kierowca. – Czujecie różnicę? To nie z ropy i trocin, to krówka robiła!

Przełknąłem szybko łyk mleka, ale o dziwo nie zemdlilo mnie. Mleko było super i w ogóle wszystko było super. Niepotrzebnie tak się baliśmy, ludzie na Nowym Kuwejcie byli całkiem normalni, wcale nie gorsi od tych na Avalonie. A może kierowca nie został zaprogramowany? Zerknąłem na jego skroń – miał nowsze gniazdo niż ja. Yamamoto profit z modułem radiowym.

Nic nie rozumiem.

– W mieście wysadzę was na obrzeżach – powiedział kierowca, jakby przepraszając nas za niewygodę. – Nie mogę jeździć tą landarą po głównych ulicach. Tylko do fabryki i do garażu.

– I tak wybieramy się za miasto – odparł Lion. – Do motelu, to niedaleko kosmodromu, tam mój tata... pracuje. A mleko bardzo smaczne, dziękujemy!

Kierowca skinął głową i nieoczekiwanie pouczająco powiedział:

– Nie mnie dziękuj, mały.

– Dziękuję władczyni – odpowiedział Lion zmienionym głosem. – Ale i wam dziękuję, wujku.

– Ech, i do czego Imperium doprowadzili... – westchnął kierowca. – Syntetykę jemy, dumę utraciliśmy, o miłości zapomnieliśmy. Gdyby nie Szron...

Najbardziej zaskoczyło mnie, że wcale się nie zmienił przy tych słowach. Nadal był takim samym poczciwym i dobrym człowiekiem, który z przyjemnością podwiózł chłopców-autostopowiczów, a do tego nakarmił ich smacznym chlebem i pysznym mlekiem. Ale ja i tak usłyszałem w głowie dzwonek alarmowy, a Lion zerknął na kierowcę czujnie i niespokojnie.

– Jak myślicie, wujku, będzie Imperium z nami wojować? – zapytał Lion.

Kierowcy zagrały mięśnie szczęk.

– Niby wszystko do tego zmierza... Ale wy sobie tym głowy nie nabijajcie, chłopcy. Wy się macie uczyć.

– Uczymy się – odpowiedział ochoczo Lion. – Ale przecież my też boimy się o władczynię i jak będzie trzeba, pójdziemy walczyć.

Jedną ręką przytrzymując kierownicę, drugą mężczyzna poklepał Liona po głowie.

– Ech, chłopcy, chłopcy... – westchnął smętnie. – I czemu Imperator nie da nam spokoju? Czemu nam nie daje żyć w spokoju? Słyszeliście pewnie o ostrzale?

– Jak wystrzelili „Samum”? – rzuciłem na chybił trafił, przypominając sobie opowieść Siemieckiego.

Kierowca skinął głową.

– Pewnie, że „Samum”... każdy dzieciuch już wie... moja córka uczyła się w tej szkole.

Oczy Liona zrobiły się jak stare gniazdo – duże i okrągłe. Ja też osłupiałem. Czyżby „Jaskrawi” wystrzelił raketę tak bezmyślnie, że wysadzili w powietrze szkołę? W dodatku z dziećmi?

– Teraz uczy się w domu – ciągnął kierowca. – Dziękuję władczyni, że wszystko to stało się nocą... Waszej szkoły nie zbombardowali?

– Zbombardowali – odparł nieoczekiwanie Lion. Mężczyzna pokiwał głową.

– Dziesięć szkół... Do czego to doszło, łajdaki... Co będzie następnym razem? Wysadzą szpitale, wytrują bydło? Wczoraj jak raz delegacja przyleciała. ..

Zamilkł.

– I co? – zapytałem. – Bo my nic nie wiemy... Kierowca westchnął:

– A o czym tu mówić... Gdy władczyni rozmawiała z posłem, jego niby ochroniarze wyszli na miasto. No i policja złapała jednego, jak próbował wrzucić bakterie do zbiornika wodnego...

– Co takiego? – wykrzyknąłem.

– Dywersję szykowali – twarz kierowcy znowu stężała. – I okazało się, że to wcale nie żaden ochroniarz, tylko fąg – zabójca i dywersant. Chciał zakazić nasze wodociągi dżumą, żeby cała stolica umarła, znaczy się. I kobiety, i dzieci, i starcy...

– Złapali go? – zapytałem i przed moimi oczami stanęła twarz Tiena. Czy Tien planował zabić miliony ludzi? Leciał z nami, uśmiechał się, żartował i szykował śmierć milionom ludzi? To niemożliwe!

– Złapali – odparł kierowca. – Jutro wieczorem z wyroku trybunału stracą go na placu. A tę ichnią delegację z planety wygonili i dobrze zrobili. Nie ma się co z nimi cackać i bawić w rozmowy. Zbóje to, wybacz im, Panie, zbóje i mordercy.

Świat od razu przygasł i poszarzał, jakbym oglądał go przez przydymione szkło. To znaczy, że schwytali Tiena? Że go stracą? On na pewno tego nie zrobił, to nieprawda!

– Tylko wy nie chodźcie na plac, chłopcy – powiedział kierowca. – Nie powinniście patrzeć na takie rzeczy.

– Nie pójdziemy – obiecał Lion, zerkając na mnie.

A w oddali już pojawiły się wieżowce Agrabadu – różnobarwne, lazuruowo-żółte, odświętne i dumne.

– Oczywiście, że nie pójdziemy – powiedziałem. – O, widzi pan, tam, po prawej stronie drogi jest drogowskaz motelu, tam wysiądziemy!

Nic się tu nie zmieniło.

Było równie zielono i ciepło, stały te same domki i przyczepy, i podobnie jak wtedy kilka osób szykowało grilla, a z oddali, z domku z napisem „Rejestracja” dobiegał wesoły śmiech. Ja i Lion popatrzyliśmy na siebie i poszliśmy tam.

Przy stole siedziała sympatyczna dziewczyna, ta sama, która była dla mnie taka miła miesiąc temu. Myślałem, że z kimś rozmawia, ale ona zaśmiewała się, czytając książkę – prawdziwą, papierową książkę. Gdy weszliśmy, dziewczyna popatrzyła na nas z uśmiechem, skinęła głową i znowu utkwiała wzrok w książce. Po chwili oderwała się od czytania, przyjrzała mi się uważniej i wykrzyknęła:

– Tikkirey! Mały Tikkirey, który zaginał miesiąc temu!

– Nie jestem mały – zaprotestowałem odruchowo. Dziewczyna speszyła się.

– Przepraszam, tak nazywaliś cię w rozmowach... Oczywiście, że nie jesteś mały. A ty masz na imię Lion? Ty też u nas mieszkałeś, z rodzicami, prawda?

Lion skinął głową, z niecierpliwością czekając na wiadomość o swoich rodzicach. Ale dziewczynę interesowało coś innego:

– Mój Boże, chłopcy, gdzieście się podziewali? Wszyscy tak się martwili! Szukali was wszędzie, przeczesali las, sprawdzili jezioro... Myśleliśmy, że już po was!

Wyglądało na to, że mówi prawdę. Że faktycznie szukali nas wszyscy mieszkańcy campingu.

A my musieliśmy kłamać.

– Wtedy, w nocy... – zacząłem. – Wszyscy zasnęli i zrobiło się tak dziwnie... a Lion właśnie siedział u mnie, w tajemnicy przed rodzicami... chcieliśmy pogadać... i wtedy taki kapitan, który mieszkał w sąsiednim domku i też nie zasnął, zaczął krzyczeć, że to inwazja wroga i żeby uciekać do lasu... Dojechaliśmy z nim samochodem do lasu, tam nas wysadził i pojechał w stronę stolicy. A my ukryliśmy się w lesie.

Dziewczyna klasnęła w ręce.

– O rany, chłopcy... To podobno był jakiś psychopata-zabójca! W jego domku znaleziono zabitego policjanta! Boże mój, że też wy żyjecie!

– A nie mówiłem?! – wrzasnął Lion, dając mi kuksańca w bok. – Od początku mi się wydawało, że jest jakiś dziwny i ma złe oczy! Pokroiłby nas na kawałki!

– Sam wsiadłeś do samochodu! – krzyknąłem.

Mieliśmy w zanadrzu kilka takich komedii. Z góry było wiadomo, że trzeba będzie wspomnieć o Stasiu. Skoro obserwował nas agent Szronu, na pewno zameldował swoim zwierzchnikom, kim jest Staś.

– No to co, że wsiadłem... – odciął się Lion. Trochę ochłonął i teraz patrzył na dziewczynę:

– Proszę mi powiedzieć, co się dzieje z moimi rodzicami? Gdzie oni są?

– Twój tata pojechał do miasta – odparła dziewczyna. – A pani Annabel i dzieciaki... Masz braciszka i siostrzyczkę, prawda? Są tutaj. W tym samym domku, twoja mama nie chciała nigdzie wyjeżdżać, dopóki się nie znajdziesz...

Ostatnich słów Lion już nie słuchał – wyskoczył na zewnątrz.

– Przepraszam za niego – powiedziałem. – Strasznie tęsknił za rodzicami.

– Twoi rodzice zostali na innej planecie, tak? – zapytała dziewczyna.

– Tak. Zostali na innej planecie... Pójdę już. Do widzenia.

– Mam na imię Anna – uśmiechnęła się dziewczyna. – Jeśli chcesz, Tikkireyu, możesz zająć ten sam domek, w którym mieszkałeś, jest wolny. A właśnie, niedawno przyszło do ciebie pismo z ministerstwa do spraw migracji...

– Ja... wezmę je potem... – wymamrotałem, wychodząc szybko. Zdążyłem zauważyć, jak Lion wbiega do swojego domku.

Ciekawe, jak przyjmie go mama? Przecież Szron ją przeprogramował...

– Głupku – powiedziałem sam do siebie. – Mama zawsze pozostanie mamą.

Odrobina tej troski, która pani Annabel otoczyła Liona, przypadła w udziale i mnie. Mama Liona obejmowała mnie i przytulała, a nawet rozplakała się, widząc, jaki jestem chudy i podrapany. Potem

dostałem wielki kawał gorącego, mięsnego pieroga. Lionowi pani Annabel gotowa była nieba przychylić, chciała go nawet osobiście wykąpać, ale Lion zaparł się rękami o futrynę i krzyczał, że za nic w świecie nie wejdzie z mamą do łazienki. W domku zapanował kompletny chaos. Mały braciszek Liona zaczął płakać, bo już zdążył go zapomnieć, i nie chciał uwierzyć, że to jego brat. Siostrzyczka, przeciwnie, płacząco domagała się, żeby Lion jak najszybciej wyszedł z łazienki i waliła piąstkami w drzwi. Pani Annabel biegała po kuchni, to wkładając coś do mikrofalówki, to wyjmując, to rozgrzewając piekarnik, dzwoniła do męża i do jakichś przyjaciółek, opowiadając, że Lion się znalazł... Po cichu wyszedłem na taras i usiadłem na ciepłej od słońca poręczy. Niedługo potem z domu wyszedł braciszek Liona, któremu wreszcie znudziło się marudzenie, usiadł na podłodze z dala ode mnie i zaczął się bawić dwoma samochodzikami. Patrzyłem na niego i myślałem, że rodzice Liona sprawiają wrażenie zupełnie normalnych. Może ten Szron wcale nie jest taki zły? Wprawdzie wszystkich nastroili przeciwko Imperium, ale pod innymi względami ludzie pozostali normalni...

– Bach, bach! – pokrzykiwał braciszek Liona, zderzając ze sobą samochodziki, które w jego zabawie były gwiazdolotami. – A mas, psekłyty impelyjcyku... Pani plezydent, melduję, że zadanie zostało wykonane... No proszę, to by znaczyło, że maluchom też zrobili wodę z mózgu... Ale w Imperium dzieciaki również bawią się w wojnę, tylko że tam zwyciężają wojska imperialne...

– Tak jest, władcy! – wykrzyknął chłopczyk. – Statek wloga zostanie wysadzony w powietrze!

Wstał, rzucił jeden samochód na podłogę i zaczął go wściekle deptać. Najpierw pomyślałem, że zdenerwował się z powodu Liona i że zaraz znowu zacznie ryczeć. Maluchy często reagują w ten sposób, zwłaszcza te rozpieszczone.

Ale on wcale nie miał zamiaru płakać.

Chłopiec deptał samochodzik. Uparcie, metodycznie, w skupieniu. Deptał go małą nóżką w sandałku, miażdżył i gniótł plastikowy korpus, ale zabawka była bardzo odporna, widocznie producenci przewidzieli rozpieszczone dzieci. Nie przewidzieli tylko takiego uporu. Chłopiec gniótł, skakał i sapał, przewracał samochodzik, gdy ten odskakiwał na bok i uderzał go na przemian piętą i czubkiem sandała.

W końcu specjalny, bezpieczny plastik do produkcji zabawek nie wytrzymał i rozpadł się na małe, okrągłe kawałeczki.

Maluch usiadł na podłodze i zaczął ściągać sandał.

Zeskoczyłem z poręczy, usiadłem obok niego i pomogłem mu zdjąć but.

– Udeżyłem się – powiedział maluch, pocierając piętę i patrząc na mnie surowo.

– To po co tak mocno deptałeś, głuptasie?

– Nie jestem głuptas – obraził się maluch. – Jestem Sasa.

– No to po co tak waliłeś, Sasza?

– To byli wlogowie, impelyjcy – wyjaśnił ochoczo. – Sam jesteś głupi. To generał Wołodja Ichin i profesol Edikian z „Bastionu”, najstłasniesi impelyjcy.

Przypomniałem sobie animowany film „Bastion Imperium” i jego bohaterów: dzielnego generała Wołodję Ichina, który latał pomiędzy gwiazdami na czarodziejskim wierzchołku, i mądrego profesora Edikiana, który siedział w Bastionie i wpadał na genialne pomysły. Wszędzie bronili Imperium, zawsze pokonywali jego wrogów. Jak się okazało, ten film też wyprodukowali na Szronie. Niby wychwalał Imperium, a tak naprawdę nastrajał wszystkie dzieciaki przeciwko niemu. A przecież ja też go oglądałem! Tylko bardzo rzadko, strasznie był dziecinny. Gdybym oglądał częściej,



w mojej głowie zainstalowałyby się program...

A może ten program i tak istnieje, tylko nie zadziałał z powodu starego gniazda? A jeśli nagle zadziała, to w jednej chwili znenawidzę Imperium, Avalon, Stasia... i śmieszne narysowane ludziki z kreskówki...

– Co nic nie mówis? – zapytał Sasza.

– Myślę. A nie dało się wziąć wrogów do niewoli?

– Nie dało, bo zawsze uciekają – wyjaśnił malec. – Pobawis się ze mną?

– Nie. Jestem na to za duży – wyjaśniłem. – Nie bawię się samochodzikami.

Sasza nie spierał się. Dla niego rzeczywiście byłem duży.

– Tikkireyu! – zawołała pani Annabel. – Do domu!

– Idę! – krzyknąłem i drgnąłem. Zawołała mnie prawie tak jak mama... – Już idę!

Lion w szlafroku siedział na kanapie, a pani Annabel właśnie podchodziła do niego z maszynką do strzyżenia. Lion najwidoczniej żywił jakieś obawy, bo oznajmił stanowczo:

– Tylko nie tak jak poprzednio! Mamo, tylko nie tak krótko!

– Dobrze, dobrze – powiedziała niezbyt szczerze pani Annabel. – Tylko tak, żeby włosy nie wpadały ci do ust, bo się udławisz.

– Mamo! – wołał Lion. – Tylko dotąd i ani milimetra więcej!

Pani Annabel mrugnęła do mnie jak spiskowiec. Lion rzeczywiście był strasznie zarośnięty.

– Tikkireyu, idź się umyj, ciebie też ostrzygę. Powiesiłam ci w łazience czysty ręcznik, taki duży, zielony, zauważysz, i położyłam świeże ubranie. Podkoszulka i majtki są nowe, a spodnie i koszula Liona, ale czyste i wyprasowane. Sam umyjesz głowę, czy ci pomóc?

– Mamo! – zawołał znowu Lion. – Tikkirey jest już duży! Ja też!

– Dla mamy zawsze będziecie małymi dziećmi – powiedziała z wyrzutem pani Annabel. – Dobrze. Nie wierć się i zamknij oczy...

Maszynka w jej ręku zabzyczała triumfalnie.

Poszedłem do łazienki, żeby Lion się już nie denerwował, wypchnąłem jego siostrę, która stała przed umywalką i trzymała ręce pod strumieniem zimnej wody. Zamknąłem drzwi, odkręciłem wodę i wlałem płyn do kąpieli.

Potem oparłem się czołem o kafelki na ścianie i zamknąłem oczy. Szumiała woda, za drzwiami buczała maszynka. Lion oburzał się na długość cięcia, jego siostrzyczka znowu zaczęła kwękać.

A ja przypominałem sobie dzień, w którym poznałem rodziców Liona. Wiedzieli, że jestem sierotą, że nie mam pieniędzy, i że jestem tu zupełnie sam. I bynajmniej nie rzucali się, żeby mnie myć, całować, obejmować, kąpać, strzyć i szukać mi ubrań.

Mama Liona zmieniła się. Była inna. Dziwna. Być może nawet lepsza i bardziej troskliwa.

Ale nie stała się taka z własnej woli. Szron ją tak zmienił.

## Rozdział 4

Początkowo Lion niczego nie zauważał. Wszystko go cieszyło: i ulubione potrawy, i to, że siostrzyczka się za nim stęskniła, i że wszyscy są cali i zdrowi. Nawet od czasu do czasu zerkał na mnie przepraszająco i jednocześnie triumfalnie. Jakby chciał powiedzieć – „Widzisz? Nic się nie stało”.

Pani Annabel rzeczywiście nie wspominała nawet o Imperium, a gdy Lion zaczął mówić o złapanym fagu-dywersancie, jedynie z irytacją machnęła ręką.

Ale wieczorem wrócił pan Edgar.

– Tato! – zawołał Lion, rzucając się do otwartych drzwi. Miałem ochotę się odwrócić, ale jednak patrzyłem, czując łaskotanie w gardle.

Pan Edgar wyglądał jak człowiek, który od pokoleń mieszkał na stacjach kosmicznych. Wysoki i szczupły, miał smagłą cerę, krótko obcięte włosy, odrobinę wytrzeszczone oczy i długie palce. Nosił koszulę z krótkim rękawem i szorty. Typowe dla kosmitów. Przy niskiej grawitacji na stacjach ludzie marzną, krew kiepsko dochodzi do skóry i dlatego na planetach jest im za gorąco.

Gdy Lion zawisł ojcu na szyi, pomyślałem, że pan Edgar się przewróci, on jednak utrzymał równowagę. Odczekał kilka sekund i odsunął od siebie Liona na długość wyciągniętej ręki. Popatrzył na niego uważnie i rzekł:

– Urosłeś, synku.

– Tato! – powtórzył siłą rozpędu Lion. Pan Edgar zmierzwił mu włosy.

– Bardzo się martwiliśmy. Witaj, Tikkireyu... Co wam przyszło do głowy, żeby się ukryć w lesie?

Lion zaczął opowiadać naszą historię, a ojciec słuchał go uważnie. Lion mówił, jak wyjechaliśmy z campingu razem z kapitanem Stasiem, który potem wysadził nas w lesie, jak poszliśmy w stronę gór (tak jak na filmie o kosmicznych agresorach), jak mieszkaliśmy w pustym domku leśniczego, łowiliśmy ryby i nawet nauczyliśmy się robić sidła i łapać w nie króliki. Tylko baliśmy się wrócić, bo na niebie widać było dużo statków kosmicznych, a od strony stolicy rozlegały się wybuchy. W końcu jednak postanowiliśmy wyjść z lasu, płynęliśmy rzeką na tratwie i wyszliśmy na brzeg przy osiedlu. Przekonaliśmy się, że wszędzie życie płynie spokojnie i wszystko jest w porządku, a potem podwiózł nas miły kierowca, nakarmił chlebem i dał nam mleka.

– Niewiarygodne przygody – powiedział pan Edgar i pomyślałem, że wcale nie uwierzył Lionowi i zaraz nas zdemaskuje. Ale on powiedział tylko:

– Myślę, że powinieneś wyciągnąć z tych wydarzeń jeden wniosek, synku. Nie należy ślepo bać się niewiadomej. Trzeba wyjść na spotkanie swojemu strachowi i zniszczyć go! Straciłeś cały miesiąc i nie zacząłeś w porę zajęć. Ale – zastanowił się – z drugiej strony, zdobyłeś wspaniałe doświadczenie przetrwania w lesie i otrzymałeś ważną życiową lekcję. Wcale się na ciebie nie gniewam!

– Tato... – wyszeptał Lion.

Przypomniałem sobie, jak jeszcze w drodze z Avalonu Lion zastanawiał się, co z nim zrobią rodzice, i dochodził do wniosku, że pewnie najpierw się ucieszą, a potem mu wleją, choć tata jest przeciwnikiem kar cielesnych.

Wyglądała na to, że teraz Lion wolałby, żeby go ukarali.

– No cóż, młodzi ludzie – pan Edgar zdjął buty i włożył wygodne kapcie – siadajcie do stołu.

Umyję ręce i zaraz do was dołączę.

– Przygotowałam twoją ulubioną zapiekankę – powiedziała do niego pani Annabel. – I kupiłam tort mrożony, który tak lubi Lion. Sasza, Polina, myjcie ręce i siadajcie do stołu!

Dzieci pobiegły za ojcem do łazienki.

Usiadłem przy nakrytym zielonym obrusem stole obok Liona – speszzonego i ponurego, i wreszcie zrozumiałem, co mi to wszystko przypomina.

Serial. Kino rodzinne w rodzaju „Wesołej rodziny” czy „Komedii i tragedii Edenu”. Tam zawsze były niewielkie tajemnice, niezbyt straszne problemy, posłuszne małe dzieci i niepokorne nastolatki. Ktoś obowiązkowo uciekał z domu albo się gubił, a gdy już wracał po różnych nieprzyjemnych przygodach, wszyscy się cieszyli, trochę go pouczali i zasiadali przy odświętnie nakrytym stole.

Pan Edgar i pani Annabel zachowywali się jak bohaterowie serialu.

– Sądzę, że możemy nalać chłopcom odrobinę wina? – powiedział pan Edgar.

Lion wzdrygnął się.

Późnym wieczorem ja i Lion poszliśmy spać do jego pokoju. Stało tam tylko jedno łóżko, ale mnie pościelili na podłodze i wyszło całkiem fajnie. Lion był strasznie przygnębiony i milczący. Dopiero, gdy zgasiliśmy światło, spytał cicho:

– Słuchaj, co im się stało? Co ja mam teraz zrobić? Wzruszyłem ramionami.

– Przedtem zachowywali się inaczej? Lion energicznie pokiwał głową.

– Ale nie są gorsi, prawda? Kochają cię i...

– Są inni! – zasyczał Lion, zwieszając się do mnie z łóżka. – Przecież sam widzisz, głupku, że są zupełnie inni!

– Jak w serialu – odpowiedziałem, postanawiając nie obrażać się za „głupka”.

– Właśnie! A ja nie chcę żyć w serialu. Szkoda, że ty nie masz takich rodziców, zobaczyłbyś, jak to miło...

Umilkł i spojrzał na mnie przestraszony. Położyłem się na plecach i popatrzyłem na sufit. Nie obraziłem się. Zastanawiałem się, co jest gorsze: gdy rodzice umierają, żeby twoje życie nie stało się gorsze, czy gdy zmieniają się tak, że wolałbyś umrzeć.

Mimo wszystko zawsze to lepiej, jeśli żyją...

– Tikkireyu...

– Słowo ci daję, że wolałbym mieć takich.

– Przepraszam.

– Dobra. Tylko więcej tak nie mów. Lion sapał i kręcił się, w końcu powiedział:

– Przecież oni chcą mnie wygonić z domu!

– Nie zmyślaj. Wcale nie chcą.

Ale wiedziałem, że Lion ma rację. Gdy siedzieliśmy przy stole, rodzice zaczęli z Lionem poważną rozmowę. O tym, że jeszcze jakiś czas będą mieszkać na campingu, ponieważ na Nowy Kuwejt przybyło wielu emigrantów ze Szronu i nie starcza mieszkań. I że Lionowi byłoby bardzo niewygodnie dojeżdżać codziennie do Agrabadu do szkoły. I że lepiej będzie, jeśli Lion zamieszka w stolicy, w college’u, a w weekendy będzie przyjeżdżał do nich w odwiedziny. Ta propozycja tak przeczyła całej ich troskliwości, że Lion osłupiał i nawet się nie kłócił, chociaż ja na jego miejscu bym sobie nie darował. Przecież pan Edgar i tak każdego dnia dojeżdżał do Agrabadu do pracy

(pracował w fabryce silników rakietowych), więc co mu szkodziło wozić Liona tam i z powrotem?

– Wyganiają – powtórzył ponuro Lion. – A wiesz, dlaczego?

– Dlaczego?

– To wszystko przez te sny, przez to, że ich zaprogramowali. Dlaczego rodzice boją się puszczać dzieci same, zwłaszcza na długo? Ponieważ zawsze wydaje im się, że dzieci są jeszcze małe i może im się stać coś złego...

– No i właśnie twoja mama też tak mówi...

– Ale wcale tak nie myśli! – Lion zniżył głos do szeptu. – Już mnie wychowali, rozumiesz? Już odchowali moje wnuki. Ona przywykła do myśli, że jestem dorosły!

– No coś ty?

– Bo widzisz, w moim śnie...

– No to w twoim śnie. Skąd wiesz, co się śniło twojej mamie? Zresztą, ona i tak o wszystkim zapomniała.

– Załóżmy, że zapomniała. Ale jej też się śniło, że żyje w Federacji Szronu, że ja dorosłem, że pracowała w fabryce zbrojeniowej, że Sasza albo ja zginęliśmy na wojnie... Po przebudzeniu o wszystkim zapomniała, ale w podświadomości zostało wrażenie mojej samodzielności. Dlatego nie boi się wysłać mnie do szkoły.

Prawdopodobnie tak właśnie było... Lion mówił dalej, nakręcając się coraz bardziej:

– Widzisz, co robi ten Szron? Zmusza ludzi, żeby przeżyli cudze życie, takie, jakiego życzy sobie Federacja. Człowiek, którego zmusza się, by przez całe życie coś robił, podświadomie się do tego przyzwyczaja.

– Przedtem twierdziłeś, że wcale nie jest tak źle – nie wytrzymałem.

– Byłem głupi – burknął Lion. – Chcę, żeby moi rodzice stali się tacy jak dawniej. Niech mnie skrzyczą, zbijają, ale niech się nie cieszą, że wyjeżdżam do dobrej szkoły!

– Zastanówmy się lepiej, co zrobić z Tieniem. Lion poruszył się niespokojnie.

– Gdybyśmy mogli skontaktować się ze starym Siemieckim...

– I co by ci to dało? Czy dwadzieścia dziewczynek może uwolnić Tiena?

– A dwóch chłopców może?

– Mam bicz – przypomniałem.

– Ha! – zakrzyknął szeptem Lion. – Bicz! Bez zasilania...

– Można włożyć dowolną baterię. Nawet z aparatu fotograficznego. Lion zamilkł na chwilę, potem powiedział z goryczą:

– Nawet gdybyś miał sprawny bicz, a ja działo neutronowe i tak nic byśmy nie zdziałali. To przecież plac w centrum miasta, przed pałacem sułtana! Będzie mnóstwo ochrony i tłum zaprogramowanych ludzi, którzy z okrzykiem radości rzucą się na twój bicz, żeby umrzeć za Szron.

– A jeśli ta władczyni będzie obecna podczas egzekucji? Moglibyśmy ją wziąć jako zakładniczkę...

– Nie można jej zabić – odparł spokojnie Lion. – Jest wszechobecna i nieśmiertelna.

– Daj spokój, to zwykła propaganda! Przecież nie jest Bogiem, prawda?

– Może i propaganda, ale i tak nic z tego nie wyjdzie – odpowiedział spokojnie Lion. – Pamiętam, był taki przypadek... no, w moim śnie... Imperialni wzięli władczynię do niewoli, żeby zmusić Szron

do kapitulacji. A ona śmiała im się w twarz i kazała strzelać do statku. I statek – z imperialnymi i władczynią na podkładzie – rozwalono na kawałki. Następnego dnia władczyni występowała w telewizji i powiedziała, że dziękuję swoim żołnierzom i że tak właśnie należało zrobić.

– To niemożliwe! Lion tylko westchnął.

W efekcie nic nie postanowiliśmy. Zasnęliśmy. A rano ojciec Liona zawiózł nas do Agrabadu.

Samochód pana Edgara przypominał starą plastikową mydelniczkę. Naprawa takich samochodów polega na wymianie całych bloków. Blok silnika, blok układu kierowniczego, blok przednich siedzeń, blok kołowy...

– Niezwykle ekonomiczny samochód – wyjaśnił pan Edgar, siadając na miejscu kierowcy. – Zmieściliście się? Nie jest wam ciasno?

– W porządku, tato – powiedział Lion. W samochodzie było niewygodnie, nasze kolana wbijały się w przednie siedzenia, ale nie było sensu o tym wspominać. Te samochody wyprodukowano na Szronie, a to znaczy, że są dobre.

– Tylko żebyś się dobrze uczył – mówiła pani Annabel do Liona. – Sporo opuściłeś, będziesz musiał nadgonić... I nie bij się bez potrzeby! Trzymaj się razem z Tikkireyem, to silny chłopak, będzie umiał was obronić. Dbajcie o waszą przyjaźń – pomoc i współpraca to najświętsze uczucia.

I koniecznie myj się dwa razy dziennie, wiesz przecież, że na planetach wszędzie jest brudno.

Lion kiwał głową, a jego twarz powoli stawała się purpurowa. Wstydził się za mamę.

– I psywies mi lasel – poprosił braciszek.

Tu już Lion nie wytrzymał i cały gniew wyładował na Saszy. Trzepnął go w kark i warknął:

– Baw się kostkami!

Pani Annabel nieoczekiwanie poparła starszego syna:

– Sasza, nie mów głupstw. Lion nie jest jeszcze żołnierzem, uczy się w szkole. Przywiezie ci książeczkę. Lion, przywieź mu książkę, dobrze?

– O spiegach – dodał rzeczowo Sasza. I dopiero wtedy obraził się o trzepnięcie w kark i zaczął płakać.

Tylko mała Polina wyglądała na szczerze zmartwioną, że niedawno odzyskany brat już wyjeżdża. Stała urażona i dłubała czubkiem buta w piaszczystej dróżce. Patrzyłem tylko na nią i w pewnej chwili pomyślałem, że być może to również jest narzucona przez Szron rolę. Rodzice z radością wysyłają dzieci w dorosłe życie, chłopcy proszą, żeby im przywieźć broń i książki o szpiegach, a dziewczynki są po prostu smutne.

Ale przecież nie wszyscy na Nowym Kuwejcie byli tacy. Zdaniem Siemieckiego piętnaście procent społeczeństwa nie zostało zaprogramowane! Jak oni mogli tu żyć?

– Kochanie, musimy już jechać! – Edgar wyrzwał z samochodu, Annabel uśmiechnęła się szeroko i starannie pocałowała go w policzek.

Lion odwrócił się.

Gdy podjeżdżaliśmy do wyjazdu z campingu, przypomniałem sobie o piśmie z ministerstwa migracji.

– Panie Edgarze, niech się pan na chwilę zatrzyma – poprosiłem. – Muszę zabrać pismo o... o obywatelstwie.

Ojciec Liona prychnął z dezaprobatą, ale zjechał na pobocze i stanął.

– Zaraz wracam – powiedziałem przepaszająco. – Jedną chwilkę! I pobiegłem do rejestracji.

Dzisiaj też pracowała Anna. Przywitałem się, a ona od razu, o nic nie pytając, sięgnęła do niewielkiego sejfu w ścianie.

– Już, Tikkireyu... gdzieś tu było... – mamrotała, stając na palcach, sejf umieszczono dość wysoko.

– Pani jest normalna... – wyrwało mi się. Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Dziewczyna przestała na chwilę szperać w sejfie, potem sięgnęła głębiej i podała mi kopertę.

– Ty też nie jesteś odmrożony, Tikkireyu.

– Odmrożony? Skinęła głową.

– Tak nazywamy tych, którzy zasnęli w noc inwazji. Odmrożeni. Osłupiałem. Popatrzyłem na Annę – nie wyglądała na wrogięgo agenta... Ale na działaczkę ruchu oporu też nie. Zapytałem końcu:

– Kto – my?

– Ci, którzy nie zasnęli. Mniej więcej co dziesiąta osoba – wyjaśniła Anna. – Właściciel motelu, pan Oarkins, też nie zasnął. Nasz elektryk również.

– Więc pani... – stropiłem się. – I co robicie? – Żyjemy – uśmiechnęła się. – Nie bój się, Tikkireyu, nic strasznego się nie dzieje. Po prostu znaczna część ludności została wyznawcami Szronu... Co w tym złego?

– Jak to co? – zdenerwowałem się. – Przecież oni są zupełnie inni! Anna westchnęła, spojrzeniem wskazała kanapę. Usiadłem, a ona przysiadła obok mnie.

– Widzisz, Tikkireyu, wielu ludziom wyszło to na korzyść. Mam chłopaka. .. on... krótko mówiąc, wcześniej ciągle się kłóciliśmy. Z powodu różnych bzdur... – zmieszła się. – Za to teraz między nami jest bardzo dobrze, znacznie lepiej, niż było! Moi rodzice mieli się rozwiódź, tata chciał wziąć drugą żonę, a mama była przeciwna. Teraz wszystko się ułożyło.

– Mama nie ma już nic przeciwko? – zapytałem złośliwie. Nie wiem, skąd się we mnie wzięło tyle jadu.

– Tikkireyu! Jak możesz!

– Przepraszam – wymruczałem.

– Na Nowym Kuwejcie zniesiono wielożeństwo – wyjaśniła Anna. – Teraz wszyscy kochają się i szanują. Mężowie kochają żony, a żony mężów. Alkoholicy przestali pić, uczniowie nie wagarują. Wszyscy, którzy brali łapówki, czy uchylali się od płacenia podatków, zwrócili państwu pieniądze.

– Przecież to przemoc! – niemal krzyknąłem. – Zrobili ludziom pranie mózgu, rozumiesz?

– Tak, to jakaś broń – przyznała Anna. – Wymyślona na Szronie. Ale co z tego? Co za różnica, kto panuje, Inna Snów czy Imperator? Mnie osobiście jest to dokładnie obojętne. Najważniejsze, żeby mój chłopak nie wachał różnych świństw i nie kłócił się z matką. Żeby ludzie się nawzajem szanowali!

– Jeśli jutro Inna Snów zapragnie, żeby wszyscy chodzili na rękach i jedli pająki, też się zgodzicie?

Anna roześmiała się:

– Tikkireyu, wy w tym lesie powymyślaliście sobie różne strachy... Inna Snów to mądra kobieta i nikomu nie dzieje się tu krzywda. A Imperium...

– Wojna z Imperium to też tylko straszak?

– Nie będzie żadnej wojny – oznajmiła z przekonaniem Anna. – Po prostu z biegiem czasu wszystkie planety przyłączą się do Szronu. Zamiast Imperatora będzie Władczyni. Ludzie staną się dla siebie lepsi. To wszystko. A gdyby nawet doszło do wojny... to nie na dużą skalę...

Pokręciłem głowę. Anna nic nie rozumiała. Nikt nie ogląda już programów ze Szronu, wszyscy mają zablokowane gniazda. Uczni szukają sposobu wyleczenia zaprogramowanych. Musi być wojna!

– Coś się tak nadał? – Anna poklepała mnie po głowie. – Pojedziesz do miasta i sam się przekonasz, jacy ludzie stali się dobrzy.

– Może pani na mnie donieść – powiedziałem – ale moim zdaniem to był podstępny atak.

– Nie mam zamiaru na ciebie donosić – roześmiała się Anna. – Przecież nie jestem odmrożona. Tamtym też jest w sumie wszystko jedno. Zachowuj się poprawnie, a wszystko będzie dobrze.

Trzasnęły drzwi.

– Tikkirey! – wykrzyknął zasapany Lion. – Tata już jest spóźniony!

– Przepraszam, muszę iść – zerwałem się ochoczo z sofy, ściskając w rękę kopertę. – Do widzenia.

– Powodzenia, Tikkireyu – powiedziała serdecznie Anna. – I nie myśl o głupstwach! Wszystko będzie dobrze!

Pobiegliśmy do samochodu.

– O czym ona mówiła? – zapytał w biegu Lion. – Wiesz, jak ojciec się denerwuje?

– Potem ci powiem – rzuciłem, gdy dobiegliśmy do samochodu. – Panie Edgarze, przepraszam, dziewczyna nie mogła znaleźć koperty...

Ojciec Liona z niezadowoleniem pokręcił głową. Ledwie zdążyliśmy zamknąć drzwi, gdy samochód ruszył.

– No i co ci napisali? – Lion wyciągnął rękę po kopertę.

Rozerwałem papier. W środku była zadrukowana kartka z pięknym podpisem i pieczęcią oraz mała plastikowa karta. Zacząłem pospiesznie czytać, szukając najważniejszej informacji:

– Szanowny panie... po rozpatrzeniu pańskiego podania... zgodnie z prawem migracji... Hura!

– Przyznali? – ucieszył się Lion.

Dziwne... Co mnie właściwie obchodziło obywatelstwo Nowego Kuwejtu? Miałem przecież obywatelstwo Avalonu, jedno z najwyżej cenionych w Imperium (bardziej prestiżowe było jedynie obywatelstwo Edenu lub Ziemi). Nie mówiąc już o tym, że Nowy Kuwejt został podbity przez Szron i teraz to obywatelstwo niewiele znaczyło.

Ale naprawdę było mi przyjemnie. Bardzo przyjemnie. To obywatelstwo zdobyłem sam. Dla niego opuściłem moją planetę i zostałem modulem sterującym. Zaryzykowałem i wygrałem. Jaki byłbym teraz szczęśliwy, gdyby nie Szron!

– Panie Edgarze, niech pan patrzy! – Podałem mu kartę. Było na niej moje zdjęcie, imię, płytka biodetektora i długa linijka kodu.

– Zuch – powiedział sucho ojciec Liona. Nadal był zły za ten przydługi postój. – Mam nadzieję, Tikkireyu, że teraz staniesz się poważniejszy i bardziej odpowiedzialny. Prawda?

– Prawda – odparłem. W końcu to nie jego wina, że mu zaprogramowali mózg...

– Życie to nie tylko zabawa i przygody – ciągnął pan Edgar. – Najwyższa pora to zrozumieć. Teraz

dni biegną ci szybko, a lata płyną powoli. Ale gdy dorosisz będzie na odwrót. Dni będą się ciągnąć w nieskończoność, od świtu do zmierzchu będzie cała wieczność, noc stanie się podwójną wiecznością... Za to lata będą przemykały niepostrzeżenie, od urodzin do urodzin, od Nowego Roku do Nowego Roku... I ciągle czegoś ci brak, jednej minuty, godziny, dnia... wieczny brak czasu...

Zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Ojciec Liona był teraz zupełnie inny. Nie taki, jak przed inwazją Szronu i nie tak obojętnie pozytywny jak bohater serialu. Jakby coś go dręczyło, próbowało wyrwać się na zewnątrz – i nie mogło...

– Tato... – wyszeptał Lion.

Pan Edgar drgnął, na chwilę oderwał wzrok od drogi i powiedział zupełnie innym tonem:

– I dlatego musisz spoważnieć, Tikkireyu. Ciebie, mój drogi, też to dotyczy!

Już po wszystkim. Znowu był zombi.

– Tato – zapytał Lion – nie masz czasami deja vu? Wrażenia, że wszystko już było? Że już tak kiedyś jechaliśmy i rozmawialiśmy... Że przeżyliśmy całe swoje życie?

– Oczywiście – odpowiedział spokojnie pan Edgar. – Zdarza się to każdemu i jest absolutnie normalne. Spróbuj porozmawiać ze swoim szkolnym psychologiem, on ci wyjaśni.

Lion nie zapytał o nic więcej.

Dojechaliśmy do długiego, niewysokiego, otoczonego parkiem budynku. Budynek wyłożony był kolorowymi płytkami, nad dachem wznosiły się wieżyczki i kopuły, ale i tak wiało od niego nudą, jak od każdej szkoły.

Pan Edgar nie podzielał tej opinii.

– Pięknie tu, prawda? – zapytał. – Jak w tej bajce, którą ci kiedyś czytałem... Pamiętasz, Lionie?

– Pamiętam – powiedział Lion i dodał sceptycznie: – Tylko wcale niepodobnie.

Pan Edgar zaparkował przed wejściem, starannie ustawiając samochód między dwoma autobusami szkolnymi. Wysiedliśmy i rozejrzeliśmy się.

W pewnym sensie ojciec Liona miał rację. Budynek robił wrażenie. Moja szkoła na Kopalni była zwykłym, standardowym blokiem, podobnym jak dwie krople wody do innych budynków administracyjnych. Nawet szkoła na Avalonie wyglądała bardziej pospolicie. A tu było dużo zieleni, na klombach wokół fontann kwitły kwiaty, ścieżki wysypano drobnym żwirem – szarym, beżowym i srebrnym. Lion wziął torbę ze swoimi rzeczami, ja szedłem bez bagażu. Pani Annabel wprawdzie dała mi wczoraj ubranie, ale dzisiaj nie zaproponowała, żebym wziął coś ze sobą. Pewnie w mózgach zaprogramowanych ludzi występowały jakieś luki, wiedzieli, jak należy prawidłowo postępować, ale o pewnych drobiazgach zapominali.

Weszliśmy szerokimi schodami na drugie piętro (przed wejściem do budynku, w szklanej budce, siedział wartownik, ale nie odezwał się i nie zatrzymywał nas) i stanęliśmy przed dwuskrzydłowymi, starodawnymi drzwiami. Ojciec Liona rzucił nerwowe spojrzenie na zegarek, uchylił nieautomatyczne drzwi i zajrzał do środka, nieśmiało pytając:

– Panie sekretarzu?

Usłyszał odpowiedź, więc pchnął nas w stronę drzwi i wszedł za nami.

To była poczekalnia. Pryszczaty chłopak, może szesnastoletni, siedział przed monitorem i coś robił. Spojrzał na nas przelotnie i znowu utkwiał wzrok w monitorze. A ja patrzyłem na jego holograficzną klawiaturę, słabo migoczącą nad biurkiem. Od naszej strony klawiatura była niemal



niewidoczna. Można by pomyśleć, że chłopak dla zabawy przebiera palcami w powietrzu.

– Tikkireyu... – szepnął dramatycznie pan Edgar i poszedłem za nim. Pyszczaty sekretarz nie przerywał swojego zajęcia. Pewnie uczył się w tej szkole i w ten sposób sobie dorabiał. Ale dlaczego nie pracuje przez gniazdo? Holograficzne klawiatury zwykle umieszcza się w miejscach publicznych, żeby nie trzeba się było podłączać...

Solidne, drewniane drzwi do gabinetu dyrektora też robiły wrażenie. Pan Edgar zastukał, poczekał na odpowiedź i weszliśmy do środka.

– Pani dyrektor? – zapytał tym samym lizusowskim tonem ojciec Lionie.

– Wejdźcie, wejdźcie – dyrektorka wstała zza biurka. – To pański syn, prawda? Jakże podobny do ojca... Witaj, Lionie!

– Dzień dobry – powiedział zakłopotany Lion. Pewnie tym razem wstydził się za ojca.

– A ty jesteś Tikkirey? Cześć, Tikkireyu. Miło cię poznać. Nazywam się Alla Neige2.

Dyrektorka szkoły była niewysoką, kruchą kobietą w średnim wieku, o sympatycznej twarzy, z iskierkami śmiechu w oczach – jakby zaraz miała się roześmiać. Prowadziła rozmowę w bardzo zręczny sposób, jednocześnie rozmawiając z nami trzema.

– Proszę się nie martwić, już wydałam polecenie, aby chłopcom przydzielono pokój w najlepszym skrzydle – to do pana Edgara.

– Może zechciałbyś wystąpić przed naszymi uczniami i opowiedzieć o życiu na stacji kosmicznej? Żaden z naszych wychowanków nie był tak długo w otwartej przestrzeni! – to do Liona.

2 Neige ( franc.) – śnieg.

– Słyszałam, że otrzymałeś obywatelstwo Nowego Kuwejtu? Staramy się wyznaczać chłopców z obywatelstwem opiekunami grup, nie miałbyś nic przeciwko temu? – to było do mnie.

Zapanowało zamieszanie. Pyszczaty sekretarz przyniósł herbatę i cukierki dla nas, a dla pana Edgara filiżankę kawy. Ojciec Liona smętnie zerknął na zegarek, ale jednak przysiadł na krześle i wypił napój. Nam wręczono ogromny folder „College Pelach”. Było w nim mnóstwo trójwymiarowych zdjęć, pokazujących jak uczniowie się uczą, mieszkają i trenują. Dowiedzieliśmy się, że założycielem szkoły był wielki indyjski pedagog Shri Bharama, który u schyłku życia przyleciał na Nowy Kuwejt z Gangu-2. Dlatego właśnie wewnątrz urządzone są zgodnie z naturalnym indyjskim kolorytem (Indie to starożytny kraj na Ziemi), a cztery strefy wiekowe college’u nazwano – na cześć indyjskich miast – Delhi, Kalkutą, Bombajem i Pekinem.

Przeglądałem folder i cały czas dręczyła mnie jedna myśl. Skąd dyrektorka wie o moim obywatelstwie? Koperta leżała w sejfie w campingu, o tym, że przyznano mi obywatelstwo wiedział tylko Lion, jego ojciec i Anna... O rany!

Podrzuciłem głowę i popatrzyłem na dyrektor Neige.

– Chcesz o coś zapytać, Tikkireyu? – spytała łagodnie. – Śmiało, nie krępuj się.

– Przepraszam... Pytanie nie będzie dotyczyło college’u... Czy nie ma pani przypadkiem córki, która pracuje w rejestracji na campingu? – zapytałem.

– Tikkireyu... – wyjęczał tragicznym głosem pan Edgar. – Na co ty sobie...

– Wszystko w porządku. – Alla Neige uśmiechnęła się. – Tikkirey ma absolutną rację. Masz na myśli Annę, prawda?

Skinąłem głową.

– Anna jest do pani bardzo podobna...

– Bystry z ciebie chłopiec – powiedziała dyrektorka. – Masz absolutną rację. To właśnie ona doradziła panu Edgarowi, żeby przywiózł was do mojego college’u, uważanego za jeden z lepszych na planecie... Nie zdradzisz mnie, Tikkireyu?

Wzruszyłem ramionami i skinąłem głową.

– Dzwoniła do mnie dwadzieścia minut temu. – Dyrektorka zniżyła głos, jakby córka mogła ją usłyszeć. – Chyba się zdenerwowałaś i nie bardzo chciałaś gdziekolwiek jechać, tak? Prosiła, żeby się tobą szczególnie zająć. Właściwie nie musiała tego robić, opieka nad uczniami to moja praca. Nie wygadaj się przed nią, że wiesz o tym telefonie, dobrze?

Pani Neige uśmiechnęła się. Czuję się niezręcznie – czemu tak się ze mną cacka? – a jednocześnie było mi przyjemnie.

Nawet na podbitym Nowym Kuwejcie byli sympatyczni ludzie, którzy się o mnie troszczyli. I to nie dlatego, że tak ich zaprogramowano.

– Nie wygadam się – obiecałem.

– Doskonale! – Dyrektorka zwróciła do ojca Liona. – Widzę, że pan się spieszy. Proszę jechać. Wszystko będzie w porządku, zajmiemy się chłopcami.

Pan Edgar przelotnie – jakby bojąc się, że się sparzy – objął Liona, mnie poklepał po ramieniu i wyszedł.

– A my pójdziemy obejrzeć college – oznajmiła pani Neige. – Zajęcia rozpoczynają „ię rano, ale dzisiaj pozwalam wam odpocząć. Obejrzyjcie sobie szkołę, pospacerujcie po mieście... Nie byliście jeszcze w Agrabadzie, podróżnicy?

Nie byliśmy. Poczułem, że znowu zbliżamy się do niebezpiecznego tematu.

– I czemu zaniósł was do lasu? – spytała dyrektorka, obejmując nas ramionami i zaglądając w oczy na przemian mnie i Lionowi. – Rozumiem, że jak wszyscy chłopcy lubicie wycieczki i przygody... Ale dlaczego uciekliście?

– Przestraszyliśmy się – zacząłem naszą legendę. – Wszyscy leżeli jak skamieniali...

Pani Neige pokręciła głową.

– Nie fantazuj... Dobrze, chłopcy, było-minęło. Tylko nie wymyślajcie niestworzonych historii, dobrze?

Zaprogramowana. Musi być zaprogramowana, skoro nam nie wierzy.

– Dobrze, nie będziemy – zgodziłem się potulnie. – Po prostu chcieliśmy przez kilka dni pomieszkać w lesie jak starodawni ludzie. A potem zabłądziliśmy.

– Mamy zajęcia z orientacji się w terenie – uspokoiła nas pani dyrektor. – Nie raz będziecie mieli okazję uczestniczyć w najprawdziwszych wyprawach. A teraz pokażę wam strefę „Bombaj”. Jest przeznaczona dla dzieci od dwunastu do czternastu lat...

## Rozdział 5

Indie to zapewne piękny i fascynujący kraj. W strefie „Bombaj” wszystkie ściany pokrywały starodawne hinduskie malowidła – kolorowe i wyszukane. Niektórzy ludzie na rysunkach mieli niebieską skórę, zdarzali się też tacy z czterema czy sześcioma rękami. Były też niezwykle zwierzęta – między innymi słonie, występujące jedynie na Ziemi. Miałem wrażenie, że słonie umieją latać, bo widziałem coś takiego w jakiejś kreskówce, ale wstydziłem się zapytać, czy to prawda.

Było też dużo ogrodów zimowych, ze wspaniałą roślinnością i prawdziwymi żywymi ptakami. W podziemiach, dokąd zjechaliśmy ogromną windą, znajdował się kompleks sportowy. Mieściło się tam kilka basenów, ogromne boisko do gier zespołowych i sala do lekkiej atletyki. W basenie pływali chłopcy, na boisku dziewczęta grały w siatkówkę. Zerkali na nas, ale nie podchodzili, pewnie dlatego, że towarzyszyła nam pani dyrektor.

– College Pelach stawia sobie za cel wychowanie przyszłych urzędników państwowych, dyrektorów, zarządzających korporacjami i kompaniami oraz inteligencji twórczej – opowiadała Alla Neige. – Inaczej mówiąc, wychowanie elity. Wszystko, co mamy, jest w najlepszym gatunku.

– Nauka w waszej szkole musi być bardzo droga – zauważyłem.

– Czesne pokrywa częściowo państwo – uchyliła się od odpowiedzi dyrektorka.

– A kto płaci za nas? – dopytywałem się dalej.

– College. Mamy specjalne fundusze dla perspektywicznych uczniów. Lion i ja popatrzyliśmy na siebie.

– To znaczy, że my jesteśmy perspektywiczni? – zapytał z powątpiewaniem Lion.

Wróciliśmy do windy i wjechaliśmy do mieszkalnej części „Bombaju”. Alla Neige zawahała się, jakby nie chciała kłamać, a nie mogła wyjawiać całej prawdy.

– Jesteście szczególnie – powiedziała wreszcie. – Zachowaliście się niestandardowo.

– Uciekając do lasu? – uściślił Lion.

– Tak. Nowe Imperium będzie potrzebowało takich ludzi. Gdy córka opowiedziała mi o waszym powrocie, od razu pomyślałam, że musimy wziąć was do siebie.

Alla Neige uśmiechnęła się do nas serdecznie. Pomyślałem, że chyba jednak nie jest zaprogramowana, tylko nie chce wspominać tamtej nocy.

Dyrektorka oprowadziła nas po szkolnej części strefy „Bombaj”, wręczyła klucz od naszego pokoju – nie była to wspólna sala sypialna, jak w mniej ekskluzywnych szkołach, lecz dwuosobowy pokój – i oddaliła się.

Zostaliśmy na środku korytarza, stropieni, zakłopotani i czujni. Coraz mniej mi się to wszystko podobało. Już wołałbym chodzić po lesie, łowić ryby i spać w szałasie....

– Obejrzymy pokój? – zaproponował Lion.

Pokój był całkiem sympatyczny. Dzielił się jakby na dwa trójkąty – w każdym z nich stało łóżko, szafa i biurko. W jednym trójkącie wszystko – dywan, tapety, a nawet pościel – było w kolorze pomarańczowym, w drugim – ciemnoniebieskim. Na stołach stały całkiem porządne komputery z dobrym akumulatorem, doskonałym monitorem i klawiaturą holograficzną, leżały różne akcesoria do ręcznego pisania (co znaczyło, że nie gardzono tu wykształceniem klasycznym) oraz inne niezbędne uczniom drobiazgi.

– Nieźle umiem pisać ręcznie – pochwalił się Lion. Ja też umiałem, ale nie licytowałem się.

– Którą połówkę wybierasz? – zapytał Lion.

– Pomarańczową.

– Dobra, to ja niebieską – zgodził się Lion. – Ale super! Widziałeś widok z okna?

Okno było w jego połowie, za to w mojej było wejście do łazienki, niezbyt dużej, za to fajnie urządzonej.

Wyrzeliśmy przez okno – z czwartego piętra widzieliśmy cały ogród wokół szkoły, ulice oraz piękny meczet naprzeciwko.

Popatrzyłem na Liona.

– Idziemy – zgodził się. Obaj domyślaliśmy się, że w pokoju nie należy rozmawiać o niczym ważnym. We wszystkich college'ach instaluje się urządzenia podsłuchowe, a nawet kamery, żeby uczniowie nie robili Bóg wie czego.

Zanim wyszliśmy, zajrzałem do szafy i znalazłem tam dwa komplety szkolnych mundurków. Jeden codzienny – niebieskie spodnie i marynarka, jasnoszara koszula, krawat z emblematem „Bombaju” – słonikiem z podniesioną trąbą, oraz czapka i buty. Drugi zestaw miał podobny krój, ale garnitur i koszula były białe.

Lion znalazł identyczne zestawy w swojej szafie. Od razu rozebrał się i zaczął przymierzać.

– Słuchaj, to przecież mój rozmiar! – zawołał zaskoczony. Przymierzyłem swój garnitur. Pasował, jakby szyto go na miarę. – W końcu nie ma w tym nic dziwnego... Znali nasz wzrost, wagę... – zaczął Lion, patrząc na mnie niepewnie. Stał bosy, w samych spodniach i obracał się, sprawdzając, czy ubranie gdzieś nie ciśnie, albo nie odstaje.

– W dodatku wiedzieli, które części pokoju wybierzemy – zauważyłem. – Zdejmijmy to na razie, dobra?

Lion kiwnął głową. Nietrudno umieścić „pluskwę” w szwie koszuli czy na butach – taki aparat podsłuchowy może wyglądać jak zwykła nitka czy pyłek i zdoła przekazać informacje w zaszyfrowanym pakiecie. Żaden detektor nam nie pomoże.

– Dobra, jeszcze nam się te ciuchy zdążą znudzić. Przejdziemy się po mieście, co?

Włożyliśmy swoje ubrania i wyszliśmy na korytarz...

.. .gdzie wpadliśmy na czterech chłopaków mniej więcej w naszym wieku. Szli od strony sali gimnastycznej w strojach sportowych, z torbami na ramieniu i włosami mokrymi po prysznicu.

– Nowi! – ucieszył się jeden, wyższy i lepiej zbudowany od swoich kumpli. Od razu wyczułem w nim przywódcę. – Będziecie tu mieszkać?

– Tak – Lion odsunął mnie zdecydowanie i wystąpił do przodu. – Będziemy.

– No to musicie się zameldować – powiedział chłopak. – Jasne?

– Mamy się bić? – zapytał spokojnie Lion. Chłopak kiwnął głową.

– Dobra – zgodził się Lion.

Poczułem ukłucie w piersi. Nie lubię się bić. W sumie biłem się może z pięć razy, nie licząc tych czasów, gdy byłem zupełnie mały. Co to za głupi zwyczaj: bić się przed zawarciem przyjaźni!

– No to już – rzekł chłopak, zrzucił torbę i zrobił krok w stronę Liona. I wtedy Lion zrobił coś dziwnego: tak jakby podskoczył w miejscu i zastygł. A chłopak o głowę wyższy od niego upadł na podłogę, przyciskając dłonie do twarzy i jęcząc cicho. Z rozbitego nosa płynęła krew.

– Który następny? – zapytał Lion zimno. – Obiecuję, że następnemu złamię szczękę!

Chłopcy stali nieruchomo i patrzyli na Liona stropieni i zaskoczeni.

– Zaprowadźcie go do lekarza. Ty – Lion wskazał jednego palcem – jesteś za to osobiście odpowiedzialny.

Żaden z nich się nie odezwał. Podnieśli swojego przyjaciela i poprowadzili go korytarzem, prawdopodobnie do punktu medycznego. Krew spadała ciężkimi kroplami, na dywanie ciągnął się łańcuszek ciemnych plam.

– Odbiło ci? – wyszeptalem i przypomniałem sobie, jak przy naszym pierwszym spotkaniu Lion pytał, czy będziemy się bić.

Czy wtedy uderzyłby równie mocno?

Lion odwrócił się. Wyglądał na zakłopotanego, ale wyraźnie nie czuł się winny.

– Tak trzeba, Tikkireyu. Chodźmy.

Nie spierałem się. Szliśmy w milczeniu korytarzem. Zeszliśmy po schodach, mineliśmy budkę wartownika i wyszliśmy na szkolne podwórko.

– Jesteś kopnięty – powiedziałem z przekonaniem, stukając Liona w plecy. – Po coś go tak walnął? Lion szedł szybko, wymachując rękami. Odezwał się dopiero, gdy wyszliśmy za bramę.

– Tak było trzeba.

– Ale po co? – zawołałem. – Pobilibyśmy się normalnie, nie musiałeś go tak kasować...

– Pamiętam sny – uciał Lion.

– Co tu mają do rzeczy sny?

– Sny – powtórzył Lion. – O tym, jak trafiam do szkoły wojskowej, gdzie trzeba się tak samo... zameldować. Nie wyobrażaj sobie, że skończyłoby się na zwykłym poszturchiwaniu. Spuściliby nam łomot. A tak... stracili ochotę. Na zawsze. Więcej nas nie zaczepią.

– Skąd wiesz? Może im śniło się co innego?

– To samo – powiedział twardo Lion. – Szron tego właśnie potrzebuje, rozumiesz? Wychowania młodzieży w duchu bojowym. Prawdziwych twardzieli, bojowników. Takie rzeczy były we wszystkich wojennych serialach, nie pamiętasz? Koleś trafia do wojska i najpierw go leją, a potem zaczyna się ze wszystkimi przyjaźnić.

– Ale my nie jesteśmy w wojsku, tylko w szkole! Kto zechce się teraz z nami kumplować? – spytałem z ironią. – Wszyscy się będą bali!

– Może – przyznał Lion. – Ale gdybym go nie strzelił, to my leżelibyśmy teraz w gabinecie lekarskim.

Być może miał rację. W końcu on pamiętał swoje sny i domyślał się, jak mogą zachować się inni chłopcy. Ale samo wspomnienie, jak jednym ciosem rozłożył tego chłopaka, było nieprzyjemne.

– Gdzie się nauczyłeś tak walczyć? – zapytałem.

– We śnie – roześmiał się Lion. – Oni też tak umieją, rozumiesz? Tylko jeszcze o tym nie wiedzą. Ale jeśli choć raz pokaże im się chwyt, od razu wszystko sobie przypomną.

– Wiesz co, jak będziesz ciągle przypominał sobie swoje sny i zachowywał się tak, jak w nich, to zwariujesz. Albo staniesz się zahartowanym twardzielem.

Lion przestał lecieć jak wariat i zerknął na mnie spode łba.

– Podoba ci się, że jesteś taki? – zapytałem. – Jeden cios i łamiesz komuś szczękę. Dwa chwyt i zostajesz przywódcą. Od razu rób karierę i podbij Imperium dla pani Snów.

– Nie podoba mi się – wymamrotał Lion. – Ale to było tak, jakby coś zaskoczyło mi w głowie i przypomniałem sobie, jak to będzie... Że nas pobiją, zanoszą do lazaretu, ukarzą tamtych chłopaków, a potem się pogodzimy. I tak się wściekłem... więcej tego nie zrobię.

– Chodźmy do sklepu, dobra? – zaproponowałem pojednawczo. – Muszę kupić baterie.

– Aha – Lion skinął głową i uśmiechnął się. – Dobra.

Sklep stał obok meczetu. Sprzedawano tam głównie książki, dywaniki do modlitwy, jakieś specjalne jedzenie dla szczególnie religijnych i ciemne, ponure ubrania. Ale był też dział z różnymi elektronicznymi drobiazgami, między innymi bateriami. Przekartkowałem katalog elektroniki, wybrałem baterie do wiertarek i innych narzędzi. I przypomniałem sobie, że nie mam pieniędzy!

– Mama dała mi rano – domyślił się Lion. – Trzymaj... Zapłaciłem i wziąłem ciężką metalową „tabletkę”.

– Lubisz majsterkować? – zapytał sprzedawca z uśmiechem.

– Tak – odparłem. – Zwłaszcza wiercić dziurki.

Wyszliśmy na ulicę i znaleźliśmy jakiś pusty zaułek, na który nie wychodziły okna żadnego domu. Rozpiąłem pasek i ścisnąłem go w rękę. Bicz ożył. Sprzączka grubiała powoli, przemieniając się w głowę węża. Próbowałem wyobrazić sobie, jak wkładam baterie i z boku odstłoniła się wąska szczelina. Tam właśnie włożyłem „tabletkę” baterii.

Po ciele bicza przeszedł dreszcz. Ogon poruszył się i musnął moje gniazdo. Zacząłem słyszeć fragmenty muzyki i strzępy rozmów – nie uszami, lecz przez gniazdo. To ożywiony bicz przeglądał eter, przekazując mi programy radiowe, rozmowy telefoniczne i tak dalej.

– O rany... – powiedział z zachwytem Lion.

– Nie trzeba – szepnąłem do broni. – Śpij!

Bicz natychmiast wysunął się z gniazda, spłaszczył się i zastygł. Zacząłem go zapinać na spodniach i w tym momencie jakiś przechodzący obok mężczyzna zatrzymał się i popatrzył podejrzliwie.

– Ajajaj! Jak ci nie wstyd! Taki duży chłopiec!

– Poprawiam pasek, bo mnie spodnie cisną! – zawołałem, czerwieniąc się.

Przechodzień rozejrzył się czujnie, ale nie znalazł żadnych śladów podejrzanej działalności.

– Dlaczego pan go obraża? – wstawił się za mną Lion. – Mój kolega wstydził się poprawiać spodnie na środku ulicy.

Wyjaśnienie zostało przyjęte.

– Przepraszam, młody człowieku – powiedział szczerze przechodzień. – Nie chciałem cię urazić.

Lion mrugnął do mnie:

– Jak to miło, gdy wszyscy są tacy sympatyczni.

Tak... Na Avalonie dorosły nie zacząłby się usprawiedliwiać i przeproszać dziecka, nawet gdyby nakrzyczał na nie bez powodu.

– Nic się nie stało – powiedziałem. – Wcale się nie gniewam!

Spacerowaliśmy po Agrabadzie aż do wieczora. Byliśmy nawet na placu, na którym wieczorem mieli stracić Tiena. Na środku stał wysoki, drewniany pomost, obity czerwonym materiałem. Ludzi na razie było mało i już podeszliśmy bliżej pomostu (może dałoby się pod nim ukryć i wyciąć luk dla Tiena, gdy go przyprowadzą?), gdy podszedł do nas policjant i bardzo grzecznie wyjaśnił, że będą tu tracić przestępcę i dzieci nie powinny tego oglądać, poza tym, nie wolno się tu kręcić, bo to będzie

wymierzania sprawiedliwości, a nie jakiś tam hip-hop show...

Musieliśmy odejść.

Zastanawialiśmy się, w jaki sposób stracą Tiena. Lion orzekł, że go rozstrzelają – na pomoście nie było szubienicy i nie wyglądało na to, żeby ktoś miał zamiar ją montować. Ja uważałem, że zetną mu głowę. Zastanawianie się nad ratunkiem nie miało najmniejszego sensu – sądząc z rozmiarów placu, przyjdzie tu kilkadziesiąt tysięcy ludzi i żaden bicz nie pomoże nam uratować faga. Nawet gdyby na placu zjawił się odważny dziadek Siemiecki ze swoimi dziewczynkami, nic byśmy nie zdziałali.

– Wiesz co, nie oglądajmy tego – zaproponował Lion, który wyraźnie zaczął się denerwować. – Nie chcę na to patrzeć!

Ja też nie miałem ochoty obserwować egzekucji. Przypomniałem sobie, jak siedzieliśmy na statku Tiena przy stole, jedliśmy kolację, a on opowiadał nam różne fagowskie historie, pewnie zmyślane, bo kto by zdradzał nastolatkom prawdziwe sekrety, ale i tak ciekawe...

– To byłoby nie w porządku – powiedziałem w końcu. – Przecież on jest tutaj zupełnie sam. Popatrzyłby na plac i zobaczył jedynie wrogów.

– Myślisz, że nas zauważy w tym tłumie? – zapytał z powątpiewaniem Lion, rozglądając się po placu.

– Wyczuje. Przecież jest fagiem. Lion skinął głową i zacisnął zęby.

– Musimy przyjść – powtórzyłem.

Do egzekucji zostały jeszcze cztery godziny. Znowu kręciliśmy się po centrum. Było tam bardzo ładnie, każdy dom inny (w przeciwieństwie do dzielnic mieszkalnych), w małych sklepikach sprzedawano różne zabawne rzeczy, w kawiarniach siedzieli nieliczni goście. Ale my nie mieliśmy najmniejszej ochoty najedzenie, picie, czy zwiedzanie miasta.

– A może pod placem biegnie sieć kanalizacyjna? – Lion sypał pomysłami jak z rękawa. – Wejść tam, dostać się pod pomost... Nie, to bez sensu. Najlepiej byłoby porwać flajer...

Wszystkie te pomysły były równie głupie i on doskonale o tym wiedział. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to przyjść na plac i patrzeć na egzekucję.

– To straszne, gdy człowiek umiera? – zapytał nagle Lion.

– Przecież widziałeś w snach, no nie? – zauważyłem złośliwie. – Na przykład jak ja umieram.

– Ale to było w snach... – odparł ponuro Lion. – A naprawdę? Ten szpieg, którego zabił Staś?

– Straszne. Śmierć człowieka zawsze jest straszna. Ale wtedy od razu zaczęły się dziać takie rzeczy, że o zwykłej śmierci już się nie myśli. Poza tym, co innego szpieg, który chciał mnie zabić, a zupełnie co innego Tien...

– Myślisz, że kłamali o tej dżumie dymienicznej?

– Kłamali – powiedziałem twardo, chociaż wcale nie byłem tego taki pewien.

Może Tien rzeczywiście chciał zatruć wodę? Fagowie muszą troszczyć się o całe Imperium, a nie o poszczególnych ludzi, nawet jeśli mowa o tysiącach. Gdy fag dostanie rozkaz, zrzuci bombę na planetę i umieści wirusy w wodociągu.

Godzinę później byliśmy już kompletnie wyczerpani bezcelowym myśleniem i błąkaniem się po mieście. Wróciliśmy na plac.

Ludzie zjawili się nieoczekiwanie i prawie wszyscy jednocześnie. Do osiemnastej było niemal pusto, a po szóstej zaczęły walić tłumy, jakby ktoś otworzył ogromne wrota. Widocznie skończył się

dzień pracy. Początkowo przychodzili mężczyźni i kobiety w eleganckich garniturach – pewnie urzędnicy z biur rządowych. Potem pojawili się ludzie ubrani znacznie swobodniej – z prywatnych firm. Później robotnicy z fabryk, pracujący z dala od centrum. Do siódmej plac był już prawie pełen, ale ludzie nadal przybywali i tłum zaczął się ścieśniać. Mnie i Liona przycisnęli do samego pomostu. Wcale nam na tym nie zależało, ale teraz nie mieliśmy już wyboru. Wielu dorosłych patrzyło na nas z dezaprobatą, ale nikt nie kazał nam odejść. Wiedzieli, że z takiego ścisku już się nie wyrwiemy.

– Niepotrzebnie tu przyszliśmy – mamrotał Lion. – Słuchaj, muszę iść do toalety...

– Skąd ja ci wezmę toaletę? Wytrzymaj...

Za piętnaście ósma nad placem zawisł ogromny flaer w barwach rządu Nowego Kuwejt. Powoli zawisł nad pomostem, nie wyłączając jednak turbin – gdyby to zrobił, swoim ciężarem zmiażdżyłby deski. Otworzyły się drzwi, z których wyszło dziesięciu policjantów, jacyś ludzie po cywilnemu i Tien.

Tłum wstrzymał oddech.

Tiena zaprowadzono na środek pomostu, gdzie było niewielkie wzniesienie w kształcie taboretu. Fag miał na sobie długą, szarą koszulę, a na rękach i nogach pierścienie kajdanek magnetycznych. Wydawał się bardzo spokojny, nie patrzył na tłum, tylko ponad głowami.

Policjanci stanęli rzędem z boku i każdy trzymał dłoń na blasterze.

– Rozstrzelają go – wyszeptał mi na ucho Lion. – To dobrze. Nie zdąży poczuć bólu.

Tymczasem flaer wznosił się w niebo i zawisł sto metrów nad placem. Spuszczono z niego cienką, połyskliwą linkę.

Tłum wydał zdławiony okrzyk.

Stojący obok Tiena cywil złapał linkę i założył pętlę na szyję faga. Tien rzucił mu pełne pogardy spojrzenie i utkwiał wzrok ponad głowami ludzi.

– To nie w porządku... – wyszeptał Lion. – Śmierć przez powieszenie to hańba!

Jeden z cywilów wyszedł na brzeg pomostu i zaczął coś mówić. Jego głos, wzmocniony przez niewidoczne głośniki, huczał nad całym placem. Zresztą, co tam nad placem, pewnie słyhać go było nad całą stolicą!

Cywil był prokuratorem Agrabadu i właśnie odczytywał postanowienie trybunału. Była w nim mowa o tym, że Sian Tien, obywatel Avalonu, przeniknął na planetę Nowy Kuwejt, wchodzącą w skład Federacji Szronu, i przedstawił dokumenty, świadczące o tym, że jest ochroniarzem osobistego przedstawiciela Imperatora przybyłego na Nowy Kuwejt z misją dyplomatyczną. Jednakże człowiek ten, przyjęty z właściwą dla Nowego Kuwejt gościnnością, odpłacił złem za dobro. Potajemnie opuścił przydzielony mu pokój w hotelu i przeniknął na teren stołecznego ośrodka wodociągów, gdzie został zatrzymany przez ochronę podczas próby zatrucia urządzeń filtracyjnych. Dokładna analiza wykazała, że w przyniesionej przez niego próbówce znajdują się szczepy bakterii dżumy dymienicznej, strasznej choroby, która zabiłaby miliony mieszkańców Nowego Kuwejt. W toku śledztwa stwierdzono również, że Sian Tien jest tak zwanym fagiem, członkiem tajnego ugrupowania terrorystycznego podlegającego bezpośrednio Imperatorowi. Na mocy postanowienia trybunału dywersant Sian Tien zostaje pozbawiony immunitetu dyplomatycznego oraz skazany... – tłum znowu wstrzymał oddech – na śmierć przez powieszenie. Wyrok zostanie wykonany przez umieszczenie szyi skazanego w pętli na mocnej linii stumetrowej długości, której koniec przymocowano do sądowego flaera. Flaer znajduje się na wysokości stu metrów i na komendę prokuratora wzniesie się na wysokość dwustu...



Prokurator mówił w sposób zrozumiały, ale używał oficjalnych, topornych sformułowań, jak na dawnych filmach historycznych. Głos miał ponury i uroczysty jak na starych filmach.

Następnie prokurator zapytał Sian Tiena, czy ten chciałby wygłosić ostatnie słowo, bądź też wyrazić ostatnie życzenie – poprosić o papierosa, alkohol, narkotyk albo przybycie kapłana dowolnego wyznania.

Fag zerknął na niego, pokręcił głową i znowu patrzył ponad tłumem.

Lion przytulił twarz do mojego ramienia. Zrozumiałem, że nie chce przyglądać się egzekucji. Nie wyglądał już na tego zimnego twardziela, który złamał nos chłopakowi w college'u.

Do przodu wystąpił jeszcze jeden cywil i tłum zaczął bić brawo. Okazało się, że ten mężczyzna w średnim wieku jest sułtanem, władcą Nowego Kuwejtu. Sułtan wiele mówił o wiarołomstwie, miłosierdziu i sprawiedliwości, a na koniec powiedział, że po bardzo dokładnym przemyśleniu całej sytuacji postanowił nie korzystać z możliwości ułaskawienia skazanego.

Tłum znowu zaklaskał.

I nagle wszyscy zaczęli tak krzyczeć, że nawet Lion odwrócił się w stronę pomostu. Wiadomo było, że to jeszcze nie egzekucja, tylko coś innego, może nawet ważniejszego.

Zza pleców cywilów wyłoniła się niewysoka kobieta w prostej, długiej sukni i długich, koronkowych rękawiczkach. Twarz miała zasłoniętą woalem.

– Władczyni! – wykrzyknął Lion. – Pani prezydent! Tłum szalał.

Ludzie tak napierali na pomost, że omal mnie nie przewrócili. Rozlegały się okrzyki radości, szloch i histeryczny płacz. Mężczyźni brali kobiety i dzieci (w tłumie były jednak dzieci), podnosili do góry i sadzali sobie naramionach, żeby mogły zobaczyć prezydent Inne Snów. Mnie też nieoczekiwanie ktoś wziął na ręce i znalazłem się na barczystych ramionach jakiegoś potężnego mężczyzny o wykrzywionej twarzy. Mężczyzna płakał i śmiał się jednocześnie.

– Patrz, mały! – krzyczał. – Patrz, zapamiętuj! – i od razu zapominając o mnie wrzeszczał:

– Pani prezydent! Pani prezydent!

Co miałem robić – patrzyłem. Obok mnie jakiś chudy chłopak podniósł i posadził sobie na ramionach Liona. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że to powszechny odruch – ludzie nie tylko chcieli sami patrzeć na Inne Snów, ale pragnęli, by zobaczyli ją inni. Ktoś nawet wziął na barana dorosłego mężczyznę – był zbyt niski i nic by nie zobaczył.

A my chcieliśmy uwolnić Tiena!

Jakże byliśmy głupi i naiwni... Tłum rozerwałby nas na strzępy, na drobne kawałeczki, na molekuly, gdybyśmy tylko odważyli się zaatakować ludzi stojących na pomoście!

– Czemu milczysz! Nie wstydz się! – krzyknął do mnie mężczyzna, któremu siedziałem na ramionach.

Nie odważyłem się milczeć.

– Inna Snów! Inna Snów! – zawołałem. – Władczyni! Pani prezydent! Tłum był w amoku. Inna Snów uniosła rękę, witając poddanych.

A potem podniosła drugą rękę i od razu wszyscy umilkli.

– Zło rodzi zło, dobro rodzi dobro – powiedziała Inna Snów. Jej głos również był wzmocniony przez głośniki, ale wydawało się, że mówi szeptem. Że to serdeczna, poufna rozmowa, którą pani prezydent prowadzi wyłącznie ze mną. Jej głos dziwnie i jednocześnie znajomo wibrował, zmieniając intonacje i tembr.

– Władczyni... – wyszeptalem i nawet nie tyle usłyszałem, co poczułem, że każdy człowiek na placu wypowiedział to samo słowo i po ulicach Agrabadu przetoczył się huk.

– Ten człowiek przyniósł nam śmierć. Straszna śmierć w męczarniach dla każdego obywatela Agrabadu. Nie boję się o siebie, ja przecież nie mogę umrzeć. Ale on przyniósł śmierć wam. Moim przyjaciołom. Moim dzieciom. Najprostsze, najbardziej sprawiedliwe, co można zrobić, to stracić człowieka o imieniu Sian Tien.

Tłum milczał i czekał. Inna Snów popatrzyła na Tiena i odwróciła się.

– Ale czy rzeczywiście będzie to sprawiedliwość? Chciałabym się was poradzić. Ten człowiek jest fagiem. Genetycznie zmodyfikowanym zabójcą, terrorystą, wyhodowanym w laboratoriach Avalonu. Nie znał swoich rodziców. Jego genom to mozaika genów zebranych od dziesiątków ludzi. Od najmłodszych lat uczono go zabijać i zdradzać. Pozbawiono go ludzkich uczuć, wychowano na człowieka bezlitosnego i okrutnego, niezdolnego do miłości czy współczucia. Jest narzędziem w rękach tchórzliwej, sprzedajnej władzy, przeczuwającej nadchodzący koniec. To prawda, że Imperium chce zalać galaktykę strumieniami gorącej krwi. Chce sprawić, byśmy stali się bezbronni wobec Obcych. Ale czy słusznie uczynimy, dodając do tego strumienia krwi choćby kroplę? Wiem, jak niewielka jest szansa, że ten człowiek się zmieni, jednak taka szansa istnieje. Czy możemy pozwolić sobie na miłosierdzie? Czy jesteśmy wystarczająco silni! Czy wierzymy w siebie? Czy jesteśmy gotowi przebaczać?

Tłum milczał. Ja też milczałem. Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Wszyscy czekaliśmy, aż władczyni podpowie nam, wyjaśni, czego chcemy – śmierci Tiena czy łaski.

– Nie odpowiemy złem na zło – wyszeptala pani prezydent. Drgnąłem i zamknąłem oczy. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, co się dzieje. To było jak hipnoza! Co ona w ogóle mówi, to przecież czysta demagogia! Co to za zło, które rodzi zło? Sian Tien nie mógłby zarazić śmiertelną chorobą całej planety! A gdyby nawet – nie musiałby w tym celu przenikać do wodociągów! Wystarczyło rzucić z orbity małą lodową kapsułę, która roztopiłaby się w powietrzu nad stolicą! Fagowie wcale nie są okrutni! Imperium nie chce z nikim walczyć!

Dlaczego zacząłem myśleć tak, jak chce tego Inna Snów? Przecież nie jestem zaprogramowany!

Może dlatego, że wokół mnie są dziesiątki tysięcy ludzi, myślących w taki sam sposób? Może to działa jak strumień? Nie potrzeba żadnych przyrządów, żeby połączyć wszystkie mózgi w jeden łańcuch, uczynić je elementami mechanizmu liczącego. Bądź w tłumie, stań się jego częścią. Patrz razem z nim. Słuchaj razem z nim. Krzycz razem z nim.

Od razu odechce ci się myśleć.

– Czy uwolnimy tego człowieka? – spytała Inna Snów. Popatrzyła w górę, na wiszący flajer, a ciemny woal spoczął na jej twarzy, uwydatniając kształty. Tłum krzyknął, jakby pragnąc zobaczyć twarz pani prezydent. – Niechaj ten wierny pies Imperatora wynosi się do swoich panów. Niech przekaże im naszą pogardę, naszą wolę, naszą siłę. Czy uwolnimy go?

– Tak! – tłum wrzasnął tak ogłuszająco, że na chwilę zatkało mi uszy. Mężczyzna, który mnie podsadził, skakał jak dziecko i wymachiwał rękami. Zacząłem się zsuwać, podtrzymał mnie, zsadził i krzyknął radośnie:

– Jak ona dobra! Chłopcze, jaka ona dobra! Jaka dobra!

– Ty zaprogramowany świrze – powiedziałem szczerze. On i tak nic nie słyszał. Od razu o mnie zapomniał i dalej wymachiwał rękami. Wokół mnie szaleli ludzie, a na pomoście cywile zdejmowali pętlę z szyi Tiena i spuszczaali w dół drewnianą drabinę.

– Niechaj odejdzie – powiedziała Inna Snów. – Przepuście go, obywatele. Nie dotykajcie go. Niech idzie na kosmodrom, wsiada na swój statek i odlatuje. Niech nikł go nie dotyka!

Sian Tien czekał cierpliwie, aż rozepną mu kajdanki na rękach i nogach. Potarł dłonie, podszedł do Inny Snów i powiedział coś. Nie usłyszeliśmy jego słów, za to dobiegła nas odpowiedź władczyni:

– Wasza psychotechnika na mnie nie działa. Zdejmę woal w tym dniu, w którym ludzkość zrzuci jarzmo Imperium i połączy się w jedną rodzinę. Odejdź, fagu. Wracaj do swoich panów.

Tien wzruszył ramionami i niespiesznie zszedł z pomostu. Tłum rozstał się, tworząc przejście. Tien zaczął iść, a krąg pustki wokół niego przemieszczał się razem z nim. Ludzie odsuwali się, jakby fag sam był chory na dżumę.

Nie zauważyłem, kto splunął pierwszy. Szybko stało się ich zbyt wielu – ludzi, którzy pluli na Sian Tiena, próbując trafić w jego twarz.

Fag nie zauważał plwocin. Po prostu szedł – prosto na mnie. A krąg pustki szedł razem z nim.

Szarpnąłem się, chciałem zejść z jego drogi, ale było już za późno, tłum się ścisnął i wypchnięto mnie przed szalejący, wrzeszczący i plujący szereg. Spojrzenie Tiena przesunęło się po mnie obojętnie, ale zrozumiałem, że mnie poznał.

Nabrałem pełne usta śliny, splunąłem na niego i wrzasnąłem:

– Wynoś się! Wynoś!

Potem odrzuciło mnie na bok i krąg się przesunął. Splunąłem jeszcze raz na plecy faga.

Jeszcze nigdy nie czułem się tak parszywie.

Więc tak to jest być fagiem?

Stać z pętlą na szyi, gdy oskarżają cię o rzeczy, których nie zrobiłeś, gdy kłamią bezczelnie, zonglując słowami i obwiniając cię o wszystkie nieszczęścia? Tak to właśnie jest?

Gdy idziesz opluty przez ryczący tłum i dławisz się cudzymi plwocinami?

Gdy plujesz w twarz przyjacielowi?

A gdyby to był Staś?

Nie chcę być fagiem! I nienawidzę tych, przez których fagowie muszą być tacy.

Wszystko rozumiem, nie jestem małym dzieckiem. Imperator też nie jest bez winy – za bardzo ufa swoim doradcom, nie walczy z niesprawiedliwościami w rodzaju tych na Kopalni.

Być może Inna Snów naprawdę chce, żeby wszystkim na świecie było dobrze – i dlatego kłamie.

Ale to, co zrobiła teraz, nie było miłosierdziem. To była podłość.

Wiedziała, że ludzie będą opluwać Tiena. Nie chciała go stracić – bo gdy walczą całe planety śmierć jednego człowieka jest niczym. Chciała poniżyć fagów, Imperium i samego Imperatora.

Gdy nazwała Tiena psem Imperatora – chciała wojny. Ona potrzebuje prawdziwej wojny. W dodatku takiej, w której Imperium będzie agresorem.

Tylko po co?

– Tikkireyu! – Lion złapał mnie łokieć. – Zgubiłem cię!

Drżał, jakby miał gorączkę. Tłum wokół nas szalał, a Lion trzymał mnie mocno i patrzył przerażony.

– Teraz już rozumiałeś? Zrozumiałeś już? Zrozumiałeś? – krzyczał.

– Zrozumiałem! Lionie, uspokój się! Już po wszystkim!

To prawda. Dla nas wszystko się skończyło, dla Tiena dopiero zaczynało. Wieczorem zobaczyliśmy przelotnie w wiadomościach, jak idzie do swojego statku – żywym korytarzem, w kręgu pustki, wśród opluwających go ludzi.

A teraz ja i Lion trzymaliśmy się mocno w tym uprzejmym, troskliwym tłumie, w którym wszyscy gotowi byli podsadzić dwóch chłopców, żeby ich nie zdeptano.

## Rozdział 6

W drodze do college'u Lion nadal gorączkował się i klął:

– Widziałeś, jak ich nakręciła? Widziałeś, co zrobiła z nami? Przecież ty też krzyczałeś, sam słyszałem!

– Mówiła w specjalny sposób – wyjaśniłem. – Fagowie też tak umieją... Wydajesz rozkazy i ludzie cię słuchają. Tylko fagowie nie umieją oddziaływać na cały tłum. Na nią to też nie działa... Zauważyłeś, że Tien próbował ją zmusić, żeby zdjęła woalkę?

– Ha, tłum! – prychnął pogardliwie Lion. – Zaprogramowane zombi!

– Ja nie jestem zaprogramowany – poprawiłem go. – Ty też nie. A jednak krzyczeliśmy.

Obok kosza na śmieci Lion zauważył pustą puszkę po piwie imbirowym. Już się nachylił, żeby ją podnieść, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie, rozejrzał się i z całej siły ją kopnął. Puszka załomotała tak, jak tylko potrafią łomotać puste plastikowe puszki.

– Głupota – skomentowałem.

Szedłem z rękami wciśniętymi w kieszenie. Nie miałem ochoty kopać puszek, rozbijać szyb ani przeklinać pani prezydent. To było tak samo bez sensu jak miażdżenie samochodzików sandałkiem. Nie jesteśmy dziećmi, którym nie podoba się Federacja Szronu czy pani prezydent. Jesteśmy zwiadowcami. Pomocnikami fagów.

– Imperator musi wypowiedzieć wojnę – powiedział nagle Lion z kamienną, nieruchomą twarzą. – Nie może tak być. Niedługo wszyscy będą jej słuchać. Musi być wojna.

– A twoi rodzice? Lion zamrugał oczami.

– Będą bić się o Szron – przypomniałem. – Ginać z imieniem Inny Snów na ustach. Twoje rodzeństwo też. Twój ojciec pójdzie na wojnę, a mama będzie tyrać w fabryce albo kopalni.

– Poproszę, żeby ich ewakuowano i przeprogramowano – powiedział żałośnie Lion. – Chyba fagowie się zlitują?

– Fagowie nie robią niczego z litości – przypomniałem. – To tylko Staś jest trochę inny niż wszyscy.

– W takim razie musisz stąd odlecieć – zawyrokował Lion. – Już wszystko jasne, wojna jest nieunikniona, Imperator nie zniesie tak obraźliwych słów! Jest wprawdzie stary, ale dumny. Leć i powiedz wszystkim, co zrozumieliśmy. A ja zostanę z rodzicami.

– Zostaniesz w college'u – poprawiłem go. – I nie będziesz miał na nic wpływu. Poza tym, co takiego ważnego zrozumieliśmy?

– Że Inna Snów chce walczyć z Imperium – powiedział Lion.

– Musiałaby być głupia. Zastanów się, jaką flotę ma Imperium, a jaką Szron. Ile planet ma Imperator, a ile Snów. Tu wszystkich zaprogramowała, tu wszyscy pójdą za nią w ogień i wodę, ale z pozostałymi ta sztuczka nie przejdzie! Ludzie na innych planetach mają zablokowane moduły radiowe i program nie zstartuje. Jeśli nawet są zarażeni, teraz ich wyleczą. Jak Snów ma zamiar walczyć? Posiada cudowną broń? Jakiś promień śmierci, jak na filmach? Jeden ruch i gasną gwiazdy, drugi ruch i płoną gwiazdoloty...

Lion zjeżył się.

– Może ma? Może szuka pretekstu, żeby Imperator zaatakował pierwszy?

– Po co?

247

– Na przykład po to, żeby Obcy nie uznali jej za agresora. Pamiętam z mojego snu, że jak walczyliśmy z Imperium, to pomagały nam niziołki...

Umilkł i popatrzył na mnie przerażony. Chwyciłem go za ramiona i wykrzyknąłem:

– Powiedziałeś o tym fagom?

– Nie... nie pamiętam. Chyba...

– Co chyba?

– Chyba powiedziałem...

– Cholera! Więc o to chodzi! Dogadała się z Obcymi! Może nawet faktycznie z niziołkami, są przecież wojowniczy jak wszystkie kurduple. Gdy Imperium zaatakuje Szron, niziołki się przyłączą... a statków to oni mają do diabła i trochę! A wtedy zacznie się taka masakra...

– Trzeba o tym powiedzieć fagom! – wykrzyknął Lion.

– Jak? Wysłać list na Avalon? – zapytałem złośliwie.

– Dlaczego nie, może być list... Zasyfrowana wiadomość.

– Tylko jeszcze niech ktoś podrzuci nam szyfr. Stanęliśmy, patrząc na siebie stropieni.

W końcu Lion powiedział:

– Słuchaj, po jakie licho nas tu wysłali bez żadnej łączności?

– Staś mówił, że nas znajdą.

– Kiedy? Kto? Skoro rzeczywiście zakładali, że możemy dowiedzieć się czegoś ważnego, dlaczego nie umożliwili nam łączności? Jakiegokolwiek! Umowny znak, list... Wszystko jedno!

– Sami nas znajdą – powtórzyłem uparcie. – Na pewno. Lion pokręcił głową.

– Nie powinno tak być. Nie powinno tak być, Tikkireyu! Mogliśmy do końca świata spierać się o to, czy fagowie powinni byli zapewnić nam łączność z Avalonem czy nie. To i tak nie miało sensu.

Byłem prawie pewien, że wieczorem będziemy mieli kłopoty z powodu porannej bójki. Nie myślałem o samosądzie, ale ktoś dorosły powinien ukarać Liona!

Ale nikt nawet nie wspomniał o tym incydencie, w ogóle nikt nas nie zaczepiał. Mimo późnej pory, w stołówce dostaliśmy kolację, a w pokoju na biurkach znaleźliśmy koperty z rozkładem zajęć na najbliższy tydzień i wewnętrznym regulaminem porządku szkoły. Przeczytałem go uważnie – nic szczególnego. Ale punkt numer 6 – Uczniowie nie powinni rozwiązywać sporów za pomocą bójki, lecz spróbować innych dróg pojednania, został nieznacznie podkreślony. Jakby ktoś przejechał pod tym zdaniem długim paznokciem i zostawił ślad. W regulaminie Liona też tak zrobiono.

– Wielkie rzeczy – wymruczał, ale chyba się spieszył. Zajrzeliśmy do szaf i znaleźliśmy w nich nowe ubrania. Pojawiła się bielizna, piżamy i dresy. Lion oglądał je i cieszył się jak dziecko. A ja usiadłem na łóżku, rozłożyłem ubrania przed sobą i zacząłem się zastanawiać.

To nie była tania, syntetyczna odzież, w rodzaju tej wydawanej ludziom, którzy nie chcą pracować. To drogie ubrania, wykonane z bawełny i lnu. A jak każdy wie, len rośnie wyłącznie na Ziemi.

Co to było za święto, gdy rodzice podarowali mi prawdziwe bawełniane dżinsy! Wiedziałem, że Nowy Kuwejt jest o niebo bogatszy od Kopalni, ale z jakiej racji zasypywano nas takimi drogimi prezentami?

Zamyślony, nie od razu poczułem poruszający się na moim ciele bicz. Nie wysuwał się ze szlufek,

nadal udawał pasek, wychylił jedynie główkę i kiwał nią na wszystkie strony. W końcu zastygł, uchylił paszczę, ale nie strzelił plazmowym ładunkiem, tylko zamienił się w malutki lej anteny. Chwilę potem bicz wśliznął się w rękaw.

Nie odzywałem się – może są tu tylko mikrofony podsłuchujące, może nie ma kamer? Czekałem. Bicz owinał się wokół mojej ręki, zaczął sunąć po ramieniu i dotknął gniazda.

Przed moimi oczami pojawił się wirtualny ekran. Cały pokój został podzielony na małe sześciany, szybko wypełniające się zieloną barwą. W pewnym momencie jeden z sześciątów nad futryną zaświecił się na czerwono i w jego stronę podążył cienki, pulsujący promień. Sześcian zapłonął na żółto. Pozostałe zabarwiały się nadal, ale czerwonych już nie było.

Wszystko jasne.

– Lion, nad drzwiami jest urządzenie śledzące.

– Co? Co? – Lion oderwał się od pizamy z wizerunkami tańczących słoników i przestraszony popatrzył na drzwi. – Skąd wiesz?

– Bicz – wyjaśniłem, podnosząc rękę.

– Coś ty? – zasyczał Lion. – Zglupiałeś?

– Wszystko w porządku, bicz je wyłączył – uspokoilem go. – A nawet lepiej...

– No?

Bicz niczego mi nie powiedział, ale ja i tak wiedziałem, co właściwie zrobił, i teraz starałem się wytłumaczyć to Lionowi.

– Przeprogramował urządzenie. Teraz transmitowany jest fałszywy obraz i dźwięk stworzony z fragmentów poprzednich nagrań. Jeśli ogląda siebie bardzo uważnie, można zacząć coś podejrzewać. Zaraz bicz je znowu włączy, a my będziemy zachowywać się jakby nigdy nic. Musimy dużo się ruszać, jak najwięcej mówić... żeby potem było z czego zrobić fałszywkę.

– Rozumiem – powiedział ponuro Lion. Chyba mimo wszystko miał nadzieję, że nie jesteśmy obserwowani.

– Na noc wyłączymy je zupełnie – pocieszyłem go. – Będziemy mogli pogadać. Dobra, siądź tak jak siedziałeś!

Lion westchnął żałośnie i pochylił się nad pizamą. A ja wydałem polecenie biczowi i też zacząłem rozkładać pizamę.

W ubraniu nie było żadnych czujników. Dziwne. Albo uznali, że obserwowanie nas na ulicy nie ma sensu, albo robili to z daleka. To drugie było dość niebezpieczne – na dworze rozmawialiśmy bez skrępowania.

– Miałem kiedyś pizamę w języki – powiedział Lion. – Bardzo ładną.

– Znosiła się?

– Nie, wyrosłem. Teraz nosi ją Saszka. Tikkireyu, zagramy w szachy? Chciałem powiedzieć, że nie przepadam za szachami, ale Lion dodał chytrym tonem:

– Przecież codziennie gramy w szachy, a dziś jeszcze ani razu!

To był świetny pomysł. Gra w szachy była znakomitym materiałem na lipne nagranie. Siedzi sobie dwóch chłopców i rozgrywa partię za partią, od rana do wieczora. Ludzie mają różne dziwactwa...

– Dobra – powiedziałem. – Aktywuj komputer.

Ja też aktywowałem swój, komputery połączyły się promieniem i włączyliśmy grę – szachy są we

wszystkich szkolnych programach. Początkowo średnio mi się podobało, może dlatego, że wiedzieliśmy, dlaczego siedliśmy do gry, ale potem nas wciągnęło. Rzeczywiście graliśmy cały wieczór, aż do dwunastej, gdy na monitorach pojawił się napis (najpierw mrugał, później zaczął płonąć jednostajnie): „Pora snu! Zakłócenie trybu dnia szkodzi zdrowiu!”

Mieliśmy przesłaniczne nagranie dla obserwatorów. Dwaj chłopcy leżą na łóżkach i grają na komputerach w szachy. Niech się ktoś spróbuje zorientować, jakie ruchy robiliśmy.

Dzień zaczął się od przygody i przygodą się skończył.

Od dawna leżeliśmy w łóżkach, ale nie spaliśmy, tylko rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Urządzenie śledzące zostało unieszkodliwione i przekazywało wyłącznie nasze senne oddechy.

– Tak się zastanawiam – rozmyślał na głos Lion – i dochodzę do wniosku, że oni jednak nas podejrzewają. Zналиśmy Stasia, zniknęliśmy na dwa miesiące... No chyba nie są tacy głupi, żeby nam tak po prostu uwierzyć! Władze nie mają poważnych podstaw, żeby nas aresztować, więc umieścili nas w szkole, gdzie łatwiej nas pilnować...

– Przekombinowane – zauważyłem.

– Nie wierzę w taką działalność charytatywną! – Lion aż usiadł na łóżku. Jego ciemna sylwetka odcinała się od prostokąta okna. W parku wokół college’u było ciemno, a niebo wieczorem zasnuło się chmurami, jednak wzdłuż ścieżki, tuż przy ziemi, paliły się niskie, kolorowe latarnie. – Dlaczego dyrektorka tak się o nas troszczy?

– A dlaczego tak kiepsko nas pilnują? – odparowałem. – Tylko jedna kamera?

– Może bicz nie znalazł innych?

– No wiesz! – obraziłem się. – Na pewno by znalazł!

– A ja słyszałem... – zaczął Lion, ale nie dowiedziałem się, cóż takiego słyszał, bo w otwartym oknie za plecami Liona pojawiła się ludzka głowa!

– Aa! – krzyknąłem, zrywając się z łóżka. Lion odwrócił się, wrzasnął, cofnął się odruchowo i spadł na podłogę.

– Cicho! – usłyszałem znajomy głos.

W ślad za głową pojawiły się ręce, a potem nocny gość przeskoczył przez parapet i znalazł się na łóżku Liona.

– Natasza? – powiedział zdumiony Lion.

To rzeczywiście była Natasza. Tylko co ona miała na sobie? Najpierw pomyślałem, że jest całkiem nago, a potem zrozumiałem, że ma na sobie elastyczny trykot z ciemnego materiału.

– Bądźcie cicho, mogą tu być czujniki! – powiedziała szybko Natasza. – Chwilę...

Siedząc w kucki, uniosła prawą rękę. Na nadgarstku błysnęła bransoletka.

– Jest tylko jeden, nad drzwiami – uspokoiłem ją. – Już unieszkodliwiony.

– Gdzie? – spytała Natasza, sunąc ręką na wszystkie strony. – Faktycznie. .. Jak go wyłączyliście?

– To już nasza sprawa – uciałem. – Powiedz lepiej, jak się tu dostałaś?

Z tego, co pamiętałem ściany budynku były gładkie, bez płaskorzeźb, a różnokolorowe płytki starannie dopasowano. Nawet alpinista nie wszedłby po tej ścianie bez uprząży.

Zamiast odpowiedzi Natasza wstała z łóżka, podeszła do ściany, podskoczyła i plasnęła ręką o tapetę, zawisając na tej ręce.

– Klej anizotropowy! – wykrzyknął Lion. – Widziałem na filmach! Natasza przesunęła dłoń w



górze. Ręka się odkleiła i dziewczyna spadła.

– Tak, to faktycznie klej anizotropowy – powiedziała nieco rozczarowana. Widocznie liczyła, że rozdziawimy usta ze zdumienia. – Wiecie, jak ręce się męczą od podciągania?

– Ale super – powiedział z zachwytem Lion, poprawiając Nataszy humor. – A jak nas znalazłaś? I w ogóle... Co się stało?

– Chłopaki, a nie macie nic jedzenia? – spytała szybko Natasza. – Od rana nie miałam nic w ustach.

– Ja mam – przyznałem się.

Wiem, że to niekulturalnie zabierać jedzenie z talerza do kieszeni, ale wziąłem tylko kanapki z szynką i jednego krowiaka z kapustą – tak na wszelki wypadek, jakbyśmy zgłodnieli w nocy.

Gdy wyciągałem jedzenie, Natasza wręczyła Lionowi cienką nić zwisającą za oknem. Jak nas poinformowała, do drugiego końca był przywiązany węzełek z ubraniem.

– Wciągnij – poleciła. – A ja pójdę umyć ręce mydłem, alkalia rozkładają klej... Gdzie jest łazienka?

– Poczekaj, włączę światło... – sięgnąłem do kinkietu nad łóżkiem.

– Nie! – zawołała Natasza, ale było już za późno – zdążyłem włączyć lampę.

Okazało się, że Nataszka ma na sobie cienki, przylegający kostium z zasłaniającym głowę kapturem, który wcale nie jest zrobiony ze zwykłego czarnego materiału, jak początkowo myślałem. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że światło znika, nie dochodząc do Nataszy, potem jej sylwetka zamigotała, powoli rozmazując się powietrzu. A potem zobaczyłem ścianę i twarz Nataszy w powietrzu.

Wyciągnąłem rękę i natrafiłem na niewidoczny brzuch.

– Głupi – powiedziała Nataszka.

– Co się stało? – zapytał Lion.

– To „kameleonka”. Bardzo stara rzecz, służby specjalne nie używają ich od dawna. Za to niczego nie wypromieniowuje i jest bardzo lekka.

– Skąd masz takie wyposażenie? – zdumiałem się. – Zabrałaś z obozu, jak nas odwoziłaś?

– Chłopaki, pozwólcie mi się umyć – poprosiła Natasza. – Nawet nie mogę wziąć kanapki, bo się przyklei.

– Aha, a potem przyklei ci się do żołądka – ucieszył się złośliwie Lion. – Dobra, idź się umyć.

Zaczął wyciągać nitkę, zręcznie nawijając ją na łokieć. Nataszka skryła się w łazience.

– Nie podoba mi się... – zacząłem, gdy zaszumiała woda.

– Natasza ci się nie podoba? – zmrużył oczy Lion.

– Nie podoba mi się, że przyszła. Nie umawialiśmy się przecież, a to znaczy, że coś się stało.

Lion skinął głową. Nawinał nić do końca, wyjął węzełek, zaniósł do łazienki, zastukał i gdy Natasza uchyliła drzwi, wsunął przez wąską szczelinę.

– Może stary Siemiecki ma łączność z Avalonem? – zasugerował. – Wtedy moglibyśmy powiadomić ich o naszych domysłach.

Natasza wyszła szybko, ubrana już normalnie, w spódnicę do kolan i bluzkę.

– Najpierw zjedz – powiedziałem.

Jadła, a my o nic nie pytaliśmy, chociaż denerwowaliśmy się coraz bardziej. Była prawie druga w nocy, na zajęciach będziemy nieprzytomni...

I nagle zrozumiałem, że nie pójdziemy na żadne zajęcia. Coś się stało. Coś takiego, co sprawiło, że nasz plan spokojnego życia na Nowym Kuwejcie i zbierania informacji spalił na panewce.

– Natasza, powiedz, nie skierowano nas tu przypadkiem, prawda? – zapytałem.

Natasza skinęła głową, dojadając kanapkę i oblizując palce. Pomyślałem, że nim trafiła do oddziału partyzanckiego na pewno nie pozwalała sobie na coś takiego. Skoro dziadek był milicjantem na Avalonie... Różne zasady dobrego tonu, etykieta, dziesięć widelców na stole...

– Rozgryźli nas? – dopytywałem się.

– Chyba nie do końca – Natasza pokręciła głową. – Nie macie nic więcej? Widzicie, chłopaki, to było tak... Jak was wysadziłam, popłynęłam dalej, tam jest takie jedno miejsce...

Machnęła ręką, jakby postanowiła grać w otwarte karty.

– Nad rzeką jest stara przystań, z której prawie nikt nie korzysta. Dozorca przystani to nasz przyjaciel, członek ruchu oporu. Planowałam u niego odpocząć, a potem ruszyć z powrotem. Wszystko było w porządku, nikt mnie nie zauważył i nawet się nie przeziębiam. Dozorca od razu wysłał mnie do łaźni, żebym się wygrzała. Siedziałam dwie godziny!

– A potem pospałam i zjadłam obiad – powiedział niewinnym głosem Lion. – Do rzeczy!

– Spieszysz się gdzieś? – prychnęła Natasza. – Nie ma się już dokąd spieszyć... No i ten dozorca ma dobre połączenie z siecią, z linią policyjną. Prawie legalne, dozorca przystani jest przecież nieoficjalnym pomocnikiem policji. Gdy już odpoczęłam, zaczęłam przeglądać informacje i doniesienia, teraz jest ich niewiele, bo przestępczość prawie zanikła. No i zobaczyłem wiadomość, że dwóch zaginionych dwa miesiące temu nastolatków pojawiło się z idiotyczną legendą, jakoby błądzili po lesie.

– Tak właśnie napisali – z idiotyczną? – zapytałem.

– „Nie wytrzymującą krytyki” – sprecyzowała Natasza. – Pomyślałam, że to koniec, że was złapali. I wtedy przeczytałam stosowne rozporządzenie – „Nie podejmować żadnych działań”. Pierwsza wiadomość była od policyjnego obserwatora na campingu, druga od ministerstwa kultury zachowania.

Wiedziałem, co to za ministerstwo – opowiadano nam, że pod tą nazwą kryje się wywiad Szronu.

– Gdyby aresztowała was policja – ciągnęła spokojnie Natasza – wszystko byłoby proste – albo was przesłuchają i wypuszczają, albo zaaresztują. Ale kontrwywiad to już inna bajka. To znaczy, że będą was śledzić i wezmą się za was na serio.

– To po co tu przysłałeś? – prychnąłem. – Jeśli wszystko jest takie poważne, to pewnie nas pilnie śledzą. Może są tu takie czujniki, których nie jesteśmy w stanie wykryć! Może to wszystko, co teraz mówisz, jest nagrywane!

– Może – przyznała Natasza. – Ale niekoniecznie. Gdy zaczynają na serio rozgryzać agenta, to przez pierwsze dwa, trzy dni dają mu spokój. Żeby sprawdził swoje mieszkanie, nic nie znalazł i uspokoił się. Dopiero potem umieszczają w pokojach „pluskwy”, w ubraniach mikrofony i pelengatory, zaczynają go śledzić z satelity...

– Skąd to wszystko wiesz?

– Od dziadka – odparła krótko Natasza.

– A jeśli jednak nas śledzą? Jeśli złapią cię razem z nami?

– Wy jesteście najważniejsi. Dziadek powiedział, żebym w razie czego ratowała was za wszelką cenę. Ja i tak nic ważnego nie powiem, nawet gdyby mnie sto razy złapali. Nasz obóz już został przeniesiony. Nikt prócz dziadka nie zna planów oddziału. Poradziłam się naszego przyjaciela i on powiedział – „idź” i dał mi sprzęt. Dowiedzieliśmy się, że skierowali was tutaj... No i jestem.

Ja i Lion popatrzyliśmy na siebie.

Ale numer. Prawdziwi działacze podziemia, na serio walczący ze Szronem, ryzykują dla nas życiem! A my nic nie wiemy i nie umiemy!

– Nataszo, dziękujemy ci – powiedziałem. – Ale co powinniśmy teraz zrobić?

Popatrzyła na nas ze zdumieniem.

– Nasze zadanie jest bardzo proste – westchnąłem. – Zakotwiczyć się na planecie i obserwować rozwój wydarzeń. Żadnych dywersji... w ogóle żadnych działań. Patrzyć i zapamiętywać. Myśleliśmy, że po prostu będziemy tu mieszkać.

– Rozumiem. Ale teraz nie możecie zostać na widoku. – Natasza energicznie pokręciła głową. – Musicie przejść do podziemia!

– Do lasu? – spytałem i poczułem jak radośnie bije mi serce.

Nie będę musiał udawać zombi. Nie będę musiał kryć się przed kamerami i mikrofonami. Nie będę słuchał hipnotyzującego głosu Inny Snów, spodziewał się aresztu albo prowokacji, nie będę patrzył, jak poniża się porządnych ludzi. Zbudujemy sobie szałas albo znajdziemy jakąś grootę, zaczniemy polować na zwierzęta i łowić ryby, a czasem będziemy wychodzić do wsi. Zaczniemy pomagać staremu Siemieckiemu i jego „Jaskrom”. A potem Imperator przywróci porządek i ukarze łajdaków, rodzice Liona zostaną wyleczeni, Lion do nich wróci, a ja polecę na Avalon. Albo razem polecimy, Avalon powinien spodobać się jego rodzicom... Albo zostaniemy razem tutaj. Nie, jednak lepiej na Avalonie. Będziemy odwiedzać Siemieckiego i wspominać stare czasy, a Natasza zacznie się uczyć w mojej szkole. Staś będzie do nas zaglądał od czasu do czasu i opowiadał o swoich przygodach, a ja znowu będę pracował dla fągów i pomagał im strzec porządku w galaktyce...

– Do lasu nie możemy – przerwała moje marzenia Natasza. – Nie mam pojęcia, gdzie są nasi. Ukryjemy się w mieście.

– Razem?

– Tak. Musicie uciec dzisiaj w nocy, dopóki nie spodziewają się po was żadnych niespodzianek.

– Ech – powiedział Lion, oglądając pokój – a tak było miło! Rozumiałem go. Ledwie trafiliśmy do tej szkoły, a już trzeba uciekać.

Ale Natasza patrzyła na nas z powagą i napięciem. Ryzykowała dla nas życie! Dozorca z przystani też. Ryzykowali, żeby tylko wyciągnąć nas spod obserwacji kontrwywiadu Szronu...

Być może wahałbym się dłużej, ale przypomniałem sobie domek Stasia, przyklejonego do ściany nagiego człowieka i jego zimny, nieludzki głos: „Ten chłopiec jest dla Szronu nikim”.

Drgnąłem.

– Lion, zbieramy się.

– Możemy przynajmniej zabrać ubrania? – zapytał Lion. Pewnie też nigdy nie miał tak drogich i eleganckich rzeczy.

– Nie – odpowiedziała z żalem Natasza. – Niczego.

– Sprawdziliśmy, nie ma tam czujników... – zacząłem niepewnie.

– Nie o to chodzi – Natasza zawahała się. – Potem zrozumiecie.

– Zegnaj, pizamo ze słonikami – westchnąłem dramatycznie, spoglądając na Liona. Nie wytrzymał i roześmiał się. – Jak uciekniemy? Przez okno?

– Nie – pokręciła głową Natasza. – Ja trochę odpocznę i wyjdę przez okno. Wy wczesnym rankiem wyjdziecie na ulicę i tam się spotkamy. Wtedy wszystko wam wyjaśnię.

– Zawalimy zajęcia! – wygłupiał się Lion. – Daliśmy w nos jakiemuś typkowi, pokręciliśmy się po mieście, pojedliśmy, pospaliliśmy i uciekliśmy. Niezła jazda!

Ale głos miał niespecjalnie wesoły.

– Trzeba będzie zostawić list dyrektorze – myślałem na głos. – Że głupio się czujemy, naciągając szkołę na takie wydatki, nie zasługujemy na naukę w tak drogiej szkołę i dlatego odchodzimy...

– Ale brednie – burknął Lion. – I tak nikt nie uwierzy.

– No i dobra. Zawsze to lepiej, niż odejść bez wyjaśnienia.

– Chłopaki, wiecie co, ja się prześpię – przerwała nam Natasza. – Obudźcie mnie o czwartej, dobra?

Oddaliśmy jej łóżko Liona i na komputerze ustawiliśmy budzenie na czwartą. Natasza miała świetne wyposażenie, ale chyba dawno nie spała – zasnęła od razu, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Ze spojrzenia Liona zrozumiałem, że też mu wstyd. W końcu to dziewczyna, w dodatku zajmująca się takimi głupotami jak taniec, a teraz walczy o Imperium...

– My też powinniśmy odpocząć – stwierdziłem. – Nie wiadomo, kiedy teraz będziemy mieli okazję spać...

Lion ostrożnie przykrył Nataszę kołdrą i skinął głową.

– Nawet się cieszę, że tak wyszło. Bo to tak jakoś głupio – przylecieć na wrogą planetę i uczyć się w szkole. Ja i tak już skończyłem szkołę. Wolę walczyć.

– Przecież już walczyłeś – zauważyłem.

– To co innego – pokręcił głową Lion. – Do walki człowiek się nie przyzwyczaja. Każda walka to tak jakby pierwszy raz.

# **Część czwarta**

## **KLONY I TYRANI**

# Rozdział 1

Czy naprawdę wydawało mi się, że Agrabad to wyłącznie ogrody i pałace?

Owszem. Tej pamiętnej nocy, gdy jechaliśmy popatrzeć na pałac sułtana. Gdy siedziałem za plecami Stasia, przytrzymałem nieprzytomnego Liona i patrzyłem na ogromne dzielnice domów mieszkalnych, przytulne domki, otoczone sadami wille, świąteczne projekcje w oknach, szerokie magistrale, witryny sklepów...

Teraz wiedziałem, że jest również inny Agrabad. Za nowymi osiedlami nadal stały pierwsze domy osadników. Niezgrabne, odrapane, przysadziste – za to trwałe. W nich też mieszkali ludzie – i też zaprogramowani. Wszystko było tu nieco inne, jakby pokryte pyłem. Nawet Inne Snów wielbiono tu trochę inaczej – cmokając i mrużąc oczy z zachwytem, jakby chodziło o skandalizującą gwiazdę estrady, a nie „matkę wszystkich i panią prezydent”.

I właśnie tutaj teraz mieszkaliśmy. W przytułku dla dzieci aspołecznych „Kiełek”.

Natasza wszystko dokładnie przemyślała. Ukrywanie się w lesie byłoby trudniejsze, nie mogliśmy żyć na ulicy. Ale szkoła – nie ta, do której nas skierowano, inna, wydawała się idealnym rozwiązaniem.

To był długi, piętrowy barak, stojący na peryferiach miasta. Tutaj też był ogród, tylko stary i zapuszczony, zaś w sypialniach stało po kilkanaście łóżek (w sumie w przytułku mieszkało około siedemdziesięciu osób). Wychowankowie prawie wszystko robili sami, dorosłych było siedmioro – trzech wychowawców, kucharz, lekarz, psycholog i ochroniarz.

Ponad połowa mieszkańców przytułku nie uległa programowaniu. Nie dlatego, że broń Szronu zawiodła, po prostu najpierw nie oglądali kreskówek o wynalazcy Edikianie i generale Ichinie, później nie oglądali „Wesołej rodzinki”, a następnie nie oglądali „Antona i dziewcząt” czy programów edukacyjnych, wyprodukowanych na Szronie. W ich mózgach nie zainstalował się program, chociaż gniazda mieli znacznie lepsze od mojego starego creative’a.

Ale sprawiali wrażenie, jakby nie robiło im to różnicy, czy są zaprogramowani, czy nie.

Nietrudno odróżnić zombi od normalnych ludzi. Zombi sławili Inne Snów z błyskiem w oczach i uczyli się ze wszystkich sił. Normalni sławili Szron i jego panią prezydent bez szczególnego zapału, egzaminy zdawali tak sobie, byle tylko przejść na następny poziom nauczania. Początkowo wydawało mi się, że są umyślowo ograniczeni, że przez pomyłkę nie wyleczono ich w dzieciństwie. Dopiero potem zrozumiałem, że nie o to chodzi. Niektórzy nie mieli ochoty się uczyć, a inni chcieli, tylko nie tego, czego uczono w szkole.

Ja i Lion trafiliśmy do przytułku pod fałszywymi imionami. Ja nazywałem się teraz Kirył, Lion – Rustem. W naszych dokumentach napisano, że nasi rodzice są rybakami z jakichś tropikalnych wysp, że jesteśmy „społecznie zaniedbanymi, moralnie nieprzystosowanymi analfabetami ideologicznymi”. Nie brniało to zbyt przyjemnie.

Natasza została Nataszą i występowała teraz jako moja siostra. Dziewczynek w „Kielku” było niewiele, może z dziesięć.

Wprawdzie uważano nas za jednostki społecznie niebezpieczne, ale nie stosowano wobec nas żadnych represji, nie byliśmy też obserwowani. Na samym początku porozmawiał z nami psycholog, młody, zmęczony mężczyzna, który wszystko nam wyjaśnił. „Jesteście nieudanymi członkami społeczeństwa – mówił. – Posiadacie wszystkie cechy niezbędne do normalnego życia, ale zachowujecie się w sposób, który umieszcza was poza nawiasem społeczeństwa. Zrozumcie: nikt nie

będzie się wysilał, żeby podciągnąć was do poziomu przeciętnego obywatela – bo każde społeczeństwo potrzebuje ludzi, którzy będą wywozić śmieci, czyścić kanalizację, czy pracować w charakterze królików doświadczalnych. Tym niemniej, z pobudek humanitarnych, daje się wam jeszcze jedną szansę wzniesienia się do poziomu normalnego człowieka. Uczcie się, a być może zostaniecie przeniesieni do lepszej szkoły. Możliwe też, że wasi rodzice zechcą was zabrać z powrotem...”

Rzecz jasna, obiecał mi, że będziemy się starać, a on nam oczywiście nie uwierzył.

Zaczęliśmy żyć w „Kielku”.

Tutaj nikt nie próbował urządzić nam „zameldowania”, choć niektórzy chłopcy najwyraźniej lubili się bić. Ponieważ jednak zaprogramowani uznawali bójkę za coś nienaturalnego (w Pelachu odwrotnie – właśnie bijatyka z nowicjuszami stanowiła normę, jak na filmach), gdy chuligani zaczynali kogoś zaczepiać, zombi rzucali się całą gromadą i walili z taką wściekłością, jakby gotowi byli walczyć na śmierć i życie. Może tak właśnie było.

Za to w przytułku było sporo takich draństw, na które zaprogramowani nie reagowali. Na przykład, jeśli przegrało się w jakąś grę, zostawało się na jakiś czas sługą zwycięzcy. „Słudzy” spełniali każdą zachciankę swojego „pana” – niektórzy życzyli sobie, żeby przed snem drapać ich w pięty, albo opowiadać interesujące historie. Niemal wszystkie młodsze dzieciaki były takimi „sługami”. Zombi nie organizowali takich gier, ale też nie przeszkadzali w tym innym. Nas też próbowano tak podpuścić, ale ponieważ Natasza wcześniej powiedziała nam, co dzieje się w przytułku, odmówiliśmy. Nikt nie zmuszał nas do gry – byliśmy we dwóch i wiadomo było, że w bójce zaprogramowani będą trzymali naszą stronę.

No i uczyliśmy się, czy raczej udawaliśmy, że się uczymy (zajęcia były bardzo proste), nie zawierając z nikim przyjaźni. Staraliśmy się siedzieć cicho jak myszy pod miotłą i czekać. W „Kielku” mieliśmy zamiar przesiedzieć dwa tygodnie, a potem się wynieść. Natasza uważała, że najlepiej będzie wyjechać do innego miasta.

„Przeczekiwanie” nie było trudne. Wprawdzie karmili nas kiepsko i ogólnie było nudno, za to nikt nas nie obserwował. Nauczyciele zadawali zadania i odbierali wyniki testów, ochroniarz leniwie przechadzał się po terenie, siedział w swoim pokoju albo trenował w sali gimnastycznej, a psycholog w ogóle nie wysuwał nosa ze swojego gabinetu, oglądał przez gniazdo wirtualne seriale, a gdy ktoś się do niego zwracał z jakimś problemem, wyglądał na tak nieszczęśliwego, jakby zmuszano go do pracy w kamieniołomie.

Trzeciego dnia wieczorem dostawałem już kręcka z nudów. Lion poszedł do sali gimnastycznej, żeby trochę poćwiczyć, a ja siedziałem w klasie i grałem w tetris. Wybrałbym szachy, albo coś równie inteligentnego, ale bałem się, że mogą kontrolować komputer. Wtedy wydałoby się, że wcale nie jestem taki głupi, jakiego udaję. Tetris wyrabia szybkość reakcji i umiejętność myślenia przestrzennego, można w to dobrze grać nawet z pustką w głowie.

Klasa była duża, na dwudziestu uczniów. Ściany zasmarowano graffiti, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Pod sufitem płonęły tanie, słoneczne lampy, które podobno świecą jak ziemskie słońce i wpływają na poprawę nastroju. Niestety, gdy za oknem jest noc, lampy budzą smutek i przygnębienie, zwłaszcza w prawie pustej sali – tylko przy sąsiednim stoliku siedział Herbert, gruby, piegowaty chłopak, dwa lata starszy ode mnie.

Herbert był zaprogramowany, dlatego bardzo chciał osiągnąć jak najlepsze wyniki w nauce, ale nic mu z tego nie wychodziło – zamiast zaczynać od najprostszych zadań, porywał się na zbyt

ambitne, nieodpowiednie do jego poziomu. Ukradkiem zerkając na jego monitor doszedłem do wniosku, że wcale nie jest taki głupi, po prostu nigdy przedtem się nie uczył. Jego ojciec był traperem i polował na jakieś rzadkie i cenne zwierzęta w dzikich regionach. Gdyby Herbert został z ojcem, trygonometria i fizyka byłyby mu kompletnie niepotrzebne, ale po inwazji Szronu zaprogramowany Herbert zaczął rwać się do szkoły. Teraz próbował zorientować się w działaniu reaktora termojądrowego, nie potrafiąc odróżnić syntezy od rozkładu jądrowego.

Stworzył nowy model reaktora, rzucił napięcie na pułapkę magnetyczną i kliknął znaczek „start”. Reaktor na ekranie zapłonął: całe żelastwo, uczeni z wytrzeszczonymi oczami, zwoje przewodów i neutrino rozleciały się na wszystkie strony. Herbert westchnął ciężko i popatrzył ze smutkiem na monitor.

– Pomóc ci? – nie wytrzymałem.

Herbert skinął głową. Zombi zawsze starali się sobie pomagać i zazwyczaj nie odrzucali pomocy.

– Musisz zacząć od czegoś innego – usiadłem przy nim i zacząłem cofać kurs fizyki jądrowej, jednocześnie ukradkiem ustawiając wiek ucznia na osiem-dziesięć lat – jak najmniej skomplikowanych wzorów, jak najwięcej interesujących szczegółów historycznych. – O, właśnie. Zaczniemy od bomby jądrowej, chcesz?

– Aha – zgodził się Herbert.

– To było dawno, dawno temu, w średniowieczu – zacząłem, nie patrząc na jego monitor. W dzieciństwie czytałem bardzo ciekawą książkę o historii fizyki jądrowej i znałem tę historię na pamięć. – Wówczas ludzie żyli wyłącznie na planecie Ziemia. Były wtedy różne państwa, jedne dobre, drugie złe. I te złe – Rosja, Niemcy i Japonia, zaczęły walczyć z dobrymi – Stanami Zjednoczonymi i Izraelem. Złe zbudowały całe mnóstwo samolotów wojskowych i zaatakowały flotę tych dobrych... nie flotę kosmiczną, oczywiście, tylko wodną. Wybuchła długa wojna.

Tymczasem na ekranie zaczął się film i usłyszeliśmy cichy, przyjemny głos narratora:

W Stanach Zjednoczonych mieszkał chłopiec o imieniu Albert, którego nazywano Alek. To był bardzo mądry chłopiec, który lubił się uczyć, szczególnie zaś pasjonowała go fizyka jądrowa. Jakiś czas później do miasta, w którym mieszkał Alek, przyleciał bardzo szybki samolot, wyszedł z niego dzielny pilot i powiedział:

– Stało się nieszczęście, którego się nie spodziewaliśmy. Zza słonych mórz, z zimnych krajów przybyli wrogowie. Świszczą kule, wybuchają pociski. Walczymy dzień i noc. Jest nas wielu, ale wrogów jest więcej. Nie pora na sen!

I wtedy ojciec pocałował Alka, wsiadł z pilotem do samolotu i poleciał na wojnę.

Każdego wieczoru Alek wchodził na dach i patrzył – czy nie wraca czasem samolot ojca? Ale samolotu nie było widać. Minął tydzień, potem miesiąc, minął rok i na horyzoncie znowu pojawił się szybki samolot. Jego skrzydła były pocięte kulami, szyba w kabinie pęknięta. Z samolotu wyszedł wychudzony i zmęczony pilot. Czoło miał zabandażowane, ręce umazane smarem. Wyszedł i powiedział:

– Wstawajcie! Wielkie nieszczęście! Wrogów jest wielu, naszych zbyt mało! Kule świszczą, pociski wybuchają. Pomóżcie!

I starszy brat objął Alka na pożegnanie, wsiadł do samolotu i odleciał na wojnę.

Każdego wieczoru Alek wchodził na dach i patrzył: czy nie wracają ojciec i brat? Ale nikogo nie było widać... W dzień Alek uczył się w szkole, przez cały czas zastanawiając się: jaką bronią pokonać wroga? I któregoś dnia o zachodzie słońca znowu przyleciał szybki samolot. Skrzydła miał



niemal oderwane, śmigła pogięte, a w kadłubie dziury po kulach. Z samolotu wyszedł pilot, zachwiał się i upadł na ziemię. Zaczerpnął powietrza i powiedział:

– Niechaj wstaną ci, którzy jeszcze nie wstawali! Nie mamy sił dłużej walczyć! Wrogów jest wielu, naszych prawie nie ma. Przybywajcie na pomoc!

Podszedł do pilota stary dziadek Alka, chciał wsiąść do samolotu, ale nogi się pod nim ugięły, a ręce zadrżały. Chciał wycelować, ale oczy już nie widziały tak dobrze. Zapłakał staruszek z żalu.

Wtedy Alek wyszedł do przodu i mówi:

– Skoro nie możemy pokonać wroga przewagą liczebną, musimy pokonać go sposobem! Odkryłem właśnie największą tajemnicę wojskową i już wiem, co trzeba zrobić, żeby wszyscy wrogowie polegli od razu!

I pokazał pilotowi kartkę papieru, a na niej wzór: E-mc<sup>2</sup>.

Zawrzała praca i ludzie zrobili dwie pierwsze bomby atomowe. Pilot załadował je starannie na samolot i poleciał na wojnę. A gdy zobaczył największe bazy wroga, Hiroszimę i Nagasaki, wzniósł się wysoko i zrzucił obie bomby.

Zapłonęła ziemia, zakłębił się dym. Runęły wszystkie samoloty wroga, utonęły wszystkie okręty. Przerażeni wrogowie zaczęli błagać o litość.

Wkrótce potem ojciec i brat Alka powrócili z niewoli. I wszyscy żyli długo i szczęśliwie...

– Fajna historia – przyznał Herbert. – Przedtem pokazywali mi trochę inną.

– Myślisz, że to nieprawda?

– Nie, tam też mówili, że Albert zrobił bombę, tylko opowiadanie było strasznie nudne.

– No to nie trzeba było oglądać takich nudów – powiedziałem. Szczerze mówiąc, było mi nawet przyjemnie, że umiem pomóc starszemu od siebie chłopakowi. Nawet, jeśli był zaprogramowany... – Czekać, obejrzymy, jak budowano pierwszą bombę...

Prawie godzinę pomagałem Herbertowi zorientować się w podstawach fizyki jądrowej i wcale nie uważałem tego czasu za stracony.

Bomba jądrowa to straszna broń. Ale mimo wszystko Albert nie odkrył najważniejszej tajemnicy. Najstraszniejsza broń to nie ta, która zabija wrogów, lecz ta, która robi im pranie mózgu, przemieniając ich w sojuszników. Sprawia, że człowiek zapomina, jak żył przedtem, powoduje, że wierzy w każde kłamstwo. I taką właśnie broń wymyślono na Szronie.

– Dalej już sobie poradzisz? – zapytałem Herberta.

– Tak. Dziękuję.

Wróciłem na swoje miejsce. Niech się uczy. Teraz wyjaśnienia będą prostsze i sam sobie poradzi.

Znowu włączyłem tetris, by poprawić własny rekord. Nic z tego nie wyszło – drzwi uchyliły się i do klasy zajrzała Natasza.

– Cześć, Kirył – powiedziała, obrzucając Herberta wrogim spojrzeniem. Natasza nie lubiła zaprogramowanych. – Bardzo jesteś zajęty?

– Nie – mruknąłem, zamykając komputer. Głos Nataszy brzmiał tak, jakby dowiedziała się czegoś ważnego i wesołego.

– To chodź – powiedziała i zniknęła za drzwiami.

– Obiecałem, że jej pomogę... w matmie... – skłamałem Herbertowi.

– Jasne. Do widzenia – Herbert potarł czoło i znowu wpatrywał się w monitor.

Po co skłamałem? Co go to obchodzi, czy będę się uczył z Nataszką matematyki, czy całował w ciemnym kącie?

Z tym całowaniem to trochę przesadziłem... Po pierwsze, Natasza chyba zapomniała o tamtym pocałunku w górach, a po drugie, nie była teraz sama, tylko z jakąś dziewczynką.

– To Elly – przedstawiła koleżankę Natasza. Nigdy przedtem nie widziałem tej Elly, pewnie przyszła kogoś odwiedzić. To się czasem zdarzało.

– Kirył – przedstawiłem się. Nie lubiłem tego imienia, ale co tam. Elly był rudowłosą, uśmiechniętą, szczupłą dziewczyną, ubraną w spodnie i sweter. Wyglądała sympatycznie, tylko spojrzenie miała złośliwe i drwiące. Elly podała mi rękę i spytała Nataszę:

– Dokąd idziemy?

– Do ogrodu – zdecydowała Natasza.

Aha, to znaczy, że będziemy rozmawiać o czymś tajnym. Ani bransoletka-detektor Nataszy ani mój bicz nie znalazły w przytułku żadnych urządzeń śledzących, ale wszystkie poważne rozmowy staraliśmy się prowadzić na zewnątrz budynku.

Ochroniarz siedział w swoim pokoiku, rozebrany do pasa, z zadowoleniem obserwując grę własnych mięśni. Widząc nas, rzucił krótko:

– Pada. Weźcie parasol.

Parasole stały w szafce przy wyjściu. Wziąłem jeden duży, o średnicy półtora metra. Dopasowałem obręcz do swojej głowy, założyłem i wysunąłem antenę jak najwyżej. Ładunek nie był zbyt duży, ale przecież nie wybieraliśmy się na długi spacer.

Deszcz, spokojny, miarowy, padał niemal bezgłośnie. Parasol włączył się i krople zabębniły o niewidoczną osłonę, obrysowując kopułę. Dziewczynki od razu przytuliły się do mnie i wzięliśmy się pod rękę. Wcale nie spieszyliśmy, stałem i patrzyłem na zasnucone chmurami niebo i drobny deszcz.

Było ciepło, ale od deszczu ciągnęło jakimś dziwnym chłodem...

– Zaczyna się jesień – powiedziała cicho Natasza. – To jesienny deszcz. Więc dlatego było mi zimno... Moja pierwsza prawdziwa jesień... Na Kopalni zmiana pór roku była prawie niedostrzegalna, na Nowy Kuwejt przyleciałem latem, na Avalon – zimą.

A teraz na Nowym Kuwejcie nastąpiła jesień.

– Będzie śnieg? – zapytałem.

– Prawie wcale – odparła Natasza. – Tu panuje inny klimat, zima jest deszczowa i chłodna, temperatura nie spada poniżej zera. To dobrze, naszym i tak jest ciężko w górach.

Popatrzyłem z przestachem na Elly.

– Ona jest nasza, z ruchu oporu – uspokoiła mnie Natasza.

– To prawda – Elly uśmiechnęła się. – Ty jesteś Tikkirey, tak?

– Tak.

– A ja naprawdę jestem Elly.

Wchodziliśmy coraz głębiej w ogród, aż doszliśmy do przekrzywionej, drewnianej altanki. Obok niej świeciła latarnia i widać było, że w pobliżu nikogo nie ma.

– Tu właśnie porozmawiamy – postanowiła Elly. Zachowywała się bardzo zdecydowanie, jakby to ona tu dowodziła.

Weszliśmy do altanki i usiedliśmy na ławce. Po chwili zastanowienia parasol wyłączył się,

obsypując nas wodnym pyłem. Elly zaśmiała się.

– Głupia technika – powiedziałem.

– Technika zawsze jest głupia – przyznała Elly. – Wszystko w porządku, Tikkireyu?

– W porządku. Kim jesteś?

– Jestem z Avalonu.

– Udowodnij – zażądałem. Nie dlatego, że jej nie wierzyłem, ale nie podobało się mi się, że się tu szarogęsi.

– Pozdrowienia od Ramona.

Skinąłem głową. Skoro znała Ramona, to jakich innych dowodów mógłbym jeszcze chcieć? Przecież nie będzie nosiła przy sobie dokumentów!

– Jasne. A jak tam Tien?

– Tien? W porządku. Złóż sprawozdanie, Tikkireyu. Od samego początku.

Nie spodobało mi się to słowo: „sprawozdanie”. Kurcze, dziewczyna, „cargo”, i będzie się tu rządzić...

– Lądowanie przebiegło bez zakłóceń. Kapsuła roztopiła się, wszystko zgodnie z planem. Potem postanowiliśmy wykapać się w jeziorze i wtedy schwytały nas „Jaskry”.

Natasza uśmiechnęła się z dumą.

– Spędziliśmy u nich jeden dzień – ciągnąłem opowieść. – Zresztą, niech Natasza sama opowie!

– Na razie chcę posłuchać ciebie – zarządziła Elly.

– Później Natasza skuterem dostarczyła nas do Mendela. Złapaliśmy okazję i dojechaliśmy do campingu, potem przyszedliśmy do rodziców Liona... którzy następnego dnia wysłali nas do college'u u Pelach. Nawet się dziwiłem, skąd taki gest, tam mają wszystko na najwyższym poziomie...

– Wiem. Dalej.

– Wieczorem do college'u przeniknęła Natasza. Powiedziała, że zainteresowało się nami ministerstwo kultury zachowania. Rano uciekliśmy i Natasza przyprowadziła nas tutaj. No i ukrywamy się tu czwarty dzień.

Elly skinęła głową.

– Rozumiem. Udało się wam ustalić coś ważnego?

– No... – zawahałem się. – Wydaje nam się, że Szron będzie chciał sprowokować Imperium. Jeśli armia imperialna zada pierwszy cios, Szron zwróci się po pomoc do Obcych. Być może mają jakieś tajne porozumienia. Na przykład z niziołkami.

– Jasne. – Elly zamyśliła się. – Najprawdopodobniej Imperator zdaje sobie z tego sprawę. Ale czy ma jakieś wyjście?

– Nie wiem – burknąłem. Ta cała Elly przestała mi się podobać.

– Ja też nie wiem. – Elly wstała i zabębniła palcami po stoliku, niczym dorosła kobieta. – Czas pracuje na korzyść Szronu. Społeczeństwo jednoczy się, przyłączają się nawet ci, którzy nie zostali zaprogramowani. Budowane są nowe statki. A w Imperium pojawiają się nowi zakodowani.

– Jak to? – zdumiałem się. – Przecież wszyscy mają zablokowane moduły radiowe!

– Mimo to wiele osób wykorzystuje gniazda do oglądania wirtualnej rzeczywistości i do pracy. A sygnał inicjujący można wysłać przez zwykłą sieć, wystarczy do niej wejść.

Jasne. Szron nie może teraz podbić całej planety od razu, więc próbuje stopniowo. Na planetę przeniknie jeden agent, włamie się do jakiejś sieci informacyjnej, zapuści sygnał kodowy... i już mamy tysiące zaprogramowanych ludzi.

– To niedobrze – powiedziałem. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. – Elly, co w takim razie robi Imperator?

– Właśnie nie wiem – westchnęła. – Dobrze. Zastanówmy się nad waszym zadaniem.

– W zasadzie jesteśmy gotowi... – zacząłem niepewnie. – Może powinniśmy przyłączyć się do partyzantów?

– Nie sądzę – Elly popatrzyła na mnie badawczo. – Masz broń?

– Bicz – przyznałem się.

– Ho, ho! – Elly była wyraźnie zaskoczona. – Myślałam, że bicz mogą nosić tylko fagowie?

– Zgadza się, ale ja mam status pomocnika. Poza tym, ten bicz jest trochę wybrakowany.

– Ale ze dwie osoby dałoby się zabić? Powiedziała to tak lekko, że aż się wzdrygnąłem.

– Dałoby się.

– Dobrze. Oto zadanie dla waszej trójki. Wczoraj na planetę przybył incognito Aleksander Berman, oligarcha z Edenu. Fundusz Bermana, stocznice Bermana – słyszeliście?

Nie słyszałem, ale na wszelki wypadek kiwnąłem głową.

– Berman – ciągnęła Elly – zawarł tajne porozumienie z Inną Snów i teraz w jego stocznicach dobiega końca budowa eskadry statków wojskowych dla Szronu. We wszystkich dokumentach statki określane są jako flota handlowa dla Avalonu, ale jeden z pracowników stoczni, były oficer, zorientował się, że to gwiazdoloty o podwójnym przeznaczeniu, wystarczy je tylko uzbroić. Skontaktował się z fagami, ma jakieś stare kanały... Zdrada została odkryta w ostatniej chwili i Imperator podpisał tajny wyrok śmierci na Aleksandra Bermana. Wszystko jasne?

– I my to mamy zrobić? – spytałem na wszelki wypadek.

– Tak. Musicie zlikwidować Aleksandra Bermana i jego córkę.

– Po co córkę?

– To jedyna spadkobierczyni Bermana. Jeśli będzie martwa, stocznice i cały majątek przejdą na własność Imperium. Wprawdzie ona jest naszą rówieśniczką i ma trzynaście lat, ale Bermanowi udało się uzyskać zgodę na niezwykle rzadką operację i do świadomości córki wszczepiono pewne fragmenty jego osobowości. Cechy handlowca, sposób prowadzenia interesów, zasady. Jeśli córka przeżyje, śmierć jej ojca na niewiele się zda.

– Gdzie ona jest? – zapytała Natasza.

– Razem z Bermanem.

– Dlaczego on zdradził? Został odmrożony?

– Nie... – Elly skrzywiła się, jakby nie spodobało jej się określenie „odmrożony”. – Berman jako jeden z pierwszych domyślił się, co się dzieje na Szronie. Snów była zmuszona zacząć z nim współpracować już dziesięć lat temu, tworząc flotę wojenną. Berman przeanalizował wszystkie możliwe warianty i uznał, że Szron zwycięży. Ponieważ jednocześnie przemówiły do niego idee Szronu, postanowił zdradzić Imperium w zamian za stanowisko namiestnika Edenu, częściową autonomię i możliwość blokady psychotropowych programów Szronu.

– Więc można się przed nimi zablokować?

– Można.

– A wyleczyć się?

– Też można. Człowiek będzie miał zmienioną świadomość, ale da się go przeprogramować.

To była fantastyczna wiadomość! To znaczyło, że można uratować wszystkich ludzi na Nowym Kuwejcie i innych planetach Federacji Szronu. Rodziców Liona też... ale się Lion ucieszy!

– Musicie zabić Bermiana – powtórzyła Elly i poczułem się tak, jakby wylała na mnie kubeł zimnej wody.

– Elly, my nie jesteśmy fagami – powiedziałem. – Jakim cudem przedostaniemy się do tego Bermiana? Jeśli rzeczywiście jest milionerem...

– Miliarderem.

– Tym bardziej!

– Musicie – powiedziała po prostu Elly.

Natasza patrzyła na mnie rozczarowana, jakby spodziewała się, że powiem – „bułka z masłem!” A ja wcale tak nie myślałem, nie mówiąc już o tym, że nie chciałem nikogo zabijać! Nawet zdrajcy! Przecież nigdy nikogo nie zabiłem!

– Elly, nasze zadanie polega na obserwowaniu wydarzeń! Nikt nie uczył nas metod walki, nie mamy pojęcia o zabijaniu! – powiedziałem szybko. Niech sobie myśli, co chce. Niech sobie myśli, że jestem tchórzem. Było mi wszystko jedno.

– Tikkireyu, ja jedynie przekazuję ci rozkaz – oznajmiła zimno Elly. – Oczywiście, możesz odmówić wykonania go. Staś za ciebie poręczył i jeśli odmówisz, to on będzie miał kłopoty.

– Duże? – spytałem, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Zostanie zdegradowany. Fag, który nie może pracować, to żaloszny widok, Tikkireyu. Przyznają mu oczywiście emeryturę, zostawią mieszkanie i wszelkie ulgi, pewnie dadzą jakieś odznaczenie... Ale fagowie nie umieją żyć bez pracy, to sprzeczne z ich naturą. Pozbawiony pracy fag zazwyczaj szybko umiera.

Elly zapędziła mnie w ślepią uliczkę. Chociaż nie, to nie była ślepa uliczka, bo z niej jest tylko jedno wyjście...

Nagle zrozumiałem, co czuli moi rodzice, nim skorzystali ze swojego prawa do śmierci. Naprawdę zrozumiałem. To nie jest ślepa uliczka. To jest jak korytarz. Można pójść naprzód albo zawrócić. Jedna droga budzi strach. Druga – wstręt. Za to taki wstręt, że już wolisz się bać.

– Nie zdołamy tego zrobić – powtórzyłem. – Elly, jesteśmy tylko dwójką chłopców i mamy do pomocy dziewczynę. Żadne z nas nie umie walczyć. Nie mamy broni. A Bermiana pewnie chronią tak jak Inne Snów. Tylko wszystko zepsujemy.

– Pomogę wam – powiedziała Elly. – Przedostaniecie się do Bermiana. Chodzi tylko o to, czy się zgodzicie.

Milczałem. Nataszka spoglądała na mnie pytająco. Byłem pewien, że ona zgodziłaby się bez zastanowienia. Już miała okazję walczyć.

– No? – Elly wstała i wsparła się rękami pod boki. – Decyduj.

– Zgadza się – powiedziałem. – To znaczy, ja się zgadzam. Muszę jeszcze zapytać Liona. Ale jak...

– Aleksander Berman przebywa na planecie incognito – wyskandowała Elly. – Dlatego nie ma

należytej ochrony. Zatrzymał się w podmiejskiej willi rządowej, otoczonej systemami sygnalizacji ochronnej, która zostanie wyłączona. Dostaniecie rozkład przejścia patroli. Wewnętrzna ochrona willi nie jest liczna – trzy osoby. W odpowiednim momencie pod różnymi pretekstami zostanie usunięta z mieszkalnej części domu. Jedyne, co będziecie musieli zrobić, to zlikwidować Aleksandra i Aleksandrę Bermanów. Zaręczam wam, że nie są bojownikami.

– Poradzimy sobie – wtrąciła się Natasza. – Elly, wszystko będzie w porządku. Tikkirey po prostu nie chce niepotrzebnie ryzykować, to przecież ważne zadanie, ale poradzimy sobie.

– Poradzimy – potwierdziłem.

– Dobrze. – Elly popatrzyła na mnie z wahaniem, ale chyba zdecydowała, że można mi wierzyć. – Nataszo, spotkamy się jutro rano, przekażę wam szczegóły.

Uścisnęła mi rękę – mocno, po chłopięcemu, Nataszę cmoknęła w policzek i wyszła z altanki. Deszcz kropił tak drobny, jakby przesiany go przez sito.

– Odprowadzić cię? – zapytałem z grzeczności, bo nie miałem najmniejszej ochoty jej towarzyszyć.

– Dzięki, nie jestem z cukru, nie rozpuszczę się. – Elly uśmiechnęła się, zrobiła krok w ciemność i po kilku chwilach zniknęła, jakby rozpułyła się wśród drzew.

– Ona jest fagiem? – zapytała cichutko Natasza.

– Co? Nie... Chyba nie ma dziewczynek fagów. A co, nie znasz jej?

– Rano poszłam do miasta i zadzwoniłam na przystań do naszego człowieka, chciałam się dowiedzieć, czy jest jakaś wiadomość od dziadka. I on powiedział mi, że chce się ze mną spotkać dziewczyna, która rok temu mieszkała w sąsiedztwie. To znaczy na Avalonie, taka aluzja...

– Elly jest z Avalonu?

– Tak. Powiedziała, że też została tu zrzucona. Pewnie coś się szykuje. Pomyślałem, że Natasza ma rację. Imperium nie może dłużej zwlekać i niedługo zacznie się wojna. A to znaczy, że każdy powinien walczyć na swoim odcinku. Jeśli zlikwidujemy zdrajców („zlikwidować” brzmi znacznie lepiej niż „zabić”), zadamy Szronowi dotkliwy cios. To tak, jakbyśmy od razu zniszczyli dziesiątki statków. A przecież te statki mogłyby zaatakować Eden, Ziemię, Kopalnię...

– Tikkireyu, coś ci się nie podoba? – spytała Natasza. Siedzieliśmy blisko siebie i rozmawialiśmy szeptem. Można by pomyśleć, że nie mówimy o wojnie, tylko szepczemy sobie różne sekrety.

– Nie podoba. Elly zmusiła mnie, żebym się zgodził, rozumiesz? To nie ja podjąłem decyzję, to ona zdecydowała za mnie.

– Ona jest starsza.

– Naprawdę? Nie jesteśmy w wojsku.

– A mnie się wydaje, że chodzi o coś innego.

– O co?

– O to, że jest dziewczynką.

Gdyby było widno, zaczerwieniłbym się. Ale gdy wiesz, że nikt nie zobaczy twojego rumieńca, czerwienie się nie ma sensu.

– Wcale nie. Poza tym, jako dziewczynka powinna zachowywać się uprzejmie.

– Wiesz co, to już seksizm. Jeszcze powiedz „ładunek” – zmrużyła oczy Natasza.

– Dziewczyny nie powinny tak komenderować!

– I co jeszcze? Może nie powinny również walczyć? A to my walczymy, a ktoś inny tchórzyl! Mężczyźni! Tyle hałasu o głupie wytrzymanie hiperprzejścia!

Odsunęła się ode mnie, chociaż przedtem się przytulaliśmy – tak było cieplej. Nagle zapragnąłem powiedzieć coś złośliwego i przykrego. Na przykład, że cała ta partyzantka tylko nastraja ludzi przeciwko sobie. Że swoimi raketami udało im się zbombardować szkoły.

Ale powiedziałem co innego.

– Faktycznie wytrzymujemy hiperprzejście. Ale ja akurat leciałem jako moduł sterujący.

– Ojejku... – powiedziała Natasza i zamilkła.

– Wcale nie chodzi o to, że ona jest dziewczynką – ciągnąłem. – Gdybyś ty zaczęła dowodzić, nie miałbym nic przeciwko temu. Ty już walczyłaś, ja jeszcze nie. A o tej Elly nic nie wiem. Założmy, że wysłali ją fagowie. Ale dlaczego wywierała taką presję?

– Presję? – zdumiała się Natasza.

– Powiedziała, że Staś zostanie ukarany, a Staś jest moim przyjacielem. Najlepszym przyjacielem... Nie, to nie tak. Po prostu nie chcę, żeby go zdegradowali i żeby on umarł. Wolałbym sam zginąć!

– Ale przecież ten Staś jest dorosły, prawda? Nie musisz się tak o niego martwić – powiedziała z mocą Natasza. – Powinien był podjąć właściwą decyzję, a jeśli się pomylił, to sam jest sobie winien i musi za to zapłacić. Przecież to dorośli mają się troszczyć o dzieci, chronić je i podejmować słuszne decyzje! Mają większe doświadczenie.

Popatrzyłem na Nataszkę. Gdybym nigdy nie ruszał się z Kopalni, być może przyznałbym jej rację. Wszystko, co mówiła, było absolutną prawdą. Cała natura jest w ten sposób urządzona, a człowiek stanowi część natury. Na zajęciach z przyrodoznawstwa widziałem, jak kotka denerwuje się, gdy odbiera się jej kocięta. Wyjaśniano nam, że to pradawne, bardzo pożyteczne instynkty, dzięki którym rodzice się o nas troszczą, a wszyscy dorośli chronią dzieci.

Ale to jest tylko część prawdy.

Jeśli człowiek jest twoim przyjacielem, też musisz się o niego troszczyć, nawet gdy jest znacznie silniejszy i mądrzejszy od ciebie. Nawet, jeśli popełnił błąd. Kiedyś tego nie rozumiałem. Dawno, dawno, chyba ze dwa miesiące temu. Jeszcze na Kopalni, gdy rodzice postanowili umrzeć. Powinniśmy byli zostać wszyscy razem, nawet gdyby oznaczało to opuszczenie kopuły. A przynajmniej powinienem tego zapragnąć, nie zgadzać się tak od razu z rodzicami.

Ale jak wyjaśnić to wszystko Nataszce?

– Staś mnie uratował – powiedziałem. – Chociaż wcale nie musiał tego robić. Powiedz, czy gdyby twój dziadek znalazł się tarapatach ratowałabyś go?

– Przecież to mój dziadek...

– No to co? Ale jest już stary i niedołężny. Ty jesteś znacznie ważniejsza dla społeczeństwa, więc dlaczego miałabyś z powodu dziadka ryzykować i denerwować się?

– Wcale się nie denerwuję!

– Właśnie widzę. Tylko z samego rana pobiegłaś zadzwonić, dowiedzieć się, czy są jakieś wiadomości.

Nataszka odezwała się po dłuższej chwili:

– Ale czy to źle? Że ja się martwię o dziadka, a ty o Stasia?

– Mnie się wydaje, że tylko tak można żyć. Natasza wzięła mnie za rękę i powiedziała:

– Jesteś bardzo dziwny, Tikkireyu. Nie obraż się, ale czasem wydaje mi się, że jesteś głupim, tchórzliwym chłopcem, którzy przypadkiem wplątał się w niebezpieczne sprawy. A czasem przeciwnie, że jesteś mądrzejszy i odważniejszy niż my wszyscy.

– A teraz co ci się wydaje? – spytałem zaintrygowany.

– Że zmarzliśmy i zaraz się przeziębimy! – Nataszka zerwała się ławki i pociągnęła mnie za rękę.

– Chodź! Lion pewnie wyobraża sobie nie wiadomo co!

Lion wcale nie był zaskoczony.

Ponieważ w ogólnej sypialni nie mogliśmy porozmawiać, obudziłem go w nocy i poszliśmy do bloku sanitarnego. Jest to ogromne pomieszczenie, w którym pod jedną ścianą są kabiny z muszlami, pod drugą umywalki, a pod trzecią prysznice. Nie wiem, po co zrobili wszystko razem, jak na starym okręcie wojskowym. Rano panował tu straszny tłok.

Szybko sprawdziłem kabiny, nikogo nie było. Stanęliśmy przy oknie i opowiedziałem Lionowi o wizycie Elly i naszym zadaniu.

– Tak się zastanawiałem – powiedział od razu Lion. – Jeszcze na Avalonie...

– Nad czym się zastanawiałeś?

– Po co fagowie wysyłają nas na Nowy Kuwejt? Przecież taki desant musi sporo kosztować... No i w ogóle... jaki z nas pożytek?

– A jednak nas wysłali.

– Właśnie. Jesteśmy agentami na wymianę.

– To znaczy? – spytałem czujnie.

– Pamiętam coś takiego ze snu. Agent wymienny to zwykły człowiek, odrobinę przygotowany, wysłany, by wykonał bardzo niebezpieczne zadanie. Takie, po którym się nie wraca. Fagowie wiedzieli, że trzeba będzie kogoś stuknąć... i właśnie do tego wykorzystają teraz nas.

Lion był bardzo poważny. Siedział na parapecie i przemawiał, a ja stałem przed nim i słuchałem.

– Dlaczego właśnie nas?

– Przecież to jasne jak słońce! Jesteśmy stąd, z Nowego Kuwejtu, nikt nie może się przyczepić i zarzucić nam, że jesteśmy agentami Imperium. Nie mają żadnych dowodów.

– Bicz.

– Też mi dowód. Może zabrałeś go Stasiowi?

– Staś nigdy nie pozwoliłby, żeby wysłali nas na śmierć – powiedziałem twardo. – Nigdy!

Lion wzruszył ramionami:

– Możliwe. Ale skąd wiesz, czy powiedzieli mu całą prawdę? On jest fagiem. To coś więcej niż wojskowy czy policjant. To nie tylko dyscyplina, to zmiany w mózgu, powodujące, że fag musi wierzyć w rozkazy. Gdyby nawet Staś coś podejrzewał, co według ciebie miałby zrobić?

Przypominałem sobie, jak Staś się z nami żegnał i zrobiło mi się smutno.

On rzeczywiście coś podejrzewał. Nie podobało mu się, że wysyłają nas na Nowy Kuwejt, ale nie mógł postąpić wbrew woli rady fagów.

– To co mamy robić? – zapytałem bezradnie.

– Wykonać rozkaz – wzruszył ramionami Lion.



– Ale...

– Masz lepszy pomysł? – parsknął Lion. – Ukrywać się tutaj? Prędzej czy później nas znajdą. Chyba że przedtem flota imperialna zacznie bombardować planetę i zginiemy. Lepiej wykonać rozkaz. Przynajmniej mamy jakąś szansę. Musielibyśmy być stuknięci, żeby jednocześnie zadzierać z fagami i Szronem!

Po chwili zastanowienia dodał:

– Że też te dziewczyny musiały nas znaleźć! Siedzielibyśmy sobie spokojnie w lesie i byłoby w porządku!

– Wszystko przeze mnie. Gdybym wtedy nie wziął bicza...

– Daj spokój. I tak by nas tu wysłali – machnął ręką Lion. – Może bicz podsunęli ci nie dlatego, żeby cię sprawdzić, tylko jako prowokację? Jakbyś nie wziął bicza, wymyśliliby coś innego.

Trzasnęły drzwi i do łazienki wszedł Peter, jeden z tych, którzy nawet niezaprogramowani byli niewiele lepsi od zombi. Popatrzył na nas posepnie i zapytał:

– Jaracie?

– Nie – odparłem. – Tak sobie gadamy.

– Hmm... – Peter nie uwierzył i specjalnie wszedł do najbliższej kabinki, demonstracyjnie pociągając nosem. Gdy nie poczuł dymu, ożywił się jeszcze bardziej:

– Chłopaki, dajcie łyka!

– Nic nie pijemy! – oburzyłem się. – Sam zobacz!

Odsunąłem się od parapetu i obróciłem się dookoła. Gdzie miałbym schować butelkę – w slipkach? Lion nie obracał się, ale też zszedł z parapetu pokazując, że nic tu nie ma.

– Kretyni – skomentował Peter i pokręcił palcem przy skroni.

## Rozdział 2

Elly nie poszła z nami.

Nie pojawiła się nawet, żeby zapytać, czy Lion zgodził się wykonać rozkaz, czy nie. Jakby nie wątpiła w jego decyzje.

To mnie akurat nie martwiło. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby zarozumiała dziewczucha z Avalonu znowu zaczęła nami dyrygować!

Natasza znalazła nas w stołówce. Staliśmy z tacami w kolejce do mikrofalówki – było ich dwie. Z przodu ktoś zaklął – pękła mu plastikowa miska z zupą. Trzeba było naderwać klapkę...

– Dzisiaj! – oznajmiła Natasza z uśmiechem, ale wzrok miała skupiony i niewesoły. – Spotykamy się po obiedzie w altance.

Od razu straciłem apetyt. Co nie znaczy, że wzgardziłem posiłkiem – zjedliśmy wszystko: puree z kawałeczkami mięsa, grochówkę, sałatkę i kompot. Wszystko syntetyczne, tylko sałatkę kucharz przygotował sam. Po co im w ogóle kucharz, skoro i tak gotuje tylko w piątki?

Ponieważ nie mieliśmy żadnych rzeczy, tylko bicz, który zawsze nosiłem przy sobie, prosto ze stołówki poszliśmy do altanki.

Nataszka siedziała na trawie, jeszcze mokrej od nocnego deszczu, i odchyłona do tyłu, patrzyła na niebo. Spojrzałem w górę, ale nie dostrzegłem nic szczególnego, jedynie isierkę schodzącego do lądowania statku.

– Hej, to my! – zawołał Lion. – Co tam zobaczyłaś?

– Statek – odparła Natasza, nie odwracając głowy. – Piękny. Pasażerski ze Szronu.

Poczułem dreszcz. Przypomniałem sobie naszą kopułę i Dajkę na brzegu rzeki...

– Nataszka, chciałaś zostać pilotem?

– Głupi jesteś? Przecież dziewczyny nie mogą – odpowiedziała po chwili.

– No to co. Chciałaś?

– Chciałam.

Lion oczywiście niczego nie zrozumiał, a ja postanowiłem nagle, że już nigdy nie nazwę żadnej dziewczynki „ładunkiem”. Nawet tak niesympatycznej i zarozumiałej jak Elly.

– Ja też chciałem.

Natasza popatrzyła na mnie zdziwiona – zabrzmiało to tak, jakbym miał pewność, że już nigdy pilotem nie zostanę.

– Chłopaki, jesteście gotowi? Skinąłem głową.

– Samochód czeka na nas w zaułku, to niedaleko. Zawiezie nas do willi. Więc to już dziś?

Chociaż z drugiej strony, dlaczego nie? Po co fagowie mieliby niepotrzebnie to odkładać?

– To chodźmy – powiedziałem i spróbowałem się uśmiechnąć.

No bo jak się tak zastanowić, czy to nie jest śmieszne? Trójka nastolatków, przebywających na wrogiej planecie i obserwowanych przez policję, planuje zabić miliardera. Tak po prostu wstają i idą go zabić.

Ale mnie wcale nie było do śmiechu.

W zaułku czekała na nas zwykła taksówka. Wyobrażałem sobie, że przyjadą po nas działacze ruchu

oporu, a ujrzałem najzwyklejszy pomarańczowy samochód państwowej służby transportowej. Kierowca był zaprogramowany – już nauczyłem się odróżniać zombi od normalnych ludzi.

– Do parku motyli? – spytał serdecznie.

– Aha – Natasza znowu się uśmiechnęła. – Bardzo tam ładnie, prawda?

– Pięknie – potwierdził kierowca, czekając aż wsiądziemy do samochodu. Lion próbował usiąść na przednim siedzeniu, ale kierowca surowo pokręcił głową:

– Dzieciom do lat szesnastu nie wolno.

Nataszka zadała jeszcze kilka pytań i kierowca zaczął z pasją opowiadać o parku. Odmrożeni często koncentrują się na jednym, konkretnym temacie. Jeśli ich rozmówca dodatkowo wykazuje zainteresowanie, to potrafią mówić dopóty, dopóki nie wyczerpią tematu. Natasza specjalnie nakierowała kierowcę na jeden tor, żeby już niczym innym się nie interesował i nie zadawał zbędnych pytań.

Tym niemniej, opowieść o parku motyli była naprawdę interesująca. Gdy ludzie zaczęli kolonizować Nowy Kuwejt, na planecie nie było ssaków, tylko owady, gady i jakieś prymitywne ryby. Wkrótce okazało się, że miejscowe owady nie mogą się „dogadać” z ziemskimi zwierzętami, zaś po wrzuceniu do tutejszych mórz ziemskiego planktonu zaczęły zdychać ryby. Stworzono więc (na innym kontynencie) dwa rezerwaty: lądowy i morski. Zaś nieopodal Agrabadu wzniesiono wielką kopułę, podobną do tej, pod którą mieszkałem na Kopalni. I tam można było obejrzeć pierwotną przyrodę Czwartej Bety Liry, czyli Nowego Kuwejtu. Były tu trawy, krzewy, drzewa, miejscowe motyle, żuki i jaszczurki. Podobno robi to niesamowite wrażenie. Niektóre motyle są bardzo duże – ich rozpiętość skrzydeł osiąga dwadzieścia centymetrów – i niemal wszystkie świecą się w ciemności, ich gry miłosne toczą się w nocy.

– Jak byłem małym chłopcem – opowiadał kierowca – też lubiłem chodzić do tego parku. Zwłaszcza nocą, jeśli rodzice mnie puścili. Wiecie, co robiono dawniej, gdy motyle za bardzo się rozmnożyły? Sprzedawano licencje i można było polować na nie z siatką. Łatwo nie było, ale czasem udawało się jakiegoś złapać... Do dziś mam w kolekcji kilka sztuk...

– Teraz już nie wolno polować? – zapytał Lion.

– Nie. Stwierdzono, że to niehumanitarne.

– Szkoda – westchnął obłudnie Lion. – Chciałoby się zapolować... – mruknął i zerknął na mnie, czy doceniłem dowcip.

Ale czekające nas „polowanie” wcale mnie nie cieszyło.

Tak naprawdę nie wybieraliśmy się wcale do parku, ale nie mogliśmy przecież powiedzieć kierowcy, że jedziemy pospacerować po rządowej rezydencji „Smaragdowa świątynia”!

Kopułę parku zobaczyliśmy zaraz po wyjeździe z miasta. Z daleka wyglądała na malutką, ale poznałem ją od razu – standardowa kopuła kolonialna, specyfikacja L-2. Dziewięćset metrów średnicy, siedemdziesiąt metrów wysokości. Taka sama, jak nasza na kosmodromie, tylko bez srebrzystego ekranu antyradiacyjnego. Westchnąłem, przypominając sobie nasze kopuły i hermetyczne autobusy. Nigdy bym nie przypuścił, że zatęsknię za tak surową planetą jak moja Kopalnia. A jednak...

– Do głównego wejścia? – zapytał kierowca.

– Tak, poprosimy – odpowiedziała grzecznie Natasza. Chyba wzięła na siebie rolę dowódcy. Kierowca wcale nie był zdumiony, że dziewczynka dyryguje chłopcami, może dlatego, że wszyscy

tutaj kochali Inne Snów?

Taksówka zatrzymała się na postoju i wysiedliśmy – za przejazd zapłaciliśmy z góry. Kierowca pokiwał nam dłonią na pożegnanie i odjechał.

– To co, zaczynamy? – zapytał Lion.

Na razie obeszliliśmy postój, wypełniony samochodami oraz autokarami i kupiliśmy w sklepiku lody. Gdy nastolatek idzie po ulicy z rękami w kieszeniach, dorośli spodziewają się po nim chuligańskich wybryków, ale gdy je lody, postrzegają go jak małe dziecko. Nie pochłonęliśmy więc przysmaku od razu, tylko odrobinę odwinęliśmy opakowanie, które chłodziło lody, nie pozwalając im się rozpuścić. Dzięki temu mogliśmy tak spacerować nawet godzinę.

Wokół kopuły biegi stumetrowy pas piasku, poprzecinany betonowymi ścieżkami. Prawdopodobnie była to strefa kwarantanna, żeby ziemskie rośliny nie przedostały się pod kopułę. Dalej, za piaskiem, zaczynał się szeroki pas zieleni, a jeszcze dalej drzewa, zagajniki i ogrody. Poszliśmy jedną z alejek.

– Obejdziemy kopułę z prawej strony – mówiła półgłosem Natasza – i dojdziemy do tamtego parku. Tam będzie ścieżka. Idziemy nią aż do tablicy „Teren prywatny”, skręcamy w lewo i idziemy wzdłuż strumienia do ogrodzenia. O siedemnastej zero zero wyłącza się sygnalizacja na odcinku ogrodzenia, wychodzącym na strumień. O siedemnastej dwadzieścia powinniśmy sforsować ogrodzenie i w ciągu dwóch minut oddalić się od niego o sto metrów.

– Tam jest otwarty teren? – zapytał Lion.

– Nie, park – odparła Natasza. – Potem mamy dziesięć minut na złapanie oddechu. Schowamy się przy fontannie i przepuścimy patrol.

– Co to za fontanna? – zainteresowałem się.

– Skąd mam wiedzieć? Elly twierdzi, że nie można jej nie zauważyć. Kiedy patrol pójdzie dalej, biegniemy do willi, do wejścia służbowego. Wchodzimy do środka i chowamy się na pierwszym lub drugim piętrze. Wewnętrzny system ochrony został wyłączony na żądanie Bermiana, facet obawia się wszelkich urządzeń śledzących, wozi ze sobą generator zakłóceń... No to niech ma pretensje do siebie. On i córka przyjadą o siódmej lub ósmej wieczorem. Usuwamy ich – głos Nataszy nawet nie drgnął – a potem czekamy do dwudziestej pierwszej trzydzieści i wycofujemy się tą samą drogą. Jeśli się wyrobimy i wszystko będzie w porządku, nocujemy w przytułku.

– Może powinniśmy kupić bilety do parku? – zasugerowałem. – Mielibyśmy alibi...

– Jakie alibi? Jeśli kupimy bilet, komputer zarejestruje czas wejścia i wyjścia z kopuły. Tylko zostawimy niepotrzebny ślad.

– Jak podniesie się szum, kierowca na nas doniesie – zauważył Lion. – Przecież to zombi, wsypie nas na wszelki wypadek...

– Elly powiedziała, że o kierowcę zatroszczą się inni – ucięła Natasza.

Drgnąłem.

– Co ty mówisz?

– To, co słyszałeś.

– Nie tak się umawialiśmy! – wykrzyknąłem.

– Nijak się nie umawialiśmy – oczy Nataszy błysnęły wściekłością.

– To wojna, Tikkireyu! Prawdziwa wojna, jasne?!

Jasne. Przecież nie wybieraliśmy się do Bermana na herbatę. Ale... oligarcha chciał zdradzić Imperium, a kierowca był zaprogramowanym, chorym, niewinnym człowiekiem...

– To niesprawiedliwe – powiedziałem. – Nie powinniśmy tego robić.

– Inaczej nie można – wzruszyła ramionami Natasza. – To wojna. Mam rację, Lionie?

Lion odwrócił wzrok.

Nie spierałem się dłużej.

Szliśmy obok kopuły, od czasu do czasu popatrując na świat za przezroczystą ścianą. Rosły tam dziwne drzewa o bardzo ciemnych liściach i mechatych pniach. Wśród liści migotało coś jaskrawego – pewnie te słynne motyle, ale nie zdołałem się im przyjrzeć. Pomyślałem, że jeśli wszystko dobrze się skończy, wybiorę się do tego parku.

Ale co to znaczy „dobrze się skończy”?

Że zabijemy Bermana i jego córkę?

Miałem ochotę rozplakać się jak małe dziecko – z bezsilności.

– Ochrona nas zastrzeli – odezwała się ni z tego, ni z owego Natasza.

– Nie wierzę, że Elly wszystko się uda. Nie wierzę!

Od razu przestałem się bać. Właśnie, skąd mi przyszło do głowy, że uda nam się przejść obok ochrony? Przecież ta zarozumiała Elly mogła nam nagadać, co chciała... No dobrze, ochrona raczej nas nie zastrzeli, ale zaaresztują nas na pewno. Może to byłoby najlepsze wyjście? Rozkaz wykonamy, a że nie udało nam się wykonać zadania... Sami są sobie winni, nie powinni powierzać dzieciakom takiej misji.

– Cicho bądź – powiedziałem. – Nie hałasuj tak.

Natasza popatrzyła na mnie zdumiona, ale nie oburzyła się. W milczeniu szliśmy ścieżką w głąb parku. Ścieżka była zaniedbana, przez szary żwir przebijała trawa, teraz pożółkła i zwiędnięta. Nad nami śpiewał niewidoczny ptak.

– Ale ładnie... – wyszeptał Lion.

Nie odezwałem się.

Tablica „Teren prywatny” też była stara i stała dokładnie na środku ścieżki, na niskim, betonowym słupku. Umieszczono tam nawet pomarańczowy plafon, żeby oświetlać napis w nocy, ale pokrywa plafonu była rozbita, a żarówka zniknęła. Podeszliśmy do słupka, skęciliśmy i wyszliśmy przy strumieniu.

– Możemy podejść do ogrodzenia? – zapytałem.

– Nie bliżej niż na dziesięć metrów – odparła Natasza.

Szliśmy jakiś czas wzdłuż strumienia i dotarliśmy do płotu rezydencji. Niewysoki, półtorametrowy, z szarych, betonowych płyt, porośniętych u dołu mchem. Żebrowane płyty wręcz zapraszały do wspinaczki, ale nad płotem przebiegał cienki, srebrzysty drut – czujnik. Drzewa dochodziły niemal do ogrodzenia, ale nie dałoby się z gałęzi przeskoczyć przez płot.

– Czekamy – szepnęła Natasza.

Usiedliśmy za krzakami i zaczęliśmy czekać, dojadając lody. Natasza przez cały czas spoglądała na zegarek, w końcu go zdjęła i położyła przed sobą. Lion był zupełnie spokojny – oblizywał kremowy słupek lodów i wcale nie patrzył na zegarek.

– Szykujcie się – powiedziała Natasza. Głos drżał jej z napięcia. – Została jedna minuta.

Lion przełknął resztkę lodów, zgniótł opakowanie, wrzucił je do strumienia i umył ręce. Usiadł w kucki, jakby przygotowując się do skoku.

– Dwadzieścia sekund – Natasza poprawiła włosy, popatrzyła na nas i przeżegnała się. Jej policzki zaczerwieniły się jak od mrozu.

Wcale się nie denerwowałem. Po prostu byłem pewien, że zaraz nas zatrzymają i będzie po wszystkim.

– Naprzód! – Natasza zerwała się i rzuciła do ogrodzenia.

Lion wyprzedził ją i tuż przed ogrodzeniem przyklęknął i oparł się rękami o beton. Natasza zrozumiała, postawiła mu nogę na plecach, podciągnęła się i przeskoczyła przez płot. Ruszyłem za nią. Lion stęknął pod moim ciężarem, a ja nie przeskoczyłem od razu, lecz rozciągnąłem się na grzbiecie ogrodzenia, objąłem je nogami i podałem Lionowi dłoń. Chwycił ją, podciągnął się i razem zeskoczyliśmy na drugą stronę.

Jakbyśmy znaleźli się w innym świecie!

Na zewnątrz był zapuszczony park i jeszcze ciepły, ale już jesienny wietrzyk, a tutaj panowało lato. Park w tej części był zadbane, poprzecinany schludnymi ścieżkami. Nawet strumień, przepływając przez kratę w ogrodzeniu przestawał bulgotać i zaczynał melodyjnie szemrać. Było ciepło, wręcz gorąco, ponad klombami latały motyle, ale nie tak ogromne i kolorowe jak te za ścianami kopuły... To pewnie lokalna klimatyzacja – bardzo droga rzecz, ale w końcu rząd nie musi liczyć się z pieniędzmi.

– Naprzód! – wyszeptała Natasza, rozglądając się czujnie. – Biegiem!

Skoczyliśmy do przodu, biegnąc po ścieżkach wyłożonych chropowatymi, kamiennymi płytkami i klucząc między drzewami. Miałem wrażenie, że sto metrów pokonaliśmy w ciągu pół minuty, ale fontanny nadal nie było widać. W końcu Lion wskazał ręką na prawo i krzyknął:

– Tam!

Rzeczywiście, trudno było nie zauważyć tej fontanny. Ogromna, wypełniona wodą misa o średnicy dwudziestu metrów, a pośrodku – grupa rzeźb. Gigantyczny wielkolud z brązu w staromodnym skafandrze brodził po wodzie, jedną ręką osłaniając twarz przed spadającymi kroplami w drugiej, trzymając laser. Z nim podążał cały tłum, głównie kobiety i dzieci. Z powykrzywianych rur, zainstalowanych wśród skał, woda biła na jakieś trzy metry.

– Ale koszmar! – wykrzyknął zafascynowany Lion.

– Do basenu! – zakomenderowała Natasza.

Brodziliśmy w wodzie i wkrótce dotarliśmy do zimnych figur z brązu, omszałych i mokrych od wodnego pyłu. Natasza zdecydowała, że tu właśnie przeczekamy patrol.

Ukrywanie się wśród rzeźb było nawet zabawne. Pomacałem rękę dziewczynki z brązu, która z nadzieją wpatrywała się niewidzącymi oczami.

– Co to za rzeźba?

Natasza machnęła ręką, żebym był cicho, ale po chwili odpowiedziała:

– To pewnie na pamiątkę pierwszego lądowania. Jedna z lądujących szalup rozbiła się w dżungli, ale ocalały pilot uratował niemal wszystkich pasażerów.

– Aha, czyli fontanna to paliwo, tryskające z baków – zachichotał Lion. Rzeźba wyraźnie mu się nie podobała.

– Cicho! – zasyczała Natasza i przysunęła się do głazów. Zamilkliśmy, wciskając się głębiej

między figury z brązu. Po minucie na dróżce pojawił się patrol – dwóch mężczyzn i kobieta.

Pilot z brązu wydał mi się olbrzymem, ale ochroniarze wcale nie ustępowali mu wzrostem, tyle że zamiast skafandrów nosili lekkie pancerze ceramiczne. Ekran helmów mieli wyłączone, broń schowaną – pewnie nie spodziewali się żadnych kłopotów. Kobieta była bez pancerza i bez broni, w zwykłej sukience i klapkach, za to z wielką plastikową torbą w ręku. Przyczajeni, usłyszeliśmy fragment ich rozmowy:

– I tak będziemy biegać, póki nie założą nowej linii – oburzała się kobieta. Mówiła z irytacją i ożywieniem, pomyślałem, że chyba nie jest zaprogramowana.

– A co zrobisz, jak on się boi czegokolwiek podpisać! – poparł kobietę jeden z mężczyzn. – Boi się, że sobie o nim przypomną i odeślą na emeryturę.

– Napiszę raport – gorączkowała się kobieta. – Jak tak można, codziennie jakieś zakłócenia i awarie...

Rozmawiając w ten sposób, oddalali się niespiesznie w stronę płotu, przez który przeszliśmy. Na fontannę nawet nie spojrzeli. Natasza poczekała, aż ludzie znikną pomiędzy drzewami, a głosy ucichną i odwróciła się do nas:

– Do roboty...

Wyszliśmy z basenu i pobiegliśmy w stronę widniejącej w głębi parku willi z kolumnami, wieżyczkami i tarasem nad głównym wejściem. Nadal nie traciłem nadziei, że ktoś nas zatrzyma, ale nie spotkaliśmy już żadnego ochroniarza. Do głównego wejścia nie podchodziliśmy, obeszliliśmy willę i Natasza triumfalnie wskazała nam niewielkie drewniane drzwi – były uchylone.

– Widzicie?

Pomyślałem, że te drzwi otwarto specjalnie i że zrobiła to ta sama kobieta, która odłączyła sygnalizację i szła z ochroniarzami. Pewnie była technikiem odpowiadającym za system zabezpieczeń...

– Tikkireyu, coś się tak zamyślił? – zawołała Natasza. Ona i Lion zdążyli już wejść do środka.

Jeszcze raz obejrzałem się na spokojny park i wszedłem wejściem służbowym. Znaleźliśmy się w niewielkim westybulu. Natasza gniewnie pchnęła mnie w stronę korytarza, a sama schyliła się i zaczęła ścierać mokre ślady na podłodze jakąś szmatką. Zobaczyłem, że Lion jest goły do pasa i zrozumiałem, że szmatka była jego koszulą.

– O tym nie pomyśleliśmy – westchnęła Natasza, idąc szybko korytarzem i wycierając ślady. – Zdejmijcie buty, pójdziemy boso.

Na takich właśnie drobiazgach wpadają najlepsi agenci i sypią się najsprytniejsze plany – gdybyśmy nie zauważyli mokrych plam, nie uratowałyby nas nawet wyłączenie czujnika. Zdradziłyby nas ślady, jak w średniowiecznych historiach o granicach i szpiegach. Na szczęście Nataszka czuwała.

Ominiliśmy kilka ascetycznie umeblowanych pokoi, w jednym był pulpit i kilka monitorów, w drugim – z fotelami i kanapą – pewnie odpoczywali ochroniarze. Dalej zaczęły się bardziej eleganckie pomieszczenia. Pokoje z łózkami i szafami (pewnie gościnne), hol z telewizorem i miękkimi fotelami... Ogromna kuchnia, zastawiona mnóstwem wszelkiego rodzaju urządzeń. Były tam mikrofalówki (aż dwie) i zwykłe kuchenki, roboty kuchenne, frytkownice i mnóstwo agregatów, których nazw nie znałem.

– To pokoje służby – wyjaśniła Natasza, oglądając wyposażenie. – Przecież w willi urzęduje się

czasem ogromne przyjęcia. Idziemy tędy.

Szeroki korytarz zakończony dwuskrzydłowymi drzwiami wyprowadził nas do stołówki.

Dopiero tutaj zobaczyliśmy oszałamiający luksus!

Na środku stał wielki, owalny stół z jasnego drewna i krzesła z wysokimi, rzeźbionymi oparciami, a na ścianach widniały prawdziwe, namalowane farbami obrazy. Za oknami widać było park i „naszą” fontannę. Stąd wyglądała znacznie ładniej.

– Dokąd teraz? – spytał Lion. Wnętrza wyraźnie go onieśmiały – było tu zbyt jasno, przestronnie i elegancko.

– Na górę – zdecydowała Natasza. – Tam jest duża sala jadalna – Lion aż jęknął, słysząc te słowa. – I pokoje gościnne.

Ze stołowego wyszliśmy na schody – szerokie, pokryte czerwonym dywanem, przyciśniętym do stopni złotymi prętami – i weszliśmy na pierwsze piętro. Zaczęliśmy szukać pokoju Bermana i jego córki. Nie było to łatwe – znajdowało się tu co najmniej dwanaście sypialni i wszystkie zamknięte. Ledwie zdążyłem pomyśleć, że przydałby się wytrych, gdy bicz poruszył się na pasie i wsunął do rękawa.

Słusznie. Po co mi wytrych, skoro mam uniwersalny bicz fągów?

Na każdy zamek bicz poświęcał najwyżej dwie sekundy, widocznie zadanie nie było trudne. Jakimś cudem wiedziałem, że bicz najpierw skanuje strukturę zamka, określa cząstkowe potencjały w układach elektronicznych i otwiera zamek nie przypadkową kombinacją cyfr, lecz wybierając właściwy kod.

Pierwsze sześć sypialni było puste, siódma na pierwszy rzut oka też wydawała się niezamieszkaana, ale Natasza, która na wszelki wypadek zaglądała do łazienek, znalazła tam szczoteczkę do zębów, brzytwę, wodę kołońską i inne męskie kosmetyki. Dopiero wtedy zauważyliśmy, że w nienagannie sprzątniętym pokoju ktoś jednak mieszka – w szafie wisiało kilka garniturów, dziesięć koszul i krawatów, a obok łóżka leżał kryminał słynnego autora Hiroszi Moto, „Skafander z lustrzanym hełmem”. Ciekawa książka, ale raczej dla młodzieży.

Dwie następne sypialnie były puste, a w dziesiątej, sądząc po kosmetykach w łazience, mieszkała córka Bermana. Na szafce przy łóżku również leżała książka, ale znacznie poważniejsza niż u jej ojca – „Taktyka rozwoju korporacji w warunkach destabilizacji politycznej”.

– Uczy się kierowania korporacją – skomentował drwiąco Lion. – Ale optymiści.

Oboje – i ja, i Nataszka – popatrzyliśmy na niego gniewnie.

– Ja tylko tak... z nerwów... Przepraszam – wyjąkał Lion.

– Następnym razem pomyśl, zanim coś powiesz – wymamrotała Natasza. – Czego tam szukasz?

Lion przestał na chwilę szperać w szafie i odwrócił się.

– Zabrałaś mi koszulę i co, mam teraz chodzić nago? Jak myślicie, ta podkoszulka będzie dobra?

Bawełniana podkoszulka bez rękawów była wprawdzie niebiesko-biała, pstrokata, ale nie wyglądała na dziewczęcą. Wzruszyłem ramionami i Lion się ubrał. Nataszka już nic nie mówiła. W porównaniu z tym, co chcieliśmy zrobić, kradzież nie miała najmniejszego znaczenia.

– Bermanowie przyjadą i pójdą do swoich pokoi, żeby się przebrać – zastawiała się na głos Natasza. – Służby chyba nie ma, więc zostaną sami... Podzielimy się na dwie grupy – ja i Lion bierzemy na siebie Bermana, a ty dziewczynkę.

– Dlaczego? – zaprotestowałem.



– Bo masz bicz.

– No to co? Czy ona jest bardziej niebezpieczna niż dorosły mężczyzna?

Natasza westchnęła:

– Aleksander Berman ma prawie siedemdziesiąt lat i brzuch jak hipopotam. A jego córka na pewno jest wysportowana, zna pewnie jakieś sztuki walki... może nawet ma broń.

– A jak sobie poradzicie z Bermanem?

– Ogluszmy go – rzuciła krótko Natasza. – A potem przyjdiesz ty. Kłótnia nie miała sensu. Chciałem powiedzieć, że nie będę strzelał do dziewczyny, nawet jeśli jest wredną żoną i chce zdradzić Imperium, ale pomyślałem, że strzelę. Nie mam innego wyjścia.

– Schowaj się w łazience – podpowiedziała Natasza. – To na wszelki wypadek, gdyby nie weszła do pokoju sama. My zrobimy to samo. Gdy Berman zajrzy do łazienki, zaatakujemy z tyłu. Uderzymy go.

– Czym? – spytał rzeczowo Lion.

– Na końcu korytarza powinna być sala sportowa, weźmiemy dwie hantle albo coś ciężkiego... Tylko po cichu, ochrona mogła już wrócić.

– Idziemy – skinął głową Lion. – Trzymaj się, Tikkireyu. Nie pękaj.

– Będziemy na ciebie czekać – dodała Natasza.

Zostałem sam. Wszystko stało się tak szybko, że nawet nie zdążyłem nic powiedzieć. Żeby się uspokoić, zacząłem biegać po pokoju. Znalazłem drzwi do jeszcze jednego pokoju, jakby gościnnego, ale nie było tam żadnych śladów bytności Aleksandry Berman. Wróciłem do sypialni, podszedłem do okna i popatrzyłem na park. Z tej strony nie było widać fontanny, za to w głębi ogrodu zauważyłem basen i jakieś sympatyczne budyneczki. Po niebie płynęły chmury, słońce powoli zachodziło. Było cicho i sennie. Odszedłem od okna, z jakąś chorobliwą ciekawością skierowałem się do szafy i zacząłem grzebać w rzeczach Aleksandry Berman.

Jak się okazało, przeglądanie czyichś rzeczy jest zajęciem bardzo interesującym. W szafie wisiały różne ubrania. Było ich tyle, że wystarczyłoby na całkowitą wymianę garderoby dla wszystkich mieszkańców przytułku „Kiełek” – zarówno dla chłopców, jak i dla dziewcząt. Samych butów z dziesięć par: pantofelki, adidasy, półbuty i jakieś specjalne obuwie, chyba do tańca... Na półkach leżały stosy zapakowanych ubrań – wzięłem jedną paczkę, dostrzegłem w niej różowe, koronkowe majteczki, zawstydzilem się i zamknąłem szafę.

Cholera... Z jednej strony mam zabić dziewczynę, której nawet nie widziałem na oczy. W porównaniu z tym, moja ciekawość jest nieistotnym drobiazgiem. A z drugiej strony czułem wstyd.

Ale nie mogłem się już powstrzymać. Dalej grzebałem w szafkach.

Bogaci ludzie zwykle wożą ze sobą całe mnóstwo ubrań. Może naprawdę tego wszystkiego potrzebują – w końcu przylatując na inną planetę w interesach, chodzą na spotkania, do teatrów, restauracji, jeżdżą na jakieś wycieczki czy safari... Ale prócz ubrań było tu jeszcze dużo innych rzeczy. Na przykład, cała walizka najróżniejszych przyrządów do pielęgnacji włosów – samych suszarek było aż trzy. A przecież w łazience jest całkiem porządna suszarka. W niewielkiej torbie znalazłem apteczkę... Nie mieli tu lekarzy? A może tacy Bermanowie nie ufają obcym lekarzom? W nie zamkniętej szkatułce odkryłem górę ozdób. Jedne zwyczajne, ze złota, srebra i drogich kamieni, a inne tak rzadkie i drogie, że widywałem je jedynie na filmach czy w wiadomościach. Była tam kolia z „niewidzialnych diamentów”, które mają jeszcze jedną, naukową nazwę... Aż podszedłem do okna,

żeby obejrzeć kolię pod światło, ale w platynowej oprawie nie było kompletnie nic, zaś małe iskiereczki zwykłych diamentów, przyklejonych do tych „niewidzialnych”, wisiły jakby w powietrzu. Wyciągnąłem rękę i poczułem pod palcami niewidoczne kamienie. Na największym został ledwie widoczny odcisk mojego palca. Ale super!

Były też kolczyki z „kamieniami nastroju”, zmieniającymi kolor w zależności od nastroju właściciela<sup>3</sup>. Podniosłem kolczyk do twarzy i kamień z mlecznobiałego stał się jasnoczerwony. No tak, przecież się denerwowałem. .. Takie ozdoby mogą nosić jedynie ludzie doskonale kontrolujący swoje emocje – w przeciwnym razie wszyscy wiedzieliby, kiedy się człowiek denerwuje, kiedy jest przestraszony, a kiedy próbuje skłamać.

Włożyłem wszystkie ozdoby z powrotem do szkatułki i postawiłem ją na miejscu. Nie jestem złodziejem. Nie wezmę stąd niczego, chociaż za każdą z tych ozdób można by...

Co?

Uiścić opłatę bytową na Kopalni?

To mi nie wskrzesi rodziców.

Nie potrzebuję tych kamieni.

Krażyłem po pokoju, spoglądając na zegarek. Jeszcze wcześniej. Zajrzałem do szafki przy łóżku, znalazłem tam kilka książek. Podręczniki do ekonomii, powieści... Wziąłem Hirosziego Moto (teraz już wiadomo, skąd stary Berman brał lektury „do poduszki”) „Sprawę hojnego inteligenta”. Kry3 Kamienie nastroju mają odzwierciedlać nastrój noszącego je człowieka, odkrywając jego myśli. Niebieski oznaczał spokój; czerwony – zły humor; czarny – depresję. W rzeczywistości są wrażliwymi na temperaturę ciała ciekłymi kryształami i z tymi przesadami nie mają nic wspólnego.

Kryminały Moto mają to do siebie, że czytasz je chętnie nawet wtedy, gdy wiesz, kto jest przestępcą. Ale tej książki jeszcze nie czytałem.

Na perfekcyjnie zaścielonym łóżku wolałem nie siadać, fotele wyglądały zbyt przytulnie. Siadę, wciągnę się w akcję książki i przegapię powrót Bermanów.

Usiadłem na podłodze przy drzwiach, uchylając je odrobinę, żeby usłyszeć najmniejszy szmer na dole i zacząłem czytać o przygodach „śledczego z próbki” i jego wiernym przyjacielem. Początkowo nie mogłem się skupić, ale potem doczytałem prawie do samego końca. Wszystko było strasznie zagmatwane, ale pod koniec śledczy wreszcie wygłosił swoje słynne zdanie:

– Rzecz jasna, jestem tylko klonem, ale gdyby pan wiedział, do jakiej nikczemności zdolny jest prawdziwy człowiek! Cofnijmy się teraz o trzy dni i wyobraźmy sobie tamtą bibliotekę. Jest północ, gaśnie światło i w nocnej ciszy słychać delikatny szmer. Tylko pan, obecny tam wówczas, mógł zabrać dysk z otwartego pospiesznie sejfu. Nieprawdaż, pułkowniku?

– Co to za insynuacje? – zdenerwował się oficer, upuszczając cygaro.

– Przecież zostałem zrewidowany, tak samo jak wszyscy! Gdzie miałbym schować ten przeklęty dysk?

– To mnie właśnie zastanawiało, zwłaszcza, że nazwisko przestępcy i tak znałem od samego początku...

W tym momencie na dole rozległy się kroki. Po chwili dał się słyszeć hałas... ktoś otwierał drzwi frontowe...

Zerwałem się i zatrzasnąłem książkę, nie dowiadując się, kto ukradł dysk – pułkownik Howard, przeorysza Anastazja, haker Owen czy któryś z muzyków orkiestry symfonicznej. Zamknąłem drzwi i

zacząłem biegać po pokoju, nie wiedząc, czy odłożyć książkę na miejsce, czy zabrać ją ze sobą. Postanowiłem oddać. Już chowając kryminał do szafki, mimo wszystko otworzyłem go na ostatniej stronie i przeczytałem: Właśnie tak, drogi przyjacielu. I to już koniec świetnie zapowiadającej się kariery drugiego puzonu.

O rany! Drugi puzon, zakochany w pani dyrygent! A mnie to nawet do głowy nie przyszło!

Szybko obejrzałem pokój – ślady zatarte – i rzuciłem się do łazienki. Stałem po prawej stronie drzwi, obok jacuzzi. Wszystkie wymyślone przygody, wesołe i pasjonujące, dobiegły końca. Zaczynały się prawdziwe – ohydne i straszne.

Aleksandra Berman weszła do pokoju pięć minut później. W tym czasie stałem w ciemnej łazience, a bicz mocno owinął się wokół mojej ręki. Był gotów zabijać. Ja nie, a on tak. Jemu było łatwiej, po to go stworzono.

Trzasnęły drzwi i dały się słyszeć kroki. Coś stuknęło o podłogę. Nie mogłem znieść tego beczynnego czekania, chciałem zobaczyć, co się dzieje w pokoju. Drzwi do łazienki były nie domknięte, została wąska szczelina, przez którą ostrożnie wyjrzałem.

Dziewczynka stała przy oknie, patrząc w dół. Z tyłu wyglądała na młodszą ode mnie. Kędzierzawa i jasnowłosa, ubrana była w spódniczkę w kratę i zieloną bluzkę. W uszach połyskiwały małe kolczyki.

Kurcze, ale pech. Gdyby była wysoka i chuda, łatwiej byłoby ją zastrzelić...

Dziewczyna podniosła rękę. Nie zrozumiałem, co robi, dopóki nie zdjęła bluzki i nie rzuciła jej niedbale na podłogę.

O rany!

Oderwałem się od szczeliny, czując, że płoną mi uszy. To już było chamstwo. Nie dość, że grzebałem w jej rzeczach, to jeszcze ją podglądam...

Gdy wyjrzałem znowu, Aleksandra już zdjęła spódnicę i została w majteczkach i staniku. Z tego co zauważyłem, stanik nosiła wyłącznie dla fasonu...

– Ale mi to cholerstwo obrzydło! – powiedziała nagle głośno Aleksandra. Śpiewny akcent planety Eden sprawiał, że nawet przekleństwa brzmiały jak poezja. Dziewczyna zaczęła rozpinać z tyłu stanik. Odskoczyłem od drzwi i cofałem się, dopóki bidet nie uderzył mnie pod kolanami. Zatrzymałem się, wyciągając do przodu prawą rękę. Chyba Aleksandra będzie chciała wejść pod prysznic...

Strzelę od razu, jak tylko wejdzie do łazienki. Żeby się nie przestraszyła i nie speszyła... Kurcze, dlaczego to właśnie ja mam ją zabić?

Jej kroki, wytłumione przez miękki dywan, były prawie niesłyszalne. Bicz na moim ręku napiął się i zawibrował, generując pocisk plazmowy.

Żeby tylko się nie przestraszyła...

Zapłonęło światło i otworzyły się drzwi.

To właśnie światło mnie powstrzymało. Zamiast strzelić od razu, gdy tylko drzwi zaczęły się uchylać, stałem jak kretyn z wyciągniętą ręką i gotowym do strzału biczem.

A w drzwiach stała naga...

Stał nagi chłopak!

Dlaczego chłopak? Czyżby Berman nie miał nie córki, tylko syna? I nikt o tym nie wiedział?

– Jeśli ci przeszkodziłem, mogę wyjść – powiedział chłopak, którego brałem za córkę Bermana. – Zresztą, trzeba było zamknąć drzwi.

Jego śpiewny akcent znikł. Mówił bardziej twardo, jak mieszkańcy Avalonu, a jego głos brzmiał teraz znajomo... Skąd ja znam tą twarz?... Gdyby usunąć te idiotyczne loki...

Odsunąłem się od bidetu, nadal trzymając bicz wycelowany w fałszywą dziewczynkę. Gdzie ja ją... gdzie ja go widziałem?

– Co ty tu robisz, Tikkireyu? – zapytał chłopak.

– Kim jesteś?! – wykrzyknąłem.

– Planeta Avalon, miasto Camelot, Instytut Socjologii Eksperymentalnej, szósta winda, piętro drugie i pół. Co tu robisz, leszczu?

Opuściłem rękę i bicz wsunął się do rękawa. Teraz już poznałem małego faga, który odradzał nam lot na Nowy Kuwejt.

– Co tu się dzieje? – wyszeptałem. – Gdzie jest Aleksandra Berman?

– W areszcie domowym, razem z ojcem. Jeśli zmieniłeś zdanie i nie będziesz strzelał, to pozwolisz, że się ubiorę.

Przełknąłem ślinę i skinąłem głową. To znaczy, że... że zamiast prawdziwych Bermanów przylecieli fagowie... A ja o mały włos nie strzeliłem...

– Wyluzuj, skoro bicz nie strzelił na mój widok, to znaczy, że nie byłeś gotów strzelić – odezwał się chłopak z pokoju, jakby czytając w moich myślach.

Wyszedłem z łazienki na sztywnych nogach. Mały fag już się prawie ubrał... Ale szybki. Zamiast spódnicy i bluzki miał na sobie dżinsy i koszulę w kratę – uniwersalny strój, który mogą nosić zarówno dziewczyny, jak i chłopcy. Chyba nie lubił chodzić w dziewczęcych ciuchach.

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

– Aleksander – burknął chłopak, z rozdrażnieniem przyczepiając do uszu klipsy. – Co tu robisz i jak się tu dostałeś?

– Podziemie postanowiło was zlikwidować...

– Natrzeć uszu – powiedział z przyjemnością Aleksander. – Natrzeć uszu, wychłostać i odesłać do szkoły dla trudnych dzieci...

– Już tam byłem... – zacząłem i wzdrygnąłem się:

– Twój ojciec... jego też... Aleksander pobladł.

– Idziemy – rzucił. – Nie, poczekaj...

Wyjrzał za drzwi, skinął na mnie i wybiegł na korytarz. Ja za nim.

Drzwi do pokoju Bermana były otwarte. Wbiegliśmy tam niemal jednocześnie.

Na środku pokoju stał gruby staruch, w zadumie przyglądając się Nataszy i Lionowi. Moi przyjaciele leżeli na łóżku – bezwolni i nieruchomi, ale chyba żywi.

– Siła wyższa – rzekł stary Berman. Popatrzył na mnie i pokręcił głową:

– I to jeszcze jaka siła wyższa.

– Twój Tikki omal mnie nie zastrzelił – złościł się Aleksander. – Jak się czujesz?

– Będę miał guza – westchnął fałszywy oligarcha, sięgając ręką do karku. – Lion ma nieprawdopodobną szybkość reakcji. Jak na normalnego człowieka oczywiście. Odrobinę mnie zahaczył.

– Sam jesteś sobie winien – rzucił bez cienia szacunku Aleksander.

– Siedź cicho – osadził go starzec i zwrócił się do mnie:

– Tikkireyu, czy możesz mi pokrótce wyjaśnić, jak się tu znaleźliście? Czy wolisz stać jak słup?

– Staś – wykrztusiłem i poczułem, że w mam łzy w oczach. – Staś... Zdradzało go jedynie spojrzenie. Oczy były stare, jakby wyblakłe, ale spojrzenie się nie zmieniło.

– Staś – powtórzyłem po raz trzeci jak głupek. I rozplakałem się. Fag w jednej chwili znalazł się przy mnie. Objął mnie i przytulił. Brzuch miał wielki i ciepły, chyba prawdziwy. Nawet ręce wydawały się stare, z nabrzmiętymi żyłami i bladą skórą.

– Przestań, Tikki... Wszystko będzie dobrze, dzieciaki zaraz się ockną... No już, uspokój się...

– Nic nie jest dobrze! Niepotrzebnie tu przylecieliśmy, wszystko zepsuliśmy i omal was nie zabiliśmy... – mamrotałem. Było mi wstyd, że taka ze mnie beksa. Pewnie Aleksander w życiu by się nie rozplakał.

– Nas nie tak łatwo zabić, mały. Co to za dziewczynka?

– Natasza... Z ruchu oporu.

– Kompletnie tu zdziczeliście! – zawołał oburzony Staś. – Dziewczynki nie mogą zabijać! Szczególnie w walce wręcz... Wypaczycie jej psychikę, przecież to nie jest zadanie dla kobiet!

– A co my tu mamy do gadania... Ona jest z oddziału partyzanckiego – mruknąłem, nadal przytulony do Stasia. – To ona dowodziła.

– Rozumiem. Jedna z „Jaskrów”? – Staś odsunął mnie delikatnie, popatrzył w twarz. – Idź, umyj się, a ja spróbuje ocucić tych killerów.

Drzwi do łazienki otworzyłem z pewną obawą, wyobrażając sobie, jak stali tu Nataszka i Lion, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu. Na podłodze leżały hantle i kij baseballowy. Jeden kafelek był pęknięty – pewnie rozbił go spadający ciężarek...

– Nie bój się, nie ma tam więcej morderców – rzucił złośliwie Aleksander, widząc, że się waham. Dowcipny się znalazł...

Napuściłem wody do umywalki – nie pozbedę się tego nawyku oszczędzania wody! – i umyłem twarz. Przejrzałem się w lustrze – oczy czerwone, poza tym w porządku.

Staś jest na Nowym Kuwejcie!

Dopiero teraz dotarło do mnie, jak ogromną ulgę poczułem. Nie doszło do potwornej pomyłki. I chociaż ci z ruchu oporu wszystko pokręcili, a nasza trójka kompletnie się zblamowała, to Staś i tak coś wymyśli. Wrócimy na Avalon, jak najdalej od tej nieszczęsnej planety, jak najdalej od przeklętego Szronu i jego pani prezydent...

Gdy wróciłem do pokoju, Natasza już oprzytomniała i siedziała na łóżku, pocierając czoło. Lion też siedział, ale z zamkniętymi oczami. Staś masował mu szyję, naciskając jakieś punkty. Lion jęczał, ale raczej z przyjemności niż z bólu.

– Jakim trzeba być kretynem – mówił Staś – żeby we dwójkę, jednocześnie, zaatakować wchodzącego człowieka. Sami sobie przeszkodziliście. I tak nic by wam z tego nie wyszło, ale przy takiej dyslokacji...

– A jednak cię zahaczyłem – zauważył Lion, który najwyraźniej doszedł do siebie.

– Chciałbyś. Na szczęście zauważyłem, kto mnie atakuje i uderzyłem tak, żeby ogłuszyć, a nie zabić. Dlatego mnie zahaczyłeś. Głowa jeszcze boli?

– Trochę.

– Nic na to nie poradzę. Wypij lekarstwo i jesteś wolny.

Lion otworzył oczy, popatrzył na mnie przeprasząco. Natasza tylko westchnęła.

Za to Aleksander zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – skasował go Staś. – Opowiadajcie, co i jak. Kto i kiedy kazał nas zabić. I dlaczego go posłuchaliście?

– To Elly – powiedziała żałośnie Natasza. – Ona... – popatrzyła na mnie i spytała: – On naprawdę jest fagiem?

– Naprawdę – potwierdziłem.

– Elly jest z ruchu oporu – wyznała Natasza. – Powiedziała, że podziemie postanowiło zlikwidować oligarchę z Edenu, który chce przejść na stronę Szronu...

– Na Nowym Kuwejcie nie istnieje ruch oporu – przerwał jej Staś. – Jest tylko oddział partyzancki starego Siemieckiego... trzymany przez tutejsze władze wyłącznie dla celów propagandowych. Każda dywersja „Jaskrów”, każdy atak na magazyny, nawet wasze idiotyczne „Wiadomości ruchu oporu”, wszystko jest wykorzystywane w celach kontrapropagandy.

Natasza poczerwieniała i wykrzyknęła:

– To nieprawda! Staś westchnął:

– Prawda, dziecko. Nie oskarżam waszego przywódcy, samemu oddziałowi też nie mam nic do zarzucenia. Ale gdyby Szron uznał likwidację was za konieczną, nie przeżylibyście nawet doby.

– Elly mówiła...

– Od dawna znasz tę Elly?

– Nie – stropiła się jeszcze bardziej Natasza. – Ale ona przyszła od zaufanego człowieka... To dozorca przystani, pomaga nam od dawna.

– Albo prowokator, albo został zdemaskowany przez ministerstwo kultury zachowania. Wasza Elly to pracowniczka służb specjalnych Szronu.

– To tylko dziewczynka – wstawił się za Elly Lion.

– Podobnie jak Natasza – uśmiechnął się Staś. – Niedobrze, chłopcy. Rozumiecie, co się dzieje?

– Zdemaskowali cię, tak? – zapytałem. – Skoro kazali cię zlikwidować?

– Na to wygląda – skinął głową Staś. – Ale są pewne niuansy. Gdyby Szron rzeczywiście rozpoznał podmiannę, to albo zabiliby nas bez ceregieli, albo zaczęli podwójną grę. Wysyłanie was było głupotą... chyba, że...

– Sprawdzian? – zasugerował Aleksander. – Jeśli jesteśmy tymi, za kogo się podajemy...

– To już nie żyjemy, zabici przez trójkę dzieciaków – dokończył Staś. – Nie robiliby takich sprawdzianów, prawdziwy Berman jest dla Szronu zbyt cenny.

– Czyli wiedzą, kim jesteśmy – rzekł spokojnie Aleksander. – Przykre. Więc jednak wzięli próbkę genetyczną?

Staś pokręcił głową.

– Szron nie posiada zapisu genomu Bermanów. Zresztą, nie mieli powodów do robienia takich sprawdzianów, a standardową kontrolę tożsamości przeszliśmy bez problemu.

– Tylko zamiast córki Berman miał syna – nie wytrzymałem.

– Tego już nie sprawdzali – uśmiechnął się Staś. – Nie mieliśmy wyboru, wśród fagów nie ma kobiet. Poza tym, Aleksander musiał być przytomny w czasie hiperprzejścia, to było bardzo ważne dla naszej misji.

– To dlaczego tak spokojnie siedzimy? – zerwała się nagle Natasza. – Jeśli oni nas podejrzewają... albo już zdemaskowali... Musimy uciekać!

– Pośpiech wskazany jest tylko wtedy, gdy wiesz, co się dzieje – odparł spokojnie Staś. – A my ciągle błądzimy po omacku. Nie wiadomo, czy nas zdemaskowali, czy nie. Nie wiadomo, czego spodziewali się po was, nie wiadomo, czego oczekiwali po nas. W ogóle nic nie wiadomo...

Popatrzył na Aleksandra:

– No, stażysto... Proszę mi powiedzieć, na podstawie podręcznika i znanych precedensów, jak należy postępować w podobnej sytuacji?

– Kontynuować zadanie, nie wychodzić z odgrywanej roli – odpowiedział szybko Aleksander.

Staś skinął głową, ale Sasza jeszcze nie skończył:

– Gdyby prawdziwym Bermanom udało się jednak unieszkodliwić napastników, przesłuchaliby ich osobiście, najprawdopodobniej z zastosowaniem tortur i środków psychotropowych. Następnie albo zlikwidowaliby napastników, albo oddali ochronie i zażądali dokładnego śledztwa.

– Proponujesz tortury i likwidację? – zainteresował się Staś. Aleksander zerknął na mnie kątem oka i odpowiedział po chwili wahania:

– Niekoniecznie. Wystarczy zastosować preparaty memotropowe. Uzasadnienie – przesłuchanie. Skutki uboczne – amnezja wsteczna, obejmująca wydarzenia ostatnich dwóch tygodni.

Staś milczał.

– Nalegam na zastosowanie tego wariantu – kontynuował Aleksander, nakręcając się coraz bardziej. – Nasza misja jest zbyt ważna, żeby tak ryzykować. Poza tym, to całkiem humanitarna metoda.

– Ty draniu, już ja ci urządzę amnezję bez żadnych preparatów! – wrzasnął Lion, zrywając się z łóżka.

– Przymknij się! Przez was cała nasza operacja... – zaczął Aleksander, ale Lion już złapał poduszkę i rzucił się na niego. Można by pomyśleć, że ma zamiar urządzać dziecięcą wojnę na poduszki, ale on naprawdę był wściekły. Gdy Aleksander odbił lecącą w jego stronę poduszkę, Lion przysiadł, zrobił przewrót i kopnięciem przewrócił go razem z krzesłem. Sekundę później zaatakował znowu, chwycił poduszkę i przycisnął ją do twarzy faga.

Zerwałem się, nie wiedząc, co robić. Wtrącić się? Rozdzielić ich? Pomóc Lionowi?

Natasza piszczała. Wiadomo, dziewczyna.

A Staś niewzruszenie obserwował walkę. Jak on tak może!

Aleksander wywinął się, zrzucił Liona i spróbował go uderzyć, ale Lion przesunął głowę – i mały fag z całej siły walnął pięścią w podłogę. Pewnie zabolalo, ale fag nawet nie jęknął, tylko chwycił Liona za gardło. Skoncentrowany Lion w milczeniu uderzył go pięścią w twarz. Celował w nos, ale Aleksander też umiał robić uniki i trafił pod oko.

– Przestańcie... – powiedział Staś tym szczególnym tonem, którego czasem używają fagowie. Lion i Aleksander odskoczyli od siebie i wstali.

– To świr! – zawołał oburzony Aleksander. – Ja próbuję uratować mu życie, a on... I jeszcze ukradł mi koszulkę!

– Walka wręcz – ocena negatywna – oznajmił Staś, jakbyśmy siedzieli na zajęciach. – Walczyłeś ze wszystkich sił, a mimo to nie zdołałeś go unieszkodliwić. Niedobrze, Saszka. Bardzo niedobrze.

Aleksander spuścił głowę, burknął coś, ale nie sprzeczał się.

– Piękny siniak – kontynuował Staś. – Bardzo nie chciałem robić go sam, dobrze, że Lion nam pomógł. Siadać!

Usiedli nie tylko walczący, ale również ja i Nataszka.

– Kontynuuj, stażysto – rzekł Staś. – Co zrobiłby Berman, już wyjaśniłeś. A jak powinien postąpić fag?

– Tak samo jak Berman – mruknął z urazą Aleksander. Staś pokręcił głową.

– I ty byłeś najlepszy w grupie? Fagowie zaczynają się degenerować. Wcześniej niż myślałem. Sądziłem, że pociągniemy jeszcze ze trzy pokolenia... Nie możemy postąpić tak, jak Bermanowie. To tylko potwierdzi, że zamiast Bermanów na Nowy Kuwejt przybyli bezduszni profesjonaliści. Musimy działać tak, jak nie zadziałałoby ani Bermanowie, ani fagowie.

– To znaczy jak?

– Nielogiczne.



## Rozdział 3

Pachniało spalonym mięsem. Ohydny zapach i wcale nie przypominał przypalającego się jedzenia. Może dlatego, że razem z mięsem paliły się tkaniny syntetyczne.

W wielkiej sali jadalnej stał tak ogromny kominek, jakby przewidywano pieczenie w nim wołów. W kominku, w pomarańczowych płomykach palników gazowych, leżały trzy worki z mrożonym mięsem i ubraniami. Naszymi ubraniami. I teraz nie tylko Nataszka, ale również Lion i ja musieliśmy skorzystać z szafy Aleksandra – całe szczęście, że była tak bogata. Udało mi się uratować bicz – uparłem się i za żadne skarby nie pozwoliłem go wrzucić do ognia.

W kominku mieliśmy płonąć my.

Zarówno dla multimilionera Bermana, jak i dla faga udającego oligarchę, zabicie napastników oraz spalenie ich ciał byłoby rzeczą nie do pomyślenia, rodem z książki historycznej. Z kroniki kryminalnej zacofanej planety Nie wiem, po co właściwie staliśmy przed kominkiem. Bez nas też by się spaliło... Po co wdychać ten smród...

Ale staliśmy twardo.

Znowu zastukano do drzwi:

– Panie Berman? Jest pan absolutnie pewien, że wszystko w porządku? Staś mrugnął do mnie, podszedł do drzwi i odezwał się nieprzyjemnym, starym głosem oligarchy:

– Młody człowieku, czy nie rozumie pan lingwy? Medytuję!

Też mi wyjaśnienie! W takim smrodzie można medytować najwyżej w masce przeciwgazowej... Ale ochroniarz nie odważył się kłócić z szacownym gościem pani prezydent.

– Mało kości – powiedział zmartwiony Staś, wracając do nas. – I zbyt dobre mięso.

– I tak wszystko spali się na popiół – burknął Aleksander. Ciągle był obrażony – głównie na Liona i Stasia.

Staś wzruszył ramionami. Przekręcił dźwignię przy kominku – palniki zahuczały, płomień się zwiększył.

– Może dodać wapnia? – zaproponowała Natasza. – Kredy albo czegoś w tym stylu... Jeśli będą badać popiół...

– Będą – przyznał Staś. – Sasza, Lion! W lodówce jest biały ser. Przynieście. Weźcie też witaminy z apteczki.

Chłopaki wyszli, rzucając sobie spojrzenia spode łba, a Staś zaśmiał się cichutko.

– Patrzą na siebie jak dwa wilczki... Ale to nic, do wieczora się pogodzą.

– Tak pan myśli? – zainteresowała się Natasza.

– Najtrwalsza przyjaźń zazwyczaj zaczyna się od siniaków – powiedział w zadumie Staś. – Nie zdołamy zrekonstruować dokładnego składu ludzkiego popiołu, policz, domyśli się, co tu spalono. Ale to da nam trochę czasu.

– Dużo? – zapytałem.

– Nie. Ale nie potrzebujemy dużo. Wieczorem Bermanowie odlatują.

– A my? – spytałem czujnie.

– Wy też. Jako bagaż.

– Eden to ładna planeta?

– Tak. W tym wypadku nazwa jest adekwatna... Ale co tu ma do rzeczy Eden? – spostrzegł się Staś. – Nie lecimy na Eden, Tikkireyu. Lecimy na Szron.

– Ojej – szepnęła Natasza.

– Nie wpuszczą nas ani na Eden, ani na żadną inną planetę Imperium – wyjaśnił Staś. – Ale na Szron... Dlaczego nie. Przez czas naszego lotu, służby specjalne będą próbowały ustalić, co się właściwie stało. A zanim wyjaśnią... – fag uśmiechnął się.

Wrócił Lion i Aleksander. Wrzucili do kominka opakowania dietetycznego białego sera, tabletki i mrożonego kurczaka. Staś pokręcił głową, ale nie protestował.

– Gdy wszystko się wali, można pozwolić sobie na głupstwa – powiedział. – Dobrze, chłopcy. Idźcie, wystarczy tego wdychania czadu. Ja poczekam tu, aż się dopali.

– Wy śmierdzielibyscie bardziej – zauważył złośliwie Aleksander. Widocznie przegrana walka z Lionem zadrasnęła jego ambicję.

– Dlaczego jesteś taki zły? – spytała nagle Natasza. – Przecież jesteś fagiem.

Aleksander stropił się.

Zamiast niego odpowiedział Staś:

– Właśnie dlatego jest zły. Idźcie już, dzieciaki.

Pół godziny później – Staś nadal był w jadalni, czekając aż spalą się nasze „ciała” – dało się już normalnie pogadać z Saszka. Albo się uspokoił i wyluzował, albo zaczął trzymać nerwy na wodzy. W każdym razie, siedział teraz w fotelu i perorował:

– To normalna procedura, nic nadzwyczajnego. Gdy zasadniczy kurs dobiega końca, wysyła się stażystę na prawdziwą okcję. Oczywiście, starają się wybrać coś prostego i w miarę bezpiecznego, ale akurat tak się złożyło, że do wykonania misji potrzebny był chłopiec, to znaczy dziewczynka, ale skąd wziąć wyszkoloną dziewczynkę? Przeszedłem przyspieszony kurs maskowania i spędziłem trzy dni w przytułku dla dziewczynek Świętej Urszuli. I w porządku, nikt nie zaczął nic podejrzewać. Polecieliśmy na Eden, przez tydzień mieszkaliśmy z Bermanami w ich willi. Początkowo byli bardzo nieuprzejmi, szczególnie Aleksandra. Ale w końcu zaczęli pomagać.

– To „w porządku” jest od Aleksandry? – zapytał drwiąco Lion.

– Naturalnie. Fagowie nie używają słów-pasożytów. Takie wtręty demaskują człowieka.

Lion pokręcił głową, tym razem z podziwem.

– Saszka, a czy mogłabym... – Natasza, która od dawna kręciła się przy toalecie, wskazała wzrokiem pudełeczka z kremem.

– No jasne – skinął głową Sasza. – Mam tego badziewia na kilogramy... Cały wieczór uczyłem się, gdzie, co i jak wcierać. Wypróbuj ten peeling. Są w nim tarte perły i ekstrakt z lotosu.

– To ma jakieś szczególne właściwości? – zdumiała się Natasza.

– Pewnie, że nie. Co za różnica, czy użyjesz skorupki orzechów, czy startych pereł. Za to tubka kosztuje czterysta dolarów.

Natasza pisnęła i natychmiast zaczęła nacierać twarz. Sasza odwrócił się do nas.

– Z Edenu wylecieliśmy w tajemnicy. Prawdziwi Bermanowie planowali zostawić w willi sobowtórów... bo właśnie pod postacią sobowtórów do nich przybyliśmy, ale zrobiliśmy na odwrót. My poleciliśmy w tajemnicy na Nowy Kuwejt, a oni zostali w willi, żeby udawać samych siebie. Są takimi dziwakami, że odizolowanie się we własnej rezydencji nikogo nie zdziwiło.

– A co mieliście robić na Nowym Kuwejcie?

– Na pewno nie mieliśmy zamiaru was ratować... Nie wiem, operacją kieruje Staś. Zresztą, nawet gdybym wiedział i tak bym wam nie powiedział.

– Pewnie chcieliście spotkać się z panią prezydent i zabić ją? – podsunął Lion. – Ale...

– Ale wszyscy mówią, że nie można jej zabić – dokończył Saszka. – Otóż to. Nie zaszkodziłoby zorientować się wreszcie, o co tu chodzi.

– I udało się?

– Nic z tego nie wyszło. Pani prezydent nie spotkała się z nami, wykpiła się doradcami. Ale żeby robić cyrk na placu, to ma czas... – powiedział Saszka ze złością. On też wiedział o znęcaniu się nad Tieniem i nie miał zamiaru wybaczyć tego Innie Snów.

Pomyślałem, że w rzeczywistości Sasza nie jest taki zły. Złośliwy, twardy, zawzięty – owszem, ale jaki ma być, skoro od dziecka go musztrują, uczą zabijania i udawania. Przecież Saszka nie znalazł nawet swoich rodziców. Zajmowali się nim wychowawcy i nauczyciele. A do trzech lat niańki, jedyne osoby, które mogą traktować małych fagów z czułością. A potem koniec. Można chwalić, można zachęcać, ale nie wolno głaskać, czy przytulać.

Dlaczego zawsze jest tak, że walczący ze złem bojownicy mają takie ciężkie życie? Oczywiście, nie mówię o zwykłych policjantach, pilnujących porządku w miastach, lecz o supermanach w rodzaju fagów czy imperatorskich gwardzistów, od najwcześniejszego dzieciństwa wychowywanych w szczególny sposób.

Kiedyś Staś powiedział zdanie, które mnie rozbawiło, a którego tak naprawdę wtedy nie rozumiałem: „Do walki ze strasznym złem potrzebne jest straszne dobro”.

Teraz, patrząc na Saszkę zrozumiałem, co miał myśli. Poza tym wiedziałem, że Staś nigdy nie poklepie go po głowie i nie trzepnie po przyjacielsku w kark. Chyba że w trakcie wykonywania zadania, udając troskliwego ojca. Ale udawanie to zupełnie co innego. Zresztą, Saszka wcale nie liczy, że ktoś go będzie przytulał, czy mówił coś miłego.

Jest żołnierzem.

Małym „strasznym dobrem”.

I chociaż ja dorastałem na biednej planecie, chociaż nie wiem i nie umiem nawet jednej dziesiątej tego, czego nauczono Saszkę, chociaż on jest bohaterem, a ja płaczącym się pod nogami bohaterów chłopcem – szkoda mi go. Bo jest bardziej nieszczęśliwy niż ja.

Jakie to szczęście, że nie jestem fagiem!

– Wiecie, jak zaczęła się kariera Inny Snów? – zapytał Saszka. – Nie? Przetrzęsaliśmy wszystkie archiwa i wreszcie dowiedzieliśmy się. Ukończyła studia, specjalność: socjologia. Pracowała jako socjolog, psycholog, zrobiła magisterium. Potem na Szronie zaczął się kryzys ekonomiczny, Inna nie mogła znaleźć pracy w swoim zawodzie i zaczęła pracować w telewizji jako prezenterka w wieczornym wydaniu wiadomości. Jest naprawdę sympatyczna...

– Więc ma normalną twarz? – zapytał Lion. – Bo przez cały czas ukrywa się pod woalką...

– Jest piękna... – powiedział szczerze Saszka. – To była bardzo popularna prezenterka. Ale siedem lat temu przestała się pokazywać i zaczęła pracować w dziale marketingu, badać, jakie programy podobają się ludziom najbardziej, udzielać rad, dawać zalecenia. Jakiś czas potem wyprodukowane na Szronie programy zaczęły zdobywać niesamowitą popularność. Filmy dla dzieci w rodzaju „Bastionu Imperium”, seriale dla gospodyń domowych, widowiska dla mężczyzn,

programy popularnonaukowe... Na przykład, jak przygotować obiad w dziesięć minut.

Przypomniałem sobie, że oglądałem czasem „Ale pycha!” – program, w którym młodzi artyści szykowali różne smaczne potrawy, jednocześnie grając na harmonijce ustnej czy gitarze, zonglując albo robiąc inne zabawne rzeczy. Programy ze Szronu docierały również na Kopalnię...

– Ona musi mieć talent – mówił dalej Saszka. Nie wiem, czy powtarzał nam słowa Stasia, czy były to jego własne przemyślenia. – Zdołała przewidzieć, co się ludziom spodoba, a co nie. Specjaliści zajmowali się tym od dawna, ale okazało się, że Inna jest bezkonkurencyjna. Ale jak wpadła na pomysł kodowania ludzi za pomocą programów telewizyjnych – na razie nie wiadomo. Być może ktoś jej pomagał – przecież umiała doskonale wpływać na ludzi, sprawiać, żeby jej pomagali – i to bez żadnego kodowania. A już z kodowaniem... Jej pierwszy spektakularny sukces, to wybory prezydenckie na Szronie. Zaczęła występować jako polityk, pojawiła się kilka razy na ekranie i od razu wszyscy ją pokochali. Prezydent złożył rezygnację i wyznaczył przedterminowe wybory – wyobrażacie sobie? Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, o co chodzi, a Inna po prostu zastartowała program na swojej ojczystej planecie. I dalej już poszło...

– Powiedz, Saszka, doszłście do tego, jak właściwie działają te programy? – zapytałem.

– Tak, dzięki niemu – ruchem głowy wskazał Liona, który aż poczerwieniał z zadowolenia. – Mózg człowieka zaczyna działać jak komputer. Ten efekt wykorzystuje się w strumieniach obliczeniowych, tylko tam mózg oblicza pięciowymiarową nawigację, a tu buduje wirtualny świat, w którym człowiek zaczyna żyć. Wszyscy ludzie, u których program zadziałał, niczego nie zauważyli. Obudzili, zaczęli normalnie żyć, tylko ich prezydentem została Inna Snów, a Imperator nagle zaczął wszystkich gnębić i uciskać. W ciągu jednej nocy przeżyli podświadomie całe swoje życie, które przekonało ich, że Snów jest najlepszym władcą...

– Wszyscy mieli jednakowe sny?

– Skądże. Sny akademika, gospodyni domowej i trzyletniego dziecka nie mogą być jednakowe. Każdy miał swój sen. Ci, którzy marzyli o przygodach, walczyli. Ci, którzy marzyli o bogactwie i mieszkaniu w luksusowym apartamencie – wzbogacili się i mieszkali. Ci, którzy marzyli o miłości – pokochali... Ale zawsze była dobra Inna Snów i zły Imperator.

– A potem sen się skończył – powiedziałem, kątem oka zerkając na Nataszke. Dziewczyna bez reszty zatonała w kremach, perfumach, talkach i pudrach. Jak się bez tego wszystkiego obywatela w lesie?

– Sen się skończył i został zapomniany – przytaknął Saszka. – Takie było założenie. Ale w czasie snu ludziom zmienił się charakter. Najślabiej podziałało to na starych ludzi. W ich prawdziwym życiu wydarzyło się zbyt wiele, by teraz, na stare lata, nagle zmieniali przekonania. Niektórzy nie wytrzymują, wariują albo wpadają w katatonię. Za to młodzież, a szczególnie dzieci, których charakter jeszcze się nie uformował, stali się tacy, jakimi chciała ich widzieć Federacja Szronu, czy raczej – Inna Snów.

– Wychodzi na to, że to ona jest wszystkiemu winna? – zapytał Lion, uważnie słuchając Saszki. Mały fąg kiwnął głową:

– Tak jest. Rzadko się zdarza, żeby jeden człowiek mógł wyrządzić tyle zła. Mamy wirtualne symulatory historii, są dość pewne... Zazwyczaj usunięcie jakiegoś wielkiego dyktatora czy uczonego niewiele zmienia. Na przykład, druga wojna światowa trwałaby kilka dni krócej... albo zamiast Niemiec wojnę wywołałby inny kraj... Albo Napoleon wygrałby pod Waterloo, za to starciłby niemal całą armię i jesienią zostanie obalony. Ale gdy próbowaliśmy usunąć Inne Snów –

zmieniało się wszystko. Szron stawał się zwyczajną, pokojową planetą. Żadnych buntów, żadnego programowania psychiki.

Zamilkł i przyznał niechętnie:

– Ale faktycznie wygląda na to, że tej Snów nie można zabić.

– Jak to możliwe? – zapytałem – Chyba się sklonowała i przekazała klonom swoją pamięć. Zabijasz jedną Inne Snów i natychmiast pojawia się druga, dokładnie taka sama. To jeszcze nie jest nieśmiertelność, za to nie ma zmiany u sterów władzy.

– Słyszałem, że dziadek naszego Imperatora też był klonem – Lion popatrzył wyzywająco na Saszkę. – Krążyły takie plotki.

– Był – przyznał fag po chwili wahania. – Opowiadano nam o tym. Ale to co innego, poprzedni Imperator po prostu nie mógł mieć dzieci... Dlatego stworzył kлона i uczynił z niego swego następcę.

– To dlaczego miałby być lepszy od Snów? – nie dawał za wygraną Lion.

– Bo on nie zgrywał swojej pamięci! – oburzył się Saszka. – Jego klon prowadził zupełnie inną politykę, za jego panowania zawarliśmy pokój z Czygu i w ogóle... Co wy, historii nie znacie?

Historię faktycznie znaliśmy słabo i nie spieraliśmy się dłużej. Ale Saszka przekonywał nas dalej:

– Osobista nieśmiertelność jednostki nie istnieje. W tym celu należałoby nieustannie transmitować świadomość klonowi, przy czym klon nie mógłby samodzielnie myśleć, musiałby być stale w pogotowiu... To tak, jak z kopiowaniem danych w komputerze. Na razie nie ma takiej technologii i raczej się nie pojawi...

W tym momencie wszedł Staś – którego traktowałem jak Stasia, mimo obcego głosu, nieznaną twarzą i potężnego brzucha – i włączył się do rozmowy:

– To nie do końca tak, stażysto. Podobna technologia istnieje w teorii, ale w praktyce potrzebna byłaby rewolucja techniczna.

– Wszystko się spaliło? – zmienił temat Saszka.

– Do cna. Jesteście gotowi?

Nataszka zaczęła ścierać z nosa resztki kremu.

– Spokojnie, bez paniki – powstrzymał ją Staś. – Zaraz zrobię ci zastrzyki przygotowujące do anabiozy. Mamy niewiele czasu, mieszanka będzie skoncentrowana, postaraj się wytrzymać. Ale najpierw idź do toalety. .. Zresztą, to dotyczy wszystkich. Saszka, zajrzyj do apteczki, tam powinny być duże pampersy.

– Że co? – Lion popatrzył na niego zszokowany.

– Spędzicie niemal dwanaście godzin bez ruchu. Nawet w najdroższych walizkach nie przewidziano toalety.

Saszka uśmiechnął się i zaczął grzebać w szafce. Nataszka spiekła raka.

Dopiero później zrozumiałem, że Staś nie miał złudzeń, co do inteligencji śledczych. Kominek pełen popiołu i dziwne zachowanie oligarchy mogło zaskoczyć kontrwywiad Szronu, ale nie oszukać go. Staś liczył tylko na to, że Elly rzeczywiście była łącznikiem podziemia, które dowiedziało się o wizycie Bermiana i postanowiło go zlikwidować.

Ale my ufaliśmy Stasiowi bezgranicznie. Skoro on coś wymyślił, na pewno się to uda. Przecież już raz wyciągnął nas z Nowego Kuwejt!

Nawet Natasza zaraziła się tą wiarą.

Nie wiedziałem tylko, czy Saszka wierzył w powodzenie tej akcji. Przecież był fagiem i umiał ukrywać swoje uczucia.

Nie denerwowałem się, że Staś pakuje nas do walizek. Nie bałem się. Czulem tylko rozdrażnienie.

Nataszka urządziła się najbardziej komfortowo. Staś umieścił ją w wygodnej kapsule anabiotycznej, przeznaczonej dla Saszki, z jednostronnie przezroczystym okienkiem nad głową. W sukience pożyczonej od małego faga wyglądała bardzo ładnie. Saszka nawet zaczął jej wyjaśniać, jak włączyć w kapsule muzykę, ale Staś surowo pokręcił głową i zabronił uruchamiać odtwarzacz.

Lion miał mniej szczęścia. Wsadzono go do wielkiej torby, w której musiał siedzieć w kucki. Żeby nie obijał się o ścianki i żeby tragarze nie zaczęli czegoś podejrzewać, Staś obłożył go ubraniami. Wąskie dzinsy, które Saszka z uśmiechem wręczył mu, oczywiście nie weszły na pieluchę i Lion został w swetrze i pampersie, dzinsy podłożył pod siebie.

Mnie przypadło najbardziej niewygodne miejsce – w kwadratowej walizce, przypominającej starodawny kufer. Nie mogłem się w kucki – kufer był zbyt niski, ani się położyć – był za krótki. Leżałem więc zgięty w pół na boku, na dnie kufru.

– Wytrzymasz? – zapytał z niepokojem Staś.

– Jasne. Będę twardy.

Staś pokręcił głową i zaczął układać na mnie ubrania.

Jedno mnie tylko cieszyło – że na wierzch idiotycznej pieluchy udało mi się włożyć szerokie szorty. Gdyby nas mimo wszystko znaleźli, głupio byłoby wyjść z walizki w pampersie jak niemowlak...

Wiem, że to idiotyczne. Jeśli nas znajdą, wstydliva pielucha będzie najmniejszym problemem.

Nad moją głową pstryknęły zamki i zapadła ciemność – tylko przez małe dziurki przenikały promienie światła.

– Posłuchajcie mnie teraz uważnie – usłyszałem głos Stasia. – Zaraz wezwiemy służbę, załadują walizki i wyślą na kosmodrom. Siedzicie cicho. Nie ruszajcie się. Oddychajcie równomiernie i spokojnie. Nie odzywajcie się. Nawet jeśli będzie wam się wydawało, że odkryto waszą obecność, nic nie róbcie. Bez względu na wszystko – nie róbcie nic i zdajcie się na mnie!

Zamilkł i dodał po chwili:

– Za sześć godzin, gdy bagaże zostaną dostarczone do kajuty, będziecie mogli na chwilę wyjść. Najprawdopodobniej przed startem z planety. Być może my, jako szczególnie ważni pasażerowie, zostaniemy zaproszeni do salonu kapitańskiego – wy macie cierpieć w milczeniu. Przeciężenia będą symboliczne, to współczesny jacht turystyczny z grawikompensatorami... Pomiędzy wyjściem na orbitę i skokiem w hiperkanał upłynie nie więcej niż godzina... Zdążymy ostatecznie przygotować Nataszę do anabiozy.

Drgnąłem, uświadamiając sobie, że być może zostaniemy w walizkach nawet w czasie skoku. A Natasza umrze, jeśli nie znajdzie się jej w stanie anabiozy.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzył Staś. – Zaufajcie nam.

Zapadła cisza. Staś i Saszka gdzieś poszli, a ja leżałem skulony i zastanawiałem się, czy mógłbym pogadać z Lionem skoro „jego” torba stała tuż obok. Ale pomyślałem, że nie warto łamać zakazów Stasia i dobrze zrobiłem – ktoś wszedł do pomieszczenia, a ja zorientowałem się dopiero, gdy usłyszałem głosy:

– O rany, ile tego jest... Mamy to tachać we dwóch?

– Taka praca. Bierzmy się...

Od razu pomyślałem, że pierwszy z mówiących jest normalny, a drugi zaprogramowany. Podeszli, podnieśli kufer (normalny zaklął pod nosem) i zaczęli nieść.

Najpierw huštało tak, że zrobiło mi się niedobrze, a potem tragarze niedbale grzmotnęli kufrem o podłogę. W dodatku znowu zachciało mi się do toalety, a przecież byłem dwadzieścia minut temu! Co za pech! Postanowiłem wytrzymać i uważnie słuchać.

Wokół było coraz większe zamieszanie. Albo przed odjazdem Bermanów przybyła dodatkowa służba, albo to nieliczni ochroniarze dwoili się i troili, w każdym razie ktoś przez cały czas kręcił się przy bagażach. Dwa głosy komentowały kaprysy „starego pierdziela”, który w dekoracyjnym kominku spalił kupę jakiegoś chlamu.

– A smród był taki, jakby palił trupy – oburzał się ktoś. – I jeszcze nie można takiemu słowa powiedzieć.

– Jak tylko wyjedzie, od razu spisujemy raport – poznałem głos kobiety, która groziła, że napisze raport o zakłóceniach sygnalizacji. Głos miała bardzo nieszczęśliwy, jakby podejrzewała, co właściwie palił tu Berman, ale nie mogła o tym powiedzieć. – Kominka na razie nie sprzątajcie, niech zbadają popiół...

Kim ona w końcu była? Agentem kontrwywiadu czy działaczką podziemia? Jeśli działaczką, to pewnie myśli, że jej towarzysze zginęli i zostali spaleni...

Przyniesiono resztę bagażu – torby z rzeczami oraz te z Nataszą i Lionem. Pojawił się Saszka. O rany, ale miał niesympatyczny głos jako dziewczyna! Saszka od razu zaczął rozstawiać wszystkich po kątach, żądał otworzenia jakiejś walizki, z jakąś torbą kazał obchodzić się ostrożnie... Kwadrans później, gdy bagaże zanesiono do samochodu, byłem szczęśliwy, że nie słyszę już jego głosu.

Tylko coraz bardziej chciało mi się do toalety...

Wreszcie samochód ruszył, przez jakiś czas jadąc powoli i skręcając, aż wreszcie wyjechał na trasę. Walizki trochę się kołysały, ale na szczęście droga była bardzo porządna. Próbowałem poruszyć nogami i rękami, żeby mi nie zdrętwiały, ale okazało się, że ledwie mogę się ruszyć. Jak ja będę wyglądał po sześciu godzinach? Wyciągną mnie zgiętego w kabłąk, będą rozcierać i masować...

Kwestia skorzystania z toalety stawiała się paląca.

Próbowałem myśleć o różnych rzeczach – o statkach kosmicznych, które teraz ściągają do Federacji Szronu ze wszystkich krańców galaktyki, o dzielnych komandosach, szykujących się do uwolnienia planety, o Imperatorze, Innie Snów, Stasiu, mojej planecie... Pewnie na Kopalni nikt nawet nie zwrócił uwagi na bunt Szronu...

Ale tak naprawdę myślałem tylko o jednym i w końcu nie wytrzymałem. Strasznie się wstydziłem, było mi trudno zmusić się do sikania w spodnie, ale nie miałem innego wyjścia.

Początkowo było mi wstyd, mokro i gorąco.

Potem wstyd, mokro i zimno.

Jak maluchy mogą nosić pieluchy? W dodatku jak narobią pod siebie, to jeszcze się uśmiechają od ucha do ucha!

Ciekawe, czy moi przyjaciele już skorzystali z pieluch? Pomyślałem, że pewnie tak jak mnie zachciało im się siusiu, gdy tylko okazało się, że nie można pójść do toalety. Wyobraziłem sobie odważną Nataszę w tej trudnej sytuacji. Jak ciężko było ją namówić do założenia pampersa! Staś

musiał jej opowiedzieć o kosmonautach-montażowcach, którzy zawsze zakładają pieluchy przed pracą na orbicie, nim Natasza zdecydowała się założyć pampersa „na wszelki wypadek”.

Postanowiłem, że nie będę się z niej śmiał i pytał, czy pampers się przydał. Nawet Liona nie zapytam, jeśli sam nie zacznie o tym mówić. A oni nie złączą, bo będzie im wstyd. Staś pewnie się domyśli, ale Staś i tak wszystko rozumie.

W końcu samochód stanął. Poczulem jak ktoś dźwignął i zaczął nieść „moją” walizkę. To już chyba nie byli ochroniarze, ale nie rozpoznałem głosów. Gdy usłyszałem, o czym mówią, ze strachu zaczęło mi walić serce.

– Na cło?

– A gdzie? Nie, poczekaj... To kategoria VIP, żadnych rewizji. Prosto do ładowni.

Walizkę postawiono na podłodze.

– To podjedź samochodem. Ciężkie toto jak diabli...

– Może przepuścimy przez skaner? – zaproponował ten, który wspomniał o kategorii VIP – Zobaczymy, co ci bogacze ze sobą wożą.

– A czego się spodziewasz? – zapytał drugi ironicznie. – Pięćdziesięciu kilogramów narkotyków? Poćwiartowanego ciała? Nielegalnego pasażera?

– Złota i brylantów? – zachichotał pierwszy tragarz. – Po prostu jestem ciekaw.

– Daj spokój – usłyszałem wreszcie po kilku sekundach, które wydały mi się wiecznością. – Nie widzisz, ile kosztuje ta walizka? Na pewno jest w niej detektor promieniowania. Jak się właściciel zorientuje, że przetrzepaliśmy mu bagaże... Praca ci niemiła?

– Wolalbym pracować w doku niż targać walizki warte dwa kafle kredytów – usłyszałem soczyste splunięcie. – Dobra, idę po samochód.

– Z tymi dwoma tysiącami to przesadziłeś – odpowiedział w zadumie tragarz. – Najwyżej półtora... albo i to nie...

Coś lekko stuknęło w walizkę i przejechało po ścianie kilka centymetrów od mojej twarzy. Pomyślałem, że pewnie ślina spadła na walizkę, a teraz ją wycierają – podeszwą buta.

Dobrze, że ludzie w rodzaju Bermana nie wiedzą, jak traktuje się ich rzeczy, jak przyrządza się te wszystkie wykwinne dania w drogich restauracjach. Na Kopalni jedna znajoma rodziców pracowała w najlepszym hotelu. Nie w tym na kosmodromie, lecz w tym, który stał na głównym placu, obok merostwa. Opowiadała, że gdy sprząta w apartamencie, w którym panuje straszny bałagan („nawet klozetu te łobuzy nie spluczą”), to czyści muszlę szczoteczką do zębów gościa. Później ją zwolniono, widocznie opowiadała o tej praktyce nie tylko moim rodzicom. Nie robiono z tego afery, dostała jedynie zakaz pracy w sektorze usług.

Wtedy nawet się za bardzo nie zdziwiłem, pomyślałem wręcz, że tak właśnie należy postępować ze wszystkimi brudasami.

Ale jednocześnie postanowiłem, że nocując w hotelu nie zostawię szczotki do zębów na widocznym miejscu.

Podjechał samochód, usłyszałem ciche mruczenie silników. Torby ustawiono na platformie, samochód ruszył. Gdzieś obok mnie byli moi przyjaciele, ale nie mogłem się do nich odezwać.

Samochód jechał bardzo długo. Kosmodrom w Agrabadzie jest dość spory... Przypomniałem sobie, jak po nim maszerowałem, gdy po raz pierwszy przyleciałem na Nowy Kuwejt. Jaki ja byłem głupi! Co to za pomysł, żeby pętać się po lądowisku, ryzykując trafienie pod promień lądującego



statku czy głupiego automatycznego transportowca...

Przypominałem sobie, jak odlatywaliśmy ze Stasiem... Nocą, z bezwolnym Lionem na rękach, gdy zaprogramowani mogli w każdej chwili odzyskać świadomość i zaatakować nas...

Ale wtedy wszystko poszło dobrze!

Teraz też wszystko będzie dobrze, mówiłem sobie, ale bałem się coraz bardziej, gdy samochód zatrzymał się i gdy długo nie wyjmowano bagaży z samochodu. Nataszce to dobrze w kapsule anabiotycznej, Lionowi pewnie też fajnie... Tylko ja już nie czułem nóg, a bok mi zdrętwiał. Tak strasznie chciałem się poruszyć i wygodniej usiąść. To tak, jak kiedy kiedy przez całą noc śpisz na jednym boku i rano budzisz się rozbity...

Ale leżałem bez słowa i bez ruchu. Znowu usłyszałem głosy.

– Jak ja to rozmieszczę na statku? Nie mogliście przyjechać jeszcze później? Czteryście kilogramów! To szybki jacht, a nie liniowiec!

– Panie cargo master, ale to VIP....

– Moim statkiem nie latają zwykli ludzie, panie kierowniku. Mam cztery kajuty, rozumie pan? Generał Heisenberg z rodziną został przeniesiony do sztabu głównego i wiezie ze sobą kolekcję starożytnych broni. Pięćset dwadzieścia kilogramów obciążenia! Akademik Korneulow ze swoimi próbkami geologicznymi... Słyszał pan, jak zareagował, gdy zaproponowałem, żeby zostawił je w ładowni? Panowie audytorzy z archiwami... żeby szlag trafił tych klonów...

– To nie klony, to bliźniacy.

– Co za różnica, do cholery! Klony czy bracia, wszystko jedno...

– Bardzo pana przepraszam! Ja też mam brata bliźniaka, panie cargo master.

Zapadła krótka cisza.

– Przepraszam. Nie chciałem pana urazić. Ale nie mogę umieścić w kajutach kolejnych siedmiuset kilogramów. To by oznaczało zakłócenie stabilności statku, nawigacja w hiperkanale stanie się niebezpieczna.

– To czteryście kilogramów...

– Tak? Pański mister Smith waży prawie półtora cetnara! Do tego dochodzi jego córeczka oraz ich rzeczy osobiste o wadze ponad stu kilogramów! I tak podczas startu będę musiał zagonić ich do salonu. Mam mały, szybki jacht, rozumie pan? Mielicie kiedyś nieszczęśliwe wypadki na kosmodromie?

– A co pan proponuje? – wściekł się z kolei kierownik zmiany. – Powiadomić ważnych pasażerów, o których uprzedzono mnie z kancelarii pani prezydent, że ich bagaż zostaje na planecie? Dobrze, niech pan podpisze odmowę. Ja umyвам ręce. Proszę podpisać!

To się dopiero nazywa siła wyższa! Komu by przyszło do głowy, że multimilionerowi odmówią przewozu ładunku? Wyobraziłem sobie, jak rzeczy stoją w przechowalni bagażu, jak Staś zabiera je stamtąd, jak musimy czekać na następny statek... Zrobiło mi się słabo na samą myś, że cała ta udręka okaże się daremna.

– Niechże się pan nie gorączkuje... – powiedział nieco spokojniej cargo master, który odpowiadał za ładunek na statku. – Co my tu mamy? Cztery miejsca?

– Tak.

– Dwie walizki, torba i kapsuła anabiotyczna... Cholerni psychopaci! W każdej kajucie jest kapsuła anabiotyczna klasy luks. To nie, ciągnie taki osobistą kapsułę przez pół galaktyki! Tak... w

drugiej komorze ładowni można umieścić trzysta kilo...

– Tu jest czterysta.

– Coś zostawimy. Poślecie wieczornym lotem, z odpowiednimi przeprosinami.

Kierownik zmiany zaśmiał się ironicznie:

– Tak? Potrafi pan sobie wyobrazić, jaki smród zrobi pasażer, który nie doliczy się jednej walizki?

– Proszę mi wierzyć, że potrafię. Zapali pan?

– Ee... tak. Dziękuję. To ziemskie?

– Tak. Prawdziwy tytoń potrafią wyhodować tylko na Ziemi.

– Nie powiedziałbym, żeby ten z Edenu był gorszy.

– Nie jest gorszy, jest zupełnie inny. Inne słońce, inna gleba, inna woda... To co, do ładowni z tym?

– O ile wiem, w czasie lotu nie ma dostępu do drugiej ładowni.

– Tak jest. Nic im się nie stanie, jakoś się przemęczą bez drugiego smokingu. Ładujemy lodówkę... Panienska Smith skorzysta łaskawie z pokładowej. I dorzucimy jeszcze torbę i walizkę, a to odeślecie wieczorem. Może nie zauważą?

Spociłem się jak mysz. I wcale nie dlatego, że walizką pozostawioną na Nowym Kuwejcie mogłem być ja.

Do ładowni nie ma dostępu podczas lotu! To znaczy, że Nataszka wejdzie w hiperkanał wprawdzie w kapsule anabiotycznej, ale nie w anabiozie. Jej komórki wyczują, że świat wokół zmienił się i umrą.

O Boże, co ja mam zrobić? Krzyżeć? Ale Staś powiedział, żeby się w żadnym wypadku nie odzywać!

A Nataszka pewnie nawet nie podejrzewa, jakie niebezpieczeństwo jej grozi! Komora anabiotyczna jest dźwiękoszczelna.

Co robić?

– Proszę mi powiedzieć, gdzie pan zdobył takie cygara? Ja sam nie jestem wielkim amatorem, ale mój teść...

– Kontrabanda oczywiście. Na Szronie-trzy zatrzymano sporą partię i dla personelu urządzono wyprzedaż po wartości sterującej.

– No proszę – w głosie kierownika zmiany dała się słyszeć zawiść. – U nas nie ma takich zwyczajów.

– Niech pan złoży skargę do związków zawodowych. Takie wyprzedaże są na Szronie normalną praktyką i poważnie podnoszą czujność personelu, he he.

Kierownik zmiany też się roześmiał i powiedział:

– Pewnie i tak wożą tacy, których się nie sprawdza.

– To się faktycznie zdarza. Wieźliśmy kiedyś posła Heraldyki, jest taka parszywa planetka... Poproszę panów do mnie! To, to i to do ładowni numer dwa. Mocować nie musicie, sam zajmę się ładunkiem. A to – i moja walizka zakołysałem się od lekkiego kopnięcia – do bagażowni, na przechowanie.

Tak strasznie chciałem zacząć krzyżeć! A tymczasem walizkę ze mną w środku spokojnie dokądś

niesiono, od czasu do czasu zahaczając o futryny drzwi, od czasu do czasu z przekleństwami stawiając na podłodze.

Nie odezwałem się. Staś kazał nam milczeć bez względu na wszystko. Więc tylko bezgłośnie płakałem, mimo że próbowałem być twardy jak dorosły mężczyzna. Jak rycerz Avalonu.

A potem znowu wysikałem się w pieluchę, bo nie mogłem już wytrzymać.

## Rozdział 4

Nie lubię czuć się bezsilny. Na przykład, gdy na przerwie właśnie ciebie złapie chłopak ze starszej klasy, którego maluchy z górnych pięter szkoły obrzuciły torebkami z wodą, gdy wsadzi ci głowę do urny walki pełnej wody i powie: „Nie za to, żeście mi zmoczyli koszulę, ale za to, że marnujecie wodę, cymbałki!” I spróbuj mu udowodnić – gdy masz usta pełne wody, a koleś jest dwa razy wyższy i silniejszy od ciebie – że wcale nie brałeś w tym udziału, tylko stałeś z boku i patrzyłeś... Albo, gdy jesteś tak chory, że nie masz siły wstać i kręci ci się w głowie, i taką gorączkę, że mama nie pozwala ci spojrzeć na termometr, tylko zmienia ci okłady, moczy je w wodzie z wódką i po cichu przekonuje ojca, żeby aktywował rację medyczną i wezwał pogotowie... A ojciec milczy, bo właśnie chcieli starać się o drugie dziecko, a gdy zmarnują usługę medyczną, to już nic z tego... I najstraszniejsza w tej bezsilności jest świadomość, że wszystkie twoje wysiłki są daremne i nic ci nie pomoże. Bo gdy powstrzymując płacz, będziesz tłumaczył dryblasowi, że wcale nie rzucałeś do niego pociskami wodnymi, tylko stałeś i patrzyłeś, on znowu wsadzi ci głowę do umywalki. Właśnie za to, że stałeś i patrzyłeś, że nie powstrzymałeś maluchów. Bo gdy przyjedzie pogotowie, gorączka właśnie spadnie i będziesz leżał osłabiony i zlany zimnym potem, a mama zacznie prosić lekarzy, żeby nie liczyli tego wezwania, bo „myśmy się przestraszyli, a chłopcu już chyba lepiej”, aż ojciec jej powie, żeby przestała się ponizać. I nawet, jeśli rodzice nie będą ci wyrzucać, że przeziębilesz się przez własną głupotę i kąpiel w zimnej wodzie, to i tak wiesz, że twoja wina brak rodzeństwa.

Teraz czułem się podobnie. Walizka, w której siedziałem, była niczym skrzynka Schrodingera. Dopóki nic się nie zrobi – nie wiadomo, jak właściwie należy postąpić. Może zacząć krzyczeć, żeby uratować Nataszkę? A może siedzieć cicho i czekać, aż Staś wszystko wyjaśni i załatwi?

Wystarczy, żebym krzyknął, a skrzynka Schrodingera stanie otworem i dowiem się, że zrobiłem nie to, co należało, wszystko zepsułem i wszystkich zawiodłem.

Jeśli nie krzyknę, znajdą mnie po jakimś czasie, otworzą walizkę i wtedy okaże się, że powinienem był krzyczeć. Uratowałbym Nataszkę, a Staś jakoś rozwiązałby wszystkie problemy...

Można też pomyśleć, że po prostu boję się wziąć na siebie odpowiedzialność i na coś zdecydować. Ale ja już dawno przekonałem się, że gdy człowiek jest absolutnie bezradny i naprawdę nie wie, co zrobić, najlepiej nie robić nic. Ale jeśli ma się choćby cień przekonania, że powinno się coś zrobić, trzeba działać.

Teraz nie miałem takiej pewności. W głowie dźwięczały mi słowa Stasia: „Nic nie róbcie! Poczekajcie na mnie!”

Skulony w walizce łykałem łzy. Czułem upokarzającą mokrą pieluchę i milczałem. Walizka od pół godziny gdzieś sobie stała. Wokół było cicho, jakby kompletnie o niej zapomniano. Gdy Staś obkładał mnie ubraniami, udało mi się tak położyć rękę, że zegarek znalazł się tuż przed moimi oczami i mogłem zobaczyć godzinę, poruszając się delikatnie i naciskając nosem guzik podświetlacza.

Jakiś czas potem usłyszałem szelest, stuk otwieranych i zamykanych drzwi, szurające kroki i cichy, mamroczący głos, jakby wchodzący mówił sam do siebie:

– O nie, moi państwo, tak robić nie będziemy... tak robić nie wolno... Jak tak można, wziąć i zostawić rzeczy na przechowanie bez opisu? A jak mi potem pan Smith powie, że miał w walizce kilkukilogramowy brylant, to co wtedy? A jeśli w tej walizce jest klatka z ulubionym chomiczkiem i zwierzątko zdechnie?

Głos był kobiecy, stary. Od razu wyobraziłem sobie stuletnią babuleńkę, która dorabia sobie do emerytury w bagażowni kosmodromu i omal się nie roześmiałem. Oto nietykalność bagażu w całej krasie! Cargo master nie odważył się i nie zajrzał, kierownik zmiany również, nawet bagażowi bali się skanować walizkę! A babcia przetrzepie ją bez skrępowań.

Ale się zdziwi, gdy zobaczy, jakiego chomiczka znalazła!

Mogłem tylko mieć nadzieję, że starowinka nie poradzi sobie z zamkami. W końcu był to skomplikowany zamek kodowy, do którego potrzebna jest specjalna karta-klucz. Liczyłem na to i jednocześnie po cichu pragnąłem, żeby babcia otworzyła walizkę. Zawsze to lepsze niż niepewność.

Staruszka zagrzecotała kluczami i usłyszałem pstryknięcie, jakby ktoś przycisnął metal do plastiku zamka. No tak, w przechowalni bagażu powinien być elektroniczny wytrych. Zapomniane walizki muszą zostać otwarte.

– Ale skomplikowany – powiedziała z wyrzutem staruszka. – Nawymyślali różności...

Minuta płynęła za minutą i pomyślałem, że bicz poradziłby sobie znacznie szybciej. Wystarczyło, że o tym pomyślałem, gdy bicz poruszył się, wysunął ze szlufek i ułożył wygodnie w rękawie. Uśmiechnąłem się krzywo. Nie będę przecież wojował ze staruszką! A może właśnie powinienem strzelić?

Nie zdążyłem dokończyć myśli, gdy nad moją głowę pstryknął zamek i przez ułożone na mnie ubrania przebiło się światło.

– Kto tak walizki pakuje! – oburzała się w przestrzeń babka. – O mój Boże...

Poczułem, jak przerzuca rzeczy i odwróciłem głowę. Dokładnie w tym samym momencie z mojej twarzy zdjęto koszulę i mogłem zobaczyć staruszkę.

Nie była taka stara, jak można by sądzić po głosie. Na głowie miała kraciastą chustę, na nosie staromodne okulary, ale nie przeciwsłoneczne, tylko z przezroczystymi szklami.

– Boże wielki – wyszeptała, chwytając się za gardło, jakby zatamowało jej oddech. – Panie na niebiosach...

„Nie ruszać się!” – krzyknąłem... To znaczy... chciałem krzyknąć, ale zabrzmiało to jak bardzo cichy, uprzejmy szept. „Proszę się nie ruszać...”

– Co? – spytała ciekawie staruszka.

– Proszę się nie ruszać – powtórzyłem głośniejszym głosem. Babka przeżegnała się i zaczęła lamentować:

– Kto cię tu wsadził, mały? Co za drań... Zaraz wezwę policję, lekarza...

– Nie trzeba! – krzyknąłem. – Proszę nikogo nie wzywać!

Gdyby babka była zaprogramowana, pewnie nawet nie usłyszałaby mojej prosimy. Ale musiała być normalna, bo przestała lamentować i ściągnęła brwi:

– A czy tym czasem nie sam?... Co?

– Sam – powiedziałem, chwytając się tej ostatniej deski ratunku. Zakręciłem się, próbując się wyprostować i wyjść z walizki, ale nie udało mi się. – Chciałem... chciałem polecieć na Szron.

– Kary na was nie ma! – Z tymi słowami staruszka chwyciła mnie za ramiona. Ręce miała nieoczekiwanie silne. Wyciągnęła mnie z walizki i wreszcie mogłem się rozejrzeć. Ale najpierw ruszałem się i rozciągałem. Nogi były jak z drewna, mięśnie brzucha złapał skurcz.

Walizka stała na długim, budzącym nieprzyjemne skojarzenia metalowym stole, zajmującym cały róg ogromnego pomieszczenia. Pozostałą przestrzeń zajmowały stelaże, zastawione walizkami,

torbami, pudłami, zawiniątkami, tobołkami, kontenerami, skrzynkami, rulonami i pojemnikami. Zobaczyłem dwa rowery sportowe (ze złożonymi do środka kierownicami i pedałami), dwumetrowy fragment kolumny marmurowej (owinięty taśmami amortyzującymi), dziecienny samochodzik (przy odrobinie wysiłku mógłbym się do niego zmieścić, zwłaszcza w moim obecnym, skurczonym stanie), łódkę (w środku były jakieś zawiniątka i wiosła), posąg przedstawiający nagiego chłopca z łukiem i strzałami (jakiś mitologiczny bożek, tylko zapomniałem jak się nazywa, pewnie patron myśliwych).

Czego tylko ludzie nie wożą ze sobą od planety do planety!

– Możesz wstać? – spytała surowo babka, biorąc się pod boki. Przyjrzałem się jej – rzeczywiście była stara, tylko krzepka, a dzinsowy kombinezon oraz buty na grubej podeszwie trochę ją odmładzały. Próbowałem zeskoczyć ze stołu i o mało co nie wyrząłem na podłogę. Stać mogłem tylko zgięty, niczym zgrzybiały staruszek, tknięty reumatyzmem. – Jak można się tak wygłupiać? – oburzała się dalej babka. – W ogóle rozumu nie masz? Przygód ci się zachciało? Trafilibyś do ładowni i co dalej? A jakby cię złapali? Myślisz, że skończyłoby się na upomnieniu? Wiesz, co teraz będzie z twoimi rodzicami?

– Nic nie będzie – wymruczałem. Znowu strasznie chciało mi się do toalety... Co się dziś ze mną dzieje? – Moi rodzice nie żyją.

Gniew staruszki od razu przemienił się w żal.

– Boże, uchowaj... Co ty wygadujesz, mały?

– Jest tu toaleta?

– Chodź...

Staruszka pomogła mi dojść do niepozornych drzwi. Zanim się za nimi skryłem, poprosiłem żalnie:

– Proszę nikomu nie mówić, że mnie pani znalazła! Proszę! Zaraz wszystko wyjaśnię!

Staruszka zawahała się, ale w końcu skinęła głową. Wskoczyłem do toalety.

Nareszcie mogłem się pozbyć tego koszmarnego pampersa! Nie pamiętam tego okresu, gdy nosiłem pieluchy jako dziecko, ale wtedy pewnie też marzyłem o tym, by się ich wreszcie pozbyć.

Gdy minutę później wyszedłem z toalety, staruszka już przysunęła do stołu dwa krzesła. Na jednym usiadła sama, drugie wskazała mnie.

– Nie powiadamiała pani nikogo? – spytałem na wszelki wypadek.

– Nie. Siadaj i mów. I zapamiętaj... Jak się nazywasz, mały?

– Tikkirey.

– I zapamiętaj, Tikkireyu – jeśli wyczuję kłamstwo, osobiście zaciągnę cię na policję!

Nie wątpiłem, że byłaby do tego zdolna... Skinąłem głową.

– Nie będę kłamał. Tylko to będzie strasznie zagmatwana opowieść.

– Mów, mów – przynagliła staruszka.

Usiadłem i zacząłem opowiadać. Najpierw szczerą prawdę – o rodzicach, o Kopalni, o tym, jak zaciągnąłem się na statek jako moduł, jak uciekłem z planety... Opowiadałem, słuchając lamentów staruszki i zastanawiając się, w którym momencie zacząć kłamać.

Mówić o tym, jak wylecieliśmy na Avalon? Wspomnieć o fagach? Nie, przecież nie mogę... ale, z drugiej strony, nie miałem najmniejszej ochoty kłamać...

W końcu zacząłem opowiadać naszą legendę. O tym, jak uciekliśmy z Lionem do lasu, jak wróciliśmy i rodzice Liona wysłali nas do college'u dla zdolnych dzieci, ale tam źle nas traktowali – śmiali się i obrażali, więc odeszliśmy i zaczęliśmy się uczyć w przytułku dla dzieci trudnych, ale tam też było nam źle i postanowiliśmy uciec z planety... Rzecz jasna na Szron, na najbardziej postępową planetę, ojczyznę naszej pani prezydent...

Tu się trochę zaplątałem, bo nie wiedziałem, czy mówić o Lionie, czy nie, a już co zrobić z Nataszką nie miałem bladego pojęcia. Z mojej opowieści wynikało, że we trójkę przeniknęliśmy na kosmodromu i znaleźliśmy pozostawione bez opieki bagaże. Ja wszedłem do walizki, a oni mnie w niej zamknęli. Czy moim przyjaciółom udało się gdzieś schować – tego już nie wiem.

Staruszka milczała. Pocierała ręką policzek, jakby próbowała wygładzić zmarszczki, a w końcu powiedziała:

– Słuchaj, co ci powiem, Tikkireyu. Mnie się zdaje, że na początku mówiłeś prawdę, a potem zacząłeś kłamać. Nie mówię, że wszystko było kłamstwem, ale połowa – na pewno.

– Dlaczego? – oburzyłem się i szybko poprawiłem: – Dlaczego pani tak myśli?

– Znam się na chłopcach. Wychowałam czterech synów, o wnukach i prawnukach nie wspomnę... Nie zdarza się tak, żeby dwunastoletni chłopcy uciekli do lasu i przez miesiąc bawili się tam w dzikusów...

– Mam prawie czternaście lat.

– Wszystko jedno. Kłamiesz, a w dodatku nieumiejętnie. Jakbyś nauczył się tej historyjki na pamięć.

Zimny pot płynął mi strużkami po plecach. Co ty, kobieto, robisz? Nie chcę do ciebie strzelać!

– Decyduj, Tikkireyu – kontynuowała staruszka. – Albo powiesz szczerze, kim jesteś i skąd wzięłeś się w walizce, albo wzywam policję. Wyrzuciłeś część rzeczy z walizki? Gdzie one są? A może jesteś małym złodziejaszkiem i nie na próżno trzymali cię w „Kielku”?

– Skąd pani wie, jak nazywał się ten przytułek? – wykrzyknąłem. – O tym nie mówiłem!

Staruszka pokręciła głową:

– Co mam nie wiedzieć, skoro jest jeden na całą planetę, mówią o nim w telewizji i piszą w gazetach?

Ale mnie już przeszła ochota na mówienie prawdy. Pokręciłem głową, wstałem, odsunąłem się o krok:

– Nic pani nie powiem!

– W takim razie wzywam policję – oznajmiła staruszka i wyjęła z kieszeni kombinezonu jednorazowy telefon komórkowy.

Nie zdążyłem nic pomyśleć, zapragnąłem tylko przeszkodzić jej – i bicz szarpnął się w rękawie, ale nie strzelił, tylko wysunął się ze świstem, niczym długa antena, przebijając na wylot zrobiony ze sprasowanego kartonu telefon.

– Proszę się nie ruszać, bo z panią będzie to samo – zagroziłem. Staruszka nie miała zamiaru się ruszać. Zdjęła okulary i zaczęła mrugać.

A potem drżącym głosem zapytała:

– Chłopcze... jesteś... jesteś jedi? Co miałem zrobić?

– Jestem fagiem. Jedi to postacie z mitologii średniowiecznej. Staruszka zajaśniała i rozluźniła się.

– Mój Boże... Doczekaliśmy się wreszcie... – wyszeptała.

– Jest pani za Imperatorem? – spytałem na wszelki wypadek.

– Służę Imperium! – zaraportowała groźnie staruszka. – Jestem do twojej dyspozycji, młody człowieku!

Przyjemnie było usłyszeć to „młody człowieku”, zwłaszcza, że wcześniej traktowała mnie jak małe dziecko.

– Nikt tu nie wejdzie? – zapytałem. – Mnie... nikt nie powinien mnie zobaczyć...

– Chodźmy! – staruszka zrobiła gwałtowny ruch, zastygła i spytała bojaźliwie: – Mogę się ruszyć?

– No jasne... Tak tylko powiedziałem, bałem się, że podniesie pani alarm... Pewnie nawet nie zdołałbym strzelić.

– Idziemy – staruszka zamknęła walizę i wprawnie umieściła ją na najbliższej półce. – Chodźmy, chodźmy...

Za stelażami, w głębi pomieszczenia były jeszcze jedne drzwi. A za nimi – mały pokój, wprowadzie bez okien, ale bardzo przytulny. Było tam wąskie łóżko, stół z terminalem komputerowym, makata na ścianie i dwa krzesła. Na stole obok staromodnej klawiatury stał pomarańczowy, plastikowy czajnik. Dotknąłem go – jeszcze ciepły... Obok filiżanka z resztką herbaty, talerzyk z ciastem...

– Napijesz się herbaty? – staruszka zajrzała mi w oczy. – Chcesz coś zjeść? A może chcesz odpocząć? Nie krępuj się, Tikkireyu. Nikt prócz mnie tu nie zachodzi, ja tu czasem nocuję i piję herbatę.

Oczywiście, że byłem zmęczony, ale nie mogło być mowy o śnie.

– Nie, dziękuję. Przepraszam, jak się pani nazywa?

– Ada. Właściwie Adelajda, ale nie lubię długich imion. Ada brzmi krócej. Możesz tak do mnie mówić, po co używać nazwisk...

Speszyłem się. Jakoś tak niezręcznie było mi zwracać się do tej starej kobiety po imieniu. Dostrzegła moje wahanie i uśmiechnęła się.

– Albo mów do mnie „babciu Ado”. Wnuki i prawnuki tak do mnie mówią, a ty akurat jesteś w wieku moich prawnuków.

Uśmiechnąłem się krzywo. Swoich babć i dziadków nie znałem. Rodzice taty zginęli w kopalni, albo umarli na jakąś chorobę, dokładnie nie wiedziałem. A rodzice mamy skorzystali z prawa do śmierci w tym roku, w którym się urodziłem. Czasem myślałem, że może zrobili to dla mnie, żeby oddać moim rodzicom resztę swoich opłat bytowych. Takie rzeczy się zdarzały, wielu moich kolegów z klasy tylko dzięki temu pojawiło się na świecie. Ale rodzice nie chcieli o tym mówić, a ja wolałem się nie dopytywać.

Nazywać staruszkę „babcią Adą” też nie było mi łatwo...

– Babciu Ado... muszę się pani poradzić...

Pokiwała głową i usiadła na łóżku. Ja przysiadłem na krześle, wziąłem głęboki oddech.

– Miała pani rację. Skłamałem. Nie tylko ja wszedłem do walizki. Moi przyjaciele też są w bagażach.

– Fagowie?

– Nie, nie są fagami... Lion i Natasza to zwykłe nastolatki. Zresztą, ja też nie jestem fagiem, tylko



zmobilizowanym pomocnikiem.

Babka Ada nie oburzała się moim kłamstwem i zachęcany mówiłem dalej:

– Prawdziwym fagiem jest nasz przyjaciel, który pomógł nam uciec z planety. Zrzucali nas na Nowy Kuwejt jako zwiad, ale zanim zdążyliśmy się czegokolwiek dowiedzieć, już nas zdemaskowano. Teraz próbujemy uciec...

– W walizkach? – staruszka klasnęła w ręce. – Dziewczynka też? To jak ona wejdzie w hiperkanał?

– O to właśnie chodzi! – wykrzyknąłem. – St... to znaczy, nasz przyjaciel, miał nas wyciągnąć z walizek w kajucie, wtedy umieścilibyśmy Nataszkę w komorze anabiotycznej. Ale ci kretyńscy tragarze nie znaleźli miejsca w kajutach i postanowili umieścić cały bagaż w ładowni. A tam nie ma przejścia z przedziałów pasażerskich. Jeśli nasz przyjaciel nie dowie się o tym w porę, Natasza zginie...

– A dla ciebie w ogóle nie starczyło miejsca? – sprecyzowała babka.

– I zostawili cię na następny rejs?

– Aha... Często się to zdarza?

– Czasami...

– Dobrze, że panią spotkałem – powiedziałem gorąco. – Sam już nie wiem, co mam robić. Boję się zdradzić faga, a muszę go jakoś ostrzec!

– Ja spróbuję – zaoferowała się staruszka. Oto prawdziwa śmiałość!

– Kim jest wasz przyjaciel?

Zawahałem się, ale babcia Ada i tak się domyśliła:

– Ten pan Smith, do którego należą walizki?

– Tak – wymamrotałem. – Tylko on nie nazywa się Smith. To zamaskowanie w zamaskowaniu, rozumie pani? Fag udaje pewnego człowieka, którego rząd Szronu nazywa fałszywym nazwiskiem, żeby nie ujawnić, kim on jest naprawdę. To wszystko strasznie zaplątane.

– Rozumiem – powiedziała poważnie staruszka. – Prawdziwa szpiegowska historia... Posiedź tu, Tikkireyu, a ja spróbuję się skontaktować z twoim panem Smithem. Co mam powiedzieć, żeby uwierzył, że jestem od ciebie?

Zastanowiłem się.

– Niech mu pani powie, że teraz już piję immunomodulator, zanim wyjdę na nową planetę... i nie boję się dżumy dymienicznej.

Babcia Ada uśmiechnęła się.

– Dobrze. Nie ruszaj się stąd, Tikkireyu! Tutaj nikt nie przyjdzie, zablokuję drzwi, ale do magazynu mogą zajrzeć... Chcesz pójść do toalety?

– Nie – zaczerwieniłem się.

– To poczekaj. Napij się herbaty, poczęstuj się ciastem... Domowej roboty, sama piekłam. Ech, fagowie, co wyście wymyślili? Wciągacie dzieci do swoich wojen, chowacie je do walizek, dajecie im broń... Nie po ludzku to... Nie po ludzku...

Wyszła, kręcąc głową. Zamek w drzwiach szczęknął krótko.

Zerwałem się z krzesła i zdenerwowany zacząłem biegać po pokoju.

Czy dobrze zrobiłem, wyznając jej wszystko? Przecież w ten sposób zdekonspirowałem Stasia! Ale jak inaczej mogłem uratować Nataszkę? Zresztą, co za różnica, kto się kryje pod nazwiskiem

Smith? I tak było jasne, kto pomógł nam wejść do walizek...

A jeśli staruszka jednak mnie zdradzi? Może powinienem uciec? Bicz otworzy zamek...

Ale dokąd uciec? Staruszka nie była zaprogramowana, ale większość mieszkańców Nowego Kuwejtu to wierni słudzy Inny Snów. Jeśli babcia Ada podniesie alarm i tak mnie złapią. Jeśli nikogo nie zaalarmuje – nie muszę uciekać.

Uświadomiłem sobie, że nic ode mnie nie zależy i roześmiałem się. Skąd fagom przyszło do głowy, że ja i Lion możemy się na coś przydać? Nie zdobyliśmy żadnych cennych informacji, zdradziliśmy się i jeszcze Staś przez nas ryzykuje...

Wróciłem do stołu, poruszyłem czajniczką – był prawie pełny. Oplukałem jedyną filiżankę w małej umywalce i nalałem sobie herbaty. Spróbowałem ciasta – faktycznie dobre...

Nie wychodziły mi z głowy ostatnie słowa babci Ady: „Fagowie, co wyście wymyślili?”

Fagowie nie są głupcami.

Wiele rzeczy można o nich powiedzieć – ale nie to, że są głupi.

Skoro wysłali mnie i Liona na Nowy Kuwejt, to znaczy, że tak było trzeba.

Tylko dlaczego? Ogarnęła mnie rozpacz. Próbowałem ją odpędzić, pomyśleć o czymś fajnym, ale w głowie tkwiła tylko jedna myśl.

Fagowie nie są głupcami. Wysłali nas po to, żeby odkrył nas kontrwywiad Szronu.

Dopiłem herbatę, nie czując smaku. Nalałem sobie znowu. Ile czasu można załatwiać jedną rzecz? Gdzie ta babka Ada? Miała tylko podejść do terminala służbowego, połączyć się ze startującym jachtem i poprosić o połączenie z panem Smithem...

Ale dlaczego fagowie mieliby nas podstawić? Z jakiego powodu? Korzyści żadnej, za to masa kłopotów – zorganizować desant, poświęcić cenne wyposażenie... Sama kapsuła lodowa kosztowała pewnie straszne pieniądze!

Nic nie rozumiem. Widocznie naprawdę jestem tylko głupim dzieciakiem. Dorośli ludzie – Imperium i Szron, fagowie i kontrwywiad – grają w swoje dorosłe gry. Zostałem do nich włączony, ponieważ Staś jest dobrym człowiekiem i pomógł mi wtedy na Nowym Kuwejcie. To wszystko.

Ale do razu usłyszałem w mojej głowie cienki, nieprzyjemny głos: „Taki jesteś pewien, że Staś jest dobry?”

Przecież to on mi wyjaśniał, że nasza cywilizacja jest bardzo pragmatyczna, mówił, że to niedobrze... Ale czy rzeczywiście tak myśli? Może miałem rację i z Nowego Kuwejtu zabrał mnie tylko po to, żeby mnie zbadać?

Proszę, ile może wynikać z kilku nieostroźnie wypowiedzianych słów! Zacząłem wątpić w swojego jedyne przyjaciela... jedyne dorosłego przyjaciela!

Ze złości trzasnąłem pięścią w stół i omal nie rozlałem herbaty. Żeby się uspokoić, włączyłem komputer i próbowałem wejść do sieci. Ale dostęp był tylko do lokalnej, portowej, i tylko do sortowania bagażu. Gier, prócz standardowego sapera i pasjansa, które nie wiedzieć czemu umieszczane są we wszystkich komputerach, też nie było. Wtedy zacząłem grzebać w wyszukiwarce, próbując odnaleźć bagaż pana Smitha, ale system był strasznie przeładowany i niezrozumiały. Gdy jakimś cudem udało mi się znaleźć listy załadowanego dzisiaj bagażu, szcęknął zamek w drzwiach. Zawstydziliśmy się swojego wścibstwa i wyłączyłem komputer.

Weszła babka Ada.

– Nie udało mi się z nim porozmawiać – powiedziała od progu. – Jacht jest w trybie

przedstartowym, nie ma żadnej łączności z pasażerami. Kazali spróbować za godzinę, jak statek wyjdzie na orbitę pośrednią.

– Za godzinę będzie już za późno! – wykrzyknąłem. – Rozumie pani? Za późno!

Pokręciła głową.

– Nie denerwuj się tak. Twój mister Smith to pewnie wielka szycha, co? Skoro rząd go tak ukrywa?

– Wielka – przyznałem.

– W takim razie niech zażąda lądowania. Powie, że ma atak wątroby i natychmiast potrzebuje lekarza... albo coś w tym stylu.

– I co, wylądują? – zdumiałem się.

– To przecież mały statek, takimi latają wyłącznie bogacze. Pewnie, że wyląduje. Kiedyś rejsowy pasażerski wylądował, bo zaczął umierać piesek żony senatora.

– Uratowali tego psa? – zapytałem, sam nie wiem po co.

– Nie, zdechł. Ale statek wylądował. Jadłeś coś?

– Tak, dziękuję.

Babcia Ada usiadła na łóżku, podparła ręką podbródek i popatrzyła na mnie ze smutkiem:

– Ech, ale się w porcie wyrabia... wszędzie wojskowi, i kadra, i rezerwiści. .. Niektórzy to jeszcze dzieciaki. Szykuje się wojna, wspomnisz moje słowa.

– Naprawdę? – zawołałem. – Naprawdę zacznie się wojna? Babka uśmiechnęła się gorzko.

– Zacznie? Wojna nigdy się nie kończy. Nie było Szronu – szarpali się z Obcymi. Zawarli pokój z Obcymi – planety zaczęły walczyć między sobą.

– Wojny nie było od dawna – próbowałem zaprotestować.

– Dużej, głośniejszej wojny z działaniami zakrojonymi na wielką skalę – owszem. Ale cicha wojna trwa bez przerwy. Żadna planeta nie zaatakowała innej oficjalnie, z użyciem floty, tu już nie wytrzymałby Imperator, urządzenie wojen międzyplanetarnych to jego święte prawo. Ale różne tam drobiazgi – proszę bardzo. Służby specjalne gryzą się ze sobą, magnaci intrygują, wojny handlowe, wojny psychologiczne, wojny bakteriologiczne... Słyszałeś o dżumie dymienicznej? To też pomysł ludzi. Na pewnej planecie wyhodowali szczepy zarazków i zastosowali przeciwko planecie, zbijającej ceny produktów spożywczych. Wirus miał jedynie wybić zwierzęta, ale zmutował się, i jak już załatwił owce i krowy, wziął się za ludzi. Czy twoim zdaniem to nie jest wojna?

– Niemożliwe! Dżuma dymieniczna to zmutowany wirus pryszczycy!

– Zgadza się, wnuczku, zgadza się. Ale nie zmutował się sam z siebie. Podnosili zaraźliwość, wirulencję, nakierowali na ludzi, jako przenoszących zarazę... no i doиграли się...

– Nie wiedziałem, że służby specjalne robią takie rzeczy – przyznałem się. – To przecież bardzo niebezpieczne.

Babka Ada skinęła głową:

– Wojna trwa bez ustanku. Napatrzyłam się tu na różne rzeczy – kosmodrom aż kipi od plotek i pogłosek. A fagowie... Nikt nie przeczy, że ratują ludzkość i chronią Imperium. Ale z drugiej strony, gotowi są nadszpeciwać każdemu bogaczowi...

Zamrugąłem oczami, nic nie rozumiejąc. Babka Ada popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Nie wiedziałeś o tym?

– O czym pani mówi?

– Przecież fagowie nie są na służbie Imperatora, prawda? Od początku postanowili, że będą służyć wyższym ideałom. Imperium i ludzkości, nie Imperatorowi i człowiekowi. To słuszna sprawa... Ale Imperium i ludzkość – w odróżnieniu od Imperatora i konkretnego człowieka – nie płacą.

– I co? – wyszeptałem.

– Trzeba z czegoś utrzymać flotę? Trzeba! A wychowywać młodych fagów? Leczyć rannych i chorych? Też trzeba. A wiesz, ilu jest wśród fagów zwykłych biurokratów? Księgowych, którzy liczą wydatki i podpisują protokoły? Ilu jest koordynatorów, planistów, audytorów, rzeczników prasowych, lekarzy, techników, masażystów, psychologów, łącznościowców, hydraulików? Fagowie to nie tylko grupa samotnych strzelców, to państwo w państwie, dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi! Kilkuset bojowników to tylko wierzchołek góry lodowej. A wszyscy muszą jeść i pić, muszą mieć piękny dom, muszą z czegoś utrzymać rodziny. Żeby nie daj Boże, nikt nie przekupił fąga! Jak myślisz, ile pieniędzy idzie na jeden tajny desant na wrogą planetę w kapsule ze stabilizowanego lodu? Za tę sumę można by zbudować porządną szkołę! A teraz pomyśl – skąd brać na to wszystko pieniądze? Jaki-taki dochód przynoszą fabryki i zakłady, część pieniędzy pochodzi od sponsorów lub z datków... Ale to wszystko kropla w morzu! A fagowie nie chcą być zależni od Imperatora! To byłoby wbrew ich zasadom, rodziłoby korupcję! To oznaczałoby zrośnięcie się z władzą i przekształcenie organizacji w aparat represyjny.

– I co się wtedy dzieje?

– Wtedy przylatuje do fagów ambasador jakiejś planety i mówi: bronicie ludzkości, jesteście rycerzami jedi... uratujcie naszą planetę przed fanatykami religijnymi, a my hojnie was wynagrodzimy... to znaczy – przekazemy pewną sumę na rzecz waszej organizacji... Przecież to dobry uczynek! No i wyrusza grupa fagów i zabija duchowego przywódcę buntowników.

Nie mogłem wykrztusić ani słowa. Chwytałem ustami powietrze, jakbym się dusił.

– Może być również na odwrót – ciągnęła bezlitośnie babka Ada. – Jako pierwszy przyleci poseł ekstremistów religijnych i powie: bronicie ludzkości, jesteście rycerzami jedi... uratujcie nasza pokojową sektę wyznawców boskiej istoty pozytronu, ochrońcie nas przed złą władzą świecką... hojnie was wynagrodzimy... to znaczy, przekazemy pewną sumę na rzecz waszej organizacji...

– A fagowie?

– Fagowie? Pomagają. Przecież ratowanie ludzkości to takie szlachetne zadanie... Tylko skąd brać wciąż nowe zagrożenia? Więc powolutku fagowie zajmują się nieco innymi sprawami... Wojna nie kończy się nigdy. Teraz jedynie stała się bardziej wyrazista, bardziej ją widać. Gdyby uczeni Imperatora pierwsi doszli do tego, jak programować ludziom mózg, jak myślisz, co by zrobili?

– Nie wierzę – powiedziałem. – Imperator nigdy by...

– Czego nigdy nie zrobiłby Imperator? Dlaczego nie miałby uczynić wszystkich ludzi lepszymi i uczciwszymi, skoro jest to możliwe? Sprawić, że wszyscy będą sobie pomagali, przestaną kraść i zabijać? Co w tym złego?

– W takim razie co jest złego w Innie Snów? – odpowiedziałem pytaniem.

Babka Ada westchnęła:

– Tego właśnie nie wiem, mały. Nie wiem, co jest w niej złego. Prócz Imperatora, który pozostaje w stanie nieczynnym.

– Ale jeśli Szron zacznie podbijać kolejne planety – powiedziałem – i zmuszać ludzi, żeby mu się

podporządkowali...

– Ludzkość i tak żyje pod jednym władcą – odparła babka Ada. – Przypomnij sobie średniowiecze, gdy społeczeństwo było podzielone, gdy wojna goniła wojnę...

– Nie chodzi o jedynowładztwo – zaprotestowałem. – Najważniejsze jest to, czy władca jest prawowity.

– Każdy władca na początku nie jest prawowity – wzruszyła ramionami staruszka. – Imperium utworzono z Federacji Kosmicznej, a Federacja była buntem przeciwko władzy Matriarchatu.

– Ale władca powinien zostać wybrany w uczciwy sposób – powiedziałem. – Ludzie powinni pragnąć zmiany.

– Tłum nigdy o niczym nie decydował sam – pokręciła głową babka Ada. – Tłum wybiera tę władzę, która najlepiej umie zamieszać ludziom w głowach.

– Dobrze, ale nawet, jeśli każda władza oszukuje i daje czcze obietnice, to żadna nie pozbawia ludzi możliwości samodzielnego myślenia.

– Większość ludzi nigdy nie korzystała z tego przywileju – prychnęła babka. – A ci, którzy umieją samodzielnie myśleć – to właśnie jest władza.

– Gdy trzeba było zmienić władzę – zmieniano ją – powiedziałem. – Wieczna władza to koniec ludzkości.

– Nie ma czegoś takiego jak wieczna władza – odparła babcia Ada. – Owszem, Federacja Szronu będzie rządzić długo, ale i ona będzie musiała kiedyś ustąpić – Prezydent Inna Snów nigdy nie odda władzy! – wykrzyknąłem. – Przecież się sklonowała, władza będzie przechodzić z klona na klona!

– Jej klony to odrębne osobowości – odparła staruszka. – Być może różnica między nimi nie jest duża, ale będzie rosnać – i wtedy ludzkość wybierze nową drogę.

– Czy to uczciwe, żeby jeden jedyny człowiek raz po raz przekazywał władzę samemu sobie? A przecież szansę – choćby tylko iluzoryczną – zostania nowym Imperatorem ma każdy obywatel!

– Każdy obywatel ma też szansę okazać się klonem pani prezydent – sparowała babcia Ada. – W całej galaktyce żyją mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczynki z jej materiałem genetycznym.

Miałem wrażenie, że wyrwałem się spod działania hipnotyzera:

– Jak to?

– Wcale nie chodzi o klony. Nie tylko klony, chociaż od tego wszystko się zaczęło. Dawno, dawno temu żył sobie człowiek, który postanowił zmienić świat. Uczynić go lepszym i czystszy. Sklonował siebie... nie w męskiej, lecz żeńskiej postaci. Orientujesz się trochę w genetyce, mały?

Skinałem głową. Wiedziałem, że mężczyźni mogą sklonować z siebie kobietę, wiedziałem też, że nie da się zrobić na odwrót. A wszystko z powodu chromosomu Y, którego kobiety nie posiadają.

– Stworzenie klona nie jest trudne – kontynuowała babcia Ada. – Wyhodowanie go do postaci dorosłego człowieka również. Znacznie trudniej przenieść swoją świadomość do cudzego mózgu i zachować zdrowy rozsądek. Ale temu mężczyźnie się udało. Może miał szczęście. A może człowiek, który decyduje się na coś takiego, od początku jest trochę stuknięty.

Uśmiechnęła się.

– On, jako pierwowzór – tak to się nazywa u genetyków – i jego żeński klon chcieli tylko jednego: uczynić ludzkość szczęśliwszą. Położyć kres wojnom, chorobom, biedzie i niesprawiedliwości. Chcieli ochronić ludzi przed Obcymi. Do tego wszystkiego potrzebna była władza... wyższa władza. Rozumiesz?

– Tak.

– Ale w tym punkcie ich drogi rozeszły się. Pierwowzór... mężczyzna... chciał rządzić po cichu i niezauważalnie. Wpływać na rozwój świata, nie obciążając się wyższą władzą. Imperator na ziemskim tronie wcale mu nie przeszkadzał. Zaś kobieta postanowiła zmienić ustrój polityczny ludzkości. Dlatego się rozstali. Zrozumieli, że w przeciwnym razie będą musieli walczyć o władzę między sobą. Pożegnali się, obiecując sobie, że zwyciężą. Mężczyzna kontynuował swoją cichą i niezauważalną pracę, prowadził badania ludzkiego genomu, chcąc zmienić świat od wewnątrz. Pragnął wypełnić starą powłokę Imperium nową ludzkością. Kobieta działała inaczej. To było dawno, ponad pół wieku temu. Ludzkość rozprzestrzeniała się po galaktyce. Potrzebni byli ludzie. I kobieta stała się dawcą...

Babcia Ada zawahała się.

– Rozumiem – przyszedłem jej z pomocą. – Uczyłem się genetyki. I wiem, że rodzice często kupują dzieci w sklepach. Przychodzą i wybierają przyszłe dziecko z kartoteki.

– Otóż to. Kobieta miała ponad dwa tysiące dzieci w całej galaktyce. W różnych okresach – ostatnie dosłownie dziesięć lat temu. I chociaż nie wolno tego robić, jej udało się prześledzić los każdego z klonów.

– Klonów?

– Tak. Dziewczynki były jej klonami – chłopcy klonami jej pierwowzoru. Oni dorastali i w pewnym momencie otrzymywali pamięć swojego poprzedniczka. Nie wszyscy, oczywiście... Tylko ci, którzy poczynili już pierwsze kroki w kierunku zdobycia władzy. Ci, którzy zgodzili się połączyć swoje świadomości, przyjął doświadczenie swojego pierwowzoru. Jedna z tych kobiet, Inna Snów, wpadła na to, jak oddziaływać na mózg poprzez gniazda. Jak wbrew woli człowieka zaprogramować mu właściwe zachowanie.

– Więc Inna Snów nie jest pierwowzorem – szepnąłem. – Jacy byliśmy głupi...

– Nie jest. Ona rzeczywiście rządzi, ale strategiczne decyzje klony podejmują razem. Jeśli Inna Snów zginie – jej miejsce zajmie jeden z klonów, w podobnym wieku, o zbliżonym temperamencie i adekwatnych zdolnościach. Czyli w istocie pani prezydent jest wieczna... prawie wieczna.

– Rozumiem teraz, dlaczego nosi woalkę – powiedziałem. – Gdyby pokazała swoją twarz, ludzie dowiedzieliby się, jak wielu ma sobowtórów!

– Zgadza się. Służby specjalne Imperatora natychmiast zajęłyby się klonami, żyjącymi na planetach podległych Imperium. Nie ma ich dużo, większość niczego nie podejrzewa, ale po co dawać wrogowi atuty do ręki?

– Inna Snów... – szepnąłem. – Inna Snów... Alla Neige? Babcia Ada uśmiechnęła się.

– Bystry chłopak. Imiona wszystkich klonów-dziewczynek utworzone są w oparciu o jedną zasadę – cztery litery, w środku dwie spółgłoski. Inna, Inga, Alla... Nazwisko jest w jakiś sposób związane ze śniegiem. Mrozów, Zimin, Śniegów, Zamieć, Wicher – we wszystkich językach świata.

– Elly... Elly jest jedną z ostatnich?

– Tak – skinęła babcia Ada. – Elly Cold.

– A jak się pani nazywa? – zapytałem. – Ada Śnieg?

– Śnieżyńska – odparła spokojnie babka Ada. – Gdy narodziłam się i uświadomiłam sobie siebie... Dziwne uczucie, znaleźć się nagle w obcym ciele... w kobiecym ciele... Na dworze sypał śnieg. Edward prowadził mnie pod rękę z laboratorium... Piliśmy wódkę w zamieci śnieżnej, mocną,

rosyjską wódkę, tańczyliśmy, wzięliśmy się za ręce i śmialiśmy się, myśląc swoim wariactwie.

– Wariactwie? – zapytałem. I wyobraziłem sobie, jak kobieta i mężczyzna, będąc jedną i tą samą osobą, tańczą na śniegu.

Koszmar.

– Jak inaczej można to nazwać? Oczywiście, że wariactwo. Nadałem sobie imię Ada, współbrzmiące z imieniem pierwowzoru. Nazwisko Garlicki postanowiłem zmienić. Ponieważ Ada Śnieg brzmiałoby zbyt agresywnie, postanowiłam zostać Śnieżyńska.

– Zabiję panią – wyciągnąłem rękę i poczułem, że bicz w rękawie od dawna jest gotów do ataku – Zabiję panią, Ado Śnieżyńska!

Staruszka uśmiechnęła się.

– Wolalam, jak mówiłeś do mnie „babciu Ado”.

– Obejdiesz się. Nie jesteś moją babcią – wyszeptalem.

– Oczywiście, że nie. Jestem twoim pierwowzorem, Tikkireyu Frost.

## Rozdział 5

Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego mam inne nazwisko niż rodzice. Nie zacząłem niczego podejrzewać nawet wtedy, gdy chodziliśmy z mamą do sklepu „Świat dziecka” i oglądaliśmy zdjęcia, wybierając dla mnie braciszka albo siostrzyczkę – na przyszłość, gdy rodzice będą mieli więcej pieniędzy. Wszystkie dzieci w kartotece miały już imiona i nazwiska, nadane im przez rodziców biologicznych. Nietrudno było się domyślić... a ja jednak się nie domyśliłem. Po prostu o tym nie myślałem. Może dlatego, że wszyscy moi koledzy w klasie też zostali kupieni przez rodziców w sklepie, na Kopalni lekarze nie zalecają poczynania dzieci w sposób naturalny.

W ogóle się nad tym nie zastanawiałem.

A teraz czułem, że nie mam najmniejszej ochoty być klonem Ady Śnieżyńskiej.

– Nieprawda – powiedziałem. – Pani kłamie.

– Nie kłamie, tylko ubarwiam. Faktycznie, nie jestem twoim pierwowzorem przyjacielu. Prawdopodobnie jesteśmy klonami-rodzeństwem – ponieważ jesteś jednym z klonów Edwarda Garlickiego, mojego pierwowzoru. Jednym z ostatnich klonów.

– Nieprawda – powiedziałem, a z oczu popłynęły mi łzy.

W końcu nie miałem rodzeństwa, rodziców nigdy nie było na to stać. A przecież już wybraliśmy dziewczynkę, kierując się komputerową rekonstrukcją charakteru i osobowości. Miała być wesołą wiercipiętą, rodzicom bardzo się podobała, mnie też. Wolałem siostrę niż brata.

A teraz okazuje się, że Ada Śnieżyńska i antypatyczna Elly to moje siostry. Anna z motelu również. Oraz dyrektorka college’u i pani prezydent Inna Snów.

Miałem też całą kupę braci.

– To prawda, Tikkireyu. I ty dobrze wiesz, że nie kłamie. Gdyby nie to, czy tak bym się z tobą cackała?

– Nie potrzebuję pani. – Cofałem się dopóty, dopóki nie oparłem się plecami o ścianę. Babka Ada siedziała, patrząc na mnie w milczeniu. – Nie pozwolę pani wejść do mojego mózgu!

– Nikt nie ma zamiaru robić tego na siłę – odparła babka Ada z rozdrażnieniem. – Wszyscy, którzy odmówili połączenia świadomości, żyją własnym życiem. Jedyne, czego chcemy od ciebie, to żebyś był z nami. – Po co? – W panice wyobraziłem sobie, że wsadzą mnie do jakiegoś aparatu w rodzaju butelki dla modułów sterujących i zmuszą, żebym dla nich pracował.

– Nasz mózg jest bardzo cennym narzędziem, nie możemy pozwolić, żeby dostał się w ręce przeciwnika – powiedziała poważnie babcia Ada. – Każdy z nas jest w jakiś sposób utalentowany. Jeśli z jakiegoś powodu nie chcesz być z nami – nie bądź przeciw nam. Usiądź, Tikkireyu – zakomenderowała babka Ada i wyczułem w jej głosie tę samą intonację, którą posługiwała się Inna Snów i fagowie. To się chyba nazywa mowa kategorierna... Człowiek najpierw wykonuje polecenie, a dopiero potem myśli...

Myślałem o tym, już siedząc na podłodze.

– Tikkireyu Frost, odnaleźliśmy cię zbyt późno – powiedziała babka Ada. – Dopiero po twojej ucieczce z Kopalni i przybyciu na Nowy Kuwejt. Postanowiliśmy nic nie robić, planeta i tak miała zostać przyłączona. Ale ty zniknąłeś – fagowie jednak zorientowali się, kim jesteś.

– Staś o tym nie wiedział!

– Nie wiedział? Sądzisz, że przypadkiem znaleźliście się w jednym motelu? Że pomógł ci dla



twoich pięknych oczu?

– Tak!

Babka Ada pokręciła głową.

– A zastanawiałeś się, czemu w takim razie przysłano cię z powrotem? Taka skomplikowana i droga operacja... Po co?

Milczałem.

– Fagowie zrozumieli, że w ich rękach znalazł się klejnot – uśmiechnęła się Śnieżyńska. – Nie wiedzieli tylko, co z nim zrobić. Szantażować Inne Snów? Bez sensu. Nie poszlibyśmy na ustępstwa w imię jednego klona. Więc wykorzystali cię jako żywą przynętę. Zrzucili na Nowy Kuwejt, żeby zobaczyć, co się będzie działo. Kto się z tobą skontaktuje, jakie siły zostaną użyte. Wykorzystali cię, rozumiesz? Twoi szlachetni fagowie cię wykorzystali! Ciebie, niewinne dziecko!

– A co im pozostało? – krzyknąłem. – Zaprogramowaliście miliony ludzi, którzy też nie byli niczemu winni!

– Ludzie programują samych siebie od setek lat. Łżą, nabierają, kłamią, zmyślają, bredzą... Polityk ma wręcz obowiązek okłamać swoich wyborców.

– Ale nie tak! Nie na zawsze!

– Kto ci powiedział, że tych ludzi zaprogramowano na zawsze? – uśmiechnęła się babka Ada. – Jeśli chcesz, odkryję ci jeszcze jedną tajemnicę, to i tak zostanie w rodzinie. Programowanie osobowości działa przez mniej więcej trzy miesiące. Potem działanie mija.

– To kłamstwo! Na Szronie zaprogramowano ludzi dawno temu, a oni do dziś są tacy sami!

– To proste, Tikkireyu. Wystarczy, żeby człowiek przez jakiś czas żył inaczej, cenił inne wartości, przysięgał innemu sztandarowi, wyznawał inną wiarę – wtedy przywyknie. Tak naprawdę ludziom jest wszystko jedno, kto nimi rządzi. Nikogo nie obchodzi, czy nowa władza pokonała starą uczciwie czy nie. Najważniejsze, żeby na talerzu była zupa z kawałkiem mięsa, nad głową dach chroniący przed deszczem, w telewizji ulubiony serial, a na ulicach nie roіło się od złodziei i chuliganów. To jest najważniejsze, Tikkireyu. Zwierzęce instynkty. Najprostsze potrzeby. Cała reszta to tylko siła rozpędu i lenistwo. Wszystkie te ewolucje dokonywały się wtedy, gdy przestawały być zaspokajane najbardziej elementarne potrzeby ludzi. Nasza „rewolucja” jest znacznie bardziej humanitarna. Nie zniszczyliśmy Imperium, nie doprowadziliśmy go do głodu i chaosu – chociaż nie byłoby to trudne, Tikkirey. Jedyne skierowaliśmy ludzką inercję w inną stronę. Ludzie się nie zmienili. Nie stali się gorsi.

– Nieprawda! Widziałem jednego chłopca, który bawił się w wojnę i deptał swoje zabawki. Widziałem, co zrobił tłum, gdy Inna Snów znęcała się nad Tienem...

– Mali chłopcy zawsze bawili się w wojnę i deptali zabawki. Tłum zawsze znęcał się nad tymi, którzy przez niego szli. Za kilka miesięcy mieszkańcy Nowego Kuwejtu powrócą do normalności, ale chłopcy i tak będą deptać zabawki, a tłum i tak będzie krzyczał: „zabić!” Dokładnie tak samo tłum zachowuje się na wszystkich planetach Imperium. Dokładnie tak samo dzieci w Imperium bawią się w wojnę ze Szronem.

Babka Ada wstała i podeszła do mnie. Nie próbowałem się już odsunąć. Może dlatego, że nie miałem dokąd. Może dlatego, że byłem zbyt zmęczony.

– Mój mały, biedny braciszku – powiedziała z czułością babka Ada. – Mój mały, zagubiony chłopczyku. Mieszkałeś na potwornej, okrutnej planecie... I to jest wina twojego ukochanego

Imperatora. Widziałeś tylko okrucieństwo i surowość... i pokochałeś zabójcę, terrorystę za kilka miłych słów. Teraz to wszystko się zmienia.

Pogładziła mnie po policzku. A ja pomyślałem leniwie, że moje prawdziwe babcie nigdy mnie nie widziały. A może chodziły moimi rodzicami do „Świata dziecka” oglądać komputerowe rekonstrukcje? Tikkirey Frost, chłopiec. Zmodyfikowany do życia na planecie z podwyższonym tłem radiacyjnym. Przewidywany wygląd w dniu narodzin, przewidywany wygląd w wieku trzech, pięciu, dziesięciu, piętnastu lat... Inteligentny, ciekawy świata, nieco uparty, trochę zbyt pewny siebie.

I bardzo naiwny.

Chociaż nie, o wadach starają się nie pisać. Albo piszą tak, żeby wyglądały na zalety.

Zamiast „naiwny”, napisano by „ufny”.

A zamiast „brak silnej woli, szybko zmienia przyjaciół” – „łatwy w prowadzeniu, bardzo towarzyski”.

– Giń, Ado Śnieżyńska – powiedziałem.

I bicz na mojej ręce plunął ładunkiem plazmy.

Staruszka krzyknęła, gdy odrzuciło ją do tyłu – z rozwalonym ramieniem i bezwładną prawą ręką. Krew tryskała cienkimi strumyczkami, ładunek plazmy był niewielki, więc nie spaliło jej ramienia, tylko rozcięło, niczym mocne uderzenie siekiery.

W chwilę potem drzwi wejściowe wyleciały z hukiem i do pokoju wpadli jacyś ludzie, przypominający rozmazane cienie. Za ścianą rozległ się łoskot i w kilku miejscach ognisty punktowiec zaczął wykreślać wycinane luki.

Nie zdążyłem o niczym pomyśleć, gdy moje ciało skręciło się i zostało rzucone w kąt, pod wątpliwą osłonę stołu. Więc bicz może przejąć kontrolę nad moimi mięśniami?

Szare cienie nadal strzelały w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą siedziałem. Kamienna ściana pokryła się pęcherzami, pod promieniami ciężkich blasterów rozpływała się niczym plastelina w promieniach słońca. A bicz już strzelał – krótkimi, oszczędnymi seriami, małutkimi, oślepiającymi ładunkami plazmy, jakby ognistym śrutem. Kombinezony maskujące wyłączyły się prawie błyskawicznie, ochroniarze Ady Śnieżyńskiej padli martwi, albo po prostu ranni. Zerwałem się, przebiegłem przez skulone ciała i skoczyłem do drzwi.

– Nie zabijać! – usłyszałem z tyłu wysoki głos babki Ady. – Nie zabijać!

I poczułem pchnięcie w plecy – poczułem jak uderzyła mnie fala zimna. Więc tak wygląda śmierć?

Nogi ugięły się pode mną, ręce osłabły, ciężko było oddychać. Ale jeszcze biegłem, bicz ciągnął moje ciało, zmuszał nogi do poruszania się pod kolejnymi ciosami paralizatorów.

W końcu promienie paralizujące zamroziły moje nerwy do tego stopnia, że nawet bicz nie był w stanie zmusić ich do posłuszeństwa. Podłoga uderzyła mnie w twarz, zobaczyłem strumień krwi, płynący z mojego rozbitego nosa. Bólu nie czułem. Czyjeś mocne ręce obróciły mnie, obszukały, ściągnęły ubranie. Kilkoro ludzi w pancerzach siłowych zdzierało bicz. Zachowywali się tak, jakby schwytali jadowitego węża.

Z bardzo daleka dobiegł mnie stłumiony głos babki Ady:

– Zabierzcie go do lazaretu! Odpowiadacie za niego głową!

Kilka sekund później, gdy ją samą odprowadzono do lazaretu, oberwałem kilka kopniaków.

Na szczęście nic nie czułem.

Niewiele pamiętam z tego, co działo się w lazarecie. Ale miałem wrażenie, że nie był to punkt medyczny przy kosmodromie, czy szpital miejski, lecz właśnie wojskowy lazaret na stojącym na kosmodromie statku. Lekarze wojskowi mają pewnie duże doświadczenie w pomaganiu sparaliżowanym – w czasie manewrów zamiast blasterów używa się paralizatorów; podczas abordażu w kosmosie też, żeby nie uszkodzić kadłuba.

Pierwsze nikłe uczucie, świadczące o powracającym czuciu – delikatne klucie całego ciała, jak podczas skoku do zimnej wody. Nie boli, jest raczej przyjemnie.

Potem udało mi się otworzyć oczy. W rękę miałem wbija igłę kroplówki, po moim ciele sunął jakiś buczący przyrząd. W miejscach, nad którymi się przesuwał, skóra odzyskiwała czucie.

– Leż spokojnie – usłyszałem. Głos nie był nieprzyjemny, ale pozbawiony współczucia.

Zamknąłem oczy i starałem się leżeć spokojnie.

Zawaliłem sprawę. Nie zdołałem zabić Ady Śnieżyńskiej. Staś albo został aresztowany, albo zginął. Szron będzie walczył z Imperium i pewnie zwycięży.

A może tak właśnie powinno być?

Może Ada Śnieżyńska ma rację i Federacja Szronu będzie lepsza niż stare Imperium?

Wolałem o tym nie myśleć.

Później kazano mi wstać – już mogłem poruszać się samodzielnie. Dostałem ubranie (za dużą piżamę) oraz kapcie. Potem prowadzono mnie jakimiś korytarzami. Co działo się później – nie pamiętam, mam lukę, jakby ktoś wyciął mi kawałek wspomnień – być może przesłuchiowano mnie z zastosowaniem narkotyków, a może po prostu straciłem przytomność.

To, co stało się później, było tak nieoczekiwane, że bardziej przypominało sen niż jawę. Zaprowadzono mnie do małego pokoju z dwupiętrowymi łózkami, na których leżeli Staś, Lion i Nataszka. Położono mnie na jednym z łóżek i natychmiast zasnąłem.

Obudziła mnie cicha rozmowa. Mówił Staś, już swoim zwykłym głosem:

– Tak naprawdę nie miałem żadnych szans. Wprawdzie kontrwywiadowi bardzo zależało na obserwacji przebiegu wydarzeń, ale z drugiej strony wiedzieli, że wypuszczenie nas w kosmos jest zbyt ryzykowne. Szczerze mówiąc, liczyłem tylko na to, że statek jest gotów do startu.

– Nie można było wzlecieć nim ręcznie? – zapytał Lion.

– Zablokowany komputer nie był największym problemem. O ile zrozumiałem, reaktor został po prostu wygaszony. Ten sposób statek stracił ciąg, moc ogniową i możliwość autodestrukcji.

– Ale nie wiedziałeś o tym wcześniej? – zapytał Lion.

– Nie wiedziałem. Gdybym wiedział, nie przejmowałbym mostka. Zbędne ofiary nie są nikomu potrzebne.

– Za to dałeś im popalić – pocieszył Stasia Lion. – Teraz już będą wiedzieli, że nie warto zadzierać z fagami.

Staś roześmiał się:

– To już i tak wiedzieli. Ale są pewne granice i kiedy je przekroczysz, sprzeciw staje się głupi i niepotrzebny. Lepiej sprawdź, jak się czuje Tikkirey. Zmienił mu się rytm oddechu.

– Nie śpię – powiedziałem i usiadłem na łóżku.

To była cela. Czysta, nawet przytulna, ale cela. Z trzema dwupiętrowymi łózkami, przymocowanym do podłogi stołem i muszlą klozetową za niską przegródką w rogu.

Byli tu wszyscy. Staś z wielkim brzuchem oligarchy, ale już z własnymi młodymi rękami; Lion, który siedział na łóżku obok niego; Saszka, chyba śpiący na górnej półce; Nataszka i nawet stary Siemiecki! Natasza skinęła mi głową i odwróciła się, chowając zapłakane oczy, Siemiecki uśmiechnął się krzepiąco. Nie było jego wózka inwalidzkiego, nogi miał otulone czerwonym pledem, z numerem na białym kawałku materiału.

– Jak się czujesz, Tikkireyu? – zapytał Staś.

– W porządku – poruszyłem rękami. Ciało zachowywało się normalnie, jakbym nigdy nie był sparaliżowany. – Długo spałem?

– Dwie godziny. Musiałeś dostać porządny ładunek paralizatora.

– Tak – popatrzyłem Stasiowi w oczy. – Próbowałem zabić Adę Śnieżyńską.

– Kto to jest Ada Śnieżyńska?

Może naprawdę nie znał tego nazwiska?

– Pierwovzór – odparłem krótko. Staś skinął głową ze zrozumieniem.

– Pierwovzór Inny Snów?

– Zgadza się. Stasiu, wiedziałeś, że pani prezydent Snów to tylko jeden z klonów?

– Tak przypuszczaliśmy – przytaknął Staś. Nie odrywałem od niego wzroku i fąg niechętnie kontynuował:

– Dobrze, wiedziałem. Jeden ze schwytanych przez nas klonów był młodszy od Inny Snów o pięć lat, a wątpliwe, żeby pięcioletnia dziewczynka zdołała sklonować samą siebie.

– Ada Śnieżyńska jest pierwovzorem Inny Snów – wyjaśniłem – Ma jeszcze dwa tysiące klonów, które razem rządzą. Wiele posiada wspólną pamięć, ale niektóre odmówiły zjednoczenia.

Staś skinął głową. Nie powiedziałem mu nic nowego.

– Wiedziałeś, że ja też jestem klonem? – spytałem wprost. Lionowi opadła szczęka. Nataszka jęknęła i przytuliła się do dziadka.

Saszka zakręcił się, przechylił z górnej półki, spojrział na mnie uważnie, a potem zaśmiał się i znowu się położył. Twarz miał poobijaną i całą w siniakach, jakby go pobito kilka dni temu. Teraz już mały fąg w niczym nie przypominał dziewczynki.

– Wiedziałem – odparł Staś.

– Od początku? – nie ustępowałem. Gdyby powiedział „tak”, byłoby to ostatnie pytanie, które mu zadałem.

– Nie. Dowiedziałem się o tym dopiero na Avalonie, i też nie od razu... Mnie również sprawdzono na okoliczność kontrworbunku – zamilkł na chwilę i dodał:

– Teraz już rozumiem, dlaczego wszystkich nas umieszczono razem. Inna Snów chce, by przedstawienie trwało nadal... Śmiało, Tikkireyu. Odpowiem na wszystkie twoje pytania.

– Szczerze? – uściśliłem.

– Tak. Jeśli nie zdołam dać szczerzej odpowiedzi, nie powiem nic.

– Jak to się stało, że trafiłeś na Nowy Kuwejt i spotkałem się z tobą? To sprawka fągów czy kontrwywiadu Szronu?

– Z tego, co wiem, to był przypadek – powiedział twardo Staś. – Jeden z tych przypadków, które towarzyszą każdej operacji. Przesłuchaliśmy załogę „Klazmy”, poleciałem na twoją planetę i sprawdziłem okoliczności... śmierci twoich rodziców. To przypadek, Tikkireyu. Inna Snów nie

zdawała sobie sprawy z twojego istnienia, losów niektórych klonów nie udało się im prześledzić. Twoi rodzice naprawdę poświęcili się dla ciebie, załoga „Klazmy” rzeczywiście zlitowała się nad tobą i pozwoliła zerwać kontrakt. Ponieważ opuszczając statek nie przeszedłeś standardowej kontroli imigracyjnej, agenci Szronu dowiedzieli się o tobie zbyt późno.

– Gdybym wyszedł ze statku normalnie...

– Przechwyciłby cię rezydent Szronu i ze wszystkimi honorami dostarczył w bezpieczne miejsce. Nie sądzę, byś zgodził się na wprowadzenie obcej pamięci, ale pewnie dałbyś się przekonać do przejścia na stronę Szronu.

– Nieprawda! – wykrzyknęła oburzona Natasza.

Ale ja wiedziałem, że Staś ma rację. Czy wychodząc ze statku, naiwny i radosny jak szczeniaczek, zrezygnowałbym z czyjejś pomocy? Czy nie ucieszyłbym się, że mam tysiące braci i sióstr?

Być może zgodziłbym się nawet na cudzą pamięć...

– Czemu fagowie wysłali nas na Nowy Kuwejt?

– Żeby obserwować reakcję kontrwywiadu Szronu. Żeby natrafić na pierwowzór.

– Nic mi nie powiedziałeś – wyszeptalem.

Staś potarł czoło i z roztargnieniem spojrział w górę – może szukał na suficie czujników obserwacyjnych, a może odpowiednich słów?

– Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, Tikkireyu.

– Co ci szkodzi spróbować – powiedziałem. – Jestem bystry.

– Widzisz, Tikkireyu, miłość może być różna. Jeden ojciec wysyłając syna na wojnę żegna go, życząc mu zwycięstwa, sławy i chwały. Inny – łapie za kołnierz, ukrywa w piwnicy i gotów jest sam zginać, byle tylko ochronić dziecko przed najmniejszym nieszczęściem. Nie mnie sądzić, który ma rację. Poza tym, nie jesteś moim synem i nie dorosłeś do tego, by pójść na wojnę. Wychodzi na to, że zwyczajnie cię wykorzystałem. Podstawiłem. Ale to nie tak. Nie chciałem działać wbrew twojemu przeznaczeniu.

– Jakiemu przeznaczeniu?

– Gdybym to ja wiedział! Wiem tylko, co na pewno nie jest twoim przeznaczeniem: chodzenie do szkoły na Avalonie i rzucanie śnieżkami w kolegów. Wyruszając na Nowy Kuwejt mogłeś pomóc. Uratować miliony ludzi. I zrobiłeś to.

– Zrobiłem? W jaki sposób? – roześmiałem się gorzko. – Nie zdołałem nawet zabić swojego pierwowzoru, chociaż strzelałem z bardzo bliska! Nic nie zrobiłem. Nie mogłem nic zrobić! Powinienem dalej chodzić do szkoły na Avalonie i rzucać śnieżkami! Należało przebrać Saszkę i wysłać go tutaj jako mnie. Przeznaczeniem faga jest walka z łajdakami! Czemu wtrąca się pan do mojego życia?

Zamilkłem, czekając na odpowiedź: „Uważasz, że powinienem zostawić cię wtedy na Nowym Kuwejcie?”

Ale Staś nic nie powiedział. Za to odezwał się Saszka:

– Niepotrzebnie się wysilasz, Stasiu. On i tak nic nie zrozumie. Poza tym, ma rację – powinien chodzić do szkoły, grać w piłkę i kąpać się w rzece.

– A po co wysłaliście tu Liona? – ciągnąłem, nakręcając się coraz bardziej. Złośliwość Saszki smagnęła jak batem. – Czemu wystawił pan również jego?

– Sam chciałem tu przylecieć – wtrącił się nieoczekiwanie Lion. – Chciałem wrócić do rodziców. Nawet jeśli są zaprogramowani, nie przestają być moimi rodzicami.

– Natasza? – popatrzyłem na nią. – Natasza, powiedz, czy nie mam racji? Wzruszyła ramionami. Zamiast niej odezwał się Siemiecki:

– Tikkireyu, konia wyścigowego nie zaprzęga się do pług. Wyobraź sobie, że jesteś teraz na Avalonie, a my wszyscy jesteśmy tutaj. Siedzisz sobie w szkole w Port Lanc, a potem wrócisz do domu, zjesz kawałek pizzy i obejrzysz film. Jak ci się to podoba?

– Jakie to ma znaczenie? Jestem tutaj.

– Wyobraź sobie – nalegał Siemiecki. – To taka gra. Gdy wydaje ci się, że coś jest nie tak, próbujesz wyobrazić sobie, że mogłoby być inaczej i jakbyś się wtedy czuł. No, jakbyś się czuł?

– To fair.

– Dlaczego? Powiedz mi tak szczerze, chciałbyś być teraz na Avalonie?

– Tak! – wykrzyknąłem ze złością.

– Poproś pierwowzór – odezwał się Staś. – Na pewno odeślą cię na Avalon.

Roześmiałem się z goryczą, ale Staś ciągnął z uporem:

– Nie wiesz, co czują do siebie klony. A zwłaszcza, czym jest stosunek pierwowzoru do kopii. Nawet to, że strzeliłeś do Śnieżyńskiej, nie zmieni jej stosunku do ciebie, nadal będzie czuć do ciebie sympatię. Jesteś dla niej jedynie zagubionym, oszukany dzieckiem. Wykasują ci wspomnienia o wydarzeniach na Nowym Kuwejcie i odeślą na Avalon. Zaufaj mi. Wystarczy tylko poprosić.

– Przecież nie o to chodzi! – wykrzyknąłem. – Przecież sam dobrze wiesz! Utrata pamięci to prawie jak samobójstwo!

– Wobec tego poproś, by pozwolili ci spokojnie żyć na planecie Federacji Szronu – kontynuował niezrażony Staś. – Będiesz chodził do szkoły, łowił ryby i grał w piłkę. Co za różnica?

Pomyślałem, że być może Staś ma rację. Pamiętałem niepokój w głosie Ady Śnieżyńskiej, gdy wołała: „Odpowiadacie za niego głową!”

– Co za różnica? A jeśli wybuchnie wojna?

– Wojny nie będzie – westchnął ze zmęczeniem Staś. – Imperium zdecydowało się na negocjacje separatystyczne ze Szronem. Zostanie zachowane status quo – i zatwierdzone dwie ludzkie cywilizacje w galaktyce. Niech się napawają swoją władzą. Niech budują takie społeczeństwo, jakie chcą. Czas pokaże, kto miał rację.

– Śnieżyńska nigdy się na to nie zgodzi! Chce mieć wszystko od razu!

– Wszystko – tak, ale nie od razu. Klony rozumieją, że Szron może zniszczyć Imperium, ale nie zdoła zwyciężyć. Snów i pozostałe klony nie potrzebują planet-pogorzeli. Imperator też ich nie chce. Nastanie zgniły pokój.

Zamilkł. Popatrzyłem na Liona, na Siemieckiego, na Nataszkę. Nie sprawiali wrażenia zdumionych, jakby już o tym wszystkim wiedzieli. I ufali Stasiowi.

– Nie chcę żyć na Nowym Kuwejcie – wyszeptalem. – Nie chcę być klonem Śnieżyńskiej. Jestem Tikkirey. Tikkirey z planety Kopalnia. Jestem sobą!

Nikt się nie odezwał.

– To przez ciebie taki się stałem! – odwróciłem się do Stasia. – To ty mnie uczyłeś, że każdy powinien sam wybrać swoją drogę, że przymus jest złem, a niewolnictwo jest gorsze od śmierci! Ty

mówiłeś, że nie zdradza się przyjaciół, a człowiek zawsze powinien mieć wybór! Jak mógłbym tu żyć? Nie mogę! Nie potrafię!

Popatrzyłem na Liona. Opuścił wzrok. Jemu to dopiero musi być ciężko... jak tu wybrać planetę, jeśli na Nowym Kuwejcie ma się zaprogramowaną rodzinę... Zresztą, skąd mi przyszło do głowy, że pozwolą mi wybrać?

– Już lepiej niech wykasują mi pamięć i odeślą na Avalon – wymruczałem. – Zapomnę, że jestem klonem dyktatora, zapomnę, że mnie zdradziłeś. Gdy wrócisz na Avalon, nie przypominaj mi tego.

– Tikkireyu, ja cię nie zdradziłem – odparł spokojnie Staś. – A na Avalon już nie wrócę. Zostanę stracony, Jurij Michajłowicz również. Jaki los czeka Saszkę, Liona i Nataszę, nie wiem, ale mam wrażenie, że zgodnie z prawodawstwem Szronu za przestępstwa przeciwko państwu odpowiadają również nieletni. Tylko ty masz szansę przeżyć.

Potrząsnąłem głową.

– Spróbuj zrozumieć, że to nieuchronne – ciągnął Staś. – Jestem terrorystą. Nie służę Imperatorowi i nie podlegam prawu o jeńcach wojennych. Siemiecki również nie. Z punktu widzenia dowolnego prawodawstwa jesteśmy jedynie szajką przestępców, winnych zabójstw, dywersji, próby porwania statku, fałszerstwa dokumentów, stawiania oporu władzom... oraz kilku innych rzeczy. Zgodnie z prawem wojennym nie muszą nas nawet sądzić.

– Mam tylko nadzieję, że nie ruszą dziewczynkę – mruknął Siemiecki.

– Juriju Michajłowiczu, jak pan tu trafił? – zapytałem. – Gdzie są „Jaskry”?

– Schwytali nas wczoraj w nocy, sparaliżowali cały obóz. Na szczęście obeszło się bez ofiar... – Siemiecki uśmiechnął się żałośnie. – Mam przynajmniej taką nadzieję. Trzy godziny temu, zanim cię przyprowadzili, nagle przenieśli mnie do tej celi.

– Pewnie obserwowali nas od samego początku – powiedział Lion. – Od momentu, gdy pojawiliśmy się w motelu.

– Tamta dziewczyna z rejestracji też jest klonem – przypomniałem sobie. – Tylko ma własną, odrębną pamięć.

– To nie tylko klon, ale klon klona – uściślił Staś. – Być może to jakieś zakłócenia w psychice, ale kopie Śnieżyńskiej lubią „rozmnażać się” w taki właśnie sposób. – Jak tak dalej pójdzie, to klony zasiedlą wszystkie planety! Wyprą normalnych ludzi!

– Nie wydaje mi się – Staś pokręcił głową. – Nawet, jeśli zapełnią klonami struktury władzy, nie wyprą robotników ani hydraulików. Który z klonów chciałby zostać stróżem?

Fag uśmiechał się i wyglądał na bardzo spokojnego. Nawet przez chwilę pomyślałem, że wszystkie jego opowieści o egzekucji i prawach wojny są wyłącznie żartem, że Staś zwyczajnie mnie nabiera.

A potem przypomniałem sobie rodziców. Jacy byli weseli tamtego, ostatniego wieczoru.

– One potrzebują władzy, władzy i jeszcze raz władzy – kontynuował Staś. – Wszystkie klony Edwarda Garlickiego, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Władza to najsilniejszy narkotyk.

Sam nie rozumiejąc, czemu to robię, wstałem, podszedłem do Stasia i przytuliłem się do niego.

– Dlaczego mnie obejmujesz, Tikkireyu? – zapytał łagodnie Staś.

– Dlatego, żebyś nie powiedział za dużo – wykrztusiłem, powstrzymując łzy. – Dlatego... dlatego, że wszyscy kłamią.

– A tylko nieliczni żałują swoich kłamstw – powiedział cicho Staś i poklepał mnie po ramieniu. –

Moja szczerłość ma swoje granice. Nie mogę złamać rozkazu rady, nie mogę złamać danego słowa. Pamiętasz, jak umarł agent Szronu, porucznik Karl?

– Nazywał się Karl? – zapytałem, nie otwierając oczu.

– Tak. Pamiętam imiona tych, których zabiłem... Tikki, nie mogłem ci powiedzieć, że jesteś klonem naszego przeciwnika. Nie zdążyłbym dokończyć.

– Teraz już możesz?

– Teraz już tak.

– Coś się zmieniło? To z powodu negocjacji i zawarcia pokoju?

– Tak.

Wtedy uświadomiłem sobie, że właśnie teraz on kłamie. Że to wcale nie z powodu negocjacji. To coś innego. Staś kłamał nie mnie, lecz tym, którzy nas teraz obserwują, którzy analizują każdy odcień jego głosu, każde drgnienie mięśni, łzę płynącą z oczu i krople potu występujące na czoło. Staś kłamie i chce, żebym o tym wiedział. Tylko ja.

To znaczy, że jeszcze nie wszystko stracone!

Staś przewidział tę celę i moje łyzy i bezlitosny celownik obserwujących nas czujników.

Fagowie nigdy nie mają jedyne i ostatecznego planu. Wszystkie ich plany są jak matrioszka – jeden umieszczony w drugim, drugi w trzecim. Do ostatniego ciężko się dostać.

– Stasiu, a gdyby Imperium zwyciężyło, co zrobiono by z klonami?

– Z tymi, którzy nie splamili się uczestnictwem w buncie – nic. Zaś ci, którzy zgodzili się przyjąć pamięć pierwowzoru, zostaliby umieszczeni pod specjalnym nadzorem i pozbawieni prawa do rozmnażania się.

– A tacy jak ja?

– Jak sądzę, ograniczono by się do dyskretnej obserwacji bez ograniczania praw.

– Nie chcę żadnej władzy – powiedziałem zdecydowanie. – Chcę tylko, żeby nie było wojny. Żeby cię nie zabili. Żeby wypuścili Liona, Nataszkę i wszystkie dziewczynki. I żeby Siemiecki nie umarł!

Siemiecki zaśmiał się cicho:

– Z tym będzie ciężko... Wiesz, ile mam lat? Tak czy inaczej, czas już na mnie.

Nic nie powiedziałem.

– Gdybym poprosił pierwowzór – zwróciłem się do Stasia – wypuściłaby was? Jeśli zgodzę się zostać na Nowym Kuwejcie?

Staś zastanawiał się. A właściwie – co zrozumiałem dopiero teraz – nie zastanawiał, lecz grał na czas.

– Spróbuj – powiedział.

– No coś ty, Stasiu, przecież nikt nas nie wypuści! – wykrzyknął Saszka. – Jak możesz liczyć na coś takiego!

Saszka nie zrozumiał! Nie wyczuł w głosie Stasia tych nutek, które wyczułem ja. Może dlatego, że Staś mówił teraz tylko do mnie?

Wyprostowałem się, mrugnąłem do Liona, który patrzył na mnie osłupiały i krzyknąłem w przestrzeń:

– Hej, wy! Chcę porozmawiać z moim pierwowzorem! Chcę rozmawiać z Adelajdą Śnieżyńską! Słyszycie? Przekażcie jej natychmiast, że Tikkirey prosi o spotkanie!



Nic się nie stało. Nikt mi nie odpowiedział. Ale nie minęła nawet minuta, gdy drzwi wjechały w ścianę z cichym sykiem i na progu stanęło dwóch ochroniarzy w pancerzach. W głębi korytarza widać było jeszcze kilku.

– Do wyjścia. Wszyscy! – zakomenderował ochroniarz. Głos, przepuszczony przez głośniki pancerza, był twardy i zimny, niczym głos robota z kreskówki.

– Jak sobie to wyobrażacie w moim przypadku? – zapytał swarliwie Siemiecki. – Oddajcie mi wózek! A może wolicie nieść mnie na rękach?

Ochroniarz pochylił głowę, jakby wsłuchując się w czyjś cichy głos, i kiwnął.

– Zaraz oddadzą panu wózek.

– I co, sprawdziliście, nie było ładunków wybuchowych? – spytał złośliwie Siemiecki. – Pewnie rozebraliście go na śrubki?

– Rozebraliśmy – przyznał ochroniarz.

– Wypiszcie rachunek, zapłacę za przegląd tego eksponatu muzealnego – obiecał zjadliwie Siemiecki.

## Rozdział 6

Gdy prowadzono nas korytarzami, zrozumiałem, że nadal jesteśmy na kosmodromie. Część drogi biegła przez hermetyczną, szklaną rurę-galerię, ciągnącą się pod dachem poczekalni. Pod nami, dwadzieścia metrów niżej, widać było ludzi z walizkami, torbami i wózkami; biegały podekscytowane dzieci, bezgłośnie otwierając usta; przy stolikach kawiarenek pasażerowie czekali na ogłoszenie lotów, przed punktami rejestracji stały krótkie kolejki. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie i codziennie... Dla wojskowych, których było niewielu, odgradzono część sali barierką. Z góry wyglądali jak szarzielona, falująca masa.

Na co czeka Staś?

Na lądowanie desantu imperialnego?

Ale to będzie krwawa łaźnia, a nie ratunek. Szron jest przygotowany do wojny. Mężczyźni i kobiety będą walczyć, dzieci drapać i gryźć, sparaliżowani starcy obrzucać żołnierzy przekleństwami. To nie ratunek.

Na co on liczy?

Zerkałem na niego, ale o nic nie pytałem. Staś, jako jedyny z nas, miał ręce skute kajdankami – nie współczesnymi magnetycznymi, lecz starymi, z łańcuszkiem między bransoletkami. Wcale go to nie peszyło. Rozprawiał o czymś półgłosem z Siemieckim, który jechał na swoim wózku. Ochroniarze rzucali im podejrzliwe spojrzenia, ale nie przerywali rozmowy.

Przeszliśmy nad poczekalnią i weszliśmy w korytarze strefy służbowej kosmodromu. Tu wojskowych było więcej. W jednej sali, obok której przechodziliśmy, żołnierze byli ściśnięci jak śledzie w beczce. Siedzieli na podłodze, trzymając w rękach długie karabiny laserowe starego typu. Z szeroko otwartych drzwi uderzył nas kwaśny zapach potu. Wentylacja najwyraźniej sobie nie radziła. Wyglądało na to, że siedzieli tu ponad dobę...

Twarze żołnierzy były poważne, surowe i natchnione.

Jak imperialni komandosi chcieli walczyć z milionami fanatyków?

– Nie boisz się, Tikkireyu? – zapytał mnie Staś. Pokręciłem głową.

– Kiedyś bardzo bałem się śmierci – powiedział fag. – A nawet nie samej śmierci, tylko... Wyobrażalem sobie cmentarz zimą. Silny wiatr, drobny, zacinający śnieg, pokryta lodem ziemia, nagie gałęzie drzew – i pustka. Żadnych ludzi, ptaków, nikogo. Wyjątkowo nieprzyjemnie. Pamiętam, postanowiłem wtedy, że poproszę, by pochowano mnie – jeśli tylko będzie co chować – na jakiejś cieplej planecie... Na przykład na Szronie.

– Szron jest ciepłą planetą? – zapytałem, jakby miało to jakieś znaczenie.

– Bardzo. Temperatura nigdy nie spada tam poniżej zera. Swoją nazwę planeta zawdzięcza widokowi z orbity – na skutek szczególnych uwarunkowań klimatycznych, chmury na Szronie są długie, cienkie i pierzaste. Stąd wrażenie, że planeta jest oszroniona. Zabawne, prawda? – zamilkł na chwilę i powiedział:

– A teraz myślę, że Nowy Kuwejt wcale nie jest gorszy.

– Czemu znęcasz się nad chłopakiem! – oburzył się Siemiecki.

– Żegnamy się – wyjaśnił spokojnie Staś. – Chcę, byś rozumiał, Tikkireyu, że życie każdemu odmierza inną miarką. I jednocześnie każdemu daje możliwość wybrania swojej śmierci. Być może właśnie to jest najważniejsze.

Dalszą drogę pokonaliśmy w milczeniu. Chciałem wziąć Stasia za rękę, ale bałem się, że jego dłoń okaże się zimna jak lód.

W końcu weszliśmy do jakiejś sali i ochroniarze zatrzymali się.

Dziwne miejsce. Myślałem, że zaprowadzą nas do szpitala – przecież Ada Śnieżyńska była ranna – albo do jakiegoś gabinetu.

A to było coś w rodzaju hali fabrycznej, czy ogromnego laboratorium. Belki i dźwigi pod sufitem, kraty nad ogromnymi kadziami. Ogromne maszyny, teraz wyłączone, ale wydające jakieś dźwięki. Wyobrażam sobie, jak muszą huczeć w czasie pracy...

– Zabawne – powiedział Staś. – Przecież to stacja, w której się odbywa się regeneracja ogniw paliwowych. Panowie, czy macie zamiar odgrywać dramat produkcyjny?

Ochroniarze nie odpowiedzieli. Chyba sami byli zdumieni miejscem, do którego nas zaprowadzili.

– Przyprowadźcie ich tutaj – usłyszałem z oddali znajomy głos babki Ady.

Posłuszni poleceniom ochroniarzy szliśmy pomiędzy maszynami i kadziami. Wokół nas coś huczało, stukało i poskrzypywało – wyłączona aparatura żyła własnym życiem. Wózek Siemieckiego łoskotał po metalowej podłodze, dodając do tej symfonii różną nutę.

Po spiralnej pochylni weszliśmy na metalową platformę, umieszczoną niemal pod sufitem, nieopodal zwisających sennie dźwigów.

Ada Śnieżyńska była trochę blada, ale poza tym wyglądała normalnie, jakby mój strzał nie wyrządził jej żadnej krzywdy. Miała na sobie ten sam dżinsowy kombinezon, buty na grubej podeszwie, tylko zamiast chustki zawiązała na głowie czarną bandanę, zasłaniającą siwe włosy. Lewe ramię sprawiało wrażenie grubszego, pewnie umieszczono je w gorsecie regeneracyjnym.

Babka Ada nie była sama. Obok niej stała Alla Neige (dopiero teraz było widać, jak bardzo są do siebie podobne), a za ich plecami zobaczyłem dwóch młodych mężczyzn. Początkowo wziąłem ich za ochroniarzy, ale potem...

Potem przeszył mnie dreszcz. Więc tak będę wyglądał za trzydzieści lat? Z blasterami w rękach, na platformie stało dwóch męskich klonów babki Ady. Jeden uśmiechnął się do mnie, drugi przyjaźnie skinął głową. Odwróciłem wzrok. Ich widok był średnio przyjemny.

– Przypiąć faga – poleciła Śnieżyńska ochroniarzom. – Staremu wyjąć kabel z gniazda. I jesteście wolni.

Polecenie wykonano błyskawicznie. Opierającego się bez przekonania Stasia podprowadzono do otaczających platformę metalowych poręczy, odpięto mu kajdanki z lewej ręki i przypięto do poręczy. Siemieckiemu wyszarpięto kabel z gniazda, tym samym unieszkodliwiając go.

– Jest pani pewna, że mamy odejść? – zapytał jeden z ochroniarzy.

– Tak, sierżancie – skinęła Ada Śnieżyńska. – Kontrolujemy sytuację.

– Nie... – powiedziała półgłosem Alla Neige. Kobiety popatrzyły na siebie. Po chwili Ada powiedziała:

– Odejdźcie na brzeg platformy. I bądźcie czujni. Obserwujcie małego faga i pozostałych.

Ochrona zasalutowała i odeszła do tyłu. Dopiero wtedy Śnieżyńska odezwała się znowu:

– Witam was w imieniu Federacji Szronu. Pani prezydent Snów prosiła, by przekazać wam przeprosiny, niestety, nie może być obecna. Pilne negocjacje z niziołkami wymagają...

– Ależ nic nie szkodzi – przerwał jej Staś. – Rozumiemy. Handel ludzkością, w dodatku handel

detaliczny, wymaga pewnego zachodu.

Ada Śnieżyńska zaśmiała się ochryple.

– Daj spokój tej demagogii, jedi. Przecież my jedynie troszczymy się o ludzkość – podobnie jak wy...

– Fagu – poprawił ją Staś. Ale Śnieżyńska nie zwracała już na niego uwagi.

– Jak się czujesz, Tikkireyu?

Milczałem. Przecież nie powiem „w porządku”.

– Tikkireyu?

– Dziękuję, a pani?

Ada i wszystkie jej klony uśmiechnęły się.

– W porządku, chłopcze – odparła Śnieżyńska. – Przecież tak naprawdę nie chciałeś mnie zabić. Rana trochę boli, ale wkrótce się zagoi. Powiedz mi, Tikkireyu, porozmawiałeś sobie ze swoim przyjacielem?

– Przecież pani wie, że tak – mruknąłem.

– Owszem, wiem. Przekonałeś się już, że wysłali cię na Nowy Kuwejt jako przynętę? Fagowie chcieli złapać mnie na żywca, którym byłeś ty. Jak ci się podoba ta rola?

– I tak pomógłbym fagom, nawet gdyby powiedzieli, o co chodzi – wzruszyłem ramionami. – Szkoda, że tego nie zrobili. Ale rozumiem, że to była tajna misja, a ja mógłbym się niechcący wygadać.

Ada Śnieżyńska uniosła brew. Staś zaśmiał się.

– Tikkireyu, znam cię jak samą siebie – powiedziała babka Ada. – Ty to ja. Byłam chłopcem i byłam dziewczynką. Byłam setkami chłopców i dziewcząt. Pamiętam siebie w twoim wieku. Potrafię przewidzieć wszystkie twoje reakcje. Wiem, że w pewnym wieku każde dziecko przeżywa fascynację jakimś dorosłym – zaczyna go ślepo naśladować, zachwycać się nim, wielbić go. Ale mimo to... dlaczego aż tak bronisz fagów? – Możliwe, że oni kłamią – powiedziałem. – Być może nieładnie ze mną postąpili. Ale...

– Ale? – spytała dociekliwie Śnieżyńska. – Ale Staś jest twoim przyjacielem? Czy o to chodzi?

– Nie tylko. Oni też kłamią, ale przynajmniej się tego wstydzą. A pani nie.

– Wyrządzanie komuś krzywdy, czynienie zła i żałowanie tego to faryzeuszostwo.

– A czynienie zła i nie żałowanie – czy to nie podłość?

– Na czymże polega owa podłość? Na tym, że bydło dostało jedną ideologię zamiast innej?

– Na tym, że Staś nigdy nie nazwałby ludzi bydłem. Ada Śnieżyńska popatrzyła na Allę stropiona.

– Tikkireyu – odezwała się Neige. – Jesteś zdenerwowany i zakłopotany, ale zrozum...

– Wcale nie jestem zdenerwowany – powiedziałem. – Właśnie teraz jestem zupełnie spokojny. Patrzę na was i cieszę się, że nie jestem z wami.

– Nie możesz nie być z nami – powiedział jeden z mężczyzn, robiąc krok do przodu. – Tikkireyu, być może trudno ci zrozumieć te baby... – Ada prychnęła oburzona. – Ale mnie powinieneś zrozumieć. Jesteśmy identyczni. W dzieciństwie obaj nie lubiliśmy kleiku ryżowego i baliśmy się ciemności...

– Nie bałem się ciemności – powiedziałem. – Jak byłem bardzo mały, to trochę się bałem, ale potem mama powiedziała mi, że słońce zawsze gdzieś świeci. Wiedziałem, że ciemność nie będzie

trwała długo. Tylko tyle, żeby zdążyć odpocząć.

Teraz już popatrywała na siebie cała czwórka. A ja, zapominając, że miałem błagać o łaskę dla Stasia i Siemieckiego, powiedziałem:

– Nie jestem taki jak wy. Zostałem zmodyfikowany do życia na planetach radioaktywnych. To znaczy, że mam odrobinę inne geny. Nienawidzę was. Nawet sobie nie wyobrażacie, jak bardzo was nienawidzę! Jesteście bandą szalonych klonów, które postanowiły dorwać się do władzy. Gdy ludzie dowiedzą się, kim tak naprawdę jesteście, rozerwą was na strzępy. Aż mi was szkoda.

– Chyba znowu nieudany egzemplarz... – Neige powiedziała to bardzo cicho, ale ja i tak usłyszałem.

Nigdy bym nie przypuścił, że można się tak ucieszyć z groźby!

To znaczy, że nie wszystkie klony przyłączyły się do spiskowców! To znaczy, że mógłbym odnaleźć swoje sklonowane rodzeństwo! Normalnych ludzi, którzy nie pragną zdobycia władzy i rozpętania wojny!

Ada Śnieżyńska przymknęła oczy. Może dokuczało jej zranione ramię. A może zmartwiła się, że jedno z wnucząt okazało się tak nieudanym egzemplarzem.

– O jego losie zdecydujemy później – powiedziała twardo. – Teraz zajmijmy się resztą. Jedi!

Staś milczał.

– Fagu – poprawiła się z uśmiechem Śnieżyńska.

– Słucham, pani Śnieżyńska – rzekł uprzejmie Staś.

– Doskonale oceniłeś swoje szansę pozostania przy życiu. Są praktycznie równe zeru – powiedziała Śnieżyńska, akcentując słowo „praktycznie”. – Ale wydaje mi się, że czegoś nam nie mówisz. Prowadzone teraz negocjacje to fikcja. Statki Imperium na orbitach naszych planet są nie tylko demonstracją siły... Może jednak szykujecie się do ataku?

– Skąd miałbym wiedzieć? – zdumiał się Staś. – Nie jestem przecież na służbie imperialnej. Jestem tylko najemnikiem o romantycznych ideałach. A gdybym nawet coś wiedział... Fagowie nie mogą zdradzić. Jestem zablokowany, tak samo jak wasi oficerowie operacyjni.

– Wiesz – powiedziała twardo Śnieżyńska. – Jesteśmy tego pewni. I pomożemy ci powiedzieć, jeśli tylko zgodzisz się współpracować.

– Pomożecie mi? – zapytał Staś z zainteresowaniem.

– Sądzimy, że udało nam się stworzyć preparat niwelujący blokadę. Opowiedz nam o planach Imperium – i przeżyjesz. Nie przeczę, czeka cię zsyłka na jedną z naszych planet. Na miłą, ciepłą planetę – Śnieżyńska uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Proste życie farmera to niewiele dla byłego superagenta. Ale i nie mato – jeśli wziąć pod uwagę alternatywę.

– Jaką?

– Z wyroku sądu wojennego – Śnieżyńska wskazała dłonią swoje klony – wszyscy zostajecie skazani na karę śmierci. Zaczniemy od dziewczynki. Potem przyjdzie kolej na chłopców, po nich umrze starzec. Ty będziesz ostatni.

– Nie zabijecie Tikkireya.

– Być może – skinęła głową Śnieżyńska. – Nadal uważam, że nie jest przypadkiem beznadziejnym. Ale pozostali umrą na twoich oczach.

– Na drugiej szali są miliony istnień – rzekł Staś. – Miliony istnień i setki lat niewolnictwa dla

całej ludzkości.

– Nie będę się spierać – odparła Śnieżyńska. – Powiem tylko, że te potencjalne miliony są bardzo daleko. A twoi przyjaciele są tuż obok.

– Fagowie nie mają przyjaciół.

– Ale przecież ty zawsze byłeś wolnomyślicielem... jak na faga, oczywiście. Przy okazji, egzekucja będzie trwała dość długo, jak widzisz, musimy korzystać z tego, co mamy pod ręką... – Śnieżyńska podeszła do platformy i spojrzała w dół. – W kadzi jest rozpuszczalnik do płukania ogniwo paliwowych. Człowiek zostanie rozpuszczony w ciągu kilku minut. Chociaż nie, szok bólowy zabije go wcześniej. Nadal nie zmieniłeś zdania, fagu?

Popatrzyłem na Liona, był blady jak ściana. Osłabła Nataszka usiadła dziadkowi na kolanach i chwyciła go za rękę.

– Ado Śnieżyńska, skąd ta skłonność do sadyzmu? – zapytał Staś. – Naprawdę zdecydujesz się na torturowanie dzieci?

– Na drugiej szali są miliony istnień – powiedziała twardo Śnieżyńska. – To jakie są plany wojsk imperialnych?

Staś milczał.

– Przy okazji, mamy tu przecież cały oddział partyzancki! – przypomniała Neige. – Co zrobisz, fagu, gdy na twoich oczach zaczną umierać dzieci?

– Stare kłemy! – wrzasnął Siemiecki. – Wściekłe krowy! Nie jesteście ludźmi!

– Skończę ze sobą? – zasugerował Staś, gdy Siemiecki przestał szaleć.

– Nie sądzę. Najprawdopodobniej spróbujesz je uratować. Ale do tego czasu ktoś na pewno zginie. Czy nie lepiej zapracować na łaskę dla siebie i pozostałych? Zgadząmy się ograniczyć karę do zsyłki. Dobrze wiesz, że wsparty przez niziołki Szron zwycięży.

– Niziołki nie poprą Federacji Szronu.

– Dlaczego? – spytała ostro Śnieżyńska.

– Dlatego, że minutę temu Królowa Gromady Czygu oznajmiła, że w przypadku wojny pomiędzy Imperium i Federacją Szronu, Gromada stanie po stronie Federacji.

Ja nic nie zrozumiałem, ale Siemiecki zaczął się śmiać i powiedział:

– W żadnym konflikcie zbrojnym niziołki i Czygu nie staną po jednej stronie. W jednym stawie nie ma miejsca dla dwóch sumów... Jednoczesny sojusz z obiema rasami oznacza nieotrzymanie pomocy od żadnej ze stron.

Śnieżyńska spochmurniała.

– Jak ci się to udało?

– A po co przylatywałem na Nowy Kuwejt dwa miesiące temu? – odpowiedział pytaniem Staś.

– Powtórne pochowanie w Agrabadzie prochów miczmaną Charitonowa... – wyszeptała Śnieżyńska. – Więc wy...

– Wiedzieliśmy, że prowadzicie tajne pertraktacje z niziołkami i podjęliśmy odpowiednie środki. Na pewno zainteresuje panią wiadomość, że takie niespodzianki czekają was, jeśli zwrócicie się o pomoc do dowolnej obcej rasy.

Miałem wrażenie, że Śnieżyńska i klony już nie przesłuchują Stasia. Wszystko się niezauważalnie zmieniło. Nawet kajdanki, przykuwające Stasia do poręczy, zdawały się nie mieć znaczenia.

– Milcz! – wrzasnęła nagle Saszka. – Co ty gadasz?

– Spokój, stażysto – rzucił niedbale Staś. – Wszystko w porządku. I wtedy Saszka doskoczył do Stasia, zamachnęła się i uderzył go w twarz! Staś oddał mu tak, że mały fąg poleciał na podłogę.

Za moimi plecami rozległ się hałas. Obejrzałem się – dwóch ochroniarzy mierzyło do Saszki, dwóch biegło w naszą stronę. Śnieżyńska powstrzymała ich władczy gestem.

Staś splunął krwią (ślina spadła na łańcuszek kajdanek) i wymruczał:

– Mój młody pomocnik reaguje nieco zbyt emocjonalnie. Proszę nie zwracać na niego uwagi.

Zapłakany Saszka usiadł na podłodze. Śnieżyńska patrzyła w napięciu to na niego, to na Stasia i w końcu powiedziała:

– Coś tu jest nie tak. Grasz na czas, fagu!

– Oczywiście! – przyznał ochoczo Staś.

– Akim! – zawołała Śnieżyńska. – Bierzcie dziewczynkę! To trwa zbyt długo!

– Słusznie, już najwyższa poza zakończyć ten bunt – oznajmił wesoło Staś.

Jeden z klonów podszedł do nas.

– Źle się czuję – wyszeptał nagle Lion. – Tikki...

Odwróciłem się szybko i zdążyłem go złapać. Lion powoli osuwał się na podłogę, oczy miał jeszcze otwarte, ale już mętne. W tym samym momencie zamrugało oświetlenie, zmienił się huk nieczynnych aparatów. Jeden dźwig drgnął nagle i zaczął bezmyślnie krążyć pod sufitem. Lion zasłochał przez sen.

– Co mu zrobiliście?! – krzyknąłem. – Dranie!

Z tyłu coś huknęło. Podtrzymując Liona (ale on ciężki!), patrzyłem, jak ochroniarze padają na metalową podłogę. Zabrzęczały pancerze. Brzmiało to tak, jakby ktoś upuścił kilkanaście rondli.

– Oto i koniec buntu – stwierdził Staś i zupełnie innym, spokojnym, ale nieprawdopodobnie zmęczonym głosem dodał:

– Dziękuję ci, Tikki. Z powodu twojej obecności na planecie klony straciły dwie doby. Flota zdążyła umieścić przekaźniki na orbitach wszystkich planet Szronu.

Śnieżyńska, Neige oraz klony-mężczyźni celowali do nas z blasterów, ale Staś zachowywał się tak, jakby nie widział broni.

– Byliście zbyt zarozumiali, Adelajdo Śnieżyńska. Wasz program kodowania psychiki został rozszyfrowany i przeanalizowany. Stworzono sygnał, uruchamiający go ponownie, ale z odwrotnym efektem. Wszyscy wasi poddani śpią i śnią. Widzą sny o ohydzie Inny Snów, prowadzącej wojnę przeciwko dobremu i sprawiedliwemu Imperatorowi.

– To niemożliwe! – krzyknęła Śnieżyńska. – Przewidzieliśmy takie działania i używanie gniazd zostało zabronione! Nie mogliście wysłać sygnału!

– Gniazda z modułem radiowym nie da się zablokować całkowicie, droga pani. Moduł radiowy jest częścią głównego procesora. Wprawdzie antena jest wyłączona, ale jeśli sygnał jest dostatecznie mocny, antena przestaje być potrzebna. Sygnał-klucz jest wyłapywany przez końcówki gniazda i działa nawet w zamkniętym pomieszczeniu, o czym właśnie mieliśmy okazję się przekonać. Imperium wykorzystało stare statki-przekaźniki, zakonserwowane od czasów ostatniej wojny.

Siedzący na podłodze Saszka roześmiał się. Zachichotał stary Siemiecki.

– Rzućcie broń – powiedział Staś. – To koniec. Już nikt nie boi się waszych operetkowych

strachów.

– Jeszcze zobaczymy – wyszeptała Śnieżyńska. – Tikkirey, Natasza... chodźcie do mnie... O rany...

Nogi same niosły mnie do babki Ady, do krawędzi platformy... A przecież w dole była kadź, wypełniona przejrzystym, zielonym płynem... Mowa kategoryczna? Otrzymam rozkaz i wskoczę do kadzi z rozpuszczalnikiem?

– Tikkirey, Natasza, stać! – krzyknął Staś.

Stałem i od razu zacząłem iść na rozkaz Śnieżyńskiej. I znowu stanąłem, a potem ruszyłem. Z twarzy Śnieżyńskiej zniknęła dobroduszość. To już nie była miła staruszka, lecz rozżłoszczona jędza. Dyrektor Neige przypominała obłąkaną feministkę epoki Matriarchatu. Natasza miała w oczach dziki strach, ale podobnie jak ja nie była w stanie nic zrobić. Poruszała tylko wargami, jakby próbowała wezwać kogoś – może dziadka? – na pomoc i nie mogła.

Śnieżyńska zaśmiała się triumfalnie. Szliśmy do niej. Podporządkowując się sprzecznym rozkazom, zachowywaliśmy się jak pociągane za sznurki marionetki, ale szliśmy. Śnieżyńska pragnęła teraz tylko jednego – policzyć się ze mną i ze Stasiem, zapomniała nawet o władzy nad światem. Może miała nadzieję, że Staś skończy ze sobą, jeśli zginiemy na jego oczach.

Być może tak się właśnie stanie...

– Me słuchać nikogo prócz mnie! – zawołała nagle Neige i poczułem się tak, jakby ktoś wcisnął mi watę do uszu. – Iść do krawędzi platformy i wskoczyć do kadzi!

To wariatka!

Nigdzie nie pójde!

Ale nogi posłusznie niosły mnie do przodu.

I w tym momencie rozpędzony pojazd ze wściekle wirującymi kołami przemknął pomiędzy mną i Nataszą, przewracając nas na podłogę. Poczulem powiew wiatru i usłyszałem huk silnika...

Ręka starego Siemieckiego ścisnęła dźwostkę na poręczy wózka inwalidzkiego. Okazało się, że wózkiem można sterować nie tylko przez gniazdo, ale także ręcznie!

Zdażyłem jeszcze zobaczyć wykrzywioną przerażeniem twarz Ally Neige i plujący ogniem blaster w rękach Śnieżyńskiej, a potem wózek Siemieckiego wpadł na nie niczym płonący bolid. Allę Neige podrzuciło do góry i zmiotło z platformy, a Śnieżyńska przewróciło i pociągnęło do krawędzi.

Patrzyłem na to, jak na film puszczonej w zwolniony tempie. Patrzyłem, jak cała trójka spada z platformy. W powietrze wzbily się przezroczyste bryzgi.

Odwróciłem głowę. Wszystko rozgrywało powoli, jakby we śnie. Staś szarpnięciem zerwał łańcuszek kajdanek w miejscu, na które spadła krwawa ślina i nawet ten gwałtowny ruch wydawał się niespieszny. Wolną ręką fąg uderzył się w ogromny brzuch i jedwabna koszula pękła, uwalniając wstęgę bicz. Bicz błyskawicznie wsunął się w rękaw i rozchylił paszczę. Klony-mężczyźni już strzelali. Tuż obok mnie przemknęły ogniste pasy, ale z biczu już wystrzeliła tęcza i odbiła pociski blasterów. Saszka skoczył niezgrabnie do przodu, w jego dłoni coś błysło i z brzękiem przeleciało tuż nad moim uchem. W chwilę później mały fąg związał się na podłodze, pewnie z bólu. Staś przestał strzelać.

Klony leżały pocerniałe i zwęglone. Z oka jednego sterczała mała, złocista strzałka. Wyglądała tak, jakby została zrobiona z zegarka, który nieoczekiwanie zmienił kształt i wydłużył się.

A nogi nadal niosły mnie do krawędzi platformy. Rozkaz martwej psychopatki Ally Neige ciągle



działał. Obejrzałem się – Staś pochyla się nad Saszką, Natasza leżała nieruchomo, chyba ze strachu straciła przytomność. Szczęściara!

Ja nie chcę!

Nie chcę umierać, zwłaszcza teraz, gdy wszystko się tak dobrze skończyło! Bunt został stłumiony, ludzie znowu będą normalni, Inna Snów zostanie odnaleziona i powieszona. Nie chcę skakać do rozpuszczalnika! Chcę żyć! Przecież jestem grzecznym chłopcem, chcę chodzić do szkoły, grać w piłkę i oglądać filmy! Nie chcę umierać!

Chwyciłem poręcz tuż nad krawędzią platformy. Pode mną, w ogromnej ceramicznej kadzi widać było trzy obłoczki szarych oparów. I niknący w cieczy szkielet wózka inwalidzkiego.

Nie chcę!

Nogi same zrobiły krok do przodu. Zamknąłem oczy.

Mocne szarpnięcie cofnęło mnie na platformę i rzuciło na podłogę. Staś pochylał się nade mną i odczytałem z ruchu jego warg, albo może domyśliłem się rozkazu: Nie skacz!

Świat przestał być niemy, dźwięki powróciły. Saszka pochlipywał cicho, Staś wrzeszczał na całą halę:

– Nie skacz! Nie słuchaj tych wariatek! Nie skacz! Nigdy nie słuchaj głupich rozkazów!

– A czy ten rozkaz nie jest głupi? – wyszeptałem.

Staś uspokoił się, zamilkł i przytulił mnie do siebie. Pachniał czymś kwaskowym.

– Czym pluć? – spytałem.

– Rozpuszczalnikiem metalu – odparł Staś. – Nieszkodliwym dla substancji organicznych.

Podniósł Nataszę, która właśnie zaczęła odzyskiwać świadomość i zaczęła się ruszać, odciągnął od krawędzi, położył obok Liona i Saszki i powiedział:

– Nie skakać do kadzi! Leżeć spokojnie!

Podszedłem do nich chwiejnie. Staś już opatrywał Saszkę – w brzuchu chłopca czerniała wypalona dziura, jego twarz pokrywały krople potu. Chyba nawet nie widział Stasia, bo niespokojnie mamrotał:

– Powstrzymaj dzieci... rozkaz działa... skoczą...

– Powstrzymałem, powstrzymałem – wyszeptał uspokajająco Staś. – Nie poddawaj się, stażysto... Tikkireyu! Ochroniarze na prawym biodrze mają kieszeń z apteczką!

– Już się robi! – skoczyłem do nieruchomych ciał i kopnąłem leżącego najbliżej mężczyznę, przekręcając go na bok. Wyciągnąłem apteczkę z kieszeni i wróciłem do Stasia.

Staś otworzył futerał i wstrzyknął Saszce kilka ampulek pod rząd. Następnie wyjął szeroką, metalową bransoletę i założył mu na rękę. Bransoleta zamigła alarmująco czerwoną diodą.

– Trzymaj się... – poprosił Staś. – Nie odchodź.

– Stasiu... – odezwałem się.

– No?

– Myślisz, że Siemiecki bardzo cierpiał? Staś odezwał się po dłuższej chwili:

– Gdy przejeżdżał obok mnie, zdążyłem zajrzeć mu w oczy. On już był martwy, Tikki. Umarł, nadając wózkowi maksymalną prędkość i taranując wroga.

– Jak to umarł? Na co? – nie rozumiałem.

– Na starość. Przecież był bardzo stary, a przez ostatni miesiąc prowadził intensywny tryb życia... Tikkireyu, leć na kosmodrom. Znajdź lazaret, na pewno są tam jacyś lekarze, którzy nie zasnęli... Sprowadź ich tutaj! Niech wezmą nosze i blok reanimacyjny. Zapamiętasz?

– Tak! – krzyknąłem. Nawet, jeśli Staś skłamał o Siemieckim, wolałem tego nie wiedzieć.

W tym momencie Saszka otworzył oczy i szepnął:

– Leszczu...

– Sam jesteś leszcz! – odparłem radośnie.

– Ja mam już piętnaście lat. Stasiu... dostanę zaliczenie?

– Pod warunkiem, że nie umrzesz – odparł twardo Staś. – Jasne? W przeciwnym razie zostaniesz pośmiertnie wykluczony z szeregów fagów. Martwi nie mogą być fagami!

– Postaram się – powiedział Saszka, oblizując spierzchnięte wargi. Staś popatrzył na mnie i ściągnął brwi.

– Jeszcze tu jesteś?

– Stasiu, co ze mną zrobią? Przecież jestem klonem tyrana!

– Jeszcze chwila i będziesz klonem tyrana aresztowanym za sabotaż!

– zawołał Staś i nagle zamilkł. Chyba zrozumiał, jakie to dla mnie ważne.

– Nic ci nie zrobią, Tikki. Człowiek to nie tylko genom. A teraz pospiesz się, proszę. Saszka jest ciężko ranny.

Wyskoczyłem jak z procy. Przebiegając obok ochroniarzy, pochyliłem się, wrywając jednemu z nich ciężki wojskowy blaster. Z bronią w ręku wybiegłem na korytarz sektora służbowego.

I niemal od razu wpadłem na przestraszonego chłopaka w wojskowym mundurze. Na mój widok chłopak wytrzeszczył oczy i zaczął podnosić laser.

– Rzuć tę zabawkę, bo cię rozwalę! – wrzasnąłem. Chłopak drgnął i upuścił karabin.

– Wiesz, gdzie jest lazaret?

– W-wiem – odpowiedział, jękając się.

– Prowadź!

– To Imperium, tak? Zostanę rozstrzelany?

– Jak będziesz tyle gadał, to na pewno! – krzyknąłem. – Do lazaretu, szybko! Pomożesz nieść nosze!

– Kim jesteś? – spytał lękliwie chłopak, zerkając na mój blaster.

– Fagiem!

Chłopak skulił się i pognał korytarzem. Ja za nim.

– Zmusili mnie! – wykrzykiwał chłopak w biegu. – Wszyscy poszli, to ja też poszedłem... Zawsze byłem za Imperatorem! Dla Szronu jesteśmy tylko mięsem armatnim...

Stara wariatka Śnieżyńska nie miała racji, mówiąc o tłumie i bydle.

Ale dlaczego tak wielu ludzi godzi się być tłumem?

– Oni cię zmuszają, a ty nie słuchaj! Nie daj sobie nic narzucić! – powiedziałem, starając się nie zasapać. – Wszyscy idą, a ty stój! Rozumiesz? Myśl samodzielnie! Postępuj zgodnie z własnym sumieniem! Nie zdradzaj! Nie tchórz! Nie bądź tłumem!

Gdzieś za ścianami budynku rozległ się niski huk.

Lądowały desantowe statki Imperium.

# EPILOG

Światło w barze było nienaturalnie jasne. Nic dziwnego, żadnego gościa, tylko barman, uzbrojony w odkurzacz, sprzątał pomiędzy stolikami.

Gdy wszedłem, od razu wyłączył odkurzacz i zaniósł go za bar. Po drodze barman oglądał się, rzucając mi posępne spojrzenia. A gdy podszedł do baru i rozpoznał mnie – wytrzeszczył oczy i wykrzyknął radośnie:

– Jesteś tym chłopcem, który zaciągnął się jako moduł sterujący! – I od razu stał się czujny. – No i jak... jak leci?

– Wszystko w porządku, mózg tak szybko nie umiera – odparłem. – Poproszę koktajl mleczny. Prawdziwy, ma pan chyba prawdziwe mleko? Dwa koktajle.

Barman skinął głową i wyjął z lodówki butelkę z prawdziwym krowim mlekiem. Pokazał mi certyfikat na szyjce, otworzył i wlał mleko do shakera.

– Nie jestem już modułem – powiedziałem.

– Zwolniłeś się? – zdumiał się barman, potrząsając shakerem.

– Mniej więcej.

– I postanowiłeś wrócić?

– Muszę... odwiedzić kilka osób – powiedziałem. – Podziękować im. Panu też chcę podziękować.

– Za co?

– Pomógł mi pan zaciągnąć się na „Klazmę”...

– Daj spokój... – mruknął speszony barman, ale chyba było mu przyjemnie.

Wziąłem szklankę i napiłem się koktajlu. Smaczny. Ale na Avalonie jest lepsze mleko, a tamto na Nowym Kuwejcie w ogóle było super.

– Dolać? – barman sięgnął po shaker.

– Nie. To dla pana. Ja stawiam.

Chłopak uśmiechnął się. Stuknęliśmy się szklankami.

– Dziękuję – powtórzyłem i podniosłem lekką torbę z rzeczami. – Wie pan, że uratował pan całe Imperium?

Pewnie pomyślał, że z moją głową jednak coś nie tak...

Gdy przyszedłem nad rzekę, nikogo jeszcze nie było. Rozebrałem się, wskoczyłem do wody – ale zimna! – popływałem kilka minut i wyszedłem. Rozejrzałem się, ale w pobliżu nadal nie było żywego ducha. Zdjąłem kąpielówki, wyjąłem je i znowu włożyłem, wytarłem się niedużym, jednorazowym ręcznikiem i położyłem na ulubionej płycie.

Słońce było ledwie widoczne zza burzy piaskowej. Pomarańczowa plamka nie dawała ciepła i nie opalała, ale ja i tak leżałem, patrząc na nią i przypominając sobie, jak długo była moim jedynym słońcem.

Potem słońce całkowicie zasnęły tumany pyłu, a porysowana piaskiem kopuła zaczęła się świecić w trybie „noc”. Przekręciłem się na brzuch. Takie burze zazwyczaj trwają długo, aż do wiosny. W ścianach piasku i porywach huraganowego wiatru mogą lądować jedynie ogromne, wożące rudę frachtowce – albo małe, zwinne stateczki fagów... Saszka powiedział, że czeka na mnie dobę, a potem odlatuje, bo jeszcze mu życie miłe, a gruczoły wydzielania wewnętrznego i zewnętrznego

nawet miłsze, a na Kopalni i tak nie powinni mieszkać normalni ludzie, bo to nie planeta, tylko najprawdziwsze piekło...

Jakbym o tym nie widział.

Oczywiście, nigdzie nie polecisz, będzie na mnie czekał aż do skutku. Ewentualnie zaczniesz mnie szukać, a potem powie, że szukał tylko dlatego, bo nie lubi latać sam. Niech mu będzie.

Stasia wysłali na Szron, żeby odnalazł klony Śnieżyńskiej, a rekonwalescentowi Saszce (na pamiątkę została mu taaaka blizna) kazali wracać na Avalon.

– Tiki-Tiki...

Przekręciłem się na plecy i zobaczyłem Dajkę.

– To niemożliwe – powiedziała.

– Masz rację. Jestem halucynacją. Uosobieniem twoich nieświadomionych nastoletnich kompleksów.

– Głupi – Dajka zaczerwieniła się, ale odłożyła komputer i dotknęła mnie palcem.

– Ojej... ojej... rozpląwam się... – powiedziałem ze smutkiem. – Co słysząc? Podciągnęłaś się z matematyki?

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Niby wie, że nie może zostać pilotem, a jednak wkuwa tę matkę. Matematyka nie daje się nijak ugryźć, a ona i tak wkuwa.

– Jakoś leci. Obniżyli wiek pełnoletności do czternastu lat.

– To znaczy, że ulgowa opłata bytowa przysługuje tylko do czternastu? Ha, coś mi się widzi, że kopalnie rudy długo nie pociągną – powiedziałem. – Planeta zdycha.

Dajka skinęła głową.

– Po coś ty wrócił, Tiki-Tiki...

– Żeby zabrać ciebie i Gleba.

– Dokąd zabrać? – spytała czujnie Dajka.

– Na Avalon. Albo na Nowy Kuwejt. Jak będziecie chcieli. I tu, i tu mam przyjaciół, a sam jeszcze nie zdecydowałem, gdzie będę mieszkał. Zresztą, dobrzy ludzie są wszędzie. Ludzie generalnie są dobrzy, tylko trzeba im o tym stale przypominać.

– Co się stało? Dostałeś spadek? – Dajka uśmiechnęła się niepewnie.

– Do diabła ze spadkiem. Nie dostałem. Ale dwa obywatelstwa jakoś załatwię. Na kosmodromie czeka na nas statek.

Dajka milczała. Usiadłem, podciągnąłem kolana do brzucha i powiedziałem:

– Ja wiem, że masz tu rodziców i siostrę. Wszystko rozumiem, Dajka. Ale mogłem się zająć tylko dwiema osobami. Jeśli polecisz, twojej rodzinie będzie lżej, przepiszesz na nich swoją opłatę. A potem coś wymyślimy.

– Nowy Kuwejt to tam, gdzie był bunt? – spytała po chwili zastanowienia.

– Tak.

– No to jak ty...

– Opowiem. Wszystko ci opowiem, tylko później. Teraz nie chcę tego wspominać.

Ale Dajka nurtowało coś innego:

– To prawda, że prezydent Szronu mogła latać w hiperprzestrzeni bez anabiozy?

Plotki rozchodzą się z prędkością światła...

– Tak – powiedziałem, przepaszając w myślach fagów. – Ona... oni mieli prawdziwego geniusza genetyki. Zrozumieli, dlaczego kobiety umierają podczas hiperprzejścia i nauczyli się z tym walczyć. Już samo to wystarczyłoby, żeby całe Imperium nosiło ich na rękach! Wybraliby ją Imperatorem! A jej chodziło tylko o to, żeby namieszać ludziom w głowach.

– To znaczy, że mogłabym zostać pilotem?

– Nie wiem. Może. Twoja córka na pewno.

– Głupi – powtórzyła Dajka, tym razem bez przekonania. – Tikkireyu, nie nabierasz mnie?

– Nie.

– Muszę porozmawiać z rodzicami. Pójdę, dobra?

– Nie zapomnij komputera. Wstąpię do was wieczorem... Mieszkacie tam, gdzie dawniej?

– Tak.

Nachyliła się po komputer i powiedziała:

– Bardzo się zmieniłeś, Tikki-Tikki. Dorosłeś.

A potem szybko cmoknęła mnie w policzek i uciekła.

Uśmiechnąłem się głupawo, ale nie wytarłem policzka.

Moja propozycja nie była tak do końca fair. Przecież Dajka ma tu rodziców i siostrę. Gleb też ma rodziców. Ale ja naprawdę mogę pomóc tylko dwóm osobom. I pomogę swoim przyjaciółom.

Nie potrzebujemy geniuszy, uszczęśliwiających ludzkość na siłę. Wystarczy, że będziemy pomagać ludziom, którzy są obok nas, a wszystkim będzie żyło się lepiej. Adelajda Snieżyńska nie mogła zrozumieć, dlaczego stanąłem po stronie Stasia, a to przecież takie proste. Staś również mówił o milionach ludzi i dziesiątkach planet, ale jednocześnie pomagał tym, którzy byli obok niego i którym mógł pomóc. A Snieżyńska mówiła o milionach, ale troszczyła się tylko o siebie – we wszystkich swoich postaciach, męskich i żeńskich.

Chcę być taki, jak moi rodzice. Moi prawdziwi rodzice, a nie geniuszpsychopata, który powielił swój genom. Chcę być taki, jak Staś. Taki, jak załoga „Klazmy”. Chcę się przyjaźnić z Lionem i Saszką, pogodzić z Rossi i z Rosim, chodzić do szkoły i bawić się.

A gdy dorosnę, ożenię się z Dajką... albo z Nataszą...

A może jednak zamieszkać na Nowym Kuwejcie? Nataszka chce tam zostać, bo właśnie tam stawiają pomnik jej dzielnemu pradziadkowi – który z dumnie uniesioną głową pędzi na wrogów. Przekonałbym Dajkę...

Dobrze, o Nataszce, Dajce i Nowym Kuwejcie pomyślę później.

Teraz muszę odwiedzić rodziców.

Wstałem z kamiennej płyty, ubrałem się i podniosłem zostawiony przez Dajkę komputer.

I poszedłem do Domu Pożegnań.

1999-2001 r.

# Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA.. 1](#)

[PROLOG.. 3](#)

[Rozdział 1. 6](#)

[Rozdział 2. 18](#)

[Rozdział 3. 31](#)

[Rozdział 4. 43](#)

[Rozdział 5. 55](#)

[Rozdział 6. 69](#)

[Część druga. 81](#)

[Rozdział 1. 82](#)

[Rozdział 2. 94](#)

[Rozdział 3. 111](#)

[Rozdział 4. 128](#)

[Rozdział 5. 143](#)

[Rozdział 6. 155](#)

[Część trzecia. 162](#)

[Rozdział 1. 163](#)

[Rozdział 2. 176](#)

[Rozdział 3. 188](#)

[Rozdział 4. 199](#)

[Rozdział 5. 211](#)

[Rozdział 6. 223](#)

[Część czwarta. 233](#)

[Rozdział 1. 234](#)

[Rozdział 2. 249](#)

[Rozdział 3. 268](#)

[Rozdział 4. 281](#)

[Rozdział 5. 296](#)

[Rozdział 6. 308](#)

[EPILOG.. 320](#)